

Sanders Lawrence

Namiętności Molly Turner

3 marca 1987

Miejscowość Canton w Zachodniej Wirginii licząca dwanaście tysięcy dwustu czterdziestu dwóch mieszkańców, to sympatyczne miasteczko położone nad brzegami rzeki Ohio na północny zachód od Charlestonu. Jest to głównie okręg rolniczy, z kilkoma zakładami przemysłu lekkiego, wliczając w to także fabrykę szyjącą peleryny dla armii amerykańskiej.

W 1987 roku w Canton istniało koło Narodowego Sprzysiężenia Kobiet liczące pięćdziesiąt osiem Członkiń. Przewodniczącą i założycielką koła była Norma Jane Laughlin, kobieta trzydziestoosmioletnia, kierowniczka Miejskiej Biblioteki Publicznej. Była osobą niezamężną i przyjechała do Canton z Lexington w Kentucky. Jej rodzina żyje tam do dziś.

Laughlin była krępa, energiczną kobietą z niezłomną wiarą w cele NSK; była aktywną i przeprowadziła ze swoim kołem kilka uwiecznionych powodzeniem kampanii, które, nawiasem mówiąc, naraziły na niebezpieczeństwo jej pracę i pobyt w Canton.

Na przykład: NSK odniosło sukces w legalnym postępowaniu, którego wynikiem było zaakceptowanie kobiet w policji i straży pożarnej Canton. Dom publiczny został zamknięty dzięki prostemu działaniu członkiń NSK, które stanęły przed drzwiami wejściowymi i robiły polaroidem zdjęcia wszystkim wchodzącym klientom. A w klinice otwarto oddział przerywania ciąży, mimo sprzeciwów kilku komitetów społecznych i oburzenia miejscowych katolików.

Ale te zwycięstwa miały swoją cenę. Na początku traktowano koło NSK z przymrużeniem oka, teraz coraz częściej większa część mieszkańców miasteczka spoglądała na nie z otwartą wrogością.

Norma Jane Laughlin była dumna z faktu, że publiczne lżenie, wyrażane w artykułach redakcyjnych miejscowych

gazet, anonimowych listach i telefonach, i obraźliwe wyzwiska na ulicy, spowodowały rezygnację tylko czterech członkiń.

Na wieczór trzeciego marca 1987 roku zaplanowano zebranie koła, które miało odbyć się w suterenie Pierwszego Kościoła Unitarian w Canton. Porządek zebrania zawierał dwa zasadnicze punkty: przedstawienie dwóch nowych członkiń i dyskusję nad kampanią mającą na celu zmuszenie miejscowego Kuratorium Oświaty do zezwolenia dziewczętom z cantońskiego liceum na grę w zespołach: koszykówki, siatkówki i amerykańskiego footballu!

Zebranie zorganizowała i prowadziła Molly Lee Turner, sekretarz koła.

Molly, trzydziestodwuletnia panna, pracowała jako główny kasjer w Banku Rolnictwa i Rzemiosła. Urodziła się w Canton i mieszkała tu ze swoją matką w obszernym, trochę zaniedbanym domu przy Hillcrest Avenue, w starej części miasta. Jej młodsza siostra, Ann, miała lat dwadzieścia osiem i była żoną sierżanta policji cantońskiej, Roda Hardinga.

Turner była pierwszą członkinią zwerbowaną przez Normę Jane Laughlin w 1983 roku, kiedy powstawało miejscowe koło NSK. Okazała się osobą nieustraszoną i stanowczą. Jej zapał dla sprawy feministek uczynił z niej nieocenioną współpracownicę przewodniczącej.

Molly Lee Turner i Norma Jane Laughlin były kochankami.

Zebranie rozpoczęło się punktualnie o godzinie 20³⁰. Na początku odczytano protokół z poprzedniego zebrania i sprawozdanie skarbniczki, która wyjaśniła, że aktualny stan finansów koła to 3479 dolarów i 27 centów. Następnie Molly Turner, która mówiła bez notatek, zajęła dziesięć minut, omawiając stan przygotowań kilku przyszłych kampanii.

Dwie nowe członkinie zostały przedstawione i przyjęte, i ta część zebrania została zamknięta. Teraz uczestniczki zebrania poczęstowano coca-colą i owsianymi ciasteczkami.

Kiedy podjęto obrady na nowo, Molly Turner poruszyła temat podjęcia legalnej akcji przeciwko Kuratorium Oświaty, by pozwolono dziewczętom ubiegać się o miejsca w szkolnej drużynie lekkoatletycznej. Wywołało to długą i burzliwą dyskusję.

Zasadniczo zaaprobowano tę propozycję, ale jedna z uczestniczek zebrania zabrała głos pytając, czy każda młoda dziewczyna będzie chciała grać w football amerykański. Jest to przecież brutalny sport, który często prowadzi do poważnych obrażeń.

Przewodnicząca Norma Laughlin wstała i wzięła udział w dyskusji po raz pierwszy i ostatni tego wieczora. Powiedziała, że to nieistotne, czy dziewczęta będą chciały grać w football, czy nie.

Zasadniczą sprawą jest, by miały prawo wyboru.

Kiedy każdy, kto chciał, zabrał głos i powiedział swoje, Molly Turner zakończyła dyskusję. W swój energiczny, czasami niegrzeczny sposób, jakby grożąc palcem audytorium, zakomunikowała, że NSK będzie stało na twardym, prawnym gruncie, jeżeli ta petycja zostanie podpisana przez dziewczęta, które pragną grać w szkolnej drużynie sportowej, a którym na to dotąd się nie zezwala.

Ponagliła uczestniczki zebrania, by odszukały taką dziewczynę czy dziewczęta i przedstawiły ich nazwiska.

— Będzie cholernie trudno udowodnić — rzekła — że NSK nie ponosi uszczerbku z powodu polityki dyskryminacyjnej w stosunku do kobiet, prowadzonej przez Kuratorium Oświaty. Potrzeba nam prawdziwej ofiary tej polityki. Spróbujmy znaleźć chociaż jedną.

Na tym zebranie zakończono. Było około 22.05. Kobiety plotkowały jeszcze wkładając futra, czapki, szaliki i botki. W ciągu dnia padał gęsty śnieg i wiele ulic i chodników nie zostało odśnieżonych. Na zewnątrz było ponad 20 stopni poniżej zera.

Na dworze wiele członkiń NSK ruszyło do swoich zaparkowanych samochodów, proponując innym, tym bez środków transportu, podwiezienie do domu. Około tuzina kobiet, a wśród nich Laughlin i Turner, pozostało jeszcze przez kilka minut rozmawiając o tym, ile członkiń będzie w stanie wziąć udział w ogólnokrajowym zjeździe.

Była mroźna, spokojna noc, a powietrze ostre i przeszywające. Uliczne latarnie rzucały nikłe światło na jezdnię, na której połyskiwał lód. Czarne ostrzyżone drzewa na trawniku przed kościołem stały w śnieżnych czapach niczym kucharze.

Kiedy kobiety plotkowały i śmiały się, ciemna bagażówka zawróciła na rogu i ruszyła powoli w stronę kościoła. Przy wejściu zatrzymała się, okienko od strony kierowcy opuszczono i ktoś rzucił butelkę po whisky, która rozprysnęła się na kamiennych stopniach.

Kobiety wstrzymały oddech, cofnęły się i spojrzały na samochód. Później ich zeznania nie zgadzały się. Nie udało się ustalić, ilu mężczyzn było w kabinie: jeden, dwóch, a może nawet trzech. Ale z wnętrza szoferki ktoś obrzucał plugawymi wyzwiskami kobiety z NSK stojące w przedsionku.

Molly Turner postąpiła krok do przodu.

— Odpieprz się! — krzyknęła.

Prawie natychmiast rozległ się huk wystrzału. Zobaczyły pomarańczowoczerwony błysk. Usłyszały kulę uderzającą o kamienne sklepienie nad drzwiami wejściowymi do kościoła. Norma Jane Laughlin upadła na posadzkę. Jej zrobiony na drutach kapelusik spadł i potoczył się po betonie. Pozostałe kobiety stały oszołomione, dygocąc z przerażenia.

Bagażówka zaryczała, przyśpieszyła i odjechała warcząc, żłobiąc koleiny w śniegu na jezdni.

Molly Lee Turner opadła na kolana obok bezwładnego ciała.

— Normo Jane, kochanie — odezwała się niskim głosem. Poglaskała ciemne włosy; na jej dłoni pojawiła się gęsta,

- lepka krew.

Pod koniec 1982 roku, po odrzuceniu poprawki do Konstytucji, dotyczącej równouprawnienia, siedemnaście kobiet zebrało się w hotelu Americana w Nowym Jorku. Przyjechały ze wszystkich zakątków kraju. Liczyły od osiemnastu do pięćdziesięciu sześciu lat i wszystkie były żarliwymi feministkami.

Chociaż każda z nich była już członkinią jednej lub kilku organizacji kobiecych, były gorzko rozczarowane strategią i taktyką tych grup. Doszły do wniosku, że powinny połączyć swoje siły pod wspólnym kierownictwem. Odnosiły wrażenie, że decydując się na współpracę z istniejącym establishmentem, organizacje feministyczne, są przez tegoż sabotowane.

Dalej: uznały za bezsensowne oczekiwanie na realizację swoich celów poprzez dążenie do wzrostu kobiecego elektoratu i poprzez naciski lobby na zdominowane przez mężczyzn ciała ustawodawcze na stanowym i ogólnokrajowym poziomie; to oddawało ich przeszłość w ręce wrogów.

Dlatego po trzech dniach gorących sporów, które zwykle trwały do świtu, siedemnaście kobiet zdecydowało założyć nową organizację, pod nazwą Narodowe Sprzysiężenie Kobiet. Rzeczownik „sprzysiężenie” wybrano dlatego, że był najbardziej odpowiedni i wyrażał więcej bojowości niż: związek, organizacja, stowarzyszenie czy liga.

Naszkiecowano projekt deklaracji Wyzwolenia Kobiet, w której przedstawiono cele Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Projekt zawierał następujące postulaty, nawołujące o:

— równe płace za porównywalną pracę;

- ustanowienie federalnego funduszu na żłobki i przedszkola;
- zaciąg do oddziałów wojskowych na równych prawach dla mężczyzn i kobiet;
- minimalne płace dla gospodyń domowych;
- zagwarantowanie prawem 50% wszystkich obieralnych urzędów w lokalnych, stanowych i federalnych władzach dla kobiet; .
- ustanowienie prawa pozwalającego lesbijkom adoptować dzieci;
- utworzenie federalnego funduszu na aborcje dla kobiet bezrobotnych;
- prawa dla kobiet rozwiedzionych do podziału emerytur, rent i zasiłków z ich eks-mężami;
- oraz kilka innych celów, raczej kontrowersyjnych. Wiele, czy wszystkie z tych celów, zostały sformułowane

przez działające aktualnie organizacje feministyczne, a Narodowe Sprzysiężenie Kobiet zamierzało osiągnąć je bardziej siłowymi metodami. Określiły się jako ekstremistki i planowały używanie w swojej walce metod rewolucyjnych.

Na przykład: nie wyrzekły się bojkotów, masowych demonstracji, pikiet, sabotażu, ale miały zamiar walczyć także za pomocą aktów terrorystycznych i przemocy fizycznej. Chociaż zabójstwa, jako sposób walki o ich sprawy, nie były jawnie dyskutowane na spotkaniu w Ameryce, kilkanaście kobiet, które w nim uczestniczyło, wyraziło milczącą zgodę.

Przez pierwsze cztery lata istnienia Narodowego Sprzysiężenia Kobiet zajęto się głównie budowaniem organizacji i gromadzeniem funduszy na otwarcie i utrzymanie biura zarządu głównego w Waszyngtonie oraz oddziałów w każdym z pięćdziesięciu stanów. Z kolei te oddziały stanowe zakładały kota w większych miastach, siedzibach hrabstw i regionach-rolniczych.

Podczas początkowego okresu wzrostu powołano do życia tygodnik „LewNSK” i organizowano doroczne stanowe i krajowe zjazdy. Liczebność wzrastała wolno, ale systematycznie; Wolno, bo NSK celowo nie nadawało rozgłosu nowej organizacji, do czasu kiedy kierownictwo nie uzna, że Sprzysiężenie jest wystarczająco silne, by rozpocząć agresywną, ogólnokrajową kampanię, aby osiągnąć zamierzone; cele. Ale od 1982 do 1986 roku stanowe i lokalne oddziały były zachęcane przez zarząd do inicjowania swoich własnych kampanii w celu zaprawienia się w walce izdobycia doświadczenia w zuchwałych, odważnych akcjach, których NSK było

zwolennikiem. („Ćwiczenia bojowe" — to typowa wojskowa terminologia, często używana w wewnętrznych dyrektywach NSK i „JZewie".)

Przewodniczącą w czasie tych pierwszych lat; tworzenia organizacji była Laura Templeton, wdowa z San Francisco, kobieta o ogromnym rewolucyjnym zapale. W 1982 roku miała czterdzieści osiem lat. Zanim poświęciła cały swój czas NSK, z powodzeniem prowadziła firmę wynajmu samochodów, odziedziczoną po zmarłym mężu.

Pod koniec 1986 roku Narodowe Sprzysiężenie Kobiet liczyło bez mała sto tysięcy członkiń, zrzeszonych w ogólnokrajowym, stanowych, miejskich i wiejskich oddziałach oraz kotach, i posiadało odpowiednie rezerwy finansowe.

Laura Templeton razem ze swoimi współpracownicami zdecydowała, że nadszedł odpowiedni czas, by wprowadzić w życie radykalny program. Bojowe operacje zaplanowane na terenie całego kraju zamierzano przedstawić na ogólnokrajowym zjeździe, który zwołano na 15 lipca 1987 roku do Chicago.

Ale 3 marca 1987 roku Norma Jane Laughlin została zastrzelona w Canton w Zachodniej Wirginii.

5 marca 1987

Zarząd Główny Narodowego Sprzysiężenia Kobiet miał swoją siedzibę w posepnym biurówcu przy ulicy Northwest H w Waszyngtonie. NSK wynajmowało całe piętro. Biura zarządu urządzone były po spartańsku, wyposażone w używane meble. Większość pomieszczeń przeznaczono dla zespołu redakcyjnego „Zewu" oraz na akta członkowskie, materiały dziennikarskie, kserokopiarki i maszyny do pisania.

Przewodnicząca Laura Templeton zajmowała narożne biuro, chociaż widok z jego okien nie był zachwycający. Umeblowanie stanowiło poobijane biurko, skrzypiące krzesło obrotowe, drewniana szafa na akta, dwa podniszczone fotele, używana skórzana kanapa dla gości i... rachityczny filodendron.

Templeton była drobną, kostyczną kobietą, która lubiła suknie w kwieciste wzory z wysokimi koronkowymi kołnierzykami. Wątle ciało skrywało niezłomnego ducha i prawie obsesyjną determinację. Była utalentowaną mówcą o grzmiącym głosie, budzącym zdumienie u tak niepozornej osoby.

O 11⁰⁰ spotkała się z Constance Underwood, wiceprzewodniczącą NSK. Underwood rzuciła jej biurko Laury .plik wycinków prasowych, telegramy i teleksy. Przyniosła przewodniczącej najświeższe dostępne informacje na temat śmierci Normy Jane Laughlin.

— O, proszę — powiedziała bezbarwnym głosem, zamykając z trzaskiem teczkę. — Zabita nabojem wystrzelonym z karabinu, kula odbiła się rykoszetem. Sprawcy, czy sprawców, dotychczas nie wykryto. Sądzę, że powinniśmy wysłać telegram z kondolencjami do naszego koła w Canton i zaoferować im wszelką możliwą pomoc. No wiesz, finansową i inną.

Templeton zastanawiała się przez chwilę.

— Tak — rzekła — zrób to. Jak się nazywała nasza siostra, ta, która zginęła?

— Norma Jane Laughlin.

— No tak, oczywiście. I wyślij także telegram do oddziału w Zachodniej Wirginii. Powinny być poinformowane o tym, co robimy. Dowiedz się, kiedy odbędzie się pogrzeb i wyślij kwiaty. Zawiadom wszystkie oddziały i koła, żeby również przesłały kwiaty.

— Dobrze.

Obie kobiety milczały przez chwilę, unikając swojego wzroku.

— Connie — odezwała się w końcu Laura Templeton — to była głupia, bezsensowna śmierć. Prawdopodobnie jakiś pijany bydlak szukał okazji i nacisnął spust swojej nowej strzelby tylko po to, aby ją wypróbować.

— Prawdopodobnie — zgodziła się Underwood. — Mogło tak być.

— Jak odniosły się do tego środki masowego przekazu? Wspomniały o tej historii?

— Tak. I potraktowały to zdarzenie poważnie. W nowojorskich i waszyngtońskich gazetach ukazały się wzmianki. „Wydarzenia Dnia” potwierdziły to, a ja na własne uszy słyszałam dzisiejszego ranka, że „20/20” poświęci temu wypadkowi oddzielną audycję.

— No, no — mruknęła Templeton. — Nie mogłam zasnąć ostatniej nocy, przez cały czas myślałam o tej historii. Chyba powinnyśmy wykorzystać śmierć naszej siostry. Co powiesz o rozpoczęciu krajowej kampanii natychmiast? Mamy społeczne współczucie. To, co planowałyśmy, przyjmą jako usprawiedliwiony odwet za to brutalne morderstwo.

Constance Underwood wahała się przez chwilę.

— Tak — stwierdziła. — Możemy to zrobić.

— Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że czeka nas dużo pracy w krótkim czasie? — ostrzegła przewodnicząca.

— Damy radę — zapewniła Underwood. — Każdy by się oburzył na coś takiego.

— Dobrze, zacznijmy więc działać. Uważam, że pierwszym krokiem powinna być konferencja prasowa. Mocny komunikat o tej bulwersującej sprawie. Ja będę ją prowadzić i napiszę oświadczenie. Ty zwołaj konferencję.

— Zaraz się do tego zabiorę — przyrzekła Constance. Odwróciła się i podeszła do drzwi, położyła rękę na klamce i otworzyła je.

— Connie, jak nazywała się nasza siostra, ta, którą zastrzelono? — zawołała Laura Templeton.

Underwood odwróciła się z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

-Norma JaneLaughlin—odpowiedziała. — Lauro, już po raz drugi mnie o to pytasz.

Przewodnicząca patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

— Zamkny drzwi — poleciła. — Wróc i usiądź. Wiceprzewodnicząca zrobiła, co jej kazano. Zajęła miejsce

na jednym z podniszczonych foteli naprzeciwko biurka.

— To moja pamięć — stwierdziła Templeton z goryczą. — Ukrywam to, robię wiele notatek. Niczego nie zauważyłaś prawda?

— Nie, nigdy — skłamała Underwood. —Lauro, wszystkim się zdarza zapomnieć czegoś od czasu do czasu. Niekiedy ja sama...

— Nie, to jest coś więcej niż zwykle zapominalstwo. Zaczęło się przeszło rok temu i ciągle się pogarsza. Wczoraj nie mogłam przypomnieć sobie numeru naszego biurowego telefonu. Wkrótce zapomnę twoje nazwisko, później moje własne.

— Nie może...

— Tak — filigranowa kobieta potwierdziła z grymasem niechęci. — Jest źle.

Miesiąc temu poszłam do mojego lekarza, potem do neurologa, następnie do specjalisty, a później do jeszcze jednego. Nie zastanawiałaś się, dlaczego tak często wychodzę z biura?

— Lauro, myślałam, że załatwiasz swoje sprawy.

— W istocie tak było, moje sprawy. Nie trzeba więcej diagnoz, wszyscy lekarze, u których byłam, są zgodni. To choroba Alzheimera.

— O, mój Boże!

— Przyczyny nieznane — Templeton ciągnęła bezlitośnie.

To nieuleczalne. Stopniowe pogarszanie, a później śmierć. Powiedziano mi, że będę jeszcze jako tako funkcjonować przez" kilka lat, zanim zamienię się w roślinę. Być może rok albo dwa.

Underwood milczała.

— W ciągu tego roku, czy dwóch, mogę wiele zdziałać. Zaczniemy wprowadzać w życie to wszystko, co zaplanowałyśmy, i na Boga, mam zamiar zrealizować nasze plany.

— Oczywiście, że je zrealizujesz. Lauro, jesteś pewna?...

— Tak. Wiem, że tak będzie, ale w międzyczasie rozkręcę nasze akcje. A ty mi w tym pomożesz.

— Zrobię wszystko, co trzeba, wiesz przecież. Wszystko.

— Będę od ciebie z każdym dniem coraz bardziej zależna. Przede wszystkim zachowaj to, co ci powiedziałam, w tajemnicy. To sprawa między tobą a mną. Nie Chcę, żeby ktokolwiek inny o tym wiedział. Nawet ten kretyn, z którym sypiasz. Przymknij.

— Przysięgam.

— Będiesz moim woźnicą, Connie. Będziesz mi przypominała, kiedy o czymś zapomnę... Powiesz mi, kiedy będę .chciała zrobić coś głupiego. Będziesz sprawdzać wszystkie napisane przeze mnie komunikaty przed ich opublikowaniem. Ochraniaj mnie w sytuacjach, którym nie będę mogła, sprostać. Mam nadzieję, że Bóg da mi dość zdrowego rozsądku, bym sania dobrowolnie zrezygnowała, kiedy nie będę w stanie już dłużej tego ciągnąć. A jeżeli tego nie zrobię, chcę, żebyś zwołała zebranie zarządu i wykopała mnie stąd. Zrobisz to dla mnie, zgoda?

— Tak — powiedziała Constance Underwood kamiennym głosem. — Zrobię to.
6 marca 1987

W Canton w Zachodniej Wirginii było kilku mężczyzn, którzy wierzyli w NSK i popierali je, chociaż żaden nie zdobył się na odwagę, by dać publiczny wyraz swoim poglądom. Anonimowo wspierali organizację gotówką, udzielali prywatnych porad i wsparcia, kiedy-tylko mogli i kiedy ich o to proszono.

Jednym z nich był sierżant Rod Harding'z komendy policji w Canton. Był mężem Ann, młodszej siostry Molly, i częstym gościem na Hillcrest Avenue w domu, w którym mieszkała Molly ze swoją matką, panią Josephine Turner.

Szóstego marca wszystkie trzy panie Turner zjadły wspólnie obiad. Rod Harding miał w tym dniu służbę, więc przyjechał, kiedy one były już po posiłku, ale trzymały dla niego ciepłe jedzenie: hot-dogi, groszek, kwaszoną kapustę, pum-pernikiel posmarowany słodkim masłem i dwie puszki budweisera. Kobiety siedziały przy drewnianym, okrągłym stole w kuchni razem z Hardingiem i piły kawę, podczas gdy on jadł. Rozmawiali.

— Wydadzą ciało jutro koło południa — powiedział do Molly. — Podjęłaś już jakieś przygotowania?

— Zleciłam wszystko Domowi Pogrzebowemu Hutchin-sów — zaczęła. — Oni przygotowują szczegóły. Ustaliłyśmy wszystko/Najpierw pożegnamy ją tutaj, a później ci z domu pogrzebowego przewiozą trumnę do Lexington. Jej rodzina ma tam miejsce na cmentarzu. Ann, ja i jeszcze kilka innych kobiet weźmiemy udział w pogrzebie.

— Kto płaci za to wszystko?

— NSK. Dostałyśmy telegram z Centrali.

— Czyż to nie jest miłe? — odezwała się starsza pani Turner.

— Rod, czy pojedziesz z nami do Lexington? — spytała Ann.

Mężczyzna odsunął pusty talerz, zapalił papierosa i z trzaskiem otworzył drugą puszkę piwa.

— Przykro mi, kochanie, nie mogę — stwierdził. — Prowadzę śledztwo w tej sprawie i, nie jest to najwłaściwsza pora,' żeby wziąć wolny dzień.

Wiedziały, że nie w tym rzecz, ale rozumiały go. Nie mógł pozwolić sobie na manifestowanie współczucia.

Harding był muskularnym facetem z kamienną twarzą i gęstymi rudawoblond włosami. Kręcone blond wąsy zwisały nad długą górną wargą. Miał małe, ciemne oczy, które zwięzały się kiedy myślał, albo zastanawiał się nad odpowiedzią.

— To była karabinowa kula — poinformował je. — Przynajmniej tego jesteśmy pewni. Kaliber trzydzieści. — Spłaszczyła się, kiedy odbiła się rykoszetem od kamienia. Wyślemy ją do FBI, żeby się upewnić, ale i tak jestem przekonany, że tę kulę wystrzelono z karabinu kaliber trzydzieści.

— Wspaniale — stwierdziła gorzko Molly. — To zawęźa poszukiwania do miliona karabinów kalibru trzydzieści w hrabstwie Canton.

— Coś koło tego—przyznał Harding.—I podobnie rzecz się ma z tą ciemną bagażówką. Molly, czy nie było tam czegoś, co zapamiętałaś, a co mogłoby pomóc?

— Już ci mówiłam, Rod — przecząco pokręciła głową. — Było ciemno, a wszystko wydarzyło się tak szybko, że nikt nie miał najmniejszej szansy, żeby zapamiętać jakiś szczegół. Ktoś z tego samochodu obrzucił nas wyzwiskami, ja też rzuciłam jakieś przekleństwo i nagle... buch.

— Czy rozpoznałabyś ten głos, gdybyś go ponownie usłyszała?

— Prawdopodobnie nie. To był po prostu krzyk mężczyzny.

— Cóż — westchnął Rod — nie zamykamy jeszcze śledztwa. Wyobraź sobie, że Eddie Holloway był pierwszy na miejscu zdarzenia i zanim wezwał ambulans i pomoc z posterunku, po raz pierwszy w swoim życiu zrobił coś naprawdę rozumnego: pozbierał wszystkie odłamki tej rozbitej butelki, wszystkie, jakie znalazł. Przesłaliśmy je do Charleston, żeby zobaczyć, czy chłopcy z laboratorium odnajdą na nich jakieś odciski palców.

— Czy to może pomóc? - spytała Ann.

— Mhm, to pomoże, jeżeli zdołamy udowodnić, że należą do kogoś z miejscowych, kto ma kłopoty z prawem. Oczywiście, jeżeli mamy jego odciski w naszej kartotece. Przyznaję, że to jedyny ślad, ale może zaprowadzić nas do, zabójcy.

W pokoju zapadła cisza. Starsza pani Turner wstała, zaczęła sprzątać ze stołu i krzątać się po kuchni.

Należała do kobiet, które określa się szczebiotliwymi ptaszkami, miała pięćdziesiąt osiem lata, różową cerę i duże, nieustannie zdziwione oczy. Mąż porzucił ją wkrótce po narodzinach Ann. Zdołała wykształcić obie córki w szkole średniej, ciężko pracując jako księgowa w supermarkecie przy Rush Street i wynajmując pokoje w swoim dużym domu.

— Rod? — spytała Ann. — Domyślasz się, kto to zrobił?

— Kochanie — odpowiedział, kładąc ręce na jej ramionach. — Nie mogę snuć domysłów w sprawie takiej, jak ta. W tym mieście są dziesiątki prostaków, którzy byliby w stanie to zrobić. Mam na myśli prawdziwych prymitywów, kreatury, które mogą zrobić coś takiego i nie przeszkodzi im to bynajmniej w spokojnym śnie.

— Ja mogę zgadnąć — odezwała się ostro Molly. — Domyślam się, że to bracia Lemsonowie. To para największych wieprzów w mieście.

Sierżant Rod Harding spojrział na nią, ale nie powiedział ani słowa. Wszyscy czworo przenieśli się do ogromnej bawialni, zostawiając brudne naczynia w zlewie. Spędzili ze sobą prawie godzinę. Harding nabił i zapalił fajkę, podczas gdy kobiety

rozmawiały przyciszonymi głosami o planowanej uroczystości Kosztach! samej ceremonii pogrzebowej.

Starsza pani Turner zaoferowała pomoc przy pakowaniu ubrań i rzeczy należących do nieżyjącej kobiety, by Molly i Ann zdążyły zabrać wszystko do Lexington. Ann zauważyła że mogłyby nazwać swoje koło imieniem Laury Jane Laughlin Molly przyznała, że to wspaniały pomysł i przyrzekła poddać go pod rozagę na nadzwyczajnym zebraniu, na którym zostanie wybrana nowa przewodnicząca.

Hardingowie wyszli około 22, a Molly z matką posprzątały kuchnię. Następnie pani Turner ucałowała córkę i oznajmiła że idzie do lozka. Ciagle jeszcze pracowała w supermarkecie, chociaż były w stanie utrzymywać się z pensji Molly i zysków z kilku małych inwestycji.

— Nie siedź za długo! — krzyknęła wesoło, wchodząc na wysłane chodnikiem schody.

Molly wróciła do kuchni i upewniła się, że tylne drzwi są zaryglowane i zamknięte na, łańcuch. Sprawdziła drzwi wejściowe i zapaliła żarówkę nad gankiem, która paliła się przez całą noc.

Zostawiła jedną lampę włączoną w bawialni i poszła do niewielkiego pokoiku w piwnicy, który służył jej ojcu jako schronienie. Molly przeznaczyła go teraz na biuro NSK W pomieszczeniu było kilka mebli niepotrzebnych już w domu i przeniesionych tu z innych pokoi: biurko, lampa z abażurem z frędzlami i mały drewniany stolik z bardzo starą maszyną do pisania firmy „Remington”.

W tylnej szufladzie biurka Molly trzymała butelkę kalifornijskiej brandy.

Odkręciła nakrętkę i pociągnęła spory łyk Alkohol rozgrzewał. Usiadła na krześle, nogi oparła na blacie biurka.

Po pierwszym dniu odrętwienie, które czuła po śmierci Normy Jane, zniknęło.

Zastąpił je gniew tak gryzący, że chwilami obawiała się, że zacznie wyć i nigdy nie przestanie

Dziwne, ale ta wściekłość była tak zatruwająca, że opuściła ją pamięć o słodyczy, czułości i sile Normy, o rozkoszy jaka znajdowały wzajemnie w swoich ciałach, o śmiechu, o miłości. Gniew przesłaniał to wszystko. Czerwona kurtyna zapadła nad przeszłością.

Miała wrażenie, że nie będzie w stanie znieść życia w takim ciągłym stresie. To napięcie niewątpliwie zniszczy ją. Rozsądek podpowiadał, że powinna zamienić swoją furie na działanie, dać jej twórczy upust. Ale musiała przyznać, że na razie nie potrafi myśleć logicznie. Chciała pluć, kopać,

wyc, gryźć, zerwać słońce z nieba, chciała, by nastąpił koniec świata, który obojętnie patrzy na zło i trwa pogodnie, jakby nic się nie wydarzyło.

Pogrążona w myślach pociągnęła kolejny łyk brandy. Po kilku chwilach wstała i zaczęła szperać w wąskiej ściennej szafie, w której jej ojciec trzymał kiedyś kolekcję broni oraz myśliwskie wyposażenie, symbole jego hulaszczego życia.

Kiedy Jason Turner porzucił żonę i małe córki, nie zostawił żadnego listu, nie pożegnał się. Po prostu odszedł, pozostawiając wszystkie ubrania i rzeczy, ale tego poranka nie zapomniał oczyścić konta bankowego.

Fakt, że manikiurzystka z salonu fryzjerskiego Phila zniknęła tego samego dnia, nie pozostawiał miejsca na wątpliwości, co się stało. Josephine Turner z godnością znosiła głupie uśmiešky i nieszczerze wyrazy współczucia. Czy uwierzono by jej, gdyby powiedziała, że jest szczęśliwa, bo jej mąż odszedł? Był głupcem i brutalnym. Ktoś z klubu brydżowego Josephine powiedział jej, że po siedmiu latach może wystąpić do władz o uznanie go za nieżyjącego. Wierzyła w to i na swój szalony sposób czekała, aż minęło siedem lat, nie podejmując żadnych wysiłków, by zlokalizować niewiernego małżonka. Przez te lata nie miała od niego żadnych wiadomości, nawet o nim nie słyszała. Po tym czasie odetchnęła z ulgą i sprzedała wszystkie jego rzeczy.

Na szczęście dom przy Hillcrest Avenue był jej własnością, odziedziczyła go po ojcu. Urodziła się w tym domu, w sypialni na górze.

Kolekcja broni Jasona również została sprzedana. Jego żona, teraz sama z dwoma córkami, za radą przyjaciółek z klubu brydżowego zostawiła sobie tylko jeden rewolwer. Przyjaciółki przekonały ją, że samotna kobieta z dwoma dziewczynkami potrzebuje obrony, a tej może jej dostarczyć na przykład rewolwer.

— Po prostu wycelujesz i naciśniesz spust — radziły jej.

To ten rewolwer, którego teraz szukała Molly w szafie. W końcu znalazła go na najwyższej półce; był wetknięty w najdalszy kąt i owinięty w poplamiony olejem ręcznik. Wyjęła ostrożnie zawiniątko i przeniosła je na oświetlone biurko.

Rozwinęła ostrożnie szmatę i... zobaczyła go. Miał drewnianą kolbę i długą lufę. Metalowe części były zardzewiałe, a miedziany nalot pokrył naboje w bębunku. Wyglądał jak stare znalezisko wykopane z dawnego pola bitwy. Nawet pachniał starością.

Nie przejmowała się tym. Najważniejsze, że miała broń.

9 marca 1987

Constance Dnderwood, wiceprzewodnicząca NSK, uważała siebie za racjonalną osobę. Była w stanie na zimno przeanalizować każdy problem, rozważnie wybrać najlepsze rozwiązanie i podjąć decyzję nie ulegając naciskom, czy emocjom. Jak sama twierdziła, zawsze się kontrolowała.

Teraz musiała przyznać, że traciła kontrolę nad sobą. A to wobec młodego Billa McCrei. Był, jak powiedziała Laura Templeton, kretynem. Ale kiedy była z nim w łóżku, odczuwała swoisty rodzaj gorączki i oddawała się bez reszty rozpuście.. Ach, ten słodki, rozgrzewający idiota...

Pieszczota jego- ust była pieśnią trudną do zapomnienia. Zapach jego włosów, oddechu i skóry był odurzający i bezcenny. To przeszło w nałóg, a nawet w coś więcej. Wiedziała, że straciła głowę z pożądania, po prostu oszalała na jego punkcie. To gniew rozpałał jej namiętność. Oddawała się tej namiętności czekając, aż spadnie kara— na nią, na jej nienasycone dąło. Ciało zdradzało ją. Przyciągnęła Billa bliżej, czuła łzy pod powiekami. Och, ta zniechęcona potrzeba, te niebezpieczne rozkosze.

Bóg spędził sześć dni stwarzając go. Dał mu kędzierzawe, rudawe loki, twarz wyrzeźbioną z pietyzmem, brzoskwiniową cerę, szyję i ramiona delikatne choć muskularne, rzeźbione uda, zgrabne łydki. Nawet stopy miał piękne. Ale siódmego dnia Bóg odpoczywał. Nie dał mu rozumu.

Connie marzyła o zamordowaniu go. Pragnęła zniszczyć swoją słabość. Nie mogła znieść hańby, to ją dręczyło.

Była cienią, wysoką kobietą o oliwkowej karnacji, miała długie czarne włosy z przedziałkiem pośrodku, opadające na kamienną twarz połyskującymi skrzydłami. Sekretarki w centrali NSK nazywały ją „Jago”. W jej zachowaniu kryła się jakaś groźba, a w oczach pogarda. Nie była lubiana, czy nawet szanowaną; była osobą budzącą strach.

Kończyła palić skręta, obserwując, jak Billy McCrea ubiera się. Kupiła mu wszystkie ubrania, często dawała prezenty i gotówkę. Ale on nie należał tylko do niej. Wiedziała o tym i to było częścią jej hańby.

Przysiadł na brzegu łóżka, wziął skręta z jej palców, zaciągnął się i oddał z powrotem.

— Hej! — powiedział. — Jesteś dziś dziwnie spokojna. Myślę—odrzekła.

— Mhm... no tak. W porządku, masz dużo roboty, co?

Skinęła potakująco głową.

— To twoje cholerne Sprzysiężenie?

— Mogę wkrótce zostać szefową tego cholernego Sprzysiężenia.

— Nie żartujesz? To cudownie. Dostaniesz podwyżkę? Nie zatroszczyła się, by mu odpowiedzieć. Brała go takim,

jakim był. Dobrze wiedziała, że gdyby był mądrzejszy, byłby cholernie niebezpieczny. Już boska budowa jego ciała kryła w sobie niebezpieczeństwo.

— Do zobaczenia — zawołał pogodnie, pomachał ręką i na pożegnanie obdarzył ją słonecznym uśmiechem.

Kiedy wyszedł, wstała, zarygłowała drzwi i dodatkowo założyła łańcuch. Poszła do łazienki, aby zmyć go z siebie.

Constance Underwood prawdopodobnie była najbogatszą członkinią Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Duży spadek powiększany był o szczodre miesięczne alimenty od męża. Jej mąż mieszkał na Costa del Sol z włoską panią.

Constance zajmowała elegancki luksusowy apartament w kompleksie Watergate, miała także letni domek w pobliżu Plum Point. Jeździła jaskrawoczerwonym jaguarem XK-E rocznik 1971, a ciuchy kupowała w eleganckich, drogich i modnych butikach na Manhattanie. Zatrudniała na przychodne służącą, a raz w tygodniu zamawiała telefonicznie do domu: fryzjera, manikiurzystkę i masażystę. I Billa.

Wyszła z łazienki w grubym, aksamitnym szlafroku i usiadła przy biurku. Założyła okulary i zaczęła przeglądać papiery z szuflady, dopóki nie znalazła aktualnej listy Zarządu Głównego Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Jedenaście członkiń Zarządu zostało wybranych na czteroletnią kadencję przez wszystkie członkinie NSK. Statut organizacji wymagał, by wszystkie członkinie Zarządu Głównego były przewodniczącymi oddziałów stanowych. Raz na dwa lata zarząd wybierał przewodniczącą. Przewodniczącą Zarządu Głównego mogła zostać nawet szeregową członkini NSK — przynależność do Sprzysiężenia była jedynym warunkiem. Pierwotnie zakładano, że Zarząd Główny będzie kreślił politykę, plany operacyjne, kierunki przyszłych działań organizacji. Do zadań przewodniczącej należało: bieżące kierowanie, administrowanie i wprowadzanie w życie dekretów wydanych przez Zarząd.

Ale sprawy przyjęły zupełnie inny obrót. Członkinie Zarządu Głównego były zajęte sprawami swoich oddziałów stanowych. Stopniowo przewodnicząca skupiła w swoim ręku władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą i stała się urzęd-

nikiem o większym zakresie uprawnień, niż ktokolwiek wcześniej przypuszczał. Na Laurę Templeton jako przewodniczącą nikt nie narzekał. Rządziła mądrze i energicznie, trzymając się zaleceń Zarządu i wprowadzając swoje zarządzenia w dyskretny sposób; brzmiało to zawsze bardziej jak rada czy prośba niż rozkaz. Ale teraz Laura Templeton była umierająca, a jakiś czas, przed śmiercią zapewne nie będzie w stanie wykonywać należycie swoich obowiązków i Zarząd Główny zostanie zmuszony do uwolnienia jej od tego. Następnie wybiorą nową przewodniczącą. Constance Underwood, czterdziestodwuletnia kobieta o niezaspokojonych ambicjach, nie widziała powodów, dla których ten tytuł i związana z nim władza nie mogłyby należeć do niej.

Uważnie studiowała aktualną listę członkiń Zarządu Głównego, przywołując w pamięci wygląd każdej kobiety, jej maniery i upodobania. Stawiała znaczek przy tych osobach, *co* do których była pewna, że poprą jej kandydaturę i aspiracje do schedy po Templeton.

Na cztery mogła liczyć. Trzy były takie, które nigdy nie oddadzą ha nią głosu z powodu osobistych animozji, czy dawnych krzywd, jakich od niej doznały — prawdziwych lub wymaginowanych. Ale pozostawały jeszcze cztery, które była w stanie przeciągnąć na swoją stronę. Ich głosy będą rozstrzygające.

Ze wzrastającym podnieceniem Underwood zaczęła planować kampanię, by wpłynąć na te cztery niezdecydowane: listy, wizyty, telefony, prezenty — wszelkie uprzejmości, jakie im mogła wyświadczyć.

Późno w nocy, kiedy zapełniła już trzy kartki notatkami, usiadła wygodnie i poczęstowała się kieliszeczką likieru cointrau. Była rozbawiona swoim podnieceniem. Pamiętała, co odczuwała będąc z Billym McCrea. Zastanawiała się, czy w jej ambicjach nie ma pierwiastka seksualnego. Myślała jeszcze o tym wszystkim, kiedy kładła się do łóżka. Poduszka ciągle pachniała Billem.

Uśmiechnęła się, zadowolona.

10 marca 1987

Rod Harding służył przez osiem lat w armii Stanów Zjednoczonych, wliczając w to dwa okresy służby w Wietnamie. Nie

podpisał kontraktu na kolejny okres, ale wrócił do domu, do Canton, wstąpił do policji, a za zaoszczędzony żołąd kupił dwurodzinny dom przy Juniper Street. Następnie ożenił się z Ann Turner i zamieszkał w połowie, domu, z osobnym wejściem. Drugą połowę zajęli Luke i Cecily Hardingowie, wiekowi rodzice Roda, którzy uparli się, by płacić cały czynsz.

— I tak wszystko dostaniesz po naszej śmierci — powiedzieli swojemu jedynemu dziecku. — Powinieneś korzystać z życia, póki jesteś młody.

Te połączone, ale jednak oddzielne domy zapewniały zgodne współżycie. Ann była w przyjacielskich stosunkach z teściami, podobnie jak Rod z jej matką.

Przynajmniej raz w miesiącu wszyscy Hardingowie i Turnerowie jadali razem obiad, a niekiedy grywali w bezika.

Wieczorem dziewiątego marca wszyscy jedli obiad w domu Ann. Później ona, Molly i Rod przenieśli się do kuchni, by pozmywać naczynia, zostawiwszy starszych w bawialni, oglądających w telewizji program Bermu Hilla.

— Gdybyśmy mieli zmywarkę — westchnęła Ann, nie po raz pierwszy — raz, dwa, trzy i byłoby pozmywane.

— Przecież masz zmywarkę, kochanie powiedział sierżant Rod Harding, zawiązując w pasie fartuszek. — Mnie.

Wyjął patelnię z pianistej wody i zaczął ją szorować. Z dobrym skutkiem. Po chwili mógł odstawić ją na suszarkę. Molly: wycierała naczynia, a Ann sprzątała resztki. — Te kawałki rozbitej butelki, które wysłaliśmy do Chaleston — zaczął Rod. — Wiesz, znaleziono na nich dwa doskonale odciski i wiele fragmentów, które niestety nie będą nam przydatne. Wielu chłopaków miało w rękach tę butelkę.

— A co z tymi dwoma dobrymi Odciskami? — Molly zażądała wyjaśnień.

— Ha! Sprawdziliśmy je. Jeden należy do Bena Brightcastle, a drugi do Sama Lemsona.

— Mówiłam ci, że to był on — warknęła Molly ze złością. — A może nie pamiętasz?

— Cóż, teraz to wiemy na pewno — stwierdził Harding pojednawczo. — Jasne, jego odciski były na butelce, ale był na niej również odcisk Bena Brightcastle i wielu innych. A jeżeli chodzi o Sama, tego wieczoru kiedy miałyście zebranie, on i jego brat Aaron, a także kilku innych prostaków urządzili wielkie pijaństwo w biurze nad składem drewna Lemsonów. Znasz to miejsce, ten płac blisko rzeki. Sam twierdzi, że butelka przechodziła z rąk do rąk i z pewnością są

na niej jego odciski. Mówi, że balanga skończyła się koło dziesiątej, albo trochę później. Utrzymuje, że on i jego brat zostali w biurze, bo chcieli jeszcze przejrzeć księgi handlowe. Mówi, że Ben Brightcastle i pozostali kumple przynieśli ze sobą kilka butelek, które sami kupili. Przysięga, że on i Aaron pracowali w składzie prawie do północy, a potem położyli się spać w mieszkaniu nad biurem. Widziałem to miejsce, to prawdziwy chlew.

— Gównu! — wybuchnęła Molly. — On kłamie.

— Możliwe — zgodził się Harding. — Ale Aaron twierdzi to samo. I tak samo zeznaje Ben Brightcastle i trzech pozostałych facetów, którzy tam byli. Ben i ta trójka utrzymują, że kiedy popijawa w składzie drewna się skończyła, pojechali do zajazdu „Stagger” na Turnpike i tam jeszcze się dopili. Barman potwierdza, że byli tam tej nocy, ale nie może dokładnie powiedzieć, o której przyszli. Wydaje mu się, że około 22³⁰. Ben i pozostali przysięgają, że nie byli nawet w pobliżu kościoła Unitarian.

— Kochanie — rzekła Ann — dlaczego nie sprawdziłeś, czy któryś z tych bydlaków nie ma strzelby kaliber trzydzieści lub nie jeździ ciemną bagażówką?

— To znakomity pomysł — odpowiedział przedrzeźniając ją. — Ejże dziecinko, myślisz, że jaki ze mnie glina? Oczywiście, że sprawdziłem. Bagażówka Lemsonów jest biała. Obryzgana błotem, ale biała. Ben Brightcastle posiada zieloną, która w nocy może wyglądać na ciemną. Pozostali nie mają bagażówek. Lemsonowie są właścicielami strzelby kaliber dwadzieścia dwa, dwóch dubeltówek i trzech pistoletów. Brightcastle ma mały rewolwer, ale żadnej broni z długą lufą. Jeden z tych facetów przyznaje się do posiadania trzydziestoosmiomilimetrowego browninga i trzydziestodwumilimetrowego karabinu, a na dodatek czterdziestoczwymilimetrowego samopowtarzalnego magnum. Ten gość sam mógłby rozpocząć wojnę. Ale z tego nic nie wynika. Każdy z nich mógł mieć strzelbę kaliber trzydzieści i ukryć ją lub wrzucić do rzeki po tym strzale.

— Co to oznacza? — spytała ze złością Molly. — Czy to koniec dochodzenia? Czy to zamyka sprawę?

Harding wypuścił wodę ze zlewozmywaka, osuszył go i powoli wytarł ręce ręcznikiem. Zdjął fartuszek. Kobiety patrzyły na niego bez słowa, cierpliwie czekając na odpowiedź.

— Cóż — powiedział w końcu. — Śledztwo jest ciągle Otwarte. Jeszcze raz wszystko sprawdzimy i spróbujemy podważyć niektóre alibi. Ale na razie jedynym nie budzącym

wątpliwości dowodem są te dwa odciski palców na odłamkach rozbitej butelki. To jednak nie wystarczy dla sądu. Mamy przed sobą długą drogę, by kogoś zaarrestować w tej sprawie i postawić sprawców przed sądem.

— Rod? — spytała Ann. — Czy uważasz, że Lemsonowie są winni? I być może Brightcastle?

— Z pewnością nie Ben — odparł szybko. — To płaszcząca się mała żmija, ale nie typ, który zdobyłby się na taki wyczyn — otwarcie ognia do bezbronnej grupy kobiet. Nie. Może. i wybrał się na przejażdżkę. Ale wracając do Lemsonów, Sam i Aaron byliby zdolni do czegoś takiego. To bezrozumni szaleńcy, bez żadnych hamulców. Często prowokują burdy po pijanemu, a to pobijają jakiegoś gościa w przydrożnym zajeździe, czy zepchną kogoś, kogo nie lubią, autem z drogi. Marzę, by wsadzić ich obu za kratki na długo. Bardzo długo. Niestety, prawo żąda dowodów, a tych nie mamy.

— Prawo — mruknęła Molly pogardliwie. — Co to za prawo, które pozwala dwóm skurwielom zabić niewinną kobietę i spokojnie chodzić po ulicach.

— Niestety, tak właśnie jest. — Harding wzruszył ramionami. — W końcu dostaną to, na co zasłużyli. Wszystko w swoim czasie. A teraz z innej beczki, co powiecie na to, byśmy dołączyli do starszych w bawialni i przyłączyli się do emocjonującej gry w bezika?

— Beze mnie — powiedziała szybko Molly. — Muszę wracać do domu i pisać listy z podziękowaniami. Rozumiecie sami, wciąż jeszcze nadchodzą telegramy z kondolencjami od członkiń Sprzysiężenia z całego kraju. Staram się odpowiedzieć na nie wszystkie osobiście, ale to ogromna robota.

— Mogę ci pomóc, kochanie — zaoferowała Ann. — Daj mi część, chętnie to zrobię.

— Dzięki, słoneczko — Molly uśmiechnęła się i pogłaskała siostrę po długich kasztanowych włosach. — Ale chcę to zrobić sama. Rod, odwieziesz później mamę do domu?

— Nie ma sprawy.

— Ann, dzięki za jedzonko. Było wspaniałe. Ciągłe jeszcze robisz najlepszą w mieście duszoną wołowinę. A twoje kluseczki w maśle to poezja, mówię ci. Pożegnała się i ruszyła swoim małym czerwonym samochodem marki la car do domu przy Hillcrest Avenue. Włączyła radio w aucie. Akurat Willie Nelson śpiewał „Zostań trochę dłużej”. Ulice miasteczka były opustoszałe i ciche. Bezmyślnie patrzyła na płatki śniegu wirujące w świetle ulicznych kitami i samochodowych reflektorów.

Znalazłszy się w domu, poszła prosto do pokoiku w piwnicy i wyjęła z szafy stary rewolwer ojca. Odwinęła go z zapuszczonego ręcznika, włożyła broń do torebki przewieszanej przez ramię i wyszła z domu. Upewniła się, czy drzwi wejściowe są zamknięte i zapaliła żarówkę nad gankiem.

Wszystkie jej działania od momentu opuszczenia domu Ann były prawie automatyczne. Czuła się jak aktorka, grająca już przedtem wiele razy tę samą rolę. Żadnych zbędnych ruchów, żadnych zbędnych pytań o motywacje, czy obaw, że się nie uda.

Jechała ulicami oczyszczonymi już przez pług, ale śniegu jeszcze nie uprzątnięto z poboczy. Na czystym niebie wisiał cytrynowy księżyc. Nie zabrało jej wiele czasu odnalezienie River Street. Przejechała ulicą na południe, aż do składu drewna Lemsonów. Wolno przejechała obok.

Na końcu ulicy zawróciła i znów przejechała obok składu. Teraz dopiero zauważyła biuro, z którego spoza zaciągniętych zielonych zasłon sączyło się światło.

Zaparkowała auto dwie przecznice dalej, w cieniu domu towarowego, i pieszo ruszyła z powrotem. Jej kroki skrzypiały na śniegu.

Przystanąła po drugiej stronie River Street i przez dłuższy czas patrzyła w oświetlone okna biura. Nie czuła Zimna. Od czasu do czasu widziała cienie poruszające się na tle stor. W środku było dwóch, a może więcej ludzi, ale to nie miało znaczenia.

Była obojętna, nie odczuwała nic specjalnego. Żadnej hysterii, żadnego wzruszenia, żadnego gejzeru skrępow.

Tylko trawiący gniew. Miała zadanie do wykonania. Nie wahała się. Zanurzyła dłoń w torebce i zacisnęła palce na kolbie rewolweru...

Wtem ktoś z tyłu oparł rękę na jej ramionach. Zachwiała się. Ręka Roda Hardinga ześliznęła się do jej nadgarstka i wyciągnęła jej dłoń z torebki.

— Co ty, idiotko, do diabła, chcesz zrobić? — spytał gniewnie.

— Ja tylko... — zaczęła.

— Wiem, co ty tylko — powiedział wściekłym głosem. — Dalej, idziemy. Ścisnął jej ramię tuż nad łokciem tak mocno, że nawet przez rękaw futrzanej kurtki poczuła ten uścisk. Bolało. Prowadził ją ulicą na południe. Minęli kilka domów, aż doszli do miejsca, w którym zaparkował przy krawężniku swojego pięcioletniego buicka regal. Otworzył drzwi i wepchnął ją na miejsce pasażera. Sam usiadł za kierownicą.

Przekręcił kluczyk, zapalił silnik, opuścił na cal okienko i włączył ogrzewanie.

— Nie masz prawa... - zaczęła niepewnie.

— Zamknij się.

Złapał torebkę i wyjął stary rewolwer. Obejrzał go dokładnie w górnym świetle.

— Pięknie — powiedział. — Ostatnio strzelano z niego w bitwie pod Buli Run.

Chciałaś z tego strzelać? Tu są odciski twoich palców, całej dłoni, a być może i twarzy.

— Nic mnie to nie obchodzi — stwierdziła. — Po prostu nic mnie to, nie obchodzi.

— Zgłupiałaś do reszty?

— Skąd wiedziałeś, że tu będę? — zapytała. Zamyślił się na chwilę.

— To był pomysł Ann — rzekł w końcu. — Kazała mi cię śledzić. Powiedziała, że od śmierci Normy Jane nie zachowujesz się normalnie.

— Nie sądziłam, że to się rzuca w oczy — stwierdziła ponuro.

— Ja nic nie zauważyłem, ale Ann tak. Na litość boską, ona przecież jest twoją siostrą. I miała rację.

Zrobiłabym to — powiedziała Molly buntowniczo—gdybyście oboje do tego się nie wtrącili.

— Jasne, i po godzinie byłabyś za kratkami. Powiem ci, jakie popełniłaś błędy.

Jechałaś przez miasto tym czerwonym cackiem jak na parady. Ludzie od czasu do czasu spoglądają przez okno, wiesz o tym, nawet o późnej porze. Potem przejechałaś dwa razy obok składu drewna, i to bardzo powoli. Myślisz, że to było przebiegłe? A jak chciałaś wejść do biura Lemsonów? Zapukać do drzwi i powiedzieć „cześć chłopcy”? Co byś zrobiła, gdyby cinnie otworzyli? Przestrzeliłabyś zamek w drzwiach?

Milczała.

— Cholerny amator — burknął. — Nie masz zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Pochylił się nagle w jej kierunku i cmoknął ją w policzek. Ze schowka na rękawiczki wyjął paczkę papierosów. Przez chwilę palili w milczeniu, spoglądając przez szyby samochodu.

— Sami wymierzmy sprawiedliwość — zaczął ostrożnie. — Ale nie od razu. Nie chcemy przecież spędzić reszty życia w kiciu, prawda? ,

— My? — spojrzała na niego zdziwiona. — Powiedziałeś my? Czy to znaczy, że mi pomożesz?

— Jasne. Pomogę — mruknął gburowato. — Myślisz, że jakiego rodzaju człowiekiem jestem?

14 marca 1987

Lemuel K. Dundee był członkiem Senatu Stanów Zjednoczonych od dziewiętnastu lat. Przez ostatnie siedem lat pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Senackiej do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Ciągłe kierował tą komisją, ale mogło to się zmienić po wyborach w 1988 roku.

Przez ostatnie dwa tygodnie Komisja ożywiła Waszyngton burzliwą debatą nad ustawą o wyasygnowaniu prawie dwóch miliardów dolarów na rozwój badań nad trzecią generacją pocisków typu „cruise”. Komisja równomiernie podzieliła się na dwa obozy, a polityczni komentatorzy byli zdania, że rozstrzygnięcie zależy od wyboru i wpływów przewodniczącego Komisji, senatora Dundee.

Senator nie ujawniał publicznie, po której stronie się opowie, chociaż poinformował o swoich planach kilku najbliższych współpracowników. Ale dwunastego marca „Washington Post” napisał, że senator poprze tę kontrowersyjną ustawę.

To było prawdziwe stwierdzenie. Dundee wpadł w furję. Ogromnie się starał, by nie dotarły do mass mediów żadne informacje o jego planach. Ten przeciek musiał pochodzić z jego biura, ale od nikogo ważnego. Był zdecydowany odkryć to źródło. Senator wezwał do siebie Thomasa J. Kealy'ego, swojego asystenta, który kierował biurem senatora, zatrudniającym pięćdziesiąt osiem osób, i był odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne. Kealy otrzymał zadanie natychmiastowego ustalenia zdrajcy. Rankiem czternastego marca stanął przed ogromnym rzeźbionym, dębowym biurkiem w prywatnym biurze senatora, w gmachu Harta, zajmowanym przez biura Senatu.

Lemuel K. Dundee wyglądał na właściwego człowieka w tym wysokim, bogato umeblowanym pokoju. Wszystkie antyki były jednak nieprawdziwe, sztuczne, i taki też był Dundee. Jego gęsta grzywa siwych włosów, mięsista rumiana twarz i tubalny głos i wdzięk tak urzekający jak wdzięk niedźwiedzia przywodziły na myśl senatorów, którzy w dawnych czasach pertraktowali z Indianami.

— No i co, Tom? — zagrzemiał Dundee. — Znalazłeś tego skurwiela, który nas zdradza?

— Tak, sir — odpowiedział Kealy, poprawiając na nosie okulary w rogowych oprawkach. Ciemne włosy miał starannie wyszczotkowane. — To pan. Senator spojrział na niego i pochylił się do przodu w swojej ulubionej postawie. Dłonie oparł na blacie biurka.

— Co? — ryknął. — Co za bzdury mi tu pieprzysz?

— Nie, sir. To nie są żadne bzdury — ciągnął cierpliwie Kealy. — Jedenastego marca jadł pan późny lunch z senatorem Hufnagle w „Le Gre”...

— I to on wypaplał wszystko „Postowi”? Urwę mu jaja!

— Senator Hufnagle dochował tajemnicy. To kelner zdradził. Podawał zupę cebulową, kiedy mówił pan o tym Hufnagle'owi. Podszedł i natychmiast pobiegł do telefonu. Zapłacono mu za tę informację.

Dundee zabębnił palcami o blat biurka, odchylił się do tyłu i ryknął rubasznym śmiechem, potrząsając przy tym swoją lwią grzywą. Wielkimi pięściami otarł płynące z oczu łzy.

— Cholera — rzekł w końcu. — Taki szczwany lis jak ja został wyprowadzony w pole przez takiego mamuciego wypierdka. To miasto to same języki i uszy. Powinienem był to przewidzieć.

Kealy zgodził się z tą sugestią, ale nie powiedział tego głośno.

— Cóż, do diabła, to mnie nie wykończy—senator wciągnął głęboko powietrze. — Usiądź na minutę, Tom, jest coś, o czym chciałbym z tobą pogadać.

Kealy ruszył w stronę klubowego fotela stojącego na wprost biurka senatora.

Dundee wstał i podszedł do okna. Spojrział na nieciekawy widok. Przez chwilę stał z rękoma w kieszeniach spodni, plecami odwrócony do Kealy'ego.

— Czy się nudzisz? — zapytał nagle senator. — Mam na myśli pracę.

— Czasami — odparł Kealy.

— Ja również, i to coraz bardziej. Wydaje mi się, że to, co robię, to te same bzdury na okrągło, rok po roku. Dyskusje, przetargi, przekraczanie budżetu, obcinanie budżetu, te wszystkie walki podjazdowe z dziennikarzami i spotkania z wyborcami. Wpadłem w rutynę. Przestało mnie to bawić.

— Może potrzebne są panu wakacje, sir.

Dundee odwrócił się powoli i spojrział na swojego asystenta.

— Nie, Tom. Nie sądzę, by wakacje pomogły. Po prostu

muszę się oderwać od tego gówna. Myślę, że to, czego mi potrzeba, to nowe zajęcie. Coś, co by mnie pobudziło i pozwoliło wykorzystać moją energię. Do diabła, przecież jeszcze jestem dość młodym facetem. Nie chcę iść na emeryturę.

— Może przywództwo naszej partii w Senacie? — spytał Kealy.

— Nie mam szans. Narobiłem sobie zbyt wielu wrogów, a ci liberałowie z północy, pozbawieni mózgów, wciąż myślą, że jestem zwolennikiem linczowania czarnych i podporządkowania interesów kraju przemysłowi naftowemu. To, co mam teraz na myśli, to gra o wszystko. Co o tym myślisz?

— Prezydentura? — Kealy spojrział na niego pytająco.

— To wielkie uderzenie—Dundee skinął głową.—Oczywiście, nie w przyszłym roku. Za późno, ale 1992? Sądziś, że mam szansę?

— Każdy ma szansę — powiedział Kealy ostrożnie.

— Nie wygłupiaj się, Tom, przestań się czaić i powiedz szczerze, co o tym sądzisz. Jesteś pierwszą osobą, której o tym wspomniałem. Nawet Marta nic nie wie. Spójrz, dziewiętnaście lat temu przyszedłem do Senatu, prawnik, biedny jak mysz kościelna, wybrany fuksem, przyznaję to. Ludzie na mnie nie głosowali, głosowali przeciwko mojemu kontrkandydatowi. W czasie kampanii ten dureń był na tyle głupi, by ogłosić, że jego żona wnosi sprawę o rozwód. To była jego polityczna śmierć, a ja znalazłem się w Waszyngtonie. Nie Zabrało mi wiele czasu, aby odkryć, że politycy, którzy odnoszą sukcesy, przycinają swoje zasady na miarę swoich ambicji. Tak samo i ja zrobiłem. Uważam, musisz to zresztą sam przyznać, że mam nieskazitelnie czystą przeszłość. Przeciągnąłem na swoją stronę trochę czarnych, kobiety, emerytów, Indian, robotników, posiadaczy broni, lekarzy, ludzi wielkiego biznesu, tych od ochrony środowiska i parę innych grup, które niewiele znaczą, ale chcą postawić swoje pieniądze na odpowiedniego kandydata. Jestem gotów ubiegać się o fotel prezydenta i sądzę, że mam szansę. Popelniałem błędy, jak każdy, ale nie duże.

— Brak mi kontrargumentów, senatorze, ale...

— Ale co?

— Jakby to powiedzieć, nie należy pan do polityków znanych na krajowej arenie. Owszem, znają pana w Waszyngtonie, w Kongresie, w środkach masowego przekazu — jako ciężko pracującego człowieka o dużych wpływach i bardzo skutecznego — ale nie jest pan znany w kraju. Możemy zamówić sondaż na temat znajomości pańskiego nazwiska i twarzy

wśród wyborców, jeżeli pan chce, ale osobiście nie radziłbym tego.

Dundee uderzył mięsistą dłońią o blat biurka.

— Tak, masz absolutną rację. Mam wszystko, czego potrzebuje kandydat na prezydenta. Potrafię przemawiać tak dobrze, jak nikt inny w Kongresie, mam żonę, która chodzi do kościoła, trójkę fotogenicznych dzieci i dwoje sympatycznych wnucząt — te małe bękarty! Moja przeszłość jest czysta jak łąza, a mój wybór do Senatu był tak przekonujący, jak nikogo innego. Ale masz stuprocentową fację, do diabła. Niewielu ludzi w tym kraju wie, kim jestem. Tom, potrzebuję wypłynięcia na zewnątrz, wielkiego uderzenia, czegoś, co sprawiłoby, że moje nazwisko i fotografia znalazłyby się w każdej gazecie, w każdych wiadomościach telewizyjnych w całym kraju. Potrzebuję czegoś takiego, jak... jak... jak to nazwać? Coś na kształt wielkiego programu, czy projektu...

— Krucjaty?

— No właśnie! — wykrzyknął Dundee, znowu waląc dłońią w biurko. — Potrzebuję dużej, cholernej krucjaty, Czegoś zupełnie nowego i innego niż dotychczas. Czegoś, co zrobi mnie sławnym, kimś, o kim się mówi. Spójrz, co'ta zorganizowana banda kryminalistów od przesłuchań zrobiła Kefauverowi. Tom, wiem, że jesteś mądrym chłopcem. Pomyśl nad tą sprawą i zobacz, czy możesz wymyślić jakąś mocną, oryginalną krucjatę dla mnie. Mamy ponad trzy lata, by uczynić nazwisko Lemueht K. Dundee znanym w całym kraju, w każdym z pięćdziesięciu stanów i być może w całym tak zwanym cywilizowanym świecie. Jeżeli tego nie dokonamy, mogę zapomnieć o Białym Domu i zacząć dziergać na drutach. Zajmiesz się tym?

— Oczywiście, panie senatorze. Zrobię wszystko, co możliwe. -

— Dobry chłopiec. I nie muszę ci chyba powtarzać, że jeżeli zdecyduję się, zajmiesz kluczowe stanowisko w mojej kampanii.

— Doceniam to, sir.

— Wiem, że nie muszę ci tego przypominać, ale pamiętaj, ani słowa nikomu, a szczególnie miej się na baczności przed kelnerem w „Le Gre”.

Obaj mężczyźni roześmiali się serdecznie. Kealy podniósł się i ruszył do drzwi, ale odwrócił się przy nich i powiedział:

— Senatorze, dowiedziałem się ostatniej nocy czegoś, co może pana zainteresować. Słyszał pan o Narodowym Sprzysiężeniu Kobiet?

— Oczywiście — rzekł Dundee. — One przywodzą mi na myśl wrzód na dupie. To najbardziej wytrwała i najbardziej nieznośna grupa nacisku, z jaką miałem kiedykolwiek do czynienia.

— Mhm, takie jest właśnie NSK — stwierdził Kealy. — Dowiedziałem się zeszłej nocy, że wkrótce będą miały nową przewodniczącą. Moje informacje pochodzą z wiarygodnego źródła. Nie wiem, w jaki sposób może to pan wykorzystać, ale ostatnio dużo się o nich pisze w gazetach w związku z tym zabójstwem w Zachodniej Wirginii.

Senator zastanawiał się przez chwilę, ale przecząco pokręcił głową.

— Ja również nie wiem, co mógłbym zrobić z tą informacją. Ale nigdy nic nie wiadomo. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Kto zostanie ich nową szefową, jakich ma przyjaciół i wrogów, czy to oznacza zmianę polityki NSK, i tak dalej.

— Dobrze, spróbuję. Ale będę myślał też o pańskiej kampanii.

— Mojej krucjacie — poprawił go Dundee, smakując to słowo.

— Tak, sir — powiedział jego asystent wystarczająco szybko, z kamiennym wyrazem twarzy.

Thomas J. Kealy był synem dawnego wspólnika senatora Dundee, również prawnika. Kealy skończył studia prawnicze, ale dwa razy oblał egzamin adwokacki, więc jego ojciec załatwił mu pracę w biurze senatora. Tom przeniósł się do Waszyngtonu i znalazł mieszkanie w Georgetown. Zaczął pracę jako facej na posyłki senatora Dundee, potem został rzecznikiem prasowym i ekspertem od wyborów, a w końcu otrzymał nominację na osobistego doradcę. W biurze senatora było jeszcze czterech innych doradców. Zajmowali się: ustawodawstwem, kontaktami z wyborcami, badaniami opinii publicznej i sponsorowaniem kampanii wyborczej.

Thomas Kealy ciężko pracował na stanowisku szefa biura senatora i jego powiernika. Pracował przez długie godziny bez narzekania. Jego lojalność nigdy nie zachwiała się, z czasem stał się przebiegłym i zręcznym graczem, co Dundee łubu i wysoko cenił.

W czasie bezustannej pracy i awansów Kealy znalazł czas, aby ożenić się z Teodorą Birnbaum, jedynym dzieckiem emerytowanego pułkownika Armii Amerykańskiej. Senator Dundee pochwalał to małżeństwo, bo w tym czasie miał trochę kłopo-

tów z żydowskim lobby, po głosowaniu nad zredukowaniem subwencji dla Izraela. W dwa lata po wydaniu córki za męża pułkownik Birnbaum i jego żona zginęły w katastrofie samolotowej w Pirenejach. Ich jedyne dziecko odziedziczyło wszystko, łącznie z milionem dolarów w obligacjach wolnych *od* podatku i wspaniałym domem w Alexandrii, w którym teraz mieszkali państwo Kealy, chociaż Tom zatrzymał mieszkanie w Georgetown; na te noce, kiedy nawał zająć W Waszyngtonie nie pozwalał mu na powrót do domu.

Kealy ożenił się z Dori, bo uważał, że jest ona najładniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Miała tylko pięć stóp wzrostu i wspaniałe cycki, nosiła wstążki we włosach, rumieniała się i rozprawiała całymi godzinami o roślinach doniczkowych. Kealy'emu wydawała się cudowna.

Po pięciu latach bezdzietnego małżeństwa Thomas odkrył, że uroda Dori zaczyna więdnąć. Ich dom w Alexandrii zapełniła psami, kotami, tropikalnymi rybkami i egzotycznymi ptakami. Wybudowała małą stajnię dla ochwaczonego wałacha. Hodowała w domu tyle roślin, iż niekiedy Kealy odnosił wrażenie, że mieszka w puszczy brazylijskiej.

Mniej więcej w tym samym czasie odkrył, że zainteresowania intelektualne jego żony nigdy nie wyszły poza powieści Barbary Cartland i malarstwo Normana Rockwella. Thomas J. Kealy dokonał również innego odkrycia, a mianowicie, że znajduje większą przyjemność w kontaktach intymnych z mężczyznami niż z kobietami.

Jego pierwsze homoseksualne doświadczenie miało miejsce na party w Georgetown, a on ówczesną swoją „kłęskę” uzasadniał tym, że był pijany.

Powodzeniem randki kończyły się wtedy, kiedy był trzeźwy. Zaakceptował swoje szczególne upodobania bez poczucia winy czy wstydu. Coraz częściej także sypiał w mieszkaniu w Georgetown. Jego żona współczuła mu, ale nie robiła wymówek. — Pracujesz zbyt ciężko, Tommy — sepleniała drobnymi usteczkami. I to było wszystko.

Jeżeli senator Dundee nauczył się przykrawać swoje zasady na miarę swych ambicji, Kealy nauczył się przykrawać swoje potrzeby seksualne. Wiedział, że stosunki pozamałżeńskie — gdyby wyszły na jaw — naraziłyby na szwank jego karierę zawodową. A on naprawdę nie życzył sobie trwałych związków emocjonalnych z partnerami łóżkowymi. Z wyrachowaniem nazywał to „roztropnością”.

Miał kilka nieudanych romansów, ale w końcu poznał Billa McCrea.

Tej nocy, czternastego marca, Kealy i Billy zjedli lekki posiłek i wypili butelkę markowego wina w mieszkaniu w Georgetown. I poszli do łóżka. Billy zapracował na swoje honorarium.

Później, obserwując jak młody człowiek się ubiera, Thomas Kealy myślał o swoim wielkim szczęściu. Młodzieniec, chociaż był głupi, wydawał się zadowolony z zapłaty i prezentów, jakie ótrzymywał, i nigdy nie żądał uroczystych zapewnień o dozgonnej miłości. Traktował ich związek jako coś pokrewnego między stosunkami lekarza i pacjenta. Były przyjacielskie, ale bez zbytniej poufałości.

Właśnie tak, jak życzył sobie Kealy.

Ale czy naprawdę? Chłopak był tak doskonałym dziełem sztuki, że Thomas miałby ochotę na prawdziwe głębokie uczucie, takie, jakiego dotąd nie przeżył. Nie miał jednak na to szans.

— Billy — powiedział porzucając te myśli. — Ta kobieta, o której mi opowiadałeś, no wiesz, ta, która zamierza zostać przewodniczącą tej organizacji kobiecej...

Widziałeś się z nią ostatnio?

— Jutro — rzucił McCrea, wkładając kaszmirowy sweter, który podarował mu Kealy. — Jutro jest jej dzień. Zawsze przedtem dzwoni do mnie i umawiamy się na wieczór.

— Jest chociaż miła?

— Ha! Jest wyrachowana, zimna jak gład. Prawdziwa, pozbawiona skrupułów dama. Dla mnie jest miła, ale nie chciałbym u niej pracować. Uważam, że może zostać szefem. Możesz to sobie wyobrazić?

— Prawdopodobnie przewróci biuro do góry nogami, kiedy zostanie przewodniczącą.

— Być może — odparł McCrea obojętnie.

Billy, mam przyjaciela dziennikarza, który zajmuje się ruchem feministek i polityczną działalnością kobiet. Płaci za informacje. Jeżeli dowiesz się czegoś, no wiesz, o planach twojej klientki, mogę się założyć, że wpadnie ci kilka niezłych zielonych.

— Nie żartujesz? Zielone zawsze się przydadzą. Chcę kupić porządny srebrny serwis do herbaty.

— To nic takiego, co mogłoby zaszkodzić tej pani — ciągnął Kealy poważnie.

Obiecuję ci, że ona nigdy się nie dowie, skąd mój przyjaciel czerpie te wiadomości.

— W porządku — powiedział McCrea. — Zobaczą, co się da zrobić.
— Nie pytaj jej wprost - ostrzegł Kealy. — Pozwól jej mówić, a ty tylko słuchaj.
— Jasne. To mogę zrobić. Spotkamy się w piątek?
— Zadzwoń do ciebie.
— Dobra. Do zobaczenia.

22 marca 1987

Małe ładunki zapalające eksplodowały równocześnie około 3³⁰ nad ranem. Ożywiły wijącą się ścieżkę nafty rozlaną dokoła zabudowań tartaku i na sagach drewna. W ciągu kilku minut skład drewna Lemsonów płonął niczym pochodnia. Płomienie odbijały się w ciemnej rzece, a luna rozjaśniła zachmurzone niebo.

Samuel i Aaron Lemsonowie przebudzili się z pijackiego snu, w mieszkaniu nad biurem. Podbiegli do okna i zobaczyli ogień, podsycany porywistym wiatrem, trawiący cały ich dobytek. Sam złapał słuchawkę, ale telefon milczał.

Obaj mężczyźni, ubrani tylko w długie kalesony, wpadli na schody prowadzące do biura na dole. Rzucili się do drzwi, frontowych, Aaron zrobił tylko dwa kroki.

Potknął się o drut rozciągnięty tuż nad schodami. Wybuch, jaki nastąpił, zabił natychmiast obu Lemsonów, rozrzucając dokoła ich rozerwane na strzępy ciała.

W czasie eksplozji Molly Turner siedziała ze swoją siostrą i szwagrem w ciemnej bawialni w domu Ann. Byli zbyt daleko, by usłyszeć odgłosy wybuchu, ale około 3⁴⁵ usłyszeli odległe wycie syren wozów strażackich i policyjnych.

— Stało się — stwierdził sierżant Rod Harding. — Zobaczycie, że za piętnaście minut albo coś koło tego, zadzwonią do mnie, żebym tam pojechał. Będą potrzebowali każdego osiągalnego policjanta.

— Rod, skąd zdobyłeś te wszystkie materiały? — spytała Molly.

— Większość z policji — uśmiechnął się spokojnie. — Były zamknięte w komendzie. Mamy takie specjalne pomieszczenie w piwnicy, a w nim -szafę. Jest tam wszystko: materiały skonfiskowane przy aresztowaniach, przedmioty zrabowane w czasie napadów, dowody rzeczowe, rzeczy zgubione i znalezione, i tak dalej. Mamy dynamit, trotyl, zapalniki, broń,

amunicję, narkotyki, a nawet przemycany alkohol. A drzwi nie są zamknięte, możesz to sobie wyobrazić?

— Żadnej inwentury? — spytała Molly.

— Przypuszczalnie była jakaś, ale spis gdzieś wsiąkł... albo trochę go poprawiłem. Wkrótce znajdą jakieś kawałki i strzępy, lonty, mechanizmy zegarowe i będą zastanawiać się, skąd pochodzą, ale nikomu nie wpadnie do głowy, że z policyjnej szafy. Na ślady drutu i nafty nigdy nie trafią, a pozostałe mątenały każdy mógł zdobyć. Jesteśmy poza podejrzeniami.

— Jesteś pewien, kochanie? — spytała Ann nerwowo.

— Oczywiście — odpowiedział, odnajdując jej dłoń w ciemności. — Nie mamy się czego obawiać - A już na pewno nie ty i Molly. Nikt nie uwierzy, że kobiety potrafią założyć kilka zapalników i sprytnie je połączyć.

— To nie o Molly, czy o siebie się martwię, martwię się o ciebie.

— Nie musisz, słoneczko — powiedział lekceważąco. — Upewniłem się, że nikt nas nie widział idących, czy stamtąd wracających. To było jak w Wietnamie. Sądzę, że nigdy nie zapomnę sztuczek, jakich się tam nauczyłem.

— Nie mogę przestać myśleć, że mogliśmy to załatwić inaczej - stwierdziła Ann.

— Żałujesz ich, prawda? — spytała Molly.

— Nie, ale...

— Słuchaj, dziecinko — zaczął Harcing łagodnie. — Jeżeli to przyniesie ci ulgę, to powiem ci, że to była ich wina. Przycisnąłem Bena Brightcastle i w końcu pękł. Powiedział, że w noc zabójstwa Normy Sam i Aaron Lemsonowie opuścili tę pykakajmpreżę, by kupić więcej trunków. Wzięli ze sobą jedną z *tych* do połowy opróżnionych butelek. Pożyczyli bagażówkę od brightcastle'a, bo w swojej mieli niewiele paliwa. Kiedy wrócili, byli bardzo podnieceni i opowiedzieli pozostałym co się wydarzyło. Aaron siedział za kierownicą, a Sam strzelał ze strzelby, którą kupił od farmera mieszkającego niedaleko Kayenswood. Lemsonowie powiedzieli reszcie kumpli co mają mówić, gdyby ich wezwano na przesłuchanie. A Sam pochwalił się, że wrzucił strzelbę do rzeki. Brightcastle powiedział mi to wszystko i ja mu wierzę.

— To dlaczego nie zaarrestowałeś Lemsonów? — spytała

— Bo Ben stwierdził, że odmówi zeznań, albo skłamię i zezna, że o niczym nie wie. Powiedział, że gdyby musiał zeznawać do protokołu, bałby się zemsty Lemsonów, mogliby go nawet zabić. Zrobiliby to. To byli Źli ludzie, kochanie.

i dostali to, na co zasłużyli. A teraz zobacz, czy nie mogłabyś podać nam po szklaneczce brandy. Sądzę, że wszystkim nam dobrze zrobi. Po chwili słyszeli jej krzątanie w kuchni.

— Hej! Szwagrze, a teraz powiedz prawdę — szepnęła Molly. — Czy rzeczywiście Ben Brightcastle powiedział ci to wszystko?

— Nie — tak samo cicho odpowiedział Rod. — Trochę sam wymyśliłem, ale musiałem przekonać Ann, że Lemsonowie byli winni. Ona nie jest taka twarda, jak ty, czy ja...

— Masz rację — stwierdziła Molly. — Rod, czy nauczysz mnie posługiwać się bronią?

— Jasne. I jak zakładać ładunki wybuchowe?

— Tak — nie wahała się ani przez chwilę. — I jak zakładać ładunki.

Eksplozja w składzie drewna i śmierć braci Lemsonów powszechnie uznano za iskrę, która wyzwoliła konflikt. Oczywiście, było i wiele innych czynników, które sic do tego przyczyniły.

W 1987 roku ruch feministyczny praktycznie znalazł się w martwym punkcie.

Założycielki Narodowego Sprzysiężenia Kobiet orzekły, że organizacje kobiece, usiłujące współpracować z istniejącą władzą legalnymi sposobami, zostały do niej dokooptowane, stały się kolejną mniejszością, pokładając swoje zaufanie w grupach nacisku i całostronicowych reklamach w „New York Timesie”.

Rewolucyjny zapal młodych kobiet wyraźnie osłabł, wydawały się zadowolone z połowicznych sukcesów. Także warunki ekonomiczne poprawiły się po recesji z lat 1981—1983, tuzro-sło zatrudnienie. Coraz mniej było kobiet chętnych do aktywnego uczestnictwa w protestach, pikietach, czy chociażby do opłacania różnych kampanii feministek. —

Czynnikiem rzadko wymienianym był fakt, że do roku 1987 aktywistki w walce o równouprawnienie kobiet z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zestarzały się, ich chęć walki osłabła, a pewność siebie zniknęła w wyniku tuielu niepowodzeń. Nagłówek w „Chicago Tribune” z jedenastego grudnia 1986 roku grzmiał: „Co się stało z feministkami?”

Ale dyskryminacja nadal istniała w 1987 roku. Średnia płaca kobiet była dużo niższa niż mężczyzn i stała w miejscu od dziesięciu lat. Liczba maltretowanych żon i napaści seksualnych ciągle wzrastała. Udział kobiet we władzach ogólnie

krajowych, stanowych i lokalnych pozostawał śmiesznie niski, zważywszy na przewagę kobiet w całej populacji.

Należało coś zrobić, nikt nie miał co do tego wątpliwości. I trzeba było zrobić więcej niż dotychczas. Należało ulagodzić młode kobiety pałające świętym oburzeniem. Korzystające ze zdobyczy wywalczonych przez poprzednie pokolenia feminir stek, najmłodsze pytały „, Czy to wszystko?” i szydziły z liderek, które prowadziły gierki -polityczne i często szły na kompromis. W 1987 roku ujawniła się nowa klasa kobiet o poglądach rewolucyjnych. Wiele z nich nie potrafiło wyartykułować swoich pragnień, przepelnionych niesprecyzowanymi tęsknotami, i liczyło na pojawienie się przywódczyni, która poprowadziłaby je do zwycięstwa.

Zastrzelenie Normy Jane było jednodniową sensacją, która szybko, zniknęła z pierwszych stron gazet, ale morderstwo Samuela i Aarona Lemsonów na nowo pobudziło zainteresowanie Narodowym Sprzysiężeniem Kobiet. Dziennikarze prasowi i telewizyjni łączyli to zabójstwo ze śmiercią Normy Jane. Ludzie zaczęli mówić o NSK, a młode rewolucjonistki uznały, że znalazły to, czego tak długo szukały.

Analiza doniesień prasowych z wiosny i lata 1987 roku ukazuje powolny, ale niewątpliwy wzrost przemocy.

W Santa Monica w Kalifornii grupa młodych członkiń NSK zaatakowała oskarżonego o gwałt osobnika, który wynurzył się z gmachu sądu, po tym, jak orzeczono jego niewinność. Został tak ciężko pobity kijami i patkami, że przez trzy miesiące leżał w szpitalu,

W Indianapolis, w Indianie, stacja benzynowa, należąca do podejrzanego o seksualne wykorzystywanie dzieci, została podpalona i zniszczona.

W Hartford, w Connecticut, właściciel księgarni sprzedającej pornografię został wywleczony ze swojego sklepu, rozebrany do naga i przepędzony główną ulicą miasta. Po drodze obrzucono go zgnitymi owocami.

Lokalne koła NSK przyjmowały odpowiedzialność za te incydenty i wiele innych: Kilka kobiet aresztowano, ale żadnej nie postawiono w stan oskarżenia.

W Canton, w Zachodniej Wirginii, Molly Turner została wybrana na przewodniczącą koto NSK, obejmując kierownictwo po Normie Jane. Tchnęła w swoje koto nowe życie.

Tok jak sierżant Rod Harding wywróżył, śledztwo prowadzone po zamachu na skład drewna i braci Lemsonów utknęło w martwym punkcie. Chociaż dowody były niewystarczające, by wnieść oskarżenie, mieszkańcy Canton, jak

to bywa we wszystkich małych miasteczkach, wiedzieli, czyja to sprawa. Ich opinia o wzrastającej wojowniczości miejscowego koła NSK potwierdziła się, kiedy pod koniec kwietnia Molly Turner ze swoją hałaśliwą grupą urządziła pikietę pod kuratorium oświaty, które lekceważąco odmówiło dziewczętom zezwolenia na ubieganie się o miejsce w drużynie lekkoatletycznej cantońskiego liceum. W efekcie urzędnicy zostali uwięzieni w budynku kuratorium przez członkinie NSK na całe sześć godzin. Wysiłki władz lokalnych, by ich uwolnić, zakończyły się sukcesem dopiero wtedy, kiedy dyrektor kuratorium zgodził się na dyskusję na forum publicznym.

Molly Turner przysłała na to zebranie w gronie wielu członkiń i sympatyczek NSK. Mówiła ze swadą i elokwentnie, pobudzając swoje zwolenniczki do gromkiego entuzjazmu. Pod koniec zebrania kuratorium przegłosowało prawo dziewcząt do sportowego współzawodnictwa stosunkiem głosów osiem do siedmiu.

Dwa dni potem, późnym wieczorem, dom przy Hillcrest Avenue został zaatakowany przez grupę zamaskowanych mężczyzn, którzy porozbijali kamieniami szyby, obrzucili budynek zgniłymi owocami i posmarowali ściany ptasim gównem.

W tydzień po tym zdarzeniu pod zajazd „JStagger” przy Turnpike, spelunkę pełną facetów podejrzanych o udział w ataku na dom Turnerów, podłożony został ładunek zapalający i zajazd spłonął doszczętnie. Trzech mężczyzn odniosło poważne obrażenia, a jeden z nich zmarł w szpitalu na skutek odniesionych ran.

Pastor z Canton błagał o zaniechanie tej bezsensownej walki.

Ale bez efektów.

6 maja 1987

Virginia Terwilliger, baba — piec, była przewodniczącą oddziału stanowego w Maryland i członkinią Zarządu Głównego NSK.

Wyglądała na rasową lesbę, ale od czternastu lat była szczęśliwą mężatką i matką trojga dzieci. Zawsze była osobą władcą i rodzinę trzymała krótko. Lubiła dobrze zjeść, wypić, komenderować i uwielbiała intrygi.

Zadzwoiła do Constance Underwood ze swojego domu w Baltimore i tubalnym głosem, który ktoś kiedyś nazwał „dudni, jak z grobu” oznajmiła:

— Connie, jutro przyjeżdżam do Waszyngtonu i chce się z tobą spotkać.

To był rozkaz.

— Nie widzę przeszkód — odpowiedziała Underwood — Zjemy razem lunch?

— Jasne, w takim miejscu, gdzie serwują dobre martini. Zadzwoję do ciebie po przyjeździe, ale nic nie mów Laurze o naszym spotkaniu, dobrze?

— W porządku — zgodziła się bez wahania Constance. — Nic jej nie powiem. Do zobaczenia jutro, Ginny.

Wiceprzewodnicząca NSK zwykle zapraszała zamiejscowych gości do Klubu Waszyngtońskiego, który z reguły robił na nich duże wrażenie. Ale wiedziała, że Virginia Terwilliger nie jest czuła na taki rodzaj psychicznych nacisków. Connie zarezerwowała stolik w nowej restauracji w Chinatown, której specjalnością były kacze piersi w imbirowym sosie.

Obie kobiety zamówiły kaczkę, a przedtem wypiły po dwa martini na pobudzenie apetytu. Ginny zamówiła puchar krewetek, które maczała w chińskiej musztardzie. Nie miało to dostrzegalnego wpływu na jej cerę.

— Słuchaj — powiedziała, kiedy już podano kaczkę z ryżem. — Co się dzieje z Laurą? Rozmawiałam z nią któregoś dnia i odniosłam wrażenie, że zachowuje się nienormalnie. Popija w ukryciu?

— To była ta chwila — dopiero później uświadomiła to sobie Constance Underwood — która zmieniła jej życie. Wobec kogo powinna zachować lojalność, wobec Laury Templeton, czy NSK? A może wobec własnych ambicji? Nie zawahała się.

— Nie — odrzekła. — Ona nie prje, Ginny. Proszę cię, nikomu ani mru-mru o tym, co ci powiem. Laura jest poważnie chora. To choroba Alzheimera.

Terwilliger odkroiła kawałek kaczkiej piersi, wbiła go na widelec i przez chwilę badawczo patrzyła na Constance.

— Cholera, to przykre. Jak długo pociągnie? — spytała. Rok, może dwa, będzie jeszcze funkcjonować. Potem pójdzie szybko. Już ma zaburzenia pamięci. Sama to zauważyłaś. Robię wszystko, co mogę, by ją ochraniać, ale ludzie już zaczynają gadać.

Virginia Terwilliger jadła dalej.

— Cholera. Lubię Laurę. Co za straszny cios. Cóż, nikt nie jest mezastąpiony.

Lepiej będzie, jak powiem o tym pozostałym

członkiniom Zarządu. Muszę tak zrobić. W lipcu są wybory na nową kadencję. Musimy odsunąć ją na boczny tor i rozejrzeć się za kimś nowym.

Dopóki nie skończyły jeść kaczki z ryżem, rozmawiały niewiele. Zamówiły jeszcze herbatę, lody pistacjowe i chińskie ciasteczka szczęścia.

— Sądysz, że mam szansę? — spytała zniecierpliwiona Constance Underwood.

Terwilliger podniosła oczy znad pucharu lodów.

— Na stanowisko przewodniczącej? Może. Nie jesteś „miss sympatyczną” dla tych bab z Zarządu. One uważają cię za zimną, wyrachowaną dziwkę.

— A ty?

— Ja? Uważam, że jesteś zimną, wyrachowaną dziwką — powiedziała Ginny patrząc na nią. — Chcesz tego stanowiska?

— Tak.

— Więc zacznij działać, ale dyplomatycznie.

— Co mam zrobić?

— Nie sądzę, żebyś potrzebowała mojej rady — Terwilliger uśmiechnęła się kwaśno. — Wydaje mi się, że sama doskonale wiesz, co i jak robić.

— Będiesz na mnie głosować?

— Nie musisz gadać o tym głośno, prawda? — Ginny odsunęła pusty pucharek po lodach. — Cóż, mogę oddać swój głos na ciebie, ale to zależy od wielu rzeczy. Co myślisz o tym, co się dzieje w Zachodniej Wirginii? Molly Turner i te rzeczy, które ona rozgłasza na cały kraj?

— Jestem za — powiedziała bez wahania Constance Underwood. — To nadaje rozgłos naszym sprawom. Działalność bojowa też nie jest zła, nawet jeżeli to oznacza stosowanie przemocy.

— Fiu, fiu...

— Ale...

— Ale co? — zapytała ostro Terwilliger.

— Nasze siostry ciągną we wszystkich kierunkach. Jak wiesz, mamy zamiar wydać zarządzenia dla powszechnej kampanii na krajowym zjeździe w Chicago. Pó strzałach w Canton zdecydowałyśmy przyspieszyć termin. Teraz dopiero zaczną się o nas gadać.

— Tak, to nada nam wiele rozgłosu.

— Jasne, ale nie wszystko jest tak, jak być „powinno”. chodzi mi o to, że akcje planowane przez lokalne koła powinny być najpierw przedkładane do zatwierdzenia Zarządowi Głównemu. To dałoby nam możliwość kierowania i koordynowania

działań. Jeżeli tego nie zrobimy, wszystko skończy się anarchią. Każde koło pójdzie własną drogą.

— Mhm, w tym coś jest. Ale lokalne koła zawsze cieszyły się dużą niezależnością. To jest zapisane w naszym statucie.

— Masz rację — stwierdziła Underwood. — Lecz teraz one przychodzą do centrali po pieniądze. Jeżeli Zarząd ma płacić rachunki, musi wiedzieć za co.

— Zarząd — rzekła rozbawiona Terwilliger. — Chyba masz na myśli przewodniczącą, prawda?

Przewodnicząca jest wybierana i kontrolowana przez Zarząd.

— Pewnie — powiedziała Ginny ironicznie. — Ale z ciebie cwaniaczka, co? Chcesz być Hitlerem NSK, prawda? Cóż, może masz słuszość. Porozmawiam o tym z pozostałymi członkiniami Zarządu. A teraz otworzmy nasze ciasteczka szczęścia.

Karteczka z ciasteczka Virginii mówiła: „Będziesz żyła długo, zobaczysz swoje wnuki”. Constance miała nadzieję, że na swojej znajdzie: „Twoje pragnienia spełnią się”, czy coś w tym rodzaju, ale na jej karteczce widniało zdanie: „Daj na Czerwony Krzyż”.

Ginny spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi wracać do Baltimore. Obie kobiety opuściły restaurację, cmoknęły się w policzki i przyrzekły być we wzajemnym kontakcie. Underwood obserwowała, jak taksówka uwozi Terwilliger, wróciła do restauracji i zadzwoniła do Billa McCrei,

Powiedział, że wieczór ma zajęty, ale za godzinę będzie w jej mieszkaniu. Myśl o seksie podnieciła ją, zadzwoniła do biura NSK i poinformowała, że okropnie boli ją głowa i do pracy już dziś nie wróci. Wzięła taksówkę i pojechała do Watergate.

— No, no — rzekł później Billy McCrea — jesteś dziś rzeczywiście szefem.

— Tym właśnie jestem — mruknęła groźnie. — Jestem szefem i płacę rachunki.

Rób dokładnie to, co mówię, żebyś robił.

— W porządku.

Jego wspaniałe Ciało jakby lśniło, a złote włosy na udach płonęły. Bił od niego seks, któremu nie mogła się oprzeć. Chciała go pożreć.

— Hej! — zaprotestował. — Hej!

Był taki pociągający, taki gorący, pulsujący, pełen czaru.

Jakiś magnetyzm przepływał na nią od niego. Przeklinała go, mówiąc te wszystkie słówka. Przez chwilę widziała połączenie ich ciał, ich trzewi, krwi w jedno. Później, kiedy skończyli i spoceni leżeli obok siebie, spojrzała na niego Szklistym, niewidzącym wzrokiem.

— Czy coś ważnego się dzisiaj wydarzyło? — spytał.

— Tak — odpowiedziała zaskoczona jego nieoczekiwanym zainteresowaniem. — Tak, wydarzyło się coś istotnego.

Opowiedziała mu, że podjęła pierwsze kroki w kierunku przyszłości, która może być tak wspaniała, że aż dech zapiera. Powiedziała mu, że ma wielkie plany, że wkrótce zobaczy jej fotografię we wszystkich gazetach, a ją samą w telewizji.

Wkroczyła na drogę sławy. I nic jej nie powstrzyma.

Nie odzywał się, ale kiedy jego wargi, wilgotne od wina dotknęły jej sromu, położyła mu ręce na głowie i wcisnęła ją mocniej między swoje uda. Patrzyła na sufit i snuła plany podboju świata.

21 maja 1987

Ronald Freed, średnio zamożny, średnio inteligentny, w średnim wieku, briał swoją żonę z powodów, których nigdy nie próbował zgłębić. Okładając ją pięściami, odczuwał jedynie bestialską radość.

Właściwie to ciosy wymierzał przeciwnościom losu, niepowodzeniom i złemu humorowi.

Po ostatnim pobiciu jego żona, jak zwykle, przeniosła się do swojej matki, ale z pewnością wróci. Ona będzie płakać, on będzie przyrzekał poprawę. A w ciągu kilku następnych tygodni on znowu znajdzie pretekst—za ciepłe piwo, czy zimną kawę — i jego pięści znowu ruszą do boju.

Kiedy kilka minut po 23³⁰ zadzwonił dzwonek u drzwi, był przekonany, że to wróciła Clara, ale kobiety stojącej na ganku nie znał. Była bardzo ładna, miała długie kasztanowe włosy.

— Przepraszam, że pana niepokoję, ale zepsuł się mój samochód. Nie mogę zapalić silnika. Czy mógłby pan...

Wskazała ręką za siebie. Freed spojrzał ponad jej ramieniem i zobaczył czarnego buicka na światłach postojowych.

— Może skończyło się pani paliwo — zasugerował.

— Nie — odpowiedziała młoda kobieta. — Mam pół baku.

Po prostu ni stąd, ni zowąd zgasł silnik. Czy mógłby mi pan pomóc? Mężczyźni mają większą smykałkę do samochodów niż kobiety...

Na takie stwierdzenie nie mógł odmówić. — Mhm... dobrze — rzekł. —

Zajrzyjmy do niego.

Kobieta odwróciła się i skierowała w stronę samochodu Ronald Freed ruszył za nią. Zszedł ze schodków ganku na chodnik prowadzący do ulicy i wtedy... wtedy kij baseballowy grzmotnął go w nerki. Ronald potknął się niezdarnie i rozrzucił ramiona.

Drugie uderzenie powaliło go na ziemię. Upadł twarzą prosto w swój świeżo obsiany trawnik. Ból był tak przejmujący, że mężczyzna był przekonany, iż za chwilę umrze. Chciał umrzeć. Ale to nie był jeszcze koniec. Twarde noski butów zachrzęściły na jego żebrach. Kij baseballowy uderzył go znowu. I jeszcze raz.

— Ronaldzie — usłyszał kobiecy głos. — Słyszysz mnie? Rusz głową, jeżeli mnie słyszysz.

Spróbował poruszyć głowę.

— Ronaldzie — powiedział głos. — Nie bij już więcej swojej zony. Nigdy. Jeżeli to zrobisz, wrócę i zabiję cię. Zrozumiałeś?

Jego głowa poruszyła się.

— Zabiję cię, pamiętaj.

Usłyszał odgłos oddalających się kroków, ktoś zapalił samochód i wcisnął pedał gazu. Przez dłuższy czas leżał na trawniku z twarzą w czarnej ziemi, płacząc. W końcu z jękiem oparł się na jednej ręce, po chwili uniósł się na kolana. Wczołgał się po schodach. Przytrzymując się futryny stanął na nogach. Jego ciało pulsowało bólem. Ze wstydem uświadomił sobie, że zmoczył spodnie. Ktoś nadchodził.

Ronald przeraził się. Nie odważył się spojrzeć, obawiał się powrotu napastniczek.

— Ronaldzie, wróciłam. Czy coś się stało? — Rozpoznał głos swojej żony. Taki znajomy, taki kochany.

— Nigdy nie zrozumieć, dlaczego Clara chce do niego wrócić — powiedziała Ann Harding. Prowadziła samochód. Molly siedziała obok. Zapaliła dwa papierosy i jednego podała siostrze.

— A co ma zrobić? — spytała. — Kobieta w jej wieku, bez kwalifikacji i stażu zawodowego. Na dodatek nie ma żadnych własnych pieniędzy. Jest w sytuacji bez wyjścia. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że ona kocha tę kreaturę.

— Myślisz, że to się już nie powtórzy? Przestanie ją bić?

— Jestem o tym przekonana — zapewniła Molly. — Rod mówi, że przez miesiąc ten facet będzie sikał krwią i kuśtykał: Niech skurwiel trochę pocierpi, to mu dobrze zrobi.

— Jesteś taka pewna swoich racji — stwierdziła Ann;

— Tak. Nie mam żadnych wątpliwości. Słuchaj, kotku, nie' musiałaś mi pomagać dzisiejszej nocy. Wystarczyło powiedzieć, że nie masz ochoty brać w tym udziału, a znalazłabym kogoś innego.

— Chciałam to zrobić — odpowiedziała jej siostra. — To nierozsądne, że bierzesz całe ryzyko na siebie.

— Ryzyko?—ironizowała Molly: — O czym ty mówisz? Rod zaplanował wszystko, a on nam źle nie życzy. A teraz pomówmy o twoim mężulku. Do diabła, kiedy zostanę ciotką?

— Och, nie zaczynaj znowu. Wiesz dobrze, że próbujemy. Pojechaliśmy oboje do kliniki w Charleston na badania spe* cjalistyczne. Z nami wszystko w porządku, ale to niczego nie-zmienia.

— Nie chciałam sprawić ci przykrości — powiedziała Molly czule dotykając ręki siostry. — Tak, czy owak, to nie moja sprawa.

— Lubię dzieci — szepnęła Ann.—Chciałabym mieć dwoje albo troje...

— Kotku, wiesz, że chcę, abyś była szczęśliwa — zamilkła. — Wiesz, że cię kocham, prawda?

Ann spojrzała na nią bystro.

— Jasne, że wiem.

— To dobrze. Czasami mam wrażenie, że nie mówię ci tego zbyt często. Nie mówiłam tego często także Normie Jane. Do dziś mnie to dręczy.

Ann podwiozła Molly pod dom przy Hillcrest Avenue. Rozbite szyby już wstawiono, ganek uprzątnięto, zewnętrzne ściany oczyszczono i pomalowano.

— Ja też cię kocham — wyszeptała Ann, kiedy Molly wysiadała z samochodu.

Pani Josephine Turner oglądała telewizję w bawialni i równocześnie robiła szal na drutach. Kiedy Molly weszła, podniosła oczy znad robótki: v

— Jak tam, kochanie. Czy zebranie udało się? — zapytała starsza .pani.

—v Nie byłam na zebraniu — mruknęła jej córka. — Gdyby ktokolwiek pytał, powiesz, że przez cały wieczór byłam w domu.

— W porządku, kochanie. Jeżeli chcesz coś zjeść, w lodówce są dla ciebie lody i ciastka.

— Nie. Dziękuję. Wskoczę pod prysznic, a potem prosto do łóżka. Jestem zmęczona.

Pozamykasz wszystko?

— Oczywiście, kochanie. Śpij dobrze.

Molly Turner rozebrała się i weszła pod natrysk. Puściła gorącą wodę. Myślała o tym, że jej złociste, kręcone włosy przesiąkły dymem papierosowym. Umyła je, a potem stała przygarbiona, pozwalając wodzie uderzać o kościste ramiona. W końcu skierowała strumień wody między swoje uda.

Pragnęła, by Norma Jane była z nią teraz i tutaj i umyła jej plecy.

— Cholerna dziwka — powiedziała na głos. — Umierając opuściła mnie. — Wiedziała, że to nierozumne, ale tak właśnie czuła.

Mydląc swoje małe, sterczące piersi, zastanawiała się, czy zazdrości siostrze. Ann była raczej pulchna, ale Molly doszła do wniosku, że woli swoją szczupłą sylwetkę. Ann mogła wyglądać jak Junona, ale nie mogła zajść w ciążę. Molly miała dwie skrobanki, zanim poznała Normę Jane.

Było już na tyle ciepło, że można było spać nago, tylko pod prześcieradłem i cienkim kocem z bawełny. Leżała na plecach z jedną ręką pod głową, paliła papierosa i przez na wpół otwarte okno patrzyła na usiane gwiazdami niebo.

Rozmyślała o wydarzeniach dzisiejszego wieczora.

Danie łupnia temu damskiemu bokserowi nie przyniosło jej satysfakcji. To po prostu musiało być zrobione. „Zrób to, miej za sobą i wyrzuć z pamięci, liczy się efekt.” Jak to mawiała Norma Jane? „Jedyną rzeczą, którą ludzie pamiętają, jest nauczka.”

Boże, jak bardzo jej brak. Była taką silną, tak pełną energii kobietą, niezachwianie przekonaną, że to, co robią, jest słuszne. Jedyna właściwa droga.

— Kochanie — powiedziała do Molly po zażartej dyskusji, po zebraniu koła NŚK. — To wszystko to wielkie gówno. Musimy zacząć działać. Gadać możemy sobie do końca świata, ale to tylko głędzenie, z którego nic nie wynika. Jeżeli chcemy coś osiągnąć, musimy zmienić sposób postępowania. Tylko działanie przynosi rezultaty.

Molly straciła ochotę na czytanie zidiociałych feministycznych rozpraw, dyskusje na temat historycznej roli i pozycji kobiet w społeczeństwie, czy wyshichowanie oklepanych banałów o różnicach w psychice mężczyzn i kobiet. Niepotrzebny był jej wzrost świadomości.

Chciała przewrócić świat do góry nogami i słyszała Normę Jane mówiącą: „Możesz to zrobić, dziecinko. Przestań o tym gadać. Po prostu zrób to.”

7 czerwca 1987

Thomas J. Kealy nauczył się dużo od czasu, kiedy przybył do Waszyngtonu. Jeden z wniosków, jakie wyciągnął, był taki, że polityka jest podłą profesją. Ludzie utalentowani, z wyobraźnią, zajmowali się twórczością artystyczną, pracowali w przemyśle lub na uczelniach. Do polityki szedł drugi garnitur.

Spójrzmy na jego szefa — senatora Lemuela K. Dundee.

Był skorumpowanym oportunistą z'etykietką „mierny” wyciśniętą na tłustej twarzy, ale to nie przeszkadzało mu w osiąganiu sukcesów, bo niby dlaczego miałyby przeszkadzać? W społeczeństwie półgłówków idiota może zostać królem.

Ten cynizm — Kealy nazywał to realizmem — nie przeszkadzał mu pracować z poświęceniem dla pryncypała. Szanował jego spryt i był mu bezgranicznie wierny. Oczywiście, otrzymywał hojną zapłatę, ale Kealy tak naprawdę nie potrzebował tych pieniędzy. Jego żona była bogata, a on zarządzał finansami rodziny.

Jednym z powodów, dla których związał swoją przyszłość z tępotnym osobnikiem, jakim był Dundee, było to, iż Kealy dobrze wiedział, że sam nie zdoła odnieść sukcesów w tym politycznym cyrku.

Nigdy nie mógłby zostać czymś w rodzaju marionetki. Zakulisowym politykiem — tak. Takim, który pociąga za sznurki. Jeżeli wybujale ambicje Dundee'ego spełnią się i zostanie prezydentem, Kealy pozostanie w cieniu. Po prostu szara eminencja. Taka rola odpowiadała mu najbardziej. Dotego informacje Billa były ważne. One mogły być zaczątkiem krucjaty, nad którą Thomas pracował.

Czasami Billy McCrea zadawał fizyczny ból Kealy'emu, ale on nigdy nie protestował. Szczerze mówiąc, lubił to.

Na tym świecie każda przyjemność ma swoją cenę, mówił sam do siebie. A granica między przyjemnością i bólem jest naprawdę bardzo cienka. Co prawda ważniejsze było to, że

naiwny i głupi Billy nieświadomie został źródłem politycznie użytecznych informacji.

Od pierwszych dni maja McCrea donosił o zaciętych walkach w Narodowym Sprzysiężeniu Kobiet. Wiadomości te zdobywał w łóżku Constance Underwood. Bill otrzymywał bardzo duże pieniądze za te informacje. Tuman nie zastanawiał się, w jaki sposób jego ploteczki mogą zostać wykorzystane.

Pierwszym efektem był telefon Kealy'ego do biura wycinków prasowych senatora Dundee. Kealy poprosił o wycinki z gazet codziennych i magazynów, dotyczące aktów przemocy,

o które można by podejrzewać członkinie Narodowego Sprzysiężenia Kobiet.

Plik fotokopii, który mu dostarczono, przekroczył jego oczekiwania. Oczywiście, zadowolony był z ilości materiałów, ale jeszcze bardziej zdziwiło go to, co się działo. Najwidoczniej natknął się zupełnie przez przypadek na coś dużo większego i dużo bardziej istotnego, niż ktokolwiek dotąd przypuszczał.

Spędził całą noc na czytaniu tych wycinków i napisał na maszynie trzystronicowe, w jednym egzemplarzu, streszczenie. Poprosił o spotkanie z Dundee. Spotkał się z senatorem nad ranem siódmego czerwca.

Jak zwykle, Kealy był w swoim mundurku, trzyczęściowym garniturze z wełny w granatowym kolorze. Stroju dopełniała biała koszula z kołnierzykiem zapiętym pod szyją, krawat w paski i czarne buty z szerokimi noskami, wyglancowane, ale nie za bardzo. Włosy miał wyszczotkowane, starannie przycięte nad uszami, okulary w rogowych oprawkach na nosie. Oddech odświeżony.

Nie uświadamiał sobie tego, ale jego twarz była prawie doskonałą polityczną maską. Stanowił ją przyjemny półuśmiech, szczere oczy, które rzadko mrugały, długa szczęka znamionująca stanowczość i mięsiste usta. Miał nieuchwytny wygląd zawodowego polityka.

Podał streszczenie Dundee'emu i poprosił, by przeczytał je od razu. Sam siedział spokojnie i obserwował bezgłośny ruch warg swojego mentora. Senator podniósł wzrok.

— Jezu Chryste — odezwał się w końcu, wstrząśnięty. — I to wszystko gównem w ciągu trzech miesięcy?

— Tak, sir. Wydałem polecenie szefowi naszego biura prasowego, żeby przeprowadził badania. Wziąłem pod uwagę, że będzie się pan chciał dowiedzieć czegoś więcej.

— Do cholery — powiedział Dundee. — Zadam im bobu. Nikt bardziej nie sympatyzuje z problemami kobiet niż ja, ale

jednocześnie nie mogę pochwalać przemocy, której wynikiem jest utrata życia i zniszczenie własności prywatnej. To nie w amerykańskim stylu.

— Tak pan robi — stwierdził Kealy z aprobatą. — Myślę jednak, że to może stać się bardziej poważne. Może okazać się tym, czego pan szuka, by nadać mocy swojej prezydenckiej kampanii.

Słynne siwe brwi uniosły się powoli.

— Tak to oceniasz?

— Jeżeli ten ruch będzie stale przybierał na sile, a jestem przekonany, że tak będzie, może pan uzyskać duże korzyści, jeżeli opowie się pan po jednej, czy po drugiej stronie. Za lub przeciw NSK, zanim inny potencjalny kandydat wsiądzie na tego konia.

Dundee huśtał się w przód i w tył w swoim fotelu.

— Mhm, może masz rację, Tom, ale mnie się wydaje, że jeżeli teraz wskoczę w siodło, to mam dużą szansę, by zdobyć wielu przyjaciół, lub też narobić sobie wielu wrogów. Na razie to wygląda na sytuację patową.

— Niekoniecznie, sir — zaczął Kealy z przekonaniem. — Odpowiedź jest w liczbach. Dlatego właśnie chciałbym, żeby wyraził pan zgodę na ogólnokrajowy sondaż na ten temat. Dowiedzielibyśmy się, ilu wyborców jest za NSK, a ilu przeciw. Kiedy tego się dowiemy, będziemy mogli zdecydować, którą drogę wybrać.

— Czy to ma sens? — podjął senator z powątpiewaniem. — Od dawna wiem, że nie płaci się za badania opinii publicznej przynajmniej do momentu, kiedy nie są znane wyniki, lub ma się zagwarantowany sukces. Ty rzeczywiście wierzysz, że te wszystkie pobicia, strzelaniny, zamachy bombowe skończą się, kiedy dostaną się na czołówki gazet?

— Jestem o tym przekonany — odpowiedział Kealy. — To problem, który zawiera wszystko: seks, przemoc, wojnę między mężczyznami i kobietami. Musimy jedynie zdecydować, po której stronie się opowiedzieć. A właśnie sondaż nam w tym pomoże.

— Dobrze, Tom. Jeżeli uważasz, że to takie ważne, to zgadzam się. Możesz zlecić przeprowadzenie tych badań. Pieniądze weź z mojego tajnego funduszu. Załatw wszystko osobiście. Nie chcę, by łączono z tym moje nazwisko. Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej.

— Dziękuję, sir. Ja naprawdę uważam, że to może być ta kruczata, której szukamy. A przez to, że jesteśmy pierwsi, możemy załapać się, zanim kto inny to zrobi.

28 czerwca 1987

Dwudziestego siódmego czerwca Virginia Terwilliger zadzwoniła, przedstawiła się i zapowiedziała swój przyjazd na następny dzień. Dwudziestego ósmego wsiadła do samolotu lecącego z Baltimore do Charleston, wynajęła samochód i wyruszyła do Canton. Tu spotkała się z Molly i starszą panią Turner po raz pierwszy i z radością przyjęła ich zaproszenie na obiad.

Trzy kobiety jadły w kuchni. W mieszkaniu Molly nie było żadnej butelki martini, więc Virginia wypiła przed obiadem dwa giny. Jadła z apetytem i poprosiła o dokładkę mięsa, młodych ziemniaków i domowej surówki z kapusty.

— Wspaniałe jedzenie — pochwaliła obie panie Turner. — Zawsze tak jadacie?

— Niezbyt często — odparła Molly oziębło, a ich gość roześmiał się.

— Jestem wielką maszyną — rzekła. — Potrzebuję więc dużo paliwa.

Starsza pani Turner uparła się, że sama posprząta, więc Molly zabrała Virginię do pokoiku w piwnicy. Wzięła ze sobą dwie małe szklaneczki i wyciągnęła nową butelkę kalifornijskiej brandy, którą kupiła specjalnie na tę okazję. Nie pytając o zezwolenie, Terwilliger zajęła krzesło za biurkiem. Molly usiadła na starej kanapie.

Obie kobiety uniosły szklaneczki w niemym toaście, łyknęły

I spojrzały na siebie ciekawie i zarazem badawczo.

— Cóż... — zaczęła Terwilliger — jesteś bardzo pracowitą pszczołką, prawda?

— Nie tak bardzo, jak myślisz — odpowiedziała Molly krótko.

— O tym, co robisz, wiem tylko z tego, co wypisują w gazetach, ale podejrzewam, że są sprawy, o których pismacy nie mają pojęcia. Nie myślę się, prawda?

— Mhm... cóż... — mruknęła Molly.

-- Powiedz mi coś. Gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego? To znaczy, jak planować takie akcje i jak je przeprowadzać bez wpadki?

Molly -wahała się przez moment. Wiedziała, że ta baba jest przewodniczącą oddziału w Maryland i członkinią Zarządu Głównego, ale rozważała, czy będzie mądrze ujawnić jej szczegóły.

Terwilliger obserwowała ją czekając cierpliwie, w końcu zapytała ironicznie:

— Chcesz zobaczyć mój dowód tożsamości?

— Nie — Molly podjęła decyzję. — W porządku. Opowiedziała jej wszystko, zaczynając od zabójstwa Normy

Jane. Mówiła o tym, jak Rod Harding zaplanował i pomagał w podłożeniu bomby pod skład drewna Lemsonów i o zniszczeniu zajazdu „Stagger”. Na koniec opisała napad na Ronalda Freeda, tego, który znęcał się nad swoją żoną.

Virginia Terwilliger słuchała tej relacji z pełną przerażenia fascynacją. Na koniec wstała, nalala sobie pełną szklanekę brandy i zaczęła spacerować po pokoju.

— Cholera — powiedziała gorzko. — A my tylko gadamy, gadamy, i gadamy, podczas gdy ty działasz. Molly, twój szwagier, ten glina, on was nie zakapuje, co?

— Ó czym ty, do diabła, mówisz? — Molly wściekła się. — Rod naraża swoją pracę, pomagając nam. To małe miasteczko i wcześniej czy później ludzie zaczną gadać, a jego wywalą z roboty.

— W porządku, w porządku — mruknęła Terwilliger pośpiesznie. — Nie gorączkuj się, musiałam zapytać. Czy istnieje możliwość, żebyś robiła to wszystko bez jego pomocy?

— Jasne, możemy to robić same i skończyć za kratkami. Żadna z członkiń mojego koła nie była dotąd aresztowana, bo Rod tego pilnuje. To były żołnierze. Pożyczył mi kilka wojskowych poradników. Spójrz na to...

Wstała z kanapy i wykopała z szafy stertę broszur. Rzuciła ją na biurko. Książeczki miały mniej więcej takie tytuły: „Taktyka dla małych oddziałów piechoty”, „Jak przygotować zasadzkę”, „Zwiad i rozpoznanie”, i tak dalej...

— Wspaniałe materiały — stwierdziła Molly. — Wiele się z nich dowiedziałam; a Rod nauczył mnie, jak zakładać i robić ładunki wybuchowe z rzeczy, które można kupić w sklepie z żelastwem.

— Cudownie — jej gość był pod wrażeniem. — MuH być z niego wspaniały facet. Wspomniałaś, że nauczył cię strzelać. Macie broń?

— Kilka sztuk, ale za mało. Chcemy kupić lub ukraść kilka.

— Chyba potrafisz zrobić to sama, żaden facet nie musi ci podpowiadać jak.

— To męska dyscyplina — powiedziała Molly chłodno. — Musimy nauczyć się, jak w nią grać przyjmując pomoc, obojętnie skąd pochodzi.

— Tak właśnie przypuszczałam — Terwilliger machnęła ręką. — Cel uświęca środki, to chyba chciałaś powiedzieć, co?

— Coś w tym rodzaju.

Przez chwilę obie milczały. Molly siedziała sztywno, patrząc na Terwilliger, próbując odgadnąć, co jej gość zamierza. Ta potężna kobieta nie przebyła chyba całej tej drogi z Baltimore tylko po to, żeby pogadać o sprawach NSK i wymienić ploteczki.

— Czy wszystkie członkinie biorą udział w tych akcjach? — spytała nagle Virginia.

— Nie. Wszystkie biorą udział w pikietach, demonstracjach, pisaniu listów i podobnych dyrdymałach. Ale kiedy dochodzi do prawdziwych działań—fizycznej przemocy—liczę, że tylko około dziesięciu procent jest w stanie podjąć to ryzyko. Rod mówi, że to normalne. On twierdzi, że w walce oficerowie i podoficerowie stanowią tylko dziesięć procent kadry. Inni niekoniecznie są tchórzami, sama rozumiesz, ale maruderzy ciągną do tyłu, nie idą do przodu. Wszystko ciągnie te dziesięć procent, tak czy siak, Rod uważa, że jeżeli dziesięć procent moich kobiet jest odważnych, zdyscyplinowanych i pozbawionych obiekcji, to mogą zrobić wszystko, co zaplanuję.

— Znowu ten Rod. Jesteś od niego bardzo uzależniona, prawda?

— Tak.

— Molly, chyba wiesz, że inne oddziały i koła NSK w całym kraju próbują gorliwie naśladować twoje działania i wiele naszych sióstr wylądowało już w więzieniu? Zarząd musiał je wyciągać, opłacać kaucje i adwokatów.

— Dały się złapać? To efekt złego planowania i przygotowania — stwierdziła Molly. — Nie wiedziały, jak to zrobić.

— Innymi słowy, nie mają Roda Hardinga.

— Właśnie — powiedziała Molly uśmiechając się wesoło.

— Jezu — jęknęła Virginia Terwilliger patrząc na pustą szklanekę. — Piję, jakby nie istniało jutro. Muszę już iść, jeżeli chcę złapać samolot do domu.

— Jeszcze po maluchu na drogę?

— Jasne. Dlaczego nie?

Kiedy Molly nalewała brandy, Virginia zapytała: — Weźmiesz udział w krajowym zjeździe?

— Oczywiście. Jestem jedną z delegatek z Zachodniej Wirginii, razem z czterema czy pięcioma innymi członkiniami mojego koła, łącznie z moją siostrą Ann.

Chciałabym, żebyś ją

poznała. Na pewno ją polubisz.

Mhm... możesz przedstawić nas sobie w Chicago. Molly, czy jesteś dobrą mówczynią?

— Tak sędzę.

— Czy miałabyś tremę, przemawiając przed dużym audytorium? Być może wrogo usposobionym?

— Do diabła, nie! Lubię przemawiać. Mogę powiedzieć wszystko.

— Nie — rzekła Terwilliger. — Nie wszystko. Czy chciałabyś zabrać głos na zjeździe?

— Ja? Dlaczego miałyby mnie słuchać?

— Załatwię to.

— Co miałabym powiedzieć?

— Co sądzisz o Sprzysiężeniu, co zrobiłaś, żeby odnieść sukcesy w Canton. Podsunę ci także kilka innych pomysłów, które będziesz mogła wykorzystać, jeżeli zechcesz. Powiesz to wszystko oczywiście swoimi słowami.

— Jakiego rodzaju pomysły? — spytała Molly podejrzliwie.

— Na przykład: zorganizowanie oddziałów paramilitarnych NSK. Powołanie kadry — tych dziesięciu procent — siostr nie bojących ryzykować swoimi dupami, która będzie służyć jako model i inspiracja dla dziewięćdziesięciu procent zaczynających domagać się swoich praw. Zorganizowanie systemu szkoleniowego, tak byśmy wszystkie mogły nauczyć się tego, czego ciebie nauczył twój szwagier. Chciałabyś wystąpić z tym na zjeździe?

— Do licha! Tak! — Molly zerwała się na nogi. — Jeżeli uda mi się doprowadzić do tego, żeby wszystkie kobiety na zjeździe czuły to co ja, nic nas nie powstrzyma. Virginia Terwilliger osuszyła swoją szklaneczkę, wstała, podeszła do Molly i ucałowała ją w oba policzki.

— Tygrys, tygrys ostrzy pazury — powiedziała prawie ze smutkiem.

15—17 lipca 1987 roku

Historyczny, piąty zjazd Narodowego Sprzysiężenia Kobiet odbywał się w Chicago, w Illinois. Uczestniczyły w nim 3.082 członkinie NSK, z których 937 było oficjalnymi delegatkami reprezentującymi pięćdziesiąt oddziałów stanowych, Dystrykt Columbia i Portoryko.

Uczestniczki zjazdu zatrzymały się w kilku hotelach przy Michigan Avenue. Oficjalne obrady odbywały się w Centrum Konferencyjnym McCormicka. Akredytację do obsługi zjazdu wykupiły redakcje wielu gazet codziennych i magazynów, fotoreporterzy i dziennikarze niezależni. Chociaż żadna stacja

czy sieć telewizyjna nie prowadziła bezpośrednich transmisji, ekipy telewizyjne filmowały co ważniejsze wystąpienia, dyskusje i momenty głosowania.

Przewodnicząca Laura Templeton nie była pewna, czy zdoła przetrwać te trzy dni bez załamania. Mgła spowijała ją coraz bardziej. Z każdą godziną część jej pamięci, część umysłu pogrążała się mocniej we mgle. Ale najgorszą rzeczą, absolutnie najgorszą, była świadomość tego, co się dzieje. Szaleństwo to stan, w który popadasz, dryfujesz i udajesz, że świat jest pozornie prawdziwy i stały. Ale gdy choroba trawi twój umysł, jesteś ofiarą i obserwatorem zarazem, obserwując nieuchronne, chylenie się ku upadkowi.

Ta mała, krucha kobieta przez całe swoje życie była bojowniczką. Najpierw walczyła o swoją niezależność, a później o sukces NSK. Ale teraz znalazła się twarzą w twarz z wrogiem, z którym nie mogła walczyć. Miała tylko nadzieję, że może uda jej się wyjść na spotkanie przeciwnika ze smutnym uśmiechem, a nie ze łzami. Płacz nie był w jej stylu.

Siedziała wyprostowana na podium za stołem prezydialnym. W czasie ceremonii otwarcia i zwróciła jasną, uśmiechniętą twarz w stronę morza podnieconych kobiet — wiele z nich

o wiele młodszych od niej. Żywiła nadzieję, że dożyje dnia, w którym zobaczy ich triumf. W torebce miała plik notesów

i małych karteczek, na których zapisała nazwiska starych przyjaciółek, adres centrum konferencyjnego, nazwę hotelu i numer swojego pokoju hotelowego.

I, o Boże, swoje własne nazwisko. „Nazywam się Laura Templeton” napisała drżącą ręką.

Początek zjazdu zarządzono na 13¹⁵, ale rozpoczął się z godzinnym opóźnieniem.

To był pierwszy poślizg w programie; który wkrótce miał być jeszcze bardziej rozregulowany. Zjazd otworzyła przewodnicząca jednego z kół w Chicago, wygłaszając mowę powitalną. Następnie wieloletnia przewodnicząca oddziału stanu Illinois została wybrana przez aklamację na przewodniczącą obrad.

Członkinie Zarządu Głównego złożyły sprawozdania z działalności finansowej, stanu organizacyjnego, aktywności politycznej, itp. Po tych wystąpieniach zarządzono przerwę w obradach do godziny dziewiętnastej. Virginia Terwilliger także siedziała w prezydium. Chwyciła Laurę za ramię.

— Chodź — powiedziała. — Złapiemy taksówkę do hotelu. , Laura przyjęła tę propozycję z wdzięcznością, ale w hotelowej recepcji próbowała uwolnić się od Ginny.

— Mam jeszcze parę rzeczy do przejrzenia przed wieczor-

na częścią obrad. Zamówię coś do jedzenia do pokoju — rzekła.

— Lauro — Terwilliger spojrzała na nią poważnie. — Ty i Connie Underwood jćcie dziś obiad z pozostałymi członkiniami Zarządu Głównego, pamiętasz?

— Tak, tak — Templeton przytaknęła z zakłopotaniem. — No tak, oczywiście.

— Wejdźmy do mojego pokoju na kilka minut, wypijemy po jednym i odpoczniemy. Jest tu ktoś, kogo chciałabym ci przedstawić.

W środku obie kobiety zrzuciły pantofle i usiadły w pobliżu wentylatora. Nagle rozległo się ostre pukanie do drzwi.

— To ona — rzekła Ginny. Wstała i wprowadziła do pokoju Molly Turner.

Przedstawiła ją przewodniczącej NSK.

— To Molly Turner — powiedziała głośno i dobitnie. — To ta podżegaczka, która odpowiedzialna jest za to całe zamieszanie w Zachodniej Wirginii. Molly, przywitaj się ze swoją przewodniczącą, Laurą Templeton.

Ginny poprosiła, aby obie kobiety usiadły i podała im szklaneczki ginu z tonikiem. Potem przysunęła sobie krzesło i rozwaliła na nim swoje potężne cielsko, przerzucając jedną nogę przez oparcie krzesła.

— Molly — rozkazała. — Opowiedz Laurze o tym, co robisz. Tylko streszczaj się, dobrze? Musimy iść na oficjalny obiad.

Jeszcze raz Molly opowiedziała historię działań koła NSK w Canton. Mówiła wartko, z dużą swadą, od czasu do czasu szturchając palcem obie słuchaczki, by uwypuklić swoją wypowiedź. Laura słuchała uważnie, uśmiechając się i kiwając głową. Terwilliger skoncentrowała się na swoim drinku. Wstała i jeszcze raz napełniła szklaneczkę.

— To wspaniale — powiedziała Templeton ożywiona, kiedy Molly skończyła. — My gadamy, a ty po prostu działasz.

— To dokładnie to, o czym mówiłam — wtrąciła Virginia. — Lauro, mamy własnego młodego Dżyngis Chana. Molly, dzięki, że wpadłaś. Skontaktuję się z tobą.

Nawet jeżeli Turner była zakłopotana tą nagłą odprawą, nie okazała tego po sobie. Dopiła drinka, wstała, uśmiechnęła się do starszych dam i z godnością opuściła pokój.

— Miła dziewczyna — stwierdziła Laura Templeton, rozpinając koronkowy kołnierzyk swojej kwiecistej sukni. — Podoba mi się sposób, w jaki mówi. Nie ma w niej żadnego pozerstwa.

— Jak ma na imię? — zażądała Terwilliger srogo.

— Jej imię? Dlaczego?... Ginny... przecież przedstawiłaś nas.

— Wiem. A teraz powiedz jej imię.

— Mhm... Sally.

— Molly. Jej nazwisko? — nie ustępowała Virginia. Laura Templeton próbowała uśmiechnąć się. Podała Ginny szklaneczkę. Jej ręce drżały. Terwilliger napełniła ją i oddała z powrotem. Nagle Laura złapała Ginny za nadgarstek.

— Od jak dawna wiesz? — spytała cicho.

— Od miesięcy — Terwilliger wyszarpnęła rękę. — Connie mi powiedziała, ale ja już przedtem wiedziałam. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Myślałam...

— Wiem, co myślałaś. Wiem, ile Sprzysiężenie dla ciebie znaczy, i jak ci trudno je zostawić.

— Kto jeszcze wie?

— Prawdopodobnie cały ten cholerny Zarząd Główny. Sądzę, że nie zachowywałaś się ostatnio rozumnie. I jeżeli nawet one nie domyślały się, to Connie — nasza droga, słodka zmyka — poinformowała je. Ona chce twojego stołka, złotko.

—r. Powinam była się domyślić — powiedziała wolno Laura.

— Gdybyś myślała normalnie, wpadłabyś na to, ale miałaś ważniejsze rzeczy na głowie. Tak czy siak, Connie politykuje jak szalona. Całuje wszystkie dupy w okolicy... Chce zostać nową przewodniczącą.

— Może to nie byłoby takie złe — stwierdziła smutno Laura.

— Gównno — mruknęła gniewnie Ginny — to cholerna, podwójna dziwka. Po moim trupie dostanie ten stołek. Zrobi z NSK kolejną zabawkę, jak to gniazdko w Watergate, czerwony jaguar i letni domek. Nie ma mowy. Mam zamiar rzucić tę damulkę na kolana, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu...

— Jak masz zamiar to osiągnąć, Ginny?

— Być może wygra wybory — powiedziała Ginny uśmiechając się krzywo. — Ale to ja mam wpływy i dojścia. Tak naprawdę to nie chcesz, żeby zajęła twoje miejsce, prawda?

___ Tak. Ona nie ma...

— Wiem, wiem, czego ona nie ma. Zasad. Będzie miała ze mną do czynienia. Tak, ze mną, we własnej osobie. Ufasz mi?

— Tak — szepnęła Laura uśmiechając się nieznacznie. — Ufam ci, ty... ty potworze.

Nagle Ginny wstała, podeszła do Laury i delikatnie pocałowała ją w usta.

— Przykro mi, dziecinko — rzekła ochryple. — Masz rację, jestem potworem.

Wieczorne obrady piętnastego lipca rozpoczęły się z trzydziestominutowym opóźnieniem, ale nawet wtedy nie wszystkie uczestniczki zjazdu były na miejscu.

Przewodnicząca obrad uderzyła kilka razy młotkiem, by uciszyć salę.

Pierwsze dwie godziny przeznaczono na część artystyczną, w której udział wziął kobiecy zespół rockowy, aktorka komediowa, chór z Little Rock w Arkansas i śpiewająca przy wtórze gitary czarna pieśniarka z Selmy w Alabamie, która zaśpiewała rewolucyjne ballady.

Następnie wyświetlono półgodzinny film, wyprodukowany i wyreżyserowany przez koło NSK w San Jose w Kalifornii. Film przedstawiał sytuację kobiet — emigrantek pracujących w Kalifornii, Teksasie i na Florydzie.

Constance Underwood miała wygłosić swoje przemówienie o godzinie 22⁰⁰, ale była prawie 23⁰⁰, kiedy przekazano jej mikrofon. Stała przed zniecierpliwionym audytorium, które bawiło się w trakcie wieczornego programu rozrywkowego, ale miało ochotę na coś mocniejszego niż dowcipy, ballady czy film.

W końcu przedstawiono wiceprzewodniczącą zebraniem. Stała opanowana, dopóki nie umilkły nikłe oklaski. Tego wieczora miała na sobie elegancki, czarny kostium od Halstona. Jediną ozdobą, na jaką sobie pozwoliła, była wysadzana szlachetnymi kamieniami broszka z monogramem NSK. Zaczęła z niskiego pułapu, omawiając postępy NSK w ostatnim roku. Później mówiła o „nowym gniewie”, który ogarnia cały ruch, powodując podchwytywane przez mass media przypadki użycia przemocy; pomagały one ustanowić nowe prawa - i dzięki nim wojowniczość i aktywność NSK zaistniały w świadomości społecznej.

Jej słuchaczki zaczęły ożywiać się podczas tego wyszczególniania. Czując ich wzrastające zainteresowanie, Underwood podniosła głos. Mówiła coraz szybciej, podkreślając swoją wypowiedź zamaszystymi gestami.

Mówiła, że nowy, rewolucyjny zapał, jest zdumiewający, ale bez silnego przywództwa i dyscypliny grozi niebezpieczeństwo, że wysiłki, podejmowane dla wyzwolenia, zostaną zmarnowa-

ne. To co konieczne — oświadczyła — to mądry, dobrze zorganizowany ogólnokrajowy program działania. -

Rozkazy—podkreśliła—mógłby wydawać tylko Zarząd Główny, demokratycznie wybrany przez wszystkie członkinie NSK. A decyzje Zarządu będą wprowadzane w życie przez przewodniczącą, którą wyłoni Zarząd, i przez jej współpracowniczki. To przemówienie było pełne siły i ekspresji.

— Musimy — krzyczała — nauczyć się działać jak jedna kobieta! Jedna skrzywdzona kobieta! Jedna zdeptana kobieta! Musimy zamienić osobiste ambicje i potrzeby w pragnienie postępu. Nie możemy działać impulsywnie czy kapryśnie, jeżeli chcemy osiągnąć sukces. Musimy zaakceptować dobro nas wszystkich jako najwyższy cel. Jeżeli będziemy razem, jeżeli będziemy jednością, zwyciężymy! Zwyciężymy! Zwyciężymy!

To podniosło audytorium na nogi i wywołało długotrwałą owację. Constance Underwood stała bez uśmiechu, trzymając rękoma brzegi mównicy, patrząc w rozgorączkowany tłum, pozornie chłodna, opanowana i obojętna.

Virginia Terwilliger nachyliła się do Laury Templeton.

— Do diabła! — mruknęła zmartwiona. — Ona jest niezła.

Popołudniowe obrady szesnastego lipca otworzyło krótkie wystąpienie Kanadyjki, która opisała pierwsze kroki ruchu feministycznego w swoim kraju i poprosiła o zgodę na utworzenie kanadyjskiego oddziału Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Jej wniosek został formalnie przedstawiony i przyjęty bez sprzeciwów.

Następnie dyskutowano o gwałtach, seksualnym wykorzystywaniu dzieci, maltretowaniu kobiet, dyskryminacji ekonomicznej, o potrzebie bardziej sprawiedliwych praw rozwodowych. Gorąco potępiono pornografię w książkach, magazynach, filmach kinowych i na video.

Ostatnim punktem obrad przed przerwą było przedstawienie poprawki do statutu, która pozwoliłaby mężczyznom zostawać pełnoprawnymi członkami NSK. Ta poprawka, budząca wielkie emocje, została przełożona na wieczorną część obrad, w której miała odbyć się debata i głosowanie.

W czasie przerwy obiadowej szesnastego lipca Zarząd Główny NSK zebrał się w sali recepcyjnej hotelu Conrad Hilton, by wybrać nową przewodniczącą.

Członkinie Zarządu, wszystkie w randze przewodniczącej

oddziału stanowego, liczyły od dwudziestu siedmiu do pięćdziesięciu trzech lat. Reprezentowały różnorodne zawody; były to gospodynie domowe i kobiety interesu, trzy nauczycielki, aktorka telewizyjna, matematyczka, sprzedawczyni zabytkowych samochodów i sędzina sądu okręgowego.

W tym zebraniu nie uczestniczyła aktualna przewodnicząca, wiceprzewodnicząca ani żadna z etatowych pracowniczek. Obecna była tylko sekretarka, która protokołowała. Jednomyślnie zgodzono się, by oświadczenia trwały najdłużej trzy minuty. Żadnej z kobiet nie wolno było zabrać głosu po raz drugi, dopóki wszystkie, które pragnęły być wysłuchane nie wyraziły swojego zdania po raz pierwszy. Te niekonwencjonalne zasady funkcjonowały zdumiewająco dobrze. Wkrótce wysunięto trzy kandydaty na przewodniczącą: Laury Templeton, Constance Underwood i Grace Fllene — członkini NSK, która była autorką kilku poczytnych powieści o feministkach.

Jednogłośnie zgodzono się, że wybór musi zostać dokonany na tym zebraniu.

Rozpoczęła się runda krótkich przemówień. Dla Virginii Terwilliger, wpatrującej się w swoje bazgroły, stało się oczywiste, że Laura ma cztery pewne głosy, Constance również cztery, a Grace trzy. Po tajnym głosowaniu obliczenia Ginny okazały się trafne.

Druga runda wystąpień była krótsza, ale za to bardziej ostra. Jedna z popierających Connie wstała i powiedziała:

— Dowiedziałam się, że Laura Templeton cierpi na chorobę Alzheimerera. Jestem przekonana, że wszystkie jej współczujemy, ale obecnie nie jest ona w stanie pełnić obowiązków przewodniczącej. Nie możemy pozwolić emocjom wpływać na nasze decyzje, musimy zapewnić Sprzysiężeniu jak najlplją przewodniczącą, a taką może być Connie Underwood. Doskonale sprawdziła się na obecnym stanowisku, zna te roboty. Byłybyśmy idiotkami, gdybyśmy jej nie wybrały. Wszystkie słyszałyście jej wystąpienie dzisiejszego wieczora. Jest dokładnie taką kobietą, jakiej nam potrzeba, by przeprowadzić NIK przez czekający nas burzliwy okres,

Inna z popleczniczek Underwood dodała kolejny panegiryk.

Te kobiety, które głosowały za powtórным wybraniem Laury Templeton, broniły dotychczasowej przewodniczącej. Twierdziły, że obecna kondycja fizyczna wcale nie przeszkodzi jej w pełnieniu tej funkcji w ciągu kolejnych dwóch lat. Dyskusja stawała się głośniejsza i coraz bardziej zagorzała. Przeprowadzono kolejną turę tajnego głosowania. Po ob-

liczeniu głosów okazało się, że pięć dostała Laura, pięć Constance, a jeden Filene. Uparciuch trzymał w swym ręku wahadło. Uyla nią aktorka telewizyjna, przewodnicząca oddziału w Nowym Jorku. Jej niewzruszona lojalność wobec Filene, jak później plotkowano, wynikała z faktu, że właśnie miała romans z .jej mężem i liczyła, że Filene zostanie wybrana i przeniesie się do Waszyngtonu. Żarliwie apelowano do niej z obu stron, ale ona odmówiła stanowczo zmiany swojej decyzji. Nie chciała oddać głosu ani na Laurę, ani na Constance. Wybory przewodniczącej znalazły się w impasie. Uczestniczki głosowania nie zjadły jeszcze kolacji, a wieczorne obrady miały rozpocząć się niebawem. Virginia Terwilliger doszła do wniosku, że to najlepszy moment, by spróbować wprowadzić w życie swój zamysł i zwróciła się do pozostałych:

— Laura Templeton jest moją osobistą przyjaciółką — zaczęła uroczyście — i jest najbardziej doświadczoną działaczką NSK. Stanowisko przewodniczącej piastuje od początku istnienia naszej organizacji. Teraz chcecie odstawić ją na boczny tor, pogłaskać po główce, i dać lizaka. Co za cholerne z was baby. Czy jesteśmy bezdusznymi maszynami? Czy naprawdę wierzymy w miłość i życzliwość dla naszych sióstr? Jeżeli odrzucimy kandydaturę Laury Templeton, ten Zarząd zrobi pośmiewisko z całego NSK i jego dotychczasowych dokonań. To prawda, nie da się tego ukryć, że Laura jest chora. Ale wykopanie jej teraz jest równoznaczne z najokrutniejszym rodzajem eutanazji. Chcę zaproponować wam rozwiązanie kompromisowe, które pozwoli Laurze odejść z godnością i, jak sądzę, zadowoli te z was, które są przeciwko niej. Widzę to tak...

Po zakończeniu zebrania Virginia Terwilliger spojrzała na zegarek i zastanowiła się, czy zdąży jeszcze wypić martini w hotelowym barze przed powrotem do centrum konferencyjnego.

Usiadła przy kontuarze i zamówiła drinka. Nie była do końca zadowolona z tego, co dokonała, ale sądziła, że znalazła nie najgorsze wyjście z sytuacji, którą uważała za niebezpieczną. Zastopowała na jakiś czas Constance.

Rozejrzała się po barze i zobaczyła Underwood siedzącą przy stoliku w rogu sali, w towarzystwie swoich popieczniczek. Dziś Connie miała na sobie prostą sukienkę, de la Renta, która prawdopodobnie kosztowała więcej, niż mąż Virginii zarabiał w ciągu miesiąca.

Connie zauważyła Ginny i pomachała jej ironicznie ręką. Teiwilliger skinęła głową i odwróciła się plecami do sali, pociągając łyk z kieliszka. Czuła się zmęczona.

— Cholernie szybko tu u was w Chicago paruje alkohol — mruknęła do barmana.

— Nalej jeszcze jednego.

Musiła, choć niechętnie, przyznać sama przed sobą, że jej awersja do Underwood częściowo wynika ze zwykłej babskiej zazdrości. Connie miała wszystko, czego nie miała Ginny. Smukłą figurę i wrodzoną elegancję. Poruszała się z wdziękiem, zawsze zadbana i wypielęgnowana, zawsze wymuskana. Ginny pragnęła choćby niewielkiej ilości tego blasku.

Ale zazdrość była tylko niewielką częścią tej niechęci. Cofmie po trupach dążyła do władzy, z którą nie zamierzała się z nikim dzielić. Powierzenie jej przyszłości NKS byłoby równoznaczne z oddaniem Sprzysiężenia w ręce jakiejś męskiej szowinistycznej świni, która puszyłaby się stanowiskiem jako kolejnym potwierdzeniem swoich talentów i charakteru.

Constance Underwood. Jeżeli zostanie przewodniczącą, NSK stanie się zakładnikiem jej nienasyconej żądzy władzy, ambicji, uznania i hołdów.

Nie, nie taka cholerna pirania jak ona, pomyślała Virginia Terwilliger gniewnie i zaczęła układać w szczegółach plan, który już przedtem nakreśliła w zarysach, plan by doprowadzić do upadku tę wyniosłą babę, teraz popijającą wino i przyjmującą komplementy niczym udzielna księżna.

Wieczorne obrady szesnastego lipca rozpoczęły się przyjęciem kilku rezolucji.

Najważniejsza była rezolucja zakazująca popierania kandydatów na urząd prezydenta, dopóki on (albo ona) nie podpisze się pod „Deklaracją NSK” — dokumentem, w którym zawarto program i cele organizacji.

Ten apel wygłosiła Margaret Afton Fuller, jedna z dwóch aktualnych senatorek Stanów Zjednoczonych. Przemówienie senator Fuller wzbudziło niewielkie zainteresowanie. Słuchaczki były rozczarowane jej nieudolnymi wysiłkami obrony swej partii jako rzecznika spraw kobiet.

Po tym wystąpieniu otwarto dyskusję nad kolejną poprawką do statutu NSK, która miałyby zezwolić na wstępowanie „do Sprzysiężenia również mężczyznom.

Debata, niekiedy obraźliwa, trwała prawie dwie godziny i prawie całą filmowały kamery telewizyjne. Przeciwniczki poprawki obstawały, by NSK pozostało tym, czym było od zarania — wojującym związkiem kobiet. Te, które były przychylnie nastawione do tej propozycji, dowodziły, że poparcie dla programu i celów NSK powinno być przyjmowane ze

wszystkich źródeł, a członkinie nie powinny uzurpować sobie praw do funkcjonowania jedynie jako przeciwniczki mężczyźni.

Była już prawie północ, kiedy prowadząca obrady stuknęła młotkiem, zamknęła dyskusję i ogłosiła głosowanie. Obliczanie wyników często przerywano okrzykami i gwizdami.

Poprawka przeszła zaledwie dwudziestoma czterema głosami.

Odtąd mężczyźni mieli pełne prawo wstępowania do szeregów NSK.

Popołudniowe obrady siedemnastego lipca miały zakończyć zjazd. Początek zaplanowano na godzinę 13⁰⁰. Porządek zebrania przewidywał tylko przedstawienie przez Zarząd Główny decyzji, kto został nową przewodniczącą. Po tym miało nastąpić przemówienie nowej szefowej do uczestniczek zjazdu.

Rankiem siedemnastego lipca Virginia Terwilliger spotkała się z Laurą Templeton w pokoju hotelowym, by poinformować o postanowieniu Zarządu. Kobiety zamówiły śniadanie składające się z soku pomarańczowego, kawy i rogalików z miodem. Zanim wypiły po drugiej filiżance kawy, najważniejszy temat sam wypłynął.

— Cóż... — zaczęła Laura, uśmiechając się z przymusem- — Wyduś z siebie tę przykrą wiadomość. Poszłam w odstawkę?

Terwilliger otworzyła swoją przepastną torebkę, wyjęła z niej złożoną kartkę papieru i położyła ją ostrożnie na stoliku. Pogmerała głębiej w olbrzymiej torebce i wyciągnęła paczkę brązowych cygaretek. Zaproponowała jedną Laurze, a kiedy ta odmówiła, zapaliła i wypuściła kłąb dymu w sufit.

— Nie — powiedziała, patrząc prosto w oczy Laurze. — Nie poszłaś w odstawkę, ale to ma swoją cenę.

— Tak? Jaką cenę?

Ginny stuknęła palcem w złożoną kartkę.

— To twój wniosek o dymisję. Nie ma na nim daty. Podpiszesz go, a znowu zostaniesz przewodniczącą. A jeżeli, obojętnie kiedy, podczas twojej nowej kadencji Zarząd w swojej nieskończonej mądrości zdecyduje, że dłużej nie jesteś w stanie wykonywać roboty, na tym podaniu o rezygnację zostanie wpisana data. Ono nabierze mocy, a ty znajdziesz się poza nawiasem.

Templeton daremnie usiłowała się uśmiechnąć.

— Nie do końca przekonujący wybór, co?

— Tylko tyle udało mi się załatwić, kotlfu. — Ginny wzruszyła ramionami. —

Jeżeli odmówisz podpisania tego

świszka, Constance Underwood usiądzie na twoim stołku. Taka jest umowa. Czy tego chcesz?

— Nie.

— Więc podpisz ten cholerny papier. Jeżeli będziesz miała szczęście, masz kolejne dwa lata przed sobą. W tym czasie może się dużo wydarzyć.

Laura milczała.

— Lauro — prosiła Virginia — pracowałam ciężko, żeby to dla ciebie wyszachrować. Wiem, że to nie jest najlepsze wyjście, ale więcej nie udało mi się osiągnąć. Wszystkie wiedzą, że jesteś chora. Connie poinformowała je. Były gotowe rzucić cię wilkom na pożarcie.

— Och, Ginny, doceniam to, co dla mnie zrobiłaś, ale zastanawiam się, czy Warto było. Być może powinnam zwinąć żagle.

— I pozwolić Underwood zająć twoje miejsce? — rzuciła z furją Terwilliger. — I zobaczyć jak NSK schodzi na psy? Czy tego właśnie chcesz?

— Nie.

Na chwilę zapanowała cisza. Ginny zapaliła następną cygaretkę. Jeżeli była wściekła, nie okazywała tego.

— Lauro — rzuciła jakby od niechcienia — zanim podejmiesz decyzję, lepiej powiem ci, że jest coś jeszcze, co chciałabym, żebyś dla mnie zrobiła.

— Spodziewałam się czegoś takiego — westchnęła Laura. — Lubisz intrygi, Ginny, prawda?

— Intrygi to moja specjalność powiedziała z uśmiechem. — Lecz teraz kieruje mną po prostu zwykły zdrowy rozsądek. Pozwól, że powiem ci, czego od ciebie oczekuję i dlaczego...

Ostatnią sesję piątego Zjazdu NSK otworzyła przewodnicząca obrad serią ogłoszeń odnośnie do miejsca i daty zjazdu w 1988 roku. Towarzyszyło temu parę chwil zamieszania za stołem prezydialnym. Kilka członkiń naradzało się między sobą, a uczestniczki zjazdu wierzły się, zniecierpliwione.

Wreszcie przewodnicząca podeszła do mikrofonu i przedstawiła Virginie Terwilliger, członkinię Zarządu Głównego, która ma przekazać informację o tym, kto został szefową na następne dwa lata.

Uprzejme oklaski powitały Ginny. Jej wypowiedź była krótka.

— Mam ogromną przyjemność — krzyknęła — powiedzieć

wam, że Zarząd Główny ponownie wybrał kobietę, która będzie służyła nam tak dobrze w przyszłości, jak to robiła w przeszłości! Siostry, z dumą przedstawiam wam Laurę Templeton!

Wstały, krzyczały, buy brawo małej figurce, która podeszła do mikrofonu — swojej przewodniczącej.

Stanęła w ostrym świetle, w jednej ze swoich słynnych kwiecistych sukien z koronkowym kołnierzykiem. Uniosła ręce w daremnej prośbie o ciszę. Stojąca owacja trwała dłużej niż pięć minut, a skończyła się dopiero wtedy, kiedy prowadząca obrady podeszła do mównicy i stuknęła młotkiem, przywołując audytorium do porządku.

I wtedy Laura Templeton zabrała głos:

— Siostry — zaczęła, czytając z kartki. — Ogromnie się cieszę i jeszcze raz dziękuję za zaszczyt, jakim mnie obdarzyłyście. Ślubuję uroczyście całym sercem, że spróbuję nie zawieść waszej wiary i zaufania. Wiem, że należałoby teraz omówić dokonania minionego czasu i wyjawić moje plany na przyszłość, ale nie mam zamiaru robić tego dzisiaj. Dzisiaj chcę przedstawić wam naszą siostrę, która dzięki swojej odwadze i stanowczości wniosła świeży powiew do naszego ruchu i udowodniła, że Narodowe Sprzysiężenie Kobiet jest siłą, z którą trzeba się liczyć. Mam wielką przyjemność przedstawić wam przewodniczącą koła w Canton, w Zachodniej Wirginii. Siostry, proszę, przywitajcie gorąco naszą nową bohaterkę! Oto przed wami... Molly Turner!!!

Ich odpowiedź była natychmiastowa. Oczywiście, wszystkie znały ją ze słyszenia, wiedziały o jej bohaterskich czynach i aprobowały je. Wstały, krzyczały, tupwały nogami, machały narodowymi proporczykami. Telewizyjne kamery pracowały. Virginia Terwilliger wprowadziła Molly na podium. Uścisnęły sobie ręce. Przy mównicy Molly i Laura Templeton objęły się, a potem odwróciły w stronę rozentuzjzmowanego tłumu kobiet, uśmiechając się i pozdrawiając je machaniem rąk. W końcu Laura wycofała się, zostawiając Molly samą.

Stopniowo oklaski umilkły. Uczestniczki zjazdu zajęły swoje miejsca. Turner cierpliwie czekała na ciszę. Nie uśmiechała się.

Powitała zjazd z poważną miną — napisał później jakiś dziennikarz.

— Siostry! — zaczęła grzmiącym głosem. — Liczba zgwałceń i napaści seksualnych na kobiety rośnie z roku na rok. Czy tego właśnie chcecie?

— Nie! — krzyknęły słuchaczki

— Liczba bitych żon i maltretowanych dzieci rośnie z roku na rok. Czy tego właśnie chcecie?

— Nie! — ryknęło audytorium.

— W dalszym ciągu kobiety są źle opłacane, znieważane na ulicy, są ofiarami sadystycznej pornografii, odmawia się im ich praw w sądach. Czy tego właśnie chcecie?

— Nie! Nie! Nie! — huczało morze kobiet. Wstały i wrzeszczały gniewnie.

Ginny Terwilliger pochyliła się ku Laurze Templeton.

— Ten dzieciak to dynamit — stwierdziła.

Molly Turner wygłosiła krótką, trwającą jedenastcie minut i trzynaście sekund płomienną przemowę bez zapisków, bez notatek. Wszystkie uczestniczki zjazdu przez cały ten czas stały. Od czasu do czasu przerywały jej burzliwymi oklaskami i przedłużającym się tupaniem—wyrazem aprobaty. Ten hałas zagłuszał momentami wypowiedane przez Molly słowa.

Później fachowcy zajmujący się analizą przemówień opublikowali w mało znanych artykułach następujące stwierdzenia: W tym słynnym zaimprovizowanym wystąpieniu użyto słowa „walczyć” — 23 razy, „wojna” — 19 razy, „bitwa” — 11, „bojowy” — 9 i „ofiara” — 6 razy.

Pierwsza część przemówienia poddawała ostrej krytyce warunki, w jakich żyją kobiety. Towarzyszyło temu krótkie wyliczenie, jakie środki przedsięwzięło koło NSK w Canton, by to zmienić.

Kilka ostatnich chwil tego przemówienia wzbudziło największy aplauz wśród uczestniczek zjazdu i przyciągnęło uwagę środków masowego przekazu. Tę część pokazały wszystkie sieci telewizyjne w wieczornych wiadomościach siedemnastego lipca.

— Są wśród nas takie — mówiła Molly Turner — które radzą, aby współpracować z obecną władzą, by zmienić prawo. Namawiają nas, żebyśmy wybrały przedstawicieli, którzy będą walczyć o nasze sprawy! — krzyczała. — Mówię wam, nie wierzcie temu. Ten kraj powstał w krwawej rewolucji. Przemoc jest w naszej krwi. Jeżeli jesteśmy uczciwe, musimy to przyznać same przed sobą. Pokojowa rewolucja? Co za idiotyczne określenie?

— Mówię wam, ten kraj narodził się z gwałtu i szanuje tylko przemoc. To jest 1987 rok i to jest Ameryka, gdzie mężczyźni mogą bezkarnie bić swoje żony, znęcać się nad dziećmi i wykorzystywać je seksualnie; mogą gwałcić każdą z nas, płacić nam najmniejsze pensje; mogą, kiedy małżeństwo rozpadnie się, porzucić nas lub zabierać nasze dzieci. Czy chcecie znosić

w pokorze to poniżające położenie? Ja nie! Czy chcecie wierzyć, że mężczyźni bez przemocy rozwiążą nasze problemy i zaprowadzą nas do ziemi obiecanej? Ja nie! - Chcę żebyście podjęły zobowiązanie dziś, teraz, w tej chwili. Koniec z pikietami, precz z demonstracjami, czy podpi-, sywaniem petycji. Chcę, żebyście uroczyście przysięgły na nasze życie — tak, do tego może dojść — że nie zrezygnujecie z walki przeciwko nierówności i niesprawiedliwości. Jeżeli nie wierzycie w to, w co ja wierzę, nie chcę waszych oklasków. Czy chcecie pójść do Kongresu, kłaniać się i mówić: „Prosimy, sir, czy mógłby pan rzucić nam jakiś okruch?” Jeśli tak, to sram na waszą pokorę i nie jesteście moimi siostrami. Ale jeżeli chcecie walczyć, walczyć, walczyć i jeżeli zajdzie taka potrzeba, umrzeć za to, w co wierzycie, w co ja wierzę, wtedy powiem: chodźcie do mnie, weźcie mnie w ramiona, ucałujcie mnie, bo jestem z wami i z dumą nazwę was siostrami.

Odwróciła się od mównicy i oddaliła dużymi krokami. Uczestniczki zjazdu eksplodowały: śmiały się, płakały, krzyczały, wygrażały zaciśniętymi pięściami. To było pandemonium. Wiele członkiń NSK szturmowało podium, by zbliżyć się do Molly Turner, porozmawiać z nią, dotknąć jej, uścisnąć ją. Kamery telewizyjne kręciły jak szalone, starając się nie uronić niczego z tego widowiska. Reporterzy rzucili się, by przeprowadzać wywiady z szeregowymi członkiniami, szefowymi NSK i — jeżeli się uda — z kobietą, która wywołała to całe zamieszanie.

W środku tego szaleństwa Virginia Terwilliger siedziała spokojnie za stołem prezydialnym. Wychyliła się i spojrzała na Constance Underwood, która siedziała wyprostowana, bez cienia uśmiechu na twarzy. Ginny pomachała jej ręką sardonicznym, naśladującym pozdrowienie gestem, takim jakim Connie pomachała jej w hotelowym barze.

Rozkoszowała się pełnym wściekłości i nienawiści spojrzeniem, jakie rzuciła jej Constance.

9 sierpnia 1987

Lemuel K. Dundee nie był takim głupcem, za jakiego uważał go Thomas J. Kealy i wielu innych. Wyglądał jak głupiec, mówił jak głupiec, czasami zachowywał się jak głupiec. Ale ten facet miał swój rozum. Był dość mądry, aby się z tym nie zdradzać.

Na początku kariery, krótko po otwarciu praktyki adwokackiej, a jeszcze przed wyborami do Senatu Stanów Zjednoczonych, podjął doniosłą decyzję. „Jeżeli mi się powiedzie, muszę udawać kogoś, kim nie jestem”. Zaczął odnosić sukcesy i, jak wszyscy dwulicowi osobnicy, stracił zdolność rozróżniania, co jest rzeczywistością, a co iluzją. Stał się tym, kogo udawał.

Jeszcze... niekiedy... miewał wyrzuty sumienia, a czasami marzenia. Nie mógł wyleczyć się z miłości do poezji. Ale to były drugorzędne sprawy. Najważniejsza była gra, którą sam wybrał, a grał z zaangażowaniem i zrećnością.

Polityka, Dundee wierzył, to hazardowa gra. To było jak gra w kości o największą stawkę na świecie. Czasami grasz ryzykownie, żeby wygrać, zapobiegasz dalszym stratom, nigdy nie krzyczysz i zawsze tęsknisz do zagarnięcia całej puli. Kosztuje cię to wiele nerwów, dużo determinacji, zimnego uśmiechu zawodowca, obojętnie czy w końcu wygrasz, czy stracisz.

Z pewnością, według zwykłych kryteriów mógł być uważany za wygrywającego.

Posiadał piękny dom w Spring Valley, dwa samochody, jacht, letni domek w Chesapeake Bay. Wszystkie dzieci posłał do collegów, a jego żona mogła kupować tyle swych idiotycznych figurek z porcelany, ile chciała.

Oczywiście nie opłacał tego wszystkiego z senatorskiej diety. To wszystko miał dzięki nieustającej pomocy swoich przyjaciół. Jasne, nigdy nie brał łapówek w gotówce. Datki na kampanię — tak, gotówka — nie. Były przecież sposoby, żeby... Jeden telefon przyjaciela do banku załatwił Lemuelowi K. Dundee specjalne konto hipoteczne. Inny przyjaciel poufnie poinformował go o mającej nastąpić fuzji. Trzeci miał powiązania ze światem przestępczym i od czasu do czasu dostarczał wiadomości o pewniakach w wyścigach konnych lub innych hazardowych zakładach.

Jeszcze inny przyjaciel często urządzał wieczory kawalerskie w weekendy w Północnej Karolinie, w swoim domku myśliwskim. Urządzali tam polowania na przepiórki i pieprzyli małoletnie prostytutki. To przyjaciele szeptali senatorowi Dundee informacje o potencjalnych odwiertach naftowych, napomykali o postępach w farmakologii i wtajemniczali w tajniki przepływu gotówki z Wysp Kajmańskich do Luksemburga, Liberii, Hongkongu tak szalenie pogmatwaną drogą, że przyprawiało to o ból głowy urząd podatkowy.

Innymi słowy, jego przyjaciele troszczyli się o niego, a on troszczył się o nich w granicach możliwości swoich wpływów,

jako szacowny senator i członek Komisji do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Doskonale wiedział, że jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się wziąć udział w tej hazardowej zagrywce o prezydenturę, będzie mógł to zrobić tylko za radą i przyzwoleniem swoich szczodrych, stalowookich przyjaciół.

Spotkał się z Tomem Kealym wieczorem dziewiątego sierpnia. Kongres miał przerwę urlopową. Dundee przebywał w swoim letnim domku niedaleko Cove Point, ale przyjechał do Waszyngtonu, by usłyszeć wynik sondażu, do którego przeprowadzenia upoważnił Kealy'ego. O 20³⁰ mieli całe biuro senatora dla siebie. Pracownicy, którzy nie byli na urloпах, dawno poszli do domu.

To był jeden z tych letnich dni, który zamieniał stolicę w jedną wielką saunę. Dundee był ubrany w luźną trykotową koszulę i bawełniane spodnie, ale jego doradca przywdział swój zwykły garnitur, tyle że tym razem z tropiku.

Kealy od razu przystąpił do sedna. Otworzył czarną am-basadorkę i wyjął z niej dwa komplety dokumentów w niebieskich kopertach.

— Ten sondaż przeprowadziła firma „Selig i Conover” — zaczął. — Są zajęci jak diabli, robią badania dla kandydatów na urząd prezydenta, więc trochę później zabrali się za nasz temat, ale zwłoka pracowała na naszą korzyść. Ten sondaż był gotów w dwa tygodnie po ogólnokrajowym zjeździe Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Wszystkie mass media naświetliły to wydarzenie, tak więc badania te są jak najbardziej aktualne. Oparto je na wywiadach telefonicznych przeprowadzonych na próbie 1832 osób podzielonych równo według płci. Wszyscy w wieku wyborczym. Przekrój wiekowy próbki był podobny do tego, jaki zastosowano dla kandydatów na fotel prezydenta. Zadano trzy pytania: Czy znasz Narodowe Sprzysiężenie Kobiet? Czy znasz ich cele i metody? Jeżeli tak, to czy pochwalasz, czy potępiasz te metody i cele?

— No dobra, dobra — mruknął Dundee niecierpliwie. — Wnioski.

Kealy rozsiadł się wygodnie, założył nogę na nogę i westchnął.

— Senatorze, nie wiem, co znaczą te liczby. Być może podsunąłem panu idiotyczny pomysł z tym sondażem. Nawet „Selig i Conover” przyznają, że to najbardziej niesamowite wyniki, z jakimi kiedykolwiek mieli do czynienia. Ale od początku. Około 78 procent badanych, zarówno kobiet jak i mężczyzn, wie, czym jest NSK. To cholernie wysoki procent biorąc pod uwagę, jak niewielu ludzi ma pojęcie, czym jest

Zarząd Rezerw Federalnych, albo Komisja do Spraw Finansów Państwa. Z tych, którzy słyszeli o NSK, 88 procent kobiet i 61 procent mężczyzn zna ich cele i metody. Znowu zadziwiająco wysoki wskaźnik.

— Wysoki — zdziwił się Dundee. — Niewiarygodnie wysoki!

— Jeżeli chodzi o aprobatę, czy odrzucenie celów i metod: 32 procent kobiet popiera je, 10 procent jest przeciw. 37 procent mężczyzn jest za, 13 procent przeciw. Pozostali nie mają zdania. A fachowcy od badania opinii publicznej mówią, że terminem „niezdecydowany” można dokładnie określić tych, którzy ani nie aprobują, ani nie potępiają metod NSK.

— No i co dalej z tymi procentami „niezdecydowanych”?

— 18 procent nie popiera celów NSK, a około 60 procent nie ma zdania, jeżeli chodzi o przemoc i gwałt. Senatorze, po prostu nie wiem, co to oznacza. Czuję się winny, miałem nadzieję, że dostaniemy dobrego konia i na nim wjedziemy do Białego Domu. Ale nie może pan liczyć w wyborach na niezdecydowanych.

— Mhm — mruknął senator Dundee zauważając, że jego doradca nie nauczył się jeszcze myśleć politycznie. Oparł się wygodnie w obrotowym fotelu, nogi założył na biurko, a ręce splótł na karku. — Oglądałeś zjazd NSK?

— Trochę widziałem.

— Widziałeś tę ostatnią kobietę, która przemawiała? Zaraz, zaraz, jak ona się nazywała? Molly Turner? Tak. Ta, która chciała powiesić za jaja każdego faceta w tym kraju.

— Baba siekiera.

— Siekiera? Mylisz się. To najlepszy mówca, jakiego kiedykolwiek słyszałem, a słyszałem już wielu niezłych. Odniosła zwycięstwo. Podobało mi się jej przedstawienie, było profesjonalne — jeśli wiesz, co mam na myśli.

— A co pan myśli o jej pomysłach? O tych rzeczach, które chce robić?

— Och, to wszystko bzdury. Podstawowa sprawa to pytanie, czy są to niebezpieczne bzdury.

— Chyba pan nie wziął jej poważnie, prawda, senatorze?

— Cóż... — powoli zaczął Dundee. — Nikt nie brał poważnie na początku Johna Browna, czy Hitlera, jeżeli o to chodzi. Czytałeś artykuł "tego zabawnego faceta, który pisze w „Herald”? Nazwał ją „damskim Napoleonem” i napisał, że zjazd był jej najświetniejszym okresem. Tom, zostaw mi kopię wyników sondażu. Chcę je dokładnie przeczytać i przemyśleć. Nie musisz mnie przeproszać za wydatki na te badania. To

może okazać się najlepszą inwestycją, jaką w życiu zrobiłem.

Jadąc do Cove Point senator powiedział głośno sam do siebie:

— Prezydent Dundee, to brzmi nieźle. Oczywiście Lemuel jest idiotycznym imieniem. Ale nazwisku Dundee nie można nic zarzucić. Jest mocne, stanowcze, dobitne, żadne tam gładzenie.

Hymn prezydenta, czerwone dywany, dwadzieścia jeden wystrzałów armatnich. Air Force One, weekendowe helikopterowe podróże do Camp David, obiady, _spanie w łóżku Lincolna, zagraniczne podróże, wynagradzanie przyjaciół i deptanie wrogów. Prawie nie miał odwagi myśleć o tym wszystkim.

Najważniejsze sprawy, jakie mógł zrobić dla tego kraju, to: zredukować długi, zmniejszyć liczbę bezrobotnych, zrównoważyć budżet, spowodować wzrost eksportu na inne kontynenty, powstrzymać komunistów, wzmocnić armię, obniżyć podatki, pomóc biednym, przyjść z pomocą chorym, nakarmić dzieci, subwencjonować mniejszości, być miłym dla ludzi dużego interesu i dla robotników, ratować wieloryby, podejmować papieża hot-dogiem w Białym Domu. Prezydent Dundee mógł dokonać tego wszystkiego.

Kiedy przyjechał do domu, jego żona siedziała w bawialni i grała sama ze sobą w trik-traka. Na stole stała szklaneczka burbona.

— Marto — oznajmił. — Mam zamiar zostać prezydentem. Co ty na to?

Podniosła na niego oczy znad planszy i spojrzała obojętnie.

— Gównu mnie to obchodzi — stwierdziła.

Badania rejestrów Narodowego Sprzysiężenia Kobiet wskazują, że w ciągu trzech miesięcy po piątym zjeździe (15—17 lipca 1987 roku) organizacji przybyło sto tysięcy nowych członkiń. Zgłoszenia napływały nieustannie także w następnych miesiącach. W rok po tym zjeździe NSK podwoiło z nadwyżką liczbę członków. " Oprócz wzrastających dochodów z tytułu składek od rekrutek NSK, a także dobrowolnych datków członkiń, gotówka i czeki napływały od kobiet, mężczyzn, związków, korporacji i fundacji. Najbardziej hojnym datkiem był czek bankowy na sto tysięcy dolarów od anonimowego darczyńcy.

Przewodnicząca Laura Templeton i Zarząd Główny nie

mieli wątpliwości, że wzrost członkostwa jest zasługą Wspaniałego wystąpienia Molly Turner na zjeździe.

Pod koniec września Molly została zaproszona do Waszyngtonu na spotkanie z Templeton i całym Zarządem Głównym. Odbyła długą i doniosłą konferencję.

Protokół zebrania zawierał, co następuje:

— natychmiast zostaną powołane paramilitarne oddziały z własną kadrami, sztabem, budżetem i kwaterą główną,

— ta samodzielna administracyjnie struktura będzie przeznaczona do aktywnej obrony praw kobiet, włączy się także w agresywne działania przeciwko tym, którzy usiłują ograniczyć lub odrzucić prawa kobiet,

— oddziały zostaną zorganizowane na wzór tradycyjnego wojska. Każdy oddział stanowy składać się będzie z batalionów, kompanii i plutonów. Zaciągu dokona się z szeregów NSK,

— kadra będzie używać tytułów: pułkownik, podpułkownik, major, porucznik, itd... Szeregowie członkinie zwane będą siostrami,

— decyzje, czy w akcjach będzie obowiązywało noszenie munduru, pozostawiono w gestii głównodowodzącej,

— Molly Turner została jednogłośnie wybrana na komendanta tych oddziałów, zatrudniona w pełnym wymiarze godzin z roczną pensją 50 tysięcy dolarów i otrzymała wolną rękę w dobraniu sztabu, rozporządzaniu finansami, doborze metod walki i wyborze miejsca na kwaterę główną,

— paramilitarne oddziały nazwano Kobięcymi Korpusami Obrony, ale to była semantyczna zmyłka dla środków masowego przekazu. Wszystkie obecne na zebraniu, na którym powołano do życia KKO, przyznały, że bardziej odpowiednia byłaby nazwa Armia Wyzwolenia Kobiet.

8 października 1987

Constance Underwood nie przyjęła życzliwie utworzenia nowej struktury w NSK. Nie miała nad nią kontroli i prawie żadnych wpływów. Uznała, że ponowny wybór Laury Templeton na stanowisko przewodniczącej i mianowanie Molly Turner komendantką KKO pokrzyżowały jej plany.

Krótko, bardzo krótko brała pod uwagę możliwość odejścia z Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Jej ambicje były tak przemożne, tak niepoahamowane, jak jej miłości. Prawie auto-

matycznie zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób może zdobyć władzę.

Poznała wiele szczegółów z zebrania Zarządu Głównego w Chicago. Wiedziała, że już za dwa lata zdobędzie stanowisko przewodniczącej NSK; albo nawet szybciej, jeżeli Laura nie będzie w stanie pracować.

Pamiętając o tej możliwości, zaczęła poszukiwać sposobów zmniejszenia lub ograniczenia hegemonii Molly Turner, tej parweniuszki, nowej rywalki. Connie nie tylko nie zgadzała się z teoriami Turner o radykalizacji działań, ale także organicznie nie znosiła tej kobiety.

Constance Underwood była zazdrośnicą, która wpadała w furję z powodu sukcesów przyjaciół, a ich szczęście doprowadzało ją do wściekłości. W konsekwencji miała niewiele przyjaciółek i uprzytomniła sobie, że bardziej, coraz bardziej zwierza się Billowi McCrei, tylko dlatego, że był cierpliwym słuchaczem. On nigdy nie zadawał pytań. Connie zwierzała mu się ze swoich frustracji i marzeń.

— Są dwa ważne problemy — mówiła mu. — Och, jakie to miłe, Billy. Nie przerywaj. Pierwszym jest ta stara baba. Oczywiście, nie mam zamiaru czekać dwóch lat, by usiąść za jej biurkiem. Och, Billy, to. fantastyczne! Właśnie tak! A drugim jest ta nieokrzesa parweniuszka ze wzgórz Zachodniej Wirginii, z tą swoją śmieszną armią ołowianych żołnierzyków. Ten babsztyl jest pijany władzą i dopóki możemy ją mieć pod kontrolą, Sprzysiężenie nie wpada w tarapaty. Słuchaj, są - przecież paragrafy na zamachy bombowe, podpalenia, przemoc fizyczną, i tak dalej... Na dodatek, ona jest... Och, Billy, kiedy to robisz, mam ochotę wrzeszczeć. Ona... gromadzi broń i dynamit, i Bóg wie co jeszcze. A teraz, Billy, to, co lubisz najbardziej. Lubisz to, prawda? Tak samo jak ja...

Pijana rozkoszą obserwowała go poruszającego się po pokoju i ubierającego się. Była świadoma swego ciała. Znała jego wartość, strome piersi, szczupłą talię, gładkie uda, ale patrząc na Billa zapragnęła mieć takie ciało jak on.

— Billy! — zawołała, patrząc, jak bierze kopertę ze swoją zapłatą i wkłada ją do kieszeni marynarki.

Odwrócił się do niej z tym swoim nieobecny uśmiechem.

— Billy? To, co ci tu mówię, no wiesz, o NSK i tak dalej. Mam nadzieję, że nie powtarzasz tego nikomu, co?

— Coś ty! Wiesz przecież, że jestem w porządku. Nikomu ó tym nie gadam.

— Jasne, że nie — mruknęła Connie. — Zresztą, kogo by to mogło interesować?

21 października 1987

Molly Turner nie można było nazwać piękną ani nawet ładną.

— Myślałam, że jesteś ładniejsza — wymknęło się jednej z kobiet w jej gabinecie.

Molly roześmiała się.

— Widziałyśmy ciebie w telewizji — wyjaśniła nieśmiało druga.

— Wtedy miałam makijaż — powiedziała Molly. — I szykowną kieckę. Byłam wystrojona jak małpa. W czym mogę wam pomóc?

Te dwie młode kobiety przyjechały z Ft. Nelson, małej miejscowości leżącej około dwunastu mil na północny zachód od Canton. To było spokojne miasteczko, zbyt małe, żeby założyć koło NSK. I naprawdę mało kto interesował się tu walką o równouprawnienie kobiet.

Opowiedziały Molly, że około sześć miesięcy temu wyszło na jaw, iż w Ft. Nelson ktoś z samochodu campingowego rozprowadza narkotyki, parkując w nocy na otwartej przestrzeni nieopodal przydrożnego zajazdu.

— Oh sprzedaje marihuanę, kokainę — zaczęła z oburzeniem jedna z kobiet — i wszystkie te pigułki uczniom i każdemu, kto tylko chce. Dwóch chłopców zabrano już do szpitala.

Powiedziały, że one i inni zaniepokojeni rodzice zgłosili to komendantowi miejscowej policji. Przyrzekł zająć się tą sprawą, ale do dziś hic nie zrobił.

— Bierze forszę i przymyka oczy — stwierdziły stanowczo. — Musi brać łapówki. Wie, w czym rzecz, ale nie chce nic zrobić.

W tym okresie Turner była głęboko zaangażowana w organizowanie Kobięcych Korpusów Obrony, ale przyrzekła zobaczyć, czy da się coś zrobić.

— Jednak wy obie i inne kobiety z Ft. Nelson musicie wstąpić do NSK. Tylko wtedy, kiedy będziemy działać razem, możemy powstrzymać takie rzeczy jak ta. Zostawiły jej małą odręczną mapę okolicy. Dwa dni później, nocą, sierżant Rod Harding ubrany po cywilnemu pojechał obejrzyć to miejsce. Kiedy wrócił, pokazał małą przezroczystą torebkę swojej żonie i Molly.

— Ha! — zawołał. — On to robi otwarcie, wcale się nie kryje. Musi mieć ochronę. Mój Boże, on ma prawie aptekę w tym domku na kółkach. Można u niego dostać trawkę, kokę, hasz, środki pobudzające i uspokajające, obojętnie jak je

nazwiesz. Zaparkowałem kawałek dalej, po drugiej stronie drogi. Zanim wszedłem i kupiłem to, w ciągu godziny naliczyłem pięć samochodów, które się zatrzymały. Przeważnie dzieciaki w gratach i furgonetkach, a jeden na skuterze. To kokosowy interes.

— Dzięki, Rod — powiedziała Molly z wdzięcznością. — Jak myślisz? W jaki sposób się z tym uporamy?

Spojrzał na nią spod oka.

— Hej! — odezwał się. — To ty jesteś dowódcą. Najwyższy czas, żebyś zaczęła planować taktykę. Przystudiowałaś poradniki, które ci dałem, wiesz co i jak robić. Powiem ci coś, podam ci wszystkie potrzebne informacje, a ty opracujesz plan akcji. Później przejrzę go i powiem ci, co o tym myślę. Zgadzasz się?

Molly i Ann pracowały razem, naszkicowały detale i plan spalenia tego amatora łatwych pieniędzy. Pokazały go Hardingowi. Miał tylko niewielkie uwagi.

— Dwa samochody pełne kobiet wyglądają już jak kawalkada — powiedział. — Ludzie zauważą was i zapamiętają. Dwa samochody, okay, ale muszą jechać różnymi drogami i spotkać się w ustalonym miejscu. Na waszym miejscu nie używałbym w tej akcji koktajlu Mołotowa. Wykona swoje zadanie, ale jest niebezpieczny w użyciu. Szmata nasączona naftą wystarczy, a zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że butelka może eksplodować, zanim zdążycie ją rzucić. Zakradnijcie się, rozleście naftę dookoła, użyjcie długiego lontu, a zapalnik zamontujcie w pewnej odległości. Podpalcie i w nogi. Wiejcie tak szybko, jak potraficie, dopóki nie wybuchnie zbiornik paliwa w tym cholernym domku na kółkach.

Nocą dwudziestego pierwszego października dwa samochody o różnych godzinach wyruszyły z Canton. Jeden prowadziła członkini NSK, a były w nim jeszcze Molly i dwie pasażerki. Ann jechała buickiem regalem w towarzystwie trzech członkiń NSK. W bagażniku każdego samochodu znajdował się galonowy kanister z benzyną, dubeltówka, karabin i rewolwer. Całą tę broń wypożyczyły od mężów i narzeczonych.

Oba samochody przyjechały do miejscowości Ft. Nelson w odstępnie kilku minut. Zaparkowały w pobliżu grupy grubych klonów, kawałek od samochodu campingowego, po drugiej stronie drogi. Ich pasażerki czekały cierpliwie, aż kolejny klient wyjdzie z „apteki”, wsiądzie do furgonetki i odjedzie.

Wtedy kobiety wysiadły z aut. Cztery z nich, uzbrojone w fuzje i karabiny, z obu stron zamknęły drogę pachołkami. Ann i Molly z rewolwerami w kieszeniach kurtek podeszły do

drzwi domu na kółkach. Siedem kobiet czekało w pobliżu zaparkowanych samochodów, z kanistrami pełnymi benzyny.

Molly dwa razy zastukała do drzwi, które po chwili uchyliły się na kilka cali. Facet z drugiej strony przyglądał się jej badawczo.

— O co chodzi? — spytał.

— O towar — odparła Ann uśmiechając się uroczo. — Przyjaciel powiedział nam, że tu dostaniemy.

Mężczyzna zmierzył ją z góry na dół.

— Jasne, dziewczusko. Mam wszystko, co tylko chcesz, nawet najlepszą kolumbijkę. Otworzył drzwi szerzej, odwrócił się plecami i ruszył w głąb pomieszczenia.

— Wychodzimy stąd — rozkazała Molly. — Pójdiesz z nami.

— Co? — spytał odwracając się.

Na widok rewolwerów w ich rękach jego oczy zwięzły się.

— Co to ma znaczyć, do diabła? Oszalałyście, czy co? Schowajcie to — wskazał na broń.

— Dalej, idziesz z nami — powtórzyła Molly. — No jazda, chyba że chcesz wylecieć w powietrze razem z tą cholerną budą.

— Co to ma znaczyć? — domagał się wyjaśnień. — Czy to napad? Chcecie pieniędzy? Weźcie je.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów.

— Macie — powiedział i pomachał nimi. — Weźcie sobie.

— Rzuć je na podłogę — poleciła Molly — i cofnij się. Wahał się tylko przez chwilę, potem zrobił, co mu kazano.

Ann zbierała banknoty, a Molly trzymała go na muszce.

— W porządku. Wychodzimy stąd — mruknęła.

— Będziecie miały kłopoty — zagroził. — Mam tu wielu przyjaciół.

— Jasne, że masz. — Molly wzruszyła ramionami. — Jednym z nich jest komendant miejscowej policji. Powiedz mu o tym. Na pewno mnie zaaresztuje. To będzie wielkie przedstawienie. Potrzebuję rozgłosu, nie wiesz?

— Hej! — krzyknął patrząc na nią. — Znam cię, widziałem cię w telewizji.

— Właśnie. Nazywam się Molly Turner, możesz to powiedzieć swoim przyjaciołom.

Zabrały go z samochodu campingowego, zaprowadziły w pobliże pojazdów, którymi przyjechały, i kazały mu położyć się twarzą do ziemi. Ann obszukała go i wyjęła mały automatyczny rewolwer z kabury, którą miał przymocowaną w pasie.

Zostawiwszy Ann, by go pilnowała, Molly i pozostałe członkinie NSK ruszyły z kanistrami w stronę domu na kółkach. Facet uniósł głowę i zaraz zorientował się, co mają zamiar zrobić.

Zaczął obrzucać je przekleństwami. Gdy Molly zawróciła i kopnęła go w głowę, umilkł.

Dwie kobiety przeszukały wnętrze pojazdu. Jak powiedział Harding, to była apteka. Znalazły ponadto pokaźną ilość gotówki w puszcze i dwa rewolwery. Zabrały pieniądze i broń. Następnie rozlały benzynę na zasłaną dywanem podłogę i oblały nią ściany. Zapach był tak intensywny, że musiały zatkać nosy.

Ochłapały benzyną drzwi i ziemię w odległości dziesięciu stóp wokół pojazdu i odrzuciły puste kanistry. Molly zapaliła lont. Odwróciły się i ruszyły do ucieczki. Były już przy zaparkowanych autach, kiedy rozległo się głośne bum! W górę wystrzeliły płomienie. Molly nacisnęła trzy razy klakson. Kobiety odblokowały drogę, wskoczyły do samochodów i odjechały, zostawiając handlarza narkotykami. Siedział, oszołomiony na drodze.

Oddaliły się około stu jardów, kiedy drugi wybuch rozświetlił czerwienią nocne niebo.

— To na pewno wyleciał w powietrze zbiornik, paliwa w tym domu na kółkach — stwierdziła Molly.

Prowadziła buicka. Ann siedziała obok niej, a pozostałe pięć kobiet zapakowało się do drugiego auta i wracało inną drogą do Canton.

— Trzy sztuki broni i pieniądze — zaśmiała się Molly. — Niezła nocna robota.

— Molly, czy to było mądre, mówić mu swoje nazwisko?

— Rozpoznał mnie, więc to nie miało znaczenia. Myślisz, że będzie chciał mnie zastrzelić?

— No właśnie.

— Nie ten tchórzliwy śmierdziel. Trzymał przy sobie rewolwer, prawda? Gdyby miał choć trochę odwagi, złapałby za broń, zamiast dać sterroryzować się dwóm babom.

— Czy ty nigdy się nie boisz?

— Cały czas mam pietra, i co z tego?

Przez długą chwilę jechały w milczeniu. Wreszcie Ann odwróciła się i spojrzała na siostrę.

— Kotku — zaczęła ostrożnie. — To ostatnia akcja, w jakiej brałam udział.

— Tak? Dlaczego? — spytała Molly zimno, patrząc prosto przed siebie. — Masz stracha?

— Nie — odpowiedziała Ann. — Wiesz dobrze, że to nie to. Wierzę w to, co robimy. Popieram cię w stu procentach. Jestem z ciebie i z tego, co robisz, bardzo dumna, ale nie mogę brać aktywnego udziału w naszych akcjach. Molly... jestem w ciąży.

— Co? — krzyknęła jej siostra. — Powtórz to!

— Jestem w ciąży.

Molly zjechała z drogi i zatrzymała samochód na poboczu. Odwróciła się, wzięła siostrę w objęcia i ucałowała.

— O Jezu! Jezu! Jezu! To cudowne — powiedziała. — To absolutnie cudowne.

Kochanie, jestem taka szczęśliwa. To wspaniałe dla ciebie, dla Roda, dla mnie, dla całego tego pieprzonego świata. W ciąży! Od jak dawna wiesz?

— Od dwóch dni.

Molly odsunęła się i ze złością spojrzała na Ann.

— Od dwóch dni? Idiotka. Nigdy nie pozwoliłabym ci pójść dzisiejszej nocy, gdybym wiedziała.

— Dlatego właśnie nie powiedziałam ci. Zaplanowałyśmy to razem i chciałam wziąć w tym udział.

— O Boże, a ja byłam gotowa zwątpić w ciebie. Proszę, proszę, wybacz mi, słoneczko. Powinnam była się domyślić. Oczywiście, dziecko jest najważniejsze. Czy Rod już wie?

— Tak. Powiedziałam mu.

— I pozwolił ci na tę wyprawę?

— Och Molly, Rod nie ma tu nic do gadania, wiesz o tym. Tak, próbował wybić mi to z głowy, ale kiedy stwierdził, że bez rezultatu, powiedział: — Zrób, co musisz zrobić, dziecinko. — Więc zrobiłam. On ma własne problemy, myśli, że wyrzucą go z pracy.

— Roda? Wyrzucą? O Boże! Dlatego, że nam pomaga?

— Prawdopodobnie, wiesz, co ludzie gadają. Molly zapaliła silnik i wjechała na drogę.

— Posłuchaj, porozmawiam z Rodem jeszcze dziś. Sądzę, że powinien złożyć rezygnację, zanim go wywalą. Mam duży budżet dla Kobięcych Korpusów Obrony, a nawet nie zaczęłam kompletować sztabu. Potrzebuję Roda. On już i tak dużo zrobił dla NSK. Mogę dać mu większą pensję, niż ma teraz. Może zostać szefem sztabu lub kimś w tym rodzaju. Myślisz, że się zgodzi?

Ann zastanawiała się przez chwilę.

— Uważam, że tak. Molly, on cię kocha, wiem to, i naprawdę rozumie to, co robimy. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy: na to dziecko, które ma się narodzić, i na wszystko inne.

— Musiałby wstąpić do NSK — stwierdziła Molly. — Ale z tym nie ma problemu. Mężczyźni mogą już być członkami naszej organizacji. Jezu, mam nadzieję, że się zgodzi. Wątpliwe, czy byłabym w stanie zrobić to wszystko bez niego. Słuchaj, kotku, chcesz chłopca czy dziewczynkę?

— Dziewczynkę — powiedziała szybko Ann. — Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— To wszystko, siostrzyczko! — krzyknęła Molly wesoło i zaciśniętą pięścią walnęła w klakson.

14 listopada 1987

Deszczowy dzień w Waszyngtonie. Deszcz zaczął ostrymi ukośnymi strumieniami. Posiedzenie w Senacie można było sobie darować. Na parterze czterech znudzonych senatorów drzemało, przysłuchując się zagmatwanej dyskusji nad rejestracją kręgarzy. Na galerii turyści z głębi kraju zdumiewali się, na co idą ich podatki.

— Pozwól, że coś ci powiem na temat polityki — odezwał się Lemuel K. Dundee do Thomasa J. Kealy.

Wszyscy senatorowie mieli prawo do korzystania z pokoi w jednym z budynków Senatu, ale tylko senatorowie — seniorzy mogli korzystać z tajnego przejścia, czy „schronienia” na samym Kapitolu. Te pokoiki — niektóre małe i skromnie umeblowane, inne duże i bogato urządzone — znajdowały się za zamkniętymi, nieoznakowanymi drzwiami przy ogólnie dostępnych korytarzach.

„Schronienie” Dundee’ego znajdowało się daleko od sali przesłuchań. Wspaniałe miejsce na załatwianie spraw. Odświeżony kroplą starej whisky przyjmował tu ważnych wyborców lub ucinał sobie małą drzemkę w czasie nudnawych debat. Pokój, choć nieduży, był wygodnie urządzone: Stały tu fotele, sofa, stolik do gry w pokera, telewizor i szafka zawierająca okazały wybór alkoholi oraz telefon i dzwonek, który budził go z drzemki i wzywał na głosowanie.

Była prawie 17³⁰, kiedy senator razem ze swoim doradcą weszli do biura Dundee’ego, by odpocząć i pogadać o polityce.

— Co z tym listem do FBI? — spytał senator.

— Edith właśnie kończy przepisywać go — powiedział Kealy. — Przyniesie go tu, żeby mógł pan podpisać. Nie musi pan wracać do biura.

— Wspaniale — mruknął Dundee. — A teraz wróćmy do tego, o czym ci mówiłem...

Obaj mężczyźni popijali burbona. Kealy czuł odrazę do tego trunku, ale utarło się, że to „męski” alkohol dla amerykańskich polityków, więc nauczył się przetykać go bez skrzywienia.

— Pierwsze prawo polityki mówi — zaczął senator — że każdy głosuje dla własnej korzyści. To podstawa. Drugie prawo to takie, że między dwoma największymi politycznymi partiami różnica jest nie grubsza od włosa.

Senator wyciągnął się na kanapie, połuźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, zrzucił buty. Kealy siedział w pobliżu, w dużym fotelu klubowym, niczym psychiatra odbywający sesję z odprężonym pacjentem. Zerwał się momentalnie i nalał Dundee'emu kolejną porcję alkoholu.

— Prawo trzecie — ciągnął- senator — mówi, że życie jest tak cholernie skomplikowane jak nic innego. Niewielu ludzi, łącznie z politykami; wie, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Nie ma od tego ekspertów; są tylko różne stopnie ignorancji.

— Maluje pan czarny obraz, senatorze.

— Ależ nie. Nawet nie w połowie tak ciemny, jakie byłoby życie, gdybyśmy dokładnie wiedzieli, co się stanie i jak tym pokierować. Tom, czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, że polityk to reakcyjny zawód? Czekamy na kryzys, a potem próbujemy zatkać dziurę w tamie. Ale, do diabła, niewielu polityków ma rozum czy rozsądek, by patrzeć dalej i powiedzieć: „Hej, za kilka lat możemy wpaść w tarapaty, więc, do diabła, zrobmy lepiej z tym coś teraz, zanim stanie się najgorsze”. I dlatego zdecydowałem się ubiegać o fotel prezydencki, angażując wszystkie moje pieniądze w kampanię pen wstrzymania Narodowego Sprzysiężenia Kobiet i podobnych organizacji terrorystycznych, które zagrażają Amerykańskiej Drodze. Nawet Kealy'ego, znającego skłonność Dundee'ego do dramatyzowania, ta nieoczekiwana wypowiedź, ta nagła deklaracja oszołomiła. Aby ukryć zmieszanie, wstał i nalał sobie drżącymi rękoma kolejnego drinka.

— Mówi pan poważnie, senatorze? — zdołał wydusić z siebie.

— Poważnie? Kurwa, chłopcze, jestem super poważny. To święta krucjata, jeżeli o mnie chodzi.

— Ale ten sondaż...

— Ten sondaż wykazuje dużą liczbę niezdecydowanych,

a to oznacza, że mogą być oni jęczyciem u wagi. Mam teraz dobrą okazję, żeby pokazać im moją drogę, tak jak NSK pokazało im swoją. Uważam, że mogę im pomóc w podjęciu decyzji, po czyjej stronie powinni się opowiedzieć. Mam po swojej stronie Biblię, staromodny amerykańizm, macierzyństwo i świętość rodziny. Tom, miałeś rację, to jest mój koń — seks i przemoc. Mam zamiar wsiąść na niego, jak tylko dostanę przyzwolenie moich przyjaciół.

— Ale kobiety...

— Sądzisz, że wszystkie kobiety popierają tę szaloną Molly Turner? Zapomnij o tym. Ta Turner jest tak szalona, że ma przeciwko sobie przynajmniej połowę bab. Ja dostanę ich głosy i praktycznie głosy wszystkich mężczyzn.

— Mam nadzieję, że się pan nie myli, sir — westchnął Kealy. — Ale narobi pan sobie także wielu wrogów.

— Posłuchaj, Tom. —»Dundee spoważniał. — Nikt bardziej niż ja nie szanuje kobiet. To są stworzenia, które powinny być pieśczone, ochraniać przez prawo, powinny im być dane wszelkie możliwe szanse, by mogły osiągnąć polityczną i ekonomiczną równość. Całym sercem jestem za tym. Ale kiedy dochodzi do strzelaniny, zamachów bombowych, podpaień, to najwyższy czas, żeby z tym skończyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kealy wstał.

— To Edith z listem do FBI — powiedział.

Wpuścił ją, Dundee usiadł na kanapie, przeczytał szybko list i nabazgrał swój podpis.

— Dziękuję, moja droga — rzekł rozpromieniony, patrząc na młodą kobietę. — Przepraszam, że musiałaś tu przyjść w taką okropną pogodę, ale chcę, żeby ten list został wysłany jeszcze dzisiaj.

— W porządku, sir — powiedziała. — Dobranoc, życzę miłego wieczoru.

Obaj mężczyźni obserwowali ją, kiedy wychodziła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Co za cycki — mlasnął Dundee. — Niezła dupa.

27 grudnia 1987

Virginia Terwilliger przyjeżdżała prawie każdego tygodnia z Baltimore do centrali w Waszyngtonie. Sprawdzała psychiczną kondycję Laury Templeton i miała oko na to, co określała jako „ciemne sprawy” Constance Underwood.

Pomimo prawie stałego nadzoru, Underwood nie przestawała intrygować. Jej plan wykończenia przewodniczącej był prosty i sadystyczny.

Przychodziła do biura Laury i mówiła:

— To jest ta teczka, którą chciałaś przejrzeć.

— Jaka teczka?

— Ta, o którą prosiłaś rano.

— Prosiłaś? Do czego mi była potrzebna? Albo:

— Dzwoniłaś do Molly Turner? — pytała Connie.

— Nie, nie dzwoniłam do niej, a powinnam?

— Prosiłaś, żebym ci o tym przypomniała, Lauro. Mówiłaś, że jest jakaś ważna sprawa, którą chciałaś z nią omówić.

— O Boże, nie pamiętam.

To była celowo zarzucana sieć. Akta same przeskakiwały z jednej szuflady do drugiej, notatki znikwały, pewnych wiadomości nigdy jej nie dostarczano. Templeton była przekonana, że degeneracja jej umysłu przyśpieszyła. Była coraz bardziej zależna od kobiety, która ją niszczyła.

— Co bym bez ciebie zrobiła? — mawiała.

Connie uśmiechała się nieznacznie szyderczym uśmiechem, a po kilku godzinach chłopiec z baru dostarczał Laurze kanapkę i kawę, których nie zamawiała, ale na zamówieniu było jej nazwisko. Desperacja tej biednej kobiety wzrastała.

Zabiegi wokół niszczenia Molly Turner wymagały trochę więcej pracy.

Underwood przeprowadzała je w następujący sposób.

W obecności Virginii Terwilliger sugerowała Laurze, że mądrze byłoby wyznaczyć pełnoetatowego rzecznika dla Kobiecego Korpusu Obrony.

— O nich mówi się coraz więcej — rzucała od niechcienia — a Turner jest taka zajęta. Nie sądzę, żeby miała czas nawet myśleć o kontaktach z mass mediami, a wizerunek publiczny KKO jest bardzo ważny. Nie jestem pewna, czy Molly to docenia. Nie mówię, broń Boże, żebyśmy jej coś narzuciły, ale myślę, że możemy dyplomatycznie przekonać ją, by przyjęła rzecznika prasowego. To powinien być ktoś, kto zaplanuje wywiady i konferencje, napisze oficjalną biografię, rozda fotografie i zrobi wszystko, aby Turner i KKO miały jak najbardziej korzystny obraz w środkach masowego przekazu.

Obie, Templeton i Terwilliger, przyznały, że to wspomniały pomysł. Underwood sama zaofiarowała się wyszukać odpowiednią kandydatkę.

Zajęło jej to tydzień; Przeprowadziła dziewięć rozmów z różnymi kobietami, zanim znalazła taką, która się nadawała. Nazywała się Yvonne Popkin. Była kilka lat po czterdziestce, miała przetłuszczone włosy i dłużej niż od roku nie miała pracy. Connie zabrała ją na lunch do „Le Gre”, zamówiła całą butelkę wina i gotowanego pstrąga.

— Yvonne — zaczęła Underwood. — Powiem ci od razu, że to nie ja mam ostatnie słowo w sprawie zaangażowania ciebie. Nasza przewodnicząca, Laura Templeton, chce sama zatwierdzić tę kobietę, którą ja wybiorę. Rzecznik prasowy będzie bardzo blisko współpracował z Molly Turner. Ona ma prawo podjąć swoją własną decyzję. Czy to jasne?

Popkin potakująco skinęła głową, zajęta pstrągiem, surówką z endywii i winem. Connie obserwowała ją zastanawiając się, jak dawno ta kobieta jadła ostatnio taki przyzwoity posiłek.

— Będziesz musiała przenieść się do Canton albo gdziekolwiek indziej, tam gdzie Molly Turner założy swoją kwaterę główną.

— Nie ma sprawy. Nie mam domu ani mebli, ani niczego takiego.

— Jesteś rozwiedziona, prawda? Od jak dawna?

— Prawie od dwudziestu lat.

— Nie masz dzieci?

— Nie, jestem wolna jak ptak.

— Mhm, mhm. Dobrze, Yvonne, z pewnością masz kwalifikacje, jakich nam potrzeba. Prasa, radio, telewizja... Często zmieniałaś pracę, co?

— Cóż, chciałam zdobywać doświadczenie, ale dla kobity, jak sama wiesz, taka częsta zmiana pracy to koniec kariery w mass mediach. No i jest jeszcze coś takiego jak dyskryminacja dojrzałych kobiet; chcą tylko młode blondynki, szczególnie w telewizji.

Obserwując jak łyka wino, Underwood domyśliła się, że dyskryminacja dojrzałych kobiet nie jest jedynym powodem, dla którego Popkin nie zagrzała długo miejsca na jednej posadzie.

— Cóż, Yvonne, uważam, że się nadajesz do tej pracy. Popkin podniosła na nią oczy znad talerza.

i — Naprawdę? Dziękuję, dziękuję bardzo.

— Jak ci już wspominałam, ostateczna decyzja nie należy do mnie. Ale sądzę, że moja rekomendacja będzie miała swoją wagę. W zamian za to jest coś, co chciałabym, żebyś dla mnie zrobiła.

— Nie ma sprawy — powiedziała Yvonne skwapliwie. — Wszystko co zechcesz. Constance Underwood wyjaśniła ostrożnie, jakich przysług oczekuje od rzecznika Molly Turner.

— Cóż... jasne — zaczęła powoli Yvonne, patrząc smutno w pusty talerz. — Chyba będę mogła to robić, przynajmniej tak długo, dopóki nie wpadnę w tarapaty.

— Nie wpadniesz — uspokoiła ją Underwood — jeśli dokładnie będziesz wykonywała moje polecenia.

Później, wieczorem, Constance opowiedziała Billowi McCrei o lunchu z Yvonne Popkin.

— Popkin! — prychnęła. — Co za nazwisko, możesz sobie wyobrazić? Ale zrobi te, co jej kazałam. Właściwie nie będzie donosicielem, raczej oficerem łącznikowym. Sprawozdania będzie składała tylko przede mną, tylko mnie będzie informowała.

— W porządku — powiedział Billy.

19 stycznia 1988

Gdy była dzieckiem, na Ann Shelby Harding wołano „Kociątko”. Była tłuściutką, przymilną psotnicą. Długo wyrastała z tych cech i przezwiska, ale wyrosła na wysoką, pulchną, zdecydowaną kobietę. Była tak stanowcza jak jej siostra, ale nie tak apodyktyczna jak Molly.

Teraz, będąc w czwartym miesiącu ciąży, manifestowała nowe dostojeństwo i pogodę. Jej cera zaróżowiła się, oczy błyszcząły, poruszała się ociężale. Molly twierdziła, że może pozować do aktu „Przyszła matka”

Jej rola w organizowaniu Kobiecego Korpusu Obrony z konieczności została ograniczona, ale w dalszym ciągu służyła swojej siostrze jako powierniczka i doradczyni. Uczestniczyła w wielu naradach i liczono się z jej zdaniem. Była spostrzegawcza, miała intuicję i zdolność do rozwiązywania problemów.

Na przykład: wyłoniła się kwestia, gdzie założyć kwaterę główną KKO. Molly chciała w Waszyngtonie, tak blisko centrali jak to możliwe. Dowodziła, że bliskość ośrodka władzy może okazać się użyteczna dla nowo powstającej armii.

Ann zgodziła się, że taka lokalizacja może być korzystna, ale radziła też wziąć pod uwagę, że może to wystawić na szwank niezależność KKO.

— Zdajesz sobie sprawę, że narazimy się na ryzyko ciągłego wtrącania się? — ostrzegła. — Dlaczego robisz to? Dlaczego robisz tamto?

Byłoby lepiej, gdybyś zrobiła to w inny sposób...

Rod Harding, który zrezygnował z pracy w policji w Canton i teraz pracował na etacie jako szef sztabu Molly, zwrócił się do swojej dowódczyni:

— Ann ma rację — powiedział. — Wiem coś na ten temat. Powinniśmy być od centrali tak daleko, jak tylko to możliwe. Zbyt wiele wścibiania nosa, a co poniedziałek rano narady. W Zarządzie są sami dyrektorzy, a żadnych ludzi do roboty.

— W porządku — zgodziła się Molly. — Odłożymy to na później. Na razie zostajemy w Canton i zainstalujemy się w domu przy Hillcrest. Musimy przygotować pokoje dla sztabu, a kiedy wszystkie wykorzystamy, wynajmiemy przestronne biuro na mieście. Jak się rozrośniemy, pomyślimy o przeprowadzce do Waszyngtonu.

Inną dyskusję wywołało zatrudnienie Yvonne Popkin, kobiety przysłanej przez centralę NSK z sugestią, by zatrudnić ją jako sekretarza prasowego.

Molly nie widziała potrzeby, żeby jedna osoba zajmowała się tylko kontaktami z mass mediami. Ann i Rod byli zgodni, że rzecznik prasowy jto dobry pomysł, ale Rod miał wątpliwości co do osoby Popkin.

— Uważam, że ona jest pijaczką — stwierdził stanowczo. — Obserwujcie ją, kiedy serwują drinki. Wciąga je w siebie jak - gąbka.

Ann zaproponowała, aby dołączyć Yvonne do sztabu na okres próbny i mieć oko na nią i jej popijanie. Popkin wprowadziła się do domu przy Hillcrest i dołączyła do osobistej sekretarki Molly, szefa operacyjnego oraz szefa wywiadu i planowania, którzy już pracowali.

To były drugorzędne sprawy. Głównym zadaniem było zorganizowanie bazy dla Kobięcych Korpusów Obrony i opracowanie planu naboru sióstr. Harding wykorzystał swoje doświadczenie wojskowe i wieczorem dziewiętnastego stycznia przedłożył następujące propozycje:

— Każdy stanowy oddział NSK wyznaczy jednego pułkownika, który będzie odpowiedzialny za wszystko i któremu będzie podlegała młodsza kadra oficerska oraz szeregowcy. Molly, nie możesz robić wszystkiego sama. W organizacji tak dużej, jak planujemy, musisz nauczyć się udzielać pełnomocnictw. Dobierz ludzi na kluczowe stanowiska, powiedz

im, czego od nich oczekujesz i pozwól im działać. Sprawdzą się, świetnie, nie... wkopiesz ich.

— Ann, a ty co sądzisz? — spytała Molly.

— Na papierze to wygląda dobrze — zaczęła wolno Ann. — Ale uważam, że osobiście powinnaś wybrać stanowych pułkowników. Nie pozwól wyznaczać ich przewodniczącym oddziałów NSK. Jeśli to zrobisz, wpadniesz w polityczne układy, a to skończy się konfliktami.

— Jak zwykle, masz rację. To znaczy, że będę musiała wiele podróżować, ale to musi być zrobione. Pojedziesz ze mną?

— Nie gniewaj się, słoneczko, ale nie. To mogłoby mnie zabić, straciłabym dziecko. Ale może z tobą jechać Rod, twoja sekretarka i Popkin. W czasie, kiedy ty będziesz prowadziła rozmowy z kandydatkami, Rod może pogadać z weteranami z Wietnamu, czy z każdym, kto zechce pracować jako doradca wojskowy.

— Wspaniały pomysł — powiedział z entuzjazmem Harding. — Molly utworzy sztab, a ja poszukam twardzieli na instruktorów.

— Tonie muszą być sami faceci — burknęła ostro Molly. — Wiele kobiet służyło w siłach zbrojnych i mają doświadczenie wojskowe.

— Cóż, wiesz, że jestem męską szowinistyczną świnią, — spowaźniał Harding. — I na dodatek chcę, żeby najlepsze stanowiska w tym babskim wojsku objęli faceci.

— Szuja — rzuciła Molly.

Po tej uwadze Ann oznajmiła:

— Wy tu sobie gadajcie nad waszą organizacją, jak długo chcecie, ale mała mamuśka potrzebuje snu.

Ucałowała ich na dobranoc i poszła do łóżka. Molly i Rod pracowali dalej. Była prawie druga w nocy, kiedy ich ożywiona dyskusja osłabła i odsunęli na bok papiery.

— Boże, jestem taka zmęczona — stwierdziła Molly.

— Zbyt zmęczona, by pojechać do domu? — spytał. — Połóż się obok Ann, ja prześpię się na kanapie w bawialni.

— Nie — rzekła Molly — ale i tak dziękuję; że pozwoliliście mi tutaj przyjść. W domu pracuję i pracuję, a efektów nie widać. Za dużo ludzi się tam kręci i za bardzo przeszkadzają.

— Mogę to sobie wyobrazić. Hej! Trochę zrobiliśmy, ale, do diabła, niewiele. Po maluchu?

— Zgoda, ale poproszę o dużo wody i lodu.

Wrócił po kilku minutach z dwiema szklaneczkami, napelnionymi płynem w kolorze mahoni.

— Nazywasz to maluchem? — spytała, trzymając szklaneczkę pod światło. — To wygląda jak mocna whisky.

— Niezupełnie, ale tego ci trzeba.

— Masz rację — powiedziała z wdzięcznością. — Dzięki, szwagrze.

— Nie ma za co, szwagier ko.

Wyciągnęli przed siebie nogi i popijali w milczeniu. Po dłuższej chwili spojrzeli jedno na drugie.

On zobaczył chudą kobietę, której nikt nie nazwałby ładną, ale Harding pomyślał, że z jej twarzy brze jakaś siła. Wyostrzone rysy miały w sobie coś prymitywnego, coś chłopskiego, bliskiego ziemi.

Ona ujrzała dużego mężczyznę o szerokim uśmiechu, postrzępionych blond wąsach, rozczochranych piaskowych włosach. Było coś niepokojącego w jego małych ciemnych oczach. Drażniło ją kpiące spojrzenie żołnierza i gliny, który z niejednego pieca jadł chleb i nic przed nim nie ukryje.

— A tak przy okazji, dziecinko — rzucił niedbale — uważam, że robisz wspaniałą robotę.

Pochyliła się ku niemu.

— Naprawdę tak myślisz, Rod? — Słowo harcerza — uniósł dłoń.

— To wiele dla mnie znaczy — powiedziała cicho. — To moje życie. Moje życie, Rod! To nie tylko moje ego — przysięgam. To nie tylko to. Wierzę w tę sprawę całym moim sercem. Muszę ją rozkręcić. Zrobię wszystko, użyję i wykorzystam wszystkich, łącznie z tobą, by zakończyła się sukcesem. KobiECE wojsko! Jezu! Co za pomysł. To absolutnie szalony, zwariowany pomysł. Ale to powinno zostać zrobione dawno temu. No cóż, mam zamiar zrobić to teraz. Muszę to zrobić.

— Zapracujesz się na śmierć — stwierdził — ale twój pomysł nabiera kształtów. Uda ci się, Moll.

Wstała gwałtownie, pochyliła się nad nim i długo całowała go w same usta.

— Norma Jane nazywała mnie Moll — szepnęła ochryple.

3 lutego 1988

Senator Dundee nie życzył sobie, aby ta konferencja odbyła się w stolicy. Niektórzy wścibscy reporterzy mogliby ją wywęszyć. Kealy zamówił więc salę w eleganckim motelu niedaleko Silver Spring w stanie Maryland. Zgodnie z uświęconymi

zwyczajami wynajął jednego z chłopców Jake Spencera, by sprawdził, czy w motelu nie zainstalowano pluskiew lub innych pomysłowych urządzeń podsłuchowych.

Facet skontrolował motel na godzinę przed spotkaniem.

Kealy wioził Dundee'ego do Silver Spring swoim srebrnoszarym continental, wyposażonym w komputer, który pokazywał zużycie paliwa na milę, czas przejazdu i takie tam różne rzeczy. Thomas przypuszczał, że także aktualne notowania giełdowe — jeśli ktoś potrafił posługiwać się tym cholernym urządzeniem. Kealy nie potrafił.

— Zamówiłeś wystarczająco dużo wody? — spytał senator.

— Tak — zapewnił go Kealy. — A jeżeli ktoś poczuje się głodny, kelnerzy są do dyspozycji przez całą noc.

— Tom, ty wystąpisz pierwszy — powiedział Dundee. — Potem ja zabiorę głos, ale zaczniemy od drinków, by rozluźnić atmosferę.

— Sporządziłem wykresy, więc będą mogli zobaczyć, jak wygląda rozkład odpowiedzi.

— Dobrze. Wykresy to dobry pomysł. W ten sposób całe to spotkanie nabierze ważności.

— Czy bardzo panu na nich zależy, senatorze?

— Tak. To śmietanka finansowa. Oczywiście, mam wielu przyjaciół, ale ci faceci trzymają lejce. Jeżeli zdołam ich przekonać, reszta pójdzie za nimi. Oni albo mnie pograżą, albo wyniosą na szczyt.

— Zdenerwowany, sir?

— Nie. Jestem otrzaskany z takimi ludźmi i z takimi sytuacjami. Trochę podniósł mi się poziom adrenaliny, to wszystko.

Pięciu gości senatora przybyło w ciągu pół godziny. Wielkim osiągnięciem Dundee'ego był fakt, że jeden przyleciał z Kalifornii, a inny aż z Wysp Bahama.

Kealy robił za barmana i pilnował, by żadna szklaneczka nie pozostawała pusta.

Goście byli potężnymi mężczyznami o łagodnych uśmiechach i twardych spojrzeniach. Śmiali się gromko, pociągali jeden drugiego za rękawy i poklepywali się po plecach. Wymieniali ploteczki i żartowali. Atmosfera zrobiła się miła i przyjacielska. Dawało się odczuć to szczególne poczucie koleżeństwa ludzi, którym się powiodło.

Rozpromieniony Lemuel K. Dundee brylował wśród nich. Wcale nie zachowywał się służalczo. Jeżeli nawet jego goście mieli pieniądze i władzę, to on był senatorem Stanów Zjednoczonych i jadał śniadania z prezydentem. Nie mogli traktować go z góry.

O 2 Dundee poprosił ich, aby usiedli.

— Panowie — zaciął uśmiechnięty. — Z całego serca pragnę podziękować wam, że znaleźliście czas, pomimo nawału zajęć, aby wziąć udział w tej małej konferencji. Do diabła, dobrze wiecie, że czegoś od was potrzebuję, inaczej nie wyrzuciłbym pieniędzy na gorzałę, którą sączyście.

Goście roześmiali się. Nagle senator spowaźniał.

— Wiem, że wszyscy słyszeliście o Narodowym Sprzysiężeniu Kobiet i jego bojówkach, Kobięcych Korpusach Obrony. Wiem także, że znacie ich cele i działalność. Każdy, kto czytał prasę lub oglądał telewizję w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, wie, do czego dąży ich komendantka, Molly Turner. A teraz na kilka minut chciałbym oddać głos Tomowi Kealy, on przedstawi wam na podstawie wyników sondażu, który zamówiłem, jaki jest stosunek zwyczajnych Amerykanów do KKO. Panowie, wszyscy poznaliście już Toma, mojego doradcę. Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Jestem przekonany, że zainteresuje was to, co ma do powiedzenia. Tom!

Kealy zabrał głos. Swoje wystąpienie obrazował dużymi, kolorowymi wykresami, które umieścił na składanym stojaku. Omawiając wyniki sondażu, uważnie obserwował swoich słuchaczy, przenosząc wzrok kolejno z jednego na drugiego.

Zastanawiał się, czy udało mu się zainteresować ich, ale twarze mężczyzn nie wyrażały żadnych emocji. Pięć minut, nie dłużej, tyle czasu sobie wyznaczył.

— Najważniejszą rewelacją tych badań — zawiesił głos — najbardziej istotną, jest stosunkowo duży procent zarówno kobiet, jak i mężczyzn, którzy jeszcze nie zdecydowali, czy są za, czy przeciw NSK i jego paramilitarnym oddziałom. Każdy z was, panowie, otrzyma poufny odpis tych wyników. Na nim zobaczycie w najdrobniejszych szczegółach rozkład odpowiedzi w zależności od wieku, płci, dochodów i tak dalej. Czy są jakieś pytania?

Pytań nie było.

— Dziękuję, Tom — rzekł senator Dundee. — Jak zwykle dobra robota. A teraz, przyjaciele, chcę wam przedstawić prawdziwą bombę.

Dla większego efektu odczekał trzy sekundy i oznajmił:

— Mam zamiar ubiegać się o fotel prezydenta w 1992 roku. Mówię to zupełnie serio. Już podjąłem decyzję. Przez wzgląd na naszą przyjaźń, proszę, wysłuchajcie mnie i oceńcie, czy to, co proponuję, ma sens.

— Uważam, że wszyscy dziś tu zebrani, bez względu na

polityczne różnice, zgodzą się, że moja partia dostanie w dupę w tegorocznych wyborach. Nie mam wpływu na ten smutny wynik, ale dziś jest jeszcze za wcześnie na planowanie i rozpoczęcie kampanii na rok 1992.

— Chcę wam zaproponować kandydaturę i program, który zjednoczy wszystkich myślących patriotów z obu partii. Oczywiście, kandydatem jestem ja. Nie ma nikogo w dzisiejszym życiu publicznym, kto miałby moje doświadczenie prawodawcze, zdolności do rządzenia i zrównoważony charakter. Czy trzeba lepszych kwalifikacji?

— Oczywiście, możecie zarzucić mi, że nie jestem politykiem znanym w kraju. Zgadzam się, ale proszę, zapomnijcie

o tym na chwilę, dopóki nie przedstawię wam pokrótce programu, który mam zamiar realizować. Sądzę, że będzie on atrakcyjny dla każdego z was.

— Głównym założeniem mojego programu jest zwiększenie dochodów Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeżeli taki wspaniały kraj nie ma wystarczających dochodów, to niczym się nie różni od republik bananowych. Panowie, chcę oprzeć moją kampanię prezydencką na nowej idei, którą nazwałem „Nową Drogą”. To wywołało lekkie poruszenie. Złapał ich na to. Odtąd słuchali go uważnie. Mówił do nich jak człowiek interesu, jak jeden z nich.

— Przedstawię wam, panowie, plan, który — gorąco w to wierzę — przyniesie Stanom Zjednoczonym powiększenie dochodów i korzyści każdego roku. Dziś nie jest jeszcze odpowiednia pora, by zgłębić szczegóły, ale powiem wam, że planuję zniesienie podatku od przedsiębiorstw i kapitałów, subsydia dla inwestycji za granicą, wzrost ceł importowych, przekształcenie Departamentu Stanu w agencję rozwoju ekonomicznego i przekazanie prywatnym firmom wielu usług, obecnie wykonywanych horrendalnie drogo przez instytucje federalne. Podejmę wszelkie wysiłki, by każde prawo ustanowione w tym kraju opierało się na jednym i tylko jednym kryterium: „czy to się opłaca”.

Mówił ich językiem i na to ich złapał, zawładnął nimi...

i wiedział o tym. Rozluźnił się i nabrał pewności siebie. Zrobił na nich wrażenie.

Ściszył głos tak, że musieli wyciągać szyje, by go usłyszeć. Zdawało się, że szepce do ucha każdego z nich.

— Teraz wy wiecie i ja wiem — rzekł — że nie mogę przedstawić takiego programu Amerykanom. Każda mniej-' szość narodowa w tym kraju, każda grupą nacisku będzie na

mnie wieszac psy. Nie zostanę wybrany, jeżeli publicznie ogłoszę to, co wam powiedziałem. Są dwa problemy...

Ostrożnie podniósł do góry dwa tłuste palce dla podkreślenia ważności swych słów.

— Po pierwsze: nie jestem jeszcze politykiem znanym w całym kraju, rozpoznawalnym w mass mediach. Muszę uczynić moje imię i nazwisko znanymi jak kraj długi i szeroki. Po drugie: muszę trafić do dobrych ludzi w tym kraju ze sprawą, z krucjata, z którą będą się identyfikowali. Do diabła, co oni wiedzą o deficycie budżetowym, zrównoważeniu bilansu handlowego i Międzynarodowym Funduszu Walutowym. To musi być coś innego, mocne uderzenie.

— Teraz wróćmy do wyników sondażu, które przedstawił Tom, na temat Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. To jest ta sprawa, ta krucjata, która zaprowadzi mnie do Białego Domu i zagwarantuje wam wcielenie w życie programu, jaki pokrótce nakreśliłem.

— Mam zamiar ostro wystąpić przeciwko bezprawnym i niedozwolonym praktykom Kobięcych Korpusów Obrony. Zamierzam nazwać je terrorystkami, deprecjami to wszystko, co dla nas jest drogie. Tu widzicie, panowie, liczbę niezdecydowanych, biorących udział w badaniach. Jestem pewien, że ci biedni ludzie stracili orientację, więc zamierzam pokazać im właściwą drogę. Na Boga! Mogę przeciągnąć ich na swoją stronę. A to nie tylko da mi ogromną szansę na zwycięstwo, na fotel w Białym Domu, ale, co najważniejsze, przekona Amerykanów, że Stany Zjednoczone to taki kraj, w którym prawo coś znaczy. I z waszą pomocą, panowie, z waszym życzliwym zrozumieniem i wsparciem finansowym jestem pewien, że to osiągnę. Muszę to osiągnąć!

Po ostatnim zdaniu zapadła cisza. Wypili do końca drinki. Kealy ruszył, by napelnić szklaneczki ponownie. Zaskoczyła go siła przekonywania pryncypała. Nie było wątpliwości, słuchacze senatora byli pod wrażeniem jego słów. Zaczęli poważnie rozmawiać.

Lemuel K. Dundee stanął przy stoliku z alkoholami i popijając drinka pozwolił swoim gościom konferować bez przeszkód. W końcu mężczyzna z Wysp Bahama podszedł do niego i coś mu szepnął do ucha. Dundee zbliżył się do Kealy'ego.

— Tom — zaczął, uśmiechając się miło. — Dlaczego nie zejdziesz do baru i nie poderwiesz jakiejś miłej panienki? Chłopcy chcą ze mną pogadać w cztery oczy. Spróbuję załatwić to tak szybko, jak można, a potem dołączę do ciebie. Nie masz nic przeciwko temu, prawdą?

— Oczywiście że nie, senatorze — powiedział Kealy. Dundee położył ciężką rękę na ramieniu młodego mężczyzny.

— Tom, to nie dotyczy ciebie — powiedział. — Ale są sprawy, które muszą być załatwiane bez świadków. Chyba to rozumiesz?

— Tak, sir. — Ale nie do końca zrozumiał.

Prawie godzinę siedział w pustym koktajlbarze, sącząc białe, wino, zanim pojawił się senator.

— Załatwione, Tom — powiedział krótko. — Skończ drinka, zaczekam na ciebie w samochodzie.

W powrotnej drodze do domu Dundee'ego w Spring Valley senator milczał jak zakłety, spoglądając przez okno auta. W końcu Kealy przerwał tę nieznośną ciszę.

— No i jak, sir, dobrze poszło?

— Kupili to — stwierdził senator obojętnie. — Ci skurwiele cholernie się targują.

Muszę odbyć wiele podróży, pogłaskać stanowych notabli i tych, co trzymają sznurki. Musimy pomyśleć o cotygodniowym niedzielnym programie w telewizji, o kolacjach, spotkaniach i podobnych bzdurach. I musimy zabrać się do skompletowania sztabu, który poprowadzi kampanię.

— Tak, sir, czeka nas wiele pracy.

— Ale warto — stwierdził Dundee z zapałem. — Jeżeli zamierzamy uratować ten kraj.

Kealy zastanawiał się, czy ten stary lis już przekonał samego siebie.

Skręcili w podjazd eleganckiego domu senatora. Dundee nie zrobił żadnego ruchu, aby wysiąść. Po chwili Kealy wyłączył silnik. Przez dłuższy czas panowała cisza.

— Tom, chciałbym, żebyś skontaktował się z Jake Spencerem. Osobiście, nie telefonicznie i poproś go, żeby zebrał wszystkie informacje o tej Molly Turner, od dnia, kiedy przyszła na świat. Dzieciństwo, szkoła, rodzina, przyjaciele, z kim sypiała, z kim teraz sypia. Czy pije? Czy bierze narkotyki? Wszystko.

— Jasne, senatorze. Pierwsza sprawa do załatwienia jutro rano.

— Potrzebujemy każdej informacji, jaką uda się zdobyć. Możesz zaufać Jake'owi, on umie trzymać gębę na kłódkę.

— Wiem, senatorze. Jak już panu wspomniałem, mam informatora w samym sztabie NSK, który składa mi relacje z tego, co się dzieje w ich kierownictwie. To są ustne sprawozdania, nic na piśmie. Dla pana własnego bezpieczeństwa, uważam, że lepiej byłoby, gdyby pan nie wiedział, kto to jest. Na razie opłacam go z własnej kieszeni. Sądzę, że jego informacje nabiorą wartości, kiedy rozpoczniemy kampanię.

Chciałbym mieć pana zgodę na płacenie mu z tajnego funduszu.

— Nie ma sprawy — mruknął Dundee. — Zawsze dobrze mieć asa w rękawie.

— To może taki być as — rzekł Kealy, ale senator nie zrozumiał żartu.

4 lutego 1988

Przez prawie dwadzieścia lat Jake Spencer pracował w Federalnym Biurze Śledczym, większość z nich pod twardymi rządami J. Edgara. Spencer nigdy nie zajmował wyższego stanowiska niż agent specjalny. To mu odpowiadało, lubił swoją pracę.

Po śmierci Hoovera Spencer przetrzymał jeszcze histerię wokół skandalu Watergate, ale kiedy szefostwo przejęli nowi ludzie, Jake zdecydował, że najwyższa pora zmienić robotę. Maczał palce w wielu niezgodnych z prawem historiach. Na przykład trzej wywrotowcy, którymi się zajmował, jeden po drugim popełnili samobójstwo. Dziwny zbieg okoliczności.

Jego rezygnacja została przyjęta skwapliwie, wydano na jego cześć pożegnalne przyjęcie, a w prezencie na odchodnym wręczono mu zestaw podróżnych walizek. Czy usiłowano dać mu przez to coś do zrozumienia?

Jeżeli nawet, to Jake Spencer nie wyjechał daleko. Wynajął małe dwupokojowe biuro w Rosslyn, tuż nad Potomakiem, i otworzył prywatną agencję detektywistyczną. Po kilku latach zdobył niezłą markę wśród klientów.

Na stałe Jake zatrudniał tylko dwie pracownice: sprzątaczkę, która przychodziła raz w tygodniu, i sekretarkę, starą pannę. Kiedy Spencer miał robotę i miał jej dużo, potrzebnych ludzi zatrudniał na zlecenie. Byli to ochroniarze, strażnicy, Złodzieje, prostytutki, itd... Obojętnie jaki miał problem, Jake Spencer zawsze mógł pomóc ci go rozwiązać.

Był potężnym facetem, o twardym spojrzeniu, tuż przed

pięćdziesiątką i zaczynał tyć. Lubił dobrą wołowinę i burbona, co uwidaczniało się na jego twarzy. Miał małe, przenikliwe oczy. Wielu ludzi dostawało dreszczy na odgłos jego śmiechu. Ale znał się na swojej robocie. Wszyscy klienci to przyznawali i zgadzali się, że potrafi trzymać język za zębami.

Czwartego lutego o 11⁰⁰ Jake Spencer spotkał się z Thomasem J. Kealym w parku Lafayette na ławeczce, z której widoczny był Biały Dom. Dzień był mroźny i padał śnieg, w związku z czym obaj mężczyźni postawili kołnierze w swoich płaszczach. Kealy szybko wyjaśnił, czego potrzebuje: całego dossier Molly Turner, naczelnej dowódczym Kobięcych Korpusów Obrony.

— Nie ma sprawy — powiedział Spencer. — Wiem, o co ci chodzi.

— To dobrze.

— Ile chcesz zapłacić?

— Tyle, ile będzie trzeba. Koszty nie grają roli — mruknął Tom.

— O co tu chodzi? — Spencer uśmiechnął się obleśnie. — Czyżby senator odziedziczył kopalnię złota?

— Coś w tym rodzaju — burknął Kealy, próbując ukryć niechęć do tego faceta. — Jak myślisz, ile czasu ci to zabierze?

— Miesiąc to góra.

— W porządku. — Kealy wstał. — Masz mój prywatny , numer telefonu, prawda?

— Jasne. Spencer obserwował oddalającego się doradcę senatora.

Alfons. Miasto było pełne takich jak on, Elegancik w okularach, z czarną ambasadorką, świadomy swojej ważności, ale Jake Spencer znał takie typy. Kiedy kogoś takiego przyciśniesz, mięknie i płacze.

Siedział na zimnej ławce jeszcze przez kilka minut, zastanawiając się dlaczego, u diabła, senator Lemuel K. Dundee z Komisji do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego interesuje się osobą Molly Turner. Podniósł się ociężale, wyszedł z parku i minął trzy przecznice. Znalazł czynny automat telefoniczny.

Jedną z największych zalet Spencera była jego fenomenalna pamięć. Nie potrzebował żadnych notesów i świstków, pamiętał nazwiska, adresy, numery telefonów. Wszystko. Pamiętał nawet swój numer ewidencyjny z wojska. Ilu facetów w jego wieku ma taką pamięć?

Sygnal po drugiej stronie rozległ się już dwanaście razy.

Spencer czekał cierpliwie, wiedział, że w końcu ktoś podniesie słuchawkę.

— Tu Gargan — usłyszał męski głos.

— Jimbo? Mówi Jake Spencer.

— Co u ciebie, Jake?

— Jakoś leci.

— O co chodzi?

— Jimbo, czy Departament interesuje się Molly Turner? Przez moment panowała cisza.

— Wiemy o jej działalności.

— Taaak — zaśmiał się Spencer ironicznie. — Założę się, że wiecie. Macie u niej swoją wtyczkę?

— Przecież wiesz, że gdyby nawet, to i tak nie mogę ci powiedzieć.

— Jasne że możesz — mruknął Spencer jowialnie. — Jeżeli i ja coś ci powiem.

— W porządku. Mamy wtyczkę, ale nie powiem ci kogo. Teraz ty.

— Postąłem zlecenie od senatora Dundee'ego. Chce dowiedzieć się wszystkiego o tej cipie.

— Tak? To interesujące.

— Wiedziałem, że to ci się spodoba.

— Będziemy w kontakcie, Jake. Ty mnie pomożesz, ja tobie.

— Tak myślałem. Cześć. — Spencer odwiesił słuchawkę.

Dokumenty związane z tą sprawą dowodzą, że w okresie wiosny i lata 1988 Kobięce Korpusy Obrony zostały zorganizowane na wzór wojskowy, z odrębną administracją, sztabem głównym, wydziałem planowania, wydziałem operacyjnym, logistycznym, wywiadem i komórką do spraw kontaktów z mass mediami.

W trakcie podróży po kraju Molly Turner stopniowo organizowała strukturę i oddziały. Wygłosiła niezliczoną ilość płomiennych przemówień, których efektem był ogromny napływ sióstr, członkiń Narodowego Sprzysiężenia Kobiet, do oddziałów bojowych. Wstępowały do nich nawet kobiety, które nie należały do żadnej organizacji feministycznej, ale zostały zainspirowane jej rewolucyjnym zapalem.

W tych podróżach towarzyszyli jej: - szef sztabu — Rod Harding, jej osobista sekretarka — Lois Campbell, rzecznik prasowy — Yvonne Popkin i od czasu do czasu inne pracowniczki kwatery głównej.

W trakcie organizowania oddziałów stanowych NŚK Rod Harding werbował kadre doradców wojskowych, głównie

mężczyzn, weteranów wojny wietnamskiej, którzy zgodzili się szkolić siostry KKO w działaniach bojowych. Ci mężczyźni byli ochotnikami; nie otrzymywali żadnej zapłaty:

W czasie kiedy budowano podwaliny tej babskiej armii, zaplanowano i przeprowadzono pewną ilość akcji, dzięki którym oczy opinii publicznej skierowały się na Molly Turner i jej wojsko.

W Ottumwa, w stanie Iowa, pełnoletni mężczyzna, oskarżony o udział w zbiorowym gwałcie na dwunastoletniej dziewczynce, wypuszczony z więzienia za kaucją, został zastrzelony we własnym domu.

W Phoenix, w Arizonie, bomba podłożona w samochodzie zabiła psychopata wykorzystującego seksualnie dzieci. Akurat był na krótkiej przepustce z więzienia.

W Shreveport, w Luizjanie, kobieta w średnim wieku zadźgała nożem swojego męża, który przez wiele lat znęcał się nad nią fizycznie. Jej czyn został zakwalifikowany przez sąd jako morderstwo drugiego, stopnia. W trakcie przewożenia skazanej z gmachu sądu do więzienia, została „uwolniona” przez dużą grupę rozwścieczonych kobiet. Jej późniejsze miejsce pobytu nigdy nie zostało ustalone.

W tych trzech przypadkach oraz kilku innych nikogo nie aresztowano, nie wniesiono żadnego aktu oskarżenia. I chociaż podejrzewano, że maczały w nich palce Kobiecte Korpusy Obrony, żadne ostateczne dowody nie zostały nigdy przedstawione.

Należy podkreślić, że Molly Turner nie wypierała się odpowiedzialności za te akcje. Nieuchronnym efektem tych działań była wzmożona akcja propagandowa męskich szowinistów, którzy wszem i wobec¹ głosili, że to, co robi KKO, jest zagrożeniem dla prawa, porządku publicznego oraz własności prywatnej. Wydaje się oczywiste, że te wrogie zarzuty inspirował i popierał w swoich przemówieniach na forum Senatu Lemuel K. Dundee; szczególnie w przemówieniu wygłoszonym osiemnastego kwietnia 1988 roku.

W ostrych słowach określił KKO jako organizację terrorystyczną, realizującą swoje cele przez strzelanie zamiast przez głosowanie. Nawoływał do stanowczego przeciwstawiania się tego typu działaniom przez lokalną i stanową policję, a także przez Federalne Biuro Śledcze.

Senator Dundee nieprecyzyjnie nazwał KKO organizacją terrorystyczną. Była to organizacja legalna, niedochodowa i nie działała w podziemiu. Jej członkinie ostentacyjnie manife-

stowały swoją przynależność. Kadra oficerska często udzielała wywiadów w prasie, radiu i telewizji. Były to długie wypowiedzi, przedstawiające ich cele i sposoby, jakimi zamierzają je zrealizować.

Czytając uważnie między wierszami, można wnioskować, że wiele akcji KKO, zwłaszcza w początkowych miesiącach budowania organizacji, miało tajny charakter i były to działania bezprawne. Dotyczy to szczególnie przypadków zdobywania uzbrojenia: strzelb, karabinów, granatów i materiałów wybuchowych.

19 marca 1988

W czasie tury objazdowej po kraju Molly Turner wraz z żeńską częścią ekipy zatrzymywała się w domach członkiń NSK, a Rod Harding zwykle wynajmował pokój w miejscowym motelu. Cała grupa spotykała się przynajmniej raz dziennie przy późnym obiedzie, by wymienić relacje z działalności.

Wieczorem dziewiętnastego marca jedli obiad w restauracji motelu „Stärkte” w pobliżu Independence, w Missouri. Przy stoliku siedzieli: Turner, Harding, Yvonne Popkin i Lois Campbell. W restauracji panował tłok, więc nie omawiali spraw KKO przy posiłku. Zrobili to dopiero w pokoju Hardinga, do którego przenieśli się po obiedzie.

Molly opowiedziała im o siostrze, którą wyznaczyła na dowódcę pułku w Missouri. Harding napomknął, że odkrył prywatny klub weteranów, którzy wyrazili zainteresowanie pracą jako instruktorzy wojskowi. Popkin mówiła o spotkaniu z osiemdziesięcioletnią babcią, która nalegała, by przyjęto ją do oddziałów bojowych.

Campbell stenografowała tę rozmowę.

Następnie ustalili trasę na kolejne dwa tygodnie przed powrotem do domu w Zachodniej Wirginii. Czekala ich jeszcze podróż do Minnesoty i Wisconsin.

— Chciałabym mieć za sobą tę sprawę w Kansas... — zaczęła Molly Turner. Rod Harding wstał gwałtownie i zaczął szukać tytoniu do fajki w kieszeni kurtki.

— Co to za sprawa w Kansas? — spytała Yvonne Popkin.

— Takie tam dyrdymały — mruknął Harding, rzucając Molly ostrzegawcze spojrzenie.

— Planujecie jakąś akcję w Kansas? — dopytywała się Lois Campbell.

— Nie — ucięła krótko Molly. — To plany na przyszłość, dopiero się nad tym zastanawiamy.

Ale ta odpowiedź nie zadzwoliła Campbell. Była niską, pulchną kobietą o brązowych włosach, przyciętych tak krótko, jak u rekrutów marynarki. Nikt nie widział jej inaczej ubranej jak w obcisłe dżinsy i niebieską flanelową koszulę. Na dodatek obgryzała paznokcie.

— Jeżeli coś planujecie, to ta akcja powinna znaleźć się w oficjalnym wykazie.

— Na razie nie ma o czym mówić — zapewnił ją Harding. — Siostry w Kansas coś tam zamierzają, ale nie wiadomo, co z tego wyjdzie.

— Jeżeli zapadną jakieś decyzje, powiadomimy cię wcześniej — przyrzekła Molly Turner sekretarce.

— Mnie także — wtrąciła Popkin. — Muszę wiedzieć o akcjach z wyprzedzeniem, by planować jak uporać się z prasą.

Krótko przed północą Campbell i Popkin opuściły pokój Roda. Molly jeszcze została'.

— Myślisz, że powiedziałam za dużo? — spytała.

— Zgadza się — mruknął gniewnie, wyjmując butelkę burbona z walizki. — Moll, za bardzo ufasz ludziom. Nie twierdzę, że Campbell czy Popkin są czyimiś wtyczkami, ale jeżeli są... lepiej trzymać język za zębami. Mogę się założyć o milion zielonych, że FBI i Bóg wie kto jeszcze umieścili swoich ludzi blisko ciebie. Nie ufaj nikomu.

— Czy to dotyczy także ciebie?

— Jasne. Mnie także — stwierdził niezrażony. — To nie znaczy, że masz popaść w przesadę, ale, na litość boską, spójrz na to w taki sposób: twoi ludzie muszą wiedzieć o niektórych rzeczach, które są im niezbędne do wykonywania zadań, ale nie mów im o sprawach, których nie muszą znać. W ten sposób ograniczasz ryzyko. Campbell i Popkin nie powinny wiedzieć o akcji w Kansas, dopóki nie będzie po wszystkim.

— Jeszcze coś? — Była wściekła i nie ukrywała tego. — Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Tak — odpowiedział bez namysłu. — Pracujesz diabelnie ciężko, schudłaś i jesteś kłębkiem nerwów. Moll, nie możesz zrobić wszystkiego w tydzień, miesiąc czy rok. Musisz nauczyć się relaksować. Martwię się o ciebie.

— Naprawdę? — złagodniała. — To miłe, Rod. To mi się nawet podoba. ;

Odstawił swojego drinka i stanął za jej krzesłem. Silnymi palcami zaczął masować jej kark i ramiona.

— Jesteś za bardzo spięta. Odpręż się.

— Och, jak dobrze — westchnęła. — Nie przerywaj.

— Dzwoniłem do Ann — rzucił. — Zaraz po obiedzie. Czuje się świetnie. Wszystko w porządku, i w domu, i w sztabie. Masz od niej pozdrowienia.

— Dostała czek z centrali?

— Tak. Pieniądze już są na naszym koncie. Liczba członkiń wzrasta, zasoby finansowe także. Na razie forsa nie stanowi problemu.

Umilkli. Wciąż ugniatał mięśnie jej ramion i karku.

— Rod, mówiłeś poważnie o tych wtyczkach w moim sztabie?

— Oczywiście. To ich praca. A jeżeli wyjdzie nam ta akcja w Kansas, zaczną nas traktować poważnie. Inna sprawa, Molly... możemy kupić karabiny i amunicję legalnie w tuzinie stanów, ale przewóz tego majdanu przez granice międzystanowe jest niezgodny z prawem. Staniemy się przestępcami.

— Masz lepszy pomysł?

— Możemy zaoszczędzić kupę szmalu, jeżeli dokonamy zakupów na czarnym rynku. Najlepszym miejscem do tego jest Miami. Możesz tam kupić wszystko, od procy po czołgi, a nawet rakiety. Tam zaopatruje się większość partyzantów z Ameryki Południowej i Środkowej. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że za dodatkową opłatą dostarczają towar na wskazane miejsce. Co prawda to trochę ryzykowne. Mam się tym zająć?

— Jasne.

Przestał ją masować, wziął swoją szklanekę i usiadł na brzegu łóżka.

— To wszystko? — spytała.

— Tak. Nic nowego nie przychodzi mi do głowy — mruknął z wymuszonym uśmiechem.

— Dzięki za masaż, czuję się o. wiele lepiej.

— Musisz zacząć więcej jeść, Moll. Ledwie tknęłaś obiad. Niedługo zostanie z ciebie tylko skóra i kości.

— Wiem, nie mam cycków, a moje kości biodrowe sterczą jak ramiączka. Jezu, Rod, po raz pierwszy od bardzo dawna czuję się odprężona. Nie pamiętam, kiedy tak się ostatnio czułam.

Spojrzał na nią uważnie.

— Zrób mi przysługę—powiedziała cicho. — Zerznij mnie.

— Ann... — zaczął.

— To nie ma nic wspólnego z Ann — burknęła ostro. — To nie ma nic wspólnego z uczuciami, z miłością i podobnymi

bzdurami. Przynajmniej jeżeli o mnie chodzi. Po prostu chodzi o przyjacielską przysługę.

— Jeżeli tak to traktujesz...

— Dobra, nie będę skamlać.

— Nie musisz. — Wstał i podał jej rękę.

Jej ciało było twarde i kanciaste. Leżał oparty na łokciu obok niej i potrząsał smutnie głową.

— Jezu, ale z ciebie szkielet.

— Jesteś zaskoczony?

— Pewnie. Zaczynaj jeść.

— Ciebie?

— Wiesz, o czym mówię, wyglądasz, jak szczapa.

— W porównaniu z Ann każda kobieta wygląda jak szczapa.

— Masz rację — westchnął. — Nie będę dla ciebie za ciężki?

— Spróbuj — zaproponowała.

Kochali się z zapamiętaniem, patrząc sobie w oczy.

— O Boże — mruknęła. — Tak dawno się nie kochałam, prawie zapomniałam jak to jest.

— Jesteś twarda jak kamień, ale za to gorętsza. Krzyczała głośno, raz nawet tak głośno, że zakrył jej dłonią usta, by stłumić szloch.

— Już dobrze, Moll — szeptał uspokajająco — już dobrze. Później, dużo później, kiedy leżeli obok siebie, popijali kolejnego drinka i wspólnie palili jednego papierosa, rzekła:

— To czysto fizyczne i nic więcej. Zgoda?

— Zgoda.

— Byłam spięta, potrzebowałam relaksu. To już się więcej nie powtórzy.

Nie odpowiedział.

25 marca 1988

Dziś wydaje się oczywistym, że słynny napad na arsenał Gwardii Narodowej obok Ferry Logana, w Kansas, był zaplanowany i przeprowadzony przez kompanię „A” kansaskiego pułku Kobięcych Korpusów Obrony. Są dowody — chociaż nie stuprocentowe, że Molly Turner i Rod Harding byli tam obecni jako obserwatorzy. Kompania „A” miała swoją siedzibę w Wichita, a Ferry Logana leży w pobliżu Topeki. Uważano, że mądrzejszym

będzie przeprowadzenie tej akcji raczej przez „obcych” niż przez członkinie Kompanii „B” z Topeki, które mogłyby zostać rozpoznane podczas akcji.

Z Wichity do Ferry Logana kobiety przyjechały samochodami osobowymi, furgonetkami, bagażówkami i nawet jedną ciężarówką z plandeką. Te większe pojazdy miały zabrać do Wichity łupy, które spodziewano się zdobyć w zbrojowni. Wstępne rozpoznanie ujawniło, że arsenał mieści się w brzydkim dwupiętrowym budynku. Budowla była ogrodzona metalowym płotem z bramą wjazdową na wewnętrzny parking. W czasie rekonesansu nie zauważono żadnych nocnych strażników, jedynie w drzwiach wejściowych zainstalowany był alarm.

Wszystkie pojazdy kompanii „A” spotkały się o 23⁰⁰ na zwirowej, od dawna nie używanej drodze, prowadzącej na tyły magazynu broni. Siły uderzeniowe składały się z trzydziestu trzech siostr, w tym dwóch w stopniu sierżanta i jednej w stopniu porucznika. Dowodziła nimi kapitan Florence Eiley. Wszystkie kobiety ubrane były w ciemne dżinsy i dżinsowe bluzy lub kurtki. Żadna nie miała maski na twarzy. Większość napastniczek, ale nie wszystkie, uzbrojona była w rewolwery, strzelby i karabiny. Przywiozły ze sobą podnośniki, by ułatwić przeniesienie zdobyczy na samochody. Sądono, że w arsenale znajduje się broń, amunicja i materiały wybuchowe. O tej porze zbrojownia powinna być pusta i ciemna. Ale uczestniczki akcji, które przyjechały pierwsze, stwierdziły, że brama jest szeroko otwarta, na parkingu stoją prywatne auta, a arsenał jest rześcicie oświetlony. Zamiast, jak planowano, natychmiast zablokować drogi, przeprowadzono szeptaną naradę. Ostatecznie kapitan Eiley i sierżant Ruth Vizzio udały się na rekonesans. Bez przeszkód przebiegły oświetlony parking i ostrożnie zajrzały przez zakratowane okna.

We wnętrzu zauważyły porucznika Gwardii Narodowej, podoficera i sześciu szeregowców zajętych inwentaryzacją. To był jeden z tych nieprzewidzianych przypadków, przez które może nie udać się każdy, nawet najlepszy plan. Kapitan Eiley i sierżant Vizzio wróciły do swoich żołnierzy. Florence Eiley podjęła decyzję o ataku mimo obecności członków Gwardii Narodowej. Ona i sierżant zarządziły blokadę drogi ze wschodu na zachód.

Eiley wyznaczyła dziesięć uzbrojonych siostr i poprowadziła je do ataku. Wejście do budynku sforsowały bez przeszkód.

Po prostu zastukały do drzwi, które otworzył jeden ze strażników, i kobiety wtargnęły do środka.

To niespodziewane najście zaskoczyło obecnych mężczyzn.

— Co, do diabła... — krzyknął jeden z nich.

Inny natychmiast zorientował się, co się stało, i przyplącił to życiem. Sięgnął do kabury po automatyczny pistolet, ale nie zdążył. Jedna z sióstr KKO — później zidentyfikowana jako Ruth Vandercook z Clearwater, w Kansas — wycelowała i strzeliła z dubeltówki. Strażnik zginął na miejscu. Dwóch innych, którzy stali w pobliżu, zostało rannych. .

Ten nieoczekiwany strzał na chwilę oszołomił obie strony. Kapitan Eiley otrząsnęła się pierwsza i rozkazała zdezorientowanym mężczyznom położyć się twarzami do podłogi, z rękoma na plecach. Trzy siostry pilnowały ich, dwie inne robiły co mogły, by opatrzyć rany poszkodowanym. Używały do tego środków znalezionych w zbrojowni.

Kobieta, która przecięła druty telefoniczne, wezwała pozostałe uczestniczki akcji.

Płądrowanie arsenału Gwardii Narodowej trwało jeszcze godzinę.

Późniejsze oficjalne doniesienia prasowe na temat tego incydentu utrzymywały, że zabrano tylko niewielką ilość karabinów M-1 i rewolwerów. W rzeczywistości łup był tłuźo większy. W ręce napastniczek wpadła duża ilość pistoletów i rewolwerów Thompson i Ingram, ręczne karabiny maszynowe, karabiny kalibru 30 mm, strzelby M-16, trzy lekkie i jeden ciężki karabin maszynowy, amunicja, bomby rozpryskowe, zapalniki, granaty rozpryskowe i dymne i wiele innego uzbrojenia wojskowego.

Po związaniu i zakneblowaniu jeńców uczestniczki ataku wycofały się w ustalonym porządku. Dopiero po tym jak bezpiecznie znalazły się w domu, kapitan Florence Eiley anonimowo zatelefonowała do władz, powiadamiając o rannych. Jeden z nich wkrótce zmarł w wyniku odniesionych ran.

Oprócz zdobytego uzbrojenia, atak ten przyniósł także inny ważny skutek. Kiedy uwolnionych mężczyzn zapytano, dlaczego natychmiast nie użyli broni, jeden z nich odpowiedział:

— Dobry Boże, przecież nie strzela się do kobiet.

Armia Amerykańska, Gwardia Narodowa i Stanowa wydały dyrektywy, w których nakazano, by we wszystkich podobnych przypadkach przeciwstawiać się wszelkimi dostępnymi sposobami, nie zważając na płeć napastników.

Rozkaz ten wywołał gorzki śmiech w szeregach Kobięcych Korpusów Obrony.

19 kwietnia 1988

— Gargan? Mówi Spencer.

— Cześć, Jake. O co chodzi?

— Do diabła, co robił Departament w czasie tej historii w Kansas?

— Odczep się. Wiedzieliśmy, że coś ma się wydarzyć, ale nie wiedzieliśmy, gdzie i kiedy. Ta mała dama ostatnio trzyma gębę na kłódkę. Jak senator przyjął dossier na jej temat?

— Spodobało mu się. Ciągle dla niego pracuję. Chce więcej informacji. Mam człowieka, który jeździ za nią po całym tym zasranym kraju.

— Żartujesz? Jaki Dundee ma w tym interes?

— Cholera go wie. Słyszałeś,, jak ją zmieszał z "błotem we wczorajszym wystąpieniu?

— Jake, nie przypuszczasz, że on przymierza się do wyborów w 1992 roku?

— Dziwne rzeczy się dzieją. On tak się nadaje na prezydenta jak ja na królową angielską. Hej, Jimbo, a teraz do rzeczy, okay?

— Dobra. Co masz dla mnie?

— Ta pani Turner sypiała z Normą Jane Laughlin, kobietą, którą zastrzelono w ubiegłym roku.

— Do diabła, Jake, o tym wiemy od samego początku. Coś jeszcze?

— Miała dwie skrobanki; domyślam się, że buja w obie strony.

— Dwie skrobanki? To ci dopiero nowina. Jesteś pewien?

— Czy kiedyś cię oszukałem? Obie skrobanki przeprowadzono w szpitalu w Charleston. Mogę ci dostarczyć nazwę szpitala, jeżeli to konieczne. No, a teraz twoja kolej. Co masz dla mnie?

— Coś jeszcze nie sprawdzonego. Ona pieprzy się ze swoim szwagrem.

— O, cholera. Myślałeś o wysyłaniu anonimowych listów do jego żony?

— Nie, ale wezmę to pod uwagę. Będziemy w kontakcie.

2 maja 1988

Virginia Terwilliger przyjeżdżała z Baltimore do Waszyngtonu coraz częściej.

Przerażały ją wyraźne oznaki coraz

bardziej pogarszającego się stanu zdrowia Laury Templeton. Ginny rozmawiała z Constance Underwood i z kilkoma innymi pracowniczkami centrali NSK. Wszystkie twierdziły to samo — Laura przestała normalnie funkcjonować. Po długim namyśle i kilku bezsennych nocach Terwilliger zadzwoniła do pozostałych członkiń Zarządu Głównego. Ponieważ Ginny była najbardziej żarliwą obrończynią Templeton, zaakceptowały jej zalecenia. Na podpisanej przez Laure prośbie o rezygnację wpisano datę. Od tego momentu do końca kadencji Constance Underwood miała pełnić funkcję przewodniczącej Narodowego Sprzysiężenia Kobiet.

Oznajmienie tej decyzji Laurze Templeton było drugą z najtrudniejszych rzeczy, jakie Virginia Terwilliger zrobiła w życiu. Chociaż rubaszna i zręczliwa jak zawsze, z trudem powstrzymywała łzy.

— Słuchaj, dziecinko, Zarząd Główny zdecydował, że powinnaś odejść — rzekła w biurze Laury.

— To ze mną aż tak źle? — Templeton próbowała uśmiechnąć się.

— Wystarczająco — oznajmiła brutalnie Virginia. — Lauro, Molly Turner robi wspaniałą robotę, ale potrzebuje wsparcia, którego powinnyśmy jej udzielić.

Musimy mieć kogoś, kto pokierowałby tym wszystkim, przykro mi.

— Kiedy? — spytała Templeton.

— Teraz. Dzisiaj. Czy jest sens przedłużać tę agonię? Lauro, czy masz jakieś plany na przyszłość?

— Zostanę w domu tak długo, jak się da, dopóki nie będę musiała iść do jakiegoś domu opieki czy szpitala. Maria, moja gosposia — poznałaś ją — przyrzekła sprowadzić się do ranie z mężem CarlOsem. To bardzo mili ludzie. Będą się mną opiekowali tak długo, jak to będzie możliwe. Bogu dzięki, mam pieniądze.

— Taak, wiesz, będę do ciebie wpadać, przyrzekam. Możesz jeszcze nam dużo pomóc. Znasz Sprzysiężenie tak dobrze, masz tyle doświadczenia, jesteś taka...

Obie kobiety wstały. Ogromna, silna Virginia Terwilliger zwyczajnie załamała się. Wzięła tę kruchą kobietę w swoje mocne ramiona i pokryła jej twarz pocałunkami mokrymi od łez.

— Och, tak mi przykro — westchnęła ciężko. — Lauro, kochanie, siostrze. To wszystko gówna, gówna, cholerna gówna, cholera.

Nieszczęsna kobieta starała się uspokoić Ginny. Głaszcząc

ją po plecach i mrużąc coś pod nosem, próbowała złagodzić jej ból.

— No dobrze, już dobrze. Nie przejmuj się tak bardzo. Pamiętaj o Sprzysiężeniu, słonko, tylko ono się liczy. Ty i ja nie znaczymy wiele, ale Sprzysiężenie...

Tą najtrudniejszą rzeczą, jaką musiała zrobić Virginia Terwilliger, było pójście do biura Constance Underwood i zakomunikowanie tej cholerycznej dziwce, że do końca kadencji została przewodniczącą NSK. Reakcja Connie zaskoczyła ją. Wstała, a na jej twarzy pojawiły się łzy.

— Biedna Laura — westchnęła. — Muszę do niej pójść.

— Nie teraz — ostro zareagowała Terwilliger. — Najpierw ty i ja musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy. Nie lubię ciebie, a ty mnie. Mam dość mocną pozycję w Zarządzie i jeżeli oczekujesz, że będziesz się teraz szarogęsić, to się mylisz. Lepiej wysłuchaj mnie uważnie.

— Obowiązkiem przewodniczącej jest wprowadzanie w życie dekretów Zarządu — rzekła Underwood sztywno.

— Pewnie. Zarząd wydaje ci polecenia, ale sposób, w jaki je będziesz wcielać w życie, to inna sprawa. Spójrz na to tak, Connie. Faktycznie przewodnicząca kieruje Sprzysiężeniem. Ty to wiesz i ja to wiem, wszyscy to wiedzą. Kiedy Laura była zdrowa, dałyśmy jej szerokie uprawnienia, bo wiedziałyśmy, że ona zrobi wszystko co najlepsze dla Sprzysiężenia. Do ciebie nie mam takiego zaufania. Uważam, że twoja dewiza brzmi: „ja tu jestem najważniejsza”. Chcę ci dokładnie uświadomić, że znajdziesz się na krótkiej smyczy. Będę bezustannie patrzyła ci na ręce. Nie uda ci się zrobić niczego bez mojej wiedzy.

— Chcę jedynie kontynuować politykę Laury — mruknęła Connie. Zabrzmiało to nawet szczerze.

— Mam nadzieję. Najważniejszą rzeczą jest pozwolenie na rozwijanie się Molly Turner. Ta siostra zrobiła dla nas więcej w ciągu roku niż ktokolwiek inny od czasu powstania Sprzysiężenia. Daj jej wszystko, czego zażąda: pieniądze, ludzi, słowem — wszystko. Nie ograniczaj jej. Cały ten cholerny kraj na nią patrzy. Zobacz, ile dzięki niej przybyło nowych członkiń i jak poważnie wzrosły datki na naszą organizację. Pozwól jej działać i nie wtrącaj się.

— Oczywiście — rzekła Constance — rozumiem.

Kiedy Virginia Terwilliger zamknęła za sobą drzwi, Connie pozwoliła sobie na krótki uśmiech triumfu. Laura Templeton wykopana. Pierwsze zwycięstwo. Relacje z tego, co robi Molly Turner, nie były zadowalające. Niektóre wręcz chaotyczne i zupełnie bez sensu. Connie otrzy-

mywała je od Yvonne Popkin pod swoim prywatnym, zastrzeżonym numerem telefonu. Popkin była pijaczką, a właściwie alkoholichką. Underwood miała jeszcze jednego szpiega blisko Turner. Liczyła na niego i na swoją władzę, którą dawało jej teraz stanowisko przewodniczącej NSK.

Nie miała zastrzeżeń natury moralnej w stosunku do tego, co robi Molly. Connie kwestionowała mądrość polityczną KKO, a na dodatek ta baba stawiała się Joanną d'Are ruchu feministycznego. Sprzysiężenie jest zbyt ważne i nie ma w nim miejsca na kult jednostki, rozmyślała Underwood.

Wstała i dotknęła włosów. Przede wszystkim powinna teraz uronić kilka łez przy pożegnaniu Laury Templeton. Następnie, przyrzekła sobie, umebluje na nowo ten okropny gabinet przewodniczącej, zanim się tam wprowadzi.

23 maja 1988

Przemówienie Lemuela K. Dundee na forum Senatu osiemnastego kwietnia zawierało ostrą krytykę Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony i było pierwszą tak zjadliwą mową wygłoszoną przez osobistość polityczną. Większość polityków unikała wystąpień na ten temat, uznając go za niebezpieczny.

Dundee i jego sztab, a szczególnie Thomas J. Kealy, nie mogli się doczekać reakcji środków masowego przekazu na to przemówienie. Kiedy dostarczono wycinki z prasy codziennej i tygodników i przejrzano listy, Kealy przygotował analizę statystyczną.

Prawie wszystkie komentarze prasowe i telewizyjne były życzliwe, chociaż większość opinii formułowano bardzo ostrożnie. Listy od wyborców, których nadeszło ponad czterdzieści tysięcy, nie zawierały jednego stanowiska.

Przynajmniej połowa z nich została wysłana przez członkinie Kobięcych Korpusów Obrony i potępiała senatora Dundee'ego za jego szowinistyczne poglądy.

Pozostali korespondenci popierali stanowisko senatora, ale wielu piszących dawało wyraz swojej trosce. Zdawali sobie sprawę z dyskryminacji kobiet i zastanawiali się, czy nie ma bardziej pokojowych sposobów naprawienia krzywd.

Dundee był zadowolony.

— Pozwólmy zabijać tym babom niewinnych strażników — stwierdził buńczucznie. — Każdy zabity żołnierz to tysiąc głosów dla mnie.

W tym okresie kraj bawił się i zajęty był zbliżającymi się konwencjami, na których miano ogłosić nazwiska kandydatów ubiegających się o fotel prezydenta w 1988 roku. Senator rozpoczął planowanie kampanii wyborczej na rok 1992, trzymając swoje ambicje i zamiary w głębokiej tajemnicy. Znali je tylko jego najbliżsi współpracownicy. Dużo podróżował, odpowiadał na każde zaproszenie o wygłoszenie odczytu, nawet pracował bezinteresownie na rzecz własnej partii. Wynajął komputer, na którego dyskietkach zapisano: nazwiska, adresy, numery telefonów i dane osobiste tysięcy różnych ludzi, których ręce ścisnął w czasie swoich wojaży.

Wieczorem dwudziestego trzeciego maja spotkał się w swoim domu w Spring Valley z Ruth Blohm, jedną z kilku osób, którym zamierzał zaproponować prowadzenie swojej kampanii. W trakcie rozmowy pani Marta Dundee siedziała cicho w kącie, grając sama ze sobą w trik-traka i od czasu do czasu pociągając whisky z dużej szklanicy.

— Przypuszczam — zaczął Dundee uśmiechając się — że nasz wspólny przyjaciel poinformował panią o celu naszego spotkania.

— Tak — Blohm skinęła głową.

— Sądzi pani, że mam szansę?

— Senatorze, z odpowiednią ilością pieniędzy i właściwym sztabem nawet Królowa Śnieżka może zostać prezydentem.

Dundee odwrócił się raptownie w kierunku kąta, w którym siedziała jego żona. Miał wrażenie, że dochodzi stamtąd podejrzanym chichot.

— Mhm, mam dość pieniędzy, przynajmniej na początek. Kierowanie kampanią to odpowiedzialna praca, dlatego właśnie jest pani tutaj. Ma pani bardzo dobre, rekomendacje, panno Blohm, a może pani Blohm?

— Panno. Odniosłam pewne sukcesy, ale nigdy nie prowadziłam kampanii ogólnokrajowej. A ostatnią batalię, którą prowadziłam o fotel gubernatora, przegraliśmy.

— Wiem o tym — rzekł Dundee jowialnie. — Ludzie, z którymi rozmawiałem, uważają, że to nie pani zawiniła, ale brak funduszy.

— Częściowo — przyznała Blohm. — Częściowo także fakt, że kandydat miał zasady. Czy pan ma zasady, senatorze?

— Tylko kilka — uśmiechnął się chłodno. — Ale nie są niewzruszone.

Przyjrzał się jej uważniej i zobaczył tęgą kobietę, bardziej jeszcze pogrubioną przez nieforemny, czarny gabardynowy kostium, w który była ubrana. Cerę miała niezdrową, palce

żółte od nikotyny, włosy nieuczesane, ale spojrzenie bystre. Nieugięte spojrzenie wojownika.

— Czy pani wie, dlaczego chciałbym, żeby pani dla mnie pracowała?

— Cóż... jest wielu mężczyzn, którzy cieszą się opinią lepszą niż ja, mają więcej doświadczenia i kontaktów. Domyślam się, że rozmawia pan ze mną, bo zamierza pan oprzeć swoją kampanię na walce przeciwko Kobięcym Korpusom Obrony i doszedł pan do wniosku, że kobieta-szef będzie dowodem na to, że nie dyskryminuje pan kobiet.

— Pani matka nie wychowała pani na idiotkę. — Patrzył na nią z podziwem.

— Wychował mnie ojciec, a on pisuje książki o szachach.

— Mhm... a teraz wróćmy do naszych spraw, Ruth, czy mogę mówić do ciebie po imieniu?

— Jasne.

— Ruth, jaki jest twój stosunek do KKO?

— Ich problemy znajdują się na ostatnim miejscu mojej listy zainteresowań.

Szczerze mówiąc, jestem zbyt zajęta moją pracą, by się w to angażować.

— Tak, to uczciwe. Och... zaniedbałem moje obowiązki gospodarza. Napijesz się czegoś?

— Nie, dziękuję, ale jeżeli pan ma ochotę...

— Nie teraz. Ruth, jeżeli postanowię zaangażować cię, wyrazisz zgodę?

— Nie oczekuję takiej decyzji dzisiaj, senatorze. Uważam, że to za wcześnie już teraz rozpocząć kampanię na 1992 rok. Jeśli jakikolwiek dziennikarz zapyta o to, niech pan zaprzecza, zaprzecza i jeszcze raz zaprzecza. Niemniej jednak powinien pan utworzyć mały sztab „Głosuj na Dundee'ego” w stanie, który pan reprezentuje w senacie. Oficjalnie nie będzie pan miał z nim nic wspólnego oprócz finansowania. Jeżeli pańska kampania zaskoczy, wykorzystam pan „Głosuj na Dundee'ego” jako zaczątek ogólnokrajowej organizacji.

— Podoba mi się twój tok rozumowania.

— Jest pan pewien, że ma pan wystarczające fundusze, sir?

— Tak.

— Będziemy potrzebowali milionów.

— Wiem, ile kosztuje kampania — powiedział trochę lodowato. — Ruth, czy jest coś w twoim prywatnym życiu, w twojej przeszłości, co mogłoby zostać odkopane i użyte przeciwko mnie? To nie jest zwykłe wścibstwo; wolałbym dowiedzieć się tego teraz.

— Jestem niewinna jak niemowlę — uśmiechnęła się weso-

ło. — Wszystko, co robiłam, było jedynie mrówczą pracą. Miałam kilka przygód, ale nic poważnego. Palę jak komin, a moim ulubionym trunkiem jest ziołowa herbatka. Narkotyków nie biorę. Jedno wyjaśnijmy od razu, jeżeli mnie pan zatrudni, pokieruję pańską kampanią według własnego uznania. Nie znoszę żadnych nacisków z boku. Pan tylko wyznacza kierunki. Będę pokazywać panu wyniki sondaży, ale proszę spróbować nie traktować ich serio. Ja trzymam lejce, a pan mi za to płaci.

— Mhm, dziękuję bardzo, Ruth — rzekł senator Dundee wstając. — Cieszę się, że poznałem cię i przeprowadziliśmy tę szczerą rozmowę. Mam jeszcze kilku ludzi, z którymi chcę pogadać, zawiadomię cię o mojej decyzji.

Odprowadził ją do drzwi. Zanim wyszła, roześmiał się serdecznie i spytał:

— Mówiłaś poważnie, że z wystarczającą ilością i odpowiednim kierownictwem nawet Królowna Śnieżka może zostać prezydentem?

— Oczywiście. Może mi pan wierzyć.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Dundee wrócił do pokoju. Zamyślony podszedł do stolika, przy którym siedziała jego żona. Podniósł szklaneczkę z burbonem i wypił do dna.

— Co ty na to, Marto?

— Zaangażuj ją. Ona jest dobra.

10 czerwca 1988

Thomas J. Kealy nie był zadowolony z mianowania Ruth Błohm na stanowisko „doradcy politycznego”, bo tak nazwano jej funkcję zamiast „szef kampanii”, by utrzymać tajemnicę tak długo, jak się uda.

— Polityka to nie. świat faktów — oświadczyła Błohm. — Polityka to świat iluzji. Kealy po prostu nie znosił tej baby. Nie mógł nic zarzucić jej kwalifikacjom, ale uważał, że jest brzydka, niezgrabna i śmierdzi spalonymi włosami — pewnie używa staromodnego żelazka do fryzowania swoich kudłów.

Nie znosił także braku szacunku, jaki demonstrowała wobec jego pozycji.

Spoglądała na niego z uśmiechem zaprawionym ironią, który mówił, że biorą udział w tej samej nieczystej grze i przypuszczalnie, gdy im dopisze szczęście, będą

jechać na tym samym wózku. Kealy'ego wcale ta myśl nie bawiła.

Przed samym sobą Kealy przyznawał, że nie cierpi Blohm dlatego, bo zagraża ona jego pozycji. Senator obiecał mu kluczową pozycję w swojej kampanii. Tom zdawał sobie sprawę, że nie ma odpowiedniego przygotowania, by wykonywać pracę Blohm. Zastanawiając się, jaka rola przypadnie mu w „świętej krucjacie”, doszedł do wniosku, że musi zostać prywatnym doradcą, bez którego Dundee nie będzie mógł się obejść.

Mając to na uwadze rozważał, w jaki sposób mógłby efektywnie wykorzystać swoje związki z Billym McCrea i znajomość tego głupiutkiego chłopca z przewodniczącą Narodowego Sprzysiężenia Kobiet.

Wieczorem dziesiątego czerwca w swoim mieszkaniu w Georgetown Tom Kealy zmaltretowany i wyczerpany zapytał:

— Billy, możesz jeszcze zostać, prawda?

— Tak.

— Mam butelkę szampana w lodówce, wypijemy ją?

— Pewnie. Lubię ten trunek. Bąbelki drażnią nozdrza. Kealy miał w lodówce także coś mocniejszego, co jeszcze

bardziej podrażniłoby nozdrza Billego, ale doszedł do wniosku, że mądrzej będzie o tym nie wspominać. Jedna przyjemność na wieczór wystarczy...

— Billy — zaczął — ta kobieta z NSK... ta Constance Underwood... ona...

— Hej! — krzyknął McCrea. — Nigdy ci nie wspominałem jej nazwiska. Nie mam zwyczaju ujawniać nazwisk moich klientów...

— Wiem — przerwał mu Kealy pośpiesznie — i szanuję twoją dyskrecję. To bardzo chwalebne z twojej strony, ale mojemu przyjacielowi nie sprawiło trudności ustalenie jej nazwiska. Ona jest przewodniczącą Sprzysiężenia, zgadza się?

— No, tak...

— Mój przyjaciel docenia informacje, których mu dostarczasz. Chyba dobrze ci płaci?

— O, tak, nieźle.

Kealy przyniósł butelkę, odkorkował ją i rozlał szampana do kieliszków. Nie ubrał się jeszcze; obaj siedzieli nadzy w fotelach. Tomowi trudno przychodziło skoncentrowanie się na interesach. Chłopiec był taki piękny, taki pociągający...

— Wspaniały trunek — stwierdził McCrea.

— Prawda? Siedemdziesiąt dolarów butelka.

— Baa. Teraz nawet lepiej smakuje.

Tom nie był pewien, czy Billy kpi sobie z niego, więc zareagował nikłym uśmiechem.

— Billy, mój przyjaciel, ten dziennikarz, zebrał pochwały za swoje artykuły o ruchu feministycznym. Zdecydował się napisać książkę na ten temat. Usiłował umówić się z tą Underwood na rozmowę, ale odmówiła. Domyślam się, że czytała jego artykuły i nie była nimi zachwycona. Może uważa, że on jest nieprzychylnie nastawiony do kobiet.

— Mhm, mhm — mruknął Billy, nie bardzo zainteresowany.

— Więc przyrzekłem mu, że spróbuję się z nią spotkać i zobaczyć, czy zdołam mu pomóc. Słuchaj, nigdy nie opowiadałeś mi o swoim mieszkaniu. Jest ładne?

— Niezłe. Poddasze w Adams Morgan.

— Dużo czarnych tam mieszka?

— Dużo ludzi wszelkich ras.

— Urządzasz przyjęcia?

— Pewnego razu przyszło nawet pięćdziesiąt osób. To duże mieszkanie.

— Wiesz, zastanawiam się, czy nie zechciałbyś urządzić przyjęcia i zaprosić Constance Underwood i mnie, i kogo tam jeszcze zechcesz. Miałbym wtedy szansę poznać ją osobiście i może udałoby mi się przekonać ją, by pogadała z moim przyjacielem.

— Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do jej biura i nie spróbujesz się umówić? — nawet sensownie zapytał McCre'a.

— Och, Billy — roześmiał się Tom, ale nawet dla niego ten śmiech brzmiał nieszczerze. — W taki sposób nie załatwia się spraw w tym mieście. Ona zorientuje się od razu, że skoro do niej telefonuję, to czegoś chcę, i będzie się miała na baczności. Nie, najlepszym sposobem jest poznanie kogoś u wspólnego przyjaciela, wtedy można ocenić osobiście, czy jedno drugiemu może pomóc. Tak właśnie załatwia się sprawy w Waszyngtonie.

— Domyślam się.

— Pokryję wszystkie koszty — obiecał Kealy poważnie. — Zapłacę za trunki i jedzenie, i dam ci niezły napiwek, jeżeli zorganizujesz to przyjęcie u siebie.

— Zapłacisz za wszystko?

— Oczywiście, ale pod warunkiem, że będzie tam Underwood. Pierwsze, co powinieneś zrobić, to namówić ją, później możesz zająć się przygotowaniem reszty.

— Czy oprócz niej mogę zaprosić kogo zechcę?

— Oczywiście — potwierdził Kealy. — To nie znaczy, że stu ludzi, ale około trzydziestki. Za tyłu zapłacę.

— To brzmi rozsądnie. Zapytam Connie, czy przyjdzie.

— Wspaniale. Powiadomisz mnie o terminie, a ja dam ci pieniądze.

— Mam nowy przepis na truskawkową margeritę, będzie okazja, żeby go wypróbować.

Wypili do końca szampana. Tom nie potrafił się już dłużej opanować. Odstawił kieliszek i ruszył do McCrei.

— Hej! Wolnego! — krzyknął Billy. — Jeszcze jeden numerek?

— Zapłacę! Za wszystko płacę — mruczał Thomas J. Kealy.

21 czerwca 1988

Byli w kolejnym łóżku, w kolejnym motelu, w kolejnym mieście, wyczerpani zmianą miejsc niczym w kalejdoskopie.

— Moll — rzekł Rod Harding. — Telefonowała Ann. Muszę wrócić do domu i być z nią.

— Jasne, że musisz — wyszeptała sennie Molly Turner, z głową na jego gołej piersi.

— U niej wszystko w porządku, trzyma się nieźle. Mówiła, żebym się nią nie przejmował i takie tam bzdury, ale wiem, że jeżeli nie będzie mnie przy niej, kiedy dziecko przyjdzie na świat, nigdy mi tego nie wybaczy. Ja sobie także nie wybaczę.

— Musisz pojechać do Canton, nie ma dwóch zdań. Też chciałabym tam być, ale nie mogę, siostrzyczka Ann to zrozumie. Zadzwoń do mnie, kiedy dziecko się urodzi, dobrze?

— Nie ma sprawy. — Delikatnie pogładził jej blond kędziory.

— Dołączę do ciebie tak szybko, jak tylko będę mógł. To nie potrwa dłużej niż tydzień, najwyżej dwa.

— Ciotka Molly — szepnęła smutno. — Pomyśl, zostanę ciotką.

— Cioteczką — mruknął, szczypiąc jej sterczące sutki. — Starą cioteczką Moll.

— O Boże — gwałtownie przyciągnęła go do siebie. — Tak bym chciała, żebyś nie musiał tam jechać.

Ale wrócił do Canton, do Ann. Jego żona popłakała sobie trochę, kiedy go zobaczyła. Czuł, że postąpił właściwie.

Kilka tygodni wcześniej Ann otrzymała list, podpisany „Przyjaciół”, w którym informowano ją, że Molly i Rod mają

romans. Zwykle pocztę otwierał personel KKO. Wiele listów było obraźliwych i natychmiast wyrzucano je do kosza, ale ten był zaadresowany kobiecą ręką. „Do pani Ann Harding”. Na kopercie widniała pieczętka z Independence w Missouri i napis drukowanymi literami: „DO RĄK WŁASNYCH”.

Ann przeczytała go dwa razy. Miała wrażenie, że ten list napisał pastor. Był utrzymany w staroświeckim stylu, ale z treści jasno wynikało, że jej mąż i siostra sypiają razem.

Ann była inteligentną kobietą. Zdawała sobie sprawę, że ktoś może rozmyślnie siać niezgodę wśród kierownictwa Kobięcych Korpusów Obrony. Jeden list jeszcze niczego nie dowodził, ich wrogowie byli w stanie zastosować bardziej wyrafinowane chwytaki niż ten.

Jednak, kiedy po tygodniu przyszedł drugi list podający dokładnie miejsca, daty i nazwę motelu w St. Paul, w Minnesocie, w którym Molly i Rod rzekomo razem spali, Ann długo nad tym rozmyślała i stwierdziła, że to może być prawda.

Nigdy nie brała pod uwagę możliwości zdrady ze strony męża, to nie licowało z jego charakterem. Uważała swoje małżeństwo za szczęśliwe. Nie potrafiła znaleźć nic w swoim zachowaniu, co skłoniłoby Roda do poszukiwania fizycznego pocieszenia gdzie indziej. Zawsze chętnie szła z nim do łóżka, nigdy mu nie odmawiała.

Nie potrafiła wyobrazić sobie Molly jako tej „drugiej”. Od dawna wiedziała, że jej siostra jest biseksualistką, ale należy do osób uczciwych. Trudno było uwierzyć, że może oszukiwać siostrę. To takie plugawe. Nie — powiedziała sama do siebie — jeżeli Molly byłaby zakochana w Rodzie, przyszłaby do mnie i wyznała prawdę. Należała do tego rodzaju kobiet.

Mając Roda w domu, dużego, przystojnego, spragnionego i bezgranicznie cierpliwego, zajmującego się odbudowaniem jej zaufania i uspokojeniem jej obaw, była szczęśliwa. Jak większość żon żywiła przekonanie, że gdyby jej mąż był niewierny, wyczułaby to. Ale nie było w jego wyglądzie, czy zachowaniu niczego, co wskazywałoby na perfidię.

Pierwszej nocy po jego przyjeździe do domu siedzieli w sypialni pławie do drugiej, wymieniając ploteczki o tym, co każde z nich robiło.

Mimo ciąży Ann nadal kierowała kwaterą główną. Miała dobrą pamięć. Wymieniła Rodowi liczbę ostatnio przyjętych członkiń i stan konta bankowego.

— Nie ma już wolnych pomieszczeń w domu przy Hillcrest Avenue — mówiła. — Upatrzyłam pusty budynek przy River

Street. Dawniej był tam magazyn. To naprawdę wielka buda, ale koszty adaptacji do naszych potrzeb nie powinny być wysokie. Jest ogrzewany, ale instalacja wodnokanalizacyjna jest raczej prymitywna. Czy mógłbyś go obejrzeć, Rod?

— Nie ma sprawy. Potrzebujemy także miejsca dla naszej broni, amunicji i reszty wyposażenia. To jest problem w każdym stanie. Najlepszy byłby samotny dom na farmie lub ostatecznie stodoła. Rozejrzę się.

— A tobie jak poszło, kochanie? — spytała.

— W werbowaniu chłopaków na instruktorów? Uważam, że nieźle. Byłem mile zaskoczony, że tylu facetów z Wietnamu chce z nami pracować. Ale być może to dla nich jedyna szansa, by dać popalić władzy.

— A co u Molly?

— Odwała kawał wspaniałej roboty — powiedział z entuzjazmem. — Zorganizowała niezłą kadrę oficerską. Stopniowo wciela swoje plany w życie. Niektóre oddziały stanowe już działają.

— Co się wydarzyło w Kansas?

— Ten skandal nigdy nie powinien mieć miejsca. — Wzruszył ramionami. — Nikt nie planuje akcji w ten sposób. Ale facet złapał za broń i siostry nie miały wyjścia. Po prostu idiotyczny przypadek. Nikt nie był zadowolony z tego powodu.

— A Molly jak leci, to znaczy, jak wygląda?

— Chuda jak zapałka — uniósł brwi. — Cały czas w napięciu. Nie odżywia się właściwie. Próbowałem namówić ją, żeby zwolniła tempo, ale znasz własną siostrę.

— Niekiedy mam wrażenie, że nie.

— Jest jak generator — rzekł ignorując jej odpowiedź, a może jej nie dosłyszał. — Ale spali się doszczętnie, jeżeli będzie dalej tak postępować. To prawda, w ciągu kilku najbliższych miesięcy najgorsze będzie za nami. No, ale dość o pracy, jak się czujesz, dziecinko?

— Znasz mnie, Rod. Jestem zdrowa jak koń. Doktor Feldman nazwał mnie doskonałą maszyną do rodzenia dzieci.

— Dokuczają ci bóle?

— Czasami, ale to nic takiego. Nauczenie się spania na plecach było najtrudniejsze. Za tydzień lub coś koło tego powinno już być po wszystkim, tatuśku.

— Nie za wcześnie? — uśmiechnął się wesoło. Przebrali się do snu, pomógł jej włożyć nocną koszulę.

— Co mogę jeszcze dla ciebie zrobić? — zapytał troskliwie. — Może masaż albo rozetrzeć ci nogi? A może przeciwiczymy lekcję karmienia niemowląt piersią?

— Wariat — roześmiała się. — Zadbaj tylko, by samochód był gotowy. Walizeczkę spakowałam. Mam wizytówkę doktora Feldmana z numerem telefonu na wszelki wypadek. Jestem przygotowana.

— Jak zawsze — stwierdził.

Położyła się w łóżku na plecach, a on, nagi, przysunął się do niej i podwinął jej nocną koszulę. Pocałował jej ogromny brzuch i przyłożył ucho do pępka.

— Halo, tam w środku! ^- zawołał. — Słyszysz mnie? Kochamy ciebie, chcemy ciebie poznać.

Ann zaczęła płakać. Ujęła jego głowę i przycisnęła do siebie.

— Ja też cię kocham — szepnęła, ukradkiem ocierając łzy. — Chcę, żebyś to wiedział. Tak bardzo cię kocham, nigdy cię nie porzucę.

— Nawet o tym nie myśl — mruknął surowo. — Chyba, że któregoś dnia zechcesz zamienić mnie na nowszy model.

— Nigdy — przyrzekła, unosząc jego głowę do góry. Przycisnęła ją do swoich nabrzmiałych piersi. — Będziemy razem dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

— Amen. Czy mogę poleżeć przy tobie jeszcze przez kilka rnihut?

— Oczywiście — uśmiechnęła się.

Jak wielu przyszłych rodziców wierzyli, że poród odbędzie się około północy.

Spodziewali się gorączkowego przejazdu do szpitala, wlokących się godzin bólów porodowych, ale tak się nie stało.

Około 8³⁰ dwudziestego pierwszego czerwca Ann Harding poczuła skurcze.

— Rod — zaczęła spokojnie — myślę, że dobrze będzie jak zadzwonisz do doktora Feldmana. Nie ma pośpiechu, ale zatelefonuj do niego, do mojej mamy i do twoich rodziców. Do biura też. Powiedz im, że dziś nie przyjdę do pracy.

Samochód zapalił bez problemów. Ann przyjechała do szpitala o 9³⁰, a godzinę później zabrano ją na oddział położniczy. W poczekalni siedział Rod, pełni nadziei dziadkowie, pięć pracowniczek sztabu KKO i jeszcze jakiś przyszły ojciec, który był kompletnie oszołomiony tym tłumem.

O 10³⁵ wszedł do poczekalni szeroko uśmiechnięty doktor Feldman i uściśnął drżącą rękę Roda.

— Wspaniały, przystojny chłopak, osiem funtów i sześć uncji. Matka i dziecko czują się dobrze. Moje gratulacje, panie Harding.

i tak oto pojawił się na świecie Jefferson Turner Harding. Wielkie imię dla dużego dziecka.

Po narodzinach syna Rod został jeszcze prawie dwa tygodnie w domu, chociaż Ann przekonywała go, by dołączył do Molly i zakończył montowanie kadry instruktorskiej.

— Im szybciej wyjedziesz — mówiła — tym szybciej do nas wrócisz. Kochanie, Molly także cię potrzebuje, musisz się nią opiekować. Wiesz, jaka gwałtowna i nieobliczalna potrafi być czasami.

Myślała, że będzie przygnębiona po jego wyjeździe, ale znalazła tyle radości w opiekowaniu się małym Jeffem, że ani nie odczuwała braku męża, ani za nim nie tęskniła.

Rod spotkał się z Molly Turner w Portland, w Oregonie. Tej nocy w pokoju hotelowym pokazał Molly kolorową fotografię Jeffersona Turnera Hardinga. Poszli do łóżka i kochali się zapamiętanie.

Dla bazy materialnej Kobięcych Korpusów Obrony położono podwaliny w 1988 roku. Także w tym roku skompletowano kadrę oficerską i zorganizowano oddziały złożone z ochotniczek. Ochotniczki zgłaszały się nadal. Za cel postawiono sobie utworzenie pięćdziesięciotysięcznej armii kobiecej. Połowę tego stanu osiągnięto już pierwszego lipca,

W omawianym okresie NSK i KKO szły odrębną drogą. Nastąpił rozdział kompetencji i odpowiedzialności. Constance Underwood i Molly Turner ustaliły:

— Narodowe Sprzysiężenie Kobiet samo lub w porozumieniu z innymi organizacjami feministycznymi będzie kontynuowało walkę na legalnej drodze o równe prawa polityczne i ekonomiczne dla kobiet Sprzysiężenie podejmie te działania poprzez grupy nacisku, pikietowanie, demonstracje, bojkoty, itp.

— Kobięce Korpusy Obrony ograniczą swoją działalność do tych spraw, w których została naruszona nietykalność osobista lub odmówiono kobietom przysługujących im legalnie praw, a także takich, w których z rozmysłem podejmowane będą próby poniżenia wszystkich kobiet. Na przykład: w pismach pornograficznych czy seksualnych reklamach.

Staranna analiza dostępnych raportów ukazuje, że KKO przeprowadziło trzydzieści dziewięć akcji w czasie pierwszych miesięcy 1988 roku. Większość z nich skierowana była przeciwko gwałtocielom, których uniewinniły sądy.

Interesujący dla socjologów i psychologów winien być fakt, że w tym okresie odnotowano największą w latach osiemdziesiątych liczbę gwałtów.

17 lipca 1988

Ruth Blohm pocila się okropnie. W żakiety i sukienki wszywała pod pachy potniki i używała dezodorantów — wszystko to z niewielkim skutkiem. W połowie lipca przez kraj przechodziła fala upałów, które bardzo jej dokuczały.

Ale nie pozwalała tej fizycznej niedogodności zapanować nad sobą. Przybyła do domu Dandee'ego po kilka czeków, aby zainicjować ruch społeczny „Głosuj na Dundee'ego”. Senator już skompletował sztab, jaki miał dla niego pracować.. Zwołał naradę, w której brała udział również Blohm.

Spędziła trzy dni, naradzając się z prawnikami, sędziami, parlamentarzystami stanowymi i szefami okręgów. Przed wyjazdem wynajęła magazyn i zatrudniła w nim trzyosobowy personel: białego, czarnego i mulata. Wynajęła rozlepiaczy afiszów, zatwierdziła projekt plakietki na samochody „Głosuj na Dundee'ego” i kampania rozpoczęła się.

W drodze powrotnej do Waszyngtonu Ruth zatrzymała się w Atlancie. Tu spotkała się ze znajomym, który prowadził dochodową, oficjalną firmę zajmującą się „Prawniczą psychometrią”. W kraju było tylko pół tuzina podobnych firm, zajmujących się tak niezwykłymi usługami prawnymi.

Przed dwoma laty Blohm spotkała Lyle C. Haydena w Bostonie na seminarium na temat modyfikacji zachowań. Seminarium było zwyczajną stratą czasu, ale Hayden zafascynował ją.

„Psychometria prawnicza” była oficjalnie zarejestrowaną firmą i prowadziła jedyne w swoim rodzaju usługi na zlecenia adwokatów, których klienci mogli sobie na to pozwolić. Pracownicy firmy zajmowali się analizą zachowań pozwanych i charakterem przestępstwa, o które on czy ona zostali oskarżeni. Szkiecowali psychologiczne profile sędziów przysięgłych, którzy potencjalnie mogli najbardziej współczuć oskarżonym.

W trakcie doboru składu ławy przysięgłych adwokat usiłował dopasować przyszłych sędziów przysięgłych do z góry ustalonego profilu psychologicznego. Po wyznaczeniu składu ławy przysięgłych psychologowie i specjaliści od zachowań z „Psychometru prawniczej” brali się do roboty. Przeprowadzali śledztwo na własną rękę, grzebali w życiu przysięgłych, szperali, wścibiali nos i na tej podstawie kreślili psychologiczne sylwetki dwunastu wyznaczonych sędziów i dwóch ich zastępców. W badaniach brano pod uwagę takie cechy, jak: religijność,

uprzedzenia, zwyczaje żywieniowe, styl ubierania, ambicje, stosunki rodzinne i preferencje seksualne,

Na tej bazie adwokaci budowali sposób obrony, a niekiedy również wybierali dla swojego klienta ubrania i doradzali mu sposób mówienia. Starali się dotrzeć nie tylko do świadomości sędziów, ale także do ich ambicji, obaw i irracjonalnych przekonań.

Korzystanie z usług „Psychometrii prawniczej” było kosztowne — tylko najbogatsi oskarżeni mogli sobie na nie pozwolić. Pracownicy firmy mieli na swoim koncie całkiem pokaźną serię sukcesów. Ich klienci z reguły uzyskiwali uniewinnienie lub tylko leciutko dostawali po łapkach.

— Czy wiesz, co to jest psychometria prawnicza? — zaśmiał się Lyle C. Hayden. — To doskonała manipulacja ławą przysięgłych.

Ruth Blohm zadzwoniła do niego siedemnastego lipca. Odniosła wrażenie, że jest zadowolony z tego, że znów ją słyszy. W każdym razie natychmiast zgodził się przyjechać na lotnisko i zjeść z nią lunch.

Zamówili kanapki z kurczakiem i piwo. Klimatyzacja w lotniskowej restauracji daremnie walczyła z upałem, który unosił się nad tłumem podróżnych, połykających w pośpiechu między odlotami samolotów cheesburgery.

— Kilka razy myślałam o Bostonie w ciągu ostatnich dwóch lat — rzekła Blohm ocierając pot z twarzy. — To znaczy o tym, co mówiłeś o twoich technikach i możliwościach ich wykorzystania. To mnie interesuje. Jestem specem od prowadzenia kampanii wyborczych. Nie obchodzi mnie, czy jesteś demokratą, republikaninem, socjalistą, komunistą, czy nawróconym chrześcijaninem. Jeżeli masz pieniądze i mnie wynajmiesz, poprowadzę twoją kampanię. Moje osiągnięcia są całkiem pokaźne.

^- Nie kandyduję na żaden urząd, Ruth — powiedział Lyle C. Hayden z łagodnym uśmiechem. Był wysokim, smukłym mężczyzną z włosami i wąsami tak jasnymi, że wydawały się białe na tle jego opalonej skóry.

— Wiem, że nie kandydujesz, Lyle — stwierdziła Ruth, tym razem wycierając spocone dłonie. — Jesteś zbyt rozsądny, by w to się pakować. Ale ja chcę cię zatrudnić. Czy uważasz, że twoje techniki zdadzą egzamin w kampanii politycznej? Oczywiście, nie mówię o analizach indywidualnych, ale o określeniu profiliów dużych grup wyborców.

Jasne brwi uniosły się.

— Być może — zaczął ostrożnie. — Ale koszty będą wyso-

kie, nawet przy założeniu, że zatrudnisz minimalną ilość wykwalifikowanego personelu. Przeprowadzenie badań ogólnokrajowych będzie kosztowało nie miliony, ale setki milionów dolarów.

— Nie zgadzam się — potrząsnęła przecząco głową. — Ty znasz swoją robotę, ja swoją. W wyborach powszechnych każdy kandydat wie, że są takie stany, w których nigdy nie wygra, niezależnie od tego co zrobi, albo ile pieniędzy wyda. Ale są takie stany, które ma w kieszeni i potrzeba tylko lekkiego uderzenia, więc koncentruje swój czas i pieniądze na wahających się stanach, tych, które mogą przechylić szalę w jedną czy drugą stronę. A w tych stanach są okręgi wyborcze, które dyktują sposób głosowania pozostałym okręgom. Więc musimy skupić się na tych właśnie okręgach.

To zainteresowało Haydena. Przestał jeść.

— Czy konwencjonalny sondaż nie byłby tańszy? — spytał. Gniewnie potrząsnęła głową.

— Rozejrzyj się dookoła — wskazała ręką na tłum jedzących. — Przypuśćmy, że wszystkim mężczyznom w tej sali zadasz dwa pytania. Czy jesteś przeciwny pracy kobiet? Czy jesteś przeciwny sprowadzeniu się czarnych do twojej dzielnicy? Dziewięćdziesiąt procent powie: do diabła, nie mam nic przeciwko pracy kobiet albo przeciwko Murzynom sąsiadom. Ja wiem, i ty wiesz, że to wszystko gówno. Oni nie chcą, żeby ankieter się dowiedział, jak wielkimi są szowinistami czy rasistami.

— Być może — wtrącił Hayden — nie uświadamiają sobie tego.

— Właśnie — stwierdziła Blohm. — Ale twoje techniki ujawniłyby, jakie naprawdę preferencje mają wyborcy. A jeżeli mój szanowny kandydat będzie to wiedział, może tak zaplanować kampanię poprzez reklamę w prasie, na plakatach, w telewizji prywatnej, by przeciągnąć wyborców na swoją stronę.

— Ruth, pracujesz dla kandydata na prezydenta? — spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Cóż... — otarła spoconą twarz papierową chusteczką. — Powiedzmy, że badam teren. Lyle, byłbyś zainteresowany zastosowaniem twoich pomysłów w ogólnokrajowych wyborach?

— Do diabła, tak.

— Na tyle zainteresowany, by przedtem wykonać trpczę roboty?

— Dużo?

— Nie. Jak tylko wrócę do Waszyngtonu, wyślę ci wszystkie dane trzech okręgów wyborczych: dzielnicy czarnych w Chicago, hrabstwa rolniczego w Iowa i być może wojskowego miasteczka na Florydzie. Dostarczę ci ostatnich spisów ludności, danych demograficznych i wszystkich materiałów, do jakich się dokopię. Przejrzysz je i ocenisz, w jaki sposób można je wykorzystać. Zobacysz, jakich pracowników będziesz potrzebował i tak dalej. Opracujesz i przyślesz mi kosztorys, zgoda?

— Oczywiście. To fascynujący pomysł, niedaleki od psychoanalizy dużych grup czy narodów.

— Z tym, że my nie chcemy nikogo uzdrawiać, chcemy głosów — powiedziała Ruth.

Do biura Dundee'ego wróciła późnym popołudniem. Przejrzała pocztę i pojechała do domu w Arlington w Wirginii.

Ruth i jej ojciec, Erie Blohm, mieszkali w małym domu z dwiema sypialniami w pobliżu Wayerly Hills. Domek stał na półakrowej działce z zaniedbanym trawnikiem z frontu i maleńkim podwórkiem na tyłach, gdzie na kilku krzakach pomidorów zaczynały właśnie dojrzewać owoce.

Erie Blohm siedział w bawialni przy rozkładanym stoliku do kart. Jak zwykle pochylał się nad szachownicą, pracując nad jakimś problemem szachowym. Uniósł głowę, kiedy córka weszła do pokoju.

— Cześć. Witaj w domu. Jesteś głodna?

— Umieram z głodu — podeszła i cmoknęła go w policzek.

— Mamy wczorajszy gulasz wołowy gotowy do podgrzania. Zawsze lepiej smakuje drugiego dnia. Będzie gotowy za dwadzieścia minut.

— Wspaniale. Zdążę wziąć prysznic.

Podczas obiadu opowiedziała mu o wszystkim, co załatwiła w czasie podróży. Dumna była zwłaszcza z tego, że udało jej się zainteresować Lyle Haydena pomysłem analizy całych grup wyborców.

— Mhm... czy to twój pomysł? — zapytał zamyślony Erie.

— Szczerze mówiąc, nie. To po prostu rozszerzenie tego, co robi Hayden z sędziami przysięgłymi. Ojciec, za dużo pieprzu w tym gulaszu.

— Powinienem przestać palić cygara — stwierdził. — Straciłem smak, więc daję za dużo przypraw. Chcesz powiedzieć o swoich planach Dundee'emu?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Słuchaj, zmieniłam zdanie na temat senatora Lemuela K. Dundee. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, pomyślałam: O Boże, jeszcze

jeden nadęty balon. Ale po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że oprócz gazu w tym balonie jest jeszcze coś. To szczwany lis. Bardzo, bardzo ambitny. Niezbyt wykształcony, ale inteligentny. I widocznie ma za sobą wszystkie pieniądze tego świata.

— Wskakuj na tego konia — doradził ojciec. — Może będziesz miała okazję sprawdzić swoje teorie.

— Masz rację — zgodziła się. — Dopóki nie są sprawdzone, pozostają tylko teoriami, a jeżeli się sprawdzą, zrewolucjonizują wybory w tym kraju.

— Wspaniały nowy świat — mruknął jej ojciec ironicznie.

— Co widzisz złego w manipulowaniu wyborcami? Lincoln osiągnął to przemówieniami, a ja chcę to zrobić przy pomocy komputerów. Widzisz jakąś różnicę?

— Tak. Dundee nie jest Lincolnem.

8 sierpnia 1988

— Prywatne Biuro Detektywistyczne Spencera, dzień dobry.

— Proszę z panem Spencerem.

— Przepraszam, kto mówi?

— Proszę mu powiedzieć, że jego stary kumpel, dobrze?

— Chwileczkę, proszę pana. —r' Jimbo?

— A któżby inny? Kto odebrał telefon, Jake?

— Moja sekretarka. Świetnie ciągnie druta, interesuje cię?

— Nie. Słuchaj, sądzę, że powinniśmy się spotkać.

— Jak sobie życzysz. Kiedy?

— Odpowiada ci dzisiaj o dziewiątej?

— O.K. Gdzie?

— Pamiętasz to miejsce, gdzie złapano Toma M.?

— Jasne.

- Tam się spotkamy. Bramy będą pozamykane, więc podjedź boczną drogą. Znasz ją?

— Znam, Jimbo. Ale Tom M. nie znał.

— Do zobaczenia, Jake.

Był to niewielki park narodowy niedaleko Friendship Heights w stanie Maryland. Bramy terenów piknikowych zamykano po zachodzie słońca, ale ten, kto znał boczną drogę, mógł dojechać nią do zwirowanego parkingu nad brzegiem jeziora. Jake Spencer podjechał na parking, zatrzymał samochód

i wygasił reflektory. Po kilku sekundach zobaczył w mroku trzy błyski świateł drugiego parkującego auta. Wysiadł powoli z samochodu i ciężko stąpając zbliżył się do niego.

— Cześć, Jake, jak leci?

— Nieźle, nie narzekam.

— Nie masz na sobie podsłuchu, Jake?

Spencer odwrócił się i spojrzał w ciemności na drugiego faceta. Gargan był tego samego wzrostu co on, ale szczuplejszy, silniejszy i młodszy. Spencer pomyślał, że w bójkę jeszcze zdołałby go pokonać, ale miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał nawet próbować.

Odwrócił się plecami do niego i wyciągnął ramiona nad głowę. James Gargan obszukał go, ignorując kaburę na biodrze.

— Teraz moja kolej — rzekł Spencer. Gargan uniósł ramiona, a Jake sprawdził go.

— Cholera, wiesz jak to jest — mruknął Spencer.—Możesz mieć ukryty mikrofon nawet w dupie.

— Nie mam.

— Albo mikrofon podłączony do magnetofonu w samochodzie.

— Chcesz sprawdzić?

— Nie. Jesteśmy przecież starymi kumplami, prawda, Jimbo?

— Pewnie, Jake. W dalszym ciągu pracujesz dla Dundee'ego?

— Ho, ho. Ten facet ma chyba kopalnię złota. Mówiłem ci, że mnie zaangażował i zlecił dodatkowe roboty?

— Na przykład?

— Chce się dowiedzieć czegoś więcej o tej cipie, wiesz, kogo mam na myśli, Jimbo?

— Molly Turner, tej, która pieprzy się ze swoim szwagrem. To sprawdzona wiadomość.

— Wysyłasz listy do jego żony?

— Tak, ale nic się nie dzieje.

— Tak trzymać, to jak chińskie tortury, kropla co jakiś czas. W końcu małżonka załamie się.

— Może. A teraz do rzeczy, jakie specjalne zadania wykończysz dla Dundee'ego?

— Idziemy po śladach Constance Underwood. To przewodnicząca Narodowego Sprzysiężenia Kobiet, jest oficjalnym szefem Molly Turner.

— Wiem, kim jest. Znalazłeś coś interesującego?

— Chyba tak. Sypia z Billym McCrea. Słyszałeś o nim?

— Jasne. Mamy oko na tego chłoptasia od kilku lat. To męska dobrze opłacana dziwka. Starannie dobiera klientelę.

— Jimbo, dlaczego Departament się tym interesuje?

— Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? Żartowaliśmy, że Dundee ma zamiar wystartować w wyborach prezydenckich. Wyobraź sobie, że to prawda.

— Cholerny skurwieli.

— Założył ruch „Głosuj na Dundee'ego” w stanie, który reprezentuje w Senacie. Ma za sobą ogromne pieniądze.

— Będzie ich potrzebował.

— Departament uważa, że będzie się ubiegał o prezydenturę w 1992 roku. Dwaj potężni mężczyźni spojrzeli na siebie.

— Sądziś, że Departament chce, żeby wziął udział w wyborach prezydenckich? — zapytał.

— Jasne — stwierdził Gargan. — Dlaczego nie? To przyjaciel, Pentagon też będzie zadowolony. I jeszcze wielu innych ludzi.

— Z pewnością. Cóż... znasz mnie, Jimbo, zawsze jestem gotów i chętny do pomocy w taki sposób, w jaki potrafię.

— Już mi pomogłeś. Te informacje o Underwood i Billyrh McCrei, td"jest coś. Będziemy w kontakcie?

— Oczywiście.

— Masz faceta, który jeździ za Molly Turner po całym kraju?

— Mówiłem ci.

— Czy to ten pryszczaty chudzielec?

— Tak, to on.

— On nie jest za dobry, Jake.

— Wiem — chrząknął Spencer. — Ale trzyma rękę na pulsie, a Dundee z tym swoim zausznikiem wydają się zadowoleni.

— Jake, Molly Turner i jej szalona armia coś planują. Coś dużego. Nie wiemy co i gdzie. Najwyraźniej to wszystko jest jeszcze w sferze projektów. Może uda nam się dowiedzieć czegoś bliższego.

— Strzelanina, zamach bombowy, napad, co? — Nie wiemy.

— Sądziłem, że macie wtyczkę wśród bliskich współpracowników Molly Turner.

— Mamy, ale ona nie jest zawodowcem. Ma wielkie cycki, ale ptasi mózdzek. Tak czy siak przysyła nam co może. Ale raptem szefowa KKO stała się bardzo ostrożna. Mój szpieg słyszy jedynie szepty, aluzje, nic konkretnego. Ta akcja ma być

przeprowadzona pod koniec roku, tak przynajmniej ona uważa, ale nie zna żadnych szczegółów. Może tobie uda się czegoś dowiedzieć.

— Zobaczymy, wtedy dam ci znać.

— To wszystko, co miałem dla ciebie, a ty masz coś jeszcze?

— Nie.

— W samochodzie mam flaszkę brandy, łykniesz jednego?

— Myślałem, że nigdy o to nie zapytasz — mruknął Spencer.

23 sierpnia 1988

Kiedy Thomas J. Kealy po raz pierwszy spojrzął na budynek, w którym mieszkał Billy McCrea, przypomniła mu się rycina, jaką widział w starym „Harper's Weekly”. Przedstawiała szpital w Waszyngtonie z okresu Wojny Secesyjnej. Później, kiedy wspinał się po metalowych schodach, wrażenie zmieniło się. Był przekonany, że znajdzie Billa bawiącego gości w czymś podobnym do mansardy Mimi z „Cyganerii”.

Rzeczywistość przerosła jego wyobraźnię. Apartament McCrei był jak wyjęty z żurnala na temat urządzania wnętrz. W przepiękny sposób połączono tu najnowocześniejsze urządzenia techniczne z prostymi meblami szwedzkimi i wiktoriańskimi. Razem robiło to miłe i ciepłe wrażenie.

Przyjęcie na poddaszu już się rozpoczęło. Mnóstwo młodych ludzi, ubranych przeważnie w dzinsy i podkoszulki, mini spódniczki, burnusy, bieliznę i tak dalej, stało w grupkach i rozmawiało.

W jednym z pomieszczeń zaaranżowano bufet, w którym kelner Murzyn nakładał potrawy. Obok niego stał barman i serwował trunki. Obaj ubrani byli w mundury admiralskie. Kealy zamówił wódkę z lodem zastanawiając się, ile ta impreza będzie go kosztowała. Nagle wpadła mu do głowy wspaniała myśl: za to wszystko zapłaci z tajnego funduszu senatora Dundee.

Przyglądając się tym atrakcyjnym, elokwentnym ludziom, zmienił zdanie o Billym McCrei. Być może nie doceniał tego pustogłowego chłopca. Wśród gości rozpoznał jednego podsekretarza stanu, wicesekretarza, trzeciego podsekretarza oraz pracowników przynajmniej trzech ambasad i doradcę z Białego Domu, niewiele znaczącego co prawda, ale zawsze z Białego Domu!

Zabrało mu prawie pięć minut, by precyzyjnie się przez tłum do narożnika, w którym McCrea pokazywał swoją kolekcję gregoriańskiego srebra szczupłemu czarnoskóremu mężczyźnie ubranemu w coś w rodzaju udrapowanego prześcieradła. Billy złapał jego spojrzenie i zaraz skinął głową. Po chwili uwolnił się od gościa i podszedł do Thomasa.

— Ona jest w bufecie — powiedział. — To ta wysoka z długimi czarnymi włosami, w tunice.

Kealy zerknął w tamtym kierunku.

— Widzę ją. Wspaniałe przyjęcie, dzięki, Billy.

— W porządku — uśmiechnął się McCrea.

Kealy poprosił o kolejną porcję wódki i powoli ruszył w kierunku Constance Underwood. Nie jest piękna, ale na pewno interesująca, pomyślał. Przez całą poprzednią noc usiłował ją sobie wyobrazić, ale żywa przypomniała mu długowłosą czarownicę z ilustrowanych bajek.

Krążył dookoła i przyglądał się uważnie jej smukłej sylwetce. Była młodsza niż oczekiwał, pełna temperamentu. Pomyślał o swojej żonie Dori. Niska blondynka Dori, być może w tej chwili karmi swoje rybki. Pośpiesznie wrócił myślami do Constance Underwood.

Od dawna żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Emanowała z niej jakaś siła, nieuchwytna pewność siebie, która go zaintrygowała. Coś zimnego i silnego zarazem. Potężny wróg. Underwood długo rozmawiała z jakimś mężczyzną, ale kiedy na chwilę została sama, Kealy zdecydował się i podszedł do niej.

— Constance Underwood? — spytał. — Przewodnicząca Narodowego Sprzysiężenia Kobiet?

— Tak? — badawczym spojrzeniem obrzuciła jego okulary, trzyczęściowy garnitur, białą koszulę i rypсовy krawat. — Kim pan jest?

— Boję się przyznać — uśmiechnął się odsłaniając zęby, — Może nie będzie chciała pani ze mną rozmawiać.

— Nie jest tak źle — roześmiała się. — Nie sędzę, nie jestem taka. Kim pan jest? — ponowiła pytanie.

— Thomas J. Kealy, osobisty doradca senatora Lemuela K. Dundee.

— O? Ma pan rację, wcale nie chcę z panem rozmawiać. Spodobał mu się jej głos, głęboki i gardłowy.

— Chwileczkę — ciągle uśmiechając się wyciągnął rękę. — Naprawdę cieszę się, że panią poznałem.

Zawahała się przez moment, potem uścisnęła jego dłoń krótkim, mocnym uściskiem.

— Dundee nie jest moim ulubionym senatorem — przyznała.

— Wiem — mruknął z pokorą. — Niekiedy cierpi na biegunkę słów i obstrukcję idei.

— Podoba mi się to zdanie. Sam je pan wymyślił?

— O Boże, nie. Ktoś powiedział to dawno temu, pomyślałem, że to odpowiednie porównanie.

— Zawsze wyraża się pan tak niepochlebnie przed obcymi o swoim pracodawcy?

— Do dzisiaj, nigdy. O, widzę, że pani szklaneczka jest pusta, moja także. Czy mogę pani przynieść następnego drinka?

— Tak, proszę. Perrier z plasterkiem cytryny.

— Pani nie odejdzie stąd, prawda?

— Nie — spojrzała na niego zaciekawiona. — Nie odejdę. Dziesięć minut później stali na balkonie sypialni Billa McCrei. Było tu jeszcze goręcej, ale powietrze było świeższe, a najważniejsze, że byli sami.

— Proszę posłuchać — zaczął Kealy. — Wiem, że Dundee daje wam do wiwatu, ale musi pani zdawać sobie sprawę, że on jest politykiem. Gdyby oportunizm uznano za przestępstwo, cały Kongres Stanów Zjednoczonych znalazłby się w kiciu. Tak, to ciekawa myśl.

— No, nieźle — roześmiała się.

— Powinna się pani częściej uśmiechać. Uśmiech rozświetla pani twarz. — Wrócił do sedna sprawy. — Uwziął się na Kobięce Korpusy Obrony, bo uważa, że to przyniesie mu głosy wyborców. Ma zamiar ponownie ubiegać się o fotel senatora w 1992 roku. Sądzę, że ta kampania przeciwko KKO jest błędem i powiedziałem mu o tym. Czy kiedykolwiek próbowała pani zmienić zdanie polityka? To trudne zadanie. Oni są pragmatycznymi zwierzakami, czasami pokazują pazury.

— Nieźle porównanie.

— Pani Underwood... do diabła, czy mogę mówić do ciebie Constance, a ty do mnie Tom? Balkon chyba nie jest oficjalnym miejscem,, prawda?

— Zgadza się.

— Constance, ja...

— Connie.

— Connie, wydaje mi się, że możemy być sobie przydatni. Nawet gdyby to była tylko wymiana informacji. Próbuję łagodzić co bardziej zjadliwe wybuchy gniewu Dundee'ego. To może tobie pomóc, a moim zdaniem, pomóc także senatorowi. NSK i KKO mogą odnieść korzyści, mając potężnego senatora po swojej stronie. On ma duże wpływy.

Spojrzała na niego badawczo.

— Tom, czy ty jesteś feministą?

— Mógłbym przysiąc na głowę mojego ojca, że tak, ale to nie byłaby prawda. Szczerze mówiąc nie interesuję się ruchem wyzwolenia kobiet. Chcę tylko ochraniać senatora najlepiej jak potrafię. I, jak powiedziałem, uważam, że możemy pomóc sobie nawzajem. Moglibyśmy współpracować. Czy możemy się spotykać od czasu do czasu? Wymiana informacji dla obopólnych korzyści. Co o tym myślisz? Z wieczorowej torebki wygrzebała paczkę playersów. Kealy złotą zapalniczką przypalił jej papierosa.

— Jesteś przyjacielem Billa McCrei? — spytała nagle patrząc na kolorowe światła stolicy.

— Billa? O, tak, znam go od kilku lat, a ty?

— Ja też — mruknęła krótko. — Znam Billa. Pozwól mi zastanowić się nad twoją propozycją. Może masz rację, może oboje zyskamy na współpracy.

— Na pewno — powiedział z przekonaniem. — Jak podejmiesz decyzję, to zadzwoń do mnie, dobrze?

— To nie jest mądry pomysł. Dam ci mój prywatny, zastrzeżony numer. Ty zatelefonuj do mnie za kilka dni.

— Zgoda.

— Gdzie się spótkamy? — spytała. Wiedział, że już wpadła w sidła. — Oczywiście w żadnej restauracji czy innym publicznym miejscu. Następnego dnia trąbiłyby o tym wszystkie gazety.

— Mieszkasz w Waszyngtonie, czy okolicy?

— W Waszyngtonie, w Watergate. Ale nie chciałabym, żebyś tam przychodził. Za bardzo rzuca się w oczy.

— Mam małe mieszkanie w Georgetown. Niewielkie, ale przytulne.

— Jesteś żonaty, Tom?

— Tak. Moja żona mieszka w Alexandria

— A ty masz dodatkowe mieszkanie w Georgetown?

— Tak.

— To wygodne.

Po dotarciu do biura następnego ranka, Kealy zatelefonował do letniego domu senatora w Chesapeake Bay. Rozmawiał przez telefon prawie pół godziny, opisując w detalach swoją rozmowę z Constance Underwood. Senator słuchał uważnie.

— Pomyślałem, że będzie sprytnie nawiązać z nią osobiste kontakty — mówił Kealy. — Po pierwsze, zneutralizujemy

przeciwnika, który mógłby nam w przyszłości zagrażać, a kontakty osobiste zawsze dają lepszą orientację w tym, co dzieje się w obcym obozie. Po drugie, uważam, że to może przynieść nam poważne korzyści. Już nie wspomnę, że ona ma swoją wtyczkę wśród bliskich współpracowników Molly Turner — rzecznika prasowego. Underwood widzi w Turner rywalkę. Dlatego jestem przekonany, że będzie przekazywała nam informacje — chce panować niepodzielnie, wie pan, co mam na myśli?

— Jasne. Doceniam ambicje tej małej damy i sposób jej myślenia. Wspaniała robota, Tom. Tak trzymać. Informuj mnie na bieżąco.

— Tak jest, sir. Miłego dnia.

— Jeżeli będzie miły, ty pierwszy się o tym dowiesz — senator roześmiał się z własnego dowcipu.

Następnego dnia James Gargan przesłuchał taśmę z tej rozmowy.

— Interesujące — mruknął do swojego asystenta.

13 września 1988

Do tego dnia Molly Turner odwiedziła trzydzieści siedem oddziałów stanowych Narodowego Sprzysiężenia Kobiet i wszędzie wyznaczyła dowódców pułków Kobięcych Korpusów Obrony. Ostatni postój wypadł na Florydzie. Stanowy zarząd NSK miał swoją siedzibę w Fort Lauderdale i w tym właśnie mieście Rod Harding spotkał Brata Nabisco.

Jak zwykle zaczął swoje, poszukiwania instruktorów od klubu weteranów z Wietnamu. Był tu tylko mały klub, w którym chłopcy spotykali się, by pograć w karty, bilarda, albo wyprjali po kilka piw czy drinków.

Harding zamówił sześć zimnych butelek piwa i zaczął swoją gadkę. Faceci słuchali go uprzejmie, ale żaden nie wyraził ochoty na współpracę.

— Człowieku—mruknął jeden—moja żona zabiłaby mnie, gdybym się do ciebie przyłączył.

Z taką reakcją Rod spotkał się już kilka razy.

Siedział z nimi jeszcze przez jakiś czas, słuchając nieprawdopodobnych opowieści wojennych i już miał wychodzić, kiedy jeden z weteranów zatrzymał go.

— Hej. Powinieneś pogadać z Bratem Nabisco, on jest na tyle zwariowany, że może do ciebie dołączyć.

— Brat Nabisco?

— To nie jest jego prawdziwe nazwisko — roześmiał się weteran. — Nazywamy go tak, bo jada tylko odżywki firmy Nabisco. Przypuszczam, że nie stać go na nic innego. Bezrobotny. Jest czarny i zwariowany jak diabli. To świr.

— Wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

— Hej, chłopaki! — zawołał. — Czy ktoś wie, gdzie się podziewa Nabisco? Jeden z grających w karty podniósł oczy.

— Jest w kiciu za zakłócanie porządku publicznego. Osikał samochód policyjny, a nie ma forsy na kaucję.

— Oto cały Brat Nabisco — uśmiechnął się weteran. — Mówiłem ci, że to pomylenie.

Harding zapytał o komendę, wsiadł do wynajętego samochodu i odszukał ją. Budynek przypominał raczej hacjendę niż komendę policji, ale kiedy wszedł do środka, poczuł taki sam zapach, jak w każdym posterunku, w którym był do tej pory. Pokazał dowód tożsamości sierżantowi, który pełnił służbę, i zapytał, czy istnieje szansa na zwolnienie. Brata Nabisco.

— Kogo? — spytał sierżant.

— Czarnego, który nasikał na policyjne auto.

— Ach, tego narwańca. Pogadam z porucznikiem. Szef chyba będzie zadowolony, że się go pozbędzie.

Harding czekał cierpliwie. Po jakimś czasie sierżant wrócił ze starszym mężczyzną, najwyraźniej porucznikiem, ubranym w nieskazitelnie czysty mundur. Włosy miał przycięte najeża, a na kościsty rfi nosie okulary. Przyniósł teczkę z aktami.

— Kim pan jest? — zapytał.

Harding ponownie pokazał swoje papiery: prawo jazdy i tak dalej. Porucznik przejrzał je uważnie.

— Nadal pracuje pan w policji w Canton?

— Nie. W ubiegłym roku złożyłem rezygnację.

— Dlaczego?

— Za dużo gówna.

— Taa... — mruknął porucznik znużonym głosem. — Wiem, co pan ma na myśli, sam chciałbym stąd odejść, ale niedługo emerytura. Dlaczego interesuje się pan — otworzył teczkę — tym Todhunterem Clarkiem?

— Czy to ten facet, którego nazywają Brat Nabisco?

— Brat Nabisco? Pierwszy raz słyszę coś takiego, ale Todhunter Clark to ten sam facet, który osikał nasz samochód. To ostatni wyczyn z długiej serii jego wesołych wybryków. Ten facet to świr.

— To chyba on — zgodził się Harding. — To weteran

z Wietnamu, usłyszałem, że jest w tarapatkach. Czy jest szansa, żeby go stąd wydostać?

Porucznik spojrział na niego.

— Pięćdziesiąt dolarów kaucji. Chce pan zapłacić?

— Jasne... i to wystarczy?

— Zabierze go pan z hrabstwa?

— Nie gwarantuję, ale spróbuję.

— Lepiej niech pan to zrobi. Jeżeli znowu zobaczę tego czarnego bękarta, będę tłukł go tak długo, dopóki nie będzie potrzebna pomoc lekarska. Proszę o gotówkę, nie przyjmujemy czeków. I podpisze pan kilka papierków. Sierzancie, -proszę przyprowadzić tego szaleńca.

Harding zapłacił, podpisał co trzeba i usiadł na drewnianej ławce pod ścianą. Po kilku minutach sierżant wrócił z wysokim Murzynem ubranym w brudne dżinsy, podniszczone wojskowe buty i czapkę baseballową z daszkiem odwróconym na kark.

Sierżant rozerwał kopertę i wysypał jakieś śmieci na biurko. Brat Nabisco schował je do kieszeni kurtki i podpisał pokwitowanie. Powiedział coś do sierżanta, który wskazał na Hardinga. Z kolei odwrócił się, spojrział na Roda i podszedł do niego. Rod wstał.

— Znam cię? — zapytał Clark obcesowo.

— Nie.

— Dlaczego mnie wyciągnąłeś?

— Rozmawiałem z twoimi kumplami w klubie. Oni mi powiedzieli, gdzie jesteś.

— Taa. To nie tłumaczy, dlaczego za mnie zapłaciłeś.

— Spadajmy stąd, bo ci tu mogą zmienić zdanie. Mam auto.

— Ach tak, no to spadajmy — zgodził się Nabisco.

Jechali najpierw z przepisową szybkością, a później, w miarę oddalania się od posterunku, Rod coraz bardziej naciskał na pedał gazu.

— Śmierdzisz potem — mruknął Harding, włączając klimatyzację.

— Nie gównem? Gdybyś spędził pięć dni w tym chlewie, też byś nie pachniał różami. Dokąd jedziemy?

— Do mojego motelu.

— Hej, człowieku! — Brat Nabisco zrobił się podejrzliwy. — Nie szukasz chyba chłoptasia do łóżka, co?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Mam butelczynę i będziesz mógł się wykapać. Być może będę miał dla ciebie robotę.

— No, no. Pogadamy o tym, ale zacznę od gorzałki. Jednak w pokoju motelowym zapytał, czy najpierw może

się wykapać. Harding zaliczył mu to na plus. Kiedy Clark wyszedł spod prysznic, czekała na niego szklaneczka, majtki, czyste dżinsy i biały podkoszulek. Był tego samego wzrostu, co Rod ale o pięćdziesiąt funtów lżejszy. Pożyczone ciuchy wisiały na nim jak na wieszaku.

— O — westchnął, popijając burbona. — To jest coś. Uprzejmie dziękuję. Jak się nazywasz?

— Rod Harding.

— Todhunter Clark, to moje nazwisko.

— Dlaczego nazywają cię Brat Nabisco?

— To głupoty. Bardziej jestem znany jako Tod.

— Jesteś głodny, Tod?

— Nie bardzo. Zjadłem wieczorem michę zupy. Nazywają to gulaszem, ale to tylko zupa i dali mi do niej mnóstwo chleba.

— Dobra, a teraz do rzeczy, powiem ci, o co chodzi. Opowiedział Clarkowi o Kobietych Korpusach Obrony

i o tym że są zorganizowane na wzór wojskowy w celu walki z bronią w rękę.

— Najczęściej te kobiety wymierzają sprawiedliwość gwałcicielom i pracodawcom, którzy płacą kobietom połowę tego co facetom za tę samą pracę.

— Ach, tak — Clark uśmiechnął się ironicznie. — Rozumiem, dlaczego są ciut wkute. Są traktowane jak Murzyni.

Harding powiedział mu, że poszukuje weteranów z Wietnamu, którzy przeszkoliliby siostry w działaniach wojskowych. Trzeba je nauczyć podstawowych kanonów prowadzenia akcji bojowych.

— To szaleństwo — stwierdził Brat Nabisco i uniósł w górę pustą szklanę. — Dostanę jeszcze?

— To robota dla ochotników — mówił Harding nalewając mu burbona. — Pokryjemy twoje wydatki, ale pensji nie dostaniesz.

— Byłeś w Wietnamie?

— Dwa razy.

— I chcesz, żebym pracował za darmo? Chyba żartujesz? Harding spojrział na Todhuntera Clarka. Chudy jak szczapa,

nie ogolony, wysoki z małą, siwą kocią bródką. Ogromne oczy i krótkie kręcone włosy. Długie ręce, coś kociego w ruchach.

— Co robiłeś w Wietnamie, Tod?

— Najczęściej oczyszczałem teren. Byłem tu i tam, wszędzie. Przerzucali mnie z miejsca na miejsce. Wyznaczali do specjalnych zadań, wiesz jakich, co? Na przykład: zastawianie pułapek, jeżeli chcieli kogoś dostać. Mówiłem im, jak się do tego zabrać.

— Znasz się na materiałach wybuchowych?
— Wyssałem wiedzę o nich razem z mlekiem matki. Zapalniki, detonatory, mechanizmy zegarowe. Wiem o tym wszystko.
— Byłeś w tym dobry?
— Dobry? Byłem pieprzonym geniuszem. Nawet dostałem medale i listy pochwalne. Medale zastawiłem w lombardzie, a listy pogubiłem. Do czego mi potrzebne takie gówno? Nie przydały się po powrocie z Wietnamu.
— Czyli pracowałeś w kontrwywiadzie? — Harding uniósł brwi. — Czy w czymś takim?
— To była część mojej roboty — Clark wskazał na butelkę whisky. — Widzisz tę flaszkę? Gdybym dysponował tym sprzętem, który wtedy miałem, mógłbym założyć ładunek w tej butelce. Odkręcisz nakrętkę i bum. Urwie ci głowę.
— A najlepsza robota, jaką zrobiłeś?
— Najlepsza? — spytał Nabisco, jego wielkie oczy rozbłysły. — O Boże, to było fantastyczne. Chcieli zabić takiego wielkiego polityka. Więc poszedłem do jego biura i założyłem ładunek w aparacie telefonicznym. Rozumiesz? Sam byłem daleko. Zadzwoiłem do biura, słuchawkę podniosła jego sekretarka. Poprosiłem, żeby on odebrał osobiście, bo mam do niego supertajną sprawę. Po chwili facet podszedł do telefonu, upewniłem się, że to ten, o którego chodzi, i leciutko zagwizdałem. Została z niego miazga. Musieli zdrapywać go ze ścian. Później udoskonalili tę technikę, ale pomysł był mój. Dziś możesz rozwalić faceta, będąc na drugiej półkuli. Nie musisz nawet być na miejscu. Ja to wymyśliłem. Opisując to morderstwo coraz bardziej podniecał się. Pochylony do przodu, wymachiwał rękoma i śmiał się krótkim urywanym śmiechem. Rod Harding znał ten typ świra. Użyteczny, ale niebezpieczny. Należał do facetów, którzy dla zabawy podzucają odbezpieczony granat.
— Tod, masz gdzie spać dzisiejszej nocy?
— Nie, właściwie nie, ale coś znajdę.
Harding podał mu dwa banknoty dwudziestodolarowe.
— Znajdź sobie jakieś łóżko, byle nie ławkę w parku. Trzymaj się z daleka od kłopotów. Zjedz coś, żadne tam kasze firmy Nabisco.
Tod pieszczotliwie pogładził dwudziestki.
— Żeberka — rzekł rozmarzony. — Duży talerz żeberek, frytki i kilka piw.
— Dam ci numer telefonu, zadzwoń do mnie rano.
— Powiem ci coś, człowieku, niczego nie zrobię za darmo.

— Myślę o płatnej robocie dla ciebie, ale muszę to uzgodnić z moim szefem. Jeżeli ona powie „tak”, pogadamy o tym jutro.

— O.K. — mruknął Todhunter Clark. — A co z tą pożyczoną forszą?

— Zatrzymaj ją. A teraz już znikaj, dobra? Czekam na kogoś.

— Nie ma sprawy. Zmywam się. — Przy drzwiach odwrócił się i po raz pierwszy uścisnęli sobie ręce. — Dzięki, człowieku, za wyciągnięcie mnie z pudła i za to, że pozwoliłeś mi się 'i umyć. To była największa rzecz, jaką mogłeś dla mnie zrobić. Mam u ciebie dług. Jeśli chcesz kogoś wykończyć, to tylko daj mi znać.

— Będę o tym pamiętał — Harding uśmiechnął się. — Atak przy okazji, znasz hiszpański?

— Trochę, na tyle, żeby się dogadać. Miałem kumpla w Wietnamie, szalonego Latynosa. Nauczył mnie.

— Taa. Co się z nim stało?

— Nigdy w to nie uwierzysz, ale... Pieprzył żonę innego Latynosa w Stanach, przed zaokrętowaniem. Przez cały czas pisał do niej listy z Wietnamu, miłosne listy, i przemyślał, jak wykończyć jej starego. Pewnego dnia próbował zaminować tortillę, ale urwało mu rękę. Musieli odesłać go do domu. Szalenciec, co?

— Tak, szalenciec, gdzie on teraz jest?

— W Miami, tak przynajmniej ostatnio słyszałem.

— Nie zapomnij jutro dp mnie zadzwonić, Tod.

Godzinę później Molly Turner weszła do jego pokoju i zmęczona opadła na fotel.

— Do cholery, co tu tak śmierdzi? — pociągnęła nosem.

— Todhunter Clark — roześmiał się. — Śmierdział jak wszedł, wyszedł czysty.

Opowiedział jej o Bracie Nabisco, o tym, że facet nie zamierza pracować ochotniczo jako instruktor, ale on, Harding, chce go mieć jako swojego zastępcę. Na etacie.

— Nasz budżet to wytrzyma — rzekł. — Potrzebuję asystenta. Mam za dużo roboty z tym wszystkim.

— Z twojej opowieści wynika, że to świr.

— Bo tak jest. Moll, wiem coś niecoś o eksplozjach i elektronice. Uwierz mi, ten facet jest ekspertem. Jeżeli tylko połowa z tego, co mówi, jest prawdą, to jest on specjalistą dużej klasy. Możemy wykorzystać jego wiedzę.

— Ale on jest czarny — stwierdziła Moll. — Chcesz czarnego?
— Oczywiście. Procentowo, ile członkiń naszej organizacji jest czarnych?
— Nie za dużo.
— Właśnie, ponieważ czarne kobiety uważają, że KKO jest organizacją białych. Dlatego zatrudnimy czarnego faceta w sztabie. To będzie sygnał, że w Korpusach kolor skóry nie gra roli.
— Mówisz jak polityk.
— Do cholery, a jak myślisz, czym ty jesteś? KKO to bardzo polityczna organizacja.
— Może masz rację, Rod. Na razie skończmy z tym — powiedziała zmęczona, pocierając czoło. — Muszę wrócić do Canton i odpocząć. Jestem wykończona. Dobra, ufam twojej opinii. Do tej pory nie popełniłeś żadnego błędu. Zatrudnij tego szaleńca. Jak będzie nasz następny krok?
Podszedł i stanął za jej krzesłem, zaczął masować jej kark i ramiona.
— Jedź do Canton — zaczął. — Przytyj trochę na kuchni twojej matki. Wyśpij się wreszcie. Ja pojedę do Miami z Bratem Nabisco i spróbuję zlokalizować tego jego kumpla, tego, który stracą rękę minując tortillę. Jeżeli go odnajdę, założę się, że będzie wiedział, gdzie można kupić broń i resztę tego szutu, który potrzebujemy.
— Niegłupi pomysł — mruknęła sennie.
— Moll, chesz iść spać?
— Później — otworzyła oczy. — Najpierw mnie zerznij. Kiedy leżeli nadzy w łóżku, ścisnęła go tak mocno, że aż krzyknął z bólu.
— Kocham cię — szepnęła gorąco.
— Hej! Chwileczkę, mówiłaś, że to czysto fizyczny związek, pamiętasz? Przyjaciel oddaje przysługę przyjacielowi. Żadne uczucia nie wchodzi w grę. Tak mówiłaś.
— Kłamałam — stwierdziła.

4 października 1988

Jak wiele dobrze zorganizowanych kobiet, Ann Harding miała tendencję do lekceważącego mówienia o sobie. — Jestem taka roztrzepana — śmiała się. Albo:
— Mam zbyt wiele rzeczy na głowie i nic nie jest do końca zrobione. Przyjaciele

i współpracownicy uśmiechali się ze zrozumieniem, ale wiedzieli bardzo dobrze, że Ann robiła, co do niej należało, według planu i na czas. Jeżeli pasja Molly Turner rozpaliała Kobięce Korpusy Obrony, to kierownicze talenty Ann sprawiały, że organizacja działała sprawnie.

Miała taki zwyczaj, że przed pójściem do łóżka robiła listę spraw do załatwienia na następny dzień. Autorowi wpadły w ręce jej osobiste zapiski na dzień czwartego października 1988, a wyglądały one tak:

- ped. Jeff - ...
- fotokop.
- pij. Popkin
- 1. C. U.
- pocz.
- dep. ban.
- fryz.
- M i T.

Pierwszy zapisek: „ped. Jeff” znaczył, że o 8³⁰ Ann ma wizytę z synem u pediatry. Jefferson Turner Harding był dokładnie ważony, mierzony, badany- i dostawał cukierka. Przepowiadano mu tytuł mistrza świata w boksie w wadze ciężkiej. Prosto od lekarza Ann jechała do nowej kwatery KKO w dawnym magazynie przy River Street. Wnętrze ogromnego budynku przegrodzono ściankami działowymi. Uzyskano w ten sposób wiele nowych pomieszczeń dla sztabu, który rozrastał się z każdym miesiącem.

Obok biurka Ann wstawiła dziecinne łóżeczko, by mieć na oku swoje energiczne dziecko. To było najlepsze rozwiązanie, bo kiedy Ann musiała wyjść, zwykle znajdował się ktoś z pracowników, kto bawił się z Jeffem, gdy mały nie spał. Zdziwiający, ale największą ochotę do pilnowania dziecka wykazywał Todhunter Clark. Tego czarnego Rod przywiózł z Florydy. Tod wynajął pokój w hotelu „Broadway”. Od kiedy zamieszkał w Canton, większość dni spędzał w kwaterze głównej KKO, z ochotą pomagając każdemu, kto prosił go o pomoc.

On i Jefferson Harding natychmiast stworzyli towarzystwo wzajemnej adoracji.

Ann zastanawiała się, w jaki sposób ci dwaj porozumiewają się.

— Po prostu mówię jego językiem—wyjaśnił Brat Nabisco. I tak to szło. Spędzali wiele godzin: mruczeli, chichotali i robili grymasy. Widząc ich razem bawiących się tak wesoło,

Arm prawie nie mogła uwierzyć w historię, którą Rod opowiadał jej o Clarku, a zwłaszcza w tę o krwawych zamachach.

— Żaden mężczyzna, który kocha dzieci, nie może być aż tak okrutny — stwierdziła.

— Ho! Ho! Jak Hitler — mruknął Rod.

Drugą sprawą na liście rzeczy do załatwienia była: „fotokop.” — i dotyczyła zakupu najnowszej fotokopiarki dla kwatery głównej KKO. Ten zakup był niezbędny, bo biura sztabu wyposażone były tylko w zwykłe maszyny do pisania i liczenia.

Założenie kwatery głównej KKO w Canton początkowo budziło niechęć mieszkańców miasteczka, ale kiedy przybywało pracowników, którzy wydawali coraz więcej pieniędzy w miejscowych sklepach na meble, ubrania i żywność, wrogość mieszkańców zmniejszyła się, a nawet zniknęła. Każdy mieszkaniec Canton musiał przyznać, że z pracownikami KKO robi się dobre interesy.

Ann obejrzała kopiarki krótko przed południem, wybrała takie urządzenie, jakie najbardziej jej odpowiadało, umówiła się co do warunków zapłaty i dostarczenia zakupu do biura. Po załatwieniu tej sprawy pojechała do restauracji McDonalda na lunch z Yvonne Popkin — trzeci zapisek na kartce — „pij. Popkin”.

Po zamówieniu ćwiartki kurczaka i coli powiedziała Popkin prosto z mostu, że musi kontrolować swoje picie, albo zostanie wylana z posady.

— Przecież wykonuję swoją robotę. — Yvonne zbladła.

— To prawda—potwierdziła Ann, patrząc na nią.—Ale nie tak, jak powinna być robiona. Twoja korespondencja wychodzi za późno, zaprzepaściłaś szansę na wywiad Molly dla „Tonight Show”, a twoje wydatki są przerażająco duże.

— Mogę to wyjaśnić... — zaczęła Popkin.

— Gdybyś dobrze wykonywała swoje obowiązki, nie musiałabyś się tłumaczyć, gdybyś robiła to, co do ciebie należy, nie wtrącałabym się. Byłabyś samodzielnym pracownikiem. Chyba się zgodzisz, że masz problem z alkoholem, prawda?

Przygnębiona Yvonne skinęła głową, nawijając nerwowo tłuste pasemko włosów na palec.

— Szukałaś gdzieś pomocy w rozwiązaniu twojego problemu? Profesjonalnej pomocy?

— Nie potrzebuję...

— Ależ potrzebujesz — przerwała jej Ann zdecydowanie. — W mieście jest oddział Anonimowych Alkoholików. - Przyłącz się do nich, zacznij brać udział w ich spotkaniach

albo spakuj swoje rzeczy i wynoś się z Canton. Decyzja należy do ciebie.

Yvonne zaczęła płakać.

— Słuchaj, dziecinko — Ann złagodniała. — Mnie jest tak samo trudno jak tobie, ale potrzebujemy błyskotliwego, sprytnego rzecznika prasowego. Masz talent i przygotowanie zawodowe. Jesteś dobra, ale gorzalka niszczy twoje życie Pójdiesz do klubu AA?

Yvonne pociągając nosem, potakująco skinęła głową.

— Dobrze. Pójdiesz do nich, a my wszyscy będziemy ci pomagać w każdy możliwy sposób. No, a teraz wracamy do biura. Mam jeszcze mnóstwo roboty. Nie wiem, za co się najpierw złapać.

Ale oczywiście doskonale wiedziała, co ma teraz robić. To był punkt „1. C. U.” — długi osobisty list do Constance Underwood, w którym zwracała uwagę na niewłaściwy sposób traktowania KKO przez macierzystą organizację — Narodowe Sprzysiężenie Kobiet.

„Moje oburzenie wzrasta od jakiegoś czasu. Zdaję sobie sprawę z niefortunnego połączenia, ale podpisa-fysmy porozumienie i uzgodniłyśmy zasady, na jakich KKO będzie działać. Warunki tej umowy i przyrzeczenia w niej zawarte nie zostały dotrzymane, nie wiem, czy z powodu opieszałości kierownictwa, czy rozmyślnego sabotowania.

Wiem, że KKO przyczyniła się do wzrostu ilości członkiń i funduszków NSK.

Zauważyłyśmy, że miesięczne przelewy dla KKO są opóźniane, niekiedy nawet o tydzień. Listy nowych członkiń nie nadchodzą regularnie i zwykle przesyłane są w bardzo niechlujnym stanie.

I na dodatek często odmawia się udostępnienia kolumny przyznanej KKO na łamach naszego pisma „Zew”.

Muszę otwarcie powiedzieć, że jeżeli to wszystko nie zostanie unormowane, KKO odłączy od NSK i pójdzie własną drogą, jako niezależna organizacja. Informuję cię także, że treść tego listu omówiłam z Molly Turner. Ona w pełni podziela moje zdanie.

Twoja w siostrzeństwie, Ann Harding"

Osobiście napisała ten list na maszynie przez kalkę. Kopię dołączyła do swoich prywatnych akt. Zakleiła kopertę i sama zawiozła ją na pocztę. W czasie jazdy rozmyślała o .piątej sprawie ze swojej listy: „pocz.” Wizyta na poczcie dała jej

sposobność do zasięgnięcia informacji o pocztowej maszynie adresującej, którą zamierzała kupić dla KKO.

Z poczty poszła na Broadway Street do Banku Rolnictwa i Rzemiosła, w którym dawniej jako główny kasjer pracowała Molly Turner. W banku Ann spotkała się z wicedyrektorem i omówiła warunki pożyczki dla KKO na zakup budynku przy River Street, który na razie wdzierżawiono na rok.

Zanim opuściła bank, zdeponowała kwotę 43.126,71 dolarów, ostatni (opóźniony) przekaz z NSK. To był ten punkt z kartki, oznaczony „dep. ban.”

Wróciła do biura. Todhunter karmił właśnie butelką Jeffa i pokazywał dziecku, jak pociągać za grzechotki. Obaj bawili się świetnie.

O 17⁰⁰ po spokojnie przepracowanym popołudniu, Ann zostawiła śpiącego Jeffa pod baczny okiem pracowników KKO i pojechała do fryzjera na First Street. Fryzjer, Luis, próbował namówić ją na obcięcie długich kasztanowych włosów.

— Mój mąż lubi długie włosy — odpowiedziała mu jak zwykle.

— Pani mąż — prychnął ironicznie — a co on wie o modnych fryzurach?

— Po prostu wie, co lubi. Zostaw je takie, jakie są, Luis, tylko umyj je, dobrze wypłucz i trochę wyrównaj.

— Ignorant — mruknął Luis.

Od fryzjera Ann wróciła do biura, odpowiedziała na listy i przygotowała dane finansowe dla księgowej. Trwało to prawie do 19⁰⁰. Uprzątnęła swoje szpargały, wzięła rozbudzonego Jeffa, wsiadła do samochodu, gotowa do ostatniego zadania: „Molly i Tod”.

Dobry mąż, Rod, przygotował sałatkę i klopsiki. Kiedy w domu zjawili się jego żona i syn, włączył gaz pod garnkiem wody na makaron i zabrał się do przyrządzania sosu. Postawił patelnię na niewielkim gazie, nalał trochę oliwy, wrzucił posiekany czosnek i zielone cebulki, a do tego dodał klopsiki.

Ann wykapała, popudrowała i przewinęła Jeffa. Następnie ułożyła go w łóżeczku w bawialni. Oparła butelkę na zwiniętym w rulon ręczniku i z podziwem patrzyła na malca, który zaczął ciągnąć mleczko, jakby to była wódeczka.

Z kolei Ann wzięła prysznic i przebrała się. Rod przyprawił i wymieszał sałatkę oraz nakrył do stołu. Mąż i żona poruszali się żwawo po domu, nie wchodząc sobie w drogę, wykrzykując nowiny z pokoju do pokoju; byli niczym zgrany zespół. Ann prawie zapomniała o tych obrzydliwych listach.

Molly przyniosła ciasto truskawkowe upieczone przez panią Josephine Turner, a Todhunter Clark pojawił się z galonem burgunda. Jedli kolację w kuchni, aby ich rozmowa nie przeszkadzała małemu Jeffowi w głębokim śnie. Na moment tylko obudził się, pogaworzył, ale po chwili spał dalej.

— Wspaniałe dziecko — uśmiechnął się Brat Nabisco.

Przenieśli ciasto, kawę i resztę wina do bawialni, tu rozsiedli się wygodnie i swobodnie rozmawiali. Rod zapalił fajkę, a pozostali papierosy. Patrzyli na śpiącego Jeffa.

— Niezłe życie — odezwał się Rod. — Nic do roboty, tylko jeść, bawić się, spać i srać. Chciałbym tak żyć.

— Myślałem, że tak właśnie żyjesz, człowieku — zauważył Clark nie bez zazdrości. Wszyscy się roześmiali.

Jak zwykle osobą, która skierowała rozmowę na sorawv KKO, była Molly.

— Są dwie sprawy — zaczęła. — Przede wszystkim chciałabym, by KKO miało swoje hasło czy slogan. Coś krótkiego, dramatycznego, łatwego do zapamiętania. Coś w rodzaju „Nigdy więcej”, jakie ma Liga Obrony Żydów. Może ktoś z was podsunie pomysł?

Zapadła cisza.

— A co powiecie na „Już dość”? — zasugerował Rod. Ale pozostali mieli wątpliwości.

— To oddaje ducha — stwierdziła Molly — ale nie ma wystarczającego ładunku emocjonalnego.

— Zbyt płaczliwe — zgodziła się Ann. — Jak jęk bólu. Potrzebujemy porywającego hasła. Tod, czy czarni mają jakieś hasło?

— Jasne — przyznał. — „Kij ci w dupę”. Molly spojrzała na niego.

— Nie żartuj sobie — powiedziała ostro. — To poważna sprawa. Chcę czegoś w rodzaju „Jesteśmy silniejsze od mężczyzn”. Wiem, to do niczego, ale to jest to, co chciałabym zawrzeć w naszym sloganie. To niesie w sobie groźbę. Mam powyżej uszu nabijania się z nas.

— Zastanowimy się nad tym — rzekła Ann spokojnie. — Rewolucyjne hasło to dobry pomysł, jeżeli wymyślimy coś rzeczywiście odpowiedniego, Molly. A co to za druga sprawa, o której chciałaś pogadać?

— Uważam, że nadeszła pora na poważne działanie. Pułki są zorganizowane i przeszkolone. Chcę przeprowadzić jakąś ogólnokrajową akcję, w której wzięłyby udział wszystkie oddziały KKO, chodzi mi o zaatakowanie wyznaczonych celów, wszystkich w tym samym czasie.

— Nie jestem pewna, czy jesteśmy już do tego przygotowane — mruknęła Ann z powątpiewaniem. — Co ty na to, Rod?

— Może i nie, ale Molly ma rację. Musimy spróbować. Jeżeli będziemy czekać na więcej rekrutek, więcej broni, lepsze wykształcenie, możemy czekać wiecznie — stwierdził jej mąż. — Będziemy wspaniałą armią na papierze, ale bez doświadczenia.

— Właśnie — przytaknął Todhunter Clark. — Jeżeli działasz, popełniasz wiele błędów, możesz paść na pysk, ale w taki sposób się nauczysz. Zrobimy coś wielkiego. Coś, co naprawdę udowodni, że potrafimy zaplanować i przeprowadzić akcję, a nie tylko smęcić.

— Ważną rzeczą... — zaczął Rod — a właściwie najważniejszą, jest bezpieczeństwo. Tylko nasza czwórka zajmie się planowaniem akcji. Inni powinni dowiedzieć się o niej w ostatniej chwili. Nic na piśmie. Rozmowy telefoniczne tylko z aparatów publicznych. Opracujemy plan operacyjny i dopiero wtedy powiemy o nim tym, którzy muszą wiedzieć, i do dzieła.

Spędzili prawie godzinę, omawiając różne warianty ogólnokrajowej bojowej akcji. W końcu zgodzili się na plan, który miał dużą szansę na powodzenie. I na minimum ofiar.

Zrobiło się późno, Molly i Tod pożegnali się i wyszli.

— Ona go nie lubi — rzekła Ann, siadając na kolanach męża.

— Kto kogo nie lubi?

— Wiesz, kto. Molly nie lubi Todhuntera Clarka. Źle się wyraziłam, ona uważa, że KKO to dla niego zabawa.

— Powiedziała ci to?

— Nie, ale znam Molly. Rod, KKO jest najważniejszą rzeczą w jej życiu. Jest szalenie zaangażowana, ma zamiar udowodnić, że kobiety potrafią walczyć o swoje prawa. Wykorzysta każdego, kto może jej pomóc, ale oczekuje od nich takiego samego zaangażowania. Rod, ona jest gotowa umrzeć za tę sprawę.

— Masz rację — przyznał. — Wiem o tym. Myślisz, że Tód nie poświęciłby swojego życia? On jest czarny, potrzebuje jedynie jakiejś idei, która nie zaburzy jego poczucia dobra i zła. On może dla nas dużo zrobić, sama się przekonasz.

— Jesteś pewien, że sobie z nim poradzisz?

— Jasne. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomógł przy zakupie broni w Miami.

— Molly sądzi, że on kpi sobie z niej i z KKO.

— To nieprawda, on po prostu ma taki sposób bycia. Uśmiecha się ironicznie, udając, że nic się nie liczy.

— Mhm — westchnęła Ann. — Przyznaję, chyba Bóg nam go zesłał. Jeff i mama lubią go, twoi rodzice także. Gdybyś tylko mógł trzymać go z daleka od Molly...

— Tak, to mogę zrobić. zgodził się. — A teraz chodźmy do łóżka.

— Najpierw pozmywam naczynia.

— Zostaw je, pozmywam rano.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła? — ujęła jego twarz w swoje dłonie i spojrzała mu w oczy.

Pocałował ją w usta.

Kwadrans później nadzy leżeli w łóżku.

Jak zawsze, ich kochanie rozpoczęło się śmiechem, a skończyło rozkoszą. Kiedy skończyli, palili wspólnie jednego papierosa.

— Słyszę Jeffa — rzekła. — Chyba trzeba go przewinąć. — Ja to zrobię — wysunął się z łóżka.

Kiedy wyszedł z sypialni, powąchała poduszkę, na której przed chwilą leżała jego głowa. Dotknęła ciepłego prześcieradła, na którym odcisnęło się jego ciało. Był taki delikatny, taki czuły, kochający, że trudno jej było uwierzyć w te obrzydliwe listy.

Dostała trzy następne. Ukryła je wszystkie pod swetrami w szufladzie komody.

Nawet ich nie otworzyła. Sama nie wiedziała, dlaczego je zachowuje.

19 listopada 1988

Pewni oficjele wyrazili niechętnie uznanie dla pierwszej akcji bojowej, znakomicie przeprowadzonej na terenie całego kraju przez Kobięce Korpusy Obrony.

Przegląd ściśle tajnych wewnętrznych dokumentów KKO i zapisów wywiadów z uczestniczkami tego zadania jasno ukazuje, że mądrze zaplanowane i zakończone sukcesem przedsięwzięcie swoje powodzenie w dużej mierze zawdzięcza doświadczeniu Roda Hardinga, Todhuntera Clarka i weteranów z Wietnamu, którzy na ochotnika szkolili siostry — szeregowców KKO.

Jednak to Molly, spokojnie zachęcana przez swoją siostrę Ann, roznieciła iskrę czynu i to jej żarliwe orędownictwo przyczyniło się do realizacji tej akcji. Każdy musiał przyznać, że to dzięki jej uporowi i zapałowi zakończyła się sukcesem.

Dowody wskazują, że to czwórka: Harding, Clark i obie

siostry Turner, ułożyła i zaplanowała całe przedsięwzięcie w ścisłej tajemnicy. Rozpuszczono fałszywe pogłoski, tak by dotarły do kilku pracowników sztabu w Canton i personelu centrali Narodowego Sprzysiężenia Kobiet w Waszyngtonie. Według tych pogłosek celem przedsięwzięcia miała być fabryka w Connecticut, produkująca pistolety dla armii amerykańskiej. „Zakładano” zniszczenie fabryki i przejęcie już wyprodukowanej broni. Szeptano, że szturm zostanie przeprowadzony 20 listopada.

Wszystkie te plotki dotarły do Departamentu Sprawiedliwości, w którym obmyślono i przygotowano szczegółowy tajny plan: otoczenie fabryki oddziałami wojskowymi. Chyba nie trzeba wspominać, że celem tej akcji nie była jednak fabryka, a termin jej przeprowadzenia to nie 20, ale 19 listopada.

Obiektem tego szturmego wojskowego był magazyn „Hooker”, jadowny i wrogo nastawiony do kobiet miesięcznik, sprzedawany w całym kraju w nakładzie ponad czterech milionów egzemplarzy.

„Hooker” publikował całostronicowe kolorowe fotografie nagich kobiet w upokarzających pozycjach. Do środka dołączał rozkładówki kobiet biczowanych, skrepowanych łańcuchami i od czasu do czasu zdjęcia nagich nieletnich dziewcząt. W tym okresie miesięcznik odniósł kilka znaczących sukcesów, a chroniła go Pierwszą Poprawka do Konstytucji.

Biura wydawnictwa miały swoją siedzibę w Cleveland, w Ohio, a drukarnie w Gary, w Indianie. Kolportażem tego magazynu zajmowali się hurtownicy w kilku dużych miastach na terenie całego kraju.

Głównym obiektem ataku były biura w Cleveland i drukarnie w Gary. Dwa oddziały bojowe specjalnie przeszkolono i uzbrojono do tej akcji. Zadaniem, jakie przed nimi postawiono, było totalne niszczenie.

Prawie w każdym mieście, miasteczku i na wsi w całym kraju, wszystkie punkty sprzedaży miały zostać zaatakowane przez lotne brygady, przed którymi, wytyczono cel: zdobycie i zniszczenie wszystkich wydrukowanych numerów „Hookera”.

Koordinacja tej skomplikowanej operacji wymagała wysokiego stopnia wojskowego planowania. Na przykład: należało wziąć pod uwagę różne strefy czasowe i wyznaczyć godzinę „0”, a dwa oddziały szturmowe wyposażyć w duże ładunki wybuchowe.

Dziś wydaje się oczywistym, że to Todhunter Clark skon-

struował bomby, które doszczętnie zniszczyły drukarnie. Przewiózł je do Gary w nieoznakowanej furgonetce i współpracował z dowódcą pułku w Indianie już na dwa dni przed planowanym atakiem.

Molly Turner i Rod Harding wyjechali do Cleveland, wioząc ze sobą ładunki zapalające, granaty i wzięli udział w przygotowaniach oddziału w Ohio. Ann Harding pozostała w Canton, w „centrum wojskowym”, do którego miały napływać informacje o powodzeniu lub klęsce przedsięwzięcia. Akcja rozpoczęła się dziewiętnastego listopada punktualnie o godzinie 13⁰⁰ czasu wschodniego i wkrótce stało się oczywiste, że KKO osiągnęła zakładane cele, wywołując szok i zaskoczenie. Nie było doniesień o zorganizowanym oporze, chociaż miały miejsce nieliczne incydenty z zastosowaniem przemocy fizycznej. Detaliści i hurtownicy próbowali bronić swojej własności.

Drukarnię w Gary zaatakowało czterdzieści uzbrojonych sióstr. Jedyne obecny na miejscu strażnik został postrzelony w nogę. Wszystkich pracowników drukarni zebrano na zewnątrz i trzymano na muszce. W tym czasie Brat Nabisco i jego dwie pracownice rozłączyli alarm przeciwpożarowy i założyli ładunki wybuchowe. Zniszczono maszyny drukarskie z kolejnym numerem pisma oraz wiele paczek z wydrukowanym już miesięcznikiem, gotowych do wysłania. Użyto w tym celu granatów zapalających i piany z gaśnic, które znaleziono w budynku.

Maszyny drukarskie uszkodzono połączonymi ładunkami wybuchowymi, a matryce i zdjęcia zniszczono granatami zapalającymi.

Cała ta operacja trwała niespełna pół godziny. Po akcji oddziały szturmowe wycofały się. Todhunter Clark opuścił budynek jako ostatni, po podłożeniu ognia w środku pomieszczenia. Użył do tego łatwopalnej cieczy, którą znalazł w magazynie. W biurach wydawnictwa w Cleveland sprawy nie potoczyły się tak gładko. Wbrew sprzeciwom Ann i Roda Hardingów, Molly uparła się, by pokierować akcją osobiście.

— Muszę to zrobić — rzekła stanowczo. — Jaki, do cholery, byłby ze mnie generał, gdybym pozwoliła nastawiać dupy siostrom, a sama siedziała w domu oczekując na efekty? One muszą przekonać się, że ja nie tylko gadam, ale słowa wprowadzam w czyn. Mam zamiar być tam, i to na pierwszej linii, inaczej stracę ich szacunek. Oprócz tego — stwierdziła z zimnym uśmiechem — uwielbiam działać.

Biura wydawnictwa „Hooker” zajmowały dwupiętrowy budynek w stylu tudorowskim przy bulwarze Chagrin w pobliżu Shaker Heights. Ta ładna budowla usytuowana była na pięcioakrowej działce z pięknym trawnikiem, na którym rosły drzewa i krzewy.

Rozpoznanie określiło dokładnie rozmieszczenie strażników, przewodów telefonicznych i alarmu, podłączonego do prywatnej agencji ochrony mienia. To były pierwsze cele wyznaczone dla sił szturmowych, pod dowództwem pułkownika oddziału Ohio.

Kilku strażników zareagowało z zadziwiającą szybkością na ten zbrojny napad. Wyciągnęli z kabur rewolwery, a kiedy to nie przyniosło spodziewanego efektu, na oślep strzelali do napastniczek, które nie pozostały dłużne. W wyniku tej wymiany strzałów jedna siostra została zabita, a cztery ranne. Zginęło dwóch strażników, pozostali poddali się.

Napastniczki przecięły linie telefoniczne, unieszkodliwiły systemy alarmowe i przeszukały budynek. Przestraszeni pracownicy — niektórzy wpadli w histerię — chowali się pod biurkami, kiedy uzbrojone kobiety wpadały do ich pokoi. Prawie wszystkich zebrano na dole, w holu i rozkazano im położyć się na podłodze, twarzami do ziemi. Pilnowały ich uzbrojone siostry.

Molly Turner i Rod Harding weszli na drugie piętro do biura Bernarda Hofetry, właściciela i wydawcy miesięcznika. Drzwi gabinetu zastali zamknięte, więc Harding przestrzelił zamek, z pistoletu M-16. Wewnątrz znaleźli sekretarkę ukrytą za biurkiem, a w olbrzymim gabinecie wyprostowany Hofstra mierzył do nich z małego pistoletu.

Był oddalony prawie o dwadzieścia stóp, ale pojedynczy strzał zranił Roda w ramię. Molly Turner przyklękła i trzymając oburącz broń wycelowała i oddała dwa strzały z charter bulldog 357 magnum. Hofstra upadł za swoje mahoniowe biurko. Molly spojrzała najpierw na Hardinga. Trzymał się na nogach, ściskając zdrową ręką postrzelone ramię. Krew sączyła się między jego palcami.

— Nic mi nie jest — mruknął z niewyraźnym uśmiechem. — Wynosimy się stąd.
— Jeszcze nie.

Przeszła za biurko Bernarda Hofstry i spojrzała na jego ciało. Leżał wygięty, z szeroko otwartymi oczami. Wyglądał na martwego, ale żeby mieć pewność, pochyliła się jeszcze i strzeliła mu prosto w mózg.

— No, teraz możemy stąd zniknąć — powiedziała do Hardinga. — Dasz radę iść?
— Jasne. — Spojrzał na nią dziwnie.

Wyprowadzono wszystkich na zewnątrz, a wewnątrz budynku podpalono ładunkami zapalającymi. Dwie godziny później w pokoju motelowym Molly obserwowała lekarza-siostrę KKO opatrującą ramię Roda.

— Sympatyczna mała dziurka — stwierdziła lekarka. — Kulka weszła i wyszła. Bogu dzięki, ominęła kość. Czy możesz unieść ramię?

— A muszę? — spytał Rod, biorąc szklaneczkę burbona.

— Nie — lekarka uśmiechnęła się. — Po powrocie do domu twój lekarz powinien to obejrzeć. Oczyszczałam i zdezynfekowałam ranę. Czy miałeś już ranę od kuli?

— Nawet dwa razy — mruknął.

— Wiesz więc, czego się spodziewać — szoku i osłabienia, ale to szybko minie.

— Czy mogę wracać do domu?

— Jeszcze nie dzisiaj. Zobaczysz, jak się będziesz czuł jutro. Zajrzę jeszcze do ciebie. Zmieniaj opatrunek co trzy godziny i odstaw alkohol. No, na mnie już pora.

— Czy poniosłyśmy jakieś straty? — spytała Molly.

— Jedna zabita, a pozostałe wylizają się, ale cała akcja powiodła się, prawda?

— Zwyciężyliśmy — Molly wzięła ją w ramiona. — Kocham cię, siostró.

— Ja też cię kocham, siostró — rzekła lekarka. — Robisz wspaniałą robotę, jesteśmy z tobą na dobre i na złe.

— Dzięki, pani doktor — Rod uśmiechnął się. — Przyślij mi rachunek.

— Na adres domowy — pogroziła mu palcem. — Rozejrzyj się, mięczaku, co ty robisz wśród tych twardych, wytrzymałych na ból dam? Zjedz zupę, hamburgera, co chcesz. Przeżyjesz, nic ci nie będzie.

Kiedy wyszła, Molly zamknęła drzwi na klucz i zbliżyła się do Roda. Leciutko pogładziła jego bandaż.

— Boli? — zapytała.

— Nie bardzo, tylko czuję, że puchnie.

— Świrujesz — roześmiała się i cmoknęła go w policzek. — Chcesz spać?

— Nie, ale też nie mam ochoty na tańce. Przykro mi z powodu tego wypadku, Moll.

— To nie mogło ująć mu płazem. Będzie więcej takich

przypadków, zanim osiągniemy nasze cele. Rod, masz na coś ochotę?

— Tylko na ciebie.

— Tak dawno temu byliśmy ostatnio w łóżku. Nie chciałam tego robić w Canton, pod bokiem Ann.

— Wiem, ale możemy to zrobić teraz. Tutaj nie ma Ann.

— Możesz to zrobić?

— Spróbuję.

— Nie. Nie próbuj, po prostu połącz się na plecach, odpręż się i nie myśl o niczym. Ja cię rozbiore i ja będę cię kochać. Pozwól mi zrobić wszystko.

— Jeżeli tego chcesz?

— Rod, zabiłam tego skurwiela.

— Wiem.

— Zasłużył sobie na to.

— To także wiem.

— Więc dlaczego czuję się taka przygnębiona? Spojrzał na nią badawczo.

— Rozbierz mnie i kochaj.

— O Boże, tego właśnie chcę.

11 grudnia 1988

— Senatorze — zaczął przygnębiony James Gargan. — To była bardzo pomysłowa akcja. One nie są amatorkami.

— Wiem, wiem — przyznał Dundee.

— To fanatyczki, terrorystki — stwierdził generał.

— Nie, sir — rzekł Gargan. — Nie zgadzam się z panem. To nie jest organizacja działająca w podziemiu. Ich celem nie jest obalenie rządu siłą, próbują tylko walczyć z tym, co uważają za zło.

— Wiedział pan, że taka akcja będzie miała miejsce? — spytał senator oskarżycielsko. — Były jakieś przecieki?

— O tak, sir — przyznał Gargan. — Mamy nawet swojego człowieka w ich sztabie. Ale tym razem kapitalnie się pilnowali. Przyznaję, że zagrali nam na nosie.

Przygotowywaliśmy się na ich atak w Connecticut, który w ogóle nie nastąpił. Z wojskowego punktu widzenia te małe damy zasłużyły sobie na najwyższe oceny.

Ich celem było zniszczenie „Hookerd” i został on zniszczony. Straciłem

prenumeratę — roześmiał się, ale żaden z dwóch pozostałych mężczyzn nawet się nie uśmiechnął.

Siedzieli w narożniku eleganckiej sali klubu F. Street. Byli jedynymi gośćmi, co bardzo odpowiadało senatorowi Lemuelowi K. Dundee.

- Ilu poszkodowanych? — spytał. — Sześć osób zabitych i dwadzieścia dwie ranne? — Coś koło tego — potwierdził Gargan.

— Trochę ponoszą je nerwy — odezwał się generał. — Ale, na Boga, dobrze wykonały swoją robotę, to trzeba im przyznać.

Dundee spojrział na niego. — Mam nadzieję, że wzmocnił pan ochronę.

— O tak, sir. Zrobiliśmy to, wydaliśmy ścisłe rozkazy: strzelać, żeby zabić. Nikt nie będzie z nas robił durniów.

— Lepiej je powstrzymajcie — powiedział Dundee. — Inaczej ruszą na Pentagon — odwrócił się do Gargana. — He osób aresztowaliście?

— Według ostatnich meldunków, ponad pięćdziesiąt.

— Macie zamiar wnieść formalne oskarżenie przeciwko nim?

— Senatorze, wspomniałem już panu — Gargan wiercił się niespokojnie — to mądrzy ludzie. Wybrali cel, który trudno wziąć w obronę: magazyn „Hooker” — główniany miesięcznik. Czy naprawdę chce pan, żeby rząd Stanów Zjednoczonych wystąpił na drogę sądową przeciwko kobietom, które zniszczyły ten główniany interes?

— Nie wnosicie żadnych oskarżeń? — Dundee uważnie spojrział na niego. — Czy to decyzja polityczna?

— Tak, sir — potwierdził Gargan. — Nie moja, ale moich szefów. Mówiąc szczerze, nie mam im tego za złe. Senatorze, listy, które do nas przychodzą, pochwalają to, co one zrobiły. Te listy nadsyłają nie tylko kobiety, ale także Kościoły fundamentalistyczne i moralne autorytety, które z zadowoleniem przyjęły zniszczenie „Hookera”. To bardzo skomplikowana sytuacja.

— Więc żadnych oskarżeń? — powtórzył Dundee.

— Przynajmniej nie teraz, sir. Będziemy oczywiście nadal inwigilować tę organizację. Wcześniej czy później posuną się za daleko i wtedy wpadną w nasze ręce.

— Nie może pan oskarżyć całej tej bandy? — nalegał generał. — Albo przynajmniej ich kadry oficerskiej?

— Obawiam się, że nie — stwierdził Gargan. — Nie teraz, kiedy mają takie ogromne poparcie. To nie byłoby rozsądne posunięcie, ze względów politycznych.

— Politycznych... — mruknął Dundee zamyślony. — Uważa pan, że mają za sobą opinię publiczną?

— Tego nie mogę powiedzieć, po prostu nie wiem, sir, ale nasze doświadczenia z organizacjami takimi jak ta. pokazują, że początkowe sukcesy prowadzą do bardziej ryzykownych czy niebezpiecznych przedsięwzięć. Napady na banki, porwania, zamachy bombowe, morderstwa i tym podobne historie. Będą posuwać się coraz dalej, próbować coraz bardziej groźnych i niebezpiecznych działań. W końcu zniszczą same siebie. Zwykle członkowie takich organizacji zwracają się przeciwko sobie! Jest w nich uwikłanych zbyt dużo indywidualności.

— Mam nadzieję, że się pan nie myli — rzekł Dundee. — Jak wiele razy oświadczałem w moich wystąpieniach, jestem święcie przekonany, że cele, o które walczą Kobiety Korpusy Obrony, są godne podziwu dla dużej części społeczeństwa. Należy tylko ubolewać nad tym, że uciekają się do łamania prawa, by te cele osiągnąć.

— Zgadzam się z panem, senatorze — powiedział generał.

— Ja także — dodał Gargan.

— No cóż, panowie. — Dundee spojrział na zegarek. — Muszę być zaraz w Kongresie. Dziękuję za to małe spotkanie, było bardzo pouczające.

— Jeżeli jest coś, co moglibyśmy dla pana zrobić... — zaczął generał.

— Proszę po prostu do nas zatelefonować — dokończył Gargan.

„Wiedzą dokładnie, że chcę startować w wyborach prezydenckich”, pomyślał Dundee i wcale nie był tym faktem zdziwiony.

Po powrocie do biura zabrał się za stertę papierów, która pojawiła się na biurku podczas jego nieobecności. Dyktował szybko swojej prywatnej sekretarce, energicznej kobiecie.

— Na ten list odpowiedz pozytywnie — rzekł trzymając w ręku plik listów, — Na ten odmownie. Napisz temu facetowi, żeby się odpieprzył, oczywiście uprzejmie. Wezmę udział w tym przyjęciu, ale w tym nie. Odpowiedz senatorowi Parke-rowi, że nad tym trzeba się zastanowić. Ten facet to świr — nawet mu nie odpowiadaj. Dla tego dzieciaka zdobądź flagę Kapitolu. Zgadzam się na ten wyjazd, a ten... Pracował spokojnie prawie pół godziny. Kiedy, skończył, jego sekretarka powiedziała:

- Jest tu Ruth Blohm i chce się z panem zobaczyć.

— O czym mówią teraz na posiedzeniu Senatu? — spytał.

— Zostało przesunięte o godzinę.

— Ach, tak. Powiedz Ruth, żeby poczekała jeszcze kwadrans, potem ją przyjmę. Kiedy został sam, rozluźnił krawat i nalał sobie burbona. Wiedział, że po spotkaniu z Blohm musi się jeszcze zobaczyć z Tomem Kealy oraz swoim nowo zatrudnionym doradcą do spraw kontaktów z mass mediami, a także z doradcą z Białego Domu, który przychodził, by nakłaniać do zwiększenia funduszy dla NASA. Na koniec miał spotkanie z bogatym wyborcą, z którym był umówiony na obiad.

Lemuel K. Dundee otarł pot z czoła. Zastanawiał się, czy nie wsiadł na złego konia. Czy kampania przeciwko KKO nie zniweczy jego szansy na nominację? Co prawda, wierzył w przepowiednie Gargana, że działania KKO staną się z czasem coraz bardziej szalone i nieodpowiedzialne. Coraz krwawsze zamachy, a w końcu opinią publiczną zwróci się przeciwko nim i wkroczy prawo.

Jeżeliby poddano Lemuela K. Dundee torturom i zażądano od niego, by powiedział, co naprawdę myśli o kobietach, odpowiedziałby, że nie myśli o nich w ogóle.

Oczywiście, miał żonę, zrzedliwą babę, która była na najlepszej drodze, by zostać alkoholiczką. W jego życiu były także te. młode zawodowe dziwki, które pieprzył w domku myśliwskim w Południowej Karolinie. Były dziennikarki, sekretarki, urzędniczki, kelnerki, pielęgniarki. Były nawet dwie kobiety — senatorki.

Szczerze mówiąc, kobiety dla Dundee'ego były abstrakcją. Nie należały do świata polityki, a właśnie polityka była jego życiem. Nigdy nie słyszał, ani nie czytał Freuda „Czego chcą kobiety”, nie znał także arabskiego przysłowia „Kobiety chcą gorącego lodu”. Prawdopodobnie solidaryzowałyby się z tymi poglądami. Kiedy do jego biura weszła Ruth Blohm, po raz kolejny pomyślał, że ona jest wyjątkową kobietą, ale to tylko dlatego, że myśli jak mężczyzna. Był to największy komplement, jakim mógłby obdarzyć kobietę.

— Wiem, że jest pan bardzo zajęty, senatorze — zaczęła — więc wyniszczę krótko, o co mi chodzi. Dotyczy to nowej metody przeprowadzania sondażu, która może okazać się bardzo przydatna w naszej kampanii.

Opowiedziała mu o Lyle Haydenie i jego metodzie pogłębionej analizy psychologicznej sędziów przysięgłych. Stwierdziła, że wierzy w te techniki: mogą być użyteczne w przeprowadzeniu badań psychiki zbiorowej kluczowych okręgów wyborczych, dzięki nim będzie można wywołać pożądane zachowania wyborcze także w innych obwodach.

Senator Dundee słuchał jej z dużą uwagą, ale cała ta rozmowa o komputerowych sondażach i próbkach ważonych zaniepokoiła go. Próbował być na bieżąco z najnowszą techniką, czasami jednak odnosił wrażenie, że technika kpi sobie z niego. W ubiegłym tygodniu uczestniczył w naradzie w Pentagonie, na której młody pułkownik omawiał z entuzjazmem technologię promieni laserowych i siły pola magnetycznego samolotów przechwytyjących. Dundee nie rozumiał z tego ani słowa, a przecież jego wnuczeta posługiwały się komputerami już w szkole podstawowej.

— Mówisz o analizie całych okręgów wyborczych?

— Coś w tym rodzaju, senatorze.

— Ile to będzie kosztowało?

— Nic. Przynajmniej na razie. Chcę wysłać Haydenowi dane demograficzne z trzech okręgów. On przygotuje kosztorys.

— Czy wie, do czego mają służyć te badania?

— Nie, sir. Nie wspominałam mu o tym, że chce pan kandydować na fotel prezydenta.

— Cóż... jeżeli to nas do niczego nie zobowiązuje, masz moją zgodę. Zobacz, czy to nam się przyda i na ile.

— Dziękuję, senatorze. .

Spotkanie z Kealym było krótkie. Doradca poinformował go, że po kilku rozmowach telefonicznych, jakie przeprowadził z Constance Underwood, przewodniczącą Narodowego Śprzysiężenia Kobiet, zgodziła się ona na prywatne spotkanie z Kealym w jego mieszkaniu w Georgetown.

— Dobry chłopiec — pochwalił go senator. — Informuj mnie na bieżąco.

Nowy rzecznik prasowy także nie zajął dużo czasu. Zostawił pięćdziesięciostronicowe memorandum dla Dundee'ego, przedstawiające w ogólnym zarysie, jak, jego zdaniem, senator mógłby poprawić swój publiczny wizerunek. Powinien zmienić fryzurę, ubierać się bardziej młodzieżowo, mówić krótszymi zdaniami i, na litość boską, przestać bębnić palcami w trakcie wywiadów telewizyjnych.

Z doradcą politycznym z Białego Domu rozmowa trwała trochę dłużej, i obiad z bogatym wyborcą okazał się nieoczekiwanie przyjemny. Dundee zabrał go do „Le Gro”, gdzie zjedli przepiórki z ryżem i wypili mnóstwo chablis.

Po obiedzie senator wrócił do domu w Spring Valley. Wątpliwości, jakie dręczyły go w ciągu dnia i zmęczenie,

uleciały. Był przekonany, że jest stworzony do wielkich rzeczy. Złapał wiatr w żagle, powinien teraz tylko trzymać kurs.

Jego żona już spała, ale przebudziła się, kiedy potknął się w sypialni i zapalił nocną lampkę.

— Mam zamiar zostać prezydentem, Marto — powiedział z pewnością siebie.

— Wiem, że zostanę głową państwa.

Nie odezwała się, spojrzała tylko na niego zamglonym wzrokiem.

— O co chodzi? Uważasz, że nie mam szans?

— Nikt, kto chce tego stanowiska, nie ma odpowiednich kwalifikacji — stwierdziła.

— Do cholery, czy chcesz przez to powiedzieć? — zażądał wyjaśnień, ale odwróciła się do niego plecami i zaczęła pochrapywać.

Dla historyków okres 1988—1989, w którym organizowano Kobiety Korpusy Obrony, jest szczególnie interesujący ze względu na wzrost przemocy.

Zatwierdzono mundur dla Korpusów i ustanowiono odznaczenie: Order Wyzwolenia Kobiet, dla tych sióstr, które biorą bezpośredni udział w akcjach bojowych. Zaprojektowano flagi dla pułków i proporce dla mniejszych oddziałów.

Nie ulega wątpliwości, że zewnętrzne symbole, chociaż traktowane z przymrużeniem oka przez niektórych zawodowych wojskowych i będące tematem karykatur, były z obawą obserwowane przez instytucje zajmujące się przestrzeganiem prawa."

Pułki KKO dbały o to, by uzyskać legalne pozwolenia na broń w swoich stanach. Wielu zwyczajnych ludzi było przekonanych, że wszystkie członkinie są uzbrojone, choć nie zawsze legalnie posiadają broń. Do połowy 1989 roku w posiadaniu wszystkich sióstr KKO znajdowały się już pistolety, strzelby i rewolwery.

W dodatku istnieje wiele dowodów, które wskazują, że większość pułków miała do swojej dyspozycji: granaty, broń maszynową i ręczne lekkie wyrzutnie raketowe. Spekulowano, zwłaszcza dziennikarze prasowi, że niektóre jednostki wyposażono w moździerze, miotacze ognia i małokalibrowe armaty. Autor nie był w stanie ani potwierdzić tych przypuszczeń, ani im zaprzeczyć.

8 stycznia 1989

Thomas J. Kealy zastanawiał się, czy zatelefonować do Jake Spencera. Chciał zainstalować ukryty magnetofon w swoim mieszkaniu w Georgetown, przed spotkaniem z Constance Underwood, ale po długim namyśle porzucił ten pomysł. Przede wszystkim, nie było interesem Jake'a, że on, Kealy, spotyka się potajemnie z przewodniczącą Narodowego Sprzy-siężenia Kobiet. No i Kealy obawiał się, że gdyby Underwood odkryła takie urządzenie albo dowiedziała się, że je zainstalowano, byłby to koniec ich współpracy.

Przygotował się do tego spotkania bardzo starannie. Zlecił wysprzątanie mieszkania, umycie okien, zmienił nawet za. słony. Kupił świeże kwiaty i dwie butelki wytrawnego szampana corbel, który ceniał bardziej od drogiego francuskiego trunku.

Nie mógł zrobić bardziej szczęśliwego wyboru. Constance Underwood miała ciężki dzień i potrzebowała odprężenia.

Spędziła denerwujący poranek z Virginią Terwilliger, która przyjechała z Baltimore, by wścibiać nos i wtrącać się we wszystko. Ginny zachowywała się nieznośnie: śpiewała swoją starą śpiewkę: NSK nie robi wszystkiego, co mogłoby, lub powinno, aby wspierać Kobięce Korpusy Obrony.

Connie popełniła błąd, pokazując jej ten obraźliwy list od Ann Harding. Terwilliger wpadła w furję.

— Do diabła, dziewczyno! — krzyczała gniewnie. — Czy nie dociera do twojej pustej czaszki, że ogon kręci psem? Dzięki KKO prawie podwoiła się liczba naszych członkiń, a przejrzyj wyciągi z naszego konta i zobacz, ile dzięki nim wpłynęło pieniędzy. Powinnaś całować im dupy, zamiast traktować je jak ubogie krewnie! To właśnie im zawdzięczamy to wszystko! Zniszczenie miesięcznika „Hooker” było genialnym posunięciem. To dodało pewności siebie każdej kobiecie w tym kraju i zwróciło na nas uwagę mass mediów. Jeżeli chcesz, żeby KKO poszło własną drogą, to rób tak dalej, ale NSK będzie skończone! Inną sprawą jest...

Zbeształa ją, a prawdę mówiąc zmieszała z błotem. Constance aż pobladła z wściekłości — cholerna stara megiera. Po wyjściu Ginny, przebiegła niczym tajfun przez biura NSK, wrzeszcząc na personel, doprowadzając pracowniczki do łez i dorzucając im roboty.

A po południu nadszedł ten idiotyczny list od Molly Turner. W swój szorstki, obcesowy sposób, Turner powiadamiała ją o otwarciu biura Kobięcych Korpusów Obrony w Waszyng-

tonie, by mieć ściślejsze kontakty z Narodowym Sprzysiężeniem Kobiet, być bliżej Kongresu, środków masowego przekazu i innych femimstycznych grup, które mają siedzibę w stolicy.

Jeżeli nie będzie dla nas miejsca w biurach NSK, pisała Molly, KKO wynajmie jakiś odpowiedni lokal. Tylko tego jeszcze brakowało Constance. .

Constance Underwood była więc w podłym nastroju, kiedy przyjechała taksówką do mieszkania Toma Kealy w Georgetown, krótko przed 18³⁰. Padał mokry śnieg i zamarzający dęszcz, który nie poprawił jej humoru.

Apartament Kealy'ego, chociaż mały, był uroczy, ciepły i suchy. Po dwóch kieliszkach szampana, Connie odprężyła się.

Rozmawiali o okropnej pogodzie, wysokich kosztach utrzymania w Waszyngtonie, zbliżającym się zaprzysiężeniu nowego prezydenta i o tym, jaki wpływ może on mieć na politykę wewnętrzną i zagraniczną.

— Widziałas się ostatnio z Billym McCrea? — spytał obojętnie Kealy, odwracając się do niej plecami, aby dołożyć kolejne polano do kominka.

— Ponad tydzień temu — rzekła równie obojętnie. — A ty widziałeś go?

— Kilka dni temu. — Wstał i napełnił ponownie kieliszek Connie szampanem. — To piękny chłopiec, prawda?

— Tak. Ale nie ma za dużo rozumu — stwierdziła. — Masz rację, ciało ma piękne.

— Pomyślała, że wystarczy tych uwag o Billym McCrei, więc zaczęła z innej beczki. — Tom, jakie zdanie ma twój senator na temat ostatnich wyborów?

— Cóż... oczywiście jest mu przykro, że jego partia przegrała, ale liczył się z tym. Powiem ci w zaufaniu, nie bardzo się tym przejął. Według jego własnej teorii, nie ma żadnej różnicy, która partia rządzi.

— Ma rację, chociaż silny prezydent może stanowić różnicę. A jakie jest jego zdanie o ataku na magazyn „Hooker“?

— Mhm... oczywiście jest zadowolony, że „Hooker“ został unieszkodliwiony.

Wiem, że ma pewne zastrzeżenia co do sposobu, w jaki tego dokonano. Ci wszyscy zabici i ranni...

— Tak — skinęła głową. — Ja też mam zastrzeżenia.

— Connie, znasz Molly Turner?

— Tak, spotkałam ją kilka razy. - Jaka to kobieta?

— Bardzo silna osobowość, bardzo ambitna osoba. Nie uznaje żadnych kompromisów, w żadnej sprawie. Nie jest zbyt

wykształcona czy kulturalna, ale ma charyzmę i może pociągnąć za sobą wiele siostr. Są wobec niej absolutnie lojalne, skoczą za nią w ogień — stwierdziła poważnie. — Spójrz na te biedne kobiety, które zostały zabite. Czy zniszczenie „Hookera” było tego warte?

Underwood pochyliła się i nalała sobie szampana.

— Nie — rzekła stanowczo. — Zniszczenie tego gówna nie było warte życia tych kobiet.

— Nie mogłaś zastopować akcji? — spytał miękko. — To znaczy, tego ataku?

— Musisz zrozumieć, Tom, że KKO jest częściowo niezależną organizacją.

Finansujemy je, to prawda, ale nie mamy wpływu na ich kierownictwo i działalność.

— Wiedziałaś, że chcą zniszczyć „Hookera”?

— Nie — odpowiedziała krótko. Kolejny raz nasunął jej się na oczy obraz przeklętej pijaczki, Yvonne Popkin.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Tom siedział w fotelu naprzeciwko niej. To był ten sam fotel, w którym czasami siadywał Billy McCrea. Tom pochylił się, łokcie oparł na kolanach i patrzył na nią poważnie.

— Connie, chcę ci zadać pytanie. Nie musisz odpowiadać, ale sądzę, że zechcesz.

Czy uważasz, że Molly może być niebezpieczna?

Wytrzymała jego spojrzenie. Po chwili widocznie podjęła decyzję, bo wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

— Tak, ona jest niebezpieczną kobietą. Niebezpieczną dla histeryczek, którym przewodzi, i dla idei feministek. Ten babsztyl przeraża mnie. Jest w niej coś demonicznego. Nie kwestionuję jej zaangażowania czy talentów, ale ona balansuje na krawędzi prawa. Tom, to prostytutka, boję się, że może wyrządzić wiele szkód.

— Już to zrobiła — mruknął. — I zrobi jeszcze więcej. Connie, nie sądzę, by poglądy senatora Dundee i twoje różniły się. On chce tego samego, co ty. Wszystkie prawa, o które walczą kobiety i które im się słusznie należą, można osiągnąć legalnymi sposobami. Zgadzasz się?

— Tak.

— Więc dlaczego nie mielibyśmy współpracować? Bystro spojrzała na niego.

— Powiedz to jaśniej — zażądała.

— Dobrze. Senator chciałby widzieć klęskę Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony. On traktuje cały ten ruch jako zagrożenie dla tradycyjnych wartości amerykańskich;

— Ma rację, ale jeszcze nie wyjaśniłeś mi, w jaki sposób możemy sobie wzajemnie pomóc.

— W porządku. Jest jeden sposób, w jaki ty możesz nam pomóc. To informowanie nas o wszystkich planowanych akcjach KKO, o jakich się dowiesz. Zobaczymy, może uda nam się im zapobiec.

— To będzie trudne — stwierdziła zamyślona. — Mówiłam ci, że nie wiedziałam nic o ataku na „Hookera”.

— Te wiadomości nie muszą dotyczyć tylko planów operacyjnych, mogą to być informacje o zmianach personalnych, nadzwyczajnych wydatkach, planowanych podróżach. Wiesz, takie wszystko i nic.

— Mhm... a co ja będę z tego miała?

Sądził, że w końcu o to zapyta. Przygotował swoją odpowiedź starannie. Zdawał sobie sprawę, że nie może jej dużo zaofiarować, ale liczył na jej obawy i zazdrość o pozycję Molly Turner.

— W zamian, senator Dundee podejmie każdy wysiłek, by oddzielić Narodowe Sprzysiężenie Kobiet od Kobięcych Korpusów Obrony. Zdemaskuje Molly Turner i KKO. Jeżeli w ogóle wspomni o tobie i NSK, to tylko po to, by ciebie i NSK przedstawić jako wzór organizacji kobiecej.

Constance Underwood odwróciła się w stronę kominka i wpatrywała w małe niebieskie płomyczki.

— Zastanowię się nad tym — odezwała się w końcu. — Zawiadomię cię o mojej decyzji. Ogień przygasa, masz jeszcze drewno?

— Nie, chyba nie, ale mam jeszcze butelkę szampana. Długie czarne włosy miała upięte w kok. Leniwie uniosła ramiona i wyjęła szpilki. Potrząsnęła głową, włosy opadły jej na ramiona niczym lśniące, czarne skrzydła. Obserwował ją zafascynowany.

— Nalej jeszcze szampana — mruknęła gardłowo. Później, gdy zobaczył ją naga, doznał ukłucia zazdrości. Nie mógł uwierzyć, że ją posiadzie. Zamknął oczy, kiedy jej dotknął. Pieścił gorące, giętkie ciało, a ona komenderowała:

— Rób to, rób tamto.

21 lutego 1989

Niecały rok temu Lyle Hayden przeczytał artykuł w „Atlanta Constitution” i odkrył, kim właściwie jest. Autor zatytuło-

wał swoje wywody „Natura smutku” i opisał w nich zaburzenia osobowości zwane „anhedonia”. To nie był rodzaj depresji, ale zwykła niezdolność do radości, zabawy czy szczęścia.

Typowy anhedonik, według opinii autora, jest niewrażliwy na przyjemności. Nie znajduje radości w jedzeniu, piciu, seksie czy wiosennych porankach. Kiedy był w stanie działać normalnie, życie wydawało mu się pozbawione sensu.

Ta obojętność na szczęście, którą omawiał artykuł, mogła wynikać z głębokiego urazu psychicznego, na przykład śmierci ukochanej osoby. Wynika ona z braku równowagi chemicznej w mózgu albo genetycznych predyspozycji.

Hayden sam sobie postawił diagnozę. Doszedł do wniosku, że jego anhedonia wynika z trzech powodów: jego rodzice byli mrukliwymi, srogimi ludźmi: nie pamiętał śmiechu w rodzinnym domu. Teraz czterdziestodwuletni kawaler nie należał do osób nietowarzyskich, ale nie znajdował przyjemności w kontaktach z innymi ludźmi, ani nie bawiło go to, czym się oni cieszyli.

Nawet jego praca, która nieoczekiwanie okazała się bardzo dochodowa, nie sprawiała mu przyjemności. Więc kiedy Ruth Blohm przysłała mu dane demograficzne trzech okręgów wyborczych, zabrał je do domu i przejrzał bez specjalnego zainteresowania.

Od razu stwierdził, że pomysł pogłębionej analizy całych grup wyborców, jest do niczego. Na przykład: okręg wyborczy dzielnicy w Chicago miał zarejestrowanych ponad 8000 wyborców. Całe lata zajmie analiza grupy tej wielkości.

Hayden odłożył dane na bok i zdecydował zwrócić je następnego dnia, i powiedzieć Blohm, że ten pomysł nie ma szans na realizację. Po lunchu, który zjadł z nią na lotnisku, zadzwonił do przyjaciela w Waszyngtonie i dowiedział się, że Ruth pracuje dla senatora Lemuela K. Dundee. Cóż, jej plan, by pomóc swojemu pryncypałowi, był do niczego.

Lyle był specjalistą w dziedzinie technik przeprowadzania sondaży. Wiedział, że odpowiednio dobrana próbka 1500 do 2000 osób, może dać dokładne obliczenia głosów w wyborach z błędem do 3% na plus lub minus.

Jeżeli próbka 2000 badanych mogła wykazać, co myśli cały kraj, jakie wielkości próbki trzeba dla okręgu wyborczego w Chicago, w którym zarejestrowano ponad 8000 wyborców? Hayden zasiadł przy komputerze i wprowadził dane.

Nie znał dokładnie liczby wszystkich zarejestrowanych wyborców w Stanach Zjednoczonych, więc swoje kalkulacje oparł na danych szacunkowych. Używając tych samych proce-

ntów, komputer pokazał mu, że może ustalić podświadome uprzedzenia tych 8000 wyborców dzięki pogłębionej analizie dwóch dziesiątych z jednej osoby.

Utkwił wzrok w monitorze. Analizowanie dwóch dziesiątych z każdej osoby było oczywiście śmieszne, ale nie zaniechał tego pomysłu. Musiał teraz połączyć kilka technik badań sondażowych i zastosować je w pogłębionej analizie.

Zaczął pośpiesznie robić notatki. Zapisywał to, co sądził, że będzie mu potrzebne. Przede wszystkim musi mieć ścisłą liczbę badanych, by otrzymać dokładne obliczenia głosów wyborców całego okręgu. Po drugie, musi ustalić, jaki wpływ będą miały: wiek, płeć, rasa, wykształcenie, dochody, itd. Ale to wszystko było zwyczajną procedurą przy badaniach sondażowych.

Sęk w tym, by dobrać losowo dziesięcioro ludzi z okręgu i poddać ich pogłębionej analizie, takiej jaką stosował badając sędziów przysięgłych. Należało rozważyć ich odpowiedzi i zinterpretować je dla całego okręgu wyborczego.

„To mógłbym zrobić”, pomyślał.

13 marca 1989

— Ona mnie nie lubi — stwierdził Todhunter Clark.

— Kto cię tak bardzo nie lubi? — spytał Rod Harding.

— Dobrze wiesz, kto — rzekł Brat Nabisco. — Molly Turner sztyletuje mnie wzrokiem.

— Masz bujną wyobraźnię — uśmiechnął się Harding.

— Ja tak nie uważam — powiedział Clark. — Po prostu ona mnie nie lubi. Nie wiem, dlaczego, nigdy nie zrobiłem nic, by ją urazić.

Siedzieli na kocach w domu, który nazywali „bezpieczną chatą”. Harding wynalazł opuszczoną farmę, osiem mil na południe od Canton, nad rzeką. Dom, a raczej chata, stała na dwudziestoakrowej działce porośniętej zielskiem i krzewami.

Wyglądało tu jak w dżungli.

Nieruchomość tę zakupiono na nazwisko pani Josephine Turner, a Harding i Clark ciężko pracowali, by doprowadzić to wszystko do porządku. Oczyszczili wąską drogę dojazdową. Zakładając, że mogą kiedyś potrzebować drogi do ucieczki, wycięli na tyłach ścieżkę prowadzącą nad brzeg rzeki.

Wyremontowali i umeblowali dom, najlepiej jak potrafili, przynosząc do chaty stół i kilka rozklekotanych krzeseł oraz

piecyk na ropę. Naprawili pompę na podwórku, ale woda z niej była żółta i miała metaliczny posmak.

Najwspanialszą rzeczą była mała piwnica, do której można było dostać się przez klapę w podłodze w kuchni. Urządzili w niej arsenał. Trzymali tu broń, zapalniki i wiele innego nielegalnego sprzętu i materiałów. Tylko pół tuzina ludzi, wiedziało o farmie. Mieli ściśle instrukcje, by patrzeć uważnie w lusterko samochodu, zanim skręcają ze zwirowej drogi. Chatę było trudno odnaleźć i to im właśnie odpowiadało. Włączyli piecyk naftowy, ale mimo to obaj siedzieli w pikowanych kurtkach, a Brat Nabisco miał na głowie czapkę z opuszczonymi nausznikami. Czyścili nową dostawę broni z Miami i w trakcie tej roboty wychylili po kilka piw.

— Spójrz na ten — mruknął Harding, unosząc pistolet do góry. Colt 1911 kaliber 45. Wygląda jakby pochodził z I wojny światowej, ale jest w niezłym stanie. Jestem ciekaw, ilu chłopaków trzymało go w ręku.

— Nigdy się tego nie dowiemy — rzekł Clark. — Zwinąłem jeden taki w Wietnamie. Musisz go mocno trzymać, inaczej ta piekielna rzecz cię kopnie. Chcesz jeszcze piwa?

— Jasne, podaj mi jedno.

— Zastanawiałeś się kiedyś... — Clark podał mu piwo. — Ty masz na imię Rod, a mnie ludzie nazywają Tod. Rod i Tod, brzmi jak nazwa firmy prawniczej, prawda?

— Albo duetu country.

— To też — zgodził się Clark. Zaczął czyścić M-16. — Słuchaj, nigdy nie podziękowałem ci dostatecznie za wyciągnięcie mnie z kicia na Florydzie.

— Nie zrobiłem tego dla ciebie — mruknął Harding gburowato. — Zrobiłem to dla siebie, to znaczy dla nas.

— Taaa... rozumiem. Wiesz, bycie tutaj, z wami, to dla mnie bardzo ważne.

— Skąd pochodzisz, Tod?

— Z Missisipi. Nigdy nie znałem swojego ojca. Jestem nieślubnym dzieckiem, a kiedy moja mama zniknęła, wędrowałem po całej rodzinie. Kto miał dość jedzenia, ten brał mnie do siebie. Wojsko było moim pierwszym prawdziwym domem.

— Wierzę ci.

— Cóż... karmili mnie dobrze, dali mi pierwszą w życiu parę butów, które należały tylko do mnie. To było coś. Nauczyli mnie handlować — jeżeli tak to można nazwać.

Harding mruknął coś pod nosem, spojrzął przez rozbite

okno przesłonięte szmatą i nacisnął spust pistoletu. Rozległ się trzask wskazujący, że broń jest sprawna.

— Później — ciągnął Clark — po powrocie z Wietnamu, rodzina mnie nie chciała i, szczerze mówiąc, ja nie chciałem ich. Więc bujałem to tu, to tam, dopóki mnie nie znalazłeś.

— A jak żyłeś? — spytał Harding.

— Raz na wozie raz pod wozem. Niekiedy mały pożar na zamówienie ludzi z biznesu, którzy chcieli wyłudzić forsę za ubezpieczenie... Jednym słowem, jakoś sobie radziłem. Chodzi o to, że nigdy nie wiedziałem, co znaczy prawdziwy dom, dopóki tu nie przyjechałem. Chcę powiedzieć, że twoi bliscy traktują mnie cudownie. Regularnie dostaję pensję, gorące jedzonko, codziennie mam forsę w kieszeni, a to już coś.

— Wyobrażam to sobie.

— Nie. To trudne dla kogoś, kto tego sam nie przeżył. Ty po prostu masz szczęście, człowieku.

— Wiem.

— Masz swój własny dom, piękną żonę i tego małego Jeffa — wspaniały brzdąc. Zostanie królem świata. Fantastyczny dzieciak. Ty masz to wszystko.

Biały mężczyzna uniósł powoli głowę i spojrzał na Todhuntera Clarka, ale Brat Nabisco miał nisko zwieszoną głowę i od nowa składał M-16.

— Tod, czy próbujesz mi coś powiedzieć? — spytał Harding.

— Nie, właściwie nie. Oprócz tego, że masz najpiękniejszą i najmilszą żonę na świecie, a ten maluch... prawie zawsze chce mi się płakać, kiedy na niego patrzę. Jest taki słodki. Byłbyś cholernym durniem, gdybyś chciał to wszystko porzucić.

— O czym ty, do diabła, mówisz? Nie mam zamiaru ich porzucać!

— No, no... — Brat Nabisco podniósł głowę i spojrzał mu twardo w oczy. — Mam nadzieję, że nie kłamiesz i liczę, że nie zrobisz nic, co zrani twoją żonę i dziecko. Przez moment Harding patrzył na niego badawczo.

— Zajmij się swoimi pieprzonymi sprawami — burknął opryskliwie.

17 marca 1989

Prawie w tym samym czasie, kiedy Harding i Clark rozmawiali w chacie w Zachodniej Wirginii, James Gargan i Jake

Spencer spotkali się w małym stanowym parku w pobliżu Friendship Heights, w Maryland.

Obaj mężczyźni, opatuleni w płaszcze, siedzieli po przeciwnych stronach drewnianego piknikowego stołu. Gargan przyniósł ze sobą termos gorącej czarnej kawy z domieszką brandy. Nie zapomniał nawet o plastikowych kubkach.

Jake Spencer podniósł termos, ważąc go w rękach.

— Kiedyś użyłem czegoś takiego — stwierdził. — Magnetofon zainstalowałem w podwójnym dnie.

— Jezu, ale z ciebie podejrzliwy skurwiel — mruknął Gargan.

— Jasne. Jestem podejrzliwy. — Spencer wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu. — Dlatego jeszcze żyję, a to idzie w parze.

— Co nowego u senatora Dundee? — Gargan rozlał kawę do kubków. — Wydarzyło się coś?

— Mhm... Jestem na jego liście płac, nikogo więcej nie wynajął. Skontaktowałem się z facetem, który ma na oku Molly Turner. Z tego co wiem, zakończył swoją robotę.

— Dlaczego go zdjęli, nie domyślasz się?

— Przyznaję, że nie zdobył dużo informacji — Spencer wzruszył ramionami. — Może senator nie chce płacić, a może znalazł lepsze źródło.

— To bardziej prawdopodobne — zgodził się Gargan. — Pamiętasz, kiedy byliśmy tutaj ostatni raz, powiedziałaś mi, że Constance Underwood pieprzy się z tym dzieciakiem Billym McCrea?

— Jasne, pamiętam.

— Żeby było śmieszniej, obstawiłem go kilkoma facetami. To bardzo zajęty młody człowiek. Według moich chłopców, pieprzy wszystko, co się rusza: mężczyzn, kobiety, foxteriery, nawet dziury w płocie. Oczywiście, tylko za pieniądze. To byłoby nawet zabawne, z wyjątkiem jednej rzeczy. Niektórzy jego klienci, to bardzo ważni ludzie. Jeżeli temu chłoptasiowi wpadnie do głowy pomysł szantażowania klientów, będziesz świadkiem exodusu ludzi z korpusu dyplomatycznego i Kongresu, że nie wspomnę o ministerstwach. Mógłbym ich kilku wymienić, ale nie zrobię tego.

— Jest bardzo pracowity, co?

— Trudno w to uwierzyć, ale jego mały czarny notes wygląda jak książka adresowa. Zgadnij, kto jest jego najlepszym klientem?

— He razy mogą zgadywać?

— Raz.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— O.K. — mruknął Spencer. — Tom Kealy, zausznik senatora Dundee.

— Ty skurwielu—rzekł z podziwem Gargan.—Masz rację. Dlaczego go wymieniałeś?

— Bo on wygląda na faceta, który lubi chłopców.

— Cóż, zabawia się z Billym McCrea, a to może stworzyć problemy. Mówiłem ci o planach Dundee'ego? Chce wziąć udział w wyborach prezydenckich w 1992 roku. Ma za sobą wielu potężnych finansistów, których nazwisk nigdy nie przeczytasz w gazetach. Mój Departament, oczywiście, także go popiera.

— Oczywiście. I chłopcy z wojska, i chłopcy, którzy sprzedają papier toaletowy marynarce.

— Właśnie. Jeżeli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że najbliższy doradca Dundee'ego jest pedałem, nie wpłynie to pozytywnie na jego kandydaturę...

— Mój Boże, Jimbo, to idź do senatora i powiedz mu o tym. Wyrzuci Kealy'ego i po krzyku. Do wyborów pozostały jeszcze trzy lata.

No cóż, Jake — Gargan zaczął poważnie. — Nie chcemy tego robić. Długo się nad tym zastanawialiśmy i...

— Zastanawialiście się? — krzyknął Spencer. — To śmierdząca sprawa, nad czym tu się zastanawiać...

— Nie chcemy rujnować kariery Kealy'ego — ciągnął Gargan ignorując uwagi Spencera. — Kealy jest wartościowym doradcą, on może pomóc senatorowi dostać się do Białego Domu i dlatego nie zamierzamy informować Dundee'ego.

Jake Spencer spojrzął na niego uważnie, następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął cygaro. Rozwinął je z celofanu, odgryzł kawałek i wypluł. Zapalił.

— Jimbo — wydmuchnął dym —jesteś pogrążony w gównie po pachy. Scenariusz wygląda tak: Departament chce Dundee'ego w Białym Domu — to taki świetny kumpel — przyjaciel. Ty uważasz, że on ma dużą szansę, by dostać ten stołek, a teraz dowiadujesz się, że jego doradca, to pedzio. Czy nie powinieneś powiedzieć senatorowi, żeby pozbył się tego pedała? Ty tego nie robisz. Dlaczego? Bo jeżeli Dundee zasiądzie w Ovalnym Gabinetcie, Departament chce mieć jego doradcę w kieszeni, przez co może mieć wpływ na prezydenta. Czy o to chodzi?

Gargan mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

— Powiedziałem im, że nie uda mi się namówić ciebie, Jake, ale uparli się, że bym spróbował.

— Doskonale — Spencer dumnie wymachiwał cygarem. — Nie jestem obraźliwy.

— Ale istnieje jeszcze jedna możliwość. Pomyślałem, że lepiej będzie pozbyć się Billa McCrei. To on stanowi poważne zagrożenie dla naszych planów.

— Och, Jimbo, wiesz dobrze, że nie robię mokrej roboty.

— Wiem, Jake, ale masz kontakty. Nie możemy pozwolić, by nas z tym łączono i dlatego chcemy, żebyś był naszym buforem. Czy możesz znaleźć dobrego fachowca do tego zadania? To powinno wyglądać na wypadek.

Spencer wpatrywał się w żarzący się koniuszek cygara.

— Ile płacisz?

— Pięć patyków, żadnego targowania się. Ty dostaniesz forszę do ręki, ile zatrzymasz dla siebie, to twoja sprawa, a ile dasz grabarzowi, to także twoja sprawa.

— Na kiedy ma to być zrobione?

— Och... powiedzmy, że w ciągu trzech miesięcy. Jake, tu nie chodzi tylko o jego związek z Kealym. Ten dzieciak to chodząca bomba zegarowa. Jeżeli zdecyduje się mówić, to afera Watergate będzie przy tym wyglądała jak brzęcząca pszczołka. Ten chłopaczek jest niebezpieczny, uwierz mi.

James Gargan, który cieszył się wśród swoich współpracowników opinią szcwanego i przebiegłego, miał jeszcze inny powód, by uciszyć na zawsze Billa McCreę, ale tego nie zamierzał wyjawiać Jake Spencerowi.

Od czterech miesięcy Departament miał na podsłuchu mieszkanie Thomasa J. Kealy'ego w Georgetown. Wiedział, że Kealy sypia z Constance Underwood. To bardzo odpowiadało Garganowi, od kiedy poznał polityczne zamiary Dundee'ego. Zabicie Billa McCrei miało jeszcze dodatkowy plus: koniec seksualnego konkursu.

— Rozejrzę się, Jimbo, i zobaczę, może uda mi się załatwić jakiegoś zawodowca do tej roboty.

To były bzdury i Gargan dobrze o tym wiedział, ale nie niepokoił się tym. Grunt, żeby zlecenie zostało wykonane.

2 kwietnia 1989

Nocą czternastego sierpnia 1988 roku pani Carolyn B. uczestniczyła w zebraniu koła Narodowego Sprzysiężenia Ko-

biet w Madison, w Wisconsin, którego była członkinią. Zebranie zakończyło się o 23⁰⁰. Pani B. wsiadła do samochodu i wyruszyła do domu w Veronie.

Była trzydziestoosmioletnią kobietą, matką trojga dzieci. Její mąż prowadził mały własny sklepik z towarami żelaznymi w Veronie. Pani B. jechała sama swoją toyotą. Na kilka mil przed domem silnik zgasł. Pani B. skręciła na skraj drogi i zatrzymała samochód.

Później ustalono, że bak toyoty był pusty. Pani B. wysiadła z auta i stanęła na poboczu, licząc, że zatrzyma jakiś przejeżdżający pojazd i poprosi o pomoc. Trzy samochody minęły ją nfe zatrzymując się. Czwarty przejechał wyhamował i cofnął się do miejsca, w którym stała pani B.

W aucie siedziało czterech młodych mężczyzn w wieku od osiemnastu do dwudziestu sześciu lat. Potem stwierdzono że cała czwórka przez kilka godzin piła alkohol i była w różnym stopniu pod jego wpływem.

Siłą zawlekli panią B. do przydrożnego lasu, tu wszyscy czterej zgwałcili ją kilkakrotnie i lżyli obraźliwymi słowami. Trwało to przez dwie godziny, po czym wsiedli do swojego samochodu i odjechali, zostawiając ofiarę nagą, pokrwawioną posiniaczoną, jednym słowem, skatowaną.

Pani B. zdołała doczołgać się do drogi i leżała tu na wpół świadoma. Pierwsze przejeżdżające auto skręciło, by jej nie przejechać, ale nie zatrzymało się. Na szczęście kierowca z pierwszej napotkanej budki zatelefonował na policję. Panią B. odwieziono do najbliższego szpitala.

Po udzieleniu pierwszej pomocy była w stanie opowiedzieć przesłuchującemu ją policjantowi przebieg wydarzenia. Opisała napastników i ich samochód.

Zapamiętała nawet dwie pierwsze cyfry z tablicy rejestracyjnej pojazdu gwałcicieli.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin aresztowano czterech młodzieńców. Wszyscy byli mieszkańcami St. Charles, małego miasteczka na południe od Paoli.

Postawiono im kilką zarzutów, w tym: gwałt, zbrodnicze napastowanie i znęcanie się nad ofiarą.

W trakcie konfrontacji pani B. zidentyfikowała wszystkich gwałcicieli.

Najmłodszy, osiemnastoletni uczeń ostatniej klasy liceum zgodził się na współpracę z oskarżycielem, chcąc w ten sposób uzyskać mniejszy wyrok. Jego zeznania potwierdziły w całej rozciągłości zarzuty pani B.

Proces sądowy tej czwórki odbył się w styczniu 1989 roku w St. Charles. Napaść na panią B. wzbudziła duże zainte-

resowanie i oburzenie opinii publicznej. Sala rozpraw wypełniła się po brzegi publicznością, głównie członkiniami NSK i KKO, które sędzia często musiał przywoływać do porządku, ponieważ głośno manifestowały swoją wrogość w stosunku do oskarżonych. ,

Siedemnastego marca 1989 roku sąd uznał mężczyzn winnymi wszystkich zarzucanych im przestępstw. Oczekiwali na wyrok w więzieniu w St. Charles. Trzydziestego pierwszego marca ogłoszono wyrok. Osiemnastolatek, który współpracował z prokuratorem, skazany został na sześć miesięcy więzienia i trzy lata dozoru policyjnego. Kolejnego osądzono na osiemnaście miesięcy, a dwaj pozostali dostali po trzy lata z możliwością warunkowego skrócenia kary o jedną trzecią. W sentencji wyroku wysokość kar uzasadniono tym, że żaden z gwałcicieli nie był dotąd karany, a działali „głupio”, bo byli pod wpływem alkoholu.

Pułk Kobięcych Korpusów Obrony stanu Wisconsin postanowił sam wymierzyć właściwą karę. Istnieją pewne dowody wskazujące, że Molly Turner uczestniczyła w planowaniu tej akcji, ale nie wskazuje na to, by brała w niej udział osobiście. Krótco przed północą dwudziestego drugiego kwietnia pluton KKO dokonał najazdu na więzienie w St. Charles. Napastniczki rozbroiły i związały dwóch strażników pilnujących więźniów. Żadna z kobiet biorących udział w tej akcji nie była zamaskowana. Strażnicy nie potrafili żadnej rozpoznać, ponieważ zostały zwerbowane w miastach odległych od Paoli i St. Charles.

Czterech gwałcicieli zamierzano przewieźć następnego dnia do więzienia stanowego, ale tej nocy wyciągnięci zostali z ceł i zawiezieni do tego samego lasu, w którym napadli na panią B. Całą czwórkę powieszono.

Anonimowy telefon do mass mediów w Madison powiadomił władze o samosądzie. Jeden z fotoreporterów, który pojawił się pierwszy na miejscu, zrobił zdjęcie, które obiegło prasę całego świata. Cztery nagie, wiszące ciała.

Egzekucja czterech gwałcicieli skazanych przez sąd wywołała międzynarodową sensację. Zagraniczni dziennikarze szturmowali sztab KKO w Canton, usiłując zdobyć wywiad z Molly Turner.

16 kwietnia 1989

— Co tu, u diabła, się dzieje? — spytała Molly, wchodząc do bawialni w domu przy Hillcrest Avenue. — Babski sejm?

Na to wyglądało. Były tu: Ann, pani Josephine Turner, pani Cecily Harding, Yvonne Popkin, Lois Campbell i trzy czy cztery inne pracowniczki sztabu KKO. Przeglądały rysunki proponujące wzory munduru dla KKO. Zaprojektowała je siostra, która pracowała dla butików na Manhattanie.

Pani Turner zajęła się przygotowaniem kawy i domowych ciasteczek. W tym czasie reszta kobiet zbiła się w gromadkę wokół kolorowych szkiców, omawiając ich wady i zalety.

Mundur przypominał kombinezon farmera. Uszyty był z dżinsu. Bluza w stylu Eisenhowera miała kieszenie na piersiach, zapinane na napy. Uzgodniono, że będzie koloru khaki. Umundurowanie uzupełniała biała koszula i czarny krawat. Na nakrycie głowy zaprojektowano czarny beret, przybrany wąską czerwoną lamówką i udekorowany znaczkiem KKO, wykonanym z mosiądzu.

— Niezły — stwierdziła Molly z aprobatą. — Bluza jest na tyle krótka, że można swobodnie nosić pas na broń. Yvonne, zrób odbitki tych szkiców i wyślij do prasy informacje o naszym mundurze. Po tym, co się wydarzyło w Wisconsin, uważam, że będziemy miały dobrą prasę.

— Czy ten mundur będzie obowiązywał wszystkie członkinie? — spytała Popkin.

— Ann? — Molly zwróciła się do siostry.

— Nie sądzę, żeby to było najlepsze rozwiązanie — rzekła Ann. — Niektóre z naszych sióstr muszą liczyć się z każdym groszem. Powinny go nosić te, które na to stać. To byłoby optymalne rozwiązanie.

Pani Cecily Harding przyniosła małego Jeffersona, który natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich kobiet. Zademonstrował zwinne raczkowanie, a nawet stał na nogach przez kilka sekund, trzymając się nogi babci.

Molly zaciągnęła siostrę do dawnego biura i zamknęła za sobą drzwi, by nie docierał tu hałas i śmiechy z bawialni.

— Usiądź na minutkę. Ty i ja od dawna nie miałyśmy okazji porozmawiać. Jestem tak cholernie zajęta tymi idiotycznymi wywiadami. Dziś rozmawiałam z

dziennikarzem z Niemiec. O Boże, rzygam już powtarzaniem tego samego w kółko.

— To rozsławi nas na całym świecie, Molly. Zobaczysz, ile napłynie wycinków prasowych.

— Żartujesz? A może powinniśmy rozszerzyć naszą organizację na cały świat? Co o tym sądzisz?

— Jeszcze nie teraz — stwierdziła Ann. — Może w przyszłości. Uważam, że powinniśmy umocnić naszą pozycję w kraju, zanim zaczniemy rozważać rozbudowanie naszej organizacji poza granicami.

— Chyba masz rację. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Miotam się we wszystkich kierunkach niczym ryba w sieci. Wiem, ty mnie ściągasz z obłoków na ziemię — przerwała na moment i spojrzała badawczo na Ann. — Czy wszystko w porządku, kochanie? To znaczy między tobą a mną?

— Jasne, a powinnam czymś się martwić?

— Nie, ale ostatnio czuję, że coś się między nami zmieniło: Sposób, w jaki na mnie patrzysz, pewien, och, nie wiem, jak to nazwać, chłód między nami, jakby dystans. Jeżeli coś cię gryzie, na litość boską, powiedz mi' o tym. .

— Między nami nic się nie zmieniło, Molly.

— To z powodu tego samosądu, 'co?

— Tak — odpowiedziała Ann bez wahania. — To o to chodzi. Przyznaję, że to mną wstrząsnęło. Prawdopodobnie dlatego zachowuję się inaczej.

— To trzeba było zrobić — rzekła Molly stanowczo. — Po tym, co oni zrobili z tą biedną kobietą i jak dostali tylko po kilka miesięcy więzienia — to było nieuniknione. Jeszcze kilka takich linczów i sama zobaczysz — gwałty znikną, wspomnisz moje słowa.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Przez chwilę siostry milczały. Patrzyły w zamyśleniu na podniszczony dywan.

— Przebyłyśmy długą drogę w krótkim czasie — westchnęła smutno Molly. — Chciałabym, żeby była tu z nami Norma Jane i zobaczyła, czego dokonałyśmy. Byłaby z nas bardzo dumna.

— Molly — Ann zawahała się. — Dokąd my doszliśmy? Czy nie sądzisz, że dotarliśmy do jakiegoś punktu granicznego, z tym samosądem i zniszczeniem „Hookera”?

— Żartujesz? — burknęła oburzona Molly. — W tym kraju jest jeszcze dużo do zrobienia. My dopiero zaczęłyśmy.

— Po prostu martwię się, czy nie posuwamy się za szybko i za daleko. Jesteśmy na szczycie, po co wikłać się w niebezpieczne sytuacje, w których może zginąć wiele naszych sióstr.

— One zdają sobie sprawę z ryzyka, kiedy zgłaszają się do udziału w akcjach. Boże, przestań gadać jak Constance Underwood. Ona myśli, że można rozwiązać wszystkie nasze pro-

blemy za pomocą nowych ustaw. To czyste bzdury. Ann, mam zamiar przeprowadzić jak najwięcej działań bezpośrednich i jeżeli nawet będą brutalne czy krwawe, chcę tej grubej dupie, senatorowi Dundee, zaleźć za skórę. Ten skurwiel robi karierę na nioim grzbiecie.

— Molly,, wielu ludzi podziela jego poglądy.

— Pieprzę go. Pozwólmy mu wystąpić w obronie magazynu „Hooker” i skazanych gwałcicieli. On jest po złej stronie i dowie się o tym któregoś dnia. Cóż... chyba lepiej wróćmy na ten babski sejmik. Jak tam z popijaniem Yvonne?

— Lepiej. Chodzi na spotkania AA i naprawdę dobrze się zapowiada. Przynajmniej do pracy przychodzi trzeźwa. Och... jeszcze jedna sprawa, dziś telefonowała do mnie Constance Underwood i...

— Ta dziwka doprowadza mnie do szału.

— ...poinformowała mnie, że nie mają dla nas żadnych wolnych biur w centrali NSK. Prawdopodobnie nie chce, żebyśmy były za blisko ich dokumentów i rejestrów, ale powiedziała, że ma listę, trzech czy czterech miejsc, które, jej zdaniem, mogą się dla nas nadać. Molly, uważam, że najlepiej będzie, jak sama pojedziesz do Waszyngtonu i wyszukasz odpowiednie biura. Będiesz tam przecież spędzała większość czasu.

— Masz rację, tak właśnie zrobię. Może Rod pojechałby ze mną i pomógł mi?

— Mhm... jeżeli uważasz, że to konieczne...

Tej nocy, kiedy jej mąż i syn spali, Ann Harding wyjęła anonimowe listy — miała ich już pięć — ukryte pod swetrami w szufladzie komody. Wzięła je do łazienki, otworzyła i przeczytała. Listy zawierały dokładne informacje o miejscach, datach i godzinach. Wiedziała, że Molly i Rod przebywali razem w tych miejscach i w tych terminach.

Była dobrą żoną, dobrą matką i szefową, wiedziała to. Ale ta sytuacja przerastała jej możliwości pojmwania. Czuła, że konfrontacja może dać katastrofalne efekty. Ale wiedziała też, że ten problem sam się nie rozwiąże. Zdrada ze strony dwojga ludzi, których najbardziej kochała, to było zagrożenie, które przyprawiało ją o mdłości. To było takie ohydne, poniżające i okrutne.

Znając Molly i znając Roda bardziej, niż się domyślali, przypuszczała, że ich romans stworzyły okoliczności. Ale to nie usprawiedliwiało ich niegodziwego postępowania. Sama nigdy nie byłaby zdolna do takiej perfidii. Czyżby uważali ją za idiotkę?

Być może w tym właśnie momencie te anonimowe listy, trzymane w zimnych palcach, zasiały ziarno zemsty.

20 maja 1989

Rod Harding, jak większość ludzi, rzadko opuszczał w gazetach strony z nekrologami.

To było interesujące: nazwisko, wiek, przyczyny śmierci, kariera, osiągnięcia zawodowe... czasami fotografia zmarłej osoby... sprzed dziesięciu lat;

Parę lat temu uświadomił sobie, że zwiększona liczba zgonów mężczyzn i kobiet zaangażowanych w badaniach nad rakiem, była spowodowana tą właśnie chorobą.

Harding wiedział, że to irracjonalny osąd, przecież rak nie jest zaraźliwy, ale wciąż nie przestawał o tym myśleć.

Zastanawiał się nad tym, bo obawiał się, czy nie cierpi z powodu podobnych przyczyn. W wojsku, w policji, ocierał się o wszelkiego rodzaju zgniliznę moralną, o różne brudy i zepsucie. Być może zaraził się tą „zgnilizną”.

Nie zaobserwował u siebie żadnych objawów fizycznych, to była choroba duszy.

Musiał się nieźle maskować, by to ukryć przed rodzicami, żoną, przyjaciółmi, ale czuł, że to w nim tkwi. To była rozpacz, tak gryząca i trawiąca, że wszystko wydawało się mu pozbawione sensu, oprócz przyjemności. A tym wszystkim rządziło szaleństwo.

Leżał nagi w łóżku, w bezpiecznej chacie, leniwie głaszcząc napięte ciało Molly Turner. Rozmyślał o tym, jaka to z niego zakłamaną świnia i obojętnie zastanawiał się, dlaczego go to nie martwi.

— Nie powinniśmy tego robić w Canton — stwierdziła Molly.

— Wiem, ale dobrymi chęciami...

— W następnym tygodniu przenoszę się do Waszyngtonu. Biuro już jest przygotowane i wynajęłam dla siebie mieszkanie w pobliżu centrum konferencyjnego. Będiesz mnie często odwiedzał, oczywiście w sprawach KKO.

— Jasne.

— Będziesz musiał często przyjeżdżać — rzekła, trzymając jego twarz w dłoniach i patrząc mu prosto w oczy. — Będziemy mieli wiele służbowych spraw do załatwienia i omówienia. Chociaż nie sądzę, żeby było mądrze, gdybyś zostawał na noc.

Będziesz przyjeżdżał w dzień, a na noc wracał do Ann. To będą poranne randki.

— Tak jest, szefie. Oczywiście, szefie. To ty wydajesz rozkazy, szefie.

Trzepnęła go w ramię.

— Czy cię martwi, że to ja jestem szefem?

— Nic, co dotyczy ciebie, mnie nie martwi. Chcesz jeszcze piwa?

— Nie. Skąd masz tę bliznę?

— Wąż mnie ugryzł.

— Brednie. Czy twoje ramię już się zagoiło?

— Pewnie. Po tej kulce została tylko mała szrama. Czy dostanę medal Wyzwolenia Kobiet?

— Coś ty, on jest przeznaczony tylko dla kobiet — stwierdziła stanowczo. — Jeżeli chcesz, dam ci medal „Największego ogiera”.

Przewrócił się na bok i zręcznym językiem zaczął wędrować po jej szyi, pod pachami i po piersiach.

— Jezu — westchnęła. — Co robisz?

— Jestem tylko pułkownikiem, więc zarabiam na stopień generała.

Przyciągnęła go do siebie.

— Jeżeli o mnie chodzi, jesteś na medal. Potrzebuję cię, Rod. Boję się, chyba o tym wiesz.

— Wiem.

— Składałam się z samych pozorów: głośna, szorstka, odważna baba-chłop, nosząca broń za pasem. A tak naprawdę, sikam w majtki ze strachu.

— Gówno. Masz więcej jaj niż jakikolwiek facet. Zgadzam się, że jesteś przerażona. W walce każdy ma stracha, to żaden wstyd. Ale działasz i to jest jedyna rzecz, która się liczy.

— Pewnego dnia ktoś przestrzelił mi dupę.

— Być może — powiedział wesoło.

— Szuja — pocałowała go. — Moja własna, kochana szuja. Naprawdę martwi mnie jedynie to, że wszystkie siostry, które we mnie wierzą, pójdą za mną nawet do piekła, kiedy tego zażądam. Nie mogę im okazać moich słabości.

— Koszty przywództwa — stwierdził. — Jeżeli nie możesz kierować tym koniem, zsiądź z niego.

— Wiesz, że tego nie mogę zrobić.

— Więc przestań narzekać i rób, co masz do zrobienia.

— Jesteś taaaki cudowny i rozumiesz mnie, jak nikt inny.

— Za to właśnie mnie kochasz. Nigdy cię nie okłamałem. ¹

— To prawda — zgodziła się. — Czy jestem w łóżku lepsza od Ann?
— Przestań.
— Ma większe cycki niż ja?
— Zamknij się.
— Dobra, przepraszam.
Odwrócił się i zaczął masować jej plecy. Kręgosłup rysował się pod skórą niczym misterny wzór.
— Powinnaś zacząć jeść — zauważył.
— Jem.
— Wiesz, o czym myślę. Moll, po prostu żyjesz za szybko, zbyt gwałtownie.
— Muszę—mruknęła, wtulając twarz w jego szyję. — Mam dużo do zrobienia. Umrę młodo, wiem to.
— Ty i Norma byliście kochankami — rzuca nagle. Uniosła głowę i spojrzała na niego.
— Jasne — potwierdziła wyzywająco. — I co z tego?
— Nic.
— Miałeś kiedyś chłopca?
— Nie.
— A myślałeś o tym?
— Właściwie nie. Ty jesteś moim chłopcem.
— Tak — szepnęła rozkosznie i przytuliła się do niego. — Ja też tego chcę. Chcę być twoim chłopcem. Jak długo jeszcze będzie to trwało?
— Co? KKO? Ten wieczór?
— Ty i ja.
— Ach, to. Nie wiem, Moll, a ty wiesz?
— Powinniśmy to robić codziennie.
Delikatnie odsunął ją od siebie. Leżeli patrząc na słońce przebijające się przez brudne okno, przesłonięte niebieską szmatą.
— W tej chwili jestem szczęśliwa — powiedziała Molly. — Ale stało się coś strasznego. Myślę, że się w tobie zakochałam.
— Gównu. Bzdury pleciesz.
— Wiem—skinęła głową. — Cholera jasna, nie brałam tego pod uwagę, Rod. Przysięgam na Boga.
Przez chwilę milczał.
— Może ci przejdzie.
— Może, chociaż ja tak nie uważam. Przynajmniej na razie.
— Spójrz na to z boku. Wiesz, że nigdy nie zostawię Ann i Jeffa. Wiesz o tym, prawda?
— Tak.
— Mężczyzna potrafi kochać dwie kobiety równocześnie,

kobieta także potrafi kochać dwóch mężczyzn na raz. To jest możliwe, zgadzasz się ze mną, prawda?

— Nie.

— Są różne rodzaje miłości-

— Ale... — zaczęła — chciałabym mieć cię tylko dla siebie.

— Bierz, co ci dają — doradził. — Ja biorę. Co ty na to?

— O Boże, chyba masz rację — westchnęła.

Nie powiedział jej o swoich podejrzeniach, że Todhunter Clark wie coś o ich romansie. Ona nie wyjawiała mu, że o to samo podejrzewa Ann. Żadne z nich nie chciało powiedzieć nic, co mogłoby zepsuć ich szczęście.

25 czerwca 1989

Dawno temu Jake Spencer nauczył się, że są takie sprawy, które, jeżeli zaczynasz się nad nimi zastanawiać, kończą się ogromnym bólem głowy.

Jake często rozmyślał, że jest coś wspólnego, co łączy pracę agenta FBI i prywatnego detektywa. Doszedł wreszcie do wniosku, że wszyscy jego pracodawcy byli, albo są szaleni.

Jimbo Gargan chciał zlikwidować Billa McCrea, ale nie ujawnił Jake'owi prawdziwych powodów. To mu nie przeszkadzało, zważywszy na pięć tysięcy, które były niezłą sumką. Właściwie nie powinien marnować czasu na daremne wyszukiwanie powodów.

Kiedy zaczął śledzić McCrea, zauważył, że jeszcze dwóch facetów robi dokładnie to samo. Jeden w miękkim kapeluszu, a drugi niski z nastroszonym nosem, wyglądający na Latynosa.

Do Gargana zadzwonił z budki telefonicznej.

— Jimbo, odwołaj twoje psy gończe. Depczemy sobie po piętach.

— Dobra — zgodził się Gargan.

Następnego dnia facet w kapeluszu zniknął, ale Latynos dalej łąził za McCrea.

— Co, u diabła — mruknął sam do siebie Spencer. Na jeden dzień przestał zajmować się Billym McCrea, a zajął się wąsatym tajniakiem. Śledził go właściwie dla zabawy. Facet doprowadził go do budynku ambasady jednej ze środkowoamerykańskich republik bananowych.

Zatelefonował do Gargana i przedstawił, jak się sprawy mają.

— Jezu Chryste — westchnął Gargan z niesmakiem. — To

jak z komedii braci Marx. McCrea flirtuje z żoną ambasadora, prawdopodobnie zamierzają go zastrzelić. No dobra, Jake, zobaczę, co się da zrobić. Mam przyjaciela w Departamencie Stanu, może on będzie mógł dać do zrozumienia tym z ambasady, że kontrolujemy sytuację.

Dwa dni później wąsaty tajniak zniknął. Spencer miał Billa McCrea tylko dla siebie. Jak powiedział Jimbo, był to bardzo zajęty młody człowiek. Miał bardzo ważnych klientów. Spencer obliczył, że musi zarabiać pięćdziesiąt kawałków w ciągu roku, oczywiście wolnych od podatku. Jake zazdrościł mu, ale uznał, że Billy jest trochę za długo w tym interesie.

Chodził za dzieciakiem przez prawie dwa miesiące. Swoją robotę wykonał dobrze. McCrea nigdy nie zorientował się, że ktoś go śledzi.

Spencer poznał rozkład zajęć Billa, a ponieważ pamięć miał fenomenalną, nigdy nie robił żadnych notatek.

W ciągu tygodnia McCrea był bardzo zajęty. Obsługiwał klientów rano, w południe i wieczorem. Ale siódmego dnia, jak Pan Bóg przykazał, Billy odpoczywał. Spędzał szabas w swoim mieszkaniu. Wczesnym rankiem wychodził, by kupić niedzielną gazetę i maślaną chałkę.

Wracał do mieszkania i nie wychodził aż do 19⁰⁰, kiedy to udawał się do pobliskiej chińskiej restauracji, gdzie zawsze zamawiał krewetki, homara i ryż. Po kolacji wracał do mieszkania i pozostawał w nim do poniedziałkowego ranka. W niedzielę nigdy nie przyjmował gości.

Spencerowi to bardzo odpowiadało.

Wrócił do swojego biura w Rosslyn, oparł nogi na biurku i długo planował sposób pozbycia się Billa McCrei.

Gargan życzył sobie, aby upozorować wypadek. Byłaby to pestka, gdyby można było zaaranżować wypadek samochodowy, podpalenie jachtu, katastrofę lotniczą, czy coś w tym rodzaju. Ale trudno upozorować wypadek w mieszkaniu ofiary. No, może pośliznąć się w łazience i uderzyć głową o coś twardego.

Przez lata Jake Spencer kolekcjonował różne przedmioty, które jak twierdził „nie wiadomo kiedy i do czego się przydadzą”. Był to zbiór różnego typu broni, narkotyków (niektórych nawet bardzo egzotycznych), policyjnych odznak i tym podobnych rzeczy, które umożliwiały wykonanie takiego zadania jak wyeliminowanie kogoś na dłużej lub na zawsze.

Grzebiąc w tych szpargałach, a trzymał je w ostatniej, . zamykanej na klucz szufladzie biurka, Spencer zaczął ukła-

dać plan i wybrał przedmioty potrzebne do zlikwidowania McCrei.

Wieczorem 25 czerwca, w niedzielę, Jake Spencer czekał na Billa wychodzącego z chińskiej restauracji. Spencer włożył trzyczęściowy garnitur, kapelusz, a w rękę trzymał neseser. Ten neseser nie był głupim pomysłem. Facet z neseserem nie wzbudzał podejrzeń.

— Pan McCrea? — zapytał uprzejmie. Młody człowiek przystanął i spojrzał na niego.

— Kim pan jest?

— Lathrop Gilmore, sir — odpowiedział Spencer. — Z Departamentu Stanu. — Pokazał znaczek identyfikacyjny faceta, który nie żył od trzydziestu lat.

— Z Departamentu Stanu? — McCrea uśmiechnął się. — W porządku. Czego chce ode mnie Departament?

— To delikatna sprawa... — Spencer uśmiechnął się z zakłopotaniem. — To dotyczy żony ambasadora. Otrzymaliśmy skargę z ambasady, wysłano mnie, abym zbadał tę historię. Panie McCrea, nie sądzę, by ulica była najodpowiedniejszym miejscem do omówienia tej sprawy. Czy jest w pobliżu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

— Pewnie — McCrea roześmiał się wesoło. — Mieszkam tylko o jedną przecznicę stąd. Możemy pójść do mnie.

— Dziękuję, sir — rzekł Spencer z wdzięcznością. I był wdzięczny. Otrzymanie zaproszenia do apartamentu McCrei było kluczem do całej sprawy.

Teraz wszystko pójdzie jak po maśle, pomyślał Spencer.

Wspiał się za Billem na szóste piętro po metalowych schodach i stanął za nim, kiedy młodzieniec otwierał drzwi. Ledwie drzwi otworzyły się, Spencer uderzył McCrea za prawym uchem. Użył kawałka metalu owiniętego w skórę. To był cios, który stosował z wprawą. Nauczył się go w czasie długiej praktyki. McCrea stracił przytomność, ale jego skóra nie została uszkodzona.

Spencer złapał chłopca pod ramiona, wciągnął do mieszkania, a następnie zaryglował drzwi. W mieszkaniu paliła się tylko jedna lampa. Jake szybko przeszukał apartament, upewniając się, czy poza nimi dwoma nikogo więcej nie ma w mieszkaniu.

Po powrocie do salonu zauważył, że McCrea zaczyna się poruszać. Uderzył go więc znowu. Stał przez chwilę, patrząc na swoją ofiarę.

— Ładny chłopiec — powiedział głośno.

Teraz Jake zdjął kapelusz, marynarkę i podwinął rękawy

koszuli. Otworzył neseser, wyjął z niego parę szarych jedwabnych rękawiczek, włożył je i zabrał się do roboty.

Szerokim przylepcem zakleił usta McCrei. Upewnił się wpierw, czy ten może swobodnie oddychać nosem. Następnie skrzyżował mu ręce na plecach, najpierw owijając nadgarstki bandażem tak, by nie było żadnych otarć naskórka i spiął je kajdankami. To samo zrobił z kostkami nóg chłopca, używając większego rozmiaru kajdanek. To wszystko wydobyl z nesesera.

Po zakneblowaniu i unieruchomieniu Billa Spencer wyjął portfel z kieszeni swetra swojej ofiary. Znalazł w nim około pięciuset dolarów w pięćdziesiątkach i mniejszych banknotach. Wyjął cztery setki i schował je do swojej kieszeni. Portfel wrócił do kieszeni swetra.

Już bez pośpiechu Spencer ponownie przeszukał mieszkanie. Przedtem upewnił się, że nikt nie może obserwować go przez okna. Pierwszą rzeczą, jaką znalazł w biurku sypialni, był mały, czarny notes Billa z nazwiskami, adresami, numerami telefonów i zapiskami, ile płacił każdy z klientów. Spencer wrzucił go do swojego nesesera z myślą, że przestudiuje go później.

Pod stosem jedwabnej bielizny w szafie znalazł także trzy tysiące zielonych. Jake uśmiechnął się sam do siebie. Jimbo Gargan zlecił mu niezłą robótkę. Spencer odliczył dwadzieścia pięć setek, resztę pozostawił tam, gdzie była.

McCrea miał wspaniałą biżuterię. Nęciła Spencera, ale nie ruszył jej. Z lodówki w kuchni wyjął zamknięty słoiczek kawioru, licząc, że jego braku nikt nie zauważy. Z mieszkania Billa zabrał w sumie: pieniądze, czarny notes i kawior. Wrócił do salonu i z nesesera wyjął porcję heroiny. Sam nigdy tego gówna nie używał, ale wiedział, jak się to bierze. Wiele lat temu skonfiskował trochę heroiny pewnemu narkomanowi. Nie wiedział, czy to świństwo z biegiem lat traci swoją moc, ale liczył, że jeszcze ma dość kopyta, by sekcja zwłok stwierdziła obecność narkotyku we krwi McCrei.

Wymieszał wszystko na srebrnej łyżce, którą znalazł w kuchni. Łyżkę podgrzał nad ogarkiem świeczki.

Wypełnił do połowy zbiorniczek strzykawki i zacisnął szeroki, gumowy wężyk na gołym ramieniu Billa. Zafascynowany obserwował, jak nabrzmiewa niebieska żyła. Wbił w nią igłę i nacisnął tłoczek. Zdjął gumową przepaskę. Nie zapomniał odcisnąć na łyżce i strzykawce palców McCrei. Wyrzucił świeczkę, ale łyżkę i strzykawkę zostawił na podłodze. Zdjął

knebel i kajdanki, i włożył do swojej teczki. Zamknął ją i usiadł w pobliżu drzwi wejściowych. Opuścił rękawy, włożył marynarkę i kapelusz. Ciągle jeszcze miał na rękach jedwabne rękawiczki. Postawił McCree na nogi, stęknął z wysiłku, pochylił się i zarzucił wiotkie ciało na ramię.

Zaniósł Billa do sypialni. Chłopiec oddychał, ale charczał ciężko.

W trakcie przeglądu mieszkania Spencer zauważył otwarte okno w sypialni, wychodzące na schody przeciwpożarowe i betonowe podwórko. Ciągnąc, wywlókł Billa na podest. Przerzucił ciało przez balustradę. Uderzyło z głuchym trzaskiem o beton sześć pięter niżej.

Teraz poruszając się szybko, Jake wrócił do salonu. Ostatni raz rozejrzał się dookoła. Złapał swój neseser i opuścił mieszkanie, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Zdjął rękawiczki i wsunął je do kieszeni marynarki.

Po godzinie był już w domu. Kawior smakował wybornie.

Historycy społeczni, badający fenomen istnienia Kobięcych Korpusów Obrony w późnych latach osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych, znajdują skarbnicę wiadomości w grubych teczkach korespondencji KKO z pokrewnymi organizacjami i grupami mniejszości narodowych: czarnymi, Indianami, Meksykanami, Latynosami itp.

Listy zawierają głównie prośby o pomoc stowarzyszeń nie posiadających własnych źródeł finansowania. Niektórzy korespondenci prosili o radę w organizacji i zarządzaniu. Wielu sugerowało przeprowadzenie wspólnych akcji bojowych, które przyniosłyby korzyści obu stronom.

Molly Turner była nieugięta i konsekwentnie odmawiała współpracy z jakąkolwiek podziemną organizacją, która przyjęła przemoc jako filozofię swego bytu i działania. Te grupy, zwykle małe i krótko istniejące, angażowały się w niczym nieuzasadnione, bezsensowne zamachy bombowe, morderstwa iporwania dla okupu. Były to grupy anarchizujące, w każdym sensie tego słowa.

Jej odmowy wspierania tajnych organizacji terrorystycznych, uczyniły z niej cel ataków. Członkowie tych grup oskarżali ją o to, że jest narzędziem w rękach władzy, pieskiem kapitalistów, marionetką używaną do bałamucenia i robienia wody z mózgu klasie robotniczej, że nie zajmuje się prawdziwymi problemami klas, ras i nierównego podziału bogactwa w USA.

Najbardziej zjadliwe anonimy przychodziły od niewielkiej grupy terrorystycznej, określającej się jako Grupa Partyzantów Miejskich. FBI podejrzewało to ugrupowanie o kilka zamachów bombowych, napadów na banki i próbę zatrucia ujęć wodnych, dostarczających wodę do Terre Haute, w Indianie.

Ich obelżywe listy zawierały pogróżki pod adresem Molly Turner i świadczyły o niemal historycznej irracjonalności. Ujawniały zazdrość o jej sławę, zdolności organizacyjne i sukcesy, a także o duże zainteresowanie jej osobą środków masowego przekazu.

W prasie komunistycznej postawiono tezę, że te listy spreparowało FBI, by postraszyć Molly Turner i KKO, i zniechęcić ją do nawiązywania współpracy z podziemnymi organizacjami. Niestety, autor tej książki nie odnalazł nawet najmniejszych dowodów potwierdzających te oskarżenia.

4 lipca 1989

— Ta cholerna baba pieprzy mnie — rzekł senator Dundee. — To znaczy, politycznie — dodał pośpiesznie. — Robi wszystko zgodnie z prawem. Nie mogę uwierzyć, że jest taka rozgarnięta. Ona po prostu ma dużo szczęścia.

Wylewał żalę przed Simonem Christie, swoim specem od pisania przemówień. Christie należał do brzuchatych, łysych ex-dziennikarzy, a zajmował się wyglądzaniem oratorskiego stylu senatora.

Siedzieli w biurze senatora Dundee na Kapitolu. Drzwi były zamknięte, klimatyzacja cicho warczała. Senator właśnie zakończył wakacje i obaj mężczyźni spotkali się, by zaplanować i przygotować przemówienia na kolejne trzy miesiące.

— Senatorze — zaczął Christie. — Będzie pan musiał balansować na bardzo cienkiej linii. Nie może pan skrytykować Turner za zniszczenie „Hookera”, a wielu ludzi w tym kraju uważa, że ci czterej gwałciciele dostali to, ha co sobie zasłużyli.

— Cholera jasna — westchnął Dundee z goryczą. — Czyli, jak rozumiem, mogę jedynie powiedzieć, że środki, jakich użyto, są sprzeczne ze wszystkim, co ceni się w tym kraju?

— Właśnie — potwierdził Christie, już trochę zamroczony trzecią szklaneczką burbona.

— Mogę dać przykład tego linczu — powiedział Dundee

buńczucznie.— To prawda, byli gwałcicielami, ale byli osądzeni przez prawo. Prawo zadziało.

— Idiotyczny wyrok — mruknął Christie.

— Jasne, że za mały, ale system zadziało i to jest najważniejsze. Co, u diabła, działałoby się w tym wspaniałym kraju, gdyby każdy ferował wyroki na własną rękę? To byłoby równie złe, jak bezbożny komunizm. Taki właśnie punkt widzenia chcę przedstawić w moim wystąpieniu 4 lipca.

— Jest pan pewien, że chce pan pojechać do Madison?

— Najzupełniej. To miasto niedaleko miejsca, gdzie dokonano zbrodni.

Spodziewam się, że będę miał dobrą prasę. Posłuchaj, Simon, wszyscy mówią mi, że zajeżdżam tę historię na śmierć, ale na Boga mam odwagę głosić moje przekonania! Zamierzam wsadzić krj w mrowisko. Utonę, albo wypłynę.

„To będzie pański pogrzeb”, chciał powiedzieć Simon Christie, ale się powstrzymał.

— Właściwie — rozpoczął Dundee — uważam, że zrobiłem odpowiedni ruch, występując przeciwko Molly Turner i KKO. Szczerze mówiąc chciałem, by rozpoznawali mnie mieszkańcy tego kraju, i to realizuję. Widziałeś ostatnio nioją pozycję w sondażach? Idę w górę, w górę. W górę! Dziś ludzie wiedzą, kim jestem i o co walczę. Słuchaj, Simon, większość tych przemówień chcę wygłosić latem i chciałbym, żebyś je tak skonstruował, by wszystkich zatkało. Przygotuj prawdziwą bombę.

— Dobrze, senatorze — przyrzekł Simon, sięgając po butelkę burbona.

Większość maja i czerwca Dundee spędził w podróży. Na pierwszy ogień poszedł stan, który reprezentował w senacie „żeby się rozejrzeć”, jak to nazwał. Odwiedził kwaterę główną „Głosuj na Dundee'ego”, ścisnął ręce i rozdawał długopisy.

Wystąpił na rozdaniu świadectw maturalnych w liceum i uroczystości nadawania stopni naukowych w collegu. Jadał lunche z sędziami, kolacje z gubernatorami, śniadania z kardynałami. Odwiedzał miasta, miasteczka i wsie. Uczestniczył w piknikach, potańcówkach, weselach i pogrzebach. Był niczym mafijny ojciec chrzestny.

Naprawiał płoty, grał w baseball i rozdawał na prawo i lewo uśmiechy. Lokalni dziennikarze, fotoreporterzy i redaktorzy telewizyjni towarzyszyli mu wszędzie. Jego rzecznicy co godzinę wydawali oświadczenia. Nie zapomniał wpaść do swojego dawnego fryzjera, nawet się u niego ostrzygł. Odwiedził swoją nauczycielkę ze szkoły podstawowej, która teraz przebywała w domu starców.

Oto publiczny wizerunek senatora: jowialny, przystojny, energiczny, równy gość, zawsze gotów do wysłuchania narzekań wyborców i pragnący udzielić im wszelkiej pomocy.

Jadał meksykańskie enchilady, polskie kielbaski i włoskie kotleciki mielone.

Całował dzieci i kobiety w każdym wieku.

Zupełnie prywatnie przeprowadził kilka rozmów z ludźmi, którzy kręcili tym krajem: bankierami, adwokatami, przedsiębiorcami budowlanymi, właścicielami dużych nieruchomości i dwoma braćmi, którzy mieli w swoich rękach sklepy z pornografią, salony masażu, tory wyścigowe i loterie.

Wyniki wszystkich tych rozmów były satysfakcjonujące. Czyniono mu obietnice, przyrzekano fundusze, udzielano poparcia. Poparto pomysł, by odwiedził inne stany i w nich również wygłosił przemówienia. Pracował ciężko, z uwagą słuchał tego, co ludzie mają mu do powiedzenia, uśmiechał się skromnie na słowa „Senatorze, chcemy pana w Białym Domu”.

Nie popełniał gaf, nie stroszył piór. Chwalił przyjaciół i zjednywał sobie niedawnych wrogów. A na jednej z konferencji prasowych, kiedy nachalny dziennikarz dopytywał się „dokąd pan zmierza, senatorze?” — odpowiedział: „Do łazienki” i szybko wyszedł, zostawiając rozbawionych dziennikarzy, pośpiesznie notujących jego ripostę.

W tym okresie w żadnym ze swoich przemówień, na żadnej konferencji prasowej, czy w trakcie wywiadu, senator Dundee nawet słowem nie wspomniał o

Narodowym Sprzysiężeniu Kobiet i jego przewodniczącej, Constance Underwood, ale nigdy nie zapomniał skrytykować Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony.

Wszystko szło jak po maśle, aż do czwartego lipca, kiedy przyjechał do Madison w Wisconsin. To nie była — musiał przyznać — kraina Dundee'ego. Madison to miasto uniwersyteckie i większość wyborców nie podzielała jego poglądów.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył tuż obok sali, w której miał wystąpić, był transparent „Witamy mastodonta Dundee”.

W dodatku samosąd na gwałcicielach w pobliskim St. Charles podzielił miasto na

dwa obozy. Zagorzałe debaty trwały po dzień dzisiejszy. Senatora powitał

przewodniczący miejscowego oddziału stowarzyszenia Młodych Konserwatystów z sugestią, by w swym przemówieniu senator potępił przemoc i lincze.

Znalazła się tu także grupa około dwudziestu osób, które protestowały przed salą, kiedy Dundee i jego ekipa podjechali

limuzyną wynajętą przez gospodarzy. Pikietujący, głównie kobiety, mieli wpięte znaczki KKO.

Na pierwszy rzut oka robili wrażenie rozsądnej, pokojowo usposobionej grupy, nie poza okrzykami i gwizdami, nawet nie przeszkadzali Dundee'emu w wejściu na salę. Demonstrantów obserwoowało pięciu umundurowanych policjantów.

To nie było ogólnodostępne zebranie. Goście otrzymali zaproszenia i przy wejściu musieli je okazać. Dundee wprawnym spojrzeniem obrzuca audytorium.

Oszacował, że w spotkaniu uczestniczy około 300 osób. Niewielki tłumek, ale z zadowoleniem zauważył obecność kilku dziennikarzy i kamery telewizyjne.

-Mimo środków ostrożności przedsięwziętych, by wyselekcjonować słuchaczy, natychmiast stało się widoczne, że nie wszyscy obecni sympatyzują z poglądami Dundee'ego i nie wszyscy mają ochotę wysłuchiwać tego, co senator ma do powiedzenia. Kiedy go przedstawiono i kiedy wkroczył na podium, kilkoro uczestników spotkania wstało i odwróciło się do niego plecami. Stali w tej pozycji przez całe jego wystąpienie.

Pierwsze słowa senatora utonęły w krzykach i wrzaskach dochodzących z holu. Rozwinęto i trzymano transparent „Dundee nienawidzi kobiet”. W górze pojawiły się zaciśnięte pięści, a jednego mężczyznę i dwie kobiety, zanadto hałasujących, strażnicy wywlekli z holu.

JCiedy wszystko ucichło, senator kontynuował swoje przemówienie. Powiedział, że jest szczęśliwy, mogąc przed nimi wystąpić, chociaż jego poglądy mogą się niektórym słuchaczom nie podobać.

— Prawo do wolności słowa — rzekł — to wspaniała tradycja, którą musimy ochraniać, jeżeli cenimy sobie wolność jako taką.

Mówił o Konstytucji; jak rewolucyjną była ustawą, kiedy ją uchwalano, i jak przez te wszystkie lata stała się ważną częścią prawa.

— I dlatego prawo musi być zawsze przestrzegane — stwierdził.—Prawo jest parasolem, który ochrania nas wszystkich. Nie szanując prawa stajemy się barbarzyńcami skazanymi na morze przemocy, krwi i niepotrzebnej śmierci. Przerwano mu oklaskami.

— Ostatnie wydarzenia niedaleko miejsca, w którym się spotykamy — ciągnął — są przykładem tego, co się dzieje, kiedy ludzie kierując się nawet dobrymi intencjami, biorą sprawiedliwość w swoje ręce i ignorują majestat prawa. Ale

przemoc rodzi przemoc — grzmiał. — A ten, kto mieczem wojuje, od miecza ginie. W tym miejscu również rozległy się brawa.

Teraz nawiązał do Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony:

— To, w jaki sposób one działają — stwierdził surowo — jest niczym więcej niż tylko zwykłą anarchią. Nie wątpię w dobre intencje członkiń Kobięcych Korpusów Obrony i ich przywódczyni Molly Turner. Jestem przekonany, że ich krzywdy są prawdziwe, ale droga do równości, której poszukują, jest niekiedy wyboista, do tego stopnia, że postępy można niekiedy mierzyć tylko w calach. Ale ja mówię im, że krwawa droga, którą obrały, jest nieskończenie gorsza. Do tych słuchaczy, którzy odwrócili się do mnie plecami, chcę powiedzieć: Molly Turner i KKO odwróciły się plecami do naszych najlepszych tradycji i ideałów, o które walczyli i za które umierali prawdziwi amerykańscy patrioci.

Kontynuował w tym stylu przez następne dziesięć minut. Przerывano mu kilka razy gorącymi oklaskami. Zakończył mówiąc:

— Ostrzegam kobiety, wszystkie kobiety, wszędzie, nie znajdziecie wyzwolenia strzelając z rewolwerów. Zamiast tego wzbudzicie wrogość i niechęć wszystkich praworządnych Amerykanów. Przez takie działanie jedynie pogrzebiecie szansę na zrealizowanie swoich celów. Wasza przemoc obudzi wrogość i gniew wśród obywateli tego wspaniałego narodu. Wzbudzi żądania, by rząd wszelkimi możliwymi sposobami położył kres strzelaninie, zamachom bombowym i samosądom.

— Mówię wam, że wojna, którą rozpoczęłyście, nie przyniesie wam zwycięstwa. Nie wygracie jej.

Na tym zakończył swoje wystąpienie. Otrzymał rzesiste brawa. Wielu ludzi pośpieszyło ku podium, by uścisnąć mu dłoń i poprosić o autograf. Thomas J. Kealy, Simon Christie i inni członkowie jego sztabu otoczyli go, i cała grupa powoli zaczęła przesuwać się-w kierunku wyjścia.

Przed salą tłum protestujących urósł do pięćdziesięciu osób, a liczba policjantów pozostała ta sama. Policjanci nie byli już w stanie upilnować demonstrantów, których nastrój zmio nił się we wrogi.

Kiedy Dundee pojawił się w holu, tłum pikietujących zafalował w jego stronę, wykrzykując obraźliwe słowa i wymachując proporczykami. W powietrzu fruwały jaja; jedno uderzyło Dundee'ego w ramię i rozprysnęło się na jego piersi. Gliny przedzierały się przez tłum w stronę senatora.

W końcu, popychany i ciągnięty, wepchnięty został do czekającej limuzyny. Jego współpracownicy wskoczyli za nim, drzwi samochodu zablokowano od wewnątrz i auto powoli ruszyło przez tłum. Pięści pikietujących waliły w dach samochodu. Niektórzy demonstranci trzymali w rękach kamienie i butelki.

Poblądły senator spojrział przez tylną szybę.

— Czy fotoreporterzy zrobili zdjęcia? — dopytywał się. — Czy kamery telewizyjne to kręciły?

Odleciał do Waszyngtonu. Piątego lipca spotkał się w swoim biurze z Jake Spencerem. Opowiedział mu o tym, co się wydarzyło. .

— Nigdy nie widziałem potrzeby zatrudniania ochrony osobistej — rzekł rozdrażniony. — Teraz uznałem to za konieczne. Chcę faceta, który zawsze będzie mnie chronił. Uzbrojonego faceta. I jednego albo dwóch, kiedy przemawiam. Potrzebuję człowieka, który zna się na tej robocie i potrafi współpracować z miejscowymi ochroniarzami, człowieka, który będzie sprawdzał, czy oni dobrze wykonują swoją robotę. Czy znasz kogoś, kto by się do tego nadawał? Możesz kogoś polecić?

— Jasne — odpowiedział bez wahania Spencer. — Siebie. I w ten oto sposób Jake został osobistym gorylem senatora.

Nie dlatego, żeby pensja była imponująca, ale Jake przestudiował uważnie mały, czarny notes Billa McCrei i znalazł w nim nazwisko Thomasa J. Kealy i Constance Underwood oraz kwoty, jakie mu płacili za te przyjemności.

Spencer starał się trzymać jak najbliżej prezydenckiej kampanii Dundee'ego. Czuł w tym duże pieniądze.

17 sierpnia 1989

— Czy twoim szefem jest senator Dundee? — zapytał Lyle Hayden z niewinnym uśmiechem.

Ruth Blohm potakująco skinęła głową.

— Czy będzie się ubiegał o prezydenturę?

— Rozważa taką możliwość — powiedziała ostrożnie. Hayden głaskał swoją blond brodę i wąsy.

— Czy on uważa, że zostanie wybrany dzięki walce przeciwko Molly Turner?

— Musiał zrobić wszystko, żeby wyborcy w całym kraju

poznali go jako polityka i to mu się udało. Masz coś przeciwko temu?

— Nie. Nie mam nic do zarzucenia jego strategii— stwierdza Hayden. — Martwi mnie jego taktyka. Poziom retoryki, jaki stosuje, uważam za ryzykowny. W tym wystąpieniu w Madison praktycznie ogłosił wojnę przeciwko KKO.

— Mnie nie martwi jego retoryka, ale przemoc. W Madison obrzucano go jajami. Następnym razem ktoś może podłożyć bombę.

Hayden przyleciał z Atlanty z grubą walizką notatek, dokumentów, obliczeń, wykresów. Blohm odebrała go z lotniska i przywiozła swoją poobijaną toyotą do domu w Arlington. Teraz oboje siedzieli przy stoliku, na którym stały szklanki z zimną lemoniadą.

Zdezelowany wiatraczek hałasował i warczał.

Erie Blohm, jak zwykle, siedział przy składanym stoliku i pracował nad problemem szachowym. Jeżeli nawet przysłuchiwał się ich rozmowie, nie okazywał tego.

— Cóż... — zaczął Lyle otwierając walizkę. — Interesujące zadanie postawiłaś przede mną. Zafascynowało mnie, muszę przyznać. Uważam je za wykonalne.

— To tylko rozszerzenie pracy, jaką wykonywałaś wobec sędziów przysięgłych.

— Właśnie. Z jedną dodatkową sztuczką, która daje wyobrażenie o rozszerzeniu zakresu badań. To znaczy, rzeczywiście rozszerzy gamę moich technik, jeżeli będę mógł je wypróbować. Ale są problemy, Ruth, tak jak przewidywałaś. Po pierwsze, nie istnieje możliwość, by poddać analizie cały okręg wyborczy, dzielnicę, obwód i tak dalej. Zbyt wielu ludzi, zbyt wiele czasu to by zajęło, nie mówiąc o kosztach. A teraz pokażę ci, co miałem na myśli, mówiąc o zastosowaniu sztuczki.

Przerwał, a ona czekała w milczeniu.

— Losowo dobrana próbka reprezentatywna okręgu, odpowiednio ważona, powinna dać nam odpowiedź dla całych okręgów wyborczych z plus minus trzyprocentowym błędem.

— Próbka ważona — westchnęła. — Lyle, jesteś genialny.

— To wiem — przyznał poważnie. — Musimy zacząć od tego, że kandydat wybiera okręg — albo taki, którego jest pewien, albo wahający się. Wtedy ja zabiorę się do roboty. Wybiorę próbkę losową i na niej przeprowadzę pogłębioną analizę. Szacuję, że będę musiał wziąć pod uwagę dziesięć do dwudziestu jednostek.

Erie Blohm uniósł głowę znad szachownicy.

— Jednostek? — zapytał.

— Ludzi, sir. Pojedyncze osoby. Po wybraniu losowo próbki z listy wyborców zastosuję tę moją sztuczkę. Połączenia między nimi będą ważone. Wiek, płeć, rasa, przychody, wykształcenie i tysiąc innych czynników. Tylko komputer jest w stanie zrobić coś takiego. Napisałem program eksperymentalny. Ruth, uważam, że to może się udać.

— Wiedziałam, że to możliwe! To rzeczywiście bomba! — wykrzyknęła.

— Jeżeli zadziała. Pamiętasz, rozmawialiśmy o technice eksperymentalnej, może nam się uda przekonać niektórych polityków, by zaryzykowali. Mogę ci już dziś powiedzieć, że to będą kosztowne badania. Uważasz, że Dundee się na nie zdecyduje?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

— Słuchaj — kontynuował. — Przedstawię kosztorys. Ile potrzeba pieniędzy na przeszkolenie ankietatorów, by nie było przekłamań w ankietach. Program opracowałem za darmo. Trzeba jednak opłacić czas pracy komputera, zapłacić ankietantom, mnie, no i moja firma musi mieć jakieś zyski, choćby niewielkie.

— Lyler czy możesz zostawić mi twoją dokumentację? Przejrzę ją i zobaczę, czy uda mi się ją wykorzystać.

— Nie ma sprawy, nie oczekiwałem natychmiastowej odpowiedzi. — Zaczął zbierać papiery ze stolika, a Ruth naląła mu kolejną szklanę lemoniady.

— Młody człowieku! — zawołał Erie Blohm. Hayden odwrócił się w jego stronę.

— Słucham pana.

— Grasz w szachy?

— Tak.

— A jesteś dobry?

Hayden pogładził swoje blond wąsy i uśmiechnął się do starszego mężczyzny.

— Tak, jestem.

Skinieniem ręki Blohm zaprosił go do stolika szachowego.

— Zobaczmy, zobaczymy — mruknął.

Ich pierwsza partia zakończyła się po dwóch godzinach i czternastu minutach. Lyle Hayden mówił prawdę; był dobry, ale przegrał.

Wieczorem Ruth podała kolację: zimnego łososia, sałatkę i butelkę chłodnego chablis. Z rozbawieniem słuchała, Jak dwaj mężczyźni na okrągło analizują grę. Gdybyś zrobił ta kio posunięcie... gdybyś zrobił taki ruch...

Cieszyło ją, że się polubili.

Odwiozła Haydena na lotnisko. Po drodze odkryli, że mają wiele wspólnego. Oboje lubią chili, nienawidzą kotów, a muzyka elektroniczna nie robi na nich wrażenia.

Zanim wysiadł z toyoty, powiedział:

— Dzięki, Ruth. To był cudowny dzień.

— Przyjedź znów i zostań na dłużej.

Nagle pochylił się i pocałował ją w policzek. To było miłe.

Wracając do domu, zastanawiała się, w jaki sposób przekonać Dundee'ego, by sfinansował badania Haydena. Prawie dojeżdżała do domu, kiedy wpadł jej do głowy pomysł, który miał szansę powodzenia.

Dundee był senatorem-seniorem ze swojego stanu. Senator-junior, także z partii Dundee'ego, startował ponownie w wyborach w 1990 roku. Istniała szansa, co prawda niewielka, że uda jej się przekonać obu polityków, aby podzielili się kosztami na przebadanie jednego obwodu wyborczego, aby przetestować pomysł Lyle'a.

Jeżeli nowa technika nie zadziała, cóż... z powrotem do wykresów, ale jeżeli się sprawdzi, zaprowadzi Lemuela K. Dundee do Owalnego Gabinetu, a Ruth Blohm zostanie okrzyknięta geniuszem inżynierii politycznej.

Nie, nie Ruth Blohm. Pani Ruth Hayden — roześmiała się głośno. To była podniecająca myśl.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał ojciec, kiedy weszła do domu.

— Z niczego.

— Był zadowolony?

— Chyba tak. Co o nim sądzisz?

— Jest O.K. — mruknął Erie Blohm.

— Czy jest dobrym szachistą?

— Nie za bardzo, zbyt się podnieca przy grze. Nigdy nie wiedziała, kiedy z niej żartuje.

15 września 1989

Pułk Kentucky, który miał główną siedzibę w Lexington, był powszechnie znany z najbardziej wyszkolonego w musztrze oddziału KKO. W każdy piątek wieczorem siostry ćwiczyły i paradowały. Był to miły dla oka pokaz.

Pokazy musztry odbywały się w oświetlonym parku publicznym za zgodą władz miejskich. Te precyzyjne manewry

obserwowało wielu widzów, którzy siadali na trybunach odgradzających białą linią boisko, na którym odbywały się ćwiczenia.

Pod koniec lipca dowódczym pułku Kentucky, młoda czarna kobieta, Lucille Jackson, przyjechała do Canton, by poinformować o sprawie. Spotkała się z Molly, Ann i Rodem Hardingami i Todhunterem Clarkiem w domu przy Hillcrest Avenue.

— Od ostatnich trzech czy czterech piątków — zaczęła — na nasze parady przychodzi coraz więcej chuliganów. Ci faceci to zwykle prymitywy. Jest wśród nich kilku motocyklistów, no wiecie, tych w czarnych kretańskich skórzanych kurtkach, a reszta to pajace chcący się zabawić.

— Ilu ich jest? — spytała Molly.

— W ostatni piątek było ich około dwudziestu. Nie siadają na trybunach, jak reszta ludzi, ale podchodzą jak najbliżej placu ćwiczeń. Wielu z nich jest na gazie i na dodatek przynoszą ze sobą puszki piwa. Rozlewają je w czasie musztry. Uważają za zabawne rzucanie pustych puszek pod nogi sióstr. Wykrzykują sprośne, komendy. Czasami wtaczają się na plac ćwiczeń tylko po to, by pomieszać nam szyki.

— Skurwiele — mruknęła gniewnie Molly.

— W jakim są wieku? — zapytał Rod.

— Mhm... od szesnastu do trzydziestu lat — powiedziała Lucille. — Mam dość sióstr, żeby się z nimi rozprawić. Kilku oberwałoby i po krzyku. Ale byłoby zbyt wielu świadków, więc doszłam do wniosku, że nie można narażać żadnej z sióstr na aresztowanie tylko za danie nauczki tym chuliganom.

— Masz rację — stwierdziła Ann. — Powinniśmy znaleźć lepszy sposób na rozwiązanie tego problemu.

— Słuchajcie — Brat Nabisco patrzył na pułkownik Jackson z podziwem. — Pani siostry mogłyby zostać rozpoznane, ale gdyby tak wysłać oddziały z Zachodniej Wirginii? W Lexington nikt ich nie rozpozna. Mogą złoić skórę tym prostakom, wskoczyć do samochodów i znaleźć się w Canton, zanim ktokolwiek pomyśli o zawiadomieniu policji i aresztowaniach.

— Właśnie o czymś takim myślałam — przyznała Lucille, spoglądając na niego z wdzięcznością.

— Więc tak zrobimy — stwierdziła Molly zdecydowanie. — Zorganizujemy oddział specjalny. Rod, ty i Clark pojedziecie do Lexington w następny piątek na rekonesans i wszystko obejrzyecie. Nakreślicie mapę, potem opracujemy taktykę i szczegóły akcji.

Harding i Brat Nabisco wykonali rozkazy. WróciJJ z odręcz-

na mapę, na której nanieśli drogi dochodzące do parku, położenie placu ćwiczeń, rozlokowanie trybun i miejsce, które zajmowali chuligani.

— Lucille nie przesadzała — mówił Harding. — Ci faceci szukają rozrywki i zaczepki. Pewnego wieczora wjadą na boisko na motocyklach.

— To najgorsze szumowiny — dodał Clark. — Nie ma co do tego wątpliwości.

— De sióstr będzie potrzebnych? — spytała Molly.

— Uważam, że czterdzieści wystarczy — stwierdził Rod. — Ta liczba da nam przewagę dwóch do jednego. Moll, do tego nie potrzebna będzie broń; kije baseballowe, gumowe pałki, trzonki siekier powinny wystarczyć.

— Tak sądzisz?

— Tak — rzekł zdecydowanie. — Żadnej broni palnej.

Molly ogłosiła wśród sióstr z Zachodniej Wirginii ochotniczy nabór do tego zadania. Nie miała żadnych problemów ze skompletowaniem oddziału. Ochotniczki podzielono na cztery drużyny, którymi dowodziły dwie siostry w stopniu poruczników i dwie w randze sierżantów. Molly uparła się, by osobiście dowodzić akcją.

— Możesz zostać rozpoznana — ostrzegła ją Ann.

— I co z tego? — wzruszyła ramionami; — Nie mogę prosić sióstr, żeby się narażały, kiedy ja będę siedziała w domu.

Ann zajęła się planowaniem wypadu: przygotowaniem transportu, skompletowaniem uzbrojenia i zorganizowaniem pierwszej pomocy. Ustaliła czas wejścia drużyn do parku w Lexington; krótko po rozpoczęciu parady w piątkowe popołudnie.

Tymczasem Molly, Harding i Clark zajęli się przeszkoleniem żołnierzy. Zrobiono odbitki map. Każda z uczestniczek zapoznała się z terenem działań i możliwymi drogami ucieczki. Byli przekonani, że nic nie pozostawiono przypadkowi.

— Idę z tobą, Moll — stwierdził Harding.

- Sądzisz, że sama sobie nie poradzę? — spytała ze złością.

— Ależ poradzisz sobie — zapewnił. — Po prostu chcę zobaczyć, jak działasz w polu. Nie mam zamiaru się wtrącać, będę tylko obserwował.

— No dobrze... zgoda — powiedziała w końcu. — Usiądziesz gdzieś z boku.

Powiedz Clarkowi, żeby został tego wieczora z Ann. Ona trochę wariuje, kiedy jej starsza siostra rusza do boju. Zatelefonuję do nich zaraz po akcji.

Do piętnastego września wszystko zostało zapięte na ostatni

guzik. Molly Turner nalegała, by ona i Harding wyjechać z Canton w południe.
— Dlaczego tak wcześnie? — zaprotestował. — Co zrobimy z taką ilością czasu?
Ale ona uparła się, więc wyjechali buickiem regalem Hardinga na długo przed pozostałymi uczestniczkami akcji. Po drodze zatrzymali się tylko raz, na hamburgera i colę. Przybyli do Lexington kilka minut po czwartej. Molly kazała mu zatrzymać się przy kwiaciarni.

Weszła do sklepu i kupiła niewielki bukiet herbacianych róż. Wróciła do samochodu i wskazała na kwiaty.

— To były jej ulubione — rzekła. Dopiero teraz zrozumiał.

— W porządku, Moll, wiesz, jak dojechać na cmentarz?

Pokazała mu drogę, a kiedy znaleźli się na miejscu, poprosiła, żeby został w aucie. Odnalazła mogiłę z małym granitowym nagrobkiem, na którym widniała inskrypcja „Norma Jane Laughlin, 1949—1987”. Za ten nagrobek zapłaciło Narodowe Sprzysiężenie Kobiet. Chciano na nim umieścić poetyckie strofy, ale Molly się nie zgodziła.

— To nie była damulka — powiedziała twardo. — Sentymentalne gówna tylko by ją zirytowały. Wystarczą te proste słowa.

Uklękła przy grobie, oczyściła go trochę, wyrwała zielsko, uprzątnęła zwiedły bukiet stokrotek, który ktoś pozostawił. Potem ostrożnie, tuż przy kamieniu położyła róże, tak aby nie porzrzucał ich wiatr.

Pozostała na klęczkach z opuszczoną głową. Nie pamiętała, jak należy się modlić — czy kiedykolwiek to potrafiła? Myślała o czasach, kiedy była z Normą Jane, o ich ogromnym szczęściu. Norma Jane była cudownym lustrem, które pokazywało Molly Turner, jaka ona sama może być.

W końcu wstała i wróciła do samochodu. Rod Harding siedział wygodnie rozparty i palił fajkę.

— Załatwione? — spytał. Skinęła potakująco głową.

— Jesteś głodna?

— Nie. Zjemy w drodze powrotnej.

— Więc teraz do parku. Chcę, żebyś obejrzała to miejsce. Mapy są niezłe, ale nic nie zastąpi osobistego poznania terenu.

— Mówiłeś to już przedtem.

— I co z tego? — Chciał rozwiązać jej trewę przed akcją. Plac ćwiczeń okazał się właściwie dużym boiskiem podzielonym na cztery strefy do baseballu. Znajdowały się przy

nim dwie drewniane trybuny, przy pierwszej i trzeciej bazie boiska głównego. Za trybuną przy pierwszej bazie wznosiło się niewielkie wzgórze, którego szczyt porastał sosnowy zagajnik. W piątkowe popołudnie widzowie siadali na tej trybunie.

Za trybunami, przy trzeciej bazie, ziemia nieznacznie opadała w kierunku drogi dochodzącej do parku. Już dawno nie padało, grunt był więc twardy, a letnia trawa pożółkła.

Chuligani zwykle zbierali się na skraju placu, przy trybunach trzeciej bazy. Swoje motocykle i furgonetki zostawili na drodze dojazdowej.

Plan zakładał atak trzech drużyn właśnie od tej strony, od drogi dojazdowej, czwarta miała pozostać w odwodzie. Zadaniem tych trzech drużyn było oskrzydlenie prostaków, poruszając się powoli, by uniemożliwić ucieczkę z okrażenia.

Założono, że chuligani mogą rzucić się do ucieczki na boisko, ale liczone, że po początkowej panice podejmą walkę.

— Będą walczyć — stwierdziła Molly Turner. — Ci faceci uważają się za prawdziwych mężczyzn, będą się wstydzili uciekać.

Siostry KKO przybyłe z Zachodniej Wirginii zaparkowały swoje samochody osobowe i furgonetki na szerokim placu nieopodal pola ćwiczeń. Pojedynczo, dwójkami, albo trójkami, ruszyły przez park, trzymając broń w ukryciu.

Molly Turner spacerowała pozornie bez celu za trybuną przy trzeciej bazie. Starła się zająć dogodną pozycję do poprowadzenia ataku. Rod Harding usiadł na pagórku za trybuną pierwszej bazy. Plecami oparł się o pień sosny. Miał doskonały widok na całą scenę akcji.

Widzowie zajęli miejsca na trybunie przy pierwszej bazie. Wkrótce oddział ćwiczący musztrę pojawił się na boisku. Wszystkie siostry ubrane były w jednakowe mundury KKO. Dowódczyni wykrzykiwały komendy. Oddział podzielił się na trzy plutony i rozpoczęła się musztra.

W tym czasie z krzykiem i wrzaskiem pojawili się chuligani. Śmiali się ochryple i hałaśliwie. Kilku usiadło przy linii trzeciej bazy, inni stali i wykrzykiwali obraźliwe słowa do paradujących kobiet.

Harding spojrzął na zegarek. Jeszcze tylko dwie minuty. Wstał, żeby lepiej widzieć. Nagle w parku zaroilo się od glin. Przynajmniej trzydziestu policjantów w kaskach, z plastikowymi osłonami na twarzach, z pałkami w rękach, podążało między drzewami w stronę boiska. Ominęli Hardinga, ruszając w dół, by zająć pozycje przy podpitych awanturnikach. Policjanci co rusz spoglądali w stronę drogi dojazdowej.

Zaszokowany Harding natychmiast zrozumiał, co się stało. Widział oddział z Zachodniej Wirginii ruszający do ataku. Wtem siostry zauważyły czekających na nie gliniarzy. Kobiety rozciągnięte w linię zawahały się i zatrzymały. Dwie siły w milczeniu stały naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

— Jezu! — krzyknął Harding i zaczął zbiegać ze wzgórza. Pędza jak oszalały. Sądził, że Molly Turner powstrzyma swój gniew i ma dość zdrowego rozsądku, by wycofać żołnierzy.

W tym czasie Todhunter Clark przyszedł do domu Hardingów w Canton na obiad oraz dotrzymywać towarzystwa Ann i małemu Jeffowi. Wspólnie oczekiwali na powrót uczestników akcji w Lexington.

Siedzieli w kuchni. Ann zajęła się obiadem. - Przygotowała mielone kotleciki w sosie pomidorowym, tłuczone ziemniaki i zielony groszek. Tod założył Jeffowi śliniak, posadził go na wysokim krzeselku przy stole i karmił musm z jabłek.

— No, dalej, dzieciaku. Zjedz tę wspaniałą papkę. Wie pani, zastanawiałem się pewnego dnia i doszedłem do wniosku, że nigdy nie słyszałem tego jegomościa płaczącego, a pani?

— Tylko raz — uśmiechnęła się. — Spadł i nabił sobie guza. To było jeden, jedyny raz i nie trwało długo. Nigdy nie płakał, nawet kiedy ząbkował.

— Bohater z niego — mruknął Clark z podziwem. — I z pewnością kocha jedzonko. Zmiata wszystko.

— Daj mu ciasteczko, niech sobie pozuje. To na dziś wszystko dla niego.

Brat Nabisco oparł się na krześle i obserwował dziecko zajadle atakujące ciastko.

— Jak dorośnie, będzie z niego wspaniały piłkarz — stwierdził. — Jego tata jest duży.

— Ja też nie jestem kruszynką — roześmiała się Ann. — Doktor uważa, że jest ogromnym chłopakiem jak na jego piętnaście miesięcy.

— Być może zostanie łapaczem. — Clark skinął głową. — Do tego by się najbardziej nadawał.

Ann podała do stołu i otworzyła dwie butelki piwa. Nałożyli jedzenie na talerze. Tod skosztował i przewrócił oczami z zachwytem.

— O Boże — jęknął. — Ależ to wspaniałe. Teraz rozumiem, dlaczego Jeff waży więcej niż powinien. Pochłania pani wyroby kulinarne prawie jak ja.

— Dzięki, ale Jeff dostaje najczęściej jedzenie z puszek. Czasami czuję się winna z tego powodu. Lubię gotować, ale niestety nie mam czasu.

— Wydaje mi się, że jemu to nie przeszkadza.

— Dzwoniłeś do niej, Tod? — spytała Ann pochylona nad talerzem.

— Do kogo?

— Wiesz, o kim mówię, o Lucille Jackson.

— Dlaczego powinienem do niej zatelefonować? Ann podniosła wesołe oczy i spojrzała na niego.

— Widziałam, w jaki sposób patrzycie na siebie. Tylko mi nie mów, że między wami nic nie ma.

Parsknął śmiechem.

— Nie pomyliła się pani, pani Ann. Cóż... muszę przyznać, że podziwiam pułkownik Jackson. Uważam, że to wspaniała kobieta.

— Jest bardzo ładna.

— Ale jak na mnie patrzy, nie wiem.

— To ci powiem — Ann uśmiechnęła się. — Podobasz się jej, a ona nie ma męża, ani narzeczonego i za nikim się nie ogląda. Ma dobrą pracę, jest nauczycielką.

— Skąd pani wie to wszystko?

— Po prostu ją zapytałam — zachichotała Ann.

— I sądzi pani, że powinienem do niej zadzwonić?

— Tak. Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje.

— Powiem jej, że muszę być w Lex w interesach KKO i byłoby miło, gdybyśmy mogli razem wypić drinka.

— Nie. Tego jej nie mów. Żadna kobieta nie lubi być dodatkiem do interesów. Bądź szczery i powiedz, że chciałbyś ją zaprosić na obiad i będziesz szczęśliwy, jeżeli ona się zgodzi, żebyś przyjechał do Lexington.

— Wie pani, chyba tak właśnie zrobię.

Po obiedzie pozmywali naczynia, posprząтали kuchnię i przenieśli się do bawialni. Clark usiadł na podłodze i zaczął z Jeffem budować domki z klocków. Ann stanęła przy stoliku, na którym był telefon, i ęo kilka minut spoglądała na zegarek.

— Niech się pani tak nie denerwuje — uspokajał ją Brat Nabisco. — Zatelefonuj tak szybko, jak będą mogli.

— Robi się późno, już dawno powinni dzwonić. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało.

— Pani mężulek to najbardziej łośki facet, jakiego spotkałem. Wie, co robi.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Clark włożył Jeffa do łóżeczka. Małec zasnął po dwóch minutach. Ann poszła do kuchni i wróciła z butelką kalifornijskiej brandy. Popijali wolno, spoglądając na milczący aparat. Czekali.

— Czuję, że stało się coś złego — powiedziała w końcu Ann.

— Nie będę pani oszukiwał, Ann, też mam takie przeczucie — westchnął Clark. — Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, już byśmy o tym wiedzieli.

— Sądziś, że powinnam zatelefonować do Lucille Jackson?

— Tak, niech pani dzwoni.

Ann wykręciła numer, ale po drugiej stronie nikt nie podniósł słuchawki. Znowu czekali, patrząc na śpiącego Jeffersona Turnera Hardinga. Marzyli, aby mieć tylko jego kłopoty.

Tuż przed 23⁰⁰ rozległ się przeraźliwy dźwięk telefonu. Ann złapała słuchawkę.

— Halo. Rod? Co się stało? Jesteśmy... Kiedy?... O Boże... Tak... tak... Są jakieś ofiary?... Bogu dzięki za to... Jak Molly to przyjęła?... Jasne... Tak, kochanie... Jedliście coś?... Dużo jedzenia dla was obojga... W porządku. Wracajcie...

— Proszę pozwolić mi z nim pogadać, Ann.

— Chwileczkę, Rod, nie rozłączaj się. Tod chce z tobą porozmawiać. Podała słuchawkę Clarkowi.

— Rod? Co się stało?... Cholera... Czekali na was? No... no... Wiesz, co to oznacza, co? Och, człowieku. Mamy robotę... Rozejrzę się, zanim wrócisz. Taaa, cóż, to plus... spokojnie, stary.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Anin.

— Wykręcono nam numer — zaczął. — Ktoś nas sprzedał glinom. Skurwysyn. Proszę wybaczyć mi to słowo.

— Słyszałam gorsze — mruknęła — ale ta sprawa przyniosła jeden dobry skutek. Rod mówi, że była wielka awantura na komendzie. W końcu obiecano, że od dziś parku strzec będzie policja, kiedy siostry będą ćwiczyć musztrę. Żadnych strat, nikt nie został aresztowany ani ranny. Wszystko skończyło się dobrze.

— Taaak... z wyjątkiem tego, że ktoś zdradził. To nie jest dobrze. Musimy znaleźć zdrajcę, inaczej siedzimy po uszy w gównie.

— Jak to zrobimy?

— Cóż, to trochę skomplikowane. Zrobi pani listę wszystkich osób, które znały szczegóły tej akcji. Później przyjrzy się pani dokładnie każdemu z tej listy i w sekrecie powie mu o szczegółach jakiejś innej, fałszywej. Musi pani sprawdzić, czy gliny zareagują. Jeżeli nie, podejrzany jest czysty, ale je-

żeli gliny pojawią się, będzie pani pewna, że znalazła pani tego skurwiela.

— Mój. Boże, Tod, to zabierze dużo czasu.

— Gdzież tam. Kilka razy rriieliśniy podobne sytuacje w Wietnamie.

Zaoszczędziliśmy wiele czasu, łącząc podejrzanych w grupki po trzy lub cztery osoby. Każda grupa otrzymała sfigowany plan akcji. Z jednej były przecieki, więc wzięliśmy ją pod lupę i znaleźliśmy faceta, który zdradził.

— Co Z nim zrobiliście?

Spojrzał na nią, a ona opuściła oczy.

— Nienawidzę czegoś takiego — powiedziała cicho. — Nienawidzę. Dobrze, że policja przyrzekła ochraniać siostry na boisku. Być może od tego powinniśmy zacząć. Pójść na policję, zamiast od razu przeprowadzić akcję z użyciem przemocy.

— Być może, ale prawdopodobnie nie ruszyliby się, gdyby nie groźba przemocy. *

— Są lepsze sposoby rozwiązywania takich spraw.

— Jeżeli pani w ten sposób czuje, to jak może pani robić to, co robi? Przecież w praktyce to pani właśnie kieruje tym bałaganem.

— To jest to, czego chce Molly — stwierdziła krótko. — Ona dowodzi przez całe moje życie. Ona przewodzi, a ja idę za nią.

Todhunter Clark nie skomentował jej słów. Nalał po kolejnej porcji brandy.

Stopniowo odprężyli się. Jeff przebudził się, ziewnął, wstał i kiwając się, śmiał się do nich.

— Pani Ann — Brat Nabisco spojrzał czule na dziecko. — Jeżeli jest coś, co mogę dla pani zrobić i dla małego Jeffa, proszę mi tylko powiedzieć.

— Dzięki, Tod — powiedziała cicho. — Być może pewnego dnia skorzystam z twojej propozycji.

— Zrobię dla pani wszystko, Ann...

Ann Harding mruknęła coś przez ściśnięte gardło, podeszła do łóżeczka i wzięła Jeffa na rękę.

— Tod, uważasz, że powinniśmy mu kupić psa?

— Nie, ja będę jego psem.

7 października 1989

Thomas J. Kealy znajdował się w sypialni w domu w Alexandrii. Pakował małą podręczną walizkę.

— Och, Dori — zaczął ze smutkiem. — Tak mi przykro, że zostawiam cię samą na weekend.

— Tommy, pracujesz zbyt ciężko.

— To prawda — stwierdził. — Ale senator już rozpoczął kampanię, więc wszyscy musimy wziąć się do roboty. Zaprosił czterech czy pięciu najważniejszych współpracowników do swojego letniego domku w Chesapeake Bay. Mamy nadzieję odwalić kawał porządnej roboty.

— Kiedy wrócisz do domu, Tommy?

— W niedzielę wieczorem. Jeżeli zrobi się późno, przenocuję w Georgetown. Zadzwoń do ciebie.

Był wczesny sobotni poranek. Teodora Kealy miała jeszcze na sobie swoją dzieciinną piżamę w małe pączki róż. Batyst był na tyle przezroczysty, że Tom z łatwością widział jej wciąż duże i kształtne piersi. To dla nich ożenił się z Dori.

Z przelotnym uczuciem żalu uświadomił sobie, że to, co kiedyś wydawało mu się doskonałością; teraz okazało się wulgarną prostotą. Musiał przyznać, że jego poczucie smaku zmieniło się. Stało się bardziej subtelne, bardziej wyrafinowane, tak jak małe cyncuszki Constance Underwood. Teraz w nich widział doskonałe piękno.

— Cy ty mnie jeszcze kochasz, Tommy? — spytała jego żona. Wspięła się na palce i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Oczywiście, że cię Kocham — przytulił ją. Czuł ciepło jej ciała, zapach słodkich perfum, które jeszcze do końca nie wywietrzały. Przez moment miał na nią ochotę, ale uwolnił się z jej objęć i zapytał:

— Wybierasz się dziś na przyjęcie do Burków?

— Psypuscam, że tak.

— Przepróż w moim imieniu Eddiego, że nie mogę przyjść. Powiedz mu, że to polityka. On zrozumie.

— Polityka! — wybuchnęła. — Piepsona polityka.

— Dori! — wykrzyknął zgorzony.

Przyjechał do Waszyngtonu, zostawił swój samochód w garażu w Georgetown. Wziął ze sobą walizeczkę i wszedł do mieszkania. Spoglądając przez okno, czekał na Constance Underwood. Po dwudziestu minutach pojawiła się w swoim jaskrawoczerwonym jaguarze.

— Co to ma znaczyć? — spytała, przyglądając mu się badawczo. — Czy zawsze ubierasz się, jak właściciel zakładu pogrzebowego? Na litość boską, przecież jedziemy za miasto.

— Mam sportową marynarkę i odpowiednie spodnie w walizce — zdenerwował się. — Jestem przygotowany na ten wypad.

— Zdejmij te cholerne okulary — mruknęła pogardliwie. Przyrzekł sobie w duchu, odpłacić jej za te złośliwości.

Zawsze to sobie przyrzekał.

Był inteligentnym facetem, nie bardziej okłamującym samego siebie niż wielu z nas. Ale nie mógł, po prostu nie mógł zrozumieć swojej uległości w stosunku do tej okrutnej, władczej kobiety. W jakiś sposób czuł, że w jej życiu zajął miejsce Billa McCrei.

O śmierci Billa rozmawiali z pewną dozą smutku.

— Nie wiedziałem, że brał narkotyki, a ty?

— Ja też nie — przyznała Underwood. — Ale w gazetach napisano: wypadek albo zamierzone samobójstwo. Wziął przedtem dużą dawkę heroiny]

— Myślałem, że był zbyt rozgarnięty, aby coś takiego zrobić.

— BiUy rozgarnięty? — roześmiała się nieszczercze. — Ten chłopiec nie miał nawet jednej komórki mózgowej w swojej ślicznej główce.

To była ich ostatnia rozmowa na temat zmarłego.

— Czy zawsze prowadzisz tak szybko? — spytał Kealy, kiedy przejechali Patuxent i skierowali się na południe, do jej letniego domku w pobliżu Plum Point.

— Zawsze — potwierdziła. — Nie lubię ślamazarności. Boisz się szybkości?

— Jasne, że nie — mruknął sztywno, ale się bał.

Jej letni domek miał kształt litery A. Był z czerwonego drewna, przeszklony od frontu i z tyłu. Posiadał taras i mały basen, teraz bez wody, zaśmiecony pożółkłymi liśćmi. Pięcioakrowa działka była oddalona od hałaśliwej drogi i pomysłowo schowana za płotem porośniętym bluszczem. Na działce rosły: sosna, klon i kilka wiązów, a także wspaniały dąb.

Wnętrze domku nie było przeładowane. Niskie meble z jasnego drewna, obite płótnem żaglowym, podkreślały strzelistość sufitu. Kolorowych akcentów przydawało kilka abstrakcyjnych grafik. W domku znajdowała się sypialnia oraz ogromna łazienka z sauną i bidetem.

— Fantastyczny — mruknął z podziwem Kealy, rozglądając się dookoła. — Masz tu ogrzewanie?

— Tylko kominek. Dziś jestem tu po raz ostatni w tym roku. Przy drodze mieszka facet, który się nim opiekuje zimą. Dzwoniłam do niego kilka dni temu i kazałam mu przygotować drewno do kominka. Kupił też z mojego polecenia mnóstwo jedzenia. Lodówka jest pełna, nie będziemy głodni. Chcesz drinka?

— Z przyjemnością.

Wyjęła szklaneczkę, butelkę fińskiej wódki, lód i cytrynę. Tom zaniósł swoją walizkę do sypialni. Przebrał się szybko we flanelową koszulę, dżinsy khaki i tweedową sportową marynarkę. Bose stopy wsunął w eleganckie mokasyny.

— Teraz wyglądasz o wiele lepiej — pochwaliła go, kiedy wrócił do ogromnej bawialni. — Wyglądasz, jak właściciel ziemski.

Connie miała na sobie luźny biały sweter od Perry Ellisa i obcisłe spodnie w szkocką kratę. Jej stopy również były bose. Kochał jej stopy.

— Może usiądziemy na tarasie? Chociaż nie; tam trochę wieje.

— Tu jest dobrze — uniósł szklaneczkę w górę. — Zdrówko. Wypili po łyku, uśmiechnęli się do siebie i znowu wypili.

Usiedli na jasnych fotelach i przez trójkątne, szybki obserwowali brązowiejące drzewa, kołyszące się na porywistym wietrze..

— Cudowne miejsce, takie spokojne — powiedział.

— I odosobnione — stwierdziła. — Latem, dzięki tej kaskadzie liści, domek jest niewidoczny z drogi. Pływam nago w basenie i opalam się bez kostiumu na tarasie. Wypił swojego drinka. Przed jego oczami pojawił się obraz jej długiego, nagiego ciała leżącego na tarasie.

— Porozmawiajmy o interesach i już nie będziemy do nich wracać do końca weekendu, O.K.?

— Zgoda.

— Nalej sobie jeszcze wódki, jeżeli masz ochotę. Zacznijmy od Diindee'ego. Czy to prawda, że ma zamiar startować w wyborach prezydenckich? W 1992 roku?

— Oficjalnie mówi się, że rozważa taką możliwość, bada grunt. Ale między nami mówiąc, tak, rzeczywiście zamierza wziąć udział w wyborach.

— Ma pieniądze? — spytała krótko.

— Ma tyle, żeby rozpocząć kampanię. A po zdobyciu nominacji, ma przyobiecane sto milionów. Tyle będą kosztowały wybory w 1992 roku.

— Sto milionów — powtórzyła oszołomiona.

— Właśnie — Kealy skinął głową. — Prezydentura to kosztowny interes.

— Tom, uważasz, że dostanie tyle forsy?

— To zależy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a wygląda na to, że on ma dużą szansę na zwycięstwo, dadzą mu ją.

— Czy nadal zamierza atakować Molly Turner i KKO?

— Cóż... jak dotąd ta taktyka sprawdziła się. Rok temu był zupełnie nieznanym senatorem, dziś jego twarz i osobę ludzie kojarzą z nazwiskiem. Teraz każdy w tym kraju wie, że on jest tym facetem, który walczy przeciwko Molly Turner. A tak przy okazji, mam nadzieję, że zauważyłaś, senator nigdy nie potępiał ciebie czy NSK.

— Zauważyłam i doceniam to. Dotrzymałeś swojej części umowy, a ja swojej. Załatwiłeś tę sprawę na placu ćwiczeń w Lexington na medal.

— To nie ja, ja tylko szepnąłem parę słów komu trzeba.

— Komu?

Opuścił głowę i milczał.

— Tom, jeśli chcesz dalej ze mną współpracować, a jestem pewna, że chcesz, musimy być w stosunku do siebie absolutnie szczerzy, inaczej to nie ma sensu.

— Jamesowi Garganowi z Departamentu Sprawiedliwości. Przekazałem tę wiadomość, a on załatwił gliniarzy. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli załatwią to miejscowe gliny.

— Dobrze to rozegrał.

— Dowiedziałaś się czegoś nowego, Connie?

— Na razie nie, ale się dowiem. Molly się teraz nie zatrzyma, jest na szczycie, ale kiedyś z niego spadnie.

— To samo twierdzi Gargan.

— Musi być z niego rozgarnięty facet. Chciałabym go poznać.

— No cóż... trudno go przyszpilić, on woli pozostawać w cieniu.

— Załatw to, Tom, wiem, że możesz to zrobić.

— No, dobrze — zgodził się w końcu, ale nie był tym zachwycony.

— Jezu — mruknęła, rozcierając ramiona. — Zmarzłam, chyba powinniśmy rozpalić w kominku.

— Co tylko chcesz.

— Powiem ci coś, zrobmy sobie jeszcze po drinku i zabierzmy je do sauny.

Wypocimy się trochę, potem rozpalimy w kominku i przygotujemy obiad. Co ty na to?

— Wspaniały pomysł.

Usiedli nadzy na drewnianych ławkach. Gorąca para wydobywała się z otworu i zasnuła mgłą to małe pomieszczenie, nie większe niż cela.

— Posłuchaj — zaczęła Constance Underwood — powiedz mi prawdę. Co ty będziesz z tego miał? To znaczy, z kandydowania Dundee'ego.

Kealy usiłował rozprostować się.

— Przynależ mi kluczową pozycję w swojej kampanii. Ufam mu, nigdy nie złamał danego słowa. Przynajmniej w stosunku do mnie.

— I to wszystko, czego chcesz? Ważne stanowisko w jego kampanii? '

— Mhm... jeżeli zostanie wybrany, mogę otrzymać ważne stanowisko w rządzie.

— Osobisty doradca? Szef sztabu?

— Coś w tym rodzaju — przyznał.

— Szara eminencja? — nalegała.

Spojrzał na nią, ale nie zauważył kpiny w jej oczach. Była poważna i zainteresowana.

— Nigdy nic nie wiadomo — stwierdził filozoficznie.

— Masz rację — zgodziła się. — Nigdy nic nie wiadomo. Waszyngton, to największe kasyno świata. To, o czym myślisz, jest możliwe, ale musisz dobrze rozegrać swoją partię.

— Wiem.

— Swoich wrogów wybieraj dużo bardziej ostrożnie niż przyjaciół. Wchodzisz w wielką rozgrywkę.

Potakująco skinął głową.

— Może będę mogła ci pomóc.

— Jak?

— Stosunek Dundee'ego do płci przeciwnej może zniweczyć jego szanse. On nie jest ulubionym idolem amerykańskich kobiet. ,

— Senator w stu procentach popiera równouprawnienie kobiet — Kealy bronił Dundee'ego.

— Ty to wiesz i ja to wiem i to nawet może. być prawda. Ale polityka to nie świat faktów, Tom. Polityka to świat postrzegania, a właśnie teraz twój senator jest postrzegany jako antyfeminista. Mogę ci pomóc to zmienić.

— Czego oczekujesz w zamian? — zapytał, przysuwając się bliżej.

— Mam swoje plany. Chcę utworzyć jedną federację ze wszystkich organizacji i grup kobiecych na wzór związków

. zawodowych. Sądzisz, że to mrzonki?

— Nie. Uważam, że to realne.

— Takie mam zamiary — stwierdziła. Odwróciła się do niego twarzą, na której malowała się obojętność. — Przy twoich, moje ambicje są śmiesznie małe.

Miał nieprzyjemne uczucie, że ona zastanawia się, w jaki sposób mogłaby nim manipulować. Obawiał się, że ona na tym zyska, a on straci.

— Porozmawiamy jeszcze na ten temat, mamy przed sobą cały weekend —
powiedziała.

— Jasne.

— Straciłeś dość wagi? Teraz pod prysznic, ja pierwsza. Długo stał pod natryskiem.
Kiedy kolana przestały mu
dygotać, - wytarł się ręcznikiem wielkim jak prześcieradło. Owinął *się* nim i
przeszedł do bawialni.

Rozpaliła już w kominku i polana trzaskała wesoło. Connie była w kuchni. Polewała
dwa kawałki polędwicy wołowej sosem musztardowym. Kiedy wszedł, podniosła
głowę.

Miała teraz na sobie luźny żółty szlafrok z kaszmiru, przepasany paskiem. Jej
długie, czarne, wilgotne włosy zwisały luźno. Nie nałożyła makijażu. Jej oliwkowa
skóra błyszczała. Miała ostre rysy twarzy, cienkie usta. Przez głowę Kealy'ego
przeleciała myśl, że Connie przypomina drapieżnego ptaka.

— Nie musisz się ubierać — spojrzała na niego. — Przywiozłeś ze sobą szlafrok?

— Nie... zapomniałem.

— Mam jeden zapasowy. To duże kimono, wisi w garderobie. Powinno na ciebie
pasować.

Jedwabne jasnoniebieskie kimono wyhaftowano w ogniste smoki. Włożył je i
przepasał szeroką szarfą. Jedwab pieścił jego skórę jak pocałunki. Powąchał
tkaninę. Pachniała perfumami i intymnym aromatem jej ciała.

Jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy.

21 grudnia 1989

Dla Kobięcych Korpusów Obrony wynajęto niewielkie biura, oddalone tylko o dwie
przecznice od Centrali Narodowego Sprzysiężenia Kobiet. Na początku w biurach
KKO pracowały tylko: Molly Turner, jej osobista sekretarka Lois Campbell,
rzecznik prasowy Yvonne Popkin i sekretarka do wszystkiego.

Zdecydowano, że administracja nadal pozostanie w Canton, przynajmniej jeszcze
przez jakiś czas, pod kierownictwem Ann Harding. Celem waszyngtońskiego biura
było zainstalowanie się w stolicy i ułatwienie kontaktów z mass mediami. A także, jak
mawiała Molly, „trzymanie na oku tych pieprzonych dziwek z NSK”.

Molly wynajęła małe mieszkanie w Chinatown, w okolicy

odrestaurowanej przed otwarciem centrum konferencyjnego. Mieszkanie rzeczywiście nie należało do dużych. Składało się z jednego pokoju, kuchni i łazienki. Umebłowanie wyglądało jak dar Armii Zbawienia.

Meble w biurach KKO też nie należały do "wytwornych. Zakupiono je na wyprzedaży umebłowania biur rządowych. Wewnątrz jednej z szuflad biurka Molly znaleziono daty i nazwiska urzędników, do których biurko przedtem należało. Pierwszy pracował dla administracji Harry'ego Trumana.

Molly Turner nie bardzo interesowała się oznakami, przywilejami i pułapkami władzy. Widocznie była zadowolona ze swojego wyjątkowo skromnego biura i mieszkania w Waszyngtonie. Rzadko tu bywała, często podróżowała, przeprowadzała inspekcje pułków i odbywała narady z ich dowódcami.

Prawie codziennie telefonowała do Ann, a przynajmniej raz w miesiącu przyjeżdżała do Canton na długi weekend. Zamieniła swojego le car na czarnego volkswagena rabbita. W tych podróżach towarzyszyły jej zwykle Lois Campbell i Yvonne Popkin.

Dwudziestego pierwszego grudnia, w czwartek, wyruszyły do Canton. Zamierzały spędzić tu świąteczny tydzień i wziąć udział w przyjęciu przygotowanym przez sztab KKO.

Poprzedniego dnia padał śnieg i zamarzający deszcz. Choć drogi były przejezdne, warunki jazdy były okropne. Wyjechały z Waszyngtonu krótko przed południem. Jechały autostradą numer 211 na zachód, do Harrisonburga. Potem skrzyły na autostradę 33 prowadzącą prosto do Canton. Przez pierwszą połowę drogi prowadziła Molly. W Harrisonburgu za kierownicę usiadła Lois Campbell. Yvonne siedziała na fotelu obok kierowcy. Molly zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu i podrzemywała.

Około 16⁴⁶ volkswagen znajdował się o dziesięć mil na zachód od Elkins, w Zachodniej Wirginii, na autostradzie numer 33.

Molly już nie spała, rozmawiała z Lois i Yvonne. Był pochmurny, ponury dzień, ale drogi zaczynały przesycać. Jechały z prędkością około 50 mil na godzinę.

W pewnym momencie zrównała się z ich autem biała furgonetka chevy, trochę porzewiała i zachlapana błotem. Widocznie zamierzała wyprzedzić, ale zamiast tego przystosowała swoją szybkość do volkswagena. Oba pojazdy jechały autostradą łeb w łeb. ,

Molly Turner spojrzała w lewo na furgonetkę. Zobaczyła, że w furgonetce opuszczają się okienko i wysuwa się przez nie

lufa strzelby. Później doszła do wniosku, że to właśnie ona była celem. Zaczęła krzyczeć na Lois, by przyspieszyła. Prawie w tym samym momencie Campbell, zauważywszy co się święci, zdjęła nogę z pedału gazu. Ułamek sekundy później strzelba wypaliła. Nabój z grubego śrutu roztrzaskał okienko od strony kierowcy volkswagena i zdmuchnął twarz Lois Campbell oraz pół jej czaszki. Furgonetka przyspieszyła i odjechała.

Ciało Campbell przechyliło się na Yvonne Popkin, którą obryzgała krew i mózg zabitej. W dodatku poraniło ją wiele odłamków rozbitej szyby.

Molly Turner przechyliła się przez fotel kierowcy, złapała kierownicę i skierowała auto na zaśnieżone pobocze. Kiedy samochód zatrzymał się, wyskoczyła z niego i krzycząc otworzyła drzwi Popkin. Wyciągnęła rozhisteryzowaną kobietę z pojazdu. Ze schowka na rękawiczki wyjęła swój pistolet charter 357 magnum.

Ale furgonetka już zniknęła. Żaden z przejeżdżających samochodów nie zatrzymał się i nie pośpieszył z pomocą. Molly zostawiła zawodzącą Yvonne na poboczu i przeciągnęła ciało Lois na miejsce pasażera.

Potem kopiąc, szarpiąc i popychając wepchnęła Yvonne na tylne siedzenie. Sama wśliznęła się za kierownicę, nie zwracając uwagi na krew i odłamki szkła. Prawie pięć minut zajął jej wjazd na autostradę. Kiedy to się jej udało, skierowała się na zachód do Buckhannon. '

Telefon w domu Hardingów w Canton zadzwonił około 19²⁰. Słuchawkę podniosła Ann. W milczeniu wysłuchiwała relacji Molly. Zbladła, kiedy usłyszała o śmierci Lois. Bez słowa oddała słuchawkę swojemu mężowi. Rozmawiał z Molly przez kilka minut, a po usłyszeniu, że telefonuje z posterunku policji, powiedział, że chce rozmawiać z oficerem dyżurnym. Przedstawił się jako eks-policjant z Canton, dzięki czemu poznał więcej szczegółów zamachu. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Ann.

— Na szczęście Molly nic się nie stało — powiedział głucho. — Niewielki szok, ale nie jest ramię. Popkin ma trochę ran ciętych od tej rozbitej szyby, ale może podróżować. Gliny na razie przejęły samochód Molly. To zwykła procedura.

Powiadomili policję stanową i FBI w pięciu stanach. Ann, Tod jest w Lexington, romansuje z Lucille Jackson. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli osobiście pojedą do Buckhannon i zabiorą stamtąd Molly i Yvonne.

— Jadę i tobą.

-Nie, zostaniesz tutaj. Prasa już wie, prawdopodobnie

wielu ludzi będzie tu dzwoniło. Powiedz im, co wiesz, ale żadnych komentarzy. Jeżeli będą próbować wydobyć z ciebie, kogo o ten zamach posądzasz, powiedz, że nie wiesz. Nikogo nie oskarżaj.

— Rod, wiem, jak to załatwić.

— Jasne, że wiesz, słoneczko — uśmiechnął się i pogłaskał jej policzek. —

Zatelefonuję do ciebie przed wyjazdem z Buck-hannon. Chcesz, aby tu był ktoś z tobą?

— To niekonieczne, Rod. Przez chwilę zastanawiał się:

— A jednak to konieczne, dla twojego bezpieczeństwa. Poproszę, żeby tu przyszło kilka sióstr. Uzbrojonych. Jeżeli ci napastnicy są w amoku, łatwo sobie wyobrazić, co może się stać. Spróbuj skontaktować się z Bratem Nabisco w Lex. Powiedz, żeby wracał tak szybko, jak zdoła. Niech pilnuje Jeffa i na minutę nie spuszcza go z oka. Gdzie masz swój pistolet?

— W sypialni.

— Przynies go — rozkazał — i trzymaj pod ręką.

* * *

Prawie w tym samym czasie wieczorem dwudziestego pierwszego grudnia, James Gargan siedział jeszcze w swoim biurze. Był zajęty robotą, kiedy wszedł jego asystent z krótką wiadomością zerwaną z dalekopisu. Gargan przeczytał informację o strzelaninie na autostradzie 33. Nawet przez moment nie miał wątpliwości, że chodzi o spartaczony zamach, którego celem mogła być tylko Molly Turner.

Przez kilka sekund nie odzywał się, porządkował myśli. Jego asystent niepokoił się.

— Słuchaj — rzekł w końcu Gargan — chcę mieć wszystko na ten temat, zanim oskarżą senatora Dundee. Weź tylu ludzi, ilu będziesz potrzebował. Poobijana furgonetka chevy nie powinna być trudna do odnalezienia. Musisz ją dopaść za wszelką cenę.

— Postaram się.

— Zamów dla mnie kanapkę z wołowiną i majonezem. I czarną kawę. Mam przeczucie, że czeka nas długa noc.

Kiedy jego asystent wyszedł* Gargan zatelefonował do szefa agentów specjalnych, który podlegał jego osobistym rozkazom. Zarządził natychmiastowe przeszukanie mieszkania Lois Campbell w Waszyngtonie i pokoju hotelowego, który wynajmowała w Canton.

Campbell była wtyczką Departamentu w KKO i nikt nie mógł przewidzieć, jakie kłopotliwe lub obciążające dowody ta

pracująca na dwa fronty dama mogła zostawić porozrzucane dookoła.

Następnie Gargan zadzwonił do senatora Dundee, który przebywał w Fargo, w Północnej Dakocie. Wystąpił tam na spotkaniu, zbierając fundusze na kampanię dla gubernatora. Senator nie był zachwycony wiadomością.

— Skurwysyny — mruknął gorzko. — To mnie oskarżą o ten zamach.

— Ja tak nie uważam — odezwał się Gargan łagodnie. — Mamy nadzieję, że uda nam się wyjaśnić tę sprawę do północy.

— Oby tak się stało — rzucił Dundee i odłożył słuchawkę. Następnie Gargan zatelefonował do swojego przełożonego,

który siedział za stołem prezydyjnym na międzynarodowej konferencji szefów policji. Pięć minut trwało ściągnięcie szefa do aparatu. Gargan czekał cierpliwie. Był w tym dobry.

Pokrótce opowiedział, co się wydarzyło, co on zrobił i do kogo telefonował.

— Chcesz, żebym przyjechał do biura? — zapytał szef.

— Nie, sir, nie sądzę, aby w tej chwili to było konieczne. Jeżeli zaczniesz się coś dziać, zawiadomię pana.

Wrócił jego asystent, przyniósł kanapkę z wołowiną i kubek gorącej kawy. Miał także ze sobą mapę, na której zaznaczono blokady drogowe w Zachodniej Wirginii, Ohio, Kentucky, Wirginii i Pensylwanii. Gargan zrobił tylko kilka niewielkich sugestii, pozostawił pościg zawodowcom, którzy się niekiedy znajdują.

— Rano, jeśli furgonetka nie zostanie dostrzeżona, a pogoda będzie dobra, weźmiemy helikoptery. Lepiej zawiadom ich już teraz.

Jego współpracownik ponownie wyszedł, a Gargan zajął się kanapką i kawą.

Nauczył się panować nad sobą, kiedy przeprowadzał w terenie akcję, którą choć trochę kontrolował. Robisz wszystko, co możesz, czekasz i Uczysz na szczęście.

James Gargan wierzył w swoje szczęście. A także lubił swoją pracę. Znajdował ogromną, prawie seksualną przyjemność w rozwiązywaniu problemów, które wymagały rozplątywania, intrygowania i manipulacji. Teraz zajmował się równoległe kilkoma sprawami, ale najbardziej zaangażował się w sprawę senatora Dundee kontra MoUy Turner. Zajmująca rozgrywka. I co za charakterki.

Interes Departamentu w tej sprawie był oczywisty. Departament chciał pomóc Dundee'emu w otrzymaniu urzędu prezydenta. Posiadanie pewnego przyjaciela w Ovalnym Gabi-

necie było pragnieniem całej waszyngtońskiej biurokracji. A w dodatku, gdyby ten przyjaciel nie okazał się odpowiednio wdzięczny za te przysługi, to hak na najbliższego doradcę senatora był dobrym zabezpieczeniem.

Przed miesiącem doradca senatora, Tom Kealy, zaprosił Gargana na prywatny obiad do swojego mieszkania w Georgetown. Na ten obiad zaprosił również Constance Underwood. Gargan z rozkoszą przyjął zaproszenie, rozbawiony faktem, że mieszkanie ciągle jest na podsłuchu i następnego dnia przesłucha taśmę" z rozmową toczoną przy stole, łącznie ze swoimi genialnymi uwagami.

Pomyślał, że Underwood jest fascynującą kobietą, ale także prawdziwą piranią. Dzięki taśmom, które uprzednio przesłuchał, zaczynał teraz lepiej rozumieć stosunki między Kealym i Underwood. Gargan pomyślał, że ta kobieta może bez skrupułów wykorzystać Kealy'ego, a kiedy przestanie być użyteczny, wyrzuci go jak zepsutą zabawkę.

W dodatku nie była marionetką. Była wyrachowana, bezgranicznie ambitna. Ale tego wieczora zdecydował, że lepiej mieć w niej przyjaciela niż wroga.

To było miesiąc temu. Dziś musiał podjąć kolejną decyzję. Ktoś próbował załatwić Molly Turner, a załatwił wtyczkę w KKG.

Doskonale wiedział, że Constance Underwood ma swojego szpiega blisko Molly Turner. Musiał zdecydować, czy spróbować zainstalować nowego informatora w sztabie KKO, czy uzależnić się od kontaktów i współpracy z Underwood. Rozwahał to przez dłuższy czas. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer jej telefonu.

— Pani Underwood?

— Tak.

— Mówi James Gargan. ,

— Pan Gargan? Jak miło.

— Pani Underwood, w ciągu ostatnich kilku godzin coś się wydarzyło. Uważam, że powinna pani o tym wiedzieć...

Opowiedział jej, co się stało na autostradzie numer 33 i na jakim etapie są poszukiwania zabójców.

— To straszne — stwierdziła, kiedy skończył. — Czy Molly Turner coś się stało?

— Nie. Przynajmniej według moich informacji.

— Ale ta biedna dziewczyna nie żyje. To straszne. Lois Campbell... Spotkałam ją zaledwie kilka razy. Wydawała mi się dość sympatyczna. Panie Gargan, pamiętam, o czym rozmawialiśmy podczas obiadu. O tym, jak przemoc rodzi prze-

moc. Sądzę, że dzisiejsze wydarzenie jest doskonałym potwierdzeniem tego powiedzenia.

— Zgadza się. No cóż... pani Underwood, chciałbym wiedzieć...

— Dziękuję za telefon. To bardzo miło z pańskiej strony, że pan o mnie nie zapomniał. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

— Tak. Dobranoc pani. — Odłożył słuchawkę. Uśmiechnął się sam do siebie. Jego instynkt podpowiedział,

że powinien wyeliminować Kealy'ego jako pośrednika i dogadać się na tyle z Underwood, by przekazywała swoje informacje bezpośrednio jemu. Doszedł do wniosku, że zrobił dobry początek.

Do pokoju wszedł ponownie jego asystent z pierwszą pełną i dokładną relacją o zamachu. Biała furgonetka zatrzymała się na stacji benzynowej przy autostradzie numer 50 w pobliżu Chillicothe, w Ohio. Pracownik stacji zeznał, że w kabinie siedziało dwóch młodych ludzi.

— Furgonetka ma numery rejestracyjne Wisconsin — powiedział asystent Gargana patrząc na szefa.

— No, no... — mruknął Gargan. — Zemsta za samosąd?

— Być może. Nie mamy dokładnego opisu tych dwóch facetów, ale to, co udało nam się zebrać, wysłaliśmy telefonogramem. Czy chce pan odwołać alarm w innych stanach?

— Nie, jeszcze nie teraz. Połącz mnie z Columbus i zawiadom Indianapolis i Chicago. Jeżeli ci faceci uciekają do Wisconsin, dopadniemy ich.

Po rozmowie z Ohio zamówił następną kanapkę, tym razem kielbasę z chlebem razowym i kolejny kubek kawy. Siedział przy biurku grzebiąc w papierach. Podnosił wzrok tylko wtedy, gdy ktoś wchodził do pokoju i kładł mu nowy raport na biurko. Raporty nadchodziły regularnie, zwykle co godzinę, albo kiedy napływały nowe informacje. Z Waszyngtonu, Court House i Dayton w Ohio, Batesville i Shelbyville w Indianie. Później meldunki napływały coraz częściej, a specjaliści z oddziału w Indianapolis przygotowali potężną blokadę na autostradzie numer 74 przy Pleasant View.

O 3³⁷ nad ranem poobijana i zachlapana błotem furgonetka wpadła prosto na blokadę. Wywiązała się mała strzelanina. Dwóch policjantów zostało rannych. Obaj mężczyźni podróżujący furgonetką zginęli na miejscu. Gargan obudził swojego szefa i złożył mu meldunek.

Była prawie czwarta nad ranem, gdy zidentyfikowano obu zastrzelonych zamachowców. Jeden z nich był bratem tego

osiemnastolatka — gwałcidela, którego zlinczowano w St. Charles, w Wisconsin. — To oczyści senatora Dundee z podejrzeń — zauważył jego asystent.

— A on wygłosi kolejne przemówienie —. dodał Gargan. — Przemoc rodzi przemoc. Już słyszałem tę śpiewkę.

James Gargan nie trudził się powracaniem do domu. Był kawalerem i od dwudziestu lat mieszkał w tym samym hotelu. Często sypiał w małym pokoiku, który Departament przeznaczył dla pracowników' zmuszonych pracować do późna w nocy. Rozebrał się i liczył, że sen nadejdzie szybko.

Ale nie mógł zasnąć. Zastanawiał się nad Jake Spencerem i zagrożeniem, jakie mógł stanowić. Nie był zadowolony z faktu, że senator zatrudnił Jake'a jako swojego goryla, ale Gargan nie miał możliwości, aby temu zapobiec.

Spencer to pazerny, chciwy facet. Gargan dobrze o tym wiedział. W porządku, czasami trzeba korzystać z usług takich facetów. Sztuką jest trzymanie ich na krótkiej smyczy.

Gargana martwiła pewność, że Jake Spencer osobiście zdmuchnął świeczkę Billa McCrei. Forsa była zbyt kusząca, Jake nigdy nie wypuściłby z rąk takiej okazji. Sam wykonał tę robotę. Gargan był o tym stuprocentowo przekonany.

A teraz morderca pracował jako osobisty ochroniarz kandydata na prezydenta, którego przyszłością Departament był żywotnie zainteresowany. Gdyby jakikolwiek dziennikarz odkrył powiązania między Spencerem a McCreą, wtedy szanse Dundee'ego diabli by wzięli.

Krótko przed zaśnięciem Gargan rozważał możliwość pozbycia się Jake Spencera na zawsze.

Niewygodne i często krępujące stosunki między Narodowym Sprzysiężeniem Kobiet i Kobięcymi Korpusami Obrony przeszły ogromną ewolucję od połowy 1989 do połowy 1990 roku. Zmiany, które zaszły, miały ogromne konsekwencje dla obu organizacji. Początkowo KKO powołano jako sekcję bojową, czy „zbrojne ramię” NSK. Członkinie NSK mogły, jeżeli chciały, ochotniczo służyć w oddziałach KKO, a Korpusy były finansowane z centralnego Funduszu NSK.

Chociaż układ zawarty pomiędzy NSK i KKO zakazywał tej drugiej organizacji werbowania kobiet, które nie należały do NSK, i przyjmowania od nich składek, nie było zakazu przyjmowania przez KKO wsparcia finansowego ze źródeł zewnętrznych.

Ann Harding pierwsza znalazła w przepisach furtkę i natychmiast zwróciła na nią uwagę Molly Turner. Po zorganizowaniu KKO obie siostry rozpoczęły agresywną kampanię, by zdobywać darowizny, zapisy majątkowe i datki.

W wyniku tej działalności Ann przezwyciężyła wrodzoną nieśmiałość i stała się bardzo dobrym mówcą. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie dorówna płomiennej retoryce Molly, ale słuchacze zwykle ulegali sile jej argumentów, spokojnej szczerości i ogromnemu darowi przekonywania.

Siostry stały się popularną parą. Były zapraszane, by przemawiać przed grupami feministek i innymi społecznymi organizacjami. Wygłaszały przemówienia w kościołach i w collegach. Pojawiały się w telewizji i radio. Udzielały wywiadów, kiedy je tylko o to prószono. Po tych wszystkich publicznych wystąpieniach uzyskały ogromne wsparcie finansowe dla KKO. Wyniki okazały się imponujące.

Analiza sprawozdań finansowych NSK i KKO za okres od lipca 1989 do lipca 1990 roku wykazuje, że dobrowolne datki, darowizny i zapisy na rzecz KKO podwoiły się, a przychody NSK z podobnych źródeł spadły o połowę.

Jedną z pierwszych osób, które dostrzegły oszalamiający rozwój KKO, byłar Virginia TerwUliger. Była także pierwszą, która zrozumiała, że aktywność bojowa KKO jest dokładnie tym, co Narodowe Sprzysiężenie Kobiet zawarło w „J)ekla-racji Wyzwolenia”, ale czego nie realizowało.

Terwilliger odwiedziła Laurę Templeton w domu opieki. Pierwsza przewodnicząca NSK była w okropnym stanie. Rzadko już miewała chwile pełnej świadomości, ale była w stanie zrozumieć to, co do niej mówiła Ginny, i żarliwie poparła jej plany. Plan był prosty: pozwolić na stopniowy „upadek” Narodowemu Sprzysiężeniu Kobiet, a potem połączyć członkostwo, źródła finansowe, funkcje i działalność z KKO. Organizacja, która powstanie z tego połączenia, przybierze nazwę Kobiecte Korpusy Obrony, a na jej czele stanie Molly Turner.

Terwilliger uwielbiała politykować. Natychmiast zaczęła wprowadzać swoje zamysły w życie. Skontaktowała się z pozostałymi członkiniami Zarządu Głównego. Za pomocą liczb udowodniła, że o ile silniejsze staje się KKO, o tyle słabnie NSK. Połączenie w jedną organizację będzie najlepszym rozwiązaniem.

W jednym z listów, które wpadły w ręce dziennikarza, TerwUliger pisała: „Nie ma najmniejszych wątpliwości, że swój sukces KKO w całości zawdzięcza energii i wysiłkom

Molly Turner. Jej nieugięta wola, żarliwość i bezpardonowy styl zaktywizowały kobiety na całym świecie. W końcu znalazłyśmy silną przywódczynię z charyzmą. Takiej szukałyśmy od lat".

Niechybnie o aktywności Terwilliger doniesiono Constance Underwood, a to tylko spotęgowało jej wrogość w stosunku do Molly Turner. Underwood doskonale zdawała sobie sprawę, że nie tylko jej pozycja jest zagrożona, ale także jej władza zostanie ograniczona. Może w ogóle ją stracić, jeżeli KKO zwycięży.

14 stycznia 1990

Poniższa rozmowa jest spisaniem z taśmy magnetofonowej wywiadem przeprowadzonym przez Susan H. Ward, dziennikarkę magazynu „Zew NSK”. Ponieważ pierwsza taśma zaginęła, nie wiadomo, czy ten wywiad jest wersją pierwotną, czy wersją przygotowaną do druku.

— Molly, gdybyś miała określić siebie jednym słowem, to jakiego byś użyła?

— Wściekła.

— Dlaczego wściekła?

— Bo tak czuję. Jestem wściekła, ponieważ kobiety w tym kraju są traktowane jak obywatele drugiej kategorii. Jestem wściekła, bo kobiety eksploatuje się na milion poniżających i oburzających sposobów. Gwałty, znęcanie się fizyczne i psychiczne, pornografia. Bóg jeden wie, że kobiety mają wystarczającą ilość powodów, aby być wściekłe.

— Wiele kobiet jest równie wściekłych jak ty na te rzeczy, ale one nie podejmują działań z użyciem przemocy. Jakie są twoje motywacje?

— Motywacje? Po prostu chcę zmienić ten stan rzeczy. To trzeba zmienić i ja to zrobię.

— Była próba zamachu na ciebie. Pewne akcje bojowe, które zaplanowałaś, którymi dowodziłaś, były niebezpieczne. Czy nigdy się nie bałaś?

— Do diabła, zawsze się bałam. Byłoby głupotą nie bać się. Ale nasze sprawy wymagają poświęcenia i ofiar. Wszystkie siostry KKO podzielają moje zdanie.

— Na co liczysz? Co masz nadzieję osiągnąć?

— Całkowite uznanie kobiet, jako jednostek myślących, czujących, mających pragnienia, dążących do uzyskania ta-

kich samych praw, jakie mają mężczyźni, a które mężczyźni uważają za oczywiste.
— Nazywają cię „nienawidząca mężczyzn”. Czy uważasz, że...
— Gówno. Nienawiść do wszystkich mężczyzn jest najbardziej prymitywnym rodzajem szowinizmu. Nienawidzę tylko tych mężczyzn i tylko te kobiety, którzy traktują kobiety jak klasę niewolników. No wiesz, ludzie, którzy głaszczą cię po główce „no no, moja śliczna, uspokój się, wiesz, gdzie jest twoje miejsce”.
— A ty jak myślisz, gdzie jest miejsce kobiet?
— Nie wyżej ani nie niżej niż mężczyźni. To, czego żądamy, to całkowita równość. Czy to jest tak wiele?
— Molly, kilka sióstr KKO zostało zabitych lub rannych w twoich akcjach. Dotyczy to także mężczyzn. Czy sądzisz, że sprawy, o które walczysz, są warte tych ofiar?
— Jeżeli w tej walce zginie milion, to i tak warto walczyć. Jeśli zaczniesz liczyć ofiary, nigdy nie rozpocznesz wojny.
— Pisano, że twoja wojna rozpoczęła się wraz ze śmiercią Normy Jane Laughlin, czy to prawda?
— Tak.
— Mówiono także, że ty i Norma Jane byliście kochankami, czy to się zgadza?
— Tak.
— Jak długo masz zamiar prowadzić swoją wojnę?
— Dopóki będzie trzeba.
— Molly, czy masz listę celów, które chcesz zaatakować w najbliższym czasie?
— Nie myślisz chyba, że jestem taką idiotką, aby to zdradzać. Ale mogę powiedzieć, że zastanawiamy się nad akcjami przeciwko tym, którzy wyzyskują kobiety ekonomicznie. Chcę się skupić na tych gałęziach przemysłu, w których nie płaci się kobietom minimalnych stawek, albo nie zapewnia się odpowiednich warunków pracy, czy dyskryminuje, gdy chodzi o awans.
— W jaki sposób zamierzasz rozwiązać te problemy?
— Wysłać uprzejme listy, poprosić o zebranie, na którym mogłybyśmy przedstawić swój punkt widzenia.
— A jeżeli cię zignorują?
— To podłożymy pieprzoną bombę i wszystko wyleci w powietrze.
— Jeżeli zniszczysz, czy rozwalisz fabrykę, to zabierzesz pracę wszystkim tam zatrudnionym kobietom.
— Masz rację. Na początku to będzie pewna niedogodność,

ale po zniszczeniu kilku fabryk do fundamentów sprawa stanie się głośna i może wtedy inni pracodawcy zaczną traktować swoje pracownice godziwie.

— Molly, kiedy powstał pomysł utworzenia KKO? Na zjeździe NSK w 1987 roku powiedziałaś, czy dawałaś do zrozumienia, że kobiety nigdy nie będą szanowane, dopóki nie zaczną stosować przemocy, by osiągnąć założone cele... Czy dziś jeszcze w to wierzysz?

— Oczywiście. To jest kraj przemocy. Czczymy rewolwerowców, na przykład Johna Wayne, który ochoczo strzela do wszystkich czarnych charakterów. Takie metody mogą okazać się mało skuteczne w Anglii i Szwecji, ale przemoc to jedyny sposób, aby zreformować Amerykę.

— Senator Dundee twierdzi, że twoja filozofia hojowej aktywności jest antyamerykańska i do gruntu sprzeczna z naszymi tradycjami i ideałami. Co odpowiesz na te zarzuty?

— Senator Lemuel K. Dundee jest jednym z największych bubków. Chce zostać prezydentem i to tak bardzo, że gotów jest sprzedać duszę diabłu, wszyscy o tym wiedzą. I myśli, że uda mu się wjechać do Białego Domu na grzbietach amerykańskich kobiet. Czy on kiedykolwiek słyszał o przepaści dzielącej płci? Każda kobieta, która odda swój głos na niego, wyrzeknie się swojej płci.

— Molly, on twierdzi, że popiera twoje cele, ale nie pochwała metod. Uważa, że gdybyś działała na drodze prawnej, osiągnęłabyś wszystko, co zamierzasz, bez stosowania przemocy.

— Och, Susan, to tylko takie pieprzenie. Próbowano tego przez dwadzieścia pięć lat, bez efektów. Być może uzyskałybyśmy trochę tu, trochę tam,, ale przecież nie posunęłyśmy się daleko od 1965 roku. Kobiety są nadal gwałcone, a gwałciciele chodzą bezkarni i się śmieją. Różnica między zarobkami kobiet i mężczyzn wciąż rośnie. Spójrz na statystyki. Ciągłe jesteśmy obywatelkami drugiej kategorii. Ustawodawstwo w tym kraju jest zdominowane przez mężczyzn, którzy nie zamierzają tego zmienić.

— Czy masz ambicje polityczne?

— Jasne, że nie. Wszyscy politycy to marionetki, a ja chcę, aby kobiety w tym kraju stały się tak silne, tak niebezpieczne, że w końcu to my pociągać będziemy za sznurki. Wtedy osiągniemy to, co chcemy.

Stenogram wywiadu kończy się w tym miejscu. Widocznie nagrano go na taśmę i przepisano, ale nigdy nie opublikowano .w „Zewie NSK”. W ostatniej chwili druk odwołano po oso-

bistej interwencji Constance Underwood, która nazwała go podżegającym i szkodliwym.

22 lutego .1990

Ruth Blohm grała w trik-traka z Martą Dundee w domu senatora w Spring Valley.

— Nalej jeszcze po jednym drinku, kochanie — powiedziała starsza dama.

— Czy w ten sposób chce pani wygrać?—spytała Blohm. — Chce mnie pani upić?

Żona senatora uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i pogłaskała dłoń Ruth.

— Lubię cię. Jesteś człowiekiem. Jeżeli nie chcesz się napić, nalej mnie jednego.

— Oczywiście — Blohm wstała, wzięła szklanekę Marty i podeszła do stolika z marmurowym blatem. — Bourbon?

— I dodaj, proszę, dwie kostki lodu.

— Wody także?

— Nie.

Po drodze do stolika zatrzymała się przy oknie i odchyliła ciężką storę. Spojrzała w ciemność. Śnieg ciągle padał.

— Przestań się niepokoić—zaczęła pani Dundee. — Gdyby samolot się rozbił, już byśmy o tym wiedziały. Wkrótce tu będą.

Była rumianą, dość tęgą kobietą o siwych włosach z fiołkowym odcieniem.

Staroświecka fryzura przypominała Ruth te, które widywała w starych filmach, ale jej niebieskie oczy były wciąż żywe i cyniczne.

— Sądysz, że mój mężulek ma szansę? — spytała ostrożnie, patrząc na planszę, i zagrzechotała w kubku kostkami do gry.

— Jasne, że ma szansę — potwierdziła Blohm. — Jego konkurenci to banda amatorów.

— Święty Boże, ja w Białym Domu, możesz to sobie wyobrazić? Mała Marta Seidsnicker z Willoughby Falls. Dziesięć lat mi zabierze nauka, jakiego widelca używa się do sałatki.

— Będzie pani wspaniała — roześmiała się Ruth. — Ten kraj panią pokocha. Będzie pani przez wszystkich uwielbianą cioteczka.

— Wielkie dzięki.

Wie pani, o czym mówię. Czy ma pani zamiar towarzyszyć senatorowi w kampanii?
— Och, nie. Nie mam na to ochoty. Może sobie zabrać dzieci w podróż przedwyborczą i udowodnić, jaki to z niego wspaniały mąż i ojciec. Bess Truman była moją ulubioną Pierwszą Damą. Poszła swoją drogą i nie przyjmowała od nikogo żadnych rad... z wyjątkiem Harry'ego.

Usłyszały odgłosy nadjeżdżających samochodów, dobiegające ze zwirowego podjazdu.

— Bogu dzięki — Ruth wstała i podeszła do drzwi. — Nareszcie są. Mam przygotować kawę?

— Pieprzyć kawę — mruknęła pani Dundee. — Otwórz butelki.

Mężczyźni wchodzili, wyeierali buty i otrząsali się jak zmokłe kury. Senator Dundee, Tom Kealy, facet od pisania przemówień — Simon, Christie, osobisty ochroniarz — Jake Spencer i Orvin Fischbein — doradca od kontaktów ze środkami masowego przekazu, teraz zatrudniony na pełnym etacie. Zdjęli płaszcze i podeszli do stolika z alkoholami.

— Jak poszło? — spytała Ruth skwapliwie.

— W porządku — stwierdził Dundee. — Wręcz znakomicie.

Senator poleciał do Nowego Jorku, by przemówić na obiedzie dla Ligi Głosujących Kobiet. Nad przemówieniem na tę okazję Christie pracował przez długi czas, na dodatek wielu pracowników Dundee'ego wtrącało swoje trzy grosze, by wypracować właściwy ton, łączący niezłomne zasady ze zdrowym rozsądkiem.

— To było piękne — stwierdził Fischbein. — Na końcu niemałe oklaski. Były obecne wszystkie sieci telewizyjne i lokalna prasa.

— Lern, dali wam jeść? — spytała Marta Dundee.

— Oczywiście, że tak. Tom, co było w tej zawijanej cielecinie?

— Podejrzewam, że białe mięso z indyka, senatorze.

— Mhm, nie było złe, jeżeli się je obficie polało keczupem.

— Czy byli jacyś demonstranci? — spytała Ruth.

— Tylko kilku — rzekł Spencer. — Żadnych problemów. Przeszkodziła im zamieć śnieżna. Ochrona hotelowa była pierwsza klasa, wszyscy eks-policjanci.

— Muszę przyznać, że liczyłem na większy... mhm... na .Większy odzew audytorium — przyznał Christie. — Senatorze, najlepsze kawałki pańskiego wystąpienia chyba nie dotarły do ich mózgowic.

— Słuchajcie — wtrąca Fischbein — chcę zauważyć, że nie

ma sensu wygłaszać kazania tylko po to, aby nawrócić grzeszników, to strata czasu. Ta publiczność nie była wrogo nastawiona, tylko po prostu niezaangażowana i dlatego uważam wystąpienie senatora za sukces. Udowodnił pan, sir, że jest pan gotów nadstawić karku. Ludzie będą podziwiać pańską odwagę.

— Czy to przysporzy nam głosów? — Dundee spojrział na niego.

Nuct nie odpowiedział. Nalali sobie po drugim drinku i rozsiedli się wygodnie w fotelach. Ruth Blohm zaniósła kolejną porcję alkoholu Marcie Dundee. Potem zawahała się krótko, naląła sobie wódki, wrzuciła do szklaneczki kilka kostek lodu i pociągnęła łyk.

— Senatorze, jest coś, o czym chciałabym z panem porozmawiać, ale miał pan długi, ciężki dzień — powiedziała. — To może poczekać do jutra, jeżeli jest pan zmęczony.

— Jutro mam spotkanie w Komisji na temat nowego samolotu transportowego — mruknął posepnie. — To zajmie mi cały dzień, lepiej zacznij swój kawałek teraz.

— W porządku — była lekko zdenerwowana. Pociągnęła kolejny łyk. — Chodzi o to, że...

Szybko, głównie dla Kealy'ego i Fischbeina, strescała to, co już opowiadała o Lyle Haydenie i jego metodzie pogłębionej analizy ławy przysięgłych.

— Prawnicy zamawiający usługi Haydena osiągają niezłe wyniki — podkreśliła. Stwierdziła, że nie widzi powodów, dla których nie można by zastosować tej samej techniki dla analizy okręgów wyborczych. Hayden zgodził się nawiązać współpracę. Oczywiście, nie przeanalizuje wszystkich okręgów, takie badania są bardzo kosztowne. Należałoby skupić się na okręgach kluczowych, które mogą oznaczać granicę między wygraną a klęską oraz ich sąsiedztwie.

— Ale co z wahającymi się okręgami? — zapytał Fischbein, zaintrygowany. Blohm odrzekła, że je przebadają przy pomocy analizy komputerowej. Trzeba odszukać takie okręgi, w których w ciągu ostatnich trzydziestu lat podział głosów był prawie równy, ale zawsze opowiadały się za zwycięzcą.

— To będzie sztuka — przyznała. — Napisanie takiego programu, będzie mordercze i będzie wymagało bliskiej współpracy z mniejszymi firmami zajmującymi się badaniami opinii publicznej. Jestem przekonana, że to jest możliwe.

Wspomniała o tym, że wysłała dane demograficzne trzech okręgów wyborczych Haydenowi, by mógł przygotować kosz-

torys i ustalić liczbę ankieterów potrzebnych do tej pracy. Hayden doszedł do wniosku, że pogłębiona analiza każdego zarejestrowanego wyborcy w okręgu nie jest możliwa, ale zasugerował, że może wybrać losowo próbkę ważoną i na niej oszacować zachowania wyborców w całym okręgu wyborczym.

— Hej, hej — mruknął Fischbein. — To ciekawy pomysł.

Blohm dodała, że cały ten pomysł jest nowy i ona z pewnością nie jest za tym, by senator utopił ogromną ilość dolców w niesprawdzonej technice..

— Ale pański senator-junior ubiega się o ponowny wybór do senatu — skierowała te słowa do Dundee'ego. — Liczyłam, że możecie się dogadać i podzielić wydatkami na sprawdzenie w praktyce tej techniki. Jeżeli nie wyjdzie, nic nie tracimy oprócz honorarium dla Haydena, ale jeżeli się uda, dostanie pan do ręki tajną broń, którą może pan wykorzystać w wyborach w 1992 roku.

— Tylko nie z senatorem-juniorem — odrzekł Dundee bez wahania, pocierając czoło. — Ten skurwiel kilka razy zalał mi sadła za skórę. Tom, a ty co o tym sądzisz?

— Moim zdaniem to strata czasu i pieniędzy, sir — rzekł Kealy bezzwłocznie. — Ruth mówi o „inżynierii politycznej”. Senatorze, wiele razy powtarzał mi pan, że polityka jest bardziej sztuką niż nauką.

— Dawno temu to była sztuka — śmiało odparła Blohm. — Kiedyś piloci też latali na wyczucie, ale już nie dziś. To, co proponuję, to kolejny logiczny krok na drodze, która zaczyna się od sondaży, skomputeryzowanych list wyborców i telewizyjnych studiów wyborczych, podających wyniki szacunkowe tuż po zakończeniu głosowania.

— Orvin? — Dundee zwrócił się do specja od mass mediów. — Jakie jest twoje zdanie? ,

— Zgodziłbym się z Ruth, senatorze. Uważam, że ona ma rację, w polityce wiele się zmieniło. Mój Boże, w jaki sposób zdołałby pan napisać do pańskich wyborców te osobiste listy bez biurowego komputera? Warto wypróbować nową technikę. Ruth, czy to coś w rodzaju psychoanalizy grup?

— Zgadza się, Orvin, coś w tym rodzaju. Analiza na tyle pogłębiona, aby ujawnić podświadome czy nieuświadomiane potrzeby i uprzedzenia. Następnie należy wyciągnąć wnioski o przypuszczalnych zachowaniach badanej próbki i przenieść to na cały okręg Wyborczy, a kandydat przykroi swoje obietnice polityczne do tych wyników.

— Dawniej było dużo prościej — zaczął Jake Spencer. —

Kiedy radny miejski przesyłał jakiejś rodzinie indyka na Święto Dziękczynienia, wiedział, że jej głosy ma w kieszeni.

— Tak byłoby najprościej — zgodziła się Ruth Blohm. — Ale te czasy minęły bezpowrotnie. Dzisiaj nie można kupić głosów wyborców indykiem, ale można je kupić obietnicami. Ta technika jest tak zaprojektowana, by pozwolić kandydującemu dokładnie poznać, jakie obietnice mogą przyciągnąć głosy wyborców.

— Nadal mi się to nie podoba — powiedział Kealy. — To taki bełkot naukowy, zwyczajny sondaż może dać takie same wyniki, ale za mniejsze pieniądze.

Wszyscy spojrzeli na siedzącego wygodnie w fotelu senatora Dundee. Podniósł szklaneczkę i pódął ją Simonowi Christie. Ten natychmiast napełnił ją ponownie.

— Przemyśle to — odezwał się w końcu senator. — Być może powinniśmy spróbować. Jednak nie z senatorem-juniorem. Gubernator również kandyduje ponownie. No cóż... zastanowię się nad tym.

Rozmowa zбочyła na innych nie zdeklarowanych jeszcze kandydatów, którzy mogą współzawodniczyć z senatorem w ubieganiu się o nominację w 1992 roku. W tym momencie każdy musiał przyznać, że Dundee prowadził, ale powinien ostro pracować, by swojej pozycji nie stracić.

— Ten, kto na początku prowadzi, zazwyczaj przegrywa — zauważył Christie.

— Jeszcze za wcześnie, aby mówić o przegranej — nie zgodził się z nim Fischbein.

— Senatorze, wyborcy w całym kraju kojarzą pańską twarz z nazwiskiem. Być może teraz jest najlepsza pora, by poszerzyć pańskie wpływy. Powinniśmy się zająć innymi problemami: polityką zagraniczną, obroną, ekonomią, środowiskiem.

Powoli, ale skutecznie, przedstawi pan swoją filozofię polityczną.

Dundee uśmiechnął się i zawołał do swojej żony, która siedziała w rogu pokoju i jak zwykle grała sama ze sobą w trik-traka:

— Marto! — ryknął wesoło. — Jaka jest moja filozofia?

— Mam ją na górze — odpowiedziała — wygrawerowaną na łebku od szpilki.

Wszyscy się roześmiali, ale senator nie wydawał się rozbawiony.

7 marca 1990

Constance Underwood spotkała do tej pory Gargana tylko raz, w mieszkaniu Kealy'ego. Oceniała go jako faceta, który lubi mięso i ziemniaki. Kiedy przyjął jej zaproszenie na obiad, poleciła swojemu dostarczycielowi żywności, by przygotował sałatkę z krabów, niedosmażony chateaubriand z sosem bear-naise, pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem ratatouille oraz świeże truskawki z cointreau na deser.

Dostawca żywności przysłał kucharza i dziewczynę podającą do stołu. Underwood zamówiła butelkę chateau Laffitte 62 i miała nadzieję, że Gargan doceni ten trunek, którego łyk kosztował dziesięć dolarów.

Źle go oceniła, jak zresztą wielu ludzi. Uważali go za rubasznego i cieszącego się dobrym apetytem „czarnego Irlandczyka”. Był Irlandczykiem z pochodzenia, ale naturę miał Włocha. Lubił flaczki, słodkie chlebki i mózdzek na steku, nie cierpiał ziemniaków w żadnej postaci.

Kawaler w średnim wieku, mieszkający w ponurym hotelu, czy to nie kwalifikowało go do określonej grupy ludzi? Nie. Był subtelny jak biskup. Ubierał się w szorstkie irlandzkie tweedy. Któż by się domyślał, że jest kobieciarzem? Miał nawet na tym polu sukcesy, często mówił „kocham cię” — bywało to szczere i czasami naprawdę oznaczało uczucie.

Stanął w drzwiach mieszkania Constance Underwood w Watergate z butelką black label i nie wspomniął nawet słowem, jaki to rzadki trunek. Constance przygotowała martini i zaproponowała mu szklaneczkę. Przyjął drinka z wdzięcznością, chociaż wolał proste drinki i skomplikowanych przyjaciół.

Jedzenie zostało przygotowane i podane. Gargan zapewnił swoją gospodynię, że jest znakomite.

— Od lat nie jadłem takiego dobrego obiadu — nie napomknął nawet, że nie należy łączyć mięsa w sosie bearnaise z ziemniakami, kwaśną śmietaną i szczypiorkiem.

Taka uwaga zepsułaby jego starannie wykreowany publiczny wizerunek samotnego kawalera znudzonego hotelową kuchnią.

Skończyli pić wino i Gargan pochwalił je należycie. Zjedli deser i wypili kawę.

Potem przesiedli się na wygodne fotele i popijali koniak. Czekali aż kucharz i kelnerka znikną i dopiero wtedy przeszli do rozmowy o interesach.

Wiele lat temu Gargan stwierdził, że w rozmowie z drugą osobą najlepszą bronią jest absolutna uczciwość. To wytrąca

oponenta z równowagi. Rozmówcy oczekiwali wykrętów, a on ich zbijał z tropu szczerością. Rzadko wracali do równowagi.

— Connie — zaczął — czy mogę do ciebie mówić Connie? — Nie czekając na przyzwolenie, kontynuował. — Connie, chcę, abyśmy zostali partnerami. Ta informacja o akcji w Lexington, w Kentucky, przeprowadzanej przez KKO, którą przekazałaś Kealy'emu, a on następnie mnie, była cenna. Wszystko skończyło się dobrze, chcę ci podziękować. Nie sądzisz, że Kealy nie jest nam już potrzebny? Domyślam się, że masz swojego informatora w sztabie KKO. Chciałbym z tego źródła korzystać, ale bez pośrednictwa Kealy'ego.

Spojrzała na niego badawczo.

— Chyba mnie pan nie nabiera, panie Gargan?

— Jim — rzekł. — Nie, nie nabieram, nie mam takiego zamiaru. Po prostu sędzę, że o wiele lepiej będzie, jeżeli tylko my Oboje będziemy grać w tę grę.

— A co ja będę z tego miała?

— Pełne poparcie Departamentu — odpowiedział szczerze, pochylając się w jej kierunku. — Chcę tak szybko jak to możliwe wyeliminować Molly Turner i KKO. A ty, nie chcesz?

Constance Underwood wciągnęła głęboko powietrze. Miała na sobie czarny jedwabny kombinezon w modnej wersji dla motocyklistów, do tego szeroki czarny pas nabijany ćwiekami. Widziała jego oczy szacujące jej piersi. Zauważył, że nie włożyła stanika. Wiedziała, że robi to duże wrażenie na mężczyznach.

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, świadoma jego spojrzenia podążającego za nią. On nie należy do kawalerów żyjących w celibacie, pomyślała. Mogę go usidlić.

— Pełne poparcie Departamentu — powtórzyła. — To wielkie gówno, uprzejme, ale nic nie znaczy. Senator walczy na pierwszej linii frontu, torpeduje Molly Turner, gdzie tylko może. On działa, a ty przeciwdziałasz. Byłoby głupie z mojej strony, gdybym zaprzestała współpracy z Kealym i senatorem. Oni walczą po tej samej stronie co ja.

Nie zaskoczyła go jej reakcja, był na to przygotowany.

— W porządku — rzekł pojednawczo. — To, co mówisz, brzmi sensownie, ale co sądzisz o tym, aby wszystkim dogodzić? W dalszym ciągu będziesz przekazywała informacje Kealy'emu i zbierała plusy u senatora, a jednocześnie będziesz przekazywała te informacje bezpośrednio mnie. To da ci dobrą markę w Departamencie.

— O co tu chodzi, nie ufasz Kealy'emu?

— Nikomu nie ufam, Connie,

— Czy to dotyczy także mnie?

— Oczywiście — uśmiechnął się leciutko. — Przecież ty także do końca mi nie ufasz, prawda?

— No... tak — przyznała.

— Dobrze — stwierdził. — Tak trzymaj. Spacerowała dalej po pokoju z opuszczoną głową. Pozwolił jej przez kilka chwil przetrwać propozycję.

— Connie — odezwał się w końcu — właśnie teraz potrzebujesz oddanych przyjaciół. Jeżeli Virginia Terwilliger przeprowadzi swój plan połączenia obu organizacji, dostaniesz kopniaka.

Zatrzymała się i zdumiona spojrzała na niego:

— Znasz Virginie?

— Nigdy nie spotkałem tej damy.

— Więc skąd wiesz, co zamierza?

— Connie, moim zadaniem jest wiedzieć. Za to mi płacą, to moja praca.

— Właśnie. Czym ty się naprawdę zajmujesz?

— Rozpracowywuję różne grupy wariatów w tym kraju. Ku-Klux Klan, partia nazistowska, komuchy i wszystkie te zwariowane małe bojówki, które lubią się bawić bombami.

— Przypuszczam, że we wszystkich masz swoich informatorów.

— Oczywiście — uśmiechnął się. — To jedyny sposób, aby wiedzieć, co się u nich dzieje.

— Więc dlaczego potrzebujesz jeszcze informacji ode mnie? Nie masz wtyczki w KKO?

— Miałem — przyznał. — Ale została wyeliminowana. Doszedłem do wniosku, że prościej będzie skorzystać z twojego źródła niż próbować zainstalować nowego człowieka.

— Cóż, przynajmniej jesteś szczery — stwierdziła.

Usiadła na kanapie trochę bliżej niego, niż to było konieczne, i wypła łyk koniaku. Patrzyła prosto przed siebie, a on czekał cierpliwie,

— Powiedz mi — zaczęła zamyślna — co zwykle dzieje się z takimi używającymi przemocy organizacjami, które kontrolujesz?

— Zazwyczaj same się niszczą. Najwięcej ulega rozpadowi w ciągu pierwszych pięciu lat. Najczęściej rozpadają się w jeden z dwóch sposobów: pierwszy, wdają się w coraz bardziej okrutne akcje, by zdobyć pieniądze, a my ich na tym przyłapujemy. To wszawi kanciarze. Drugi sposób, to coś w rodzaju rozłamu w kierownictwie. Do takich organizacji należą ludzie, którzy z reguły mają bardzo rozwinięte ego. Wszyscy znają

życiorys Hitlera, wiedzą, jak zaczynał, więc współzawodniczą między sobą i wywołują wojny na górze. Absurdalne kłótnie powodują zadrażnienia, które prowadzą do konfrontacji, a to zwykle kończy się ofiarami. Wtedy my dyskretnie wskazujemy zdrajców i taka grupa przestaje istnieć.

— Jak myślisz, co się stanie z Kobięcymi Korpusami Obrony?

— Na razie wydaje się, że Molly Turner wszystko kontroluje — wzruszył ramionami. — Nie widzę nikogo, kto mógłby jej zagrozić. Więc domyślam się, że ona zacznie przeprowadzać coraz bardziej brutalne akcje, tylko po to by udowodnić, że coś robi. W końcu posunie się za daleko. Zawsze tak się dzieje. Kto jest twoją wtyczką w sztabie?

To nagle pytanie nie zaskoczyło jej. Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Chyba nie oczekujesz, że ci powiem, prawda, Jim?

— Sądziłem, że to zrobisz, ale to nie jest najważniejsze: Przynajmniej tak długo, dopóki twój człowiek jest blisko Molly Turner.

— Zapewniam cię, że jest.

Przyszło mu na myśl, że to może być siostra Molly Turner. Być może te anonimowe listy mimo wszystko podziały, ale nie wspomniał o tyni Underwood.

— Cóż, Connie — powiedział jowialnie. — Więc co z nami? Chcesz współpracować przez Kealy'ego, czy bezpośrednio ze mną?

— Będę grała do dwóch bramek.

— Zgoda. Uwierz mi, że twoja współpraca zostanie doceniona. Mogą nadejść takie czasy, kiedy będziesz potrzebowała naszej pomocy, wtedy będziemy pod ręką.

— Zapamiętam to, i trzymam cię za słowo.

Pochyliła się do przodu i odstawiła pustą koniakówkę na stół. Wyciągnął rękę i przez czarny jedwab delikatnie dotknął jej piersi.

— Nie zaczynaj, jeśli nie potrafisz skończyć — warknęła ostro.

— Potrafię, udowodnię ci, że potrafię — zapewnił ją.

20 kwietnia 1990

Na początku 1988 roku niezależny producent filmowy „Make Out Productions Inc.” z Hollywood, w Kalifornii, zaczął

kręcić serię filmów porno, wyświetlanych w kinach i telewizji kablowej. Były dostępne również na kasetach video.

W tych niskobudżetowych obrazach występowały przeważnie nastolatki z niewielkim lub żadnym doświadczeniem zawodowym. Scenariusze filmowe, jak szczerze przyznawało kierownictwo „Make Out”, miały zazwyczaj naiwną, prostą fabułę, a dialogi były mdłe i cliwe. Wytwórnia nie posiadała własnego studia, większość filmów kręcono więc w plenerach

Wszystkie te filmy mówiły o życiu erotycznym uczniów szkół średnich i studentów collegów. Miłosne sceny w zbliżeniach ukazywały niesmacznie nagość. Grubiańska wulgarność była kolejną cechą filmów „Make Out”; bitwy na torty, zapasy w błocie w mokrych podkoszulkach, puaństwa, narkotyki wymioty, itd.

Głównym tematem byli chłopcy usiłujący uwieść dziewczęta. Filozofia „Make Out” nie była wyszukana — zbić iak najwięcej forsy. Te filmy adresowane były do widzów szukających w kinie prymitywnej rozrywki. Bohaterowie tych obrazów cechowali się łubieżnością, a bohaterki tajemniczą uwoozicielskoscją, chociaż czyniły wysiłki, nieskuteczne, by chrome swoje dziewictwo.

Charakterystyczne dla filmów były sceny, w których chłopcy podglądali przez dziurkę od klucza rozbierające się dziewczęta. Filmy nęciły takimi tytułami, jak: „Błyskawica z kampusu”, „Jock spotyka Jane”, „Julie i drużyna piłkarska”, „Jedno prześcieradło dla trojga”.

Krytycy nazywali te produkcje krótko: „lubieżne bzdury” ale odnosiły one ogromne sukcesy kasowe dzięki kombinacji młodości, nagości i humoru. W 1989 roku „Make Out” miała wpływy sięgające 200 milionów dolarów. Większość z nich zawdzięczała widowni w wieku od ośmiu do osiemnastu lat.

Dorośli kinomani uważali te filmy za naiwne szmiry które należy traktować z przymrużeniem oka. Ale feministki były oburzone, odbierały je jako antykobiece, podżegające do gwałtu, ukazujące młode dziewczęta wyłącznie jako obiekty seksualne oraz zachęcające do seksualnej agresji.

Grupy kościelne współpracowały z organizacjami kobiecymi w celu zdyskredytowania producenta tych obrazów. Kaznodzieje wygłaszali kazania, pisano listy do właścicieli kin przeprowadzano demonstracje i pikiety, zorganizowano nawet ogólnokrajowy bojkot, ale... bez efektów. Filmy kręcono w dalszym ciągu i w dalszym ciągu przynosiły one duże zyski. Dokumenty Kobięcych Korpusów Obrony wskazują, że na

początku marca 1990 roku Molly Turner wytypowała „Make Out” jako następny cel akcji bojowej.

W tym czasie kręcono dwa filmy: jeden w La Jolli w Kalifornii, pod tytułem „Szaleństwo bikini”, a drugi w pobliżu Plaquemines, w Luizjanie — „Nastoletnie lubieżnice”. Sztab Molly Turner zdecydował, że te dwa miejsca zostaną zaatakowane i zniszczone. Jednocześnie w siedzibie dyrekcji „Make Out” na Hollywood Boulevard zostaną podłożone ładunki wybuchowe i budynek zostanie wysadzony w powietrze.

Oczywistym jest, że wszystkie trzy fazy operacji wojskowej wymagały precyzyjnej koordynacji. Podstawowe założenia planów operacyjnych opracowano w sztabie głównym KKO w Canton. Odpowiedzialni za przeprowadzenie tej akcji zostali oddelegowani do pułków w Kalifornii i Luizjanie.

Molly Turner wysłała Roda Hardinga i Todhuntera Clarka do Los Angeles, jako doradców. Zamach bombowy był trudnym zadaniem, ponieważ biura dyrekcji „Make Out” mieściły się pomiędzy pawilonami handlowymi. Brat Nabisco dobrze wiedział, czego będzie potrzebował, by zniszczyć wewnętrzny budynek, a przyległe najwyżej uszkodzić. On i Rod Harding współpracowali ściśle z wybranymi do tej akcji siostrami KKO. „Właściwie to te kobiety rozmieściły ładunki i założyły zapalniki.

Szturm na miejsce kręcenia filmów w pobliżu La Jolli i Plaquemines przygotowano bardzo starannie. Zaplanowano go na piątkową noc, kiedy na miejscu nie powinno znajdować się zbyt wielu członków ekipy filmowej. Siostrom biorącym udział w akcji rozkazano ubrać się na czarno i zasłonić twarze.

Uzgodniono również, że w noc ataku-, dwudziestego kwietnia, Molly Turner wygłosi odczyt dla więźniarek w północnej części stanu Nowy Jork. Ann Harding pozostała w Canton i koordynowała całą operację. Miała upoważnienie odwołania akcji, gdyby coś było nie tak.

Bomby zapalające na Hollywood Boulevard rozmieściły w trakcie dnia siostry KKO, udające, że chcą zostać aktorkami. Najsilniejsze ładunki ukryto w łazienkach, przewodach Jdimatyzacyjnych i schowkach na szczotki. Wszystkie ładunki miały zamontowane mechanizmy zapalające, które można było zdetonować z dużej odległości.

Ładunki odpalono o północy czasu kaMornrjskiego. W rezultacie eksplozji cały budynek uległ zniszczeniu, łącznie z piwnicami, w których przechowywano negatywy i dokumentację filmów. Wezwani strażacy zatrzymali rozprzestrzenianie

się ognia na sąsiednie budynki: Ale siedziba „Make Out Productions” została zniszczona.

Sądono, że to umyślne podpalenie obędzie się bez ofiar, ale niestety tak się nie stało. W trakcie przeszukiwania zgłiszczy w kilka godzin później odkryto ciała kobiety i mężczyzny. Dziennikarze prasowi, którzy pisali o tym incydencie, napomykali, że. któryś z dyrektorów miał romans z sekretarką i randki odbywali w biurze.

W dodatku pewien przechodzień, turysta z Sioux Falls, z Północnej Dakoty, został śmiertelnie ranny w wyniku eksplozji.

Szturm **na** miejsce, gdzie kręcono film, w pobliżu La Jolli, rozpoczął się o północy. Jedyne strażnik został sterroryzowany i wzięty pod straż. Związano go i zakneblowano. Oddział bojowy KKO otoczył teren, a w tym czasie grupa „rozbijająca” wzięła się do roboty.

Kamery i urządzenia do nagrywania dźwięku zostały rozbite młotkami. Samochody i przyczepy mieszkalne, generatory i reflektory, a także dekoracje, -zniszczono granatami zapalającymi. Zdemolowanie tego wszystkiego nie zajęło nawet pół godziny.

W tej akcji nie było ofiar.

W Plaquemines, w Luizjanie, atak został zaplanowany na godzinę drugą w nocy, ale opóźnił się o całe czterdzieści minut, bo niektóre uczestniczki akcji pogubiły się. Komendantka pułku Luizjany czekała, aż wszystkie siostry zajmą wyznaczone pozycje i dopiero wtedy dała sygnał do ataku.

Większość zespołu aktorskiego i ekipy technicznej pracująca przy kręceniu filmu pojechała do Baton Rouge, by tam spędzić wieczór, ale około dziesięciu osób pozostało na miejscu. Część z nich spała, a kilkoro urządziło przyjęcie w jednej z przyczep mieszkalnych.

Nagle pojawienie się sióstr KKO, ubranych na czarno, z zamaskowanymi twarzami, zostało początkowo potraktowane jako dowcip zrobiony przez członków ekipy. Ale kiedy pojawiła się broń, z której na postrach wystrzelono w powietrze, członkowie ekipy filmowej zrozumieli powagę sytuacji.

Jeńców zgromadzono w jednym miejscu pod strażą. No i zaczęło się. Napastniczki zdemolowały i zniszczyły sprzęt i dekoracje. Wydawało się, że akcja zakończy się sukcesem i bez ofiar.

Nagle, w czasie niszczenia sprzętu, nadjechała furgonetka,

a w niej trzech kamerzystów, trzech dźwiękowców, dwóch kierowników planu i asystent reżysera. Wszyscy spędzili wieczór, bawiąc się w Baton Rouge. Później dziennikarze pisali, że kilku z nich było pod niezłym gazem.

Furgonetka została zatrzymana przez uzbrojone siostry KKO. Pasażerom rozkazano wysiąść rękoma uniesionymi nad głową. Zaczęli wysiadać z auta. Drugi wysiadający facet, Frank H. Hilliard, szef planu z Van Nuys, w Kalifornii, nagle odwrócił się do najbliższej siostry KKO i usiłował wyrwać jej M-16, ale ona strzeliła i zabiła go.

To była ta jedna, jedyna ofiara w Plaquemines. Kompletne zniszczenie rekwizytów i wyposażenia odbyło się bez dalszych incydentów. Następnie siły uderzeniowe wycofały się, wysadzając w powietrze wszystkie pojazdy ekipy filmowej, by nie mogli ich ścigać.

Mimo ofiar śmiertelnych w Hollywood w budynku dyrekcji i w Luizjanie, akcja KKO z dwudziestego kwietnia została uznana za sukces. Poszkodowani nie rozpoznali żadnej z napastniczek w trakcie konfrontacji. Policja nie dokonała żadnych aresztowań.

Według utartego już zwyczaju Kobiety Korpusy Obrony nie rościły sobie prawa do „zaszczytu” autorstwa tych akcji. Ale środki masowego przekazu i amerykańskie społeczeństwo nie miały żadnych wątpliwości, czyja to sprawa. „Make Out Productions Inc.” zostało potępione przez większość dorosłych, a szczególnie przez grupy fundamentalistów kościelnych, które generalnie, mimo ofiar, nie potępiły tego, co się stało.

Sześć tygodni po opisanym wydarzeniu „Make Out” ogłosiło bankructwo.

29 maja 1990

Spojrzeli na siebie i oboje od razu wiedzieli.

— On z nią sypia, prawda? — spytała Ann Harding.

— Och — Todhunter opuścił głowę. — To nie moja sprawa. Nie chcę być w to wplątany.

— To jest twoja sprawa — mruknęła przez zaciśnięte usta. — Jesteś w nią wplątany.

Na dodatek dostaję te listy.

— Jakie listy? — spojrzał na nią.

— Anonimowe. Opisują wszystko. Kiedy, gdzie i inne ohydne szczegóły.

— Ktoś chce namieszać. Niech pani o tym nie zapomni.

— Tod, nigdy mnie nie okłamałeś, prawda?—popatrzyła na niego uważnie. — Więc nie zaczynaj teraz. Ona nigdy mi go nie odbierze. Nigdy.

Brat Nabisco siedział na podłodze, bawiąc się samochodzikami z małym Jeffem. Zbudowali most z czasopism i książek. Malec manewrował swoim ulubionym drewnianym samochodzikiem.

Od czasu zamachu na Molly, w grudniu, KKO zwiększyła środki bezpieczeństwa. Uzbrojona strażniczka strzegła kwatery głównej w Canton przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zarówno Molly, jak i Ann nie pojawiały się publicznie bez ochrony osobistej. Clarkowi przydzielono zadanie pilnowania Jeffersona Turnera Hardinga, co bardzo cieszyło ich obu.

Było tuż po dwunastej. Ostre promienie słońca przebijały przez żaluzje okienne. Ann właśnie wpadła do domu, by spędzić godzinę z synem i upewnić się, czy malec zjadł obiad.

Wczesnym rankiem Rod odleciał z Charleston do Waszyngtonu, aby dostarczyć Molly worek osobistej korespondencji i sprawdzić zabezpieczenia w jej mieszkaniu i biurach KKO. Ann domyślała się, co znaczą te jego częste podróże do stolicy, ale nie mogła mu ich zabronić. Nie była gotowa do konfrontacji, przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Dzisiaj rano rozmawiałam z Lucille — zaczął Clark. — Dzwoniłem do niej z pani domowego aparatu. Nie ma mi pani tego za złe, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Powiedziała, że zakończyła już sprawdzanie swoich współpracowniczek, które wiedziały o akcji na placu ćwiczeń. Przysięga, że wszystkie są czyste. Twierdzi, że informator musi być u nas. Wspomniałem jej, że jeszcze nie zakończyliśmy śledztwa.

Od nieudanej akcji w Lexington, w Kentucky, ściśle przestrzegano tajności planów. Dotyczyło to wszystkich sióstr. Tylko te, które miały brać bezpośredni udział, były informowane o planowanym zadaniu. Nawet rzecznika prasowego, Yvonne Popkin, nie powiadomiono a ataku na „Make Out”, dopóki szturm nie został przeprowadzony.

— Wie pani, tym kapusiem mogła być Lois Campbell i od jej śmierci może nie będziemy mieli więcej kłopotów.

Ann Harding nie odpowiedziała. Siedziała sztywno wyprostowana na krześle.

Obserwowała uśmiech i ruchy swojego syna. Widziała w nim męża i samą siebie.

— Nie wiem, co mam robić — rzekła głucho.

— Ann, nie sędzę, żebym był dla pani najlepszą osobą, by o tym pogadać — westchnął Brat Nabisco.

— Więc z kim mam o tym porozmawiać? Z moją matką? Z teściami? Oni nie rozumieją, to ich tylko przerazi. Jesteś moim przyjacielem, prawda?

— Tak — przyznał. — Jestem pani przyjacielem. Nie. ma niczego takiego, czego bym nie zrobił dla pani i małego Jeffa.

— Powiedz mi, 'Tod, co powinnam twoim zdaniem zrobić?

— Mhm... cóż... — zaczął ostrożnie. — Nie lubię mówić ludziom, jak powinni żyć. Ale uważam, że powinna pani dać im trochę czasu. Wie pani, jak to jest, wiele kłopotów z czasem rozwiązuje się samo, bez niczyjej pomocy.

— Mówisz, że Rod i Molly mogą się sobą znudzić i ich romans się skończy?

— Sama pani wie — wzruszył ramionami — że tak właśnie może być. Warto trochę poczekać i przekonać się.

— Więc co mam zrobić? Przywitać go, kiedy wróci, z otwartymi ramionami?

— Kocha go pani, prawda?

i — Tak — potwierdziła. — Kocham go, a co dostaję w zamian?

— Cóż, ludzie są tylko ludźmi. Jeżeli szuka pani ideału, to na tym świecie pani go nie znajdzie.

— Moja własna siostra — mruknęła z goryczą. — Wiesz, zawsze była dla mnie wzorem. Uważałam ją za silniejszą,

1 twardszą ode mnie i uczciwą. Naprawdę ją podziwiałam.

W moich oczach nigdy niczego nie zrobiła źle. Ale w ciągu ostatnich kilku lat wiele się nauczyłam. Ja też coś potrafię. To znaczy, właściwie ja tu wykonuję czarną robotę. Nauczyłam się przemawiać, zaczęłam myśleć o niej i o sobie jako o równych. Pozbyłam się kompleksów. A teraz ta historia. Powiedziałam sobie, że jeżeli ona zabierze mi męża, to ma więcej pod sufitem niż ja.

— Gówno — stwierdził z niesmakiem. — Co to za gadka? Ma pani więcej, niż ona kiedykolwiek będzie miała. Pani po dwakroć ją przewyższa.

— Naprawdę tak uważasz, Tod?

— Ja to wiem. Jest pani dużo ładniejsza i bardziej sympatyczna? Molly to dzikuska. Miota się to tu, to tam, we

wszystkich kierunkach i roznieca ogień nienawiści wśród ludzi.

Bez wątplenia jest w tym dobra, ale kiedy przychodzi do żmudnej czarnej roboty, siedzenia za biurkiem i pilnowania, by wszystko szło gładko, to już nie dla niej. Ona tego nie po-

trafi, Ann, to wszystko bez pani nie działałoby, taka jest prawda.

Wstała i podniosła dziecko z podłogi, przytuliła je do siebie. Całowała synka, który niecierpliwie wiercił się w jej ramionach.

— No tak — Clark uśmiechnął się.

— Nikt mi ciebie nie zabierze — szepnęła. — Nikt. Nigdy. Zabiję każdego, kto będzie próbował. .

Brat Nabisco westchnął. Potrafił to zrozumieć.

11 czerwca 1990

Dundee był sam w swoim prywatnym biurze w Gmachu Harta. Drzwi zamknął na klucz. Zdjął marynarkę, zszuł buty i rozluźnił krawat. Nakazał sekretarce, by nikogo nie wpuszczala i nie łączyła żadnych telefonów.

Nadszedł odpowiedni czas, uznał senator, aby podjąć decyzję, czy rzeczywiście chce zasiąść w Białym Domu. Była dopiero połowa 1990 roku, ale kampania prezydencka to sprawa przynajmniej dwóch lat. Teraz była najlepsza pora, by zrobić pierwszy ruch. .

Ocecił sytuację i doszedł do wniosku, że ma dwa problemy do rozwiązania.

Pierwszy i najważniejszy — to pieniądze. Był pewien, że 25 milionów dolarów powinno wystarczyć do uzyskania nominacji. Jeżeli ją dostanie, będzie potrzebował jeszcze przynajmniej 75 milionów na dalszą kampanię, ale to problem na później.

Najpierw nominacja. Fundusze, które otrzymał od swoich potężnych przyjaciół, wystarczyły, aby rozkręcić ruch „Głosuj na Dundee'ego”. Kiedy ogłosi oficjalnie, że kandyduje na urząd prezydenta, będzie potrzebował dużej forsy.

Tak, pieniądze to duży problem. Jeżeli nie dostanie forsy, nie będzie musiał martwić się o drugą sprawę: sztab, który poprowadzi kampanię.

Od samego początku wiedział, że Ruth Blohm będzie dobra do pierwszej fazy walki wyborczej, ale nie ma doświadczenia, by pokierować ogólnokrajową kampanią.

Jednak chciał, żeby Ruth została w jego sztabie. Jej pomysły dotyczące „politycznej inżynierii” mogą być użyteczne, a na dodatek Ruth należała do osób pracowitych, a Dundee to cenił.

Thomas J. Kealy również nie nadaje się do prowadzenia kampanii prezydenckiej.

Jest bystry, odpowiedzialny, elegan-

cki i wie, kiedy trzymać gębę na kłódkę, ale nie ma nosa do polityki.

Co prawda Dundee przyrzekł Kealy'emu kluczową pozycję w swojej kampanii i zamierzał dotrzymać słowa. Ale Tom nie miał iskry bożej, która zrobiłaby z niego szefa. Mógłby być szefem sztabu pomocniczego, czy kimś w tym rodzaju. Imponujący tytuł, który nic nie znaczy.

Senator zdjął nogi z biurka, znalazł kawałek kartki i zaczął bazgrać nazwiska ludzi, których będzie potrzebował do sztabu kampanii. Prawdziwego Hitlera na dowódcę, doradców politycznych, specjalistów do kontaktów z robotnikami, biznesmenami i grupami mniejszościowymi. Kilku ekspertów od środków masowego przekazu, ankierów i być może ekipę telewizyjną.

Obliczył, że potrzebuje przynajmniej stu stałych pracowników, nie licząc konsultantów wynajętych na zlecenia. Jeżeli chce dobrych fachowców, musi im dobrze zapłacić. A to oznacza ogromne koszty. Wróć do pierwszej sprawy — skąd wziąć pieniądze?

Miał oczywiście wielu bogatych przyjaciół, do których mógł się zwrócić. Mógł liczyć na indywidualne datki od ludzi, którzy popierali jego stanowisko w stosunku do Molly Turner i KKO. Ale to wszystko kropla w morzu. Żeby zdobyć wielkie miliony, potrzebuje tajnego poparcia tuzina ludzi, którzy w tym kraju trzymają lejce. Senator rozsiadł się wygodnie i pograżył w myślach. Czy to wszystko jest warte zachodu? Stres, fizyczne wyczerpanie, obelgi w mass mediach i być może poturbowanie na ulicy. Czy to jest warte tych wszystkich uśmiechów, naprawiania płotów, całowania dzieci i brzydkich kobiet, jedzenia pomyj i ciągłego braku snu? Senator lubił takie aforyzmy jak: „zrób, co masz do zrobienia, albo pozwól, by ktoś inny to zrobił” lub „jeżeli nie potrafisz rozpalić w piecu, wyjdź z kuchni”. Najlepszy, którego nie powtarzał publicznie, brzmiał: „sraj albo zejdź z tego nocnika”. Pokrzepiony tą myślą, przysunął bliżej telefon i zaczął telefonować do ludzi, których mógł przekonać do swojej osoby i planów.

W ciągu następnych kilku dni zdołał przekonać większość ludzi ze swojej listy. Kilku ludzi, nieważne jak dużą mieli władzę i jak bardzo byli bogaci, nie odpowiedziało na telefon senatora USA. Oczywiście, przez telefon Dundee nie wspomniał, że poszukuje funduszy. Mówił tylko, że ma bardzo ważną sprawę, którą chciałby omówić z rozmówcą osobiście.

Wszyscy, którzy odpowiedzieli, odpowiedzieli tak samo: sprawdzą swój rozkład zajęć i skontaktują się z senatorem, by uzgodnić dogodną dla obu stron datę spotkania. Przez ponad tydzień nikt nie oddzwonił, ale to go nie martwiło. Wiedział, w czym rzecz. Wszyscy ci faceci znali się między sobą. Dobrze wiedzieli, czego od nich oczekuje i senator przypuszczał, że wybiorą jednego spośród swojego grona, który wysłucha jego oferty, a potem przedstawi ją pozostałym z sugestią: poprzeć albo nie.

W końcu zadzwonił H. Fairchild Curtiss, prezes zarządu konsorcjum banków—nie największego w kraju, ale mającego ogromne wpływy.

Curtiss zapytał tym swoim bezbarwnym głosem, czy senator mógłby się z nim spotkać w „Imperialu”, klubie Curtissa na Manhattanie. Dundee znał tę sztuczkę — przyjeżdż do nas, my do ciebie nie przyjedziemy, to ty czegoś od nas potrzebujesz. Ale Curtissowi powiedział, że to wspaniały pomysł.

Jedenastego czerwca tylko w towarzystwie swojego osobistego ochroniarza poleciał do Nowego Jorku. Kiedy Jake Spencer w samolocie przeglądał „Penthousa”, Dundee planował swój apel do H. Fairchilda Curtissa. Nie było sensu oszukiwać bankiera i jego kumpli, to oni mogli dać mu lekcję nabierania.

Na lotnisku La Guardia czekała już na senatora limuzyna. Miała dobrze zaopatrzone barek, więc Dundee i Spencer wypili po kilka głębszych w drodze na Manhattan.

Kiedy auto zatrzymało się przed ogromnymi rzeźbionymi podwojami klubu „Imperial”, senator polecił Spencerowi pozostanie w samochodzie. Jeżeli nie był bezpieczny w „Imperialu”, to prezydent nie był bezpieczny w Białym Domu.

Na schodach oczekiwał lokaj we fraku, który wprowadził senatora do bogato umeblowanej, ciemnej sali klubowej z witrażami w oknach. H. Fairchild Curtiss wyłonił się z cienia i wyciągnął białą łapę na powitanie. Dundee uścisnął ją delikatnie. Obaj mężczyźni rozmawiali na błahe tematy, dopóki lokaj nie wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Curtiss uprzejmie zaproponował drinka i cygaro, a Dundee równie uprzejmie odmówił. Obaj usiedli w głębokich fotelach, stojących obok siebie. Obaj założyli nogę na nogę i splekli dłonie. Przez chwilę przyglądali się sobie z zainteresowaniem. — Chcę pana poinformować, senatorze — zaczął bankier z lodowatym uśmiechem — że ten pokój jest bezpieczny, bardzo często go sprawdzamy. No, a teraz do rzeczy, co możemy dla pana zrobić?

Spokojnie Dundee oznajmił mu, że zamierza ubiegać się

o nominację ze swojej partii w wyborach prezydenckich. Przyjechał zabiegać o fundusze dzięki którym jego kandydatura miałaby szansę.

Zaczął opowiadać o swojej karierze senatora, ale Curtiss przerwał mu.

— Znamy pańską karierę polityczną, przejrzelismy pański życiorys — stwierdził z chłodnym uśmiechem.

Jest bezpłciowy, pomyślał senator. Politycy mogą być głupcami, łapówkarzami, pijakami — nieważne, ale, na Boga, są ludzie. Ten facet w garniturze od Savile Row w ogóle nie ma ludzkich odruchów. To nie człowiek, to bezduszna kukła. Mówiąc spokojnie, ale stanowczo, Dundee przedstawił ten sam program, który zaproponował swoim bogatym przyjaciołom w hotelu w Silver Spring — swoją „deskę ratunkową” — polityczną filozofię. Chce oprzeć ten kraj na forsie. Znieść stanowe i krajowe podatki, spowodować, by Departament Stanu skoncentrował się na ekspansji ekonomicznej, oddać większość usług rządowych prywatnym firmom. Bankier słuchał go, nie przerywając ani słowem. Kiedy senator skończył, Curtiss zadał mu tylko jedno pytanie:

— A co z tą kobietą? Z tą Molly Turner?

Dundee wyjaśnił mu, że kruczata przeciwko KKO miała na celu uczynienie z niego polityka znanego w całym kraju.

— To przerosło moje najśmielsze oczekiwania — stwierdził. — Jestem pewien, że i pan się z tym zgodzi. Będę musiał złagodzić moje ataki, jeżeli chcę otrzymać nominację i zostać prezydentem. Ale jestem przekonany, że KKO pod przewodnictwem Molly Turner stanowi zagrożenie dla tego wszystkiego, na czym ten kraj się opiera. Uczciwie i szczerze w to wierzę.

Nieznacznym jasnorożowym rumieniec pojawił się na policzkach H. Fairchilda Curtissa.

— Próbują dostać się — rzekł gospodarz nieswoim głosem. Dundee spojrział na niego zdziwiony:

— Kto? — spytał. — Gdzie?

— Te cholerne baby — mruknął bankier, okazując po raz pierwszy gniew. — Do klubu. Do „Imperialu”. Czy może pan to sobie wyobrazić? Ekskluzywny klub, tylko dla dżentelmenów, takim jest od ponad stu lat. Czy prywatni obywatele nie mają prawa zrzeszać się w sposób, w jaki chcą?

— Jasne, że mają.

— Ale te baby twierdzą, że nie. One mówią, że „Imperial” i kluby takie jak on są miejscami, gdzie załatwia się interesy

i zawiera układy polityczne na wysokim szczeblu. One uważają, że wielu członków klubu ma opłacane składki przez firmy, które wliczają to w swoje koszty. Te kobiety domagają się, by takie kluby otworzyły swoje podwoje dla każdego. Każdego. Czy może sobie pan coś takiego wyobrazić?

— To oburzające — przyznał Dundee.

— Dziwki — warknął wściekle Curtiss.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, potem bankier wstał i wyciągnął zimną rękę po rąz drugi. Przyrzekł poinformować Dundee'ego w przeciągu tygodnia, czy jego grupa poprze kampanię senatora.

W tygodniu owym nastąpiło kilka wydarzeń, które miały niewielkie znaczenie, ale ogromny wpływ na wiele osób, a nawet na historię Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Kilka dni po spotkaniu H. Fairchilda Curtissa z senatorem Dundee, członkinie pułku Kobięcych Korpusów Obrony stanu Nowy Jork wtargnęły do klubu „Imperial”.

Siostry nie były w mundurach, ale w eleganckich sukniach.

Wędrowały po jadalni, barze, czytelnicy, bibliotece, wtargnęły nawet do gabinetu dyrektora klubu. Kierownictwo po^oprosiło je, aby opuściły pomieszczenia, ale one nie posłuchały. Wezwano policję. Większość sióstr usunięto z klubu siłą. Kame-i ry telewizyjne i fotoreporterzy rejestrowali te sceny.

Siostronom zarzucano rozmyślne naruszenie własności prywatnej i uwolniono za poręczeniem. Po jakimś czasie wszystkie zarzuty wycofano. Dwa dni później inna grupa członkiń KKO powtórzyła inwazję. Z powodu tych zajść klub „Imperial” stał się pośmiewiskiem w prasie i w telewizji.

Kiedy dowódczyni pułku stanu Nowy Jork publicznie ogłosiły, że najścia będą kontynuowane, dyrektor klubu zaczął szukać możliwości, by przedyskutować warunki, pod jakimi kobiety będą mogły uzyskać członkostwo klubu.

Dzień po tym zdarzeniu H. Fairchild Curtiss zatelefonował do Lemuela K. Dundee.

— Ma pan nasze poparcie — rzekł sucho.

27 lipca 1990

— A cóż to za mieszkanie? — zdziwił się Rod Harding, rozglądając się po niewielkim mieszkaniu Molly w Chinatown. — Mogłaś znaleźć coś lepszego niż ta nora.

— Prawie tu nie mieszkam — rzekła Molly wzruszając

ramionami. — Cały czas jestem w rozjazdach. To tylko miejsce do spania.

— Nasze gniazdko miłosne z karaluchami i zardzewiałym zlewem.

— Narzekasz, kotku.

— Ja? Skądże. Nigdy nie narzekam i nigdy się nie tłumaczę, to moja dewiza życiowa.

— Co słyhać w Canton? Jak tam Ann?

— W porządku.

— A malec?

— Rośnie jak na drożdżach. Wydaje się, że co tydzień wyrasta z ubrań i bucików. Todhunter Clark nazywa go królem. Jak ci się to podoba? Clark naprawdę kocha tego dzieciaka.

Nie odpowiedziała. Wiedział, że bardzo nie lubi Brata Nabisco, więc nie rozwijał tematu. Wysypał zawartość torby na blat biurka.

— To dla ciebie. Uniwersytet w Berkeley chce, żebyś wygłosiła tam cykl odczytów.

— To miłe. Płacą?

— Jasne. Pokryją wydatki i dają niezłe honorarium. Virginia Terwilliger była w Canton i długo rozmawiała z Ann. Właściwie cały wieczór.

— O czym gadały?

— Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie przy tym. Znajdziesz tu długie, poufne sprawozdanie od Ann na ten temat. Jest w zapieczętowanej kopercie. Nie wiem, co jest w środku.

— Przestań, Rod, Ann nie ma przed tobą tajemnic. O czym rozmawiała z Virginia Terwilliger?

— Przeczytaj raport Ann — mruknął, zdejmując koszulę. Mamy dla siebie około trzech godzin. Cztery to góra, potem muszę wracać.

— Jeżeli dajesz mi tylko cztery godziny, to muszą one wystarczyć. Ty jesteś szefem.

— Od kiedy?

Po chwili leżeli nadzy w łóżku.

— Nie bardzo mnie lubisz, prawda? — spytała.

— O czym ty mówisz? Lubić cię? Przecież ja ciebie kocham.

— Kochasz? Być może. Na swój sposób, ale mnie nie lubisz.

— No dobrze — zgodził się. — Jesteś po prostu zbyt spięta.

— Co w tym złego? — zakpiła. — Nie jesteś wystarczająco męski, by mnie zaspokoić.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

— Co to za babska szowinistyczna gadka?

— Masz rację — szepnęła skruszona. — Przepraszam, ale nie próbuj zmienić mnie w kogoś, kim nie jestem. Wiesz, kim byłam, kiedy zaczęliśmy tę historię.

— Taaak — potwierdził. — Wrzodem na dupie. Kochali się z gniewem i złością, a kiedy skończyli, odsunęli się od siebie bez słowa.

— Jezu! — westchnęła. — Przynieś coś zimnego do picia.

— Ty przynieś.

Zastanowiła się przez moment, po czym wstała z łóżka, weszła do kuchni i otworzyła dwa piwa.

— Dzięki — skinął głową.

— Nie ma za co.

— Chcę jedynie powiedzieć, że możesz być inspiratorką, możesz miotać, jak młodzieniec. W porządku, wiem, ile to dla ciebie znaczy. Ale jeśli chodzi o nas, o mnie i o ciebie, na miłość boską, nie możesz się rozluźnić? Nie jestem twoim wrogiem.

— Oczywiście, że jesteś — powiedziała cicho. — W pewnym sensie.

— Do diabła, co to ma znaczyć?

— Sama siebie nie rozumiem, ale wiem, że w głębi duszy chcę cię ukarać. Tobie naprawdę jest potrzebna taka kobieta jak Ann.

— Właśnie. I dlatego rznę ciebie.

— W tym rzecz, ty mnie rzniesz. Czy nigdy nie przyszło ci do tej twojej męskiej szowinistycznej głowy, że to ja ciebie rznę?

— No dobra — mruknął. — Rzniemy się wzajemnie. Czy to cię satysfakcjonuje?

— Nie, nie do końca. Jeszcze jeden numerek, co? Roześmiali się tak serdecznie, że rozlali trochę piwa.

— A teraz poważnie, Molly — zaczął. — Do diabła, chciałbym, żebyś spróbowała się rozluźnić, nie możesz być zawsze taka spięta. Nie chcę cię zniszczyć. Naprawdę jestem twoim przyjacielem.

Nie odezwała się, ale wstała z łóżka i zaczęła szukać papierosów. Zapaliła jednego i usiadła na podniszczonym fotelu. Przewiesiła jedną nogę przez poręcz. Rod usiadł na łóżku, oparł się o poduszki i obserwował ją.

— Sypiałam z facetami przed tobą — powiedziała, patrząc na popekany sufit. — Nie było ich wielu. Aż spotkałam Normę Jane Laughlin. Boże, ta kobieta otworzyła mi oczy. To było jak opuszczenie więzienia. Miałam uczucie, że zmarnowałam te wszystkie lata, przed jej poznaniem. Jeżeli to cię interesuje,

jestes jedynym facetem, z którym sypiam od czasu smierci Normy Jane. Powiedziales, ze kochasz mnie na swój sposob i ja ci wierze. Ja tez ciebie kocham na mój sposob. To w porzadku. Mozemy byc ze soba, ale w zaden sposob, w zaden sposob nie bede juz taka, jak przed poznaniem Normy Jane. Przykro mi, ze uwazasz mnie za zbyt spietą, ale taka wlasnie jestem. Zdecyduj sie, zostań ze mną albo mnie zostaw.

— Zostaje z toba — rzekl bez wahania. — A teraz z powrotem do lozka.

— Jeszcze nie. Dokończmy tę rozmowę. Nie kpisz sobie z KKO i z tego, w co ja wierze, prawda?

— Oczywiście, ze nie. Jestem feministą. Nie takim zwariowanym jak ty, ale któz ci dorówna? Wierze w to, o co walczysz, mozesz byc pewna.

— A wcale nie jestem — zaczęła, patrząc na niego. — Niekiedy odnoszę wrażenie, ze ty w nic nie wierzysz. Czasami wydaje mi się, ze KKO jest dla ciebie tylko zabawką. Jesteś jak najemnik. Ty i Clark.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Jest w tym trochę prawdy — przyznał niechętnie. — Nie mogę twierdzić, ze jestem taki wściekły na gwałcicieli, czy pornografię jak kobiety, ale nie jestem w KKO tylko dla pieniędzy czy zabawy. Widziałem zbyt wiele gówna w wojsku, w Wietnamie, a potem w policji. Zmieniłem się, wszystko straciło dla mnie sens. Ideały zwietrzały. Potem zjawiała się ty, z tą twoją szaloną babską krucjatą. To mi się spodobało. Więc zdecydowałem dołączyć do ciebie. Masz rację, częściowo jestem najemnikiem, lubię wiązać się z ludźmi, którzy mają jakieś ideały i w coś wierzą. Może mi to kiedyś przejdzie. Wiem, ze to, co mówię, jest zagmatwane, ale wlasnie tak czuję.

— Nie wierzysz, ze zwycięzę, co?

— Och, zwyciężysz, ale i tak nie osiągniesz wszystkiego, co zamierzasz, bo to niemożliwe. Wywalczysz coś, być może nawet dużo, ale jest wiele rzeczy, których nie załatwisz.

— Na przykład czego?

— Na przykład zmiany sposobu myślenia mężczyzn o kobietach, ani sposobu myślenia kobiet o sobie samych. Być może ludzką naturę można zmienić, ale na to potrzeba wielu, wielu lat.

— Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

— A jedno rżnięcie w porę jest lepsze od dziewięciu w marszu? Czy teraz wrócisz do lozka?

— Tak.

Przejechał palcami po jej kościstym ciele.

— Chudsza niż przedtem — stwierdził. — To tak, jak pójdzie do łóżka z harcerzem.

— Może to właśnie lubisz.

— Może. Przygotuj się, dziecińko.

Kochali się powoli, z przejęciem, patrząc sobie w oczy. Później, kiedy ubrał się, Molly powiedziała:

— Chcę, żebyś pozbył się Todhuntera Clarka.

— Dlaczego?

— Nie lubię go.

— Ależ on robi wspaniałą robotę.

— Wiem, ale ja go nie znoszę. Patrzy na mnie, jakby coś o mnie wiedział, sama nie wiem.

— Gadasz głupstwa.

— Rod, myślisz, że on wie o nas? Pochylił się i zawiązywał sznurowadła.

— Skąd miałby to wiedzieć? — spytał bezbarwnie.

— Może sam mu powiedziałeś? Podniósł głowę i spojrzał na nią.

— Jasne, dałem nawet ogłoszenie do „Kuriera Cantońskiego”.

— Mężczyźni lubią przechwalać się swoimi tak zwanymi podbojami. Być może pewnego wieczora popijaliście piwo i wtedy mu powiedziałeś.

— Moll, mogłabyś przestać, to bez sensu.

— No cóż, nie znoszę go. Wyrzuc go.

— Do diabła, jak mam to zrobić, co?

— Po prostu zwolny go. Jeżeli nie masz dość odwagi, sama to zrobię.

— Jezu — jęknął. — Niezłe z ciebie ziółko. Słuchaj, on się pali do Lucille Jackson z Lexington. Powinniśmy go zostawić na naszej liście płac, ale przeniesiemy go do pułku Kentucky jako doradcę wojskowego, czy coś w tym rodzaju. Czy to cię zadowala?

— Mhm... — mruknęła. — No, dobra. Tylko, żeby nie widziała tej jego głupiej gęby w Canton.

— Po powrocie porozmawiam o tym z Ann — przyrzekł.

— Powiedz jej, że bardzo mi na tym zależy.

— Dobrze.

Już ubrany, przysiadł na brzegu łóżka, pochylił się i pocałował jej twarde, sterczące sutki. Potem ujął jej twarz w swoje dłonie.

— Nic ci nie jest, Moll?

— Wszystko w porządku. Muszę pojechać do Michigan

w przyszłym tygodniu na inspekcję tamtejszego pułku, ale wracam w czwartek. Przyjedziesz?

— Mhm... w czwartek są urodziny mojej mamy, Ann zaplanowała przyjęcie. Nie mogę na nim nie być. Coś ci powiem, dlaczego nie zatrzymasz się w Canton w drodze powrotnej z Michigan? Przyjedź na przyjęcie. A może uda nam się urwać razem na kilka godzin do tajnego domku?

— Nie cierpię ukrywania się — rzekła.

— Ja też nie, ale czy masz lepszy pomysł?

— Tak, ale ty nie chcesz o nim słyszeć.

— No właśnie — spojrzał na nią. — Nie chcę o nim słyszeć. Moll, kiedy tylko zechcesz, porzuć mnie. Po prostu powiedz, a odejdę, nie będę się narzucał.

— Szuja. Wiesz, że tego nie zrobię.

— Więc pogódź się z tą sytuacją i przestań narzekać.

— Co ja właściwie powinnam zrobić? — odwróciła twarz od niego. — Powiedzieć, weź dupę w troki i znikaj stąd? Nie potrafię, niestety, tego zrobić.

Odwrócił jej głowę tak, że znowu patrzyła na niego.

— Jest, tak źle? — zapytał delikatnie. — Jest tak okropnie, że potrzebujesz i chcesz mężczyzny?

— Nie każdego mężczyzny, tylko ciebie.

— Lepiej znajdź sobie jakiegoś faceta — mruknął cierpko. — Powiedziałem ci na początku, Ann jest moją żoną, a Jeff moim synem i tak pozostanie.

— Dobrze, dobrze — burknęła. — Nie musisz mi tego powtarzać, ciągle o tym pamiętam.

— To dobrze, a teraz muszę już ruszać. Jeszcze buziak na drogę.

Objęli się. Trzymała go mocno, tak mocno, że czuł drżenie jej ciała, ale nie płakała. *Z powodu szczupłości miejsca przedstawiamy tylko kilka ogólnokrajowych akcji, dzięki którym KKO znalazła się na pierwszych stronach gazet i ekranach telewizyjnych.*

W okresie 1980—1990 prowadzono pomniejsze kampanie, które wzbudzały niewielkie zainteresowanie. Istotne jest to, że działalność sióstr KKO była wynikiem rewolucyjnego sposobu, w jaki kobiety reagowały na to, co uważały za niesprawiedliwość, dyskryminację i dręczenie.

Nie wierzyły, że uda im się naprawić krzywdy przez zabiegi na drodze prawnej.

W Land's End, w Kalifornii, mężczyzna, którego sąd uznał

za winnego bicia żony i w efekcie zatłuczenia jej na śmierć kijem baseballowym, otrzymał wyrok: rok w ośrodku resocjalizacyjnym. Przewodniczący rozprawie sędziego uznał, że ofiara prowokowała męża. Siostry KKO porwały obu, mordercę i sędziego. Pierwszy został zatłuczony kijem baseballowym, a drugiego wysmarowano smołą, wytarzano w pierzu i wypuszczono na schody przed gmachem sądu.

W Riverdale, w Arkansas, bankier, któremu zarzucano napastowanie seksualne dzieci, został puszczony wolno, chociaż był uprzednio aresztowany trzydzieści cztery razy pod tym samym zarzutem. Kampania KKO, w tym także bojkot, doprowadziła do zamknięcia jego banku i przeprowadzenia śledztwa przez władze federalne. Jego dom spalono doszczętnie, a prywatny samolot wysadzono w powietrze.

W River Bend, na Florydzie, grupa pracowników budowlanych zaczęła przechodząc obok placu budowy kobiety nieprzyzwoitymi okrzykami i gestami. Zostali oni poturbowani przez pluton sióstr KKO uzbrojonych w trzonki od siekier, pałki gumowe iłańcuchy. Sześciu z nich wymagało hospitalizacji, ale położono kres zaczepkom.

Te i wiele innych podobnych incydentów wywołało gniewne potępienie Molly Turner przez mężczyzn i kobiety, którzy ostro skrytykowali „agresywność” sióstr KKO.

Dyskusja na ten temat stawała się coraz bardziej zagorzala, ale w połowie 1990 roku nikt nie zaprzeczał, że nieustępliwa obrona godności kobiet przez Molly Turner zmieniła sposób myślenia mężczyzn o kobietach i sposób myślenia kobiet o sobie samych.

3 sierpnia 1990

Doroczny zjazd Narodowego Sprzysiężenia Kobiet odbywał się tego roku od 30 lipca do 4 sierpnia w Waszyngtonie, w centrum konferencyjnym. To był szczególnie hałaśliwy zjazd, a wszystko przez Virginie Terwilliger, która w swoim wystąpieniu zaproponowała połączenie Narodowego Sprzysiężenia Kobiet z Kobięcymi Korpusami Obrony i przejęcie nazwy, celów i metod działania KKO.

— Efekt będzie taki — stwierdziła — że powstanie największa na świecie organizacja zdeterminowanych kobiet.

Swoją propozycją wywołała zażartą dyskusję nie tylko na forum zjazdu, ale również w kuluarach. Dyskusje trwały przez

cały tydzień przyciągając uwagę mass mediów. Molly Turner odmówiła wyrażenia swojej opinii na temat połączenia. Dziennikarzom powiedziała tylko, że podporządkuje się decyzjom zjazdu.

Virginia Terwilliger przedstawiła propozycję, by pomysł połączenia NSK i KKO osądził Zarząd Główny. Po intensywnej działalności przez kilka miesięcy, była przeświadczona, że większość Zarządu ma po swojej stronie. Ale znalazła się grupa weteranek NSK, która się z nią nie zgadzała. W połowie tygodnia stało się oczywiste, że jej propozycja zostanie poddana pod ogólne głosowanie.

Oczywiście, Constance Underwood nie próżnowała. Zręcznie skupiła wokół siebie własne poplecniczki. Jeżeli nawet nie powstrzymałaby Terwilliger, była w stanie obronić się przed-atakami Virginii i sił, które ją popierały.

W czwartek, drugiego sierpnia, opozycyjne grupy wysmażyły kompromis, który zaprezentowano wszystkim uczestniczkom zjazdu do zatwierdzenia na ostatniej sesji, w sobotę, wieczorem czwartego sierpnia.

W porozumieniu tym postanowiono powołać specjalną komisję, by przyjrzała się i zastanowiła nad tym pomysłem i przedstawiła swoje stanowisko na zjeździe w 1991 roku. W skład komisji wchodziły: dwie przewodniczące oddziałów stanowych NSK, dwie przedstawicielki KKO w stopniu dowódców pułku i trzy członkinie Zarządu Głównego.

O 17⁰⁰ trzeciego sierpnia Constance Underwood wydała party w hotelu „Cztery Pory Roku” w Georgetown. Zaprosiła ponad stu gości: między innymi kierownictwo NSK, polityków, popleczników NSK, dziennikarzy, przedstawiciele biznesu i kilka żon ambasadorów.

Molly Turner i Ann Harding również zostały zaproszone, ale się nie zjawiły, chociaż obie były w Waszyngtonie na zjeździe. Przyszła natomiast Virginia Terwilliger. Zręcznie unikała jednak gospodyni. Connie, ubrana w oszałamiającą purpurową szyfonową kreację od Yves Saint Laurenta, poruszała się swobodnie w tłumie gości, wymieniając całusy z kobietami i mężczyznami, witając większość gości po imieniu.

Około 19⁰⁰ tłum zaczął przersedzać się. Connie zamierzała szybko wrócić do domu, przebrać się i pójść na wieczorną część obrad. Nagle zastąpił jej drogę ogromny, zwalisty mężczyzna, którego, tego była pewna, nigdy przedtem nie spotkała i który nie był zaproszony na jej przyjęcie. Nie podobał jej się obleśny uśmiech tego faceta. — Pani Underwood? — zapytał.

— Tak. A pan kim jest?

— To nie ma znaczenia — powiedział z obmierzłym uśmiechem. — Czy moglibyśmy zamienić kilka słów?

— Nie sędzę — stwierdziła zimno. — Nie mam czasu. Jeżeli to dotyczy spraw NSK, proszę napisać list do centrali. Zapewniam pana, że otrzyma pan odpowiedź.

— Pani mnie zapewnia — powtórzył. — To mi się podoba. Nie, tonie ma nic wspólnego z NSK. To dotyczy pani i... Billa McCrei. Pamięta go pani jeszcze? Nie należała do strachliwych kobiet, nie dała po sobie poznać niepokoju.

— Billy McCrea, a któż to taki? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— Jesteś dobra — przyznał z podziwem. — Ale to nic ci nie da. Billy McCrea, ten piękny, głupiutki dzieciak, któremu płaciłaś za zabawy i figle. No, dalej, moja damo, pogadamy o nim, albo znajdziesz się jutro na pierwszych stronach gazet.

„Przewodnicząca NSK zamieszana w samobójstwo narkomana”, jak ci się to podoba?

Pomyślała szybko i rozejrzała się dookoła. Goście zbierali się do wyjścia.

— Jest tu kilkoro ludzi, z którymi muszę się pożegnać. Potem będę mogła poświęcić panu kilka minut.

— To mi odpowiada — wzruszył ramionami.

Dziesięć minut później spotkali się w pokoju recepcyjnym.

— No dobrze, do rzeczy, o co panu chodzi?

— Billy McCrea, pamiętasz go? Przyznaję, że ten dzieciak był przygłupem, ale nie był taki głupi, za jakiego go uważałaś. Miał mały notesik, który przez przypadek znalazł się w moich rękach. Przejrzałem go dokładnie. Na jednej ze stron znalazłem twoje nazwisko, adres, numer telefonu, daty waszych spotkań i sumy, jakie mu płaciłaś. A także inne notatki, o których nie wspomnę, bo jestem dżentelmenem.

— To widać — mruknęła. — Wystarczy popatrzeć na pański poplamiony krawat.

— Lubię dziwki — powiedział uprzejmie. — Sprawia mi przyjemność usadzenie ich. Rozumie pani, pani Underwood, moja żona musi być operowana, babskie sprawy. Zabieg ma kosztować dziesięć tysięcy, ja ich nie mam, za to pani ma, a ja mam mały, czarny notesik Billa McCrei.

— Zastanowię się nad tym — szepnęła. — Jak się pan nazywa? Jak mogę się z panem skontaktować?

— Nie musi pani — uśmiechnął się boleśnie. — To ja się z panią skontaktuję. Nie ma pośpiechu.

— Więc operacja pańskiej żony może poczekać?

— Nie bez końca. Wcześniej czy później zgłoszę się po tę dychę. Zadzwońię do pani.

Czekała, dopóki nie wyszedł. Później znalazła automat telefoniczny i wykreśliła zastrzeżony numer Jamesa Gargana.

— Jim, muszę się z tobą dziś zobaczyć — powiedziała. — O pierwszej w nocy. Odpowiada ci?

— Kłopoty? — zapytał słysząc niepokój w jej głosie.

— Tak sędzę. Potrzebuję twojej pomocy.

— W porządku, będę u ciebie ó pierwszej.

— Kocham cię — rzekła. - Odwiesiła słuchawkę i wróciła do domu. Przebrała się złapała taksówkę i pojechała na obrady. Starła się wyglądać tak, jakby nic się nie wydarzyło. Starannie ukrywała swój niepokój. Uśmiechnęła się uprzejmie do Molly Turner i Ann Harding, uściskała je i wkrótce wróciła do siebie, do Watergate. Zdażyła jeszcze przed przyjściem Jima wziąć prysznic.

Kiedy wszedł, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go, wsuwając głęboko język w jego usta. Cofnął się i przyjrzał się jej uważnie.

— Czy to ten kłopot, o którym wspominałaś? — spytał.

— Nie — uśmiechnęła się nerwowo. Usiadła blisko niego na kanapie i założyła nogę na nogę. Jej aksamitny szlafrok rozchylił się. Gładził jej gładkie kolano i udo, jednocześnie słuchając opowieści.

— W porządku — mruknął, kiedy skończyła. — Billy McCrea był morfinistą, który popełnił samobójstwo, prawda? Pamiętam, czytałem o tym wypadku.

— Nie był żadnym narkomanem, przysięgam. Billy był w porządku.

— Więc go znałaś? Milczała.

— Connie, jeżeli chcesz, bym ci pomógł, musisz mi wszystko powiedzieć.

— Tak, znałam go.

— I sypiałaś z nim?

— Tak.

— Płaciłaś mu za to?

— Małe napiwki od czasu do czasu — próbowała bagatelizować. — Nie miał za dużo pieniędzy. Był takim pięknym dzieciakiem. Niezbyt rozgarnięty, ale słodki.

— Okay, a teraz pogadajmy o tym facecie z hotelu. Widziałaś go już przedtem?

— Nie, nie przypominam sobie.

— Jak wyglądał?

— Potężny, przygarbiony. Bycze ramiona i kark. Twarz faceta, który lubi popijać — czerwona. Kwadratowy nos i najbardziej obleśny uśmiech, jaki w życiu widziałam.

— Potrafię go sobie wyobrazić — stwierdził Gargan. — Możesz się z nim skontaktować?

— Nie, nie przedstawił się, nie podał swojego adresu ani numeru telefonu.

Powiedział, że to on do mnie zadzwoni. Działa, jakby mu się nie śpieszyło.

— Dobrze, jeśli zatelefonuje, zastosuj wymijającą taktykę. Powiedz, że ciągle się zastanawiasz. Powiedz, że próbujesz zgromadzić gotówkę. Mów obojętnie co, ale trzymaj go najdłużej jak się da przy telefonie.

— Jim, pomożesz mi?

— Sądzę, że tak. Facet wygląda na sprytnego szantażystę. Zapłacisz mu dychę, a to okaże się tylko pierwszą ratą. Wyciśnie cię, jak cytrynę. Naprawdę wierzysz, że Billy McCrea miał notes?

— Nawet nie wiem, czy potrafił pisać.

— Nie martw się tą sprawą, dziecinko. Skontaktuję się z miejscowymi glinami, chyba uda im się go zidentyfikować na podstawie twojego opisu. Dopadniemy go.

— O Jezusie, Jim, Uczę na to. Wiesz, co się dzieje w NSK, niepotrzebny mi właśnie teraz skandal.

— Nie zamartwiaj się, dziecinko — pogłaskał jej policzek. — Zostaw to tatulkowi Jimowi. Ja się tym zajmę.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła? ,

— Widywałabyś się częściej z Tomem Kealy — uśmiechnął się niewinnie.

— Och, on. Wiesz, że on jest niepewny?

— Spotykaj się z nim — doradził. — Potrzebujesz kontaktów z Dundee.

— On lubi wkładać moją bieliznę.

— Kto? Dundee?

— Głuptas — roześmiała się. — Kealy.

— Nie chcę zakładać twojej bielizny, nawet nie chcę, żebyś ty ją nosiła.

— Wiem, więc teraz jej nie mam na sobie.

— To dobrze. Zaoszczędzimy trochę czasu, prawda?

— Jasne, zasłużyliśmy na to. O Boże, Jim, jesteś taki cudowny.

8 września 1990

Molly Turner spędziła cały tydzień w Denver, gdzie występowała jako świadek w procesie przeciwko trzem siostronom KKO, oskarżonym o usiłowanie podpalenia i podłożenie bomby w sklepie sprzedającym pornograficzne filmy video. Wszystkie trzy zostały skazane na wysokie grzywny i wyroki w zawieszeniu oraz oddane Rod nadzór kuratora na okres dwóch lat. Turner przyjechała do Canton wściekła.

Wyrok był porażką, ale jeszcze większą złość obudził w niej fakt, że ładunki wybuchowe zostały podłożone po amatorsku. Trzy skazane siostry miały niewielką wiedzę na temat, jak to zrobić, no i żadnego doświadczenia w podkładaniu bomb.

Molly zrobiła karczemną awanturę dowódczym pułku Colorado.

Na dodatek wiele spraw czekało na nią w Canton. Comiesięczny przekaz z centrali NSK znowu się opóźnił. Pułkownik z Alabamy i jej dwie współpracowniczki zostały aresztowane podczas próby napadu na dom towarowy. Brój, którą miały przy sobie, dostarczyło KKO.

I jeszcze senator Dundee zajadłe zaatakował osobę Molly Turner w czasie audycji telewizyjnej, nazywając ją „hańbą amerykańskich kobiet” i największym zagrożeniem na ich drodze do równouprawnienia.

Ale najbardziej rozzłościła Molly Turner nieobecność Roda. Hardinga, który był akurat w podróży do Miami po kolejną partię broni. Todhunter Clark ciągle przebywał w Canton, pracując nadal jako osobista ochrona Jeffersona Turnera Hardinga.

— Mówiłam Rodowi, żeby go wyrzucił — warknęła ostro do siostry. — Nie powtórzył ci?

— Powtórzył — odrzekła Ann spokojnie. — Aleja chciałam omówić to z tobą.

— Cholera, nie chcę go tu widzieć! Wyślij go do Lexington, albo dokąd zechcesz, gdzieś gdzie nie będę musiała patrzeć na tę jego głupią gębę. Chcę, żeby stąd zniknął.

— Porozmawiamy o tym później.

Pracowały wspólnie w budynku byłego domu towarowego. Przejrzały zaproszenia, korespondencję, rachunki, wyciągi z kont, omówiły zmiany personalne. Około 18⁰⁰ ósmego września wszystkie pracownice już opuściły biura, a ha służbę przyszły uzbrojone strażniczki.

— Miałaś jakieś wiadomości od Terwilliger? — zapytała Molly.

— Dzwoniła z Detroit. Twierdzi, że mamy trzy pewne głosy

tej specjalnej komisji. Sugeruje, że najlepszym rozwiązaniem będzie przeciągnąć na naszą stronę przewodniczącą oddziału stanowego NSK z Michigan. Nazywa się Stacy, ale w zamian za swój głos chce dostać prawo obsadzenia stanowiska dowódcy pułku w swoim stanie. Terwilliger powiedziała, że mam ciebie zapytać o zdanie.

— Pieprzę to — mruknęła wściekle Molly. — Osobiście mianowałam komendantkę Michigan. Jest dobra i nie zamierzam jej wykopać tylko po to, by dostać głos Stacy.

— Spokojnie, Molly. Czasami musisz trochę ustąpić, żeby dostać, co chcesz.

Pogadaj ze Stacy na ten temat, a ta specjalna komisja przegłosuje połączenie.

Terwilliger przysięga, że ty zostaniesz szefową tej nowej organizacji. Potem znajdziesz ważne stanowisko dla tej pułkownik z Michigan, którą poświęcisz i wszyscy będą szczęśliwi. Uważam, że właśnie w taki sposób powinnaś to rozegrać.

— Ja nie załatwiam spraw w taki sposób — powiedziała stanowczo Molly. — Nie poświęcę żadnej z sióstr dla mojej osobistej korzyści.

Ann nie odpowiedziała od razu. Zaczęła przeglądać papiery. Jej ręce nieznacznie drżały.

— Prosiłam Terwilliger, żeby się z tobą spotkała w Waszyngtonie — powiedziała.

— Być może jej uda się przemówić ci do rozumu. Pracowała ciężko nad tą sprawą i ma prawo zostać wysłuchana.

— W porządku — zgodziła się Molly niechętnie. — Wysłucham, co ma do powiedzenia.

— A teraz wrócimy do Todhuntera Clarka — zaczęła Ann, patrząc prosto w oczy Molly. — Chcę go tutaj. Nie wiem, dlaczego go tak bardzo nie lubisz, ale to twój problem. Ja mu ufam i poza tym jest taki wspaniały dla Jeffa. Uwielbia małego, a Jeff przepada za nim. Nie widzę powodów, żeby go wyrzucić na twoje żądanie. Robi dobrą robotę dla KKO.

— Po prostu go nie znoszę — warknęła wściekle Molly. — Musi stąd odejść, to wszystko.

— Jeżeli on odejdzie, to ja także.

— Co? — wykrzyknęła Molly. — O czym ty do diabła mówisz?

— Słyszałaś. Jeżeli pozbędziesz się Toda, pozbędziesz się mnie. Mówię poważnie.

— Jezu Chryste, nie stawiam tego faceta przed plutonem egzekucyjnym, tylko chcę go przenieść do pułku Kentucky. On i Lucille Jackson mają się ku sobie, prawda? Spodoba mu się w Lexington.

— Chcę mieć go tutaj.

— Chcesz, chcesz... od kiedy ty decydujesz?

— Od chwili, kiedy uświadomiłam sobie, że ja też wiele robię dla naszej organizacji. Tyle samo co ty, a może nawet więcej. W niektórych sprawach będę wykonywać twoje polecenia, ale jeżeli chodzi o Toda, nie...

— To jest wojsko, dziecinko. Wiedziałaś o tym od momentu, kiedy wstąpiłaś do KKO. To ja ciebie mianowałam i...

— A kto mianował ciebie? — przerwała jej gwałtownie Ann. — Gdybyś straciła życie w tym zamachu, w którym zginęła Lois Campbell, czy uważasz, że KKO przestałoby istnieć? Nie! Istniałoby nadal, bez ciebie, beze mnie, bez którejkolwiek z nas, więc nie wciskaj mi tu nazistowskich kawałków typu „Ja jestem fuhrerem, a ty tyłka wykonujesz moje rozkazy”. Ty i ja jesteśmy równe. Mam tyle samo do powiedzenia, co ty. I mówię, że Todhunter Clark zostaje.

— Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? — spytała Molly, spieniona z wściekłości.

— Naprawdę sądzisz, że ty, albo krokolwiek inny, może dowodzić Korpusami?

Pozwól, że coś ci powiem. To ja jestem KKO. Beze mnie byłoby to jeszcze jedno kółko szyjące ubrania dla biednych. Nigdy o tym. nie zapominaj. Siedzisz tu, za tym twoim biurkiem i wydajesz rozkazy twoim tłustym maszynistkom i uważasz, że jesteś na pierwszej linii. Boże, KKO to mój pomysł, moje dzieło, moje dziecko!

— Moje, moje, moje, to cała ty. Cóż, powiedziałaś ci, co ja czuję. Jeżeli Tod odejdzie, to ja odejdę z nim.

Zapadła cisza. W przeciągającym się milczeniu patrzyły na siebie z wściekłością. W końcu Molly wciągnęła głęboko powietrze.

— Dostanę trochę alkoholu? — spytała szorstko.

— Nie. Yvonne Popkin znowu pociąga, więc nie pozwalam trzymać trunków w biurze.

— Cholera. — Molly była rozczarowana. — Na litość boską, daj mi chociaż, papierosa!

Siedziały paląc i starannie unikały swojego wzroku.

— No dobrze — pierwsza odezwała się Molly. — Clark może zostać, jeżeli to dla ciebie takie ważne. Przyznaję, że mam obsesję na jego punkcie. Są ludzie, których po prostu nie lubisz, prawda?

Dopiero teraz Ann spojrzała na siostrę.

— Pewnie — przytaknęła.

— No cóż, trzymaj go więc z daleka ode mnie; chociaż o to cię proszę. A teraz, co do twojej ważności tutaj. Nigdy nie

zaprzeczalam, że to ty prowadzisz cały ten administracyjny bałagan. Sama nigdy nie mogłabym tego robić. Chcę, żebyś została, nie ufam nikomu innemu. Mimo wszystko, tylko ty jesteś moją siostrą, moją rodzoną siostrą.

— Więc musisz mi oddać część władzy, żebym mogła wykonywać robotę. Ty masz pod swoją komendą pułki, ty planujesz akcje, ty wygłaszasz przemówienia, jesteś numerem jeden w KKO. O ile wiem, jesteś przewodniczącą, ale jeśli ja mam być szefem od mało efektywnej roboty, muszę otrzymać część władzy, która jest mi niezbędna. Powinnam mieć prawo zatrudniać i zwalniać ludzi, załatwiać sprawy finansowe, zapewniać ci sprzęt i fundusze, żebyś ty bez przeszkód mogła wykonywać swoją robotę.

— Mhm... dobrze. Zastanowię się nad tym.

— I będę ci podpowiadała, jak masz postępować, Ttedy uznam to za konieczne. To część naszej umowy. Molly, spójrz prawdzie w oczy, jesteś beznadziejnym dyplomata. Kłapiesz bez zastanowienia przed dziennikarzami, nie zastanawiasz się, jaki to będzie miało oddźwięk.

— Mówię to, co czuję.

— Właśnie. Proszę cię jednak, zastanów się przez chwilę, zanim coś powiesz publicznie. Pomyśl, jak to zabrzmii, i czy to, co mówisz, przysporzy nam więcej przyjaciół, czy narobi wrogów.

Zamyślona MoUy Turner wpatrywała się w podłogę.

— Nie potrafię prowadzić gierki. Nie mogę... brakuje mi słowa... już wiem, udawać. Nie potrafię udawać kogoś, kim nie jestem. Przecież mnie znasz. .

— Mhm... mhm... — mruknęła w odpowiedzi Ann.

— Oprócz tego — Molly podniosła wzrok — dotychczasowe moje postępowanie przynosi efekty, prawda? Liczba członkiń ciągle wzrasta, dochody również. Jesteśmy na dobrej drodze, żeby wchłonąć NSK. Każdy w tym kraju wie, kim jesteśmy. I dostajemy setki listów, w których piszą „niech was Bóg błogosławi”. Więc chyba działałam skutecznie. .Słuchaj, dziecinko, nie proś mnie, żebym się zmieniła. Nie potrafię tego zrobić, rozumiesz?

— Rozumiem; Molly. Możesz zostać sobą, jeśli pozwolisz mi zostać tym, kim ja jestem.

Nie ma sprawy, nigdy nie chciałam, żebyś się zmieniła, złotko. Boże, jestem taka zadowolona, że pogadałyśmy szczerze. Atmosfera została oczyszczona. Teraz wiem, że moja mała siostrzyczka wydorosłała.

— Musiałam, po tym, co zaszło.

— Kocham cię, dziecinko, wiesz o tym, prawda?

— Wiem, ja też cię kocham.

— Nic się między nami nie zmieniło, co?

Ann Harding uśmiechnęła się, a jej siostra wzięła ją w objęcia, pocałowała w policzek i pogłaskała jej długie kasztanowe włosy.

25 września 1990

Lemuel K. Dundee był politykiem od ponad dwudziestu lat i dobrze znał niebezpieczeństwa i pułapki kampanii wyborczych. Ale teraz czuł się zagubiony, przerażały go trudności w zorganizowaniu kampanii, której celem miało być zdobycie nominacji własnej partii na urząd prezydenta.

Powiedział swojej żonie, że zaczyna rozumieć, co Ruth Blohm miała na myśli, mówiąc o „inżynierii politycznej”. Sztuczki i pułapki kampanii prezydenckiej okazały się bardzo skomplikowane. Senator doszedł do wniosku, że sam nigdy się z nimi nie upora. Tu są potrzebni eksperci, odpowiedzialny sztab, któremu przekaże pełnomocnictwa.

W drugiej połowie 1990 roku zaczął kompletować sztab: zespół doradców politycznych, doradców do kontaktów ze środkami masowego przekazu, doradców finansowych, speców od pisania przemówień, konsultantów od badań sondażowych, charakteryzatora, którego zadaniem będzie przygotowanie go do wystąpień telewizyjnych, ekipę specjalną do przygotowania podróży przedwyborczych; taką która będzie ustalała program pobytu, troszczyła się o transport, bezpieczeństwo, będzie współpracowała z miejscowymi komitetami „Głosuj na Dundee'ego” i sympatykami senatora.

Poskarżył się Tomowi Kealy, że ma za mało czasu, aby o tym wszystkim pomyśleć. Kealy, który niepokoił się, bo zdawał sobie sprawę, że traci pozycję najbliższego współpracownika Dundee'ego, natychmiast ochotniczo zaproponował, że stworzy grupę, która zajmie się wyłącznie przygotowaniem raportów o bieżącej pozycji senatora w sondażach i wyborem tematów przemówień. Grupę, która swoje wnioski będzie przekazywała senatorowi, a on będzie podejmował ostateczne decyzje. Dundee'emu spodobał się ten pomysł i polecił Kealy'emu, by się tym zajął. Ta grupa, nazwana przez innych pracowników sztabu „Bandą Kealy'ego”, liczyła wkrótce ponad dwadzieścia osób. W jej skład wchodziłi naukowcy, spece

od analizy wiadomości prasowych; ekonomiści, socjologowie, i nawet... jeden poeta. Pracowali w niewielkim pokoju, w którym spędzali większość czasu na zajmujących dyskusjach. Powietrze w ich biurze było zwykle gęste od dymu papierosowego.

W tym czasie *Ruth Blohm* przebywała poza Waszyngtonem. Pomagała *Lyle Haydenowi* przeprowadzić pogłębioną analizę grup wyborców z okręgów wyborczych stanu, który *Dundee* reprezentował w senacie.

Pod koniec sierpnia senator zebrał tuzin najważniejszych pracowników sztabu wyborczego — „Parszywa Dwunastka”, tak ich nazwał — na naradę w swoim biurze na Kapitolu. Oznajmił przerażonym współpracownikom, że zamierza tak szybko jak to możliwe zgłosić oficjalnie swoją kandydaturę.

Wynaleźli sto powodów, dla których jeszcze nie powinien tego robić. Wybory są dopiero za dwa lata, więc on będzie robił za zająca wyborczego, narazi się na wiele ataków, wyborcy znudzą się nim, za szybko znajdzie się w centrum uwagi itd... itd... Ale *Dundee* uparł się i ostatecznie ustalono datę na dwudziestego piątego września, dzień urodzin jego żony. Miły, sentymentalny gest.

Bez wiedzy swoich współpracowników senator natychmiast przez posłańca powiadomił o swoim postanowieniu *H. Fairchilda Curtissa*.

Rekini finansowi uważali, że takie wczesne oznajmienie decyzji przyczyni się do wzrostu datków na fundusz wyborczy *Dundee*'ego, zwiększy jego popularność i grono popleczników, da mu większe szanse w czasie prawyborów. Senator przychylił się do ich życzeń, nie miał wyboru.

W ciągu następnych kilku tygodni, a był to okres szalonej szarpaniny, jego sztab obmyślał najbardziej efektowne ogłoszenie zamiarów senatora i zajął się pisaniem przemówienia, które w całości powinno ukazać się w wieczornych dziennikach głównych sieci telewizyjnych.

Po wielu dyskusjach zdecydowano odejść od oficjalnej sztamperki i zaplanowano prosty, zrozumiały dla wyborców sposób. Postanowiono, że *Dundee* ogłosi swoją decyzję na trawniku przed domem w *Spring Valley*, w towarzystwie żony, dzieci i wnuków z wynajętym labradorem u swoich stóp. Senator wystąpi ubrany w rozpinany sweter, a w tle za nim będzie stała ręczna kosiarka do trawy.

Eksperci od kontaktów ze środkami masowego przekazu dopracowali szczegóły. Z niepokojem kontaktowali się z Instytutem Meteorologii i modlili się, by tego Wielkiego Dnia

nie padało. I nie padało. Był słoneczny, przyjemny dzień. „Pogoda Dundee'ego”, jak mówili pracownicy sztabu wyborczego każdemu dziennikarzowi, którego dopadli. Nagłośnienie zostało sprawdzone, przemówienie przygotowane, wozy transmisyjne i ekipy telewizyjne pojawiły się zgodnie z planem i natychmiast zatarasowały drogę. Tłum ciekawskich sąsiadów zebrał się, by zobaczyć to wszystko na własne oczy. Przyjechało także wielu dziennikarzy prasowych. Wśród nich znalazła się nawet reporterka „Zewu NSK”. Czekali, aby natychmiast podać decyzję Dundee'ego do publicznej wiadomości.

Kiedy Dundee wygłaszał swoją przemowę, jego żona stała wyprostowana między dwoma synami, z uśmiechem osoby na lekkim rauszu. Senator rozpoczął od wyrażenia płynących z głębi serca wyrazów wdzięczności swojej żonie, rodzime, przyjacielom, Abrahamowi Lincolnowi, Franklinowi D. Rooseveltowi, Johnowi E. Kennedy'emu i wszystkim bohaterom i mentorom, którzy go natchnęli. Później (mówił bez kartek, nauczył się na pamięć ostatecznej wersji przemówienia, napisanego przez Simona Christie) senator oznajmił zamiar ubiegania się o nominację swojej partii na udział w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Gdybym nie wierzył, że mam odpowiednie kwalifikacje, aby poprowadzić ten wspinały naród w czasie trudnych lat, które stawiają przed nami wyzwanie, nie stałbym tu dzisiaj przed wami. Kocham ten kraj tak bardzo, że nie chcę go widzieć pogrążonym w zapaści, w jakiej często znajdował się w przeszłości, kierowany przez niedoświadczonych, niekompetentnych przywódców.

Senator wyliczył także następujące sprawy:

- Należy znowu poruszyć Amerykę.
- Nigdy nie pertraktować ze strachu, ale nigdy nie bać się pertraktacji.
- Praca dla każdego, kto chce pracować.
- Pokój na świecie i spokój w kraju, to moje dwie główne troski.
- Wykształcenie to bastion wolności.
- Wkraczamy w wiek, który sprawdzi naszą inteligencję, nasze decyzje, naszą gotowość ponoszenia ofiar dla przyszłości.
- Dom... rodzina... nasze dzieci i dzieci naszych dzieci... Flaga amerykańska... Nie wstydę się używać takich słów, jak wolność... niepodległość... równość, bez względu na płeć, wiek, rasę czy wyznanie...

— Jezu Chryste... — mruknęła reporterka „Zewu NSK”. — Wszystko tu wrzucił, tylko lizaka brakuje.

Ale to była dobra mowa, krótka, dosadna, trafiająca do słuchaczy i porywająca szczerością. Kiedy skończył, rozległy się burzliwe oklaski. Odwrócił się, ucałował żonę, dzieci, wnuczeta i przez pomyłkę czołową dziennikarkę z NBC News, która stała w pobliżu.

Jego sztab był zachwycony. Wszystko poszło zgodnie z planem. Ich euforia nie osłabła nawet po późniejszych komentarzach dziennikarzy zajmujących się polityką.

Ogłoszenie decyzji przez Dundee'ego określono „idyllicznym obrazem”, pisano „Polityczny teatr odsłania kulisy”. Komentatorzy polityczni przyznawali, że senator ma dużą szansę na zdobycie nominacji, podkreślali jego odwagę i pewność siebie w tak wczesnej fazie kampanii wyborczej.

Tłum zgromadzony na trawniku przed domem Dundee'ego rozszedł się. Wozy transmisyjne zapakowały swoje urządzenia i odjechały. W końcu zostali tylko podnieceni współpracownicy senatora, którzy przenieśli się do bufetu urządzonego specjalnie dla nich w jadalni. Tu popijali drinki.

Jake Spencer ze szklaneczką podwójnego burbona w ręku pociągnął Kealy'ego za rękaw.

— Możesz mi poświęcić minutkę? — zapytał ochryple ze swoim obleśnym uśmiechem.

— Czy to nie może poczekać, Jake? — mruknął Kealy, cieszący się z sukcesu senatora.

— Nie sądzę. — Spencer mocniej ścisnął ramię Kealy'ego. — Poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać.

Właściwie wciągnął Kealy'ego na zadaszony patio, na którym stały meble ogrodowe.

— O co chodzi? — domagał się wyjaśnień Tom, zły, że wyciągnięto go z imprezy. Spencer nie odpowiedział od razu. Wyjął cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki, odwinął je z celofanu, odgryzł czubek i wypluł. Zapalił, a kłęb dymu wydmuchnął nad głowę Kealy'ego.

— Billy McCrea — odezwał się w końcu. — Słyszałeś o nim? Kealy ścisnął mocniej wysoką szklaneczkę dzinu z tomkiem. Kostki lodu zagrzechotały o szkło.

— Billy McCrea? Nie. A kto to jest?

— Był — stwierdził Spencer. — Narkoman, który spadł ze schodów przeciwpożarowych, około roku temu.

— Och... tak... teraz sobie przypominam, czytałem o tym w prasie.

— Ale go nie znałeś osobiście?

— Jasne, że nie.

— Cóż, Tommy — westchnął Spencer. — Wiesz, że w mojej, robocie mam do czynienia z wieloma łajdakami. To znaczy, prawdziwymi ciemnymi typami. Nie chciałem tego, ale cóż robić? Kilka dni temu jeden z tych szumowin przyszedł do mnie i powiedział, że ma mały czarny notesik Billa McCrei. Jak mu wpadł w ręce, nie mam pojęcia. Może to on był alfonsem tego dzieciaka? Kto wie? Tak czy owak, on twierdzi, że twoje nazwisko figuruje w tym notesie. Twoje nazwisko, adres, prywatny numer telefonu, daty spotkań z Billym i sumy, jakie mu płaciłeś.

— To niemożliwe! — krzyknął przerażony Kealy.

— Taaak, cóż, to samo mu powiedziałem, ale on pokazał mi fotokopie stron, na których jest twoje nazwisko. Mówiąc szczerze, Tommy, dla mnie to wygląda prawdziwie.

Kealy dopił swojego drinka, odwrócił się do Spencera plecami i odszedł kilka kroków.

— Słuchaj — Jake podniósł głos. — Ta kreatura chce wy dostać od ciebie forszę, to jasne jak słońce. Nie chce się kontaktować z tobą osobiście, chce, żebym pośredniczył między wami.

— He chce? — zapytał Kealy stłumionym głosem.

— Dziesięć tysięcy.

— Pierwsza rata — mruknął Kealy gorzko.

— Nie, nie — pośpiesznie odpowiedział Jake. — Przysięga, że to jeden jedyny strzał. W zamian dostaniesz właściwe strony z notesu i fotokopie, które mi pokazywał. Zapłacisz, a on dostarczy towar i zniknie z miasta. Już nigdy o nim nie usłyszysz.

— Jake — Kealy był przygnębiony. — Nie znam tego typu ludzi. To znaczy, nigdy nie miałem z nimi do czynienia, ale ty wiesz, jak z nimi postępować. To znaczy... ty masz doświadczenie, nie myślę się, prawda? Czy nie mógłbyś...

— Nie mógłbym co?

— O Boże, nie wiem. Postraszyć go. Zagrozić mu, coś w tym stylu.

— Tommy — głos Jake'a brzmiał poważnie. — Być może był taki czas, że mogłem zrobić coś takiego, ale teraz mam odpowiedzialne stanowisko. Pracuję w ochronie senatora USA, który kandyduje na urząd prezydenta. Nie mogę zrobić nic,

co mogłoby narazić jego dobre imię. Chyba to rozumiesz. Ty też nie powinieneś go narażać — zgodzisz się ze mną, co? Kealy zastanowił się przez moment.

— Więc uważasz, że powinienem zapłacić?

— Tak — potwierdził ze smutkiem Spencer. — To najlepsze wyjście. Nie widzę innego.

— He mam czasu?

— Mogę go trochę zwodzić, ale niezbyt długo. Przemyśl to.

— Przemyśle — Kealy z rezygnacją skinął głową. Następne dwa dni były najgorsze w krótkim, szczęśliwym

życiu Thomasa J. Kealy'ego. Cieszył się z sukcesu Dundee'ego, do którego sam w dużej mierze przyczynił się razem ze swoją grupą. Ale teraz miał na karku tego szantażystę, a na dodatek odnosił wrażenie, że Constance Underwood straciła zainteresowanie spotkaniami, które dla Kealy'ego były jak niezbędna terapia, utrzymywały go na wysokich obrotach. Jego żona zauważyła to przygnębienie.

— Och, kochanie — rzekła ze współczuciem. — Pracujesz zbyt ciężko.

Tracąc wiarę w samego siebie Kealy uznał, że sam nie rozwiąże tego problemu i najlepiej będzie poradzić się eksperta. Ostrożnie napomknął Dundee'm, że jego zespół mózgow formułuje stanowisko w sprawie przestrzegania prawa i porządku i chciałby prosić kogoś z Departamentu Sprawiedliwości o konsultację. Czy senator zna kogoś, z kim można by współpracować i byłby dyskretny.

— Oczywiście — odpowiedział bez namysłu senator. — Zadzwoń do Jima Gargana i powołaj się na mnie. Jemu możesz zaufać.

Kealy skontaktował się z Garganem, który przez telefon wydawał się rozsądny i inteligentny. Trochę nerwowo Kealy zaproponował spotkanie na ławeczce w parku Lafayette, tej samej, na której spotkał się z Jake Spencerem kilka miesięcy wcześniej.

Jamesowi Garganowi ta propozycja wcale nie wydawała się dziwaczna.

Zachowywał się tak, jakby spotkanie z najbliższym doradcą senatora na ławce w parku było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

— Będę jutro w południe, czy to panu odpowiada?

— Tak. To dotyczy... — zaczął Kealy.

— W porządku, panie Kealy — przerwał mu Gargan. — Proszę nie mówić nic więcej przez telefon, zwłaszcza o senatorze.

— Och... — Kealy poczuł się zakłopotany. — No, tak.

Dobrze, ale to nie dotyczy senatora, ani jego kampanii. To sprawa osobista.

— Jutro w południe — powtórzył Gargan i odłożył słuchawkę.

Był piękny dzień, obaj mężczyźni przerzucili więc przez ramiona prochowce. Kiedy się spotkali, zapalili papierosy i porozmawiali trochę na błahe tematy. Patrzyli na Biały Dom, w którym prezydent i minister spraw zagranicznych Burundi wymieniali grzeczności przed rządem mikrofonów ustawionych na trawniku.

— A teraz — zaczął Gargan — jaki ma pan problem?

Thomas Kealy opowiedział mu całą historię o Jake Spencerze, Billym McCrei, o próbie wymuszenia pieniędzy przez nieznanego szantażystę z Jake jako łącznikiem..

— Nie wiem, co robić — zakończył przygnębiony Kealy. — Zachowywałem się jak głupiec, muszę to przyznać, ale kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw, jestem skończony, a kampania prezydencka senatora znajdzie się w niebezpieczeństwie. Tu nie chodzi o pieniądze, jednak nie potrafię uwierzyć w to, co mówi Jake; że ten facet wyjdzie z miasta. Myślę, że ta sprawa zawsze będzie wisiała nad moją głową, ja...

Gargan przerwał ten potok słów, kładąc delikatnie rękę na ramieniu Toma.

— Nie ma się czym martwić — powiedział tak życzliwie, jak tylko potrafił. — Ja się tym zajmę.

— Dziękuję — rzekł Kealy z wdzięcznością.

3 października 1990

W kwietniu 1990 roku w „Nowoczesnych Trendach Ameryki”, czasopiśmie naukowym, profesor T. Henry Fellows opublikował artykuł, który wzbudził ogromne zainteresowanie i wywołał wiele komentarzy. Fellows, historyk społeczny, przeprowadził analizę porównawczą między Wojną Secesyjną, a powstaniem i sukcesami Kobięcych Korpusów Obrony. Te dwa zjawiska społeczne wydają się zasadniczo odmienne. Ale autor uważa, że mają wiele cech wspólnych, na przykład strategię, taktykę i zmiany społeczne, które nastąpiły w ich wyniku.

Fellows zwrócił uwagę, że Wojna Secesyjna rozpoczęła się w wieku rycerstwa.

Oficerowie po obu stronach studiowali bitwy napoleońskie i wierzyli w dżentelmeńskie prowadzenie

wojny, w której prawa cywilów były w zasadzie respektowane, żołnierze chcieli zabijać, ranić lub brać do niewoli tylko innych żołnierzy.

Tak było w Ameryce w 1861 roku. Do 1865, w następstwie druzgocących kampanii generała Granta i generała Shermana, ich niszczycielskiego marszu do morza, cała natura walki zmieniła się. Świat dowiedział się, co znaczy pojęcie „wojna totalna” — chociaż ten termin nie był w powszechnym użyciu.

Podobnie, zauważył profesor Fellows, jest z ruchem feministycznym, który na początku działał rycersko, ale tylko do czasu pojawienia się Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony. Teraz po raz pierwszy duża, zorganizowana grupa niezadowolonych kobiet, zaczęła stosować przemoc, by osiągnąć swoje cele. Zwyciężyć albo przegrać. Ta strategia totalnej wojny, pisał Fellows, będzie miała ogromny wpływ na życie w Ameryce, szczególnie zaś na stosunki między kobietami i mężczyznami.

Przerażające tezy postawione przez profesora Fellowsa są ciągle dyskutowane. W 1990 roku miało miejsce wydarzenie, które potwierdziło jego teorię.

Przez wiele lat fabryka pończosznicza „Willoughby Togs” w New Bedford, Massachusetts, była areną walk między właścicielami a pracownikami w kwestii zarobków, warunków pracy i funkcjonowania związków zawodowych. Ponad osiemdziesiąt procent pracowników stanowiły kobiety, którym płacono stawkę godzinową poniżej średniej krajowej.

Kilka razy w fabryce przeprowadzono strajki, ale bez powodzenia, ponieważ znajdowała się ona na terenie dotkniętym bezrobociem, więc łatwo było o łamistrajków. Walka doprowadziła do głębokich urazów po obu stronach, a zakończyła się w sądzie, gdzie przesłuchano świadków i ciągle wnoszono nowe apelacje. Tymczasem właściciele, przewidując swoją porażkę, rozpoczęli budowę nowej fabryki w pobliżu Claxton, w Missisipi, twierdząc, że zakład w New Bedford jest przestarzały i przestał przynosić zyski. Przeciwnicy utrzymywali, że spółka ucieka na południe po to, by skorzystać z dużej liczby bezrobotnych w tym rejonie, niezrzeszonych w związkach zawodowych.

Molly Turner i Kobięce Korpusy Obrony najwyraźniej wiedziały o problemach „Willoughby Togs”, ale nie mieszały się do tego aż do wiosny 1990 roku.

Korespondencja z tego okresu wskazuje, że Ann Harding była w kontakcie z dowód-

cami pułków w Massachusetts i Missisipi, które przyglądały się bacznie budowie nowej fabryki w pobliżu Claxton.

Badania dokumentów KKO ujawniają, że Rod Harding i Todhunter Clark odbyli kilka podróży do Claxton, w czasie których szkolili i doradzali miejscowym siostron KKO, jak zniszczyć nową fabrykę tuż po uruchomieniu.

Dziś wydaje się oczywiste, że to Todhunter Clark zmontował cały zestaw ładunków wybuchowych. Zestawił razem wiązkę plastikowych ładunków, detonowanych z odległości pół mili przekaźnikiem radiowym. Bomby miały zostać rozmieszczone tak, by ciężkie mury nowej fabryki zawaliły się do środka; wtedy runie dach i zgniecie wszystkie drogie, nowo zainstalowane maszyny.

Ustalono, że fabryki pilnuje tylko jeden nocny strażnik, który siedzi w budce wartowniczej przy bramie. Co godzinę, w towarzystwie psa dobermana, patrolował teren wewnętrzny ogrodzony metalową siatką.

Około 1⁰⁰ w nocy trzeciego października siostra KKO, wybrana z powodu zdolności aktorskich, przybiegła z krzykiem do budki strażnika." Była rozczochrana, w poszarpanej bluzce, twarz i gołe piersi usmarowano jej sokiem przypominającym krew.

Zdenerwowana opowiedziała historyjkę, że ktoś ją napadł i zgwałcił.

Zaniepokojony strażnik otworzył bramę i zaofiarował pomoc. Wtedy kobieta wyciągnęła pistolet i rozbroiła go, a na teren fabryki wpadły pozostałe uczestniczki akcji. Do dobermana strzelono nabojem ze środkiem uspokajającym.

Ładunki założono w ciągu trzydziestu minut. Oddział bojowy wycofał się zabierając ze sobą związanego i zakneblowanego strażnika oraz psa. Dokładnie o godzinie 2⁰⁰ Brat Nabisco nacisnął guzik w swoim aparacie radiowym i nowa fabryka pończosznicza zmieniła się w kupę gruzów.

Oczywiście, huk zaalarmował całą okolicę. Oprócz fabryki w okolicy wyleciało trochę szyb, zostały uszkodzone rury kanalizacyjne i gazowe, uszkodzeniu uległy też przewody telefoniczne. Zniszczenia nie były duże i na szczęście obyło się bez ofiar. Wartownika i jego psa wypuszczono godzinę później, pięć mil od miasta.

Tak, jak to było w zwyczaju, KKO nie reklamowały swojego udziału w akcji, ale powszechnie uważano, że Korpusy ponoszą za nią odpowiedzialność. James Gargan również nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zgromadził duże dossier, dotyczące Todhuntera Clarka, wcześniej zrobił to samo z Ro-

dem Hardingiem. Wiedział, że Clark jest ekspertem od wysadzania różnych obiektów.

Zniszczenie fabryki przyniosło coś jeszcze. Po wysadzeniu nowej fabryki, w „Willoughby Togs” zezwolono pracownikom na założenie związków zawodowych, których szefową została kobieta.

W uzupełnieniu swej monografii profesor T. Harry Fellows napisał list do kolumny „Listy czytelników”, do grudniowego numeru „Współczesnych Trendów Amerykańskich”. Przytoczył zamach bombowy i zniszczenie fabryki w Claxton jako dowód na poparcie swoich tez, że Molly Turner i KKO przyjęły filozofię wojny totalnej. „Biorąc pod uwagę takie radykalne działania — pisał profesor Fellows — przewiduję, że KKO zatriumfuje, tak jak Grant i Sherman. Będą zwyciężały, przynajmniej dopóki władza nie poczuje się na siłach, by im się przeciwstawić i zastosować ostre środki odwetowe. Obawiam się, że feministki zniszczą żywą tkankę amerykańskiego społeczeństwa. Właściwie jesteśmy w samym środku radykalnej społecznej rewolucji. To, w jaki sposób się z nią uporamy, będzie miarą wielkości naszego narodu.

18 października 1990

Dla dziennikarza usiłującego przedstawić obiektywnie Kobięce Korpusy Obrony jedną z najbardziej zagadkowych spraw stanowiły stosunki między Rodem Hardingiem i Todhunterem Clarkiem. Ci dwaj byli jedynymi mężczyznami zajmującymi ważne stanowiska we władzach ruchu, który w całości był kobiecy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mają wiele wspólnego. Obaj byli prawie w tym samym wieku, obaj eks-żołnierze, którzy służyli w Wietnamie, obaj wychowani przez ulicę, cyniczni i sprytni. I obaj najwyraźniej mieli ten szczególny typ odwagi, który wynika raczej z brawury niż z głębokiego poświęcenia dla sprawy. Dziwne, ale wydawało się, że Rod Harding był bardziej z nich dwóch cyniczny. Biorąc pod uwagę ból dorastania czarnego chłopca w białej Ameryce, można by przypuszczać, że Todhunter Clark miał więcej powodów, by nie lubić ludzi, ale wszystko wskazuje, że posiadał głęboko ukrytą szczyptę romantyzmu, który miał wpływ na jego stosunek do KKO i wszystkich związanych z nimi osób.

Trzeciego października obaj mężczyźni znajdowali się na farmie w pobliżu Canton, w Zachodniej Wirginii i omawiali postępy w poszukiwaniu zdrajcy, który sprzedał akcję w Lexington, w Kentucky, w ubiegłym roku.

— No dobra — zaczął Brat Nabisco, otwierając puszkę piwa. — A teraz do rzeczy. Zostały nam do sprawdzenia tylko cztery czy pięć osób i na oko wszyscy są krystalicznie czyści.

— Uważasz, że to ja zrobiłem? — spytał Harding.

— Nie — Clark uśmiechnął się. — Jesteś czysty. A ty mnie podejrzewasz?

— Cholera, nie — mruknął Harding. — Ann i Molly także nie. Kto jeszcze został?

— Lucille Jackson przysięga, że jej ludzie są czyści, więc zdrajca musi być tu. To mogła być Lois Campbell, ta dama, która nie żyje, to może być Yvonne Popkin albo Florrie Pendergast — ta, która zajmuje się logistyką, i jedna czy dwie inne, które brały udział w planowaniu akcji i znały jej dokładny termin.

— W porządku — westchnął Harding. — Być może to była Campbell i nie będziemy już mieli więcej kłopotów. Ale, na wszelki wypadek lepiej sprawdzić.

— Nigdy za dużo ostrożności — rzucił Clark od niechcena.

— Taaak, masz rację.

Mężczyźni spojrzeli na siebie badawczo.

— Wiesz — zaczął Harding z zimnym uśmiechem — Ann uratowała twoją czarną dupę.

— Nie wiedziałem — mruknął Brat Nabisco. — W jaki sposób?

— Molly chciała cię wyrzucić, ale Ann nie zgodziła się. Nie znam szczegółów, ale znam Ann. Domyślam się, że twardo stanęła w twojej obronie. Prawdopodobnie zagroziła, że jeżeli ty odejdziesz, ona odejdzie także.

— Cóż, zapewniam cię, że to doceniam. Lubię tę robotę.

— Ta akcja w Claxton... była fantastyczna — rzekł Harding.

— To był odlot — przyznał Clark. — Bum! I po wszystkim. Harding spojrział na niego uważnie.

— Chyba ci nie wpadło do łba, że jesteś niezastąpiony?

— Ależ, jaśnie panie, skąd u mnie taki pomysł?

— Jesteś zakichanym gnojkiem, wiesz o tym? Ann tym razem wstawiła się za tobą, a — dla twojej informacji — ja również. Ale schodź Molly z oczu. Ona wie, czego chce i nie przestanie, dopóki tego nie dostanie.

Clark patrzył na niego uważnie i uśmiechnął się kpiąco.

— Znasz ją lepiej niż ja.

Rod Harding podniósł się z legowiska, zrobił dwa kroki i zaciśniętą pięścią uderzył Clarka w twarz. Obaj mężczyźni wzięli się za bary i przetoczyli po zakurzonej klepisku.

— Cholerny czarnuch.

— Biały dupek.

Walczyli, chociaż w tej ciasnocie nie mogli zadawać skutecznych ciosów. Jednak obaj znali sztuczki ulicznej walki.

W końcu Clark wyrwał się z uchwytu Roda, przetoczył się kawałek i podniósł na nogi.

— Cholera, co to ma znaczyć? — spytał, rozcierając gardło. — Wszystko, co robimy, zamienia się w brudne i plugawe. Chcesz pójść do piwnicy wyciągnąć kilka dział, wyjść na dwór i stoczyć pojedynek?

— A ty chcesz? — zapytał Harding, wstając z podłogi. — Ja jestem za.

— Może któregoś dnia, ale nie dzisiaj.

— Kiedy tylko będziesz gotowy — rzekł Rod. — A tak przy okazji, uważam, że ty i ja nie powinniśmy brać razem udziału w akcjach. Nie chcę spędzać całego czasu oglądając się do tyłu.

— Nie musisz się obawiać — stwierdził zimno Clark. — To hie w moim stylu.

Poinformuję cię, kiedy nadejdzie twoja pora.

*W milczeniu doprowadzili pomieszczenie do porządku, pozbierali walające się puszkę, otrzepali ubrania i otworzyli kolejne puszkę piwa. Siedzieli popijając i z wrogością spoglądali na siebie.

— Jeżeli kiedykolwiek — zaczął Harding — powtarzam, kiedykolwiek zrobisz jakąś głupią uwagę na temat mój i Molly, rozwałę ten twój pieprzony łeb. I zrobię to, przysięgam. To samo cię spotka, jeśli odkryję, że wspomniałeś o tym Ann albo komuś innemu.

Clark odwrócił się z obrzydzeniem.

— Ty dupku, ona już wie.

— Co? Wie? — zdumiał się Harding. — Ann wie? Skąd, u diabła?

— Ktoś przysłała jej listy. Anonimowe listy. Od samego początku waszego romansu. Miejsca, daty i tak dalej. Wszystko.

— Skurwysyn — mruknął gorzko biały. — To robi Departament, próbuje nas skłócić; albo ktoś ze współpracowników

Dundee'ego, oni są zdolni do czegoś takiego, do takich brudnych sztuczek.
— Taaak, więc nie groź mi rozwaleniem łba, boja nie mam z tym nic wspólnego.
Twoja cudowna żona wie, że ją oszukujesz.

Rod usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

— O Jezu — westchnął głucho. — I co ja mam teraz zrobić?

— Wiesz, co masz zrobić. Zerwij z nią, albo stracisz najlepszą żonę i najwspanialszego syna na świecie.

— Powiem ci coś — zaczął cicho Harding. — Molly rozpala moją krew. Ona jest jak ogień.

Todhunter Clark złożył razem czubki palców wskazujących i czubki kciuków w obscenicznym geście. Trzymał je w taki sposób, by Harding to widział.

— To tylko to — stwierdził. — Tylko o to w tym chodzi.

Harding przecząco potrząsnął głową.

— Na początku też tak myślałem, ale teraz nie jestem pewien.

5 listopada 1990

Samuel Briskin był szefem sztabu wyborczego gubernatora kandydującego ponownie w stanie, z którego mandat do senatu miał Dundee. Samuel był staroświeckim, konserwatywnym politykiem, palił cygara i nosił kwieciste krawaty. Nie przyjął z zadowoleniem polecenia, by współpracować z Ruth Blohm i Lyle Haydenem przy ich eksperymentach „politycznej inżynierii”.

— Jezu! — powiedział do gubernatora Phillipa K. Halvor-sena. — Wrzucąłem głosy do urny, kiedy te dzieciaki ssaly pierś. Do diabła, co Oni mogą wiedzieć o prowadzeniu kampanii?

— Współpracuj z nimi — doradził mu gubernator. — Senator pokrywa połowę kosztów i nikt nam nie zarzuci, że nie zastosowaliśmy się do jego rady.

Więc Briskin i jego sztab niechętnie przyjęli do swojego grona Blohm i Haydena. Oni wybrali trzy obwody wyborcze, z których wyniki powinny mieć decydujący wpływ na końcowy sukces gubernatora Halvorsena: dzielnicę w centrum miasta, gęsto zaludnione hrabstwo rolnicze i nowe osiedle domków jednorodzinnych pod miastem. Hayden i jego ekipa zabrali się do roboty.

W okręgu wiejskim na wiecach przedwyborczych gubernator mówił o potrzebie wyższych cen na produkty rolnicze i o niskich dochodach farmerów. Z analizy przeprowadzonej przez Haydena wynikało, że farmerów drażnił w podświadomości brak szacunku ze strony rządu stanowego, a także żywili oburzenie, że nie są traktowani na równi z mieszkańcami miast.

W dzielnicy śródmiejskiej pogłębione badania ujawniły, że to, o czym mówił na okrągło gubernator na spotkaniach z wyborcami, czyli lepsze szkoły itp., nie było głównym zainteresowaniem wyborców. Był nim narastający strach przed zbrodnią, pragnęli skuteczniejszej ochrony policyjnej i surowego karania przestępców.

W okręgu podmiejskim, pomimo wysokiego poziomu wykształcenia mieszkańców, znaleziono głęboko ukryte uprzedzenia rasowe. Tutejsi obywatele oczekiwali od władz stanowych zapewnienia, że są świadome ich pragnień i będą chronić ich prywatnej własności oraz będą współpracować nad ulepszeniem piąwa stanowego, by trzymać z daleka „nieodpowiednich ludzi”.

We wszystkich tych trzech okręgach wyborczych uważano Halvorsena za coś w rodzaju śmiesznej figury ze staromodną fryzurą, w trzyczęściowym niemodnym garniturze i irytującym nawyku szczerzenia zębów.

— Gubernatorze, to wszystko, to kupa bzdur — oznajmił Briskfn. — Niech pan się trzyma swojego wizerunku, pańskich planów i tej linii, którą dla pana nakreśliśmy. Ma pan dobre notowania. Jest pan pewniakiem.

- Jednak Halvorsen przestudiował uważnie wyniki sondaży i dobrze wiedział, że daleko mu do wygranej. Właściwie, zwierzył się swojej żonie, że jeżeli nie zdoła zmienić biegu rzeczy w ostatnich tygodniach kampanii, może przegrać z kretesem. Po uważnym, dwukrotnym przeczytaniu wyników z badań Haydena, zdecydował zastosować się do jego wskazówek.

Ufarbował i modnie ostrzygł włosy, odbył dwudniowy kurs u zawodowca, by poprawić swoje irytujące nawyki wysławiania się i kupił nowe garnitury włoskie w jasnych kolorach.

Posadził swoich ludzi do pisania przemówień i polecił im skupić się na tych trzech decydujących obwodach wyborczych, przygotować wystąpienia, które nawiązywałyby do potrzeb, marzeń, fantazji i obaw mieszkańców tych okręgów. Piątego listopada Dundee i jego ścisły sztab wyborczy zebrali się w jadalni w domu senatora w Spring Valley, by

śledzić wyniki wyborów. Ruth Blohm z nimi nie było. Ona, Lyle Hayden i ojciec Ruth znajdowali się w domu Blohmów w Arlington.

Zjedli wspólnie kolację, ogromną michę sałatki z zimnym sosem, do której Ruth dodała krewetki i pokrojonego homara. Dzbanek kalifornijskiego wina był uzupełnieniem posiłku.

Ruth włączyła stary, mrugający telewizor.

Po kolacji Eric Blohm i Lyle Hayden usiedli przy stoliku szachowym, a Ruth wlepiła oczy w ekran, przełączając go z kanału na kanał. Śledziła informacje wyborcze.

— Wyłącz to cholerne pudło! — krzyknął jej ojciec zrzędlawie. — Myślisz, że w tych warunkach człowiek może się skupić?

— Posłuchaj, tato, moja praca i cała moja kariera zawodowa zależy od tego, co wydarzy się dzisiejszego wieczora. Lyle, nie jesteś zdenerwowany?

Hayden pogłaskał swoją jasną brodę i uśmiechnął się.

— Raczej zaintrygowany niż zdenerwowany. Wiem, że gubernator wygra, nie wiem tylko z jaką przewagą.

— Chciałabym być taka pewna, jak ty. Interesowały ją tylko wyniki Halvorsena, trzymała na

kolanach kartkę i na niej robiła notatki. Pierwsze dane wskazywały, że gubernator idzie łeb w łeb ze swoim przeciwnikiem. Nie podano jeszcze wyników z tych trzech okręgów, które przebadał Hayden.

Krótko po północy nadeszły pierwsze komunikaty z dzielnicy śródmiejskiej — Halvorsen zwyciężył z dużą przewagą.

— Jeden do dwóch — piszczała z uciechy Ruth. — Wygraliśmy. Dlaczego nie kupiłam szampana, żeby to uczcić?

— W kredensie jest butelka wiśniówki — zauważył łagodnie jej ojciec. — Otwórz ją.

Do 1³⁰ było po wszystkim. Halvorsen otrzymał 58 procent głosów. Te trzy decydujące okręgi wyborcze przesądziły o jego zwycięstwie. Jego przeciwnik został pokonany.

Ruth zarzuciła ramiona na szyję ojca i ucałowała jego pomarszczony policzek.

Potem pocałowała Lyle Haydena, w same usta. Następnie jeszcze raz ucałowała obu mężczyzn i namówiła ich na kolejny toast wiśniówką.

Nagle zadzwonił telefon.

— Do diabła, ktoś to może być o tej porze? — spytał Eric Blohm.

Ruth podniosła słuchawkę.

— Czy pani Blohm? — zapytał głos po drugiej stronie.

— Tak.

— Senator Dundee chce z panią rozmawiać, proszę nie odkładać słuchawki.

— Ruth? — usłyszała znajomy głos.

— Słucham, senatorze.

— Gratuluje, moja droga, to było wspaniale, kocham cię.

— Dziękuję, sir.

— Podziękuj ode mnie Haydenowi. Oboje zrobiliście kawał porządnej roboty. Musimy przedyskutować, w jaki sposób polityczna inżynieria może zostać zastosowana w mojej kampanii w dziewięćdziesiątym drugim roku. Możesz do mnie przyjechać?

— Tak, senatorze.

Godzinę później odwiozła Lyle na lotnisko. Oboje byli w dobrych humorach i zgadywali, ile Dundee może załapać dodatkowych głosów dzięki pogłębionej analizie.

— Miliony — rzekła wesoło Ruth. — Och, Lyle, tak mi przykro, że musisz lecieć o tej porze.

— Mnie nie — stwierdził. — Będę w Atlancie rano, już zamówiłem pokój w hotelu. Zagwizdała wesoło i położyła ciepłą rękę na jego udzie.

— Jesteś cudowny, myślisz o wszystkim. Podniósł jej dłoń i ucałował.

— Co powie twój ojciec? — spytał.

— Powie „hurra”!

19 grudnia 1990

James Gargan miał niezwykłą pracę. Nigdy nie wydawano mU rozkazów i raczej rzadko sugestie. Wzywano go tylko na małe, prywatne konferencje, na których ustalano decyzje polityczne dla niego. Jak on je zrealizuje, zależało wyłącznie od niego.

Nigdy nie dostawał niczego na piśmie. Trzymali go na długiej smyczy. Jeżeli odnosił sukcesy, wspaniale. Nie chcieli wiedzieć, w jaki sposób je osiągnął. Nagradzano go pochwałami, podwyżkami, awansami. Jeżeli doznawał porażki, pozostawiano go samemu sobie, bez przyjaciela na całym świecie. To było w porządku, akceptował to.

Na jednym z takich zamkniętych spotkań otrzymał dyrektywy, by robić wszystko co możliwe dla przyszłej nominacji i przypuszczalnego wyboru senatora Dundee.

Gargan wszedł

do pokoju wyłożonego boazerią, witany przez jednego z mandarynów.

— Cześć — powiedział mandaryn. — Witamy „bryłę lodu”. Ten przydomek przylgnał do niego. „Bryła lodu”, James

Gargan, akceptował go także. Właściwie był z niego dumny, bo to znaczyło, że w swojej pracy nie kierował się emocjami.

Oczywiście, Dundee nie był jego jedyną grą, grał jednocześnie w tuzinie pokerowych rozgrywek. Ale sprawa Dundee'ego zajmowała go specjalnie: te wszystkie namiętności, konflikty, nienawiści... Spędził długie godziny, spacerując po swoim pokoju hotelowym. Zastanawiał się nad wszelkimi możliwymi kombinacjami czy rozwiązaniami.

W nocy podjął decyzję. Zatelefonował do Jake Spencera. .

— Jake? Tu Gargan.

— Jimbo! — wykrzyknął Spencer. — Co u ciebie?

— Nie mogę narzekać. Słyszałem, że twojemu szefowi nieźle idzie?

— Uważam, że ten stary dupek osiągnie to, co zaplanował. Bóg jeden wie, skąd bierze na to dolce. Rozrzuca je na lewo i prawo.

— Szczęściarz z ciebie, Jake. Jest pewna sprawa, chciałbym, żebyś się nią zajął. Możemy się spotkać?

— Oczywiście, Jimbo. Gdzie i kiedy?

— W parku w pobliżu Friendship Heights. W tej przystani, gdzie spotkaliśmy się ostatnio.

— Zgoda.

— Jutro o północy, pasuje?

— Okay. Do tego czasu położę jego szacowną dupę do łóżka.

Siedzieli naprzeciw siebie przy drewnianym piknikowym stole. Obaj w kapeluszach i płaszczach. Była chłodna, wilgotna noc, wiał przenikliwy wiatr. Pół księżyca wyglądało spoza chmur. Gargan miał ze sobą piersiówkę whisky. Pociągnęli po sporym łyku.

— No więc, Jimbo, co jest grane?

— Jake, od jak dawna się znamy?

— O Boże, przynajmniej od dwudziestu lat. Do czego zmierzasz, zebrało Ci się na wspominki?

— Właściwie nie—Gargan oparł się plecami o ławkę i wyjął z kieszeni płaszcza smith & wesson 44 magnum. Położył go-niedbale na stole, ale wylot lufy skierował na Jake.

— Co to znaczy, do cholery? — spytał Spencer.

— Nie próbuj żadnych sztuczek -r- powiedział Gargan łagodnie. — Proszę, nie próbuj, z tej odległości nie mogę chybić i ty o tym wiesz.

— Jimbo — Spencer jeszcze nie stracił zimnej krwi. — O co ci chodzi?

— Rozejrzyj się.

Spencer obracając się powoli, rozejrzał się dookoła. W świetle księżyca zauważył przynajmniej trzech facetów pod drzewami i na przystani. Wszyscy stali z rękoma w kieszeniach płaszczy.

— Co to za jedni? — zapytał gorzko. — Ekipa grabarzy?

— Coś w tym stylu — przyznał Gargan. — Nie pochylaj się do przodu, Jake, i trzymaj ręce tak, bym mógł je przez cały czas widzieć.

— Ale dlaczego? Jesteś mi winien wyjaśnienie, dlaczego?

— Opracowałem wspaniały plan — westchnął Gargan. — Wszystko szło jak po maśle i wtedy pojawiłeś się ty z tą twoją nienasyconą chciwością. Ta twoja słabość zgubiła cię. Ty zabiłeś Billa McCree, ty osobiście, a nie żaden wynajęty zbir. Przywłaszczyłeś sobie jego notes. A teraz szantażujesz Constance Underwood i Thomasa Kealy'ego. Postawiłeś mnie pod ścianą, Jake. Ci dwoje są dla mnie ważni. Nie mogę pozwolić, żebyś ich oskubał.

— Och—zaczął Spencer. — To o to chodzi. Cóż... w porządku, przyznaję* chciałem dorobić trochę forsy na boku, co w tym złego? Zapomnę o tym i zwrócę ci ten mały czarny notes i po krzyku.

— Już go mamy, Jake. Zabraliśmy go dziś wieczorem.

— Jimbo — Jake stawał się coraz bardziej zdenerwowany. — O co w tym wszystkim chodzi? Dwadzieścia lat, Jimbo, tak długo jesteśmy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi?—mruknął Gargan.—Ty nie masz przyjaciół, Jake. Ani ja nie jestem twoim przyjacielem, ani nikt inny

— Jezu Chryste! — krzyknął Spencer. — Masz zamiar zastrzelić mnie tu i teraz?

— Ach, Jake — Gargan potrząsnął głową. — Ty naprawdę w to wierzysz? My już nie zabijamy ludzi, nie pozostawiamy ciał. Ludzie po prostu znikają. Jednego dnia są, następnego już ich nie ma.

— Zobaczysz, moja rodzina będzie mnie szukać.

— Jaka rodzina, Jake? Masz brata w San Diego, który cię śmiertelnie nienawidzi. Nie rozmawiał z tobą od lat. On ciebie nie będzie szukał.

— Senator... — Spencer był zdesperowany. — Senator

i jego ludzie będą się zastanawiać, co się ze mną stało. Będą zadawać pytania.

— Może – zgodził się Gargan. — Przez dzień albo dwa. Miejscowe gliny będą cię poszukiwać, bez przekonania. Potem wszyscy w natłoku dużo ważniejszych spraw zapomną

o tobie. Mogę to załatwić. Wiesz, jak to idzie, Jake, krótka notatka w gazetach „zniknął osobisty ochroniarz senatora”. Po tygodniu nikt nie będzie o tobie pamiętał.

— Nie wierzę — powiedział Spencer martwym głosem. — Nie mogę uwierzyć, że chcesz mnie zabić.'

— Och, Jake — westchnął Gargan ze smutkiem. — Po prostu przeniesiemy cię, to wszystko.

Dał znak i ogromni mężczyźni wynurzyli się z mroku.

— Nigdy nie lubiłem przezwiska Jimbo — powiedział „bryła lodu”.

Napoczątku 1991 roku Departament Sprawiedliwości przygotował analizę akcji bezpośrednich, które udowodniono Kobięcym Korpusom Obrony, albo o które tylko je podejrzewano. Chociaż ten dokument przeznaczony był jedynie do użytku wewnętrznego („tajne”), analizy te z pewnymi skreśleniami zostały uzyskane z Departamentu na podstawie ustawy O Wolności Informacji.

W raporcie tym omówiono 264 pojedyncze przypadki, które miały miejsce w 1990 roku. Zginęło w nich 40 osób, w tym 6 siostr KKO, 153 osoby odniosły obrażenia, z tego 79 ucierpiało bezpośrednio z rąk członkiń KKO.

Analiza 264 akcji obejmuje 19 zamachów bombowych, 24 przypadki podpażeń i usiłowań podpażeń oraz 2 morderstwa, i uprowadzenie, 44 przypadki naruszenia nietykalności osobistej i 114 doniesień o zniszczeniu własności prywatnej. Pozostałe akcje zakwalifikowano jako niegroźne wykroczenia.

Najważniejszy paragraf tego opracowania zajmuje się uszkodzonymi w tych akcjach. Największy procent stanowili oskarżeni lub skazani za gwałty. Drugą co do wielkości grupą byli znęcający się nad żonami, trzecią, napastujący seksualnie dzieci. Te trzy kategorie stanowiły 87% przypadków omawianych w raporcie Departamentu.

Sprawozdanie ujawnia niską liczbę wniesionych oskarżeń i wyroków skazujących przeciwko siostrom KKO, które brały bezpośredni udział w omawianych 264 akcjach. Akty oskarżenia sporządzono tylko w 19 przypadkach, a wyroki skazujące zapadły w 12. W dziewięciu procesach sądowych za winne

uznano cztery członkinie KKO. Najcięższe wyroki to grzywny i oddanie pod nadzór kuratora.

Lektura tego raportu nasuwa przypuszczenie, że Departament Sprawiedliwości podczas ścisłego kontrolowania działalności KKO niechętnie stawał w obronie gwałcicieli, dręczycieli żon i napastujących seksualnie dzieci.

Sprawiedliwość może być ślepa, albo powinna być ślepa, ale prokuratorzy nie kwapili się, by sprawdzić tę zasadę w sądzie. Społeczeństwo amerykańskie wyrażało swoje poparcie dla prawowitych stróżów prawa o tyle, o ile nie ruszali siostr KKO. Przez ostrożny wybór celów Molly Turner wytrącała broń z ręki swoim przeciwnikom i zamieniała ostrą krytykę w akceptację.

W tym samym czasie senator Dundee otrzymał ogromne oklaski za swoje przemówienie, które wygłosił na jednym z, wieców przedwyborczych, a które tyczyło „przestrzegania prawa i porządku”. Nawoływał w nim do powrotu do tradycyjnych metod poszukiwania i wymierzania sprawiedliwości w sądach i ciałach ustawodawczych.

Wielu komentatorów politycznych w omawianym okresie wypowiadało opinię o tej dychotomii społeczności' amerykańskiej. Sympatia dla Molly Turner i KKO z jednej strony, a z drugiej tęsknota do bardziej pokojowych metod naprawiania wyrządzonych kobietom krzywd.

Konflikt zaostriął się w 1992 roku, w okresie przyśpieszenia kampanii prezydenckiej, kiedy to coraz więcej wyborców uświadamiało sobie, że mogą opowiedzieć się tylko po jednej stronie.

3 stycznia 1991

Omówione wyżej sprzeczne postawy w stosunku do Molly Turner i Kobięcych Korpusów Obrony spowodowały wiele dyskusji i niemałe rozczarowanie wśród ścisłego sztabu kampanii wyborczej senatora Lemuela K. Dundee.

Senator jasno przedstawił swoje stanowisko. Jego krucjata anty-KKO zaprowadziła go bardzo daleko i zamierzał się z niej wycofać, dopóki nie upewni się, czy to zagrozi jego szansom na zdobycie nominacji.

— Spójrzcie — powiedział swoim najbliższym współpracownikom. — Ci faceci, moi kontrkandydaci, nie mają charakteru ani jaj, ani nawet charyzmy. Przyjrzyjcie się uważnie,

wszyscy gadamy podobnie o wielkich sprawach: ekonomii, nuklearnym rozbrojeniu, ochronie środowiska i całym tym gównie. Jediną rzeczą, którą mam ja, a której nie mają oni, jest moje bezpardonowe przeciwstawienie się Molly Turner. Musimy rozstrzygnąć, czy to przynosi nam zyski, czy straty.

— Senatorze — zaczął Kealy poważnie — ostatnie wyniki sondażów nie są dla nas pomyślne. Kobiety generalnie opowiadają się za KKO.

— Niezupełnie — zaprotestował Simon Christie, spec od pisania przemówień. — Dobrze nam poszło na Środkowym Zachodzie i w południowych, konserwatywnych stanach. Tylko Kalifornia i Nowy Jork popierają KKO, a to nie jest cały kraj.

— Ale one posiadają piekielnie dużo głosów wyborczych — zauważył zjadliwie Dundee. — Dobrze wiecie, że konwencja wybierze tego faceta, który będzie miał największe szanse na zwycięstwo.

— Senatorze, uważam, że powinniśmy już zacząć myśleć i działać tak, jakby pan miał nominację w kieszeni — stwierdziła Ruth Blohm. — To, czego potrzebujemy, to analiza komputerowa w tych stanach, które zamierza pan przeciągnąć na swoją stronę. W ilu liberalnych stanach możemy jeszcze liczyć na wygraną? Proponuję, by zamiast miotać się we wszystkie strony bez efektów, skupić się na tych stanach, w których pańska kampania anty-KKO jest dobrze przyjmowana i sprawdzić, czy uzyska pan w nich większość, której pan potrzebuje.

— To dobry pomysł — zgodził się senator. — Ale zanim to zrobimy, sądzę, że więcej uwagi powinniśmy poświęcić prawyborom. W następnym miesiącu mamy Florydę, a w kilka tygodni później Minnesotę, następne jest New Hampshire. Uważam, że powinniśmy tym problemom stawić czoło i dowiedzieć się, na czym dokładnie stoimy. Co o tym myślicie?

Dyskusja trwała ponad godzinę, później Dundee poprosił wszystkich, by zostawili go samego, a tylko Ruth Blohm została na kilka minut.

— Dziecinko, po tym co ty i Hayden zrobiliście dla gubernatora Halvorsena, nabrałem przekonania do was i waszej metody. Chcę, żebyście oboje przejrżeli sondaże przedwyborcze i wytypowali pół tuzina decydujących okręgów wyborczych, tych, z których wyniki oznaczają śmierć albo życie dla polityka. Możecie to zrobić?

— Oczywiście, senatorze — powiedziała wesoło. — Sieci telewizyjne robią przez cały czas badania popularności kan-

dydatów. Niekoniecznie musimy badać te same okręgi co oni, możemy wybrać nasze własne. Rozumiem, że chce pan pogłębionej analizy?

— Sam nie wiem... — zaczął ostrożnie. — Może dopiero wtedy, kiedy otrzymam nominację? Do tego czasu chciałbym, żebyś wybrała... cholera, jak ty to nazywasz?

— Reprezentatywną próbkę?

— Tak, coś w tym rodzaju. Kilka obwodów, które dadzą nam wskazówki, co dalej. Możesz to zrobić?

— Jasne, zaraz się do tego zabiorę.

Kiedy wyszła, Dundee rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, zrzucił buty, powiedział sekretarce, żeby nie łączyła żadnych rozmów telefonicznych i zamknęła drzwi na klucz.

Problemem, przyznawał, był fakt, że znalazł się między młotem a kowadłem. Wspierający go magnaci finansowi, a zwłaszcza H. Fairchild Curtiss, byli wrogo usposobieni do KKO. Gdyby przyhamował swoje ataki na Molly Turner, kurek z pieniędzmi zostałby przykręcony. Raczej woleliby widzieć go pokonanym niż pogodziliby się ze złagodzeniem krytyki KKO.

Ale Lemuel K. Dundee nie miał zamiaru się poddać. Zadzwoił do Jamesa Gargana bezpośrednią linią, która nie przechodziła przez centralkę biurową. Gargan prawie natychmiast podniósł słuchawkę.

— Słucham, senatorze. Co słyhać? — zapytał uprzejmie.

— Okay — odpowiedział krótko Dundee. — Czy ta linia jest czysta?

— Tak — Gargan włączył magnetofon.

— Jim, to dotyczy KKO. Czy ciągle uważasz, że one same się rozpadną?

— Tak — potwierdził Gargan bez wahania. — To anormalna organizacja, jak Czarne Pantery, kto je dziś pamięta? Senatorze, to tylko ludzie, a ludzie mają potrzeby, marzenia, ambicje. Po jakimś czasie zaczynają się niesnaski i tarcia.

— Mhm... mam nadzieję, że się nie mylisz.

— Opieram tę opinię na poprzednich doświadczeniach. Proszę mi wierzyć, wszyscy ulegali samodestrukcji i to samo stanie się z KKO. Wspomni pan moje słowa.

— Kiedy?

— Wcześniej, niż się pan spodziewa.

— Przed wyborami?

Gargan odpowiedział dopiero po krótkim namyśle.

— Tak, sir. Jeszcze przed wyborami,

Senator Dundee odłożył słuchawkę, czuł się dużo lepiej. W tym momencie zdecydował nie zaprzestawać ataku na Molly

Turner i KKO. To nie w porządku, że amerykańskie tradycje szukania sprawiedliwości w sądach są lekceważone. H. Fairchild będzie zadowolony. — Ty skurwielu! — krzyknął wesoło Dundee. Nie wiadomo kogo dotyczył ten okrzyk: Molly Turner, Curtissa czy jego samego.

16 lutego 1991

Z zachodu nadciągnęła gwałtowna burza śnieżna. Ta szalejąca burza, z mroźnym wiatrem i śniegiem, przetoczyła się nad stanami Środkowego Atlantyku, tworząc wysokie zasy. Temperatura spadła do zera.

Molly Turner wyjechała z Waszyngtonu w piątek wieczorem. W sobotę rano dotarła do domu Hardingów, by spędzić z nimi kilka godzin. Wieczorem doszła do wniosku, że nie zdoła wrócić do domu przy Hillcrest Avenue. Na ulicach powstały zasy, a latarnie poruszane wiatrem, błyskami oświetlały zachmurzone niebo.

— Nawet nie próbuj dostać się do mamy — doradził Rod Harding. — Nie zaczną odśnieżać, dopóki nie przestanie padać. Ty i Ann będziecie spały w sypialni, jak położę się w bawialni na kanapie. Zgadzasz się, Ann?

— Oczywiście — potwierdziła.

— Mamy zapas jedzenia na kilka dni — powiedział Rod. — A co z mlekiem dla Jeffa, kochanie?

— Nie zabraknie. Na wszelki wypadek mamy puszkę skondensowanego. Mamy dość jedzenia w lodówce, by przetrzymać kilka dni. Jeżeli wysiądzie elektryczność, to wystawimy żarcie na ganek.

Usiedli, ignorując uderzenia wichury o szyby i powtarzający się od czasu do czasu łomot gradu o parapety. W komfortowych warunkach siedzieli wokół stołu kuchennego, popijali piwo i chrupali precle. Co jakiś czas Ann zaglądała do bawialni, gdzie Jeff zajęty był kolorowaniem obrazków w książeczkach, które przywiozła mu ciotka.

— No więc — zaczęła Molly — co tu się dzieje?

— Rod i Todhunter Clark skończyli poszukiwania wtyczki — rzekła jej siostra. — Ty jej powiedz, Rod.

— Nie ma wiele do opowiadania — potrząsnął głową. — Molly, sprawdziliśmy każdego, kto był w jakiś sposób powiązany z tą spieprzoną akcją w Lexington. Wszyscy są czyści.

— Gówno, przecież ktoś nas sprzedał glinom.

— To mogła być Lois Campbell — stwierdziła Ann spokojnie. — To jedyne wytłumaczenie. Od kiedy ona nie żyje, nie było poważniejszych wpadek.

— A co z Popkin? — zażądała wyjaśnień Molly. — Kiedy zostawiłam ją w Waszyngtonie, była zalana w trupa. Ją też sprawdziliście?

— Sprawdziliśmy każdego — zapewnił ją Rod. — Podrzucaliśmy Popkin telefonicznie fałszywe informacje o różnych akcjach, bez rezultatu. Powiedzieliśmy jej, że jest zaplanowany wypad na arsenał w Clarksburgu i zaczęliśmy się na miejscu. Ale gliny się nie pokazały.

— Cholera — rzekła Molly obgryzając stwardniałą skórę na kciuku. — Ciągłe mam uczucie, że wśród nas jest szpieg. Mam nadzieję, że to nie ten czarnuch. Przecież to nie igła w stogu siana.

— Nie zaczynaj znowu — powiedziała Ann twardo.

— A tak przy okazji, gdzie on jest?

— W Lexington, smali cholewki do Lucille Jackson. Powinien wrócić wieczorem, ale telefonował, że zasypało drogi. Wróci, jak będą przejezdne.

Molly wstała i zaczęła przechadzać się po kuchni. Hardin-gowie siedzieli spokojnie, obserwowali jej spacer.

Wydawała się tak mocno napięta jak struna; dotknij, a wyda dźwięk. Skóra naciągnęła się na jej twarzy i jastrzębim nosie, a kości policzkowe wystawały jeszcze bardziej. Jej kask blond loków był krótszy niż zwykle — przypominał myckę. Oczy ciskały błyskawice, gestykulowała bardziej gwałtownie, a jej ręce drżały.

— Spokojnie, Molly — rzucił Rod niedbale. — Wyglądasz, jakbyś zamierzała lewitować.

— Znacie tę sprawę z Michigan? — zapytała Molly. — Proces o prawa małżeńskie? Potaknęli głowami. Gazety, wiadomości radiowe i telewizyjne poświęciły tej historii wiele miejsca.

To wydarzyło się w Corinth, w Michigan. Czternastego stycznia młoda, dwudziestoosmioletnia mężatka, Carol Poague, bezdzietna, zabiła męża, Edwarda, kuchennym nożem. Natychmiast po zabójstwie zawiadomiła policję i oddała się w jej ręce.

Przyznała się do zabójstwa. Zeznała, że jej mąż chciał się z nią kochać tej nocy, ale ona pracowała osiem godzin w kuchni miejscowej restauracji i była zmęczona. On nalegał, ona odmawiała.

Uderzył ją zaciśniętą pięścią w twarz. Przyznała, że wtedy uderzył ją po raz pierwszy w życiu. Uciekła do kuchni. Wpadł tam za nią. Wyrwała nóż z magnetycznego wieszaka na ścianie. Ostrzegła go, by się nie zbliżał, a kiedy jej nie usłuchał, dźgnęła go nożem. Ostrze trafiło prosto w serce i uszkodziło arterię. Zmarł prawie natychmiast.

Ta smutna domowa awantura mogła mieć niewielki rozgłos poza Corinth, ale Carol Poague była członkinią Kobięcych Korpusów Obrony. Zdecydowała oprzeć swoją obronę na zasadzie „wzajemnego przyzwolenia”, które powinno obowiązywać w związku małżeńskim, a nie „prawa małżeńskie” tylko dla mężczyzn.

— Kim jestem? — zapytała w trakcie wywiadu telewizyjnego. — Sprzętem domowym? Czym jest żona? Własnością męża? Jak jego traktor, kosiarka czy samochód? Prawa małżeńskie powinny także zawierać możliwość powiedzenia „nie”. Wolę określenie „wzajemne przyzwolenie”. Próbowałam to wytłumaczyć Edwardowi, ale nie potrafił zrozumieć. Uważał, że „wzajemne przyzwolenie” oznacza seks na żądanie, ale tak nie jest.

Kobięce Korpusy Obrony ustanowiły specjalny fundusz na obronę Carol Poague. Nalegała, by jej przypadek był dowodem na zasadę, której hołdowała. „Wzajemne przyzwolenie” kontra tradycyjne poglądy na „prawa małżeńskie”.

Proces sądowy miał się rozpocząć osiemnastego marca 1991 roku. Przyciągnął on uwagę opinii światowej. Do małego sądu w Corinth napłynęło wiele próśb o akredytację od dziennikarzy zagranicznych.

— Byłam w Corinth w zeszłym tygodniu — zaczęła Molly, wciąż nerwowo spacerując po kuchni. — Po pierwsze, rozmawiałam z naszymi prawnikami. Uważają, że prokurator zakwalifikuje ten czyn jako morderstwo drugiego stopnia i zażąda wyroku skazującego. Nasi prawnicy sądzą, że jest na to duża szansa. Corinth to małe konserwatywne miasteczko, zamieszkałe głównie przez farmerów i sklepikarzy. A na dodatek Edward Poague był miejscowym facetem, a Carol pochodzi z Detroit.

— To raczej nie pomoże — stwierdził Harding.

— Sam widzisz — mruknęła gorzko Molly. — Tak Czy siak, prawnicy wierzą, że mogą uzyskać inną kwalifikację tego czynu, jeżeli Carol przyzna się do winy. Wtedy może dostać wyrok od trzech do pięciu lat. Zażądali, abym z nią o tym porozmawiała. Nie byłam tym pomysłem uszczęśliwiona, ale doszłam do wniosku, że powinna mieć możliwość wyboru.

Odpowiedziała nie, nie i jeszcze raz nie. Boże, ależ to twarda kobieta, kocham ją. Ma zamiar walczyć o swoje zasady i nie zmieni zdania, niezależnie od wyroku. Wygra albo przegra.

— Jeżeli przegra, jaki może dostać wyrok? — zapytała Ann.

— Powyżej dwudziestu lat. Ann milczała.

— Więc wróciłam do naszych adwokatów — ciągnęła Molly — i powiedziałam im: żadnych sztuczek, trzeba przyjąć taką linię obrony, jaką chce Carol.

Usiadła, oparła ręce na stole i ukryła twarz w dłoniach. Nie podniosła głowy, kiedy mówiła dalej.

— Ann, czy rozmawiałaś ostatnio z Virginią Terwilliger?

— Dwa czy trzy razy — rzekła Ann.

— Powiedziała ci, że spotkałyśmy się w Waszyngtonie?

— Nie, nic mi o tym nie mówiła. Prawdopodobnie była przekonana, że ty mi powiesz.

— No cóż, spotkałyśmy się kilka tygodni temu. Argumentowała za połączeniem NSK i KKO. Gwarantuje, że zostanie przewodniczącą tej nowej organizacji, ale wszystko zależy od opinii specjalnej komisji, a zwłaszcza od głosu Stacy, szefowej oddziału NSK w Michigan. Jak wiesz, w zamian za swój głos Stacy chce mieć prawo obsadzania stanowiska dowódcy pułku Michigan. Ma zamiar mianować swoją faworytkę.

— Ja nic o tym nie wiedziałem — zaprotestował Rod Harding.

— Wiem — stwierdziła Molly. — Dlatego mówię o tym teraz. Ann, od czasu, kiedy rozmawiałyśmy na ten temat we wrześniu, dużo nad tym rozmyślałam i doszłam do wniosku, że nie mogę tego zrobić.

— O Jezu! — westchnęła Ann. Molly podniosła głowę i spojrzała na siostrę.

— Posłuchaj, kotku, dowódczym pułku Michigan, Grace Peddleton, tak się nazywa, jest wspaniałym żołnierzem. To odważna kobieta, robi wszystko, o co poproszę, a nawet więcej. Siostry z jej pułku kochają ją. Nie mam zamiaru wykopać jej dla dobra mojej politycznej kariery.

Ann uderzyła otwartą dłonią o blat stołu. Hałas spowodował, że pozostała dwójka aż podskoczyła.

— Do diabła — warknęła wściekle. — Co w tym złego? Powiedziałam ci, że masz to załatwić, więc załatw to.

— A kim ty do cholery jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? — wrzasnęła Molly. Rod Harding przyglądał się im, jak na meczu tenisowym,

odwracając głowę to w tę, to w tamtą stronę, kiedy kobiety wrzeszczały na siebie. Nie zrobił nic, by przerwać, awanturę.

— Chcę tylko, żebyś użyła swojego mózgu! — krzyczała Ann. — Jak powiedziałam, poświęcisz dziś Grace Peddleton, a zostaniemy największą kobietą organizacją w tym kraju, z tobą jako przewodniczącą. Potem znajdziesz jakąś dobrą posadę dla Grace. Czy to nie ma sensu?

— Nie zrobię tego! — wrzeszczała gniewnie Molly. — Nikt nie zostanie usunięty ze względu na mnie. Ja w taki sposób nie postępuję, raczej pozwolę, żeby to wszystko diabli wzięli, niż zrobię takie świństwo Grace.

Harding wstał, powoli przeszedł do sypialni, wziął małego Jeffa na ręce i wrócił z nim do kuchni. Podziałało, kobiety uspokoiły się,

Rod usiadł, trzymając synka na kolanach. Dał małemu, precelka. Wszyscy roześmiali się, patrząc jak go gryzie.

— Wracając do rzeczy — zaczęła Molly Turner. — Powiedziałam Virginii Terwilliger, że nic mnie nie zmusi do poświęcenia Grace Peddleton. Zostanie dowódczynią pułku Michigan tak długo, jak długo będzie chciała.

— A co Terwilliger na to? — zapytał z ciekawością Rod. — Założę się, że miała dużo do powiedzenia.

— Tak było — potwierdziła Molly. — Przeklinała mnie, obrzucała wyzwiskami, nazwała nawet jędzowatą łajdaczką, którą, przyznaję, jestem. Ale kiedy stwierdziła, że nie ustąpię, powiedziała, że spróbuje urobić kogoś innego z tej komisji specjalnej, by oddał na nas głos.

— I tak to zostawiłaś? — chciała wiedzieć. Ann.

Molly Skinęła głową. Jeff wiercił się na kolanach ojca, więc wszyscy przenieśli się do bawialni, gdzie malec zabrał się z powrotem do kolorowania obrazków. Dorośli rozsiedli się wygodnie, słuchając odgłosów burzy za oknami.

— Po wyjeździe z Corinth — zaczęła Molly — to było w środę, pojechałam do Detroit i spędziłam całe popołudnie z Grace Peddleton. Zastanawialiśmy się, jak odbić Carol Poague przed końcem rozprawy i wywieźć ją gdzieś.

— O, mój Boże! — mruknął Rod. — Wariatki, środki, bezpieczeństwa w sądzie w Corinth będą wzmocnione!

— Mamy zamiar to zrobić — powiedziała stanowczo Molly. — Pieprzyć środki bezpieczeństwa. Na pewno nikt nie będzie oczekiwał napadu. Grace i ja jesteśmy pewne, że się uda.

— Dlaczego uważasz, że Carol się zgodzi? — spytała Ann. —

Powiedziałaś, że to dzielna kobieta, którą chce załatwić tę sprawę na swój sposób, zgodnie ze swoimi zasadami. Może nie zechce uciekać?

— Zrobimy to. Po prostu ją porwiemy i wywieziemy daleko. Ta piękna kobieta nie dostanie żadnych pieprzonych dwudziestu lat.

— Uważaj, co mówisz — rzuciła ostro Ann. — Jefif szybko łapie nowe słówka.

— Przypuśćmy, że ją odbijecie — rzekł Rod. — A co potem? Dokąd pojedzie? Złapią ją w ciągu tygodnia.

— To wymaga jeszcze dopracowania wielu szczegółów — przyznała Molly. — Całkowita zmiana tożsamości. Nowe nazwisko, nowe dokumenty, nowy wygląd. Przewieziemy ją do innego stanu, albo wywieziemy z kraju, jeżeli będzie tego chciała.

— To szaleństwo —' mruknęła Ann. — Rod, wytłumacz jej to.

— Ty jej wytłumacz, to twoja siostra.

— To można zrobić — upierała się Molly. — Wiem, że to można zrobić.

Posłuchajcie, Corinth to miasteczko, w którym są trzy ulice na krzyż. Może czterech albo pięciu gliniarzy i kilku ściągniętych żołnierzy do pilnowania tłumu w czasie rozprawy. Carol trzymają w areszcie. To mały budynek naprzeciw sądu. Codziennie rano będą ją eskortować na rozprawę, a potem odprowadzać z powrotem do więzienia. Jest wiele możliwości, by ją odbić.

Roda Hardinga zaczął ten pomysł intrygować.

— Nie trzymają jej w gmachu sądu?

— Chyba już mówiłam, trzymają ją w areszcie po drugiej stronie ulicy.

— Rod:.. — ostrzegła Ann.

— Coś ci powiem — Molly spojrzała na nią. — Moja siostrze, z tobą czy bez twojej i Roda pomocy, lub kogokolwiek innego, ta akcja zostanie przeprowadzona. Grace Peddleton jest za, weźmie tyle sióstr z Detroit, ile potrzeba. Nikt ich nie zidentyfikuje. Grace ma ochotę i pali się do przeprowadzenia tej akcji, więc ją przeprowadzimy. Jesteście ze mną, czy przeciwko mnie? — spytała szorstko. Mąż i żona spojrzeli na siebie. Jeżeli przebiegł między nimi jakiś sygnał, Molly Turner nie zauważyła go.

— To wymaga dokładnego i rozważnego planowania — rzekł ostrożnie Rod Harding.

— Więc lepiej zacznijmy już teraz — mruknęła Molly. — Przywiozłam ze sobą mapę miasteczka.

Cała trójka usiadła blisko siebie na kanapie, mapę Corinth rozłożyli na kolanach. Zaczęli ustalać szczegóły planu odbicia Carol Poague.

24 marca 1991

Thomas J. Kealy był w fatalnym nastroju. Teraz co prawda już wiedział, jak ubrać się na weekend w domku letniskowym Connie Underwood. Dziś założył sfatygowaną sportową marynarkę, jedyną, na której łokciach miał naszyte łaty, luźne spodnie khaki i gruby golf. Przybrudzony trencz zarzucił na ramiona i zdjął okulary w rogowych oprawkach.

Dzisiaj nawet jej sposób prowadzenia samochodu nie niepokoił go.

— Rób ze mną, co chcesz! — krzyczał szczęśliwy.

Rzuciła na niego krótkie spojrzenie, a potem znów skierowała oczy na drogę.

Wzięła zakręt na dużej szybkości, czując poślizg kół na topniejącym śniegu, wyprowadziła fachowo wóz z poślizgu i nacisnęła mocniej pedał gazu. Prowadziła tak, jak robiła wszystko inne: zawzięcie i zdecydowanie.

Człowiek, który opiekował się jej domkiem, kupił drewno do kominka i zapełnił lodówkę. Kealy wyjął skrzynkę win i likierów, które uzupełniły jej zapasy, a Connie przyniosła pudło pełne nowych kaset magnetofonowych.

Rozpalili w kominku, otworzyli butelkę białego wina i ułożyli się wygodnie na dywanie przed kominkiem.

— Ten proces w Michigan—zaczęła—o prawa małżeńskie. Śledziłeś go?

— Oczywiście, kto tego nie śledzi?

— Co o nim sądzisz? — spojrzała na niego dziwnie.

— Och, ona jest wirina, nie ma co do tego wątpliwości. Sama się przyznała. Broni się śmiesznie. Jeżeli ją uniewinnią, to mężowie w tym kraju znajdą się w tarapatkach. Ale zostanie, skazana.

— No... no... tak właśnie uważa Molly Turner — rzekła Constance Underwood. — Dlatego ona i jej banda mają zamiar odbić Carol Poague'. Chcą to zrobić po drodze z więzienia do sądu i wywieźć ją z kraju.

— Co? — usiadł tak nagle, że rozlał wino na sweter. — Jesteś pewna?

— Tak.

— Jezu Chryste! Muszę zadzwonić.

— Nie możesz. Telefon nie jest jeszcze włączony, oprócz tego nie ma pośpiechu. Do przyszłego miesiąca jest jeszcze mnóstwo czasu. Możesz do Gargana zadzwonić jutro.

— Mój Boże, odbić z więzienia. Co za szalony pomysł — rzekł.

— Molly Turner jest szalona.

— Ty naprawdę uważasz, że ona może to zrobić?

— Nie próbowałyby, gdyby tak nie sądziła.

— Connie, kto ci o tym powiedział?

— A co cię to obchodzi? — spojrzała na niego zimno.

— W porządku, w porządku — mruknął pośpiesznie. — Po prostu nie chcę przekazać Garganowi fałszywej informacji.

Nic a nic to jej nie obchodziło, już powiedziała Garganowi o tej całej sprawie. Podziękował jej uprzejmie i obiecał się nią zająć.

Zafascynowani tańczącymi płomykami ognia w kominku, popijali wino i rozmawiali trochę o tym i owym. Później Connie odstawiła kieliszek. Położyła się na wznak i pozwoliła mu pieścić się. Był jej za to taki wdzięczny, że prawie płakał.

Czuła jego palce i usta na swoim ciele; podniecił ją trochę. Tylko trochę. W porównaniu z Garganem Tom Kealy był jak kotek; Gargan był jak tygrys.

— Jestem głodna — powiedziała w końcu. — Zjedźmy coś. Upiekli kurczaki w kuchence mikrófalowej, przyrządzili

dużą miskę sałatki i otworzyli butelkę Beaujolais rocznik '89. Kealy nakrył do stołu.

Kiedy posprząтали po obiedzie, Tom zaproponował, żeby wzięli resztę wina i przenieśli się do sauny, ale Connie przecząco pokręciła głową.

— Usiądź! — rozkazała. — Muszę ci coś powiedzieć. Usiedli na fotelach obitych płótnem żaglowym.

— Muszę się przestać z tobą widywać — rzuciła szorstko.

— Co?

— To ostatni raz, kiedy jesteśmy razem — powiedziała zimno.

— Dlaczego? — wykrzyknął.

— Tom, jesteś żonatym mężczyzną i pracujesz dla polityka, który ma opinię antyfeministy.

— Ależ on nie jest...

— Ale ludzie go tak oceniają — ciągnęła nieubłaganie. — To wszystko może mi przysporzyć wielu kłopotów, jeżeli wyjdzie na jaw.

— Jak może to wyjść na jaw? Jesteśmy bardzo dyskretni.

— W Waszyngtonie? Tu się nic nie ukryje. Walczę o mój byt w NSK—KKO. Zbliża się zjazd, nie mogę ryzykować. Gdyby Molly Turner kiedykolwiek dowiedziała się, że rzęłam się z osobistym doradcą senatora — jego żonatym osobistym doradcą — zgniotłaby mnie niczym walec drogowy.

— Ale ja ciebie kocham — jęknął żałośnie.

— To miłe, ja ciebie też lubię, ale ty jesteś zagrożeniem dla moich planów. Chyba to rozumiesz, prawda?

Szczerze mówiąc, nudził ją. Kiedy nawiązała romans z Jamesem Garganem, nie był jej potrzebny Kealy, ani żaden inny mężczyzna. Gargan był wszystkim, czego potrzebowała. No i był kawalerem, miał niespożytą potencję. I nigdy nie podpełzał, by wachać pod jej spódnicą.

— O, mój Boże! — jęczał Kealy. — Co ja mam teraz zrobić?

— Wróc do żony — doradziła.

Błagał, skomlał, uronił nawet kilka łez. Zaklinał, by rozstali się tylko do lipca, do czasu kiedy ona zwycięży na zjeździe NSK. Ale ona była nieugięta.

— Później będę musiała być jeszcze bardziej ostrożna niż dotąd. Nie, Tom, musimy się rozstać na zawsze. Wymyśl jakiś bezpieczny sposób, bym mogła przekazywać ci informacje o zamiarach Molly Turner. Telefonicznie. Widywać cię więcej nie mogę. Siedział, patrząc na tę zimną, wyniosłą kobietę, która sprawiła, że wszystkie jego fantazje stały się rzeczywistością. Już nigdy nie włoży jej kimona. I nigdy, wiedział to, nigdy, nawet za milion lat nie zdoła przekonać swojej żony, by dała mu klapsa w trakcie kochania.

— Och, Tommy — powie — jesteś takim głuptasem.

Udręczony do granic, padł na kolana przed fotelem Constance Underwood, złapał ją za nogi, usiłował przytulić się, na jego twarzy znowu pojawiły się łzy, ale ona odepchnęła go szorstko i wstała.

— Jesteś głupcem.

17 kwietnia 1991

Proces Carol Poague ciągnął się od miesiąca, choć wielu mieszkańców Corinth przewidywało, że skończy się w ciągu tygodnia.

Cierpliwy sędzia zezwolił adwokatowi oskarżonej na przed-

stawienie opinii uczonych z różnych dziedzin: historyków, socjologów, psychologów, którzy przedstawili ławie przysięgłych (ośmiu mężczyznom i czterem kobietom) opinię, że tradycyjne pojęcie praw małżeńskich przeżyło się i prawdopodobnie wynika z psychicznych krzywd i emocjonalnych urazów.

Ława przysięgłych, ludzie przeważnie w średnim wieku, średnio zamożni, słuchali uprzejmie ekspertów, ale ich wywody nie wywołały większego poruszenia.

Dziennikarze obecni na procesie robili zakłady 20 do 1, że zapadnie wyrok skazujący. Wartość zakładów wzrosła nawet na 50 do 1, kiedy Carol Poague zajęła miejsce dla świadków i spokojnie przyznała się do zabójstwa.

Molly Turner i jej ekipa, łącznie z Rodem Hardingiem i Todhunterem Clarkiem przyjechali do Michigan jedenastego kwietnia. Zatrzymali się w motelu „Co-Zee” w pobliżu South-field. W poprzednim tygodniu spotkali się kilka razy z Grace Peddleton i jej porucznikami. Ustalono taktykę, zorganizowano oddział, wybrano broń i środki transportu.

Termin akcji wyznaczono na popołudnie osiemnastego kwietnia; na dzień następny sąd miał ogłosić przerwę w rozprawie.

Peddleton poprosiła, by pozwolono jej dowodzić tą akcją osobiście. Molly Turner zgodziła się, ale uparła się, by być obecną w Corinth w trakcie przeprowadzania akcji. Zapewniła pułkownik Grace, że wszystkie decyzje „w polu” Peddleton będzie podejmowała na własną odpowiedzialność. Turner pozostanie w roli obserwatora, oceni skuteczność bojową żołnierzy.

Ostatnia narada bojowa zakończyła się siedemnastego kwietnia około godziny 17⁰⁰. Krótco po tym Todhunter Clark . w towarzystwie czarnej siostry KKO wyjechał do Corinth. Prowadził poobijaną furgonetkę, załadowaną bronią, granatami, ładunkami wybuchowymi i innym sprzętem potrzebnym następnego dnia.

Molly Turner, Rod Harding, Yvonne Popkin i Grace Peddleton zjedli obiad w motelowej restauracji. Zamówili pieczone żeberka, pieczone ziemniaki i francuską sałatkę z cebuli. Potem rozdzielili się. Rod i Molly wrócili do pokoju motelowego, który Rod dzielił z Clarkiem. Rod miał butelkę burbona. Poszedł na chwilę do holu i przyniósł plastikowy kubek z kostkami lodu. Wypili po małym, a pół godziny później byli już w łóżku.

— Rod, mam cykora — przyznała Molly. — Boję się jutrzejszego dnia.

— No i dobrze, ja też się boję, tak samo Tod i Grace. Wszyscy, którzy biorą w tym udział, mają cykora. To normalne. Słonko, zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Wzięliśmy pod uwagę różne warianty. Plan jest bardzo dobry. O niczym nie zapomnieliśmy. Potrzeba nam jedynie łutu szczęścia.

— Wolałabym sama dowodzić — mruknęła zamyślona. — Ale Grace chciała mieć szansę pokazania, co potrafi. To jej teren, nie potrafiłam jej odmówić..

— Nie przejmuj się — doradził. — Musisz nauczyć się oddawać część władzy. Grace zrobiła na mnie wrażenie bardzo kompetentnej kobiety. Zobaczysz, wykona na medal swoje zadanie.

— 'Napijmy się jeszcze po jednym.

— Nie, musisz mieć jutro jasną głowę.

— Proszę, po takim słabym drinku, dużo lodu, dużo wody.

— No dobra, ale tylko po jednym.

Wstał z łóżka i przygotował nowe drinki. Kiedy pochylony podawał jej szklaneczkę, wyciągnęła rękę, by go popieścić.

— Spoko, spoko, nic z tego — mruknął.

— Taki piękny — westchnęła. — Taki piękny.

— Łykny i odpręż się.

— Nie potrafię, jestem napięta bardziej niż struna. Rod, jestem przemęczoną. Nie śpiąca, tylko wykończona.

— Masz prawo, robisz to już od czterech lat.

— Czuję się pusta w środku. Doszłam do punktu, w któ'rym sama muszę się psychicznie ładować, aby przemawiać do sióstr. Dawniej to było takie proste, a teraz...

— Wyczerpanie psychiczne — stwierdził. — Kiedy już będzie po akcji powinnaś wziąć miesiąc urlopu, wyjechać w jakieś spokojne miejsce i po prostu poleżeć na gorącym piasku.

— Uważasz, że to wyczerpanie psychiczne? Mam nadzieję, że się nie mylisz. Z tym potrafię sobie poradzić. Ale, do diabła, zaczynają mnie opadać wątpliwości. Ród, czy ja naprawdę robię coś potrzebnego? Czy naprawdę coś zmieniam?

— Jasne — potwierdził. — Zmieniasz świat.

— O Boże, mam nadzieję, że tak jest, ale sama nie wiem... Czasami, późno w nocy, kiedy nie mogę zasnąć, myślę o wycofaniu się. Uważasz, że nie jestem za stara, by zostać matką?

— Oczywiście, że nie.

— To strasznie kuszący pomysł, Rod. Prawdziwy dom, mąż, dzieciaki. Spanie we własnym łóżku, rok po roku. Zad'nych więcej moteli. Żadnych przemówień, zebrań, wywiadów i akcji.

— Możesz połączyć dom i twoją robotę — zauważył. — Być żoną i robić karierę. Grace Peddleton jest mężatką i ma dwoje dzieci.

— Ona może tak robić, ale ja nie. Należę do osób, które poświęcają się w stu procentach temu, co robią. Obojętnie, co to jest. Taka już jestem.

— Wiem — powiedział czule.

Zaczął kochać ją: palcami, dłońmi, ustami, językiem.

— O Jezu! — westchnęła. — To jest to, czego mi potrzeba. Nie przerywaj.

Wiła się pod jego rękoma, podniecona, zarumieniona, gorąca. Pracował nad jej kościstym ciałem, dopóki nie westchnęła. — Chodź już, chodź. Położył się na niej.

— Moll, nie jestem dla ciebie za ciężki? Potrząsnęła przecząco głową, oczy miała zamknięte.

---Och, jak dobrze. Tak dobrze.

Wszedł w nią i zaczął się poruszać.

— Święty Boże! — krzyknęła. Zacisnęła usta w namiętym grymasie.

— Kochany, kochany — szeptała.

— Kochana — powtórzył. — Kochana.

Wydawało mu się, że ona płacze, ale nie był tego do końca pewien. Skończyli i nie chciała wypuścić go z objęć. Przycisnęła go mocniej do siebie, ukrył twarz między jej szyją a ramieniem. Delikatnie szczypał wargami jej miękką skórę.

— Kochany — szepnęła — kochany, nie odchodź. Jeszcze nie teraz. Zostańmy tu, gdzie jesteśmy.

Został jeszcze kilka minut, potem powoli podniósł się. Podparł się na łokciu i spojrzał na nią.

— Moll, mówiłaś poważnie o ustatkowaniu się?

— Do cholery, nie. Nie potrafiłabym żyć inaczej.

18 kwietnia 1991

Broadway, główna ulica Corinth w stanie Michigan łagodnie opadała w dół z północy na południe. Na szczycie wzniesienia stała stacja benzynowa. W połowie ulicy znajdował się gmach sądu, budynek rady miejskiej i więzienie. Przy południowym krańcu ulicy wybudowano jednopiętrowe centrum handlowe, które zamknięto w czasie recesji 1981—83 i do tej pory stało puste.

Todhunter Clark wybrał ten obiekt, by odciągnąć policjantów z okolicy sądu. — Nikt nie zostanie ranny — przyrzekł po pierwszym rekonesansie. — To duża, stara buda. Mogę zrobić dużo hałasu, dużo dymu, ale żadnych większych strat. Nie chcę nawet uszkodzić ścian. Wybuch sprowadzi tu wszystkich. Zobaczycie to zamieszanie.

Ekipa Clarka rozmieściła ładunki wybuchowe w pustym budynku wczesnym rankiem osiemnastego kwietnia. Jak zwykle, Tod zaplanował odpalenie ładunków za pomocą fal radiowych. Sygnał, w którym momencie nacisnąć guzik, zostanie ' przekazany przez walkie-talkie od siostry KKO, która będzie na procesie i powiadomi go o ogłoszeniu przez sąd przerwy w rozprawie do następnego dnia. Eksplozja da sygnał do ataku Grace Peddleton. i jej oddziałowi bojowemu. Siostry biorące bezpośredni udział w akcji miały siedzieć w zaparkowanych samochodach nieopodal gmachu sądu. Po otrzymaniu sygnału część z nich wmisza się w niewielki tłum, który codziennie gromadził się przed budynkiem, aby popatrzeć na zakatą w kajdanki Carol Poague, prowadzoną do więzienia.

W tym momencie Clark odpali ładunki, a Peddleton i jej żołnierze wyciągną broń ukrytą w kieszeniach i torbach na zakupy. Zajmą wyznaczone pozycje i przygotowują się do uwolnienia więźniarki, kiedy się tylko pojawi.

Uciekać postanowiono bocznymi drogami, by uniknąć blokad, które z pewnością zostaną ustawione na głównych arteriach. Siły bojowe uprowadzą Poague, wepchną ją do samochodu i znajdą się poza miastem, zanim władze oszołomione wybuchem przygotowanym przez Brata Nabisco, zdołają zareagować.

Taki był plan.

Oddział Grace Peddleton pojawił się w miasteczku wczesnym popołudniem.

Przyjechały pojedynczo, dwójkami, trójkami, różnorodnymi autami. Siostry zostały podzielone na trzy drużyny: do kontrolowania tłumu, do obrony i do bezpośredniego oswobodzenia oskarżonej,

Molly Turner i Rod Harding przybyli do Corinth. krótko po 14⁰⁰. On siedział za kierownicą wynajętej furgonetki, forda ramera. Turner była zamaskowana.

Czasami się przebierała, gdy była obecna podczas akcji, a nie chciała zostać rozpoznana. Miała długą, czarną, nylonową perukę, kapelusz z dużym rondem opuszczonym nisko i słoneczne okulary.

Harding był tu już poprzednio i wybrał stację benzynową

jako najlepszy punkt widokowy, z którego on i Molly będą Obserwować akcję. Podjechał pod samoobsługowy dystrybutor, nalał paliwa i zaparkował auto na małym parkingu należącym do stacji. On i Molly siedzieli w furgonetce, ostentacyjnie dyskutując nad rozłożoną mapą drogową.

O 15¹⁹ stacją benzynową wstrząsnął potężny wybuch. Zabrzęczały szyby, a ze stojaka wytoczyły się puszkę oleju.

— Wspaniale — mruknął Harding.

Molly i on wysiedli z samochodu i dołączyli do grupy mechaników i klientów, którzy patrzyli na południe, gdzie unosiła się w niebo ogromna chmura tłustego dymu.

— Jezu Chryste—powiedział ktoś ze zgrozą.—To wygląda na stary dom towarowy. Lecę, żeby to obejrzeć.

Gapie pobiegli do swoich samochodów i stacja benzynowa opustoszała. Turner i Harding nie ruszyli się. Rod podszedł do furgonetki, wyjął małą lornetkę i podał ją Molly. Zdjęła słoneczne okulary, nastawiła ostrość i przyglądała się terenowi przy sądzie.

W momencie kiedy Clark odpalił ładunki, on i jego pomocnice natychmiast wyruszyli z miasta. Prowadził z bezpieczną prędkością, ustaloną z góry trasą do Southfield, omijając główne drogi.

Po eksplozji podkomendne Grace Peddleton zajęły wyznaczone pozycje. Większość widzów na Broadway i ci, którzy wysypali się z sądu, skierowali się na południe, by popatrzeć na miejsce wybuchu.

Carol Poague pojawiła się w drzwiach sądu.

— Teraz! — krzyknęła Peddleton do swoich żołnierzy. Kiedy zobaczyła oskarżoną, od razu zrozumiała, że Carol ma zakute w kajdanki nie tylko ręce, ale również nogi. I zamiast, jak do tej pory dwóch strażników, miejscowych policjantów, otacza ją przynajmniej sześciu gliniarzy.

W tej samej chwili ukryci strzelcy wyborowi ukazali się na dachach: sądu, budynku rady miejskiej i więzienia. Skierowali lufy swoich strzelb, dubeltówek i broni automatycznej na siostry KKO.

Któryś krzyknął przez tubę:

— Nie strzelać!

Później nie zdołano ustalić, kto pierwszy oddał strzał, ale kiedy pierwsza broń wypaliła, wywiązała się ogólna strzelanina.

— Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień! — ktoś krzychał przez tubę.

Wymiana strzałów trwała prawie przez minutę. Grace

Peddleton i trzy siostry KKO zginęły na miejscu. Dwóch policjantów z Corinth zostało rannych. Ranni leżeli w kałużach krwi na schodach gmachu sądu. Niektóre, z żołnierki KKO rzuciły się do samochodów i uciekły, ale większość została na miejscu. Kiedy rozpoczęła się strzelanina, Molly Turner obserwowała ją przez chwilę przez lornetkę, potem odwróciła poblada twarz do Roda Hardinga.

— Zasadzka — powiedziała drętwym głosem.

Wziął od niej lornetkę. Długo i uważnie przyglądał się ulicy i dachom domów.

— To pułapka — mruknął chrapliwie. — Ktoś nas sprzedał.

— Muszę tam iść — rzekła Molly i ruszyła.

— I popełnić samobójstwo? — krzyknął Harding. — Do cholery, i tak nie możesz nic zrobić. Już po wszystkim. Przeegraliśmy.

Ścisnął mocno jej ramię. Usiłowała wyrwać się, ale on był silniejszy. Wepchnął ją do furgonetki, sam usiadł za kierownicą i opuścili miasteczko.

Skuliła się w kącie, płacząc.

— O Jezu! — zawodziła. — O Jezu...

Nie mógł wydusić z siebie słowa, prowadził rozpaczliwie, spoglądając kątem oka w lusterko i patrząc przed siebie, czy na drodze nie ma barykady.

— Chyba są zabici — mruknęła Molly gorzko. — Może nawet wielu zabitych. Cała ta strzelanina...

— To się zdarza, kiedy bawisz się bronią — stwierdził Harding. — Kto o tym wiedział oprócz grupy Peddleton? Kto znał dokładną datę i godzinę?

— Ja, ty, Ann, Clark, Yvonne Popkin i kilka innych osób.

— Dlaczego Popkin?

— Miała przygotować oświadczenie dla mass mediów, nie przyjęcie odpowiedzialności, ale wyrażenie współczucia dla Poague. Włącz radio.

— Jeszcze nie. Kto właściwie zatrudnił Popkin?

— Ja albo Ann. Nie pamiętam. NSK sugerowało, że potrzebujemy rzecznika prasowego.

— Polecilo ją NSK?

— Chyba tak.

Nie powiedział więcej ani słowa, włączył radio. Pierwszą informację usłyszeli po dziesięciu minutach. Przerwano muzykę country, by nadać „specjalne wiadomości”. Spiker powiedział, że zginęło osiem osób, troje rannych znajduje się w krytycznym stanie. Nazwał to „masakrą w Corinth”.

Przyjechali do motelu „Co-Zee” tuż przed 18³⁰. Todhunter

Clark był już na miejscu. Popijał burbona i oglądał telewizję. Spojrzał na nich, kiedy weszli.

— Jestem spakowany, lepiej stąd wujmy i to szybko — powiedział.

— Jestem za, ale nie do Detroit. Mogli obstać lotnisko — zauważył Harding. —

Pojedziemy do Toledo i stamtąd złapiemy samolot. Jakie są ostatnie wiadomości?

— Dziesięć osób zabitych — powiedział głucho. — Siedem naszych, trzy osoby z ich strony. Czternaście rannych. Jedenaście sióstr aresztowano. Grace Peddleton nie żyje, zginęła jak żołnierz.

Harding nalał burbona do plastikowego kubka i podał go Molly. Trzymała go drżącymi rękami. Pozwolił jej upić łyk, wziął od niej kubek i wypił do dna.

— Gdzie jest Yvonne Popkin? — zapytała Clarka.

— W swoim pokoju. Próbuje pakować się, ale przeważnie płacze.

— Tod i ja to załatwimy — Rod spojrział na Molly.

— Nie — powiedziała z zaciętością w głosie. — Załatwię to sama. Po swojemu. .

Popkin siedziała przygarbiona na brzegu łóżka. Ukryła twarz w dłoniach. Jej tłuste włosy tworzyły namiot, pusta butelka po wódce leżała na poduszce.

Molly Turner weszła do pokoju. Złapała Yvonne za włosy i szarpnęła jej głowę do tyłu.

Zobaczyła zalaną łzami, zniszczoną alkoholem twarz.

— Komu powiedziałaś? — zażądała wyjaśnień Molly.

— Co? — Popkin spojrzała w górę oszołomiona, próbując skupić się.

— Komu powiedziałaś?

— Ja nie...

Molly Turner uderzyła ją w twarz otwartą dłonią, wkładając w ten cios całą swoją siłę.

Głowa Popkin odskoczyła, a policzek zaczerwienił się.

— Komu powiedziałaś?

— Ja nie... Uderzenie.

— Komu powiedziałaś?

— Dlaczego... Uderzenie.

— Komu powiedziałaś?

— Przysięgam, ja... Uderzenie.

— Będę cię biła—stwierdziła zimno Molly. — Biła i biła tak

długo, aż stracisz świadomość, potem ocucę cię i znowu będę była. Rozwalę ci ten pieprzony łeb, ty głupia dziwko. A teraz... Komu powiedziałaś?

— Nie myślałam, że ona...

— Kto?

— Underwood — zaszlochała Popkin. — Connie Underwood, Molly.

Potrzebowałam tej pracy, ale ona w zamian chciała wiedzieć, co się dzieje w KKO. Nie mówiłam jej o wszystkim. Przysięgam, że nie. Piję za dużo, wiem, że mam problemy. Niekiedy zapominam różne rzeczy. Nie widziałam w tym nic złego, ona jest po naszej stronie, prawda? O niektórych sprawach mówiłam jej — nie za dużo, o innych zapominałam. Ona należy do naszej rodziny, prawda? To nasza siostra.

— Powiedziałaś jej o Corinth? Powiedziałaś jej datę i godzinę?

Yvonne Popkin podniosła zalaną łzami twarz. Przygnębiona skinęła głową. Zaczęła się kołysać w przód i w tył, zawodząc żalnym głosem.

Molly Turner zacisnęła pięść i uderzyła Yvonne w twarz. Coś trzasnęło, Popkin padła na łóżko z otwartymi ustami i szklistym wzrokiem.

— Pojedziesz z nami — powiedziała Turner, rozcierając knykie. — Możesz się zapić na śmierć, gówno mnie to obchodzi, ale nie ruszysz się bez zezwolenia.

Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Popkin zdołała skinąć głową. Trzymała zakrwawioną twarz w dłoniach.

— A teraz doprowadź się do porządku, ty kupo gówna. I Molly wyszła z pokoju.
24 maja 1991

— Zawsze byłem wagabundą — stwierdził Todhunter Clark. Śmiejąc się głąkał jasne włosy małego Jeffa. — To tu, to tam, nigdzie nie mogłem zagrzać miejsca.

Dopiero ta robota i wy wszyscy daliście mi coś. Jak fundacja. Wie pani, Lucille Jackson to wspaniała kobieta, tylko trochę marudzi, jak chce się przyczepić.

Ann Harding spacerowała tam i z powrotem po bawialni. Przystanąła i spojrzała na niego.

— Nie powinienes jej za to winić — rzekła.

— Och, nie, wcale jej nie winię.

— Co ty o tym myślisz, Tod?

— Jestem między młotem a kowadłem. Pięć lat temu zwinąłbym manatki i odszedł. Cześć kotku i po krzyku, ale dziś... Zaczynam się starzeć. Moja broda siwieje.

— Broda — powtórzył Jeff.

— Tak, królewiczu — powiedział Brat Nabisco. Wysuwając swoją kozią bródkę w kierunku malca, wskazał na nią ręką. — To jest broda. Będziesz miał taką pewnego dnia, jeżeli zechcesz. Zacząłem myśleć jak Lucille.

Ann znowu zaczęła swój spacer. Było deszczowe popołudnie, zamglone okna, grzmoty na dworze, a tu w środku ciężka cisza, która utrudniała rozmowę.

— Co wy zamierzacie, ty i Rod? — zapytała nagle. — No i Molly.

— To i tamto — odpowiedział ostrożnie.

— Wszyscy spędzacie dużo czasu w Waszyngtonie.

— Mhm... cóż... załatwiamy sprawy. Zbliża się zjazd i tak dalej.

— Tod, o co tu chodzi? Podniósł głowę i spojrzał na nią;

— Uważam, że lepiej będzie, jak pani zapyta Molly, Ann. Nie mogę o tym mówić.

— Chodzi o Corinth... — stwierdziła. — Nieszczęście. Byłam temu przeciwna od samego początku, ale Molly uparła się. Te wszystkie zabite siostry. Nie potrafię o tym zapomnieć.

— Stało się. Mogło się udać, ale nie poszło po naszej myśli. Wszyscy wiedzieli, że podejmują ryzyko. To jest jak wojna, trzeba liczyć się ze stratami. Nigdy nie słyszałem o wojnie bez ofiar. Po ich stronie, czy naszej.

— Byłeś w motelu? W tym, w którym zatrzymali się Molly i Rod?

— Tak. Ja i Rod wynajęliśmy wspólny pokój.

— Kiedy pojechałeś do Corinth?

— W przeddzień. Wieczorem zawiozłem furgonetką wszystkie potrzebne rzeczy.

— Więc nie było cię tej nocy w motelu?

Zwiesił głowę i potrząsnął nią wolno.

— To mi się nie podoba, proszę pani. — Nie lubię przesłuchań trzeciego stopnia.

— Masz rację — powiedziała. Przepraszam. To nie dotyczy ciebie.

Nie odezwał się.

— Dostałam kolejny list — rzekła ze smutnym uśmie-

chem. — Rod i Molly w motelu „Co-Zee”, w nocy siedemnastego kwietnia. Data, numer pokoju. Wszystko.

— Nie było mnie tam — szepnął cicho. — Nic o tym nie wiem.

Usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Założyła nogę na nogę, złożyła ręce, skuliła się.

— Tod, poradź mi, co mam robić.

— Nie, tego nie mogę zrobić. Nikt nie może. To pani życie, pani musi to sama rozwiązać.

— Doradź — błagała. — Nie mówię, że zrobię to, co mi powiesz. Po prostu chcę rady.

— Nie jestem dobry w udzielaniu rad — wzruszył ramionami. — Ostatnio, kiedy o tym rozmawialiśmy, radziłem, żeby nic nie robić, liczyłem, że to się samo rozleci.

— Ale tak się nie stało, prawda? Milczał.

-<- Dobrze, Tod, rozstrzygnę to sama i zdecyduję, co robić. Czy ciągle mogę na ciebie liczyć?

— Wie pani, że tak, Ann.

— To dla mnie — powiedziała żarliwie — i dla Jeffa. Nie obiecuj, że mogę liczyć na ciebie, jeżeli tak nie uważasz.

— Ależ ja tak uważam, przysięgam.

— Obojętnie, o co poproszę?

Patrzyli sobie prosto w oczy przez chwilę.

— Broda — powiedział Jeff.

— Obojętnie, o co — mruknął Todhunter zdławionym głosem.

15 czerwca 1991

— Mam zamiar zabić tę sukę — stwierdziła Molly.

Jej wyprany z emocji ton i obojętny wyraz twarzy wstrząsł Rodem Hardingiem bardziej niż zaciętość i wściekłość. Zastanawiał się, czy jej pasja w tym przypadku nie zmieniła się w coś szalonego, psychotycznego.

— Molly — wysilił się na taki spokój, na jaki go było stać — nie możesz tego zrobić.

Wyjaśnił jej tak logicznie i sensownie, jak potrafił, że zabicie Constance Underwood niczego nie załatwi. A ryzyko jest ogromne i zagrożenia dla samej Turner, jej kariery, KKO mogłyby okazać się nieobliczalne.

— Zamierzasz zostać przewodniczącą połączonych organi-

zacji NSK i KKO — tłumaczył jej. — Po śmierci Grace Peddleton Stacy może wyznaczyć swojego dowódcę pułku Michigan. A to oznacza, że Virginia Terwilliger dostanie głos Stacy w tej specjalnej komisji. Molly, jesteś pewniaczką. Nie ma potrzeby zabijać Underwood.

— Zabiję ją — powiedziała twardo Turner. — Ty musisz tylko zdecydować, czy mi pomożesz. Tak czy owak, ta dama już nie żyje.

Harding zastanawiał się przez kuka minut, w końcu podjął decyzję:

— No, dobra, pomogę ci, ale pod trzema warunkami: po pierwsze, Ann nie może się o tym dowiedzieć. Po drugie, będzie mi potrzebny do pomocy Todhunter Clark, wiem, że go nienawidzisz, ale trzeba będzie wykonać dużo „gangsterskiej” roboty, śledzić ją i wszystkiego się dowiedzieć. Nie mogę tego zrobić sam. Po trzecie, Tod i ja przygotujemy wszystko, ale ty sama ją zabijesz.

— Zgadzam się — rzekła Molly z tym zimnym spokojem, który go zadziwił.

Ta rozmowa miała miejsce na pokładzie samolotu w drodze do Canton po masakrze w Corinth. W następnym tygodniu Harding i Clark przenieśli się do Waszyngtonu, do zapchlonego hotelu w Chinatown, niedaleko mieszkania Molly. Rozpoczęli inwigilację Constance Underwood.

Harding wyjaśnił Bratu Nabisco, co muszą zrobić. Najważniejsze, to poznać jej zwyczaje i rozkład dnia.

— Jeżeli będziemy za nią chodzić, powiedzmy, miesiąc, albo coś koło tego, będziemy mieli duże szanse na ustalenie, gdzie bywa i co robi o każdej porze dnia czy nocy.

— To szaleństwo — Todhunter Clark potrząsnął głową. — Wy, gliny, wszystko wiecie.

Zmieniali się co osiem godzin i przez prawie dwa miesiące śledzili Constance Underwood, robiąc notatki. Od niechcienia przepytывali portierów, taksówkarzy, kelnerów i służbę. Zgromadzili ogromną ilość informacji o przewodniczącej NSK. Zaczęli od mieszkania w Watergate, dowiedzieli się o błyszczącym czerwonym jaguarze i letnim domku w pobliżu Plum Point Kiedy się ociepliło, Connie spędzała tam każdy weekend. Zwykle dołączał do niej atletyczny facet, którego tożsamości nie ustalili.

- Kochaś — domyślił się Todhunter Clark. .

— Jesteś taki pewien? — roześmiał się Rod Harding. — Na kilometr śmierdzi gliną. Na początku czerwca uznali, że sporządzili kompletny

rozkład jej zajęć. Spotkali się z Molly i przekazali jej, co ustalili.

— Zmieniłaś zdanie? — zapytał Harding.

— Nie — odpowiedziała twardo.

Więc zabrali się do pracy. Zdecydowali, że najlepszym miejscem do uderzenia będzie letni domek.

— Czy ona tam przyjeżdża razem z tym swoim facetem? — spytała Molly.

— Nie — odpowiedział Clark. — Nigdy. Ona przyjeżdża w sobotę wcześniej rano i przygotowuje wszystko, a on pojawia się około południa. Wyjeżdża również sam, w niedzielę wieczorem. Kilka godzin później ona wraca do Waszyngtonu swoim czerwonym jaguarem. Są bardzo ostrożni.

— Dyskretni — stwierdził Harding. — Bardzo dyskretni. Cholernie chciałbym się dowiedzieć, kim on jest, ale Tod i ja byliśmy zbyt zajęci, aby go śledzić.

— No, nieźle — rzekła Molly Turner. — Wiemy dość. Załatwię ją w tym letnim domku. Jak tam wygląda?

Harding opowiedział jej. Prowadzi tam polna droga między drzewami, która odbija od drogi szutrowej. Całą posesję otacza porośnięty bluszczem płot. Brama jest zamykana na klucz. Na działce stoi drewniany domek w kształcie litery A, przeszklony od frontu i od tyłu. Żadnych zasłon. Jest taras i mały basen, teraz napełniony wodą. Najbliżsi sąsiedzi są oddaleni o pół mili.

— Ta brama... — zaczęła Molly. — Czy ona zamyka ją ponownie, po wjeździe na teren posesji?

— Nie — odpowiedział Clark — zostawia ją otwartą, by mógł wjechać kochaś.

— Czy jest duży ruch na tej szutrowej drodze?

— W weekendy umiarkowany — rzekł Rod.

— A na polnej drodze?

— Prawie żaden — teraz mówił Brat Nabisco. — Jeden, może dwa samochody na godzinę. Nie ma tam wielu domków.

— Tó przeszklenie, czy można przez nie zajrzeć dó środka?— pytała Molly.

— Tak — potwierdził Harding. — Zajrzałem tam przez lornetkę. Jest tam łazienka i prawdopodobnie sypialnia. Przez szklane ściany możesz zobaczyć bawialnię i kuchnię.

Molly Turner zastanawiała się nad tym, co usłyszała, delikatnie pociągając dolną wargę.

— Brama jest otwarta, więc mogę tam wejść, tak po prostu i dojść aż do drzwi frontowych. Czy one także są przeszklone?

Harding potakująco skinął głową.

— Czyli zwyczajnie zapukam albo zadzwonię.

— I wyobrażasz sobie, że ona cię wpuści? — zapytał Clark. Molly Turner spiorunowała go wzrokiem.

— Dlaczego nie? Przecież jesteśmy przyjaciółkami, co?

Piętnastego czerwca, w słoneczny poranek, Constance Underwood wsiadła do swojego czerwonego jaguara i wyruszyła do Plum Point. Za nią w czarnym volkswagenie rabbicie jechali Molly Turner, Rod Harding i Todhunter Clark. Clark siedział za kierownicą. Wkrótce czerwony jaguar zniknął im z oczu.

— To szalona dama — narzekał Tod. — Jedzie jak na wyścigach.

— Nie przejmuj się, wiemy, dokąd jedzie — uspokajał go Harding.

Kiedy dotarli do drogi szutrowej, Clark zjechał na pobocze i zaparkował. Molly i Rod wysiedli. W chlebaku Rod miał walkie-talkie.

— Daj znać, gdyby się coś działo — nakazał Bratu Nabisco.

— Oczywiście, stary, jeżeli zostanę otoczony przez żołnierzy, odjadę kawałek, a potem wrócę. Jeżeli mnie nie zobaczycie, nie zamartwiajcie się. Wrócę na czas. Rozsiadł się niedbale za kierownicą zaparkowanego auta^ Molly i Rod ruszyli szutrową drogą, wcale nie kryjąc się.

— To około pięciu minut drogi, no, może trochę więcej — powiedział Rod.

— Piękny dzień — zauważyła.

— Moll, jesteś pewna, że potrafisz to zrobić?

— Potrafię.

— Trzymaj się dokładnie planu, a pójdzie jak po maśle. Kiedy dotarli do posesji Underwood, brama była otwarta, a jaguar zaparkowany nie opodał domu. Przystanęli-pod drzewami po drugiej stronie drogi.

— Cudowne miejsce — stwierdziła Molly przyglądając się dacy. — Sama bym chciała taką posiadać.

— Ho... ho... Widzisz basen? — zapytał.

— Tak,

— Od drzwi do basenu jest około trzydziestu stóp. Podążasz?

— Z łatwością.

Harding wyjął walkie-talkie i po kilku trzaskach udało mu się połączyć z Clarkiem.

— Jesteśmy na miejscu — zameldował. — Wszystko w porządku?

— Tak — potwierdza. — Żadnych problemów.

— Teraz twoja kolej — Rod odwrócił się do Molly. Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałem.

— Pamiętam — mocniej przycisnęła do boku torebkę.

— Pocałuj mnie — uśmiechnął się.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Cofnął się o krok i pogłaskał jej policzek.

— Powodzenia — rzucił lekko.

Odwróciła się i przeszła na drugą stronę drogi. Minęła otwartą bramę. Po chwili podeszła do przeszklonych drzwi frontowych. Zatrzymała się przy nich i zajrzała do środka. Zobaczyła Constance Underwood krzątającą się przy lodówce. Zauważyła także drzwi w środku, które, jak się domyślała, prowadziły do sypialni i łazienki. Nacisnęła dzwonek. Widziała, jak Underwood wyprostowała się i odwróciła.

Powoli przeszła przez ogromny pokój i spojrzała na Turner przez grube, szklane drzwi. Molly uśmiechnęła się i pomachała do niej ręką. W odpowiedzi Constance wykrzywiła twarz w grymasie, który miał przypominać uśmiech, i otworzyła drzwi.

— Molly, co ty tu robisz?

— Byłam w sąsiedztwie i pomyślałam, że wpadnę do ciebie na minutkę przywitać się. Mogę wejść?

— No, cóż... ale tylko na minutę — mruknęła niechętnie. — Wkrótce oczekuję gościa, a mam jeszcze milion rzeczy do zrobienia.

Molly weszła. Underwood zamknęła drzwi. Kiedy Odwróciła się, jej gość mierzył już do niej z rewolweru. Connie spojrzała na broń, potem powoli podniosła oczy, napotykać wzrok Molly.

— Co?... — spytała spokojnie. — Do cholery, co to ma znaczyć? Molly, o co chodzi?

— Ty dziwko, zamordowałaś moje siostry.

— Do diabła, o czym ty mówisz? Odłóż ten rewolwer i porozmawiajmy spokojnie.

— Nie żyjesz, chcę, żebyś to wiedziała już teraz. Kiedy ja stąd wyjdę, ciebie już nie będzie ma tym świecie.

Cofnęła się o dwa kroki i stanęła na szeroko rozstawionych nogach. Trzymała rewolwer pewnie, z lufą wycelowaną w pierś Underwood.

— Molly, powiedz, o co chodzi. Do cholery, mam chyba prawo wiedzieć...

— Jedyne prawo, jakie masz, to umrzeć. Wiem o Yvonne Popkin i o tym, że sprzedawałaś glinom akcję w Corinth.

— Molly, przysięgam...

— Siedem sióstr nie żyje. A te ranne i te w więzieniu? To wszystko przez ciebie. Underwood nie próbowała już wyjaśniać, czy bronić się.

— Jesteś szalona — stwierdziła tylko chrapliwie. — Kompletna wariatka.

- No właśnie, to ja: szalona wariacka. Jediną rzeczą, która mnie uleczy, będzie splunięcie na twoje zwłoki. A teraz ruszaj w kierunku tamtych drzwi, ja za tobą. Spróbuj jakiejś sztuczki, a rozwalę ten twój pieprzony łeb tutaj.

W sypialni, do której nie można było zajrzeć z drogi, Molly zbliżyła się do Underwood i uderzyła ją rewolwerem z całej siły w skroń. Constance jęknęła cicho i upadła twarzą na łóżko.

Molly schowała broń do torebki. Pochyliła się nad nieprzytomną kobietą, odgarnęła jej długie włosy i sprawdziła, czy nie uszkodziła naskórka. Nie zauważyła krwi. Następnie ciągnąc, szarpiąc i wlokąc, rozebrała Underwood do naga. Poskładała porządnie wszystkie jej rzeczy i położyła na łóżku.

Weszła do bawialni i otworzyła drzwi frontowe. Wróciła do sypialni, przewróciła Underwood na plecy, złapała nagie ciało pod pachami, przeciągnęła przez sypialnię i bawialnię na skraj basenu.

Na brzegu basenu, z głębszego końca, Molly Turner wypuściła ciało. Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Napięła ramiona, nie spojrzała nawet na drugą stronę drogi, gdzie pośród drzew stał Rod Harding i obserwował teren. Osunęła się na kolana i zepchnęła Constance Underwood do wody. Pochyliła się i chwyciła długie, czarne włosy. Wepchnęła głowę Connie pod wodę i przytrzymała. Na powierzchni pojawiły się bąbelki powietrza.

Wyciągnęła głowę Underwood z wody, spojrzała na martwą twarz i jeszcze raz wcisnęła ją pod wodę. Trzymała tak przez dwie, a może trzy minuty. Wreszcie puściła ciało. Unosiło się swobodnie na powierzchni, twarzą w dół, włosy rozsypały się, tworząc jakby pajęczą sieć.

Molly Turner wstała i skinęła na Roda. Powiedział coś przez walkie-talkie, potem powoli przeszedł przez drogę, minął bramę i zbliżył się do basenu. Rzucił okiem na nagie ciało.

— Wszystko zgodnie z planem? Skinęła głową.

— Miałaś jakieś problemy?

— Nie.

— Gdzie ją załatwiłaś?

— W łóżku.

— A co z krwią?

— Nie zauważyłam.

— Czego dotykałaś?

— Tylko klamki od drzwi wejściowych, od wewnątrz.

— Zostań tu.

Wszedł do domku, do sypialni. Rzeczy Constance Underwood leżały porządnie złożone na łóżku. Żadnych śladów krwi, żadnych śladów szarpaniny. Przeszedł przez bawialnię. Chusteczką do nosa wytarł miedzianą klamkę od wewnątrz. Zostawił drzwi lekko uchylone i dołączył do Molly nad basenem. Znowu spojrzął na nagie zwłoki, teraz powoli tonące.

— Przypadkowa śmierć przez utonięcie — mruknął z nikłym uśmiechem. —

Uderzyła głową o trampolinę albo dno basenu. Tak to zakwalifikują gliny. A teraz znikajmy stąd.

Ruszyli spokojnie szutrową drogą. Todhunter Clark stał przy samochodzie i palił cygaro.

— Hej, wy tam, załatwione?

Od pięciu minut byli w drodze powrotnej do Waszyngtonu, kiedy minął ich samochód prowadzony przez Jamesa Gargana, jadący w przeciwnym kierunku, ale ani oni, ani on, o tym nie wiedzieli.

W mieszkaniu Molly Turner otworzyli puszki piwa i popatrzyli na siebie.

— Już po wszystkim. Zrobiłaś to. Jesteś zadowolona? — zapytał Harding.

— Chciałabym móc zrobić to jeszcze raz — odrzekła.

Żaden historyk próbujący opisać zjawisko Kobięcych Korpusów Obrony, choćby jego opracowanie było krótkie i niekompletne, nie zlekceważy fenomenu; który towarzyszył temu ruchowi; ruchu mężczyzn, który istniał, co prawda tylko w ograniczonej skali.

Oto nazwy kilku wyłącznie męskich ugrupowań i stowarzyszeń, wielu z nich efemerycznych, utworzonych w opozycji do KKO. Były to: Męskie Korpusy Obrony, Liga Mężczyzn Amerykańskich,

Spółeczność Męska,

Mężczyźni Dla Ameryki,

Mężczyźni Przeciwno Przemocy. Te i im podobne ugrupowania, o niewielkiej liczbie członków, miały na celu, jak to ujmowały w swoich statutach, wykazanie

„wyższości”: amerykańskich mężczyzn. Kilka z tych organizacji usiłowało zorganizować oddziały paramilitarne na wzór KKO, ale nie ma żadnych dowodów, które

wskazywałyby na udział tych męskich grup w akcjach bojowych skierowanych bezpośrednio przeciwko KKO.

Jedyną organizacją, która była owocem sukcesów i wzrostu KKÓ, było Stowarzyszenie Badaczy Stosunków Między-plciowych- Było to zarejestrowane stowarzyszenie naukowe: socjologów, psychologów i seksuologów, założone w celu oceny wpływów KKO na społeczeństwo amerykańskie.

Dwoje członków tego stowarzyszenia napisało i opublikowało prace w formie książkowej na temat Kobiety i Korpusów Obrony. Były to: „JKKO — odwrócenie ról mężczyzny i kobiety w Ameryce” autorstwa J. Cynthii Alcott — wydana przez Burnett Publishing Co., stron 349, cena 15,95 \$ oraz „KKO — rewolucja polityczna”, napisana przez Simona Hertza (doktora), wydana przez wydawnictwo Foley and Smith, stron 426, cena 18,95 \$. Obie te, pozycje polecano poważnym czytelnikom.

10—13 lipca 1991

Doroczny zjazd Narodowego Sprzysiężenia Kobiet odbywał się w hotelu „Americana” w Nowym Jorku, w tym samym, w którym powołano tę organizację do życia w 1982 roku. Coroczne spotkanie delegatek (zwykle uroczyste, a czasami pełne hałaśliwych emocji) rozpoczęło się minutą milczenia dla uczczenia pamięci niedawno zmarłej przez utonięcie przewodniczącej NSK, Constance Underwood.

Zjazd otworzyła i wstępne przemówienie wygłosiła Ann Harding. Chociaż Ann nie dysponowała płomienną retoryką, mówiła sensownie i spokojnie. Słuchano jej z ogromną uwagą, a jej wystąpienie przyjęto owacją na stojąco.

Bez nawiązywania do napięć i konfliktów pomiędzy NSK i KKO Ann poprosiła o prawdziwe siostrzeństwo nie tylko delegatki na zjazd, ale także wszystkie kobiety.

Trywialne zagrywki proceduralne i taktyczne, mówiła, nie powinny być przeszkodą w osiągnięciu celu — prawdziwej równości.

Po jej wystąpieniu delegatki rozpoczęły dyskusję i głosowania nad serią rezolucji, z których większość dotyczyła spraw ekonomicznych — głównie wywalczenia takiej samej płacy za taką samą pracę dla kobiet i mężczyzn.

Jednocześnie za kulisami wiele politykowano. Virginia Terwilliger pracowała jak wół, by trzymać swoje popleczniczki z komisji specjalnej na smyczy. Liczyła, że ma za sobą więk-

szość, która poprzez wchłonięcie NSK przez KKO, ale nio nie pozostawiła przypadkowi.

Przedstawiła te same argumenty wszystkim członkiniom Komisji Specjalnej, zarówno tym popierającym ją, jak i swoim przeciwniczkom.

— Słuchajcie — mówiła. — KKO realizuje tylko te cele, które NSK sformułowało w 1982 roku. Zajrzyjcie do naszej pierwszej Deklaracji Wyzwolenia. Zauważycie, że KKO wprowadza w życie to, co tam zapisano, nic mniej i nic więcej. Oczywiście NSK mogłoby to zrobić samo, ale byliśmy zbyt stare, zbyt zmęczone, zbyt leniwe. I wtedy pojawiła się Molly Turner. Ona ożywiła tę organizację, ona tchnęła nowego ducha i zaczęła urzeczywistniać te cele, dla których powołano NSK. Chcę wam uświadomić, że potrzebujemy tej kobiety i jej siostry Ann. Bez nich nie zdziałamy niczego.

Jej spokojne apele były kuszące, przekonały nawet najstarsze konserwatystki, które nie były zachwycone stosowaniem przemocy przez KKO.

W piątek, dwunastego lipca, po wieczornej sesji, specjalna komisja zebrała się w pokoju, który zamknięto na klucz. Połączenie NSK i KKO zostało przyjęte przez członkinie komisji większością dwóch głosów. Postanowiono, że nowa organizacja przyjmie nazwę Kobiecte Korpusy Obrony.

Uzgodniono, że komisja specjalna przedstawi swoje stanowisko wszystkim uczestniczkom zjazdu jako jednomyślną decyzję.

— Bingo! — wykrzyknęła radośnie Virginia Terwilliger. Przewodniczyła ostatniej sesji zjazdu w sobotę wieczorem

13 lipca z ogromnym talentem polityczną zręcznością. W drugiej części siostry z Augusty, w Georgii, zaśpiewały ballady, wyświetlonodwuminutowy film z „masakry w Corinth”, który pokazywał ciała zabitych sióstr KKO leżące w kałużach krwi, i odprawiono wzruszające modły za „nasze siostry cierpiące na całym świecie”.

Następnie przewodnicząca Komisji Specjalnej podeszła do mikrofonu i ogłosiła jednogłośnie poparcie dla „całkowitego połączenia obu organizacji”. Auditorium przyjęło to oświadczenie oklaskami, okrzykami i spontaniczną radością, Molly Turner otrzymała nominację na przewodniczącą nowych Kobiectych Korpusów Obrony. Reakcja delegatek była bardzo entuzjastyczna, stało się oczywistym, że żadna inna kandydatka nie ma szans. Molly wybrano przez aklamację. Dziesięć minut później stanęła na mównicy, twarzą do wiwatującego auditorium.

Nic w jej wyglądzie nie wskazywało, że cieszy się z triumfu, czy nawet, że odczuwa satysfakcję. Ubrana w prostą sukienkę, której nie można było nazwać elegancką, nie uśmiechała się. Na jej posępnej twarzy nie było widać śladu makiazu. Nie zrobił żadnego ruchu, by uciszyć tłum. Stała spokojnie, czekając na ciszę. Dopiero wtedy, kiedy ucichło pochyliła się do

mikrofonu. Proszę, abyscie wszystkie wstały - zaczęła spokojnie. — Wszystkie. I proszę, żebyście wzięły się za ręce. Weźcie za ręce wasze siostry z prawej i lewej strony.

Odczekała chwile. Obserwowała uważnie, jak delegatki wstają i chwytają się za ręce.

— Proszę, stójcie tak, dopóki nie powiem wam, co nu leży na sercu. Widziałyście kilka minut temu film o naszych siostrach zabitych w Corinth. Wiele z nich znałam osobiście. Mogę wam przysiąc, że wszystkie zginęły jak bohaterki, za nasza sprawę. Przysięgam wam, że ofiara ich życia nigdy nie zostanie zapomniana, a ich śmierć nie zmniejszy naszej determinacji.

— Przeciwnie, ich śmierć tylko wzmocni naszą determinację i pobudzi energię. To prawda, przebyliśmy długą drogę, ale jeszcze długa droga przed nami. Teraz jesteśmy jedną organizacją, jednym siostrzeństwem, jedną duszą. Przysięgam wam i przysięgam całemu światu, że będziemy walczyć tak długo, dopóki choć jedna z siostr będzie w stanie utrzymać broń

— To jest walka. Nie, to jest wojna. O tak, będą ofiary, w każdej wojnie są ofiary. Ale one nigdy nie powstrzymają naszej walki o słuszną sprawę. Jeżeli będę musiała zginąć w tej wojnie, przysięgam wam, że umrę szczęśliwa w imię emancypacji wszystkich kobiet.

— Trzymajcie się mocno za ręce. Przysięgnijcie razem ze mną, że nawet groźba śmierci nie przestraszy was, że nie zejdzicie z drogi, którą wspólnie obrałyśmy. Wszystkie jesteśmy siostrami, nie zapominajcie o tym. Będziemy walczyć aż do zwycięstwa. Nic nas nie powstrzyma. Nic. Jeżeli będą potrzebne ofiary, umrzemy ze świadomością, że nasza sprawa niedługo nie umrze.

— Siostry. Przysięgam tu i teraz, że będę bronię naszego nowego siostrzeństwa z całej mojej siły, każdą moją kroplą krwi. Przysięgam wam, że nigdy nie przestanę walczyć. Nigdy. I przysięgam, że kocham was wszystkie, jesteście częścią mnie, a ja jestem częścią was. Czy przysięgniecie razem ze mną na nasze siostrzeństwo? Teraz. Czy przysięgniecie tak, jak ja przysięgam, że poświęcicie wszystko, co macie drogiego,

w imię tego, w co wierzymy? Jeżeli tak, to podnieście wasze połączone dłonie i powiedzcie słowo „przysięgam”.

To był moment pełen napięcia, nawet później ta scena, pokazywana w telewizji, miała w sobie tyle siły, że poruszyła niektórych widzów nawet do łez. Stojące siostry podniosły ręce i krzyknęły: „Przysięgamy! Przysięgamy!”

Kamery telewizyjne pokazywały zbliżenia twarzy płaczących kobiet, kobiet prawie w religijnej ekstazie, sióstr gniewnych i zdeterminowanych, krzyczących słowa ślubowania z histerycznym zapalem.

Molly Turner zeszła ze sceny i zaczęła ścisnąć delegatki z pierwszych rzędów. Tłum zafalował w jej kierunku. Porządkowi na próżno starali się utrzymać jakiś ład. W całej sali siostry ścisnęły się i całowały.

Virginia Terwilliger siedziała spokojnie za stołem prezydenckim i kamienną twarzą obserwowała tę erupcję emocji. Przyjaciółki podchodziły do niej i gratulowały zwycięstwa, ale ona wzruszała tylko ramionami i patrzyła na hołdy składane Molly Turner.

W tym wszystkim było coś, co ją przerażało. To miało w sobie coś z politycznego szaleństwa, obłąkania, przypominało tłum krzyczący „Sieg heil!” Należała do kobiet racjonalnych, dlatego ten emocjonalny wylew uczuć wydał jej się niebezpieczny. ^
A konsekwencje tego przerażały ją.

26 sierpnia 1991

Senator Lemuel K. Dundee nie uczestniczył w pełni w swojej kampanii prezydenckiej. Najgorszą robotę wykonywał za niego sztab, dlatego nie orientował się w gmatwaninie, sztuczkach i komplikacjach, które napotykali jego ludzie.

Ale mimo wysiłków administracyjnych Thomasa J. Kea-ly'ego i pozostałych współpracowników, była ogromna ilość decyzji, które senator musiał podjąć, osobiście. Miał wrażenie, że dzień jest za krótki, by odwalić całą tę robotę.

To była szalona szarpanina. Senator Dundee czuł się rozdrażniony i rozdarty i coraz częściej sięgał po butelkę. To zrozumiałe. Czasami człowiek musi się zrelaksować, odpocząć — choćby tylko zrzucić buty, rozluźnić krawat, wyciągnąć nogi na biurku i spróbować zastanowić się nad następnym posunięciem.

Masakra w Corinth dawała mu argumenty do ręki — wiele szalonych kobiet usiłowało uwolnić kobietę oskarżoną o morderstwo. Piekło rozpętane przez Carol Poague przez postawienie moralnej i filozoficznej kwestii praw małżeńskich — powiedział senator — wynikało z gwałtownych wysiłków obalenia istniejącego porządku. Powstanie nie było zbyt dobrym określeniem na to wydarzenie, rebelia była lepszym.

Senator użył obu tych określeń w przemówieniach przygotowanych przez jego zespół. Nazwał „masakrę w Corinth” plamą na amerykańskiej historii. Ludzie biorący udział w jego wiecu przedwyborczym słuchali w nabożnej ciszy, kiedy stwierdza, że sądy, sędziowie, sądownictwo i prawo to jedyne bariery, jakie możemy przeciwstawić brutalnej sae i prawom dżungli.

Ta ostra krytyka KKO spowodowała wzrost jego pozycji w sondażach o osiem punktów, ale to był krótkotrwały sukces.

Po śmierci Constance Underwood Tom Kealy powiadomił go, że nie mają już żadnych wtyczek w ścisłym kierownictwie KKO. A nawet gorzej, połączenie NSK i KKO z Molly Turner jako szefem, spowodowało, że nowe KKO przedstawiało Dundee'ego jako największego wroga kobiet. Jego notowania w sondażach zaczęły spadać.

— Mężczyźni będą na pana głosować — pocieszał go Kealy. - Mężczyźni trzymają pańską stronę, ale kobiety odwracają się od pana.

— Dziwki! — mruknął Dundee gorzko. — Czy one wszystkie zamierzają nosić spluwy i strzelać przed sądami? Ruth, wierzysz w wyniki tych sondaży?

— Nigdy nie dawałam im wielkiej wiary, senatorze — odpowiedziała bez namysłu.—Ale w tym przypadku nie sądzę, by należało je ignorować. Szczególnie po tym rozbudzającym emocje wystąpieniu „Przysięgam” Molly Turner na zjeździe. Do tej pory o tym się mówi. Chodzi bez wątpienia o przepaść dzielącą płcie, a na dodatek ta przepaść się powiększa. Wiele kobiet widziało te zabite siostry KKO w telewizji. Odczuwały przerażenie i współczucie. Jedyne sposób, w jaki mogą wyrazić swoje oburzenie i gniew, to wystąpienie przeciwko panu. W tym kraju pan jest postrzegany jako symbol walki z KKO. Ma pan reputację nienawidzącego kobiet. Wiem, że to nieprawdziwe i krzywdzące, ale tak właśnie jest. I musi pan temu stawić czoło.

— Do cholery, przecież ja kocham kobiety — zaprotestował. — Ja chcę tylko chronić nasze tradycyjne amerykańskie wartości: sprawiedliwość i poszanowanie prawa. Pieprzyć

to, cholera. Ruth, czy ty i Hayden zrobicie coś, by wyznaczyć te kluczowe okręgi do pogłębionej analizy?

— Tak, już je wytypowaliśmy, teraz musimy obliczyć próbkę reprezentatywną dla każdego okręgu. Później Lyle napisze program komputerowy dla przeprowadzenia analizy uzyskanych odpowiedzi, ale to zajmie trochę czasu.

— Czyli wszystko, czym dysponujemy w tej chwili, to wyrziki sondaży?

— Zgadza się, senatorze.

Dundee umilkł. Wba oczy w podłogę i kręcił młynka kciukami. W końcu odezwał się do pracowników sztabu, prowadzących kampanię.

— Rozumiem, iż wszyscy uważacie, że powinienem przyhamować moje ataki na KKO?

Skinęli głowami.

— Roztropność w dużej mierze przyczynia się do zwycięstwa — rzuca ktoś.

- Dziękuję za radę — powiedział ironicznie senator.

A wróbel w garści lepszy niż kanarek na dachu, co? Dobrze, przemyślę to. Dziękuję wam wszystkim za pomoc. Powiem wam za dzień czy dwa, jaką podjąłem decyzję. Po chwili jego biuro opustoszało. Zatelefonował zewnętrzną linią do H. Fairchilda Curtissa. Umówił się z bankierem na spotkanie na rano 26 sierpnia w poniedziałek, w klubie „Imperial”.

Na pokładzie samolotu, którym leciał do Nowego Jorku wraz z nowym ochroniarzem, zatrudnionym po zniknięciu Jake Spencera, Dundee doszedł do wniosku, że Curtiss potrzebuje go tak samo, jak on potrzebuje bankiera i jego bogatych kumpli.

— Kogo jeszcze te rekiny mogą poprzeć?

Inni kandydaci z partii Dundee'ego byli gromadą buców bez ikry. Jeden z waszyngtońskich komentatorów politycznych nazwał ich siedmioma krasnoludkami. Bankierzy nie chcieli także obecnego prezydenta, który ponownie kandyduje, a zajmuje się tylko pieprzeniem sekretarek w windzie Białego Domu; każdy o tym wiedział.

Tak więc H. Fairchild Curtiss i jego kołesie nie mieli nikogo innego, pozostawał im tylko Lemuel K. Dundee. Ta myśl pokrzepiła go. W limuzynie po drodze z La Guardií poczęstował sam siebie odrobiną starej whisky z wodą sodową. Spojrzał na zegarek, było kilka minut po dwunastej.

Z Curtissem spotkał się w mrocznym pokoju, który przypominał Dundee'emu salon pogrzebowy, a bankier miał w sobie

tyle ciepła, wdzięku i charyzmy, co właściciel zakładu pogrzebowego.

Dundee postanowił, że tym razem nie będzie całował niczyjej dupy. Obaj mężczyźni wymienili grzeczności i zajęli miejsca naprzeciwko siebie w fotelach. Ale po chwili senator wstał i mówił stojąc. To stawiało go na wyższym, dominującym poziomie. Politycy znają takie sztuczki jak ta.

Wyłożył bez ogródek to, co miał do powiedzenia. Właściwie, powiedział, kampania idzie dobrze, ma już zorganizowany i kompetentny sztab. Wygrał w dwóch sondażach przedwyborczych, w których brał udział. Jego oburzenie na „masakrę w Corinth” przyczyniło się do wzrostu popularności jego osoby w całym kraju. W każdym stanie zorganizował sztaby wyborcze wspomagające kampanię.

— Ale jest jedna mała rzecz, która mnie niepokoi — mówił, patrząc na bankiera szczerym, uczciwym spojrzeniem. — To te cholerne sondaże.

Wyjaśnił, że wyniki sondaży wskazują na jego prowadzenie przed wszystkimi kontrkandydatami własnej partii, a nawet przed urzędującym jeszcze prezydentem, który ogłosił zamiar ponownego udziału w wyborach. No właśnie, Dundee prowadzi we wszystkich sondażach, ale jest zmartwiony, bo popierają go głównie mężczyźni.

— Nie widzę problemu — mruknął Curtiss nerwowo. — Jeżeli dostaje pan najwięcej punktów, dlaczego martwi się pan, czy dostaje pan głosy od mężczyzn czy kobiet?

Dundee wyjaśnił, że w polityce nie jest najmądrzej być zanadto pewnym siebie. Jeżeli kobiety nadal będą odwracały się od niego, może zapomnieć o swojej przewadze.

— To przepaść między płciami — mówił. — Nie mogę temu 'zaprzeczyć, te damy uważają mnie za faceta nienawidzącego kobiet. To nie jest prawda, ale tak mnie postrzegają, a postrzeganie jest ważniejsze od rzeczywistości. Moja walka przeciwko Molly Turner i KKO wpłynęła na to, że mam za sobą wielu wyborców mężczyzn, ale to także zraziło do mnie piekielnie dużą ilość dziewcząt w tym kraju. Jeżeli one porzucą mnie, mogę znaleźć się w poważnych tarapatach.

— No więc? Co pan proponuje? — zapytał bankier.

— Sir, jest więcej niż jeden sposób, żeby temu zapobiec; może pan złapać więcej much na miód niż na ocet. Mój sztab zaleca pilnie, a ja się z nimi zgadzam, że powinienem powściągnąć moje ataki na KKO. Nie mam zamiaru zupełnie ich zaprzestać, ale trochę złagodzić ton.

— Tomi się nie podoba — stwierdził bankier.

— To przyniesie trzy korzyści — kontynuował Dundee, ignorując jego obiekcje. — Po pierwsze, może przeciwną z powrotem na moją stronę albo przynajmniej ułagodzić, niektóre z tych wyborczyń, które uważają mnie za przeciwnika kobiet. Po drugie, to może powstrzymać całe to gównno, które o mnie wypisują w prasie, jako o kandydacie jednego problemu. A po trzecie, to da mi więcej czasu, by zająć się ekonomią, sprawami zagranicznymi, ochroną środowiska i tak dalej. Przedstawię siebie jako myślącego, odpowiedzialnego kandydata, potrafiącego zająć się wszystkimi problemami, które czekają na prezydenta, a nie tylko tą rewoltą, którą wzniciła Molly Turner.

Curtiss spojrział na niego chłodno.

— Uważam, że pan nie docenia potencjału siły zniszczenia, jaką reprezentuje ta kobieta. Według mnie osobiście ta kobieta jest zagrożeniem dla wszystkiego, na czym opiera się ten kraj. Słyszał pan jej wystąpienie na zjeździe? Ogłosiła tam ni mniej ni więcej tylko wojnę! Powiem panu, że Molly Turner i KKO zagrażają amerykańskiemu społeczeństwu. Nawiasem mówiąc, moja żona uważa tak samo jak ją. Jedyne powód, dla którego moi koledzy i ja zgodziliśmy się wspierać pańską kandydaturę, to fakt, że przeciwstawiał się pan tej kobiecie i jej zasługującemu na potępienie programowi. A teraz sugeruje pan złagodzenie swojej krytyki, a być może zaprzestanie jej zupełnie. Czy takie są pańskie zamiary?

— Panie Curtiss — zaczął senator Dundee cierpko. — Pan i pańscy starzy kumple wpakowaliście we mnie kupę pieniędzy. W żywej gotówce. Chce pan widzieć, jak toną w błocie, tylko z powodu pana osobistych uprzedzeń? Bo właśnie tak się stanie, jeżeli nadal będę atakował KKO. Mogę tak się zagalopować, że nie będę mógł się wycofać i wtedy kobiety zagrają na nosie mi, a także panu i pańskim przyjaciółom. Jeżeli chce pan przegrać i chęć się tym, jeżeli chce pan trwać przy swoich zasadach, to pańska sprawa, ale jeżeli chce pan, żebym miał szansę na zwycięstwo, musi pan pozwolić mi działać według mojego uznania.

Bankifer milczał. .

— Pan i pańscy koledzy — ciągnął Dundee, trochę zły — siedzicie w waszych wspaniałych biurach i tak naprawdę nie macie pojęcia, o co chodzi w tym całym pieprzonym kraju. Powiedziałem panu, że jeżeli będę dalej prowadził ostrą kampanię przeciwko KKO, to przegram z jakimś gówniarzem, na którego pan nie dał złamanego grosza i od którego pan nic nie dostanie. Czy właśnie tego pan chce? Proszę posłuchać,

pierwszym obowiązkiem polityka jest zostać wybranym. Obiecuje gruszki na wierzbie, a kiedy już zostanie wybrany, robi to, co uważa za stosowne, tak długo, dopóki nie zostanie przyłapany.

— Sugeruje pan więc, że ustawi pan żagle do wiatru, a potem... kiedy już pan zostanie wybrany, wsadzi Molly Turner do ciupy i rozprawi się z KKO?

— Dokładnie to sugeruję — odpowiedział Lemuel K. Dundee, jednocześnie myśląc, że ten facet nie jest mimo wszystko zbyt rozgarnięty; on też kupował obietnice z kampanii, jak każdy głupiec. — Musimy ustalić priorytety. Po pierwsze: muszę zostać wybrany. Po drugie: powinienem przyhamować krytykę Molly Turner i KKO.

— Senatorze — westchnął H. Fairchild Curtiss — jest pan wulgarnym oportunistą. Cóż stało się z ludźmi subtelными, dyplomatycznymi i wytwornymi w amerykańskiej polityce?

— Oni nigdy nie zostaną wybrani — stwierdził Dundee. — Bo oni nie reprezentują wyborców.

— Chyba ma pan rację — zgodził się bankier, pocierając czoło. — No dobrze, niech pan robi tak, jak uważa, a może zostanie pan wybrany. Ale ostrzegam pana, że ja i moi koledzy zamierzamy zażądać zapłaty.

— Oczywiście, spodziewałem się czegoś takiego. Czy jeszcze coś? — zapytał Dundee.

6 września 1991

Poniższy list, opatrzony datą 06.09.1991, napisała Virginia Terwilliger w Baltimore, w Maryland, do Ann Harding w Canton w Zachodniej Wirginii. Publikujemy go tutaj za zgodą obu kobiet.

Najdroższa Ann, Planowałam wybrać się do ciebie, do Canton, na długą serdeczną rozmowę o kilku sprawach, które wyniknęły od czasu zjazdu. Ale dwa tygodnie temu zrobiłam coś nadzwyczaj głupiego. Pośliznęłam się w wannie i walnęłam na kość ogonową, a w dodatku złamałam lewą nogę. Potrzeba było dwóch silnych sanitariuszy i mojego biednego mężulka, żeby wydostać mnie z wanny., Teraz dostaję bolesne zastrzyki.

Wyobraź sobie, że kuśtykam o kulach, obciążona ciężkim, gipsowym opatrunkiem. Naturalnie, moja podróż do

Canton musi trochę poczekać, ale sprawy, które mnie martwią, czekać nie mogą. Zdecydowałam się więc napisać i powiedzieć ci, o co chodzi.

Przede wszystkim, Ann, mam nadzieję, że twój przystojny mąż i kochany Jeff są zdrowi i cieszą się ze wspaniałej pogody, jaką ostatnio mamy. A tak przy okazji, wysyłam Jeffowi książeczkę z rysunkami dinozaurów. Wszystkie dzieci kochają dinozaury, przynajmniej moje kochały.

A teraz, wracając do tematu, Ann, wierzę, że potraktujesz treść tego listu jako ściśle tajną. Wiem, że jesteś dyskretną osobą. Nigdy w przeszłości nie zawiodłaś mojego zaufania, a to daje mi odwagę pisać do ciebie szczerze i otwarcie.

Ale od początku, byłam wstrząśnięta wyglądem Molly na zjeździe. Ona jest taka chuda. Oczywiście nigdy nie była pulchna, ale teraz to skóra i kości. Chyba nie jest chora, co?

Jest gorączkowa i zapalczywa, a to mnie martwi. Wiem, z jaką pasją wierzy w naszą sprawę, ale jej entuzjazm ma podtekst historyczny. Wszystkie jesteśmy całym sercem za, KKO i ważna dla nas jest jej przyszłość, ale z pewnością zimne głowy są ważniejsze niż gorące serca.

Wiem, że wystąpienie Molly na zjeździe, to słynne „przysięgam”, wywołało sensację w mass mediach. Sądziłam, że będę mogła przyłączyć się do ogólnej aprobaty, ale nie potrafię. To wystąpienie, w tak zapalczwym tonie przeraziło mnie. Tak, chcemy, aby nasze siostry "były żarliwe w swojej wierze, ale chcemy również, by były myślącymi kobietami, które używają mózgu. Mam wrażenie, że wystąpienie Molly zbliżyło się bardzo do demagogu.

Po zjeździe dowiedziałam się, że Molly utworzyła swój prywatny sztab w kwaterze głównej KKO w Waszyngtonie. Pozostałe pracownice, te z czasów Constance Underwood i NSK, nazywają te nowe „mafią Molly”. Czy wiesz coś o tym?

Te cztery czy pięć młodych podżegaczek wygląda na twarde sztuki — terrorystki, przynajmniej ubierają się jak terrorystki. Rewolwery w torebkach, pasy z nabojami, wojskowe buty, jedna nosi nawet kamuflujące džinsy. Potrzebują jeszcze ręcznych granatów, które zawiesiłyby u pasków, a wtedy wyglądałyby zupełnie jak terrorystki z Ameryki Południowej.

Ann, wiesz dobrze, że nie o taki wizerunek KKO nam chodzi. Pracowałam ciężko, by zrobić z Molly przewodniczącą połączonych organizacji. No i udało się, a teraz mam niedobre przeczucia, że nowe KKO może zejść na złą drogę. Znasz mnie i wiesz, że mówię to, co myślę. Dlatego właśnie piszę do ciebie.

Kochanie, nie usiłuję poskromić Molly czy zaprzeczyć jej ogromnym zasługom dla naszego ruchu. Nigdy nie należała do zdyscyplinowanych, wszystkie to wiemy, ale teraz Molly jest szefową największej organizacji kobiecej w tym kraju. Sądziłam, że nowa pozycja wyciszy ją trochę, że doda jej trochę dostojeństwa, że zmieni ją w poważną osobę. Ale tak się, niestety, nie stało. Dowiedziałam się, że od czasu Corinth Molly nalega na osobiste dowodzenie każdą akcją bojową przeprowadzaną na dużą skalę. To nie znaczy, że w każdym przypadku chce dowodzić, ale chce być na miejscu. Pozwala miejscowym przejmować komendę nad siostrami, ale zawsze nasza Molly jest na pierwszej linii ze swoją mafią.

Ann, przeczytałam wiele politycznych monografii, wiem, że rewolucja, aby zakończyła się sukcesem, potrzebuje mężczyzn i kobiet takich jak Molly — idealistów bez reszty oddanych sprawie, gotowych dla niej wszystko poświęcić. Ale po zwycięstwie ci idealisci nie mają pojęcia, co z nim zrobić. Nie potrafią zaplanować i zorganizować nowego społeczeństwa, nie potrafią rządzić ani administrować.

Nie, wcale nie twierdzę, że nasza rewolucja zwyciężyła. Daleko mi do tego, ale różne czasy wymagają różnej taktyki, chociaż cele strategiczne pozostają wciąż te same. Uważam, że Molly wykonała swoje zadanie. Być może nadeszła pora, by złagodzić retorykę, znaleźć inne, mniej gwałtowne metody, za pomocą których zrealizujemy nasze cele.

Mówię ci, co myślę, w nadziei, że zaczniesz zastanawiać się nad nowymi sposobami prowadzenia naszych spraw, tak by nigdy więcej nie trzeba było oglądać w telewizji siostr KKO zabitych na ulicy.

Ann, jak tylko uda mi się pozbyć tych cholernych kul, wybiorę się do Waszyngtonu i powiem Molly to samo, co tobie napisałam. Wiem dokładnie, jaka będzie jej reakcja— powie mi, żebym się odpieprzyła jeżeli wyrazi się uprzejmie.

Moja droga, musimy pokierować tą ogromną organizacją. Z entuzjastycznym poparciem Zarządu Głównego chcę ci przedstawić propozycję, żebyś została dyrektorem administracyjnym KKO. Molly oczywiście nie jest w stanie, albo nie chce, poświęcić tej pracy tyle czasu i uwagi, ile ona wymaga. Molly pozostanie przewodniczącą, ale ty będziesz odpowiedzialna za codzienne kierowanie. Oczywiście, twoje pobory wzrosną.

Ale to oznacza przeniesienie się do Waszyngtonu. Zanim powiesz „nie”, proszę, zastanów się nad tą propozycją. Ann, znam twoje możliwości, tak jak i znają je pozostałe członkinie Zarządu. Jesteś rozumną, zrównoważoną, odpowiedzialną damą, dokładnie taką, jakiej potrzebujemy, by stworzyć z KKO siłę polityczną, z którą należy się liczyć.

Wahałam się przez moment, czy ci o tym napisać, ale uważam, że powinnam o tym wspomnieć, zanim zrobi to ktoś inny, mniej ci przyjazny. Krążą brzydkie plotki na temat Molly i twojego męża. Oczywiście, ani przez chwilę w nie nie wierzyłam, ale chcę, żebyś o nich wiedziała. Będziesz lepiej przygotowana, by odparować pomówienia w przypadku, gdyby wydstały się na łamy gazet.

Kochanie, wiesz, jak wielu wrogów ma KKO, nie będą potrzebowali niczego lepszego, by zdyskredytować naszą sprawę, publikując takie plugawe oszczerstwa. Niestety, mieszkamy wszyscy w przeszklonych domach i nasze prywatne życie tak naprawdę nie do nas należy, ale do KKO. A dobro KKO jest najważniejsze.

Ann, zatelefonuję do ciebie za tydzień lub dwa. Przemyśl, proszę, propozycję kierownictwa KKO przeniesienia się do Waszyngtonu. Jedną wielką korzyść z tego obie odniesiemy — będziemy się częściej widywać. Wiele uścisków i najlepsze życzenia dla ciebie i twojej Rodziny.

Uważaj w wannie. Szczerze oddana, Ginny

30 września 1991

To prawda, James Gargan był gliną i to dobrym gliną. Wierzył w dwie podstawowe zasady obowiązujące w pracy policyjnej: każdy jest zdolny do wszystkiego i sprawy rzadko są takie, na jakie wyglądają.

Piętnastego czerwca, kiedy znalazł ciało Constance Underwood w basenie, prawie natychmiast zorientował się, że było to morderstwo i to morderstwo dokonane bardzo po amatorsku. Nie zajęło mu dużo czasu odkrycie na dywanie wgłębień po obcasach. To samo było naprawie, tam gdzie ciągnięta ciało do basenu. Dokładne badania ujawniły, że miedziana klamka została wytarta.

Zdumiał go także fakt, że znalazł ubranie Connie porządnie ułożone na łóżku. To nie w jej stylu. Connie nigdy nie składała swoich rzeczy, zostawiała je na podłodze albo porzucane po kątach. Była przyzwyczajona, że pokojówka je pozbiera. Nigdy, nawet za milion lat, zdejmując wierzchnią odzież nie ułożyłaby jej w taki porządnny stosik.

Więc Gargan wsiadł w swój samochód i wrócił do domu pozostawiając miejscowym glinom śledztwo i możliwość nazwania tego morderstwa utonięciem w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Doszedł do wniosku, że KKO musiało odkryć wtyczkę Underwood i zemściło się na niej za „masakrę w Corinth” Przypuszczał, że zabili ją Rod Harding i Todhunter Clark.

Nigdy nie brał pod uwagę, że mogła to zrobić Molly Turner. Była to typowo męska reakcja i zupełnie nie gliniarska. Po prostu nie doceniał mściwości kobiet.

Najważniejszym zadaniem było teraz dla niego zlokalizowanie informatorki Underwood, obojętnie kim była; a właściwie nie, dużo ważniejsze było umieszczenie własnej wtyczki w ścisłym kierownictwie KKO.

Ale mogło minąć dużo czasu, którym nie dysponował, zanim jego informator będzie w stanie dostarczać użytecznych wiadomości.

Dużp prościej, zdecydował Gargan, będzie wybrać kogoś z grona bliskich współpracowniczek Molly Turner i wymusić zgodę na współpracę. Może sekretarka, doradczyni albo powiernica? A może ktoś, kto zajmuje się środkami łączności i korespondencją?

Pod koniec sierpnia 1991 miał już swojego informatora w centrali KKO. Była to nieokrzesana młoda cipka Clarie Dale, jedna z „mafii Molly”. Miała czarnego kochanka, handlarza kokainą, i udało się dość łatwo przekonać ją do współpracy.

Clarie Dale zgodziła się, chroniła swojego ogiera. To było dziecinnie proste.

Kiedy Gargan usłyszał przemówienie Molly Turner, „Przysięgam”, w telewizji i zobaczył reakcję delegatek, zrozumiał, że senator Dundee będzie potrzebował wsparcia z każdej możliwej strony. Ale zanim Gargan zaangażował więcej czasu i energii Departamentu, pomyślał, że lepiej upewnić się, czy nadal ma w garści najbliższego współpracownika senatora.

Zadzwoił do Kealy'ego i zaproponował mu spotkanie. Kealy nie wydawał się zachwycony tą propozycją, ale ostatecznie zaprosił Gargana do swojego mieszkania w Georgetown na drinka. Spotkali się o 21³⁰, wieczorem trzydziestego września.

Kealy popijał białe wino. Jedyńm mocniejszym trunkiem jaki miał w domu, był burbon, gatunek, o którym Gargan nigdy nie słyszał. Z czystej przyjemności zgodził się na szklaneczkę tego alkoholu z wodą. Trunek okazał się okropną wodą z fuzlami, o wstrętnym zapachu.

Obaj mężczyźni "usiedli naprzeciwko siebie w fotelach. Gargan dostrzegł, że Kealy za wszelką cenę próbuje ukryć zdenerwowanie. Trzy razy zakładał nogę na nogę w ciągu kilku minut, a szklaneczkę trzymał w obu dłoniach, aby jakoś ukryć ich drżenie.

— Przyznaj, że to okropne, co się stało z Constance Underwood — zaczął Kealy.
— Tragedia — mruknął smutno Gargan.
— Przecież ona była dobrą pływaczką. Gazety pisały, że miała na głowie wielkiego guza. Policja uważa, że uderzyła głową o trampolinę albo dno basenu.
— Tak, czytałem.
— Była cudowną kobietą. Brakuje mi jej — przyznał ze smutkiem Kealy.
Gargan skinął głową.
- Tak czy siak — ciągnął Kealy — domyślam się, że po jej śmierci nie mamy informatorów w KKO. Senator nie jest zbyt szczęśliwy z tego powodu. Czy istnieje jakiś sposób, żeby umieścić nową wtyczkę?
— Nie — szybko odpowiedział Gargan. — Sądzę, że nie powirfniemy nawet próbować. To zbyt ryzykowne, po tych wszystkich skandalach z epoki J. Edgara.
— Chyba masz rację — stwierdził żałośnie "Kealy. - Ale KKO nadal stanowi zagrożenie dla prawa i porządku, zgadzasz się, prawda?
— Możliwe, ale nie możemy nikogo aresztować profilaktycznie, przecież wiesz. Tom, czy to tylko moja wyobraźnia, czy senator złagodził w ostatnim miesiącu swoje ataki na KKO?
— No cóż... — mruknął doradca senatora, wierząc się niespokojnie w fotelu. — Nie sądzą, żeby zmienił zdanie na temat KKO. Po prostu zamierza skoncentrować się na innych dziedzinach: ekonomii, sprawach zagranicznych i tak dalej.
— Ach tak... to oto chodzi. Dużo czytałem o jego pozycji w sondażach, myślałem, że ma nową koncepcję krytyki KKO.
— Idę nalać sobie wina Kealy wstał. — Czy ty też chcesz nowego drinka?
— Nie, dziękuję, jeszcze mam.
— Słuchaj, chcę... — zaczął Kealy po powrocie z napełnioną szklaneczką. — Nie miałem okazji podziękować ci za to, że wyciągnąłeś mnie z łap szantażysty, tego Jake'a Spencera.
— Cieszę się, że mogłem ci pomóc.
— Co się z nim stało?
— Po prostu zniknął.

— W to me był zamieszany żaden inny facet, prawda? — zapytał Kealy cicho, wpatrując się w swoje wino.—To Jake mnie szantażował, zgadza się?

— Tak, to Jake.

— Powinienem wiedzieć, że jest zdolny do czegoś takiego. — Nagle spojrzał na Gargana. — Ale czy on naprawdę miał notes Billa McCrei?

Gargan potaknął skinieniem głowy.

— Gdzie jest teraz... ten notes?

— Ja go mam — stwierdził Gargan spokojnie.

Kealy do końca opróżnił szklaneczkę i wstał, by ponownie ją napełnić. Gargan czekał cierpliwie, dopóki nie wrócił i nie zasiadł w fotelu. Nogę założył na nogę. Pochylił się do przodu, ręce oparł na udach.

— Panie Kealy — zaczął oficjalnie. — Niech to zostanie tylko między panem a mną. Jedyne, która interesuje Departament, to wybór senatora Dundee*ego na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pańskie sprawy nas nie interesują, dopóki nie zagrażają szansom senatora na zwycięstwo. Zapewniam pana, że może pan polegać na naszej dyskrecji.

— Ale ten notes?...

— Należy do naszych najbardziej tajnych dokumentów. Tylko niewielu ludzi ma do nich dostęp.

— Dalej nie pojmuję, dlaczego go pan nie zniszczy.

— Panie Kealy, to wbrew prawu niszczyć dokumenty, które są częścią śledztwa kryminalnego — powiedział Gargan szczerze.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

— Gwarantuję panu, że nie ma pan czego się obawiać — kontynuował Gargan. — Notes pozostanie w ukryciu. Wszystko, o co prosimy w zamian, to odrobina pańskiej współpracy.

— Jakiego rodzaju współpracy? — spytał Kealy podejrzliwie.

— Jest pan tak blisko senatora jak nikt inny z jego współpracowników. Wie pan, kogo widuje, co myśli. Jest pan dość bystry, by zauważyć nadciągające kłopoty, jak na przykład jego popijająca żona. Jeżeli senator zostanie wybrany, jak wszyscy tego gorąco pragniemy, jestem przekonany, że wynagrodzi panu wiele lat lojalnej pracy jakąś odpowiednią posadą w Białym Domu. Zasłużył pan na to. A dziś oczekujemy od pana...

James Gargan wyniszczył szczegóły. Jediną osobą od kon-'taktów z

Departamentem będzie on, Gargan. Raz w tygodniu Kealy będzie składał raporty, a częściej w przypadku nagłej potrzeby.

— Ustnie — ostrzegł Gargan. — Pan i ja, twarzą w twarz. Nic na piśmie, nic przez telefon. Pański apartament jest bardzo dobrym miejscem na takie spotkania. To, czego oczekiwano od doradcy senatora, było proste:" informacje z kim się Dundee spotyka, z kim rozmawia i koresponduje, rozkład zajęć, nazwiska pracowników sztabu wyborczego, ich życiorysy i zwyczaje, wszystkie zagraniczne kontakty senatora, plany na przyszłość, u kogo szuka porady w sprawach krajowych i zagranicznych.

— Jeszcze raz przypominam panu, tylko informacje — mówił szczerze Gargan, ciągle pochylony w stronę Kealy'ego. — Tylko fakty. Nie prosimy, by cokolwiek robił pan nielegalnie, a z pewnością nic, co mogłoby narazić na szwank karierę senatora, czy jego szanse na prezydenturę. Po prostu chcemy wiedzieć, co się dzieje. Popieramy Dundee'ego w stu procentach. Bierzemy pod uwagę, że to, co pan nam powie, da nam możliwość ustrzeżenia senatora przed popełnianiem fatalnych błędów, jak na przykład obdarzanie zaufaniem ludzi, o których wiemy, że nie są tego godni. Panie Kealy, to największa przysługa, jaką może pan oddać senatorowi. Będzie go pan w pewnym sensie ochraniał... ,
Nawijał dalej i dalej w tym stylu i zanim wyszedł, doradca senatora został urobiony. Następnego dnia przeshichał taśmę magnetofonową nagraną w mieszkaniu Kealy'ego. Jego szefowie słuchali uważnie, pokleпали Gargana po plecach i zapewnili, że odwalił kawał wspaniałej roboty.

16 października 1991

Kiedy Laura Templeton, pierwsza przewodnicząca Narodowego Sprzysiężenia Kobiet, zmarła w lipcu 1990 roku, okazało się, że zapisała w testamencie połowę swojego majątku Kobięcym Korpusom Obrony. Dzięki temu zapisowi KKO otrzymało dom w Spring Valley, przez przypadek oddalony tylko o pół mili od rezydencji senatora Dundee'ego.

Po wyborze Molly Turner na przewodniczącą nowego KKO zaproponowano jej dom Templeton na prywatną siedzibę w Waszyngtonie, ale po obejrzeniu odmówiła. — Za dużo kwiecistych perkali — mruknęła. — To niewygodne, zostaję w Chinatown.

Po tygodniowym namyśle Ann Harding zdecydowała się

przyjąć propozycję Zarządu Głównego stanowisko dyrektora administracyjnego KKO i przenieść się do Waszyngtonu. Zaoferowano jej dom Templeton i za aprobatą Molly zgodziła się do niego przeprowadzić.

Ann oparła swoją decyzję na kilku przesłankach. Uznała, że to, co napisała jej w swoim liście Virginia Terwilliger Jest prawdą: KKO potrzebuje silnej kierowniczej ręki, kiedy Molly i jej mafia ganiają po całym kraju.

A mając w kieszeni nominację na dyrektora administracyjnego centrali KKO, Ann będzie miała sposobność uprzedzania lub powstrzymywania ów bardziej barbarzyńskich planów Molly.

— A oprócz tego — powiedziała do Todhuntera Clarka — Molly mieszka w Waszyngtonie i Rod spędza tam dużo czasu. Może coś pomoże, jeżeli Jeff i ja będziemy w pięknym domu w pobliżu.

— To nie może przynieść szkody — odpowiedział flegmatycznie.

Swój dom Hardingowie wynajęli siostrze, która kierowała działalnością KKO w Canton. Ann przygotowała wszystko do przeprowadzki do Spring Valley.

Spakowała ubiory, rzeczy osobiste, tajne dokumenty, zabawki Jeffa i kolekcję broni Roda, a także grubą paczkę anonimowych listów, które trzymała zamknięte na klucz w przenośnym sejfie.

Rod wynajął ciężarówkę, a Brat Nabisco na ochotnika zgodził się pomóc przy pakowaniu i rozpakowywaniu. Uzgodniono, że Tod pozostanie w Canton, będzie miał oko na opuszczoną farmę, a dwa razy w tygodniu będzie robił za kuriera i przewoził pocztę i dokumenty między cantońskim centrum obróbki danych, a centralą w Waszyngtonie-

Jedyny zgrzyt w ich planach podróży spowodował Jeff Turner Harding. Rod i Todhunter Clark zamierzali pojechać wynajętą bagażówką, a Ann z Jeffem rodzinnym samochodem za nimi. Ale kiedy Jeff zobaczył jasnoczerwoną ciężarówkę, uparł się, żeby jechać w szoferce.

Zdecydowano, - że Clark pojedzie z Jeffem, a Rod z Ann buickiem regalem za nimi. Był pogodny, rześki poranek, ostre powietrze i czyste niebo. Drogi były suche, a ruch pojazdów niewielki. Podróż przebiegała sprawnie, nawet mimo kilku przystanków dla Jeffa, którego apetyt na kanapki McDonalda i frytki był nienasycony,

Ann Harding chciała prowadzić przez pierwszą połowę drogi i Rod nie oponował. Rozsiadł się wygodnie w fotelu

pasażera, palił fajkę, otworzył na kilka cali okienko pozwalając ujść dymowi.

— Rod, czy myślisz, że postępujemy właściwie?

— Jeżeli tobie to odpowiada — stwierdził dobrotliwie. — To miły dom, miłe sąsiedztwo i niezłe pieniądze. Nie ma nic lepszego.

— No i będziemy się częściej widywać — dodała patrząc prosto na drogę.

— Zgadza się.

Jego spokój rozzłościł ją.

— Czy pokazywałam ci ten długi list, który napisała do mnie Virginia Terwilliger? Coś około miesiąca temu?

— Nie, chyba nie, słoneczko. Nie przypominam sobie, żebym widział coś takiego.

— Martwi się o Molly, Twierdzi, że ona działa jak obłąkana. Ginny obawia się, że jej szaleństwa mogą zagrozić KKO.

Patrzył na krajobraz przesuający się za oknami.

— Nie byłoby żadnego KKO, gdyby nie Molly.

— Ginny też tak twierdzi, ale ona mówi także, że Molly już zrobiła swoją rewolucję, być może teraz nadeszła pora, by spróbować innych metod. Żadnej więcej strzelaniny, żadnej przemocy.

— Nie próbuj nawet powiedzieć tego Molly.

— Nie powiem, ale Ginny już to zrobiła. Molly zareagowała tak, jak Ginny oczekiwała. Molly powiedziała jej, żeby się odpieprzyła. Ma zamiar działać tak jak dotychczas, a jeżeli to nie odpowiada Zarządowi Głównemu, to rozstanie się z KKO i utworzy własną armię.

— Tak, to podobne do Molly, ona działa według własnej filozofii, jak sama doskonale wiesz.

— Rod, a jakie jest twoje zdanie? Wiem, że Molly, wiele zrobiła, ale po masakrze w Corinth doszłam do wniosku, że, muszą być inne metody rozwiązywania naszych problemów.

Położył zimną fajkę na półeczce pod szybą.

— Słoneczko, nie cierpię takich filozoficznych dyskusji. Ty i Molly stworzyłyście KKO. To wasze cholerne dzieło i możecie z nim zrobić, co chcecie. Ja jestem tylko najemnikiem. Wykonuję rozkazy Moll i twoje.

Zapadło krótkie milczenie.

— Od kiedy nazywasz ją Moll? — zapytała sztywno.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Była piękna nawet z nachmurzoną twarzą i zaciśniętymi ustami. Urocza, frapująca kobieta. Długie kasztanowe włosy opadały jej na ramiona. Podniecała go i nie miał zamiaru jej porzucać.

— Ann — zaczął spokojnie. — Od jakiegoś czasu nazywani twoją siostrę Moll. Ona nie ma nic przeciwko temu, a ty masz?

— Nazywaj ją, jak chcesz — mruknęła. — Nic mnie to nie obchodzi.

Jechali w milczeniu, mając przed sobą Czerwoną bagażówkę. Rod wziął fajkę, wytrząsnął popiół do popielniczki i zaczął nabijać fajkę na nowo.

— Zgadzasz się ze zdaniem Terwilliger? — zapytał w koń-« cu. — Uważasz, że to, co robi Molly, nie jest dobre dla KKO?

— Znasz te młode, gorące głowy, z którymi podróżuje? Widziałeś tę, która ubiera się jak terrorystka?

— Tak — uśmiechnął się szeroko. — Widziałem je. Mafia. Molly, tak je nazywają. Działają tylko odstraszająco, słoneczko. Nie rozumiem, dlaczego kłują wszystkich w oczy.

— Nie przedstawiają sobą takiego wizerunku, jaki KKO chce prezentować.

— Wizerunek — powtórzył. — Zaczynasz mówić, jak prawdziwy polityk.

— Bo KKO to polityka — powiedziała gorąco. — Wiem, że uważasz, iż politycy to banda cyrkowców,' ale ja zamierzam z mmi współpracować, mówić ich językiem; chcę coś Osiągnąć. I uratować dupę Molly, jeżeli wplączę się w kolejną masakrę. Czy możesz ją trochę utemperować? Ona ciebie słucha, prawda?

— Tak samo jak ciebie, czy kogokolwiek innego.

— Czyżby? A ja myślałam, że zrobi wszystko, co zechcesz? Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

— Do cholery, a te insynuacje co mają znaczyć?

— Tylko to, co powiedziałam. Jesteś blisko niej, razem podróżujecie i tak dalej. Ona tobie ufa, prawda?

— Być może — rzekł ostrożnie. — Ale nie potrafię zmusić jej, by zrobiła coś wbrew swojej naturze.

— Nie. Chyba masz rację — w jej głosie brzmiał smutek.

— Jezu Chryste! — wybuchnął. — Co to całe gównno ma znaczyć? Rozmawiamy jak głuchy z niewidomym. Właściwie, czego ode mnie oczekujesz? Co chcesz, abym zrobił? Powiedz! — Po prostu spróbuj wytłumaczyć jej, żeby zachowywała się jak człowiek. Jak siostra — dodała cicho.

— Sądzisz, że można zamienić tygrysa w kotka?

— Pamiętaj o jej odpowiedzialności.

Posłuchaj, słoneczko, Molly jest tylko odpowiedzialna wobec swoich idei. Reszta się dla niej nie liczy.

Tak — przyznała smutno jego żona. — Obawiam się, że masz rację.

— Ona jest wyjątkową kobietą. Wiesz o tym., Jest jak dziki mustang. Może uda ci się założyć jej uzdę czy wędzidło, ale to już nie będzie Molly, prawda?

— Chyba nie:

— Ty i KKO musicie ją zaakceptować taką, jaka jest, albo ją wykopać. Nigdy jej nie zmienisz. Ona ma w sobie ogień.

— A ty podziwiasz ten... ten ogień?

— Mhm... cóż... Nie ma na świecie wielu ludzi tak pewnych swoich racji jak ona.

— Rod, czy między nami jest wszystko w porządku?—nieoczekiwanie spytała Ann.

— Oczywiście — odpowiedział bez wahania. I to było szczere.

29 listopada 1991

Ze wszystkich dostępnych źródeł jasno wynika, że pierwszy otwarty konflikt między siostrami Ann Harding i Molly Turner wybuchnął po miesiącu od momentu przeniesienia Się Ann do Waszyngtonu i objęciu przez nią kierownictwa w centrali Kobięcych Korpusów Obrony.

Pierwsze nieporozumienia wystąpiły po opublikowaniu przez dział badań KKO analizy statystycznej, z której wynikało, że mniej niż 50 procent rozwiedzionych matek otrzymuje sędownie przyznane alimenty na dzieci.

Po przestudiowaniu tej przegnąbiającej statystyki Ann Harding zasugerowała, że połączone NSK i KKO powinny zająć się tym problemem. Może utworzyć agencje, które wywierałyby nacisk na ojców uchylających się od płacenia alimentów.

Posiadając oddziały w każdym stanie, mieście i miasteczku, organizacja potrafiłaby odszukać mężczyzn, którzy uchylają się od sądowej odpowiedzialności, i zmuszać ich do płacenia.

Ann przygotowała długie memorandum, w którym zawarła wskazówki, jak należy to zorganizować. Zaplanowała przygotowanie ogólnokrajowej skomputeryzowanej bazy „tatusiów”, zawierającej nazwisko, ostatnie znane miejsce zamieszkania, rysopis, czym się zajmuje, itd. Te dane powinny pomóc w początkowej fazie zlokalizowania dłużników.

Najpierw zostaną oni poddani moralnej perswazji przez specjalnie przygotowane zespoły sióstr KKO. Jeżeli to nie przyniesie efektów, stopniowo program będzie intensyfikowany od nadania sprawie publicznego rozgłosu, poprzez pikieto-

wanie ich domów, wysyłanie listów do pracodawców, grożenie aresztem i (lub) wejście na ich pobory oraz inne formy nękania, dopóki nie zawstydzą się i nie zaczną łożyć na utrzymanie - swoich dzieci.

Molly całym sercem poparła plan Ann, ale nie ukrywała swojego lekceważenia dla metod proponowanych przez siostrę.

— Jeżeli nie zapłacą — rzekła gniewnie — wytrząśniemy z nich te pieniądze.

Ann zauważyła, że fizyczna przemoc hic nie da, a tylko wrogo usposobi do KKO opinię publiczną. No i pobici ojcowie nie będą mogli pracować i spłacać alimentów.

— Musimy przestraszyć tych dupków — upierała się Molly. — Zapłacą tylko ze strachu. Kiedy usłyszą o kilku poturbowanych, przylecą z forszą w zębach, sama zobaczysz.

Ich kłótnia była głośna i zawzięta. Obie były uparte i każda chciała przeforsować swoje metody. Ich zapalczywość stała się tak niszcząca, że zagrażała normalnemu funkcjonowaniu centrali KKO. W końcu do rozstrzygnięcia sporu wezwano Virginie Terwilliger.

Oddzielnie wysłuchiwała każdej z sióstr i była przerażona ich zawziętością.

Terwilliger odniosła, wrażenie, że był to spór o taktykę, z pewnością istotny, ale jadowitość, którą okazywały sobie obie kobiety, musiała mieć inne podłoże.

Wywnioskowała, że ich kłótnia na temat sposobów działania PRK — Pomoc Rozwiedzionym Kobietom, jest publiczną konfrontacją, która skrywa dużo większą osobistą nienawiść. Ze smutkiem domyślała się powodu tej wrogości.

Po wysłuchaniu argumentów obu stron Terwilliger uznała, że metody Ann mają dużą szansę powodzenia. Tylko wtedy, kiedy program Ann nie powiedzie się, Molly i jej bojówki mogą zastosować groźbę przemocy, która zmusiłaby nieodpowiedzialnych ojców do zapłacenia należności zasądzonych wyrokiem sądowym. Ginny położyła nacisk na słowo „groźba”.

— W żadnym wypadku nie powinnaś podburzać twoich sióstr do bezpośredniego ataku na tych facetów — napominała ostro Molly. — Nie chcemy więcej aresztowań czy procesów.

Ann Harding zorganizowała program -PRK, używając do tego całego swojego talentu organizacyjnego. Ogólnokrajowa kartoteka dłużników została założona i była na bieżąco uzupełniana, kiedy program zaczął funkcjonować. Jak zauważyła Ann, PRK był prawie samowystarczalny i przyczynił się do napływu wielu nowych członkiń do Kobięcych Korpusów Obrony.

A także przyciągnął uwagę mass mediów. Ann pojawiła się

kilka razy w wiadomościach telewizyjnych i innych programach, tłumacząc, że hańbą jest unikanie przez rozwiedzionych ojców płacenia sądownie zasądzonych alimentów.

Pierwsze rezultaty były zdumiewające. Około 70 procent ojców unikających do tej pory płacenia alimentów, zaczęło spłacać je zaraz po skontaktowaniu się z nimi siostr KKO. Spłacali nawet zaległe należności. Kolejne 25 procent było w stanie udowodnić, że nie mają możliwości płacić z powodu choroby lub braku pracy. Pozostała niewielka grupa twardzieli, którzy odmówili płacenia. To oni właśnie zawzięcie nawoływali przedstawicielki PRK, by zmusiły ich do czegoś. Te przypadki powierzono Molly Turner i jej bojówkom.

Molly opracowała swój własny sposób, aby przywołać do porządku tych bezczelnych dupków. Jedną z najbardziej efektywnych metod była groźba uszkodzenia samochodu. Jeżeli to nie podziałało, wybijano przednią szybę, bezustannie nękaną, a w końcu wymuszano alimenty kijami baseballowymi.

Telefoniczne nękanie, niepokojenie w miejscu pracy, na ulicy czy w restauracji, celowe informowanie przyjaciół o postawie delikwenta w stosunku do własnych dzieci, również przynosiło efekty.

Te metody, choć może okrutne, okazały się skuteczne. Zadziwiające, ale wywołały podziw wśród amerykańskiego społeczeństwa, i to zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Nikt nie okazywał współczucia ojcu, który odmawiał płacenia alimentów tylko z powodu własnego widzimisię. Prostackie metody, które stosowała „mafia Molly”, wydawały się mieć swoje korzenie w amerykańskiej tradycji przygranicznego sądownictwa.

Taka sytuacja trwała aż do ostatnich dni listopada...

Dwa lata wcześniej F. Robert McHhenny, przedtem mieszkający w Peorii, w Illinois, przeprowadził się do Levitt, w Arkansas. W oficjalnych dokumentach — teraz-podanych do publicznej wiadomości — napisał, że powodem przenosin były interesy.

Ale to wydaje się trochę naciągane. Jego nagła przeprowadzka wiązała się z chęcią uniknięcia płacenia tysiąca dolarów alimentów miesięcznie byłej żonie, Dawn McHhenny. Na tę sumę zgodzili się oboje w trakcie rozprawy rozwodowej. W pozwie rozwodowym żona zarzucała mu: niewierność małżeńską, znęcanie się fizyczne i psychiczne.

Jak zwykle najbardziej pokrzywdzone w tej sprawie rodzin-

nej były dzieci: pięcioletni Evan, trzyletnia Alice i dwuletni Albert.

W Arkansas McIlhenny, dobrze wykształcony i zdolny handlowiec, wkrótce prowadził wygodne życie. Zakupił dom z trzema sypialniami, samochód porsche, a dla młodej przyjaciółki letni domek.

Wyczerpawszy wszystkie legalne możliwości, które nie dały rezultatów i pochłonęły dużo czasu, Dawn McIlhenny poprosiła o pomoc KKO. Śledztwo przeprowadzone przez PRK zlokalizowało brykającego tatusia dzięki jego pracy. Sprawdzono podania o licencję na handel nieruchomościami we wszystkich pięćdziesięciu stanach i McIlhenny odnalazł się, zyjący sobie niezłe w Levitt w Arkansas.

Jakkolwiek by na to patrzeć, dezertor był beznadziejnym głupcem, upartym, zajęтым samym sobą, swoimi własnymi wygodami i przyjemnościami. Uporczywie ignorował i lekceważył wszystkie wysiłki ekipy PRK, usiłujące nakłonić go do zapłacenia alimentów na swoje dzieci, do czego był sądownie zobowiązany. W końcu wezwano „mafię Molly Turner”.

W tym czasie McIlhenny prowadził własną firmę i nic nie można było zdziałać, by zawstydzić go w miejscu pracy. Śmiał się z gróźb „mafii Molly”, a jednocześnie zainstalował w domu

i garażu kosztowny system bezpieczeństwa. Zaczął nosić rewolwer i nie robił tajemnicy z tego, że przy łóżku trzyma mały arsenał.

Dwudziestego piątego listopada siostry KKO wczesnym rankiem wtargnęły do garażu McIlhenny, z widocznym zamiarem zniszczenia porsche i drugiego auta, mercedesa 300 SL rocznik 1958.

Obudzony przez nowo zainstalowany system alarmowy McIlhenny' pojawił się w garażu w piżamie, z automatem w ręku. Wystrzelił trzy serie do napastniczek. Zranił cztery siostry KKO, z których jedna w konsekwencji straciła lewe ramię. Siostry nie odpowiedziały ogniem. Właściwie nie ma dowodów, że były uzbrojone.

Ranne siostry nie wniosły oskarżenia przeciwko McIlhenny ani on nie zaskarżył KKO. Na trzy dni zapanował spokój. W tym czasie McIlhenny chełpił się w kilku publicznych miejscach, że dał nauczkę KKO, a nawet był tak pewny siebie, że w wywiadzie udzielonym Levitt Clarion przekonywał innych rozwiedzionych ojców, by „stanęli w obronie swoich praw”.

Okolo 20⁵⁴ dwudziestego dziewiątego listopada F. Robert McIlhenny został zastrzelony z pistoletu, automatycznego

w swoim domu. Strzał oddano przez okno. Sąsiedzi znaleźli go w kałuży krwi i wody, wśród odłamków z rozbitego akwarium.

Po intensywnym śledztwie policjanci z Levitt przyznali, że zgromadzili niewystarczające dowody, by kogokolwiek aresztować czy osądzić. Zabójstwo McIlhenny było szeroko komentowane w środkach masowego przekazu. Publicyści wyrażali opinię, że za tę zbrodnię odpowiedzialność ponosi KKO.

W tym czasie Molly Turner przebywała w Salt Lake na sympozjum. Wygłosiła odczyt dla studentów: „Kobiety w następnych pięćdziesięciu latach”. Towarzyszyła jej osobista sekretarka, nowy rzecznik prasowy i dwie członkinie ochrony osobistej. Po usłyszeniu wiadomości o incydencie wygłosiła krótkie oświadczenie dla mass mediów, określając tę historię jako „niepotrzebną tragedię”.

James Gargan w Waszyngtonie robił tylko pozorowane wysiłki, mające pomóc w śledztwie w sprawie o zabójstwo McIlhenny. Po prostu obawiał się, że jego informatorka ze sztabu Molly, Clarice Dale mogła być w to zamieszana. Może to nawet ona nacisnęła spust. Gargan nie chciał zrobić nic, co naraziłoby jego wtyczkę na niebezpieczeństwo.

Dzisiaj jest oczywiste, że zabójstwo F. Roberta McIlhenny w ogromnym stopniu zaostriżyło wrogość między Ann Harding i Molly Turner. Następnego dnia po morderstwie Ann wydała ścisłe rozkazy PRK, by więcej nie udostępniać nazwisk i adresów rozwiedzionych ojców ani Molly, ani nikomu z jej mafii

Krótko po tym niesmacznym incydencie Dawn McIlhenny zgłosiła się do opieki społecznej.

23 grudnia 1991

Jedni wierzą w miłość, inni w nienawiść. Wiara Molly Turner z pewnością wywodziła się z nienawiści, namiętności, urazy i zemsty za zdradę. Jej pasją było domaganie się równych praw dla Siebie i wszystkich kobiet. Widziała świat podzielony nie na „mieć” i „nie mieć”, ale na „być albo nie być”.

Jej gwałtowny temperament nie pozwalał na kompromisy. Jeżeli Ann Harding chciała przeprowadzić kampanię polityczną w celu uchwalenia prawa powszechnego karania wszystkich oskarżonych gwałcicieli, Molly pragnęła ukarać każdego gwałciciela osobiście. Nie chciała dostosowywać się do okoliczności, ani ponosić ofiar. Nie zamierzała wyrzec się dzisiaj zemsty dla jutrzejszej sprawiedliwości.

Jej pasja karmiła się sama, ale zamiast powiększać się, po prostu skondensowała się. Molly stała się osobą twardą, nieczułą, bezlitosną. Jej ciało chudło, ale gorączka potęgowała się. Molly zamieniła się w skałę.

Nic i nikt nie był w stanie dotrzeć do jej serca.

Miała świętą zdolność do samopoświęcenia i samorozgrzeszenia. Jej wiara w słuszność własnych racji nie pozwalała na żadne wątpliwości. To wszechświat krążył dookoła niej, a ona była w stanie poruszyć gwiazdy. Istnieli inni ludzie, wiedziała o tym, istniały potrzeby, miłości, nienawiści, ale nikt nie miał w sobie tyle siły, co ona.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Ann Harding postanowiła spędzić świąteczny tydzień u rodziny w Canton. Chciała, by Jefferson Turner Harding pobyl trochę czasu ze swoimi dziadkami, a także zamierzała przeprowadzić inspekcję centrum przetwarzania danych KKO w Canton.

Rod był za, Jeff był podekscytowany, a na dodatek nieoczekiwanie Molly Turner oznajmiła, że ona także wybiera się do domu na święta.

Wszyscy spotkali się dwudziestego drugiego grudnia w Canton. Urządzono kolację w domu Josephine Turner przy Hillcrest Avenue. Zaproszono również Todhuntera Clarka, Lucille Jackson i trzy bliskie współpracowniczki Molly.

Wieczór należał do udanych. Na kolację podano pieczoną szynkę, słodkie ziemniaki i sałatkę z trzech gatunków fasoli. Na deser dwie babki, dwa torty i lody dla małego Jeffa, które malec uwielbiał.

Po kolacji wszyscy rozsiedli się wygodnie w bawialni. Na kominku płonął ogień. Brat Nabisco uczył Jeffa opiekać grzyby. Dorośli pili alkohol i kawę i leniwie rozmawiali o wyborach prezydenckich w nadchodzącym roku. Większość była zdania, że senator Dundee ma największe szanse na zwycięstwo, pomimo ponownego kandydowania aktualnie urzędującego prezydenta.

— Po moim trupie — powiedziała zapalczywie Molly.

Dwudziestego trzeciego grudnia Ann oznajmiła mężowi, że spędzi większość dnia w biurach KKO, w dawnym domu towarowym. Wyjechała z domu około 9³⁰. Rod oświadczył, że wybiera się na opuszczoną farmę, bo musi zrobić remanent broni i wyposażenia. Jeffa zostawili pod opieką dziadków. Cecily i Luke Harding byli z tego bardzo zadowoleni.

Okolo południa Molly, dołączyła do Roda w bezpiecznej chacie. Rod włączył piecyk naftowy, mimo to w tej starej

nieszczelnej chacie ciągle było zimno. Wsunęli się pod stare koce wojskowe na legowisku.

— Dawno nie byliśmy razem, Moll — zauważył.

— Tak. Zbyt dawno. Naprawdę zrobiłeś inwentaryzację?— Uhm. Niewiele zostało. Uważam, że Tod albo ja, a może razem powinniśmy się wybrać do Miami.

— Ann odmówiła finansowania zakupów broni, no i dobrze. Ale ty możesz jechać. Mam trochę własnych oszczędności i dostałam trochę forsy od moich współpracowniczek. Mamy pieniądze.

Odsunął się trochę i spojrzał na nią.

— Jezu, Moll, wiesz co robisz?

— Nie przejmuj się, wiem. I nie odsuwaj się tak daleko. Lepiej mnie rozgrzej. Przytulił ją mocno. Nie potrafił tego zrozumieć, nie potrafił zrozumieć samego siebie. Początkowo ich związek opierał się tylko na seksie, ale teraz to było coś więcej niż sam seks. Molly zaangażowała się. Sam siebie uważał za cynicznego, obojętnego, ale on też zaangażował się w ten związek bardziej niż tego chciał, jakby oczekiwał, że jej pasja może się i jemu udzielić. To nie jej feminizm tak go pociągał, to nie jej pasje chciał dzielić. Wszystkie pasje są takie same. Pociągało go jej serce krzyczące „Potrafię zmienić świat!”

Jeżeli miała rację, jeżeli jej życie miało sens—to on się mylił, a jego życie było puste. Boże, co się stanie, kiedy wszystkie TAK zamienią się w NIE? Westchnął i zaczął pieścić językiem i wargami jej płaskie piersi.

— Co ci jest? — spytała.

— Ty masz jaja, Moll, nie ja — mruknął z nikłym uśmiechem. — Nie ja.

— Nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

— Nie mów W ten sposób. Nigdy tego nie robiłaś, więc nie zaczynaj teraz. Gdybym to nie był ja, byłby inhy, prawda?

Na chwilę zapadło milczenie.

— Ale to jesteś ty — szepnęła. — Ty dałeś mi szczęście. Czy to ci nie wystarcza?

— Jasne — pogłaskał jej policzek. — To musi mi wystarczyć.

Pochylił się i zaczął całować jej ciało. Miał wrażenie, że jest kupką patyków, które może połamać swoim ciężarem.

W tej chacie na uboczu wykrzyczeli swój ból i swoją rozkosz. Jej twarz zmieniła się. Nie poznawał jej, stała się inną

kobietą. Nieobecny uśmiech zagościł na jej twarzy, a oczy płonęły nieziemskim blaskiem.

Później, kiedy wykrzyczeli swoje szczęście, nie chciała wypuścić go z objęć, ścisłała go mocno nogami i ramionami.

— Nie odchodź — prosiła. — Jeszcze nie teraz.

Leżeli spleceni w uścisku. Wyciągnął rękę i złapał koce z zakurzonej podłogi. Naciągnął je na ich nagie ciała.

— O Jezu — westchnęła. — Jak dobrze, zapomniałam, że może być tak dobrze.

— O czym zapomniałaś?

— O wszystkim. O tobie, o sobie, o świecie, nie licząc siostrzyczki Ann.

— I to cię martwi? -Potrzaśnęła przecząco głową.

— To nieważne, pomyślałam o tym i doszłam do wniosku, że to wszystko jest nieważne. Nie zamierzam ciebie jej zabrać. Nie zrobię tego nawet, gdybym mogła, chociaż wiem, że to niemożliwe. Ty jej nigdy nie porzucisz. Pogodziłam się z tym. No i dobrze. Chcę tylko kilku twoich godzin.

Westchnął i ujął jej twarz w swoje dłonie.

— To cię martwi?

— Nie, nie martwi, bo uważam, że kłamiesz. Okłamujesz mnie, siebie albo nas oboje.

— Czyżby?

— Wiesz, że to prawda — wzruszyła ramionami. — Kiedy tylko będziesz chciał odejść, po prostu powiedz.

— Wiesz, że nie potrafię.

— Daleś się złapać workowi kości — zakpiła.

— Masz rację, zostałem złapany i nie potrafię się uwolnić.

— Och, kochanie — mruknęła, całując go zapamiętane. — Jaka smutna z nas para klaunów.

Dalej nie pozwalała mu oswobodzić się ze swych objęć, ale trzymała go na sobie, przyciskając mocno. Przebiegała palcami w górę i w dół po jego silnych ramionach, plecach i pośladkach.

— Ciało — westchnęła marzycielsko. — Jakie cudowne. Kiedy wyjeżdżasz po zakup broni? Do Miami?

— Nie wiem, a co, śpieszy się?

— Czy możesz postarać się o trochę plastiku, materiału, który wygląda jak guma do żucia i można go przykleić do wszystkiego?

— Chyba tak — powiedział ostrożnie. — Dlaczego? Do czego ci to potrzebne?

— Carol Poague dostała dziesięć lat. Może uzyskać warun-

kowe zwolnienie po siedmiu. Nie chcę, żeby tak długo gniła w pudle. Właśnie teraz jest w więzieniu w Jackson. Mam zamiar ją stamtąd wydostać. Zamknął oczy .

— Sama możesz wpaść — mruknął.

— I co z tego?

Chciał zapytać: co z tobą? Ale dobrze wiedział, co z nią.

— W porządku — powiedział w końcu. — Zdobędę dla ciebie ten materiał.

— Czy ty i Tod pomożecie mi?

— Nie mogę mówić za niego. To jego decyzja, na mnie możesz liczyć.

— Musi się udać — rzekła żarliwie. — Wiem, że to się uda. Ale on tak nie uważał.

Nie obchodziło go to. To będzie,

pomyślał, coś w rodzaju ekspiacji. Deklaracja. Roześmiał się, myśląc, że ona jest szalona, a on tylko małym wariatem.

— Z czego się śmiejesz? — chciała wiedzieć. Powiedział jej.

— Uważasz, że ten świat jest normalny?— spytała.—By go ujarzmić, trzeba być największym szaleńcem.

— Ty zwyciężysz — zapewnił ją.

Byli w wyśmienitych humorach. Kiedy się ubierali, żartowali i kpili z siebie.

Wydawało się, że nie ma takiej rzeczy, której nie mogliby dokonać działając razem.

Rod Harding wyłączył piecyk i wyszli na ganek. Zawiesił ogromną kłódkę na drzwiach frontowych. Zatrzymali się jeszcze chwilę na ganku, zanim wsiedli, każde do swojego samochodu.

Między drzewami, przestępując z nogi na nogę, by się rozgrzać, schowała się

Clarice Dale. Zobaczyła ich wychodzących z bezpiecznej chaty. Zdjęła rękawiczki i niezdarnie zajęła się aparatem fotograficznym z teleobiektywem, którym nauczył ją posługiwać się jeden z ludzi Gargana.

Ukryła się za grubym pniem bezlistnego dębu i zaczęła pstrykać zdjęcia. Pomyślała, że zrobiła niezłe fotki: jak się obejmują, pieszczą i całują.

Ann Harding przejęła kierownictwo Kobięcych Korpusów Obrony ze swoją zwykłą energią i sprawnością. Wniosła do kierownictwa KKO profesjonalizm, którego w przeszłości brakowało.

Jednym z jej pierwszych projektów było polepszenie stosunków KKO z Kongresem, Białym Domem i tymi agenda-

mi rządowymi, które zajmowały się sprawami związanymi z KKO. Powołała Departament Polityczny, którego prawie cały wysiłek skierowany był na zdobycie przychylności dla KKO ciał ustawodawczych.

Zatrudniła więcej prawniczek, nawiązała bliskie kontakty z innymi grupami interesów. Zaczęła wprowadzać do KKO młodsze kobiety, zwłaszcza studentki cóllegów, umożliwiała im zabieranie głosu w sprawach ważnych dla KKO.

Nauczyła, się posługiwać prasą, radiem i telewizją, by przybliżyć cele KKO coraz szerzej. Zmieniła „flew” w dobry miesięcznik dostępny w abonamencie i kioskach nie tylko dla członkiń KKO. Przeprowadziła ogólnokrajową kampanię na rzecz ustanowienia Dnia Kobiet świętem ogólnonarodowym.

Być może najbardziej doniosłym i ważnym programem, któremu patronowała, było uczynienie z Kobięcych Korpusów Obrony organizacji o zasięgu ogólnoświatowym. Ten projekt zakładał utworzenie oddziałów KKO we wszystkich krajach świata. Jeżeli wszystko się powiedzie, Ann zamierzała zwołać pierwszy międzynarodowy zjazd w 1995 roku w Waszyngtonie.

Virginia Terwilliger obserwowała jej działania z podziwem i aprobatą. Była przekonana, że KKO wkroczyło w nową fazę, z mniejszym naciskiem na rewolucyjne działania Molly Turner, a większą koncentracją na stanowczym pragmatyzmie Ann Harding.

Ginny uważała, że Molly to już przeżytek. Jej charyzma miała bez wątpienia jeszcze wartość dla KKO, ale teraz to Ann pojawiała się w audycjach telewizyjnych, mówiąc elokwentnie o celach, o które walczą kobiety, i była na pierwszych stronach gazet, prezentując co rusz nowe rozwiązania starych problemów.

Ann Harding zdobyła władzę i popularność w czasie pierwszych miesięcy 1992 roku i podobnie było z kampanią prezydencką senatora Lemuela K. Dundee. Wzrastała jego popularność w ogólnokrajowych sondażach przedwyborczych, wzrastały również datki na jego kampanię. Zaczął liczyć delegatów swojej partii na ogólnokrajową konwencję, którą zaplanowano na dwudziestego lipca 1992 roku. Wszystko szło jak po maśle. Jego sztab zalecał rozwagę i roztropność w wystąpieniach i działaniach, by nie popełnić gafy, która mogłaby zmniejszyć szanse senatora na nominację i ostateczne zwycięstwo.

Ale nastąpił krach, do którego Dundee się nie przyczynił...

6 stycznia 1992

Ann Harding przed światem prezentowała spokój i opanowanie. Nawet jeżeli była wściekła, nikt tego nie wyczuwał. Ani jej mąż, ani syn, współpracownicy czy widzowie, a już z pewnością nie Molly Turner.

Szóstego stycznia przyjechał z Canton Todhunter Clark. Przywiózł ze sobą dwa worki poczty: sprawozdań, wyciągów z kont i rozliczeń z banku, periodyków, Ud. Ann słyszała go żartującego z sekretarkami i personelem centrali KKO. Czekala cierpliwie w swoim biurze, wiedziała, że do niej zajrzy.

Jak zwykle, jego pierwsze pytanie brzmiało:

— Jak tam królewicz?

— Jeff ma się wspaniale — uśmiechnęła się. — Chodzi teraz do zerówki, Tod. To znaczy, do przedszkola.

— Nie? Żartuje pani? I podoba mu się?

- Kocha to — roześmiała się. — Pierwszego dnia pobił jakiegoś chłopca, tamten się popłakał.

— To mój królewicz — Brat Nabisco także uśmiechnął się.—Był pełen energii od momentu przyścia na świat. Proszę, to prezent dla niego.

Z kieszeni kurtki wyłowił długą drewnianą fujarkę. Miała otworki do przebierania palcami, podobnie jak flet, i pomalowana była w leśne zwierzęta.

— To z Niemiec. Jeff prawdopodobnie rozwścieczy was ćwicząc, ale może nauczy się grać.

— Dziękuję, Tod. Jestem pewna, że mu się spodoba. Zamknij drzwi i proszę, usiądź na minutkę.

Zamknął drzwi i zajął miejsce w fotelu naprzeciw biurka. Ann podniosła słuchawkę:

— Patty, bądź tak dobra i nie. łącz na razie żadnych telefonów, dobrze? Dzięki.

Teraz zwróciła się do Clarka.

— Jak tam Lucille? — spytała.

— Wspaniała, dziękuję.

— Zamierzacie się pobrać?

— Myślimy o tym, Ann.

— Nie myśl zbyt długo — ostrzegła;—Jakiś inny mężczyzna może ci ją sprzątnąć sprzed nosa. Nie będzie wечно czekać.

— Jej słowa — mruknął i oboje roześmiali się serdecznie.

— Tod, wybierasz się z Molly do Michigan? Bierzesz udział w tym napadzie na więzienie, który ona planuje?

Nie odpowiedział od razu. Podniosła oczy i napotkała jego wzrok.

— Nie sądziłem, że pani o tym wie, Ann.

— Oczywiście, że wiem — powiedziała spokojnie. — Rod jest właśnie w Miami, załatwia zakupy. Musiał mi powiedzieć. Bierzesz w tym udział?

— Nie. Oczywiście pomogę im przygotować furgonetkę, którą będą przewozić materiały wybuchowe i broń do Michigan. Przygotuję zapalniki i wszystko inne, ale nie, nie biorę w tym udziału. To znaczy, nie wybieram się z nimi do Jackson.

— Dlaczego nie?

— Tam może być piekło, a ja już byłem w czymś takim. Być może rok temu dołączyłbym do nich, albo sam bym to zrobił. Ale od kiedy spotkałem Lucille Jackson, mam ogromną ochotę trzymać moją czarną .dupę w jednym kawałku, pani Ann. Mogłaby pani spróbować namówić Molly, aby z tego zrezygnowała.

— Od dawna ze sobą nie rozmawiamy.

— No cóż... ze mną nie będzie gadać, to jasne jak słońce. Niech pani przekona męża.

— Nie myśl, że nie próbowałam — mruknęła gorzko. — Do diabła! — krzyknęła", uderzając dłonią o blat biurka. — Ona niszczy wszystko, nad czym pracuję. Próbuje udowodnić, że jesteśmy pokojowo nastawionymi, odpowiedzialnymi kobietami, gotowymi do współpracy z każdym, kto może nam pomóc, a ona robi z nas bandę szalonych wariatek, ganiających z pistoletami i dynamitem, i zabijających niewinnych ludzi. Tod, jak w takich warunkach można pracować?

— Nie wiem jak, proszę pani. To zwariowane czasy. Wstała i zaczęła spacerować po pokoju.

— Zabierze nam lata, by udowodnić, że tak nie jest — powiedziała Ann. — Jeżeli w ogóle się uda.

— Powiedziała pani o tym wszystkim Rodowi?

— Mówiłam — mruknęła wściekle. — Ale to jak grochem o ścianę. Odpowiedział, że dał jej słowo i nie ma zamiaru go złamać. Ona go zabije.

— Samą siebie też — stwierdził spokojnie. Nagle spostrzegł, że Ann płacze.

— Ależ, pani Ann... — zaczął bezradnie.

— Przepraszam — otarła mokre policzki pięściami. — Ale ta sytuacja doprowadza mnie do szału. Nie wiem, ale on chyba ją kocha.

— Och... nie byłbym...

— Spójrz na to—otworzyła górną szufladę biurka i sięgnęła do niej. — Te listy, mówiłam ci o nich. Dostają je regularnie. W zeszłym tygodniu nadszedł ten.

Podawała mu kopertę zaadresowaną kobiecą ręką. Pieczętka na kopercie pochodziła z Waszyngtonu. Otworzył ją. Z koperty wypadło sześć fotografii. Molly Turner i Rod Harding w objęciach na ganku opuszczonej farmy. Wyraźne, ostre zdjęcia.

Na każdym mały napis „Wesołych Świąt”.

— Jezu Chryste!—Brat Nabisco był zdegustowany.—Ktoś zwariował.

— Ale to oni, prawda? — chciała potwierdzenia. — Ten, kto je przysłał, może jest szalony, ale te fotografie nie kłamią. Nie możesz temu zaprzeczyć.

— Pani Ann, to mógł być tylko przyjacielski pocałunek z okazji świąt. Oni... — jego głos załamał się.

Usiadła za biurkiem, pochyliła się do przodu, twarz ukryła w dłoniach. Jej głos był przytłumiony, z ledwością ją słyszał.

— Jest źle — mówiła załamana. — Naprawdę źle. Ona zniszczy KKO, ona zrujnuje mnie i moje małżeństwo. Zabierze mi męża. Co ja mam robić? Rozwieść się z nim? Zabrać Jeffa i odejść? Dokąd? A jaki skutek będzie miał ten skandal dla KKO?

Staralam się całe życie być dobrą żoną i matką. No i KKO, poświęciłam wszystko.

Staralam się nigdy nikogo nie zranić. A teraz wszystko się wali i to z jej powodu.

Czy to w porządku? Boże, przebacz mi, ale czasami życzę jej śmierci. Trudno mi o tym mówić, ale to prawda. Zamieniła moje życie w gehennę. — Przerwała na moment, a po chwili dodała. — Nie wiem, jaki to wszystko będzie miało wpływ na małego Jeffa.

Clark pochylił się i dotknął jej ramion, wyjęła chusteczkę z szuflady i wytarła oczy.

— O Boże — dodała głucho. — Co ja mam robić? Wstał i podszedł do drzwi.

— Cóż, pani Ann — zaczął wolno. — Są różne sposoby. Proszę mi pozwolić tym się zająć. I proszę pozdrowić ode mnie Jeffa, słyszy pani?

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Ann Harding spojrzała na nie kamiennym wzrokiem.

12 lutego 1992

Senator Dundee był tak bardzo przeświadczony o swoim zwycięstwie w wyborach prezydenckich, że powołał specjalny zespół, który zaplanowałby jego administrację. Thomas J. Kealy został wyznaczony do utworzenia grupy, która zwerbowałaby komitet prestiżowych ochotników, jacy stworzyliby zręby programu polityki wewnętrznej i zagranicznej i przygotowali strategię i taktykę dla Dundee'ego w Białym Domu.

Ale najpierw, zdecydował Kealy, nowo utworzony trust mózgow powinien sporządzić listę potencjalnych kandydatów na stanowisko wiceprezydenta. Oczywiście powinni to być doświadczeni mężczyźni, o nienagannej reputacji, winni być atrakcyjni i zdolni do zjednywania głosów dla Dundee'ego, a także starający się poszerzyć jego wpływy. To znaczyło, że wiceprezydentem nie powinien być ktoś zbyt przystojny, zbyt inteligentny, czy posiadający zdolności oratorskie albo charyzmę.

Ostatecznie przedstawiono Dundee'emu listę dwudziestu pięciu osób. Przejrzał ją szybko i wykreślił niektóre nazwiska.

— Ten nie, zbyt zielony... Ten należy do mafii... Ten dwa razy się rozwiódł... ten za biedny. Tego żona ma na boku kochanka... ten sprzedał swoją duszę bankom...

I tak dalej, i tak dalej, w końcu na liście pozostało sześć nazwisk. Senator uważał, że każde z nich mogłoby wesprzeć jego kampanię nie przerastając go. Wszyscy byli uzdolnieni, ale nie nazbyt zdolni.

— A teraz chciałbym, żebyś zrobił kopię tej krótszej listy — powiedział do Kealy'ego — i przekazał ją Jimmiemu Garganowi z Departamentu Sprawiedliwości. Powiedz mu, że to" osobista przysługa dla mnie, niech sprawdzi tych facetów. I powiedz mu, niech, na litość boską, potraktuje tę listę jako supertajną. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej bym sobie życzył, jest żeby wpadła w ręce „Post” czy „Timesa”. Wtedy miałbym więcej wrogów niż pies pcheł. Zanieś to Garganowi natychmiast.

— Zrobione — Kealy, używał tego słowa tak często, że inni członkowie sztabu wyborczego senatora nazywali go „Kealy — zrobione”.

Asystent senatora często spotykał się z Garganem. Informował go o postępach kampanii Dundee'ego, mówił o planach na przyszłość, ujawniał, z kim Dundee się konsultuje, a także źródła jego funduszków.

Wszystkie te informacje według filozofii Kealy'ego nie były

niczym zdrożnym, wiele z nich było udostępnionych publicznie. Gargan wydawał się usatysfakcjonowany tym co słyszał i rzadko naciskał na Kealy'ego, żądając bardziej poufnych rewelacji. Kiedy w czasie jednego z takich spotkań Kealy wspomniał H. Fairchilda Curtissa, Gargan chciał dowiedzieć się wszystkiego o jego kontaktach z senatorem.

Po to, aby przekazać listę potencjalnych kandydatów na stanowisko wiceprezydenta, Kealy nie widział powodów do prywatnej rozmowy z Garganem. Zaprosił go na lunch do restauracji „Mel Krupin” przy Connecticut Avenue. Ponieważ Kealy był tu stałym bywalcem, dostali niezły stolik niedaleko schodów. Gargan pojawił się po kilku minutach od przybycia Toma. Mężczyźni zamówili po krwawej mary i wybrali dania z karty. Kealy na przystawkę zamówił marynowane śledzie, Gargan siekaną wątróbkę. Następnie zamówili rosół, stek, pieczone ziemniaki, firmową sałatkę i następną kolejkę krwawej mary.

Kiedy tylko usiedli, Kealy przeszedł do interesów. Pochylił się nad stołem i mówił cicho, Gargan więc również się pochylił, by słyszeć go poprzez hałas panujący w restauracji. Asystent senatora wyjaśnił, czego Dundee oczekuje od Gargana.

— Nie ma sprawy — rzekł Gargan. — Ma pan tę listę ze sobą?

Kealy potwierdził skinieniem głowy.

— Proszę mi ją podać pod stołem — rozkazał Gargan. — Rozpoznaję trzech dziennikarzy, a być może jest tu ich więcej. Nie wszystkich znam.

Kealy podał mu kopertę. — Super ściśle tajne — powiedział.

— Oczywiście — potwierdził Gargan. — Coś jeszcze?

W trakcie przystawek i zupy sondował ostrożnie Kealy'ego na temat postępów kampanii Dundee'ego. Wydawało się, że nie słucha uważnie, odwracał głowę to w tę, to w tamtą stronę, ale kiedy podano stek, powiedział:

— Mówi pan, że wszystko idzie wspaniale, ale wyniki sondaży pokazują, że pański szef nie może Uczyć na zbyt dużo głosów kobiet.

— No cóż... za to męskie głosy mogą wyrównać przepaść między płciami!

Większość jest po naszej stronie. To znaczy, zarejestrowanych wyborców.

— No... no... — mruknął Gargan i zajął się jedzeniem.

— Coś nie tak? — spytał Kealy.

— Nie, co mogłoby być nie tak?

— Dlaczego pan zamilkł?

— Po prostu zastanawiam się. Mam coś, co może być dużym plusem dla pańskiego szefa. Ale to bardzo ważny materiał, więc zastanawiam się, czy powinienem panu b tym powiedzieć, czy trzymać gębę na kłódkę.

— Proszę mi powiedzieć. Twierdzi pan, że zależy panu, żeby senator został wybrany.

— Tak, zgadza się, ale to co mam, to dynamit.

— Co? Co?

Gargan przetrzymał go jeszcze kilka minut pozwalając, by ciekawość Kealy'ego doszła do zenitu. Potem powiedział:

— No dobra... W porządku, ale to tylko do wiadomości Dundee'ego, ani słowa nikomu innemu: Rozumie pan?

— Nikomu nie powiem, przysięgam. — Kealy podniósł dłoń.

— Połóż pan tę pańską pieprzoną łapę na stole — mruknął wściekle Gargan. —

Przecież nie wie pan, kto nas obserwuje. Uważam, że powinien pan powiedzieć Dundee'emu, by zaczął ostro atakować Molly Turner i KKO w przyszłym miesiącu. Mam na myśli miażdżącą krytykę. Wiemy, że ta szalona dama planuje dużą akcję. Jedyna rzecz, jakiej nie znamy w tej chwili, to data, ale i tej się dowiemy, kiedy będą tworzone oddziały bojowe. Wielu ludzi może zostać rannych.

— Jezu — westchnął Kealy. — Jak pan się tego dowiedział?

— Z dobrze poinformowanych źródeł — rzekł Gargan sztywno. — Ta akcja nie ma prawa się udać. To może być kolejna „masakra w Corinth” albo coś jeszcze gorszego. Więc liczę, że jeżeli senator zacznie nawijać swoją starą gadkę w stylu „przemoc nie rozwiąże problemów kobiet”, a potem wydarzy się ten krwawy zamach, to udowodni, że jest rozgarniętym politykiem.

— Ma pan dużo racji — stwierdził Kealy. — Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

— Nie.

— W porządku, w porządku — rzekł Tom pośpiesznie. — Dokładnej daty na razie pan nie zna?

— Może za miesiąc albo za sześć tygodni. Poznamy dokładny termin na kilka dni przed akcją. Ale Dundee ma dużo czasu, by popracować nad stworzeniem klimatu nieprzychylnego KKO, Molly Turner i brutalnej przemocy. Co pan o tym sądzi?

— To brzmi wspaniale — Kealy był pełen entuzjazmu.

— Uważa pan, że on się na to zdecyduje?

— Jestem pewien, że tak. Uświadomię mu, że to może

pomóc w uzyskaniu prezydentury. Po kolejnej masakrze nawet te kobiety, które są przeciwko niemu, przekonają się, że przez cały czas miał rację.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się. Odczuwali prawie seksualną satysfakcję w kreowaniu królów.

Po pożegnaniu Gargan wrócił do swojego biura i natychmiast przygotował długie sprawozdanie z rozmowy w restauracji. Udowodnił tym swoim szefom, jak zrećźnie kieruje wyborem senatora Lemuela K. Dundee.

To był największy błąd, jaki popełnił w życiu.

19 marca 1992

Rod Harding siedział za kierownicą nieoznakowanej furgonetki. Molly Turner jechała za nim w odległości stu jardów swoim volkswagenem rabbitem. Razem z nią w samochodzie podróżowały trzy jej najbliższe współpracowniczki, w tym także Clarice Dale.

Przeznaczili na tę podróż dość czasu, by przestrzegać przepisów ruchu drogowego i nie przekraczać dozwolonej prędkości. Po przybyciu do Michigan zamierzali ustalić z pułkiem KKO plan dostania się do aresztu. Mieli słowo Carol Poague, że "będzie z nimi współpracowała.

Harding i Todhunter Clark pracowali nad pojazdami na posesji zaniedbanej farmy. Zajęło im to tydzień. Furgonetkę wyposażyli w dwa podnoszone łóżka, a pod skrzyniami na pościel zainstalowali schowki, w których umieścili plastik, pistolety automatyczne i amunicję.

Brat Nabisco przygotował kilka bomb, niektóre wyposażył w zapalniki zegarowe, inne w zapalniki pięciosekundowe, a jeszcze inne w styki. Te ostatnie ułożyli w pudełkach wyściełanych watą. Ale i tak Clark radził Hardingowi omijać większe dziury w jezdni.

— Albo rozerwie cię na kawałki — ostrzegł go.

— Dzięki, dodałeś mi odwagi — mruknął Rod.

Clark wykonał większość roboty przy VW Molly, zbudował schowki w bagażniku i pod siedzeniami. Ukryli tam rewolwery, pistolety, amunicję i granaty.

— Masz tu dość broni, by rozpocząć rewolucję — powiedział do niej.

— Już zaczęłam — odrzekła zimno.

Dwa pojazdy wyruszyły z Canton około 9⁰⁰ rankiem 19

marca. Todhunter Clark stał na schodkach bezpiecznej chaty. Zdjął swój futrzany kapelusz i pomachał na do widzenia. Nad ziemią snuła się poranna mgła, która rozproszyła się, kiedy słońce zaczęło mocniej grzać. Niebo stało się kryształowo czyste, a powietrze ostre. Temperatura podniosła się do 48° F, drogi były suche. Najpierw jechali autostradą numer 50 do Chillicothe, a potem skręcili na północ na drogę numer 23 do Michigan. Nieoczekiwanie ruch na drogach był duży. Kilka samochodów rozdzieliło furgonetkę Roda od VW Molly, ale tym się nie przejmowali. Zaplanowali postój w przydrożnej restauracji na spóźnione śniadanie. Spotkali się w „Rowina Cafe” na zachód od Athens, w Ohio. Rod i cztery kobiety zajęli stolik, zamówili sok pomarańczowy, jajka na bekonie, domowe frytki, tosty i kawę. Żartowali i śmiali się. Później kelnerka określiła ich jako „miłych ludzi”. Przyznała, że dali jej suty napiwek.

Harding wyruszył pierwszy, a po kilku minutach restaurację opuściły kobiety. Kiedy znalazły się na szosie, furgonetka Roda już zniknęła. Nie martwiły się tym. Zaplanowali kolejne spotkanie w Columbus, by tam spędzić noc.

Było koło II⁴⁵, dobra widoczność. Dwie mile na wschód od McArthur przednie i tylne prawe koła volkswagena rabbita eksplodowały i zerwały się z osi. Samochód przejechał jeszcze około 50 metrów, skręcił w prawo, przechylił się i zaczął koziołkować. Żadna z kobiet nie miała zapiętych pasów. Molly Turner została rzucona na przednią szybę. Uderzenie prawie ucięło jej głowę. Zmarła natychmiast. Clarice Dale na przednim siedzeniu pasażera także poniosła śmierć w trakcie koziołkowania. Jej czaszka roztrzaskała się, odniosła również inne ciężkie obrażenia wewnętrzne.

Obie kobiety, które zajmowały tylne siedzenia, jak ustalono w czasie śledztwa, prawdopodobnie przeżyły koziołkowanie pojazdu. Ale kiedy auto przewróciło się na bok, zapalił się bak. Pożar roznieciło palące się paliwo, wybuchy amunicji i granatów. Obie kobiety nie były w stanie wydostać się z samochodu. Spłonęły żywcem.

Auta osobowe i ciężarówki zatrzymywały się na szosie, kierowcy i pasażerowie chcieli pośpieszyć z pomocą, ale nikt nie odważył się zbliżyć do płonącego samochodu. A kiedy detonowały granaty i amunicja, wszyscy ratownicy cofnęli się na bezpieczną odległość. Jeden z kierowców ciężarówki przez CB radio wezwał pomoc.

W czasie tego wypadku Rod Harding znajdował się na

wschód od Allensville. Ponieważ nie widział VM Molly w tylnym lusterku, zwolnił, zjechał na prawy pas i czekał, aż Molly go dogoni.

Po kilku minutach dwa samochody policyjne na sygnale minęły go, kierując się na wschód. Po chwili przejechała straż pożarna i karetka pogotowia. Harding zjechał na pobocze i zatrzymał się. Siedział przez kilka chwil, zastanawiając się, co robić.

Prawdopodobnie wydarzył się wypadek drogowy, który nie miał nic wspólnego z Molly. Nawet gdyby jej samochód uczestniczył w kraksie, Molly dała mu przedtem ścisłe rozkazy: „Jeżeli coś nam się stanie, ty jedź dalej. Zrozumiałeś? Zawieź materiały do Michigan”.

Wahał się, nie wiedział co robić. Ale po kwadransie, kiedy jej samochodu w dalszym ciągu nie było widać, poczuł ogarniające go przerażenie. Zastanawiał się, komu powinien być wierny.

— Skurwysyn — mruknął gorzko i nacisnął klakson. Zawrócił furgonetką, zignorował złość nadjeżdżających z przeciwka kierowców. Pośpieszył na wschód. Jego strach wzrastał, kiedy nie dostrzegał samochodu Molly.

Jadące autostradą pojazdy zwalniały dojeżdżając do miejsca wypadku. Policjanci próbowali zatrzymać ruch, ale bez powodzenia. Każdy chciał to zobaczyć. Harding też patrzył. Widział spalony wrak VW pokryty pianą. Strażacy wyważarkami usiłowali otworzyć drzwi. Rod wiedział, że to zajmie im trochę czasu.

Patrzył, ale samochód trzymał na chodzie. Nie pojedzie do Michigan — zdecydował. Do cholery, dokąd ma jechać? Nie wiedział.

Był blisko Athens, kiedy usłyszał pierwszy komunikat radiowy. „Cztery kobiety poniosły śmierć” — smutnym głosem przeczytał spiker. — Ciało jeszcze nie zidentyfikowano”.

— I jeden mężczyzna — powiedział na głos Harding. — Jeszcze nie zidentyfikowany. W czasie, kiedy Harding przekraczał Ohio River w powrotnej drodze do Zachodniej Wirginii, James Gargan siedział w swoim biurze w Waszyngtonie i pracował zawzięcie nad stosem raportów.

Do pokoju wszedł jego asystent z kawałkiem kartki oddartej z dalekopisu. Położył kartkę na biurku Gargana.

— W jakimś wypadku w Ohio zginęły cztery kobiety —

rzekł bezbarwnie. — Samochód zarejestrowany był na Molly Turner.

Gargan przeczytał biuletyn, czując skurcze w żołądku.

— Skontaktuj się z Columbus, chcę wiedzieć wszystko: kim były te kobiety, dokąd jechały i jak to się stało. Powiedz im, żeby wzięli się do roboty i przesyłali nam raporty co kwadrans. To znaczy, powiedz im, że ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo.

— Szefie, uważa pan, że to był wypadek? — spytał asystent.

— O Boże! — westchnął Gargan. — Mam nadzieję, że tak. Asystent spojrzał na niego ze współczuciem. Wiedział, o co chodzi.

Gargan wrócił do papierkowej roboty, ale nie potrafił się skupić. Po jakimś czasie odsunął papiery i po prostu siedział. Zastanawiał się nad wszystkimi prawdopodobnymi konsekwencjami i możliwościami. Żadna z tych możliwości nie ułatwiała mu życia.

Im bliżej wieczora, tym bardziej sytuacja pogarszała się. Te dwie ofiary z przedniego siedzenia spalonego VW zostały ostatecznie zidentyfikowane jako Molly Turner i Clarice Dale, informatorka Gargana. Nie ustalono jeszcze tożsamości pozostałych dwóch kobiet.

To był wyrok na niego. To nie był zwykły wypadek drogowy, oba koła przednie i tylne wyleciały w powietrze dzięki ładunkom wybuchowym odpalonym metodą jeszcze nie znaną. Było oczywiste, że ktoś dokonał zamachu na Molly Turner, Clarice Dale i dwie pozostałe. Czysta robota.

James Gargan potarł czoło i zobaczył krople potu lśniące na dłoni, chociaż w biurze było zimno. Zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem. Ostatecznie zdecydował stawić mu czoło. Zatelefonował do senatora Dundee'ego. Dodzwonienie się do człowieka, którego dziennikarze waszyngtońscy nazywali teraz „Szczęściarz Lem”, zajęło mu prawie pięć minut.

Potrzebuję tylko trochę szczęścia, pomyślał Gargan rozpaczliwie.

— Senatorze — zaczął najspokojniej, jak potrafił. — Wyniknęła pewna ważna sprawa. Chciałbym się z panem spotkać najszybciej jak to możliwe. Osobiście.

— Czy to nie może poczekać? — zapytał Dundee zirytowany. — Muszę być na sali posiedzeń.

— Sir, naprawdę uważam, że powinien pan zobaczyć się ze mną natychmiast. Sam. To nie jest sprawa na telefon. To może wywołać poważne perturbacje w pańskiej kampanii.

— No... no... — mruknął senator. — To brzmi groźnie. No

dobrze, spotkajmy się za godzinę w czytelni klubu „Metropolitan”.

Usiedli blisko siebie w klubowych fotelach. Rozmawiali przyciszonymi głosami, ponieważ było tu jeszcze kilka osób czytających książki.

Gargan poinformował senatora o śmierci Molly Turner.

— Jestem zdumiony, że do tej pory pan o tym nie słyszał. Podawali już tę wiadomość przez radio, a wieczorem będzie w dziennikach telewizyjnych i, oczywiście, w porannych gazetach.

— To był wypadek, prawda? — spytał Dundee. — Kraksa na szosie?

— Mhm... no cóż... właściwie... — Gargan patrzył w dół na swoje drżące dłonie, w końcu zdobył się na odwagę i powiedział:

— To było morderstwo albo egzekucja, albo zamach, obojętnie jak pan to nazwie. Poblądły Dundee spojrzął na niego.

— Nie może pan tego zatuszować? — spytał ochryple.

— To niemożliwe — mruknął Gargan. — To lokalna sprawa, zanim zdążyłem wydać rozkazy, miejscowe gliny opowiedziały o wszystkim dziennikarzom. Nic już nie można zrobić.

Spojrzeli na siebie, Gargan pierwszy opuścił wzrok.

— To może być prowokacja — rzekł z wahaniem.

— Prowokacja? — wykrzyknął głośno Dundee, dwaj osobnicy unieśli się w swoich fotelach i spojrzeli na nich gniewnie: Senator ściszył głos.

— Powiem ci coś, ty w dupę kopany sukinsynu, to ty i ten dupek Kealy mnie załatwiliście.

— Senatorze... proszę posłuchać...

— To ty słuchaj, durniu. W swojej nieświadomości i naiwności uwierzyłem w to, co ty i Kealy mi powiedzieliście. Dobierz się do Molly Turner, radziłeś. Ona przygotowuje krwawą jatkę, więc wygłosiłem krótkie przemówienie. Powiem ci coś, to sprawiło, że większość społeczeństwa amerykańskiego pomyśli, że jestem najbardziej rozgarniętym durniem, który spadł ze szczytu, od czasu, kiedy Billy Seward kupił Alaskę po dwa centy za akr. A teraz jakiś dupek załatwił Molly Turner i to krótko po tym, jak na nią ostro wjechałem i zgadnij, kogo za to obwinia? Moje szanse u kobiet spadły do zera. Ta sprawa pozbawi mnie dobrej pozycji w sondażach. Och, oczywiście nikt nie pomyśli, że osobiście byłem zamieszany w śmierć Molly Turner, ale już widzę te komentarze. Napiszą, że senator Dundee stworzył klimat wrogości i niechęci, który nieuchron-

nie doprowadził do okrutnego morderstwa tej dzielnej i szlachetnej kobiety. I tak dalej, i tak dalej. To ty i Kealy załatwiliście mnie.

— Senatorze, nie byłem w stanie tego przewidzieć...

— To przecież twoja robota, ty dupku, prawda? Przewidzieć! Co ty, skurwysynu sobie, myślisz? Za co płaci ci rząd Stanów Zjednoczonych? Za trzymanie palca w dupie? Powiem ci coś, ty gnojku, zidiociały kretynie, barani łbie, twoje dni są policzone. Twoi przełożeni usłyszą ode mnie o tym. Jeżeli będziesz miał szczęście, przeniosą cię do pilnowania szopy w Herminii, w Wyorning. A Kealy'emu być może pozwolę czyścić spluwaczki, kiedy zasiądę w Owalnym Gabinetcie, ty dumniu. Senator wstał gwałtownie i odszedł. James Gargan siedział nadal w głębokim skórzanym fotelu, zaciskając dłonie by opanować ich drżenie. Niezwykłe, jego pierwszą reakcją na tyradę Dundee'ego, był podziw. Pomyślał, że ten facet pomimo wszystko może być niezłym prezydentem.

Później, kiedy się uspokoił, zaczął zastanawiać się nad własnym położeniem. Wiedział, że senator spełni co do joty swoje groźby. Pójdzie prosto do szefów Gargana i zażąda jego głowy. I wiedział, że jego szefowie spełnią żądania senatora. Dundee jest zbyt ważny, aby go zignorować. Najlepsze, czego Gargan mógł oczekiwać, to pieprzonej posady daleko od Waszyngtonu.

Przez lata zebrał niemałą kolekcję tajnych materiałów: dokumenty, fotografie, listy, taśmy magnetofonowe, itd... Ukrył je bezpiecznie w depozytowej skrytce w Raleigh, w Północnej Karolinie.

Być może, pomyślał Gargan, nadeszła pora, by zrezygnować z pracy dla rządu, przejść na emeryturę i otworzyć własny interes.

Tak jak Jake Spencer.

11 kwietnia 1992

W następnym miesiącu po zamordowaniu Molly Turner sytuacja była gorsza niż Dundee przewidywał. Senator był przekonany, że większość złej sławy zawdzięcza Ann Harding i członkiniom Zarządu Głównego Kobięcych Korpusów Obrony.

Przed wszystkim zorganizowano wspaniałą pogrzeb w Can-

ton, w Zachodniej Wirginii, któremu poświęcono dużo uwagi w prasie, radio i telewizji. KKO ogłosiło ten dzień Dniem Żałoby i wezwało do dwóch minut ciszy w południe, w chwili, kiedy trumna Molly Turner była składana do grobu na cmentarzu Calvary w Canton.

Ale na tym nie skończył się pochówek Molly. Senatora Dundee ostro krytykowano przez kilka tygodni we wstępniakach i komentarzach prasowych i telewizyjnych. I tak jak przewidywał, nie oskarżono go o współudział w zamordowaniu Molly Turner, ale o krzykliwą antyfeministyczną postawę, która rozjątrzyła wściekłość niektórych facetów i zainspirowała ich do wykonania brutalnej egzekucji na Molly Turner i jej trzech współpracowniczkach.

Lemuelowi K. Dundee można było wiele rzeczy zarzucić, ale z pewnością nie to, że był człowiekiem, który łatwo się poddawał. Zwołał swój sztab i zapowiedział wszystkim zebrany, by zastanowili się nad sposobami wyjścia z kryzysu. Trzeba zrobić wszystko, by powrócić na czołowe miejsca w sondażach, zanim jego partia zbierze się na konwencję.

Do tej pory wydano prawie dwa miliony dolarów, by na nowo rozkręcić kampanię wyborczą, nadać jej nowy rozmach. Pieniądze wydano na reklamy radiowe i telewizyjne, kampanię listową, plakaty reklamowe, sondaże, dziesięciominutowe kasety video i wszystkie inne nowoczesne techniki stosowane w kampaniach wyborczych.

Ta zmasowana akcja trwała przez pierwszy tydzień kwiet- ' nia 1992 roku. Pracownicy sztabu Dundee'ego pracowali bez wytchnienia, nie licząc godzin pracy, a senator wygłaszał niezliczoną ilość przemówień i pokazywał się we wszystkich możliwych miejscach.

— Przetrywamy to, nie będziemy nikogo przeproszać — powiedział swoim pracownikom.

I tak robił. Przyznawał, że chociaż opłakuje zamordowanie Molly Turner, jak każdy szanujący prawo Amerykanin, ciągle uważa, że metody, jakie stosowała, były złe.

— Cel nie uświęca środków — twierdził z przekonaniem. Dundee pracował ciężko i równie ciężko pracował jego

sztab. Nieustannie analizowali dane z sondażów, których wyniki wskazywały, że mają pewne osiągnięcia, ale nie wystarczające. Mężczyźni w dalszym ciągu popierali senatora, ale na głosy kobiet raczej nie mógł liczyć. Jak zauważył jeden, z komentatorów, „Przepaść między płciami zmieniła się w wąwóz”.

Na sobotę, jedenastego kwietnia, Dundee zwołał naradę

w swoim domu w Spring Valley. Byli tam obecni wszyscy najważniejsi pracownicy jego sztabu: Ruth Blohm, rzecznik prasowy Orrin Fischbein, spec od pisania przemówień Simon Christine, Lyle Hayden i inni najważniejsi doradcy. Na to ważne spotkanie nie został zaproszony Thomas J. Kealy.

Konsultant od sondaży, Robert T. Adler, zaczął pierwszy, używając kolorowych wykresów, które zawiesił na rozkładanym stojaku.

Różnokolorowe wykresy wskazywały zmiany w popularności Dundee'ego od dnia śmierci Molly Turner do ostatnich wyników sondaży.

— Niestety wyniki są złe—rzekł ponuro Adler.—Poparcie kobiet spadło do dziesięciu procent. A co gorsza, straciliśmy siedem procent głosów czarnych i Latynosów. Najgorsze jest jednak to, że ten spadek nie uległ zahamowaniu. Senatorze, jeżeli nie powstrzymamy tego spadku, znajdzie się pan w prawdziwych tarapatkach.

— Cholera! — mruknął przygnębiony Dundee. — Dobrze wicie, że delegacje stanowe na konwencję obserwują tak samo uważnie wyniki sondaży jak my. Oni postawią tylko na pewnego konia. Jeżeli zdecydują, że nie mam szans w listopadzie, to jasne jak słońce, że nie dostanę nominacji. Ruth, a może ty masz jakieś dobre wieści?

— Niestety, również złe wiadomości. Chce je pan usłyszeć?

— Jasne — Dundee był zrezygnowany. — Wal śmiało.

— Lyle, ty powinieneś to powiedzieć — zwróciła się do Haydena.

Hayden wstał i zaczął mówić przyciszonym głosem, od czasu do czasu głaszcząc swoją jedwabistą blond brodę.

— Naszą pierwszą pogłębioną analizę kluczowych okręgów wyborczych-przeprowadziliśmy w dwa tygodnie po śmierci Molly Turner. Nasza analiza ujawniła, że postawy kobiecego elektoratu są zgodne z wynikami sondaży. Kobiety postrzegają pana jako faceta nienawidzącego kobiet, albo przynajmniej obojętnego na kobiece problemy i aspiracje. Reagują na pana z gniewem, a niekiedy nawet z nienawiścią.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Dundee.

— Według naszych analiz, na dziś stracił pan więcej głosów kobiet, niż to wskazują sondaże. A teraz przejdźmy do elektoratu męskiego. Tu nasze wnioski różnią się od tego, co mówią sondaże. Baczne przyjrzenie się naszym wynikom wskazuje, że publicznie mężczyźni popierają pana, mówię tu także o ich wypowiedziach dla ankieterów! ale jednocześnie głę-

boko ukrywają podziw i sympatię dla Molly Turner i jej działalności.

— Do diabła, o czym ty mówisz! — wykrzyknął senator.

— Dla nas to równie ogromna niespodzianka jak dla pana —ciągnął niezrażony Hayden.—Ale dowody są druzgocące. Publicznie mężczyźni prezentują wizerunek silnego macho i wyrażają pogardę dla KKO, ale prywatnie i możliwe, że także w trakcie wyborów, okażą szacunek dla tej kobiety. Powody są różnorodne i złożone, ale generalnie mogę stwierdzić, że Molly Turner mówiła prawdę w swoim wystąpieniu na zjeździe NSK w 1987 roku. Twierdziła wtedy, że społeczeństwo amerykańskie to społeczeństwo, które ceni przemoc, żywe są wciąż tradycje pionierskie i przygraniczna sprawiedliwość. Łagodność i rezygnacja z przemocy w rozwiązywaniu problemów, jest postrzegana jako oznaka słabości. Ona poszukiwała sprawiedliwości przy pomocy rewolweru. Odkryliśmy, że przeważająca część amerykańskich mężczyzn zgadza się z tą filozofią. Jediną drogą grania na wyżkę jest przeciwstawienie się temu. Senatorze, muszę pana poważnie ostrzec, by liczył się pan z możliwością spadku, i to dużego, poparcia głosujących mężczyzn. Po pierwsze, głosują tajnie, po drugie w kabinie mogą ujawnić swoje ukryte uczucia, uprzedzenia i pragnienia.

Kiedy Hayden skończył, zapadła cisza. Większość członków sztabu wyborczego spoglądała na swoje paznokcie, nie chcąc patrzeć na reakcję senatora Dundee na ten przygnębiający raport.

— Więc nie mogę Uczyć nawet na mężczyzn? — zapytał Haydena ze smutnym uśmiechem. — To właśnie chciałeś mi powiedzieć, prawda?

— Tak, sir. Zdaję sobie sprawę, że trudno to przyjąć do wiadomości, ale taka jest prawda.

— Ja też tak uważam — wtrąciła Ruth Blohm. — Przeanalizowałam wyniki Lyle'a tuzin razy, senatorze, a dowody te pokazują, że większość mężczyzn podświadomie darzy szacunkiem i podziwiał MoUy Turner. Ona i jej plujący ogniem sześciostrzałowiec przeciwstawiU się złu. Faceci mogą się za tym opowiedzieć.

— W porządku. Zakładając, że to prawda, jaki teraz powinniśmy wykonać ruch? — zapytał Dundee. — Czy możemy to zmienić? Czy ktoś ma jakiś pomysł? SpojrzeU po sobie.

— Senatorze — pierwszy odezwał się Orrin Fischbein.— Nie widzę innej możliwości niż kontynuowanie dotychczasowych działań — wydawać każdego centa, który mamy, na

kampanię w środkach masowego przekazu. Zasypać listami wyborców w całym kraju, dobre reklamy mogą przynieść duże korzyści na dalszą metę.

— Jak zauważył Lord Keynes — mruknął Lyle Hayden cicho — na dłuższą metę wszyscy padniemy.

— Topić więcej pieniędzy w środkach masowego przekazu? — Dundee zażądał wyjaśnień od Fischbeina. — Całe życie jestem graczem i mogę ci powiedzieć, że te desperackie wysiłki nigdy nie przyczynią się do zwycięstwa. Ale przysięgam na Boga, nie mam pojęcia, co dalej robić.

Przez dwie następne godziny dyskutowali o reklamach, i tematach przemówień, o czym mówić w wywiadach. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy robił notatki. W kącie salonu Marta Dundee jak zwykle grała sama ze sobą w trik-traka, popijała burbona i przysłuchiwała się ich dyskusji.

W końcu senator podniósł się z fotela. Panował przygnębiający, prawie ponury nastrój. Zwycięstwo, takie pewne jeszcze miesiąc temu, teraz oddalało się.

Ruth Blohm ociągała się z wyjściem. Pozwoliła by wyszli wszyscy, łącznie z Lyle Haydenem. Kiedy została sama z Dundee i jego żoną spytała:

— Senatorze, czy może pan poświęcić mi kilka minut?

— Jasne — senator próbował uśmiechnąć się — tylko zrobię sobie drinka. Napijiesz się czegoś?

— Nie, dziękuję, ale sobie proszę nalać. Czekala cierpliwie, dopóki nie zdjął marynarki, nie rozluźnił krawata, nie rozpiął kołnierzyka koszuli. Zrzucił buty i tylko w skarpetkach podszedł do stolika z alkoholami, nalał sobie burbona z butelki żony. Wrócił i usiadł w fotelu.

— Zaczynaj, dziecinko. Co ci tam chodzi po głowie?

— Ta kampania w mass mediach nie przyniosła spodziewanych efektów, prawda? Pan to wie i ja to wiem. Pytał pan, czy ktokolwiek wie, jak zmienić ten stan rzeczy. Ja wiem... ale panu ten pomysł się nie spodoba.

— No, ale spróbuj — spojrzał na nią zachęcająco.

— Po śmierci Molly Turner jej siostra, Ann Harding, pełni funkcję przewodniczącej KKO. Niech pan do niej pójdzie i porozmawia z nią. Niech ją pan namówi, by przyłączyła się do pana i startowała w wyborach jako wiceprezydent. Wy oboje w Miami jako zespół na konwencji. Nasz następny prezydent . i nasz wiceprezydent.

— Jezu Chryste) — wykrzyknął Dundee.

— To zadziała—ciągnęła niezrażona Ruth Blohm.—Mając ją przy boku Jako sojusznika, przestanie pan być obwiniany za śmierć jej siostry. I gwarantuję, że dzięki temu wiele kobiet odda swoje głosy na pana. Senatorze, to spodoba się na konwencji, a także zwykłym wyborcom. Jestem o tym przekonana. Jeżeli zdoła pan namówić Ann Harding na współpracę, ma pan wolną drogę do Białego Domu.

— Mhm — mruknął zamyślony. — To już coś. To szalony pomysł.

— Zebrałam trochę informacji o tej damie — kontynuowała Blohm. — To atrakcyjna kobieta, prawdziwa Amerykanka, do tego przystojny mąż eks-glina i rezolutny synek. To inteligentna i bystra babka, i wie, o co chodzi, bardzo zdolny mówca publiczny, fotogeniczna. Ona i KKO mają duże wpływy. Ann jest remedium na pańskie problemy, sir.

— Myślisz, że się zgodzi?

— Nie mam pojęcia. To już w pańskich rękach, zobaczymy, jaki z pana handlowiec. Z tego, co słyszałam o tej damie, jeżeli się zgodzi, to będzie się ostro targować, ale ostateczna decyzja i tak będzie należała do pana.

— Czy to twój pomysł, Ruth? — patrzył na nią uważnie.

— Niezupelnie. Lyle Hayden i ja razem na to wpadliśmy.

— Hayden to bystry facet — przyznał.

— Wiem — uśmiechnęła się — mam zamiar wyjść za niego, ale on o tym jeszcze nie wie.

— Szczęść wam-Boże obojgu — senator uśmiechnął się . szeroko.

Marta Dundee spojrzała na nich i też się uśmiechnęła:

— No cóż, Ruth... — zaczął powoli — zabiłaś mi ćwieka. Muszę to dobrze rozważyć i pogadać z wieloma, wieloma ludźmi, zanim podejmę ostateczną decyzję. Ale ty, proszę, zachowaj to w tajemnicy. Zawiadomię cię o mojej decyzji.

Wstała i włożyła płaszcz.

— Senatorze, uważam, że im głębiej się pan nad tym zastanowi, tym bardziej uzna pan to za najlepsze rozwiązanie. Jeżeli coś z tego wyjdzie, będzie to największy królik wy-, borchy wyciągnięty z politycznego kapelusza. Do widzenia państwu. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Dundee odwrócił się do żony.

— A ty co o tym myślisz, Marto?

— Czy naprawdę chcesz zostać prezydentem? — podniosła na niego oczy.

— Czy dwa i dwa, to cztery? — odpowiedział pytaniem.

— Więc zrób to, co radziła Ruth.

29 maja 1992

— Wybieram się do Canton, słoneczko — rzekł od niechcienia Rod Harding do swojej żony. — Zostanę tam trochę u rodziców, a być może Tod i ja uprzątniemy piwniczkę na opuszczonej farmie. Nie ma tam już wielu rzeczy, a to, co jest, przekażemy do pułku Lucille Jackson albo wrzucimy do rzeki.

— To wspaniały pomysł — mruknęła Ann, nieobecna myślami. — Uprzątnij wszystko do czysta. Już więcej nie będziemy potrzebowali broni, czy innych materiałów.

Rod zatelefonował do Brata Nabisco i umówił się z nim w bezpiecznej chacie na południe dwudziestego dziewiątego maja. Ale do Canton Harding przyjechał dzień wcześniej. Po drodze zatrzymał się w Winchester w Wirginii, w sklepie, który sprzedawał stary sprzęt i nadwyżki wojskowe. Zakupił używany, zamykany na zamek błyskawiczny śpiwór i zardzewiały szpadeł.

Noc dwudziestego ósmego maja przespał w domu rodziców w Canton, w Zachodniej Wirginii. Spędzili ten wieczór na przeglądaniu rodzinnego albumu z fotografiami Luka i Cechy Hardingów. Jeden z Hardingów zginął pod Shiloh, a inny zrobił fortunę i stracił ją w Yukon. Rod przywiózł im najnowsze kolorowe zdjęcia Jeffersona Turnera Hardinga, by włączyli je do swojej kolekcji.

Do bezpiecznej chaty wyjechał następnego dnia przed 9⁰⁰ i wziął się do roboty. Zdjął kurtkę, koszulę i pracował nagi do pasa. Pracował tak, że się spocił, ale był zadowolony, że pomyślał o zabraniu ze sobą sześciu puszek piwa.

Wysprzątał piwnicę, wyrzucił broń, amunicję i te materiały wybuchowe, które znalazł, do rzeki. Potem poczynił dalsze przygotowania. Skończył około 11³⁰, na długo przed przyjazdem Todhuntera' Clarka. Włożył koszulę i siedział spokojnie na pryczy, popijając piwo. Patrzał na nieszczelne ściany chaty. Obserwował szaleńcze pyłki kurzu tańczące w promieniach słońca.

— Hej, człowieku, jak leci? — spytał Clark.

— W porządku, a tobie?

— Nieźle. Piękny dzień, co?

— Może zimne piwko?

— Dobry pomysł — Brat Nabisco otworzył puszkę. — Jak tam żontczka?

— Wspaniale, a Jeff z dnia na dzień jest coraz większy.

— Och — Clark uśmiechnął się. — Wyrośnie z niego duży człowiek.

— Już je jak dorosły.

— No, no, muszę się do was wybrać z wizytą i zobaczyć go. Weź dla niego ode mnie ten fajny samochódzik — podał mu zabawkę.

Spod poduszki na pryczy Rod Harding wyjął smith & wessona 357 magnum. Trzymał go pewnie oburącz, lufę wymierzył w pierś Clarka. Brat Nabisco, który stał, spojrział w dół na broń, powoli podniósł oczy i napotkał wzrok Roda.

— Hej, człowieku, przecież to ciężkie.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytał Harding martwym głosem.

— Zrobiłem co? O czym ty gadasz?

— To byłeś ty — stwierdził Harding. — Twoje inicjały widniały tam wszędzie.

Domyśliłem się, że zmontowałeś kierunkowe ładunki, by rozwały koła. Nie użyłeś mechanizmu zegarowego, bo obawiałeś się, że samochód wyleci w powietrze, kiedy będzie zaparkowany. Więc być może założyłeś, drogomierz, by mieć pewność, że samochód jest w ruchu, ale do końca nie jestem tego pewien. Sądzę, że jechałeś za nami tą swoją kupą złomu aż do Ohio, a kiedy nadeszła odpowiednia chwila, nacisnąłeś guzik.

— Oszalałeś?

Clark zrobił mały kroczek w kierunku Roda.

— Nie rób tego, nie próbuj mi go odebrać. Może jesteś szybki, ale on jest szybszy.

No, dalej, Tod, powiedz mi... Dlaczego to zrobiłeś?

— Nic nie zrobiłem, a w ogóle, to o co tyle szumu? Przecież ona dla ciebie nic nie znaczyła.

Harding milczał.

— No, może trochę — rzekł Clark. — Chyba nie byłeś w niej zakochany, co?

— Nie wiem, co to miłość — stwierdził Harding. — Czy to skurcz w kroczu, czy w sercu. Po prostu nie wiem. Przysięgam, nie wiem i nigdy nie będę wiedział. Ale Molly była moją kobietą. Byliśmy blisko ze sobą, a ty ją zniszczyłeś. Nie potrafię ci tego wybaczyć, Clark. Nie, przynajmniej jeżeli chcę być w zgodzie ze sobą.

— Była dla ciebie niczym, człowieku! — krzyknął Clark. — Niczym.

— Nie, to nieprawda — mruknął Harding ponuro. — Mylisz się. Znaczyła dla mnie dużo. Nie potrafię dokładnie wyrazić,

co to było. Nie słowami, nie umiem. Ale to ona sprawiła, że czułem, że na świecie jest coś więcej niż tylko łajno i rzy-gowiny. Ale tak nie jest. Najważniejsze jest to, że miałem z nią romans, a ty o tym wiedziałeś i zabiłeś ją. To mnie zżera. Nie powinienes był tego robić, Tod. Zawsze dobrze ciebie traktowałem, prawda? Nie miałeś prawa mordować jej.

— Przysięgam, że to nie ja — powiedział Brat Nabisco, robiąc następny mały krok w stronę faceta z bronią.

— Mówiłem ci, żebyś tego nie robił — burknął ostro Harding. — Mam zamiar zastrzelić cię, ale chcę zrobić to tak czysto, jak tylko potrafię. Zrób jeszcze jeden krok, a pożałujesz.

— Nie masz jaj, by to zrobić — rzucił Clark pogardliwie.

— Co proszę? Dlaczego to zrobiłeś, Tod? Dla Ann i Jeffa? To dla nich?

— Po prostu nienawidziłem tej dziwki — Clark wzruszył ramionami. — A ona nienawidziła mnie. Tylko o to chodziło.

— Jesteś pieprzonym pomyleńcem, pieprzoną kreaturą, wiesz o tym? Wietnam zmienił twój mózg w gówno.

— Twój też.

— Być może, być może. Ale Molly Turner była dla mnie ważna, a ty zabiłeś ją. Jeżeli pozwolę, żeby to rozeszło się po kościach, nie będę mógł w lustrze spojrzeć sobie w oczy. Czy potrafisz to zrozumieć, co?

— Przestań pleść te smutki, zrób, co masz do zrobienia! Więc Harding strzelił dwa razy w jego pierś. - Odrzut zbił

Toda z nóg i rzucił na podłogę. Padł w kącie chaty, przetoczył się kawałek, kopnął dwa razy i jego ciało zamarło. Rod dobrze wiedział, jak trudno zabić człowieka.

Pochylił się na Todem i wystrzelił trzecią kulę prosto w jego głowę.

Wyciągnął używany śpiwór spod pryczy, wepchnął do niego ciało i zasunął zamek.

Wywłókł toból pomiędzy drzewa. Rankiem wykopał tu głęboki dół. Teraz wrzucił do niego ciało i zasypał grób. Na koniec wyrównał ziemię i przykrył to miejsce suchymi gałęziami, potem szpadel i magnum wrzucił do rzeki. Wrócił do chaty i rozlał ropę na małe plamki krwi na drewnianej podłodze.

To była niestaranna robota, wiedział to, ale się tym nie przejął. Zwyczajnie, miał to w nosie. Wypił pozostałe dwie puszki piwa, zanim wjechał gratem Brata Nabisco głęboko w krzaki i porzucił go tam rdzy na pożarcie. Wrócił do swojego auta i ruszył w powrotną drogę do domu, do Waszyngtonu.

16 czerwca 1992

Senator Dundee nie kłamał, kiedy powiedział Ruth Blohm, że jest wielu, wielu ludzi, z którymi musi się skontaktować zanim poprosi Ann, by stanęła z nim do wyborów w jednej drużynie.

Musiał pogadać ze starymi przykami, którzy sypnęli zielonymi na kampanię, z politycznymi przywódcami, którzy mieli w garści kilka kluczowych stanów, facetami, którzy jeszcze mogli dać pieniądze, kilkoma ważnymi lobbystami i jednym czy dwoma popierającymi go dziennikarzami.

Przez ponad miesiąc Dundee konsultował się z nimi. Wszyscy byli mężczyznami, można było im zaufać. Był pewien, że będą trzymać gęby na kłódkę. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, był przeciek do mass mediów.

Reakcja ha zdumiewającą propozycję senatora była generalnie pozytywna, zgodzono się na jego współpracę z Ann Harding. Dundee nie był tym zdziwiony, ludzie, z którymi rozmawiał, byli cholernymi pragmatykami.

Bardzo dobrze wiedzieli, że Dundee znalazł się w tarapatach i bez dramatycznego zwrotu jego kampania padnie. Sprawy feministek nie miały z tym nic wspólnego. Wszyscy politycy, którzy odnieśli sukcesy, są pragmatykami, więc usilnie nakłaniali Dundee'ego do wzięcia diabła za rogi.

Ta zgoda nie była jednogłówna. Wielu starych konserwatywnych pierników zagroziło, że będą go zwalczać, jeżeli zmieni front. Najbardziej zatwardziałym okazał się H. Fairchild Curtiss. Zmusił senatora do wysłuchania dziesięciominutowego przemówienia w klubie „Imperial”.

Senator przetrwał tę jeremiadę nie przerywając mu. To miało miejsce po tym, kiedy już w zasadzie podjął decyzję i nie widział powodów, żeby ten eholerny bankier dyktował coś senatorowi, swojej partii i krajowi, w tej właśnie kolejności. Kiedy Curtiss skończył, Dundee wstał.

— Sir—zaczął—z całym szacunkiem dla pana, ale jest pan skończonym durniem. Nie wiem, na jakim świecie pan żyje, ale to nie jest mój świat, ani świat, który widzę dookoła. Jeżeli pan lubi wyrzucać pieniądze w błoto, to pańska sprawa. Jeżeli chce pan zobaczyć wszystkie te dolce, które pan i pańscy kumple przekazaliście na mój fundusz wyborczy, zmarnowane, to pański wybór. Ale jeżeli chce pan iść za zwycięzcą i cieszyć się tymi wszystkimi dobrami, które mogę wam podrzucić, kiedy już będę w Białym Domu, "może pan porzucić pychę i wszystkie pańskie uprzedzenia i zostać przy mnie. Mam

zamiar zwyciężyć, a jeżeli nie chce pan wsiąść ze mną na tę karuzelę, pieprzę pana, panie Curtiss.

— To była moja najlepsza godzina w życiu — zwierzył się później swojej żonie. Od Ruth Blohm dowiedział się, że Ann Harding mieszka w Spring Valley, nie dalej jak pół mili od jego posiadłości. Poleciał sekretarce, by zatelefonowała do Ann, do biur KKO, a kiedy uzyska połączenie, przełączyła rozmowę na jego prywatną linię.

— Pani Harding?

— Tak.

— Mówi senator Lemuel K. Dundee. Jak się pani czuje?

— Wspaniale, dziękuję.

— Pani Harding, do tej pory nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale wiem, że jesteście bliskimi sąsiadami. Mam bardzo ważną sprawę, którą chciałbym z panią omówić. Zastanawiam się, czy zdołam panią namówić na odwiedzenie mnie i mojej małżonki u nas w domu.

Jej odpowiedź była inteligentna i natychmiastowa:

— To bardzo miłe z pańskiej strony, senatorze, ale mam małego synka i staram się spędzać z nim jak najwięcej czasu. Będę zaszczycona, jeżeli powitam państwa w moim domu.

Dundee uśmiechnął się sam do siebie. Ta kobieta była urodzonym politykiem: chcesz czegoś ode mnie, to przyjdź do mnie.

— Dziękuję i doceniam to, pani Harding — powiedział szczerym tonem, — Tak wiele o pani słyszałem i podziwiam pani wspaniałe wystąpienia w telewizji. Marzę o tym, by poznać panią osobiście. Możemy sobie wzajemnie wiele pomóc.

Te jego słowa zignorowała.

— We wtorek o 21⁰⁰. Czy to panu odpowiada?

— Tak, doskonale.

— Zna pan mój adres domowy?

— Tak, pani Harding. Dziękuję za życzliwość. Spotkali się szesnastego czerwca.

Ann wysłała Roda i Jeffa

do kina. Przyrzekła mężowi, że o wszystkim mu dokładnie opowie. Włożyła prosty kostium, bluzkę z żabotem, nie nałożyła ani makijażu, ani biżuterii.

Senator okazał się bardziej dystyngowany i wywołał na niej większe wrażenie niż oczekiwała. Gęste siwe włosy miał starannie uczesane. Pojawił się w

konserwatywnym trzyczęściowym garniturze z czarnego surowego jedwabiu i małej

muszce pod szyją, która sprawiała, że wyglądał jak porzecz.

— Senatorze — zaczęła, kiedy wymienili słowa powitania i usiedli — czy mogę

zapropionować panu drinka?

— Nie, dziękuję—uśmiechnął się przeprasza­jąco—rzadko piję.
Gównu, pomyślała.

— Przede wszystkim, pani Harding, muszę powiedzieć, że to ogromna przyjemność poznać panią osobiście. Od jakiegoś czasu jestem pani wielbicielem. Uważam panią za jednego z najlepszych publicznych mówców w tym kraju.

— Czyżby? — spytała lekko zdegustowana tym pochlebstwem. — Usłyszeć to od kogoś z pańskim doświadczeniem, to coś znaczy. Które z moich przemówień najbardziej przypadło panu do gustu?

— To, które wygłosiła pani na zjeździe NSK w ubiegłym roku. Uważam, że było wspaniałe.

Ten skurwiel dobrze odrobił zadanie domowe, zauważyła w duchu.

— Jest pan bardzo miły — uśmiechnęła się.

— A po drugie, chciałbym pani złożyć szczere kondolencje z powodu przedwczesnej śmierci pani siostry. Utrata Molly Turner to tragedia dla całego narodu.

Ann zakręciła obrączką na palcu. W milczeniu skinęła głową.

— Należę do ludzi mówiących prosto z mostu, pani Harding — Dundee pochylił się w jej kierunku. — Nie lubię bicia piany, więc do rzeczy. Muszę powiedzieć, że pani i ja napadaliśmy na siebie trochę zbyt zawzięcie. Nie potrafię dostrzec w tym korzyści dla żadnego z nas.

— Mamy różne poglądy, senatorze, w wielu różnych sprawach.

— Nie, proszę pani. — Oparł się w fotelu.—Uważam, że jest pani w błędzie. Jestem za równouprawnieniem kobiet całym moim sercem i duszą. Moje odmienne zdanie niezgodne ze zdaniem pani siostry dotyczyło najbardziej efektywnego sposobu, aby to osiągnąć. Pani Harding, powiada się, że polityka jest sztuką osiągnięcia tego, co możliwe. Jestem dzieckiem Senatu i wiem bardzo dobrze jak niemrawy i frustrujący potrafi być nasz system polityczny. Ale także wiem, że jest on najlepszym sposobem, aby takie sprawy załatwić i doprowadzić do koniecznych zmian w naszym ustawodawstwie i społeczeństwie, jeżeli chcemy uniknąć anarchii. Czy pani się ze mną zgadza?

— Do pewnego stopnia —. przyznała roztropnie. — Zgadza­m się, że metody prawne, by naprawić krzywdy, powinny być preferowane. Ale kiedy sprawiedliwość nie nadaża, naciski

muszą być zwiększone. Nasi przywódcy muszą sobie uświadomić, że potrzeby kobiet są niezaspokojone, a ich gniew głęboki. Dlatego właśnie moja siostra obrała taktykę przemocy.

— A pani pochwała jej metody?

— To sprawa do dyskusji — zgodziła się. — Uważam, że moja siostra miała rację, stosując takie metody w tym okresie. Odniosła sukces, rozbudziła świadomość naszego społeczeństwa. Ale sądzę, że zrobiła swoje, a teraz nadeszły inne czasy dla KKO i pozostałych organizacji feministycznych, by wrócić do bardziej tradycyjnych metod, które pomogą osiągnąć nam to, co chcemy.

— Jestem szczęśliwy, że to słyszę. Jest pani bardzo inteligentną osobą i zgadzam się z panią w zupełności.

Senator zamknął, skrzyżował palce i spojrzał na nie. Następnie powoli podniósł oczy i spojrzał na Ann Harding.

— Jak pani zapewne wie, ubiegam się o prezydenturę i mam zamiar uzyskać nominację z mojej partii. Pani Harding, bardzo chciałbym, żeby pani przyłączyła się do mnie i wzięła udział w wyborach ze mną, jako kandydat na stanowisko wiceprezydenta.

Ann mrugnęła oczami tylko raz, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się. Przez moment panowała cisza.

— Szczerze wierzę — kontynuował senator — że razem będziemy mieli ogromną szansę na zdobycie nominacji w lipcu i zwycięstwo w listopadzie.

— Uważam, że to najlepsza pora na drinka. Czy pan się napije, senatorze?

— Mała kropelka nie zaszkodzi — rzekł w taki napuszony sposób, że miała ochotę roześmiać się.

— Burbon? — spytała.

— Skąd pani wie?

Nalała mu niezłą porcję, dodała bardzo niewiele wody. Dla siebie przygotowała wódkę i wrzuciła kilka kostek lodu. Unieśli swoje szklaneczki w milczącym toaście i wypili.

— Świetnie. Pani Harding, chcę być z panią absolutnie szczerzy. Mam...

— Zaraz, zaraz—uniosła dłoń—moja mama mówiła mi, że kiedy mężczyzna podkreśla „będę z tobą absolutnie szczerzy”, to chce sięgnąć do twojej portmonetki.

— Mhm... no cóż., pani matka nie wychowała pani na idiotkę. O.K., proszę pozwolić powiedzieć mi mój kawałek, a potem oddzieli pani ziarno od plew.

Wracając do rzeczy: mam odpowiednie fundusze, kiedy pojawię się na konwencji w Miami, one otworzą mi gościnnie drzwi, oczarują każdego delegata.

Siedziała zrelaksowana.

— Jest pan w kłopotach po uszy, stracił pan głosy kobiet. Delegacje stanowe to wiedzą. Konwencja stawia tylko na pewnego konia, nie ma pan szans na nominację.

— Jestem graczem i nie lubię rezygnować przed końcem. Istnieje niewielka szansa na wygraną, ale nie lubię zdawać się na przypadek. Jeżeli będę miał panią w mojej drużynie, rozniosę w pył przeciwników. A o to w tym wszystkim chodzi.

— Nie mogę zmusić kobiet, by na pana głosowały. Pan przecież doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Istnieje milionowy elektorat lcobiocy, który ma milion opinii.

— Jasne, że zdaję sobie sprawę, ale z panią przy boku, wiele kobiet, większość kobiet zrozumie różnice między wygraną a przegraną. Mężczyźni również. Nominacja to pierwsza przeszkoda, jeśli ją pokonamy, możemy skoncentrować się na listopadowych wyborach. Jestem przekonany, że pani i ja możemy zwycięsko przejść tę całą drogę.

— Innymi słowy, chce pan moimi rękami wyciągać gorące kasztany z ognia? Spojrzał na nią i wypił trochę burbona.

— To nie całkiem tak. Nie oczekiwałem, że zgodzi się pani tylko dlatego, że spodoba się pani moja fryzura albo dlatego, że fajny ze mnie gość. Chciałbym, żeby potraktowała pani moją propozycję jako niebywałą okazję. Proszę tylko pomyśleć, ile może pani działać dla równouprawnienia kobiet jako wiceprezydent. To jest coś, prawda? Czy ta gra nie jest warta świeczki? Najgorsze, co może się stać, to nasza przegrana. Lecz gdy zwyciężymy, będzie pani pierwszą kobietą wiceprezydentem. Czyż to nie wspaniałe? A najlepsze w tym wszystkim jest to, że to pani i ja będziemy rządzić tym krajem.

Przez moment patrzyli na siebie.

— Jest pan dobrym handlowcem, senatorze — stwierdziła.

— Jak każdy polityk. Sądzi pani, że prosiłbym ją o pomoc, gdybym uważał, że jest pani idiotką, która nie ma predyspozycji, aby być dobrą na tym stanowisku?

Prześledziłem pani karierę i wiem, że może pani wejść do podręczników historii. Zastanowiła się przez chwilę.

— Czy omówił pan ten pomysł z pańskimi... mhm... tymi, którzy wspierają finansowo pańską kampanię, i z szefami partii?

— Tak — potwierdził. — Poparli mnie.

— Nie mają wyboru.

— Im dłużej z panią rozmawiam, tym bardziej panią podziwiam. Ma pani absolutną słuszość, nie mieli wyboru.

— Nie dam panu odpowiedzi — wzięła głęboki oddech — od razu.

— Jasne, że nie. Nawet na to nie liczyłem.

— Są ludzie, z którymi i ja muszę przedyskutować pańską ofertę.

— Oczywiście. Rozumiem, ale proszę nie trzymać mnie w niepewności do ostatniej minuty.

— Nie — powiedziała wolno. — Tego nie zrobię. Ale jeżeli zdecyduję się uratować pańską dupę, senatorze, będzie pan musiał za to zapłacić.

Odchylił się do tyłu i roześmiał serdecznie.

— O Boże, pani i ja będziemy stanowić zgrany zespół. Myślmy podobnie.

— Cóż... zobaczymy. Odezwę się do pana tak szybko, jak to możliwe.

— Im wcześniej tym lepiej. Konwencja rozpoczyna się dwudziestego lipca. Jeśli pani się zgodzi, musimy to ogłosić przynajmniej dwa tygodnie wcześniej, by osiągnąć najlepsze efekty w masś mediach.

— Rozumiem, dziękuję za propozycję.

— To pani robi mi zaszczyt. — Skończył drinka i odstawił szklaneczkę. Wstał i skłonił się lekko. — Cokolwiek pani zdecyduje, chciałbym pani powiedzieć, że rozmowa z panią to Ogromna przyjemność.

— Dziękuję.

Zaraz po jego wyjściu zatelefonowała do Baltimore, do Virginii Terwilliger.

— Ginny, czy możesz przyjechać do stolicy jutro rano? Wydarzyło się coś ważnego, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Terwilliger usłyszała naleganie w jej głosie.

— Czy to zła wiadomość?

— Nie sędę, wprost przeciwnie, uważam, że dobra — stwierdziła Ann.

5 lipca 1992

Ann Harding przeszła przez taki sam proces konsultacji, jaki przeszedł senator.

Skonsultowała się z Virginią Terwilliger i pozostałymi członkiniami Zarządu Głównego, radziła się przewodniczących oddziałów stanowych i rozmawiała z kierownikami innych organizacji kobiecych. Przeprowadziła rozmowy z kobietami z Kongresu, zajmującymi się biznesem, kobietami wydawcami prasy i literatkami feministycznymi.

Z największym oporem w stosunku do oferty senatora spotkała się u szefowych pułków KKO i kadry oficerskiej, które pozostały lojalne wobec stanowiska Molly Turner — żadnych kompromisów z wrogami. Nie pójdziemy na żaden układ z Dundee — upierały się — niezależnie od tego, jakie to mogłoby przynieść korzyści KKO.

Ann Harding wysłuchiwała wszystkich opinii, ale decyzję podjęła nagle, po rozmowie z jedną osobą, podobnie jak Lemuel K. Dundee po sprzeczce z H. Fairchildem Curtissem.

W trakcie podróży po kraju odwiedziła Agatę Rockridge, „wspaniałą starszą damę”, przewodniczącą oddziału KKO w Południowej Dakocie. Agata była wiekową, dumną kobietą o twarzy pomarszczonej jak orzech włoski i rękach, które wszystko robiły w życiu. Jej żywe, bystre oczy uważnie przyglądały się światu i oceniały go. Ann opowiedziała jej o propozycji Dundee'ego i o dylemacie, jaki przed nią stanął. — Jestem pewna, że coś u niego wytarguję; wpadł w tarapaty i potrzebne są mu głosy kobiet, aby zwyciężyć. Nie dostaniemy wszystkiego, co chcemy, ale może połowę się uda — tak przypuszczam. Co o tym myślisz, Agato?

— Połowę? — starsza pani uśmiechnęła się. — Słoneczko, takie dylematy przeżywa w życiu każda kobieta. Weź połowę, a nawet jedną dziesiątą, a wcześniej czy później sama stwierdzisz, że dostałaś wcale niezły kawałek.

Ta opinia sprawiła, że Ann zmieniła zdanie. Wróciła do Waszyngtonu i spotkała się z Virginią Terwilliger na ostrej momentami naradzie, która zajęła im cały dzień. W końcu uzgodniły szczegóły dwustronicowego listu intencyjnego, który Ann przedstawi Dundee'emu do podpisania. W tym kontrakcie zawarły następujące żądania:

— Każdy wakat, jaki pojawi się w Sądzie Najwyższym w okresie kadencji Dundee'ego, zostanie obsadzony przez kobietę.

— Kobiety obejmą minimum trzy ministerstwa.

— Przynajmniej 50 procent personelu w Białym Domu będą stanowiły kobiety, wliczając w to stanowiska kierownicze. Przynajmniej jedna kobieta zostanie członkinią sztabu najbliższych doradców prezydenta.

— liczba kobiet — ambasadorów w krajach zamorskich powinna wzrosnąć przynajmniej do 50 procent.

— Kobieta powinna wejść do połączonego komitetu sztabu szefów.
— Stanowisko szefa Banku Rezerw Federalnych powinno przypaść kobiecie.
— Nie sądzę, żeby on się na to zgodził — stwierdziła z powątpiewaniem Ann.
— Jasne, że nie, ale nie rezygnuj. Walcz z nim, wywalcz tyle, ile zdołasz.
— Wiem — westchnęła Ann. — Chociaż połowę. Zadzwoiła do biura senatora i umówiła się z nim na spotkanie. Tym razem zgodziła się przyjechać do jego domu.
Rod Harding siedział na brzegu łóżka w sypialni i palił fajkę. Drzwi do łazienki były otwarte. Jego żona wynurzyła się z oparów pary, owinięta ogromnym ręcznikiem. Uśmiechnęła się do niego.
Usiadła przed toaletką, zdjęła czepek kąpielowy i zaczęła wyjmować szpilki z włosów. Jej ruchy rozluźniły ręcznik, który osunął się. Rod zobaczył kształtne plecy. Zaczęła szcztokować włosy.
Odłożył fajkę, podszedł do niej, położył ręce na jej ramionach i ścisnął je delikatnie.
— Mój Boże, kochanie, jesteś taka spięta, twarda jak skała. — Zaczął masować jej ramiona, ugniatając delikatnie mięśnie.
— To mi dobrze robi — mruknęła. — Nie przerywaj.
— Nie miałem zamiaru — pochylił się i wciągnął w nozdrza zapach jej skóry. — Ile masz czasu?
— Umówiłam się na dziewiątą.
— Jesteś piękna. Chcesz, żebym cię odwiózł?
— Nie, pojedę sama. Nie chcę, żebyś czekał ani nie chcę telefonować, żebyś po mnie przyjechał. Jeżeli cała ta historia skończy się fiaskiem, nie chcę prosić go, by mnie odwiózł.
— Nie będzie żadnego fiaska. Gwarantuję. On potrzebuje ciebie bardziej niż ty jego. Po prostu tylko musisz o tym pamiętać.
Pochyliła się do lustra i zaczęła nakładać makijaż. Przebiegł palcami po jej plecach.
— Ciągłe mnie podniecasz — powiedziała.
— Ty mnie także. Wracaj szybko do domu. Nakładała cienie na powieki.

— Czy ktoś miał wiadomości od Todhuntera Clarka? — spytała.

— Nikt. Ani słowem do nikogo się nie odezwał — stwierdził obojętnie i odszedł od niej.

— Nie mogę tego zrozumieć. Czemu tak postąpił? Nawet nie pożegnał się z Jeffem. Lucille Jackson również nie potrafi tego pojąć.

— No cóż, kochanie, on zawsze był ptakiem wolnym i naprawdę nieobliczalnym. Kiedy Molly zginęła, pewnie uświadomił sobie, że jego szczególne talenty nieoędą więcej potrzebne. Więc zabrał się i zniknął.

— Chyba masz rację — westchnęła — jeszcze...

— Masz chyba większe zmartwienia niż Brat Nabisco — powiedział, wrócił i pocałował ją w kark.

— Wiem, a teraz zostaw mnie, muszę się ubrać.

Wrócił na brzeg łóżka i znowu zapalił fajkę. Obserwował, jak jego żona się ubiera. Podziwiał jej kochane, pełne ciało i sposób poruszania się. Kiedy wkładała , stanik, pochyliła się do przodu i wsunęła ciężkie piersi w miseczki. Gapił się na nią, oczarowany. Nigdy nie będzie miał jej dość.

— Możesz mi zrobić przysługę, Rod?

— Jasne, słoneczko.

— Chcę spróbować rozegrać tę sprawę, będziesz senatorem Dundee^zgoda?

Właśnie pokazałam ci ten list intencyjny i chcę, żebyś go podpisał. Pamiętaj, jesteś senatorem. Przeczytałeś te kartki i co powiesz?

— Pani Harding, czy pani naprawdę uważa, że podpiszę ten kawałek gówna?

— Jeżeli chce pan otrzymać nominację, a potem zostać wybranym, senatorze, to tak.

— Przecież to śmieszne. Jeśli to kiedykolwiek wyjdzie na jaw, jestem skończony.

— Jeśli wyjdzie, ale to pojedynczy list, nie ma żadnych kopii. Pan go tylko podpisze, a ja go zatrzymam. Jeżeli pan spełni swoje obietnice, nikt nigdy się o nim nie dowie.

— Nie mogę spełnić tego wszystkiego i pani dobrze o tym wie. Kobieta szefem Komitetu Połączonych Sztabów? To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? Czy nia ma ani jednej kobiety o odpowiednich kwalifikacjach w siłach zbrojnych?

Kontynuowali tę zabawę, dopóki Ann nie skończyła się ubierać. Rod grał rolę oburzonego, skorego do gniewu senatora

Dundee. Walczył jak lew, robił wszystko, by uniknąć podpisania tego listu. Ann odpowiadała niekiedy po krótkim namyśle, łagodząc lub wzmacniając swoje wypowiedzi. Włożyła niewielki sznur sztucznych pereł i powiedziała:

— W porządku, kochanie, teraz mogę stawić mu czoło. Będę stanowcza i nieustępliwa. Ustąpię, kiedy mnie do tego zmusi, ale nie wcześniej.

— Mało dasz, mało dostaniesz—skwitował jej mąż. — Co to za fajna kreacja?

Włożyła prostą suknię z czarnej jedwabnej krepy bez rękawów, dość wyciętą, aby pokazać rowek między piersiami. W metalizowanych rajstopach jej nogi wydawały się szczuplejsze, makijaż trochę za ostry i trochę za dużo perfum.

— Kiedy spotkałam się z nim po raz pierwszy, miałam na sobie kostium. To interesy, kochanie. Uważam, że zrobiłam na nim wrażenie. W ciągu ostatnich kilku tygodni rozejrzałam się trochę. On ma opinię lubiącego popijać i lubiącego kobiety. Mam nadzieję, że mój strój go oszołomi na tyle, że da mi więcej niż zamierza.

— Podniecisz go do szaleństwa — roześmiał się jej mąż. — Czy dobrze wyglądam?
— stanęła przed nim. Przysunął się bliżej i lekko ścisnął jej gołe ramiona. Spojrzał jej w oczy.

— Jesteś piękna. Po prostu fantastyczna.

— Między nami wszystko w porządku, prawda, Rod?

— Lepiej być nie może — pocałował ją w czubek nosa. Odepchnęła go lekko, podeszła do toaletki, wzięła torebkę i rękawiczki. Upewniła się, czy w torebce ma list intencyjny.

— Kochanie, trochę się boję - powiedziała.

— Mhm... nigdy w życiu się nie bałaś? Jesteś bardzo odważną babką.

— Nie obawiam się spotkania z Dundee, ale co będzie, jeśli on zostanie wybrany, a ja zostanę wiceprezydentem? To mnie martwi. Do cholery, przecież ja nic nie wiem o polityce wewnętrznej czy zagranicznej.

— Nauczysz się. Zastanawiała się przez chwilę.

— Masz rację, zawsze byłam pojętym uczniem. No cóż... trzymaj za mnie kciuki i życz mi szczęścia.

Podszedł do niej i mocno przytulił.

— Życzę ci szczęścia z całego serca — szepnął.

— Rod, uważasz, że postępuję właściwie?

— Oczywiście, kotku.

— Pierwsza kobieta wiceprezydent, to jest coś, prawda?

— Kochanie — uśmiechnął się i dotknął jej policzka. — Wrceprezydentura to może być tylko początek. Dundee nie będzie wiecznie prezydentem.

Zamyślona spojrzała na niego.

— No, no przecież on może... — pokiwała głową. — Nie przeżyć pierwszej kadencji. Nigdy nic nie wiadomo.

KONIEC